

JAROSŁAW  
DOBROWOLSKI



DZIWNY  
ZACHÓD





Dziwny Zachód

Copyright © by Jarosław Dobrowolski, Warszawa 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

Redakcja: Kinga Stanaszek-Bryc

Korekta: Aleksandra Wicik

Projekt okładki: Shred Perspectives Works

Skład i łamanie: Krzysztof Biliński

Wydanie I

Wydawca: Sinister Project, Warszawa 2023

[sinisterproject.pl](http://sinisterproject.pl)

[kontakt@sinisterproject.pl](mailto:kontakt@sinisterproject.pl)

ISBN 978-83-968689-1-6

*Największym dobrodziejstwem naszego świata wydaje mi się to, że człowiek nie potrafi objąć go rozumem. Żyjemy sobie na spokojnej wysepce niewiedzy wśród czarnych mórz nieskończoności i nie powinniśmy wypuszczać się z niej za daleko. Nauki ciągną w rozbieżne strony i na razie nie wyrządziły nam wielkiej krzywdy; wszelako przyjdzie dzień, gdy scalimy naszą rozproszoną wiedzę, a wtedy zarówno rzeczywistość, jak i nasze w niej miejsce ukazażą się z tak zatrważającej perspektywy, że przyjdzie nam albo oszaleć, albo uciec przed śmiertelnośnym światłem tego objawienia w kojące i bezpieczne mroki nowego średniowiecza.*

*– H.P. Lovecraft*



## PROLOG

*9 kwietnia 1865 roku generał Robert E. Lee poddał wojska Wirginii siłom Unii. Tym samym Amerykańska Wojna Domowa dobiegła końca. Kilka dni później, 14 kwietnia, John Wilkes Booth, znany aktor i zadeklarowany abolicjonista, zakradł się do prezydenckiej loży w Ford's Theatre w Waszyngtonie i postrzelił w głowę prezydenta Abrahama Lincolna. Prezydent żył jeszcze dziesięć godzin, choć nie odzyskał już przytomności.*

*Podczas ucieczki z teatru John Wilkes Booth złamał nogę. Pomimo tego udało mu się unikać pościgu przez kolejne jedenaście dni. 26 kwietnia został osaczony na farmie państwa Garretów w Wirginii.*

Nocne niebo grzmiało, pioruny biły w ziemię, jakby chciały otworzyć wrota do piekła. Zacinający deszcz padał niemal w poziomie, prosto w twarze żołnierzy otaczających ogromną stodołę. Nieco dalej, za gęstym zagajnikiem szarpanych wiatrem drzew, znajdował się dom Garretów. Stali tam teraz na werandzie, przerażeni i zziębnięci, choć wdzięczni oddziałowi kawalerii za wyswobodzenie z rąk porywacza.

Niewiele było widać przez ścianę deszczu. Nie było sensu brać pochodni, a dowódca zakazał używania lamp naftowych. Niedoszli porywacze z pewnością byli uzbrojeni, a w tych ciemnościach każde źródło światła stanowiło dla nich doskonały cel.

Kapitan Lawrence Daniels kucnął, kryjąc się za wyprzęgniętym powozem. Z tego miejsca mógł obserwować wielkie, drewniane wrota i znajdujący się powyżej lufcik.

Miał też w zasięgu głosu swoich ludzi, którzy obstawiali boczne ściany stodoły i jej tył. John Wilkes Booth i pomagający mu David Herold nie mieli żadnej drogi ucieczki.

– Oddadzą nam przysługę, jeśli się tam zastrzelą lub powieszą. – Przetarł twarz z wody i odciągnął kurek rewolweru.

Szeroki płaszcz, który miał na ramionach, ciążył mu niemożebnie.

– Nie mamy na co liczyć – odparł uzbrojony w karabin kawalerzysta, który wyrzwał zza wielkiego koła powozu. – To ludzie bez honoru, sir.

Ich rozmowę przerwało poruszenie wewnątrz stodoły. Najpierw dało się słyszeć podniesione głosy, po czym ktoś uderzył od środka we wrota, uchylając je nieco. Wywołało to natychmiastową reakcję żołnierzy, którzy wycelowali w tamtą stronę broń.

– Nie strzelać! – odezwał się piskliwy głos. – Poddaję się.

Spomiędzy wrót stodoły wychynał średniego wzrostu człowiek w powycieranej kurtce. Trzymał ręce wysoko nad głową i, nie zważając na ulewny deszcz, postąpił parę kroków przed siebie.

– To Herold. – Kapitan Daniels rozpoznał jednego ze spiskowców.

– Wygląda na przerażonego – odparł kawalerzysta, celując prosto w serce mężczyzny.

Kapitan ścisnął mocniej rękojeść rewolweru. Wychylił się zza wozu, tak by widzieć Herolda, lecz by nie wystawiać więcej niż czubek głowy.

– Idź przed siebie z rękoma uniesionymi wysoko! – zagrzmał. – Jeżeli będziesz coś kombinował, naszpikujemy cię ołowiem.

Zdjęty trwogą mężczyzna usłuchał rozkazu i krok za krokiem brodził w coraz luźniejszym błocie. Wyglądał, jakby nogi miały się zaraz pod nim ugiąć, lecz szedł dalej.

Burza zdawała się przechodzić tuż nad farmą Garretów. Uderzające co chwila pioruny rozświetlały okolicę upiornym blaskiem. Ich porażające grzmoty wstrząsały mężczyznami, którzy, choć przyzwyczajeni do salw z armat i karabinów, nie potrafili wyzbyć się strachu przed niepowstrzymanymi siłami natury.

Kapitan Daniels czuł narastający niepokój. Już tak miał, że tuż przed bitwą coś kotłowało się w nim. Twierdził, że to intuicja, bo zawsze potrafił przewidzieć, kiedy dojdzie do walki, kiedy padną trupy. Tak i teraz coś łaskotało go od środka w klatce piersiowej, zupełnie jakby jego serce pochwyciły macki przerażonej ośmiornicy.

Herold już docierał do dwóch żołnierzy skrytych między drzewami, dokładnie naprzeciw wejścia do stodoły. Wtedy właśnie padł strzał.

Trudno było powiedzieć, kto pierwszy otworzył ogień – kawalerzyści czy skryty na piętrze stodoły Booth. Po chwili nie miało to już znaczenia, ponieważ rozpętało się najprawdziwsze piekło.

Podczas gdy zamachowiec ostrzeliwał się z lufcika, spłoszeni hukiem gromów kawalerzyści rozpoczęli kanonadę. W tym czasie Herold został pochwycony przez jednego z żołnierzy. Jego towarzysz padł na ziemię z dziurą w klatce piersiowej.

Wściekły kapitan Daniels wrzeszczał na swoich ludzi, lecz choć zdzierał gardło, nie potrafił ich uspokoić. Znowu przetarł twarz, bo ulewny deszcz zalewał mu oczy. Zaklął pod nosem.

Coś było nie tak. W stodole powinien zostać już tylko jeden człowiek, a miało się wrażenie, że jest tam ich kilku. Co chwila z cienia wyłaniała się lufa i błyskała ogniem. Dookoła sypały się drzazgi roznoszonych na strzepy ścian, lecz Booth nadal się ostrzeliwał.

Dowódca kawalerzystów wychylił się zza wozu, by wymierzyć w miejsce, gdzie widział rozbłysk, lecz obok ucha śmignęła mu kula wystrzelona wprost w niego. Schował się czym prędzej, klnąc, na czym świat stoi. Kiedy towarzyszący mu żołnierz oberwał w ramię, zaczął zastanawiać się, czy aby Booth nie używa jakichś diabelskich sztuczek. Nikt nie potrafiłby tak celnie strzelać w takiej ulewie.

Kapitan nie należał do ludzi trwoźnych, lecz wydarzenia tej nocy zaczęły go prawdziwie przerażać. Nie raz już do niego strzelano, lecz dziś było inaczej. Dziś wyczuwał w powietrzu coś złego. Coś, co odbierało mu siły i wolę do działania, a całe doświadczenie wojskowe sprowadzało do chaosu myśli i decyzji niemożliwych do podjęcia.

Nagle od strony domu Garretów nadjechał jeździec w czerni. Wypadł z zagajnika niczym najprawdziwszy upiór skąpany w białym świetle piorunów, pokrzywionymi szponami drących niebo. Zeskoczył z konia tuż przed stodołą, zupełnie niepomny kul świszczących dookoła. Choć był ich cały rój, żadna nie zdołała go dosięgnąć.

Nie wyciągnął broni ani nie ruszył się z miejsca. Spojrzał tylko wysoko w niebo, a to, co się za chwilę stało, sprawiło, że serce kapitana Danielsa na chwilę się zatrzymało. Z chmur bowiem spadł piorun, który uderzył w dach stodoły, dokładnie nad lufcikiem.

Grzmot niemal ogłuszył zebranych i natychmiast przerwał kanonadę. Zaśmierdziało ozonem, a dookoła zaczęło spadać mrowie połamanych desek.

Wykazując się największą przytomnością, kapitan znów wychylił się zza wozu. Zobaczył Johna Wilkesa Bootha oświetlonego łuną pożaru roznieconego piorunem.

Stał w lufciku całkowicie odsłonięty, unosił broń, by strzelić w stronę ubranego w czern przybysza.

Daniels zareagował instynktownie. Przymierzył i wypalił z rewolweru. Ta chwila trwała dla niego całą wieczność. Patrzył, jak jego kula mknęła przez ulewny deszcz, trafiła Bootha w szyję i w fontannie krwi wyszła z drugiej strony. Widział, jak zamachowiec chwieje się, po czym spada tuż pod nogi nieznajomego.

Nie tracąc czasu, kapitan zerwał się i podbiegł do swojej ofiary. Zobaczył ubranego w czern jeźdźca, jak klęczy w błocie tuż przy zabójcy prezydenta. Mężczyzna przeszukiwał jego kieszenie, szarpał go, jakby próbował z niego wycisnąć ostatnie słowa, lecz z ust Bootha wydobywała się jedynie krwawa piana.

– Dokonało się – Daniels sapnął z ulgą.

Mężczyzna w czerni uniósł wzrok. Na jego pociągłej twarzy malował się wyraz bezsilności graniczący z rozpaczą.

– Nawet nie wie pan, jak bardzo się myli, kapitanie...





# ROZDZIAŁ I

## JEDEN RUDY PECHOWIEC

*...choć żaden z nas nie dał rady tego dostrzec na pierwszy rzut oka, ten rudy gnojek z pewnością miał coś w sobie. Może była to swojego rodzaju niewinność i szczeniacka głupota, którą tak łatwo było pomylić z naiwnością, a może wpojony przez matkę nieboszczkę zestaw ludzkich odruchów połączonych z podziwem dla bohaterskich ideałów pochłanianych w trakcie lektur romantycznych historyjek o awanturkach z Zachodu. Niezaprzeczalne było, że z czasem Morris M. Swithen okazał się człowiekiem zgoła innym, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać... z nim samym łącznie.*

*Pamiętam, jak wpadłem na jego trop. Do tej pory nie mogę się nadziwić, czemu nikt nie złożył w całość kwestii dotyczącej młodego szulera o niezwyklej intuicji do kart i dziwnych zniknięć koni. Mnie sztuka ta się udała, a przeczucie podpowiadające, iż może być to człowiek, którego szukam, nie było nawet odrobinę bliskie faktu, iż był to człowiek, którego ze wszech miar potrzebowałem...*

Clive K. Phillips, *Dzienniki zebrane*

Wieczorem w saloonie słychać było gwar, śmiechy i dźwięk tłuczonego szkła. W sali unosił się ostry zapach tytoniu, alkoholu i końskiego potu, który tak mocno przyłgnał do ludzi, że zagłuszał ich naturalną woń spracowanego, uczciwie myjącego się raz w tygodniu mężczyzny. Rozwalony przy jednym ze stolików lokalny poganiacz grał

na harmonijce jedynie sobie znaną melodię, która o wiele lepiej pasowała do ogniska na prerii niż do zacnego przybytku jak ten.

Florence należało do tych miejscin, w których można było zatrzymać się na dłużej, ale mało kto miał szansę umrzeć tam ze starości. Znajdowało się na skrzyżowaniu kilku szlaków, którymi spędzano bydło i konie, a także transportowano rudy miedzi oraz srebra, wydobywane w nielicznych wówczas kopalniach Teksasu. Co więcej, dochodziła tu kolej szynowa, co zawsze gwarantowało świeży dopływ głupców chętnych utopić kilka dolarów w podłej whiskey, zgubić je pomiędzy napuchniętymi cycami lokalnych dystrybutek syfilisu, no i oczywiście stracić je podczas gry w karty. Trzeba było tylko uważać na poganiaczy bydła, bo im zawsze tylko burdy w głowie. Morris rezydował tu już od kilku tygodni, a wciąż oglądał się przez ramię w obawie przed stróżami prawa, którzy mogli podążać jego tropem.

– Masz klientów, dzieciaku. – Opasły barman z fantazyjnie zakręconym wąsem i jeszcze bardziej fantazyjnym zaczesem chroniącym łysinę dwoił się i troił, byleby utrzymać gości przy stolikach. Ściśnięty bielusieńkim kołnierzykiem i opatulony w biały fartuch bardziej przywodził na myśl eleganckiego rzeźnika niż właściciela saloonu.

Morris skinął mu głową, lecz zanim przysiadł się do stolika przeznaczonego do gry w pokera, zwyczajowo wspiął się na stołek przy barze i zamówił czarną kawę. Niezbyt często sięgał po alkohol, a na pewno nie przed grą w karty. Nie chodziło o jego stosunkowo młody wiek i brak wprawy w spożywaniu napojów wysokowych. Starsi bracia, jak przystało na zadziorów wychowywanych na ranczo, pili i palili znacznie wcześniej niż on. Z perspektywy czasu wiedział, że, mając te siedemnaście wiosen, zobaczył już więcej świata niż oni i z pewnością przeszkrobał znacznie więcej niż wszyscy czterej razem wzięci, wciąż zapewne kiszący się w stajni ojca. Całkiem nieźle jak na rudego grubaska, z którego wszyscy darli łacha. Czasami nawet zastanawiał się, czy jeszcze o nim pamiętają, czy wspomną choć słowem?

Barman wcisnął się za bar, odstawił puste kufle do mycia i zajął się napełnianiem kolejnych. Jego dwie córki, bliźniaczki – korpulentne młode damy o obfitych kształtach wylewających się z ciasnych dekolców, zadziwiająco sprawnie śmigwały między stolikami, chichotem odpowiadając na niewyszukane zaczepki klienteli i okazjonalnego klapsa w obfite pośladki.

– Co to za jedni? – spytał Morris, siorbiąc kawę gęstą jak błoto.

Od zawsze uważał, że jest coś magicznego w tasowaniu kart. Zachwycała go nie tylko sama sztuka wymagająca zręczności, ale choćby tak ulotne szczegóły, jak dźwięk

ocierających o siebie kolorowych kartoników czy ich faktura wyczuwalna pod opuszkami palców. Dopóki były one w ruchu, ledwo co uchwytnie dla oka, szaleńczo zmieniały swoje miejsce i kolejność, tasujący miał do czynienia z niemal czystym chaosem. Zupełnie jakby w tej konkretnej chwili dotykał jednej z najprawdziwszych tajemnic wszechświata. Podobno byli tacy, którzy potrafili kontrolować kolejność kart w talii, liczyć je i tak układać, aby im pasowały. Tak się składa, że Morris do nich nie należał. Wolał zdawać się na ślepy traf, zakładając, że przysłowiowe szczęście wynagrodzi mu jego kompletny brak w sferze miłości.

Odsunął palcem krawędź melonika zachodzącego na oczy, co oczywiście wyswobodziło niesforny kosmyk łaskoczący go w czoło. Nigdy nie rozumiał, dlaczego jako jedyny z braci miał ten kolor włosów, ale w sumie przyzwyczyił się, że jako najmłodszy zawsze był traktowany jak czarna owca... A w tym wypadku raczej ryża.

– Woźnice – odparł barman, spoglądając spode łba na salę. – Znam ich, wpadają tu co parę tygodni. Obsługują dylizans kursujący z Dallas aż do Roswell. Lubią grać o średnie i niskie stawki, nie piją dużo i raczej nie szukają zwady. Już im o tobie napomknąłem.

– Mam nadzieję, że zachęcająco. – Morris uśmiechnął się, dostrzegając ciekawskie spojrzenia woźniców, odbijające się w przymglonym lustrze umieszczonym za półkami z alkoholem.

– Jak zwykle: jesteś młody, ale nieźle grasz w karty, no i rzecz jasna, nie oszukujesz. To powinno wystarczyć na zachętę, zwłaszcza że to najprawdziwsza prawda. Tyle, że... poważnie rozważ kwestię oszukiwania, dzieciaku, bo wiesz mi za noclegi już dwanaście dolarów. Właściwie to nie, idź tam i ich zwyczajnie orznij! Jak tak dalej pójdzie, to będę musiał ulec Marcie i pozwolić, żebyś ją rozdziewiczyl, a nie chcę mieć nieroba za zięcia.

Morris wzdrygnął się na myśl o córce barmana. Z trwogą spostrzegł, jak krzątająca się między stolikami pulchna niewiasta puszcza mu zalotnie oczko i uśmiecha się niepełnym użębieniem.

– Ten statek już dawno odpłynął – mruknął zniesmaczony.

– Co mówiłeś?

– Powiedziałem, że mam dobre przeczucie. Dzisiaj karty będą mi sprzyjały, a ty odzyskasz swoje pieniądze.

Barman nachylił się do Morrisa, świdrując go spojrzeniem przekrwionych oczu. Bliskość jego tłustego nosa i cuchnącego tytoniem oddechu brzydziła chłopaka nie

bardziej niż wizja nocy z jego córką.

– Lubię cię, dzieciaku, ale wszystko ma swoje granice. Myślisz, że ja głupi jestem? Myślisz, że nie wiem o koniu, na którym tu przyjechałeś? Idź tam i zrób, co do ciebie należy. Oszukuj, jeżeli będzie trzeba, ale dzisiaj masz się odkuć!

– Ja nigdy nie oszukuję – jęknął z wyrzutem Morris. – Ojciec...

– Tak, tak. Znam tę śpiewkę. Ojciec mówił ci, że masz dar, wyczucie jakieś. Dobra, dobra. Ruszaj, do jasnej cholery, i już mnie nie denerwuj, bo dostanę zgagi.

Chłopak zeskoczył ze stołka i poprawił bordową kamizelkę, opinającą się na koszuli kupionej za przystępną cenę jakieś dwa miasta temu. Schludny wygląd był ważny w tej profesji, ponieważ jasno sugerował, że pomimo młodego wieku szuler ma co przegrać. Co zaś tyczyło się konia, to barman słusznie domyślał się jego pochodzenia. Morris ukradł go pewnemu cwaniakowi, który próbował grać znaczonymi kartami, a oskarżony zrobił się nadzwyczaj bitny. Kradzież wierzchowca wraz z siodłem była wystarczającą karą za napuchnięte oko i przestawioną szczękę, lecz, w odróżnieniu od pobicia, niestety stanowiła również przestępstwo powszechnie karane strykiem.

Siedzący przy stoliku woźnice wyglądali jak wycięci z tego samego szablonu. Zarośnięci, szczerbaci, ze skupionym wzrokiem poźółkłych oczu niewyrażających zbyt wiele myśli. Szczegóły, które ich różniły, to przede wszystkim wzrost i nosy. Wysoki i chudy miał nos skrzywiony w prawo, podczas gdy niski i krępy – w lewo. W jakiś sposób imiona też nosili podobne: Billy Joe i Jerry Lee.

Nie trzeba było ich zachęcać do partyjki pokera. Pomijając odstręczającą aparycję wsobnie chowanych wieśniaków, musieli posiadać nieliczne doświadczenie w grze, zapewne na każdym postoju siadając do kart z kim tylko się dało. Mieli nawet wypracowane sposoby. Od czasu do czasu łypali po sobie, zupełnie jakby bez słów wymieniali informacje. Tu podkręcenie tłustego wąsa, tam splunięcie, uniesiona brew lub sugestywne chrząknięcie z przełknięciem flegmy. Ich język gestów zdawał się widoczny jak na dłoni, choć Morris za cholerę nie potrafił go rozgryźć. Możliwe, że był to jakiś wieśniacki dialekt.

Osobno nie mieli zbyt wiele pieniędzy, ale razem stanowili całkiem przyzwoity kąsek, który miał szansę spłacić, a przynajmniej nieco ostudzić emocje barmana. Z początku szło mu gładko, lecz z każdą chwilą Morris coraz bardziej zdawał sobie sprawę, że woźnice byli niegorszymi pokerzystami. Nie minęły trzy rozdania, a wiedział już, że będzie musiał nieźle się napocić, aby przez przypadek samemu nie dać się oskubać.

– Kolor – uśmiechnął się triumfalnie. Pozwolił, by go sprawdzono, lecz na tym etapie doskonale wiedział, że ma dobrą kartę.

– A niech mnie – ten wyższy, Jerry Lee, gwizdnął przeciągle i złożył karty, nawet nie trudząc się, by pokazać, co miał w ręku. – Jakby mnie kulawy muł kopnął w słabiznę.

*Jerry Lee* – Morris uśmiechnął się do siebie. Miał kiedyś psa o tym imieniu.

Billy Joe przeżuł w zębach tytoń i splunął tuż obok kompletnie suchej spluwaczki ustawionej pod stolikiem. Mrużąc wodniste oczy, zerknął w karty, potem na Morrisa. Nieodgadniony wyraz jego pomarszczonej twarzy zmienił się z napięcia w absolutną pewność siebie sugerującą, że wpadł na genialny pomysł. Przygryzając język z namaszczeniem, zaczął wykladać karty na stół, w kolejności od najmniejszej do największej:

– Ssstriiit. Przegrałeś, synku.

Morris ściągnął brwi i obrzucił woźnicę pełnym niesmaku spojrzeniem:

– Mylisz się pan. Strit nie przebija koloru.

– Oczywiście, że przebija.

Najwyraźniej doskonale wiedząc, co się święci, Jerry Lee zaczął nerwowo kręcić się na krześle, lypiąc niepewnie to na kolegę, to na Morrisa.

– Nie według zasad, które ja znam – odparł równie pewny siebie Morris. – Kolor... to kolor. Mniejsza szansa na wyciągnięcie go niż pięciu kart, które ułożysz w kolejności.

– Nazywasz mnie kłamcą?

Morris sapnął i pokręcił głową. Zawsze tak było, że jakiś półgłówek musiał sięgnąć po tę cholerną gadkę, niechybnie zwiastującą, że zaraz ktoś dostanie po ryju. Problem polegał na tym, że oprócz opiekowania się końmi i gry w karty, Morris nie miał zbytniego pojęcia o niczym więcej, a w szczególności o walce. Kiedyś strzelał z fuzji do królików i tyle. Lubił cholerne futrzaki, więc intencjonalnie chybiał, żeby je spłoszyć. Doświadczenie w bijatyce miał tylko takie, jakie zaserwowali mu bracia, czyli częste i tęgie lanie z byle powodu. Uczyniło go to cokolwiek wytrzymałym, ale w życiu na niewiele jeszcze się zdało.

– Nikogo nie nazwałem kłamcą. – Postanowił nie irytować woźnicy. – Możliwe, że inaczej nas uczono. Może to kwestia lokalnych zasad... Skąd pan właściwie jesteś?

– Nie twoja sprawa, rudzielcu. Zasady są jedne i mówią, że to ja wygrałem. – Billy Joe wyciągnął nóż z buta i wbił go w stół.

Błyszczące ostrze zadziało na Morrisa jak kubek zimnej wody wylany na głowę. Podobne sytuacje miały już miejsce, ale zwykle graczy było wtedy więcej, więc rozchodziło się po kościach. Teraz zaś miał do wyboru: prowokować dalej tego bezczelnego przygłupa lub oddać pieniądze, które mu się nie należały, co samo w sobie było przyzwoleniem, by przy następnej okazji również dać się zastraszyć i w rezultacie orznać.

Wstrzymał oddech, świadomy, że od tego, co za chwilę powie, będzie zależał jego dobrostan zarówno tego wieczora, jak również być może w kilku kolejnych dniach. Gdzieś na skraju pola widzenia, niczym spocone fatum, mignęła mu pulchna córka barmana. Już miał otworzyć usta, lecz rozproszył go dźwięk przebijający się przez zgiełek saloonu – dźwięczenie ostróg. Niemal w tym samym momencie ktoś przysunął sobie krzesło i usiadł obok niego.

Ruchy nieznajomego były powolne i sztywne niczym ruchy paralityka. Rozsiadł się przy stoliku jak podróżnik, który po kilku dniach jazdy konnej w końcu znalazł coś, na czym można usiąść, a co w żaden sposób nie przypominało siodła. Pod szerokim rondem czarnego kapelusza kryła się chuda twarz o ostrych rysach, pokryta kilkudniową szczeciną. Ciemne oczy świdrowały grających, a skryte w rękawiczkach dłonie poruszały się z gracją. Czarna koszula nosiła wyraźne ślady pyłu z drogi, podobnie jak przykrywająca ją ciemna kamizelka. Ze swojej perspektywy Morris miał doskonały ogląd na dwa potężne colty o grawerowanych rękojeściach oraz pas pełen błyszczącej amunicji. Serce zabiło mu mocniej. Najprawdziwszy rewolwerowiec!

Nieznajomy przyniósł dla siebie butelkę whiskey razem ze szklanką. Korek wyjął zadziwiająco białymi zębami, polał sobie od serca i wychylił jednym haustem. Wyciągnął papierosa, językiem zwilżył bibułkę i wsadził go w kącik ust.

– Ma któryś z was zapalnik? – rzucił, klepiąc się po kieszeniach. – Moje gdzieś się zapodziały.

Niższy woźnica sięgnął do kurtki i rzucił nieznajomemu zapalnik. Ten podniósł ją, odpalił od blatu i przypalił papierosa. Wokoło rozniósł się duszący zapach mocnego, południowego tytoniu.

– Dzięki, kolego. Tego było mi trzeba. Skoro tak miło zaczęliśmy znajomość, to powiem tylko, że dzieciak na pewno nie chce cię nazwać kłamcą... i ja w sumie też bym nie chciał. Więc może przemyśl jeszcze raz, czy żeś się przypadkiem nie przejęczył, bo dobrze wiesz, że kolor przebija strita.

Billy Joe poczerwieniał z gniewu i mocniej zacisnął rękę na wbitym w stół nożu.

– Żesz ty...

– Nie irytuj się tak, kolego, i schowaj ten kozik, bo jeszcze się potniesz. – Spokojny głos rewolwerowca wibrował w powietrzu, niosąc oczywistą groźbę. – Albo grasz, albo szuraj stąd czym prędzej, bo psujesz atmosferę.

Oczy Morrisa robiły się coraz większe. Wlepił je w nieznanomego, niedowierzając w to, co właśnie usłyszał. Głos tego człowieka był mroczny i głęboki niczym studnia skrywająca nieboszczyka, a jego aparycja nakazywała szczególną ostrożność. Nawet pozbawiony broni wyglądałby jak prawa ręka kostuchy. Może jej zastępca.

Spojrzał pytająco na woźnicę nadal zastanawiającego się, czy ma większą ochotę na bójkę, czy na kolejną partyjkę pokera. Ten zaś dosyć szybko zdał sobie sprawę, że bliźniacze colty przy pasie rewolwerowca oznaczały eskalację, która mogła być zakończona potężną dziurą w piersi.

– Wygrałeś... rudzielcu... – Billy Joe wydukał niechętnie. – Bierz pieniądze i rozdawaj karty. Zaraz cię zmieszam z gliną.

– Chyba mówi się „zmieszam z błotem”, Billy Joe – pełnym troski głosem odezwał się Jerry Lee.

Niski woźnica zrobił się ciemnopurpurowy, jakby miał zaraz wybuchnąć. Zamachnął się i pacnął kolegę w potylicę.

– Zawrzyj jadaczkę!

Morris z uśmiechem sięgnął po pieniądze rozłożone na stole. W tym czasie rewolwerowiec znowu polał sobie alkoholu i wychylił całość duszkiem. Przetarł usta czerwoną chustą obwiązaną wokół smukłej, ogorzałej od słońca szyi.

Rozdając karty, chłopak zatrzymał się przed swoim niespodziewanym wybawcą.

– Przyłącza się pan, panie...

– Phillips. Clive Phillips. Tak się składa, że mam ochotę na partyjkę i z chęcią z panami zagram.

W ten sposób rozpoczęła się najtrudniejsza rozgrywka, w jakiej Morris miał okazję uczestniczyć. Clive Phillips grał w sposób prosty, acz zdecydowany. Nie zdejmował kapelusza, prawie nie unosił wzroku, a jego oczy wwiercały się w karty zupełnie jakby chciał je spopielić siłą woli lub zmusić figury, żeby pozamieniały się miejscami. Za każdym razem, kiedy przeciwnicy szacowali, co mają na ręku, a co jest na stole, spoglądał na nich niby ukradkiem, jakby notował sobie coś w pamięci. Przed wszystkim grał tak, żeby nie stracić, a jednak szło mu całkiem niezle i ani razu nie dał się zaskoczyć ani nabrać na bluff. Zupełnie jakby doskonale wiedział, co każdy z graczy w danej chwili myśli.

Sekretem Morrisa była wnikliwa obserwacja. Tak samo jak potrafił trafnie przewidzieć, co czuje koń, tak poznał sposoby, by odczytać emocje i intencje ludzi. Niestety próby obserwacji przyruchów Phillipsa spełzły na niczym, ponieważ ten zwyczajnie ich nie miał. Kiedy się nie poruszał, wyglądał jak jeden z tych obrazów uwiecznionych na rycinie czy fotografii. Żywy, oddychający, a jakby go tam wcale nie było. Nie ryzykował, prawie nie blefował, lecz kiedy to robił, zawsze wygrywał najwyższe stawki. W ten sposób powoli i konsekwentnie ogrywał każdego przy stoliku.

Ciągle mając na uwadze, że rewolwerowiec uratował mu skórę, lecz pragnąc również nieco go zdekoncentrować, Morris postanowił zagadnąć:

- Czym się pan zajmuje, panie Phillips?
- Różnymi rzeczami – nie odrywając oczu od kart, Clive odparł od niechcienia.
- A konkretnie?

Bracia nazywali to „cholerną upierdliwością”, a Morris konsekwencją – ważne, że działało. Wzrok Clive’a sprawił, że chłopak poczuł, jakby stado lodowatych mrówek przebiegło mu po plecach.

- A konkretnie, to jestem pisarzem.

Gracze spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

- Ale... że w wojsku jest pan pisarzem?
- Nie – Clive odparł spokojnie. – Książki piszę. Właśnie zbieram materiał do jednej.

Morris zamrugnął urzeczony. Phillips nie pasował do jego wyobrażenia pisarza – człowieka z pewnością czytanego, o szwankującym wzroku i mizernej, zdradzającej troski posturze. Tak właśnie prezentował się wielebny Peele z jego rodzinnego miasteczka czy Thomas Carpenter, który pracował w urzędzie pocztowym, choć ten ostatni nie należał do osób mizernych, za to wyróżniał się kręconymi włosami koloru miedzi i fizjonomią przypominającą bułkę. Natomiast ten tu był pierwszym pisarzem, którego Morris spotkał, a nosił się, jakby nie tyle wyskoczył wprost z kart książki awanturniczej, co z szalonego koszmaru, który przyśnił się komuś, kto zaczytywał się w powieściach o rewolwerowcach.

- Pisarzem... – Morris przełknął ślinę. – A o czym pan pisze?

Clive przyjął rozdane karty, przyjrzał im się krytycznie. Zerknął również na innych graczy, jak zwykł to czynić, po czym odłożył je na stół niezadowolony.

- O rzeczach, które sprawiają, że będziesz się bał ciemności, chłopcze – po raz pierwszy na jego pociągłej twarzy pojawiło się coś na kształt upiornego uśmiechu.



– Czyli? – Morris nie wierzył, że pytanie samo wyskoczyło mu z ust. Czy naprawdę chciał znać szczegóły, czego szuka, co widział i co opisuje ten niezwykle człowiek?

– Interesują mnie opowieści niesamowite. Zbieram takie i spisuję. Świat jest pełen fascynujących i strasznych tajemnic, zdolnych doprowadzić niemal każdego do szaleństwa. Chcę, żeby ludzie je poznali.

– No, ale skoro coś jest tajemnicą... to czy nie zostało nią bez powodu? Czy nie powinno nią pozostać?

Clive wzruszył ramionami i pociągnął łyk whiskey. Oparł się nieco wygodniej. Wywód, do którego za chwilę przeszedł, przeraził Morrisa i zmroził do szpiku kości.

– Wierzę, że są tajemnice, które muszą zostać ujawnione, chłopcze. Są niebezpieczeństwa, które czyhają na nas tam, gdzie nikt nie patrzy lub boi się spojrzeć, oraz prawdy ukrywane przez siły, które wołają, byśmy żyli niczym te konie z klapkami na oczach. Zrozumiałem to już dawno temu, ale dotarło to do mnie tak naprawdę, gdy tropiłem zbiega w lasach Quachita niedaleko Little Rock...

– Jest pan też łowcą nagród? – Morris ugryzł się w język, widząc zniesmaczone spojrzenie rozmówcy. – Osz kurna, przepraszam...

Słyszając to, Billy Joe się ożywił.

– Zaraz, zaraz. Ja chyba cię kojarzę. Clive Phillips, łowca nagród. Jesteś tym jankeskim doktorem, co zostawił miasto i zajął się w końcu męską robotą.

Clive nieszczególnie przejął się uwagą ani tym, że woźnica na tyle głośno wyraził swoje zdumienie, że usłyszała go połowa sali. Zamiast odpowiedzieć czy zwrócić uwagę na nagłe przycichnięcie gwaru, podniósł swoje karty, pomyślał chwilę i jak gdyby nigdy nic kontynuował:

– Po co w innym przypadku ścigałbym zbiega, co? No więc, tropiłem go po lasach, naprawdę paskudny typ. Człowiek z gatunku tych, dla których ludzkie życie nie ma znaczenia, a oni sami nie posiadają za grosz honoru. Ci, którzy go spotkali, mówili, że bratał się z siłami nieczystymi, ja zaś wiem, że...

– Jakimi? – Morris zrobił wielkie oczy, po czym skulił się, jakby chciał wleźć pod stół. Miał ochotę zatkać sobie usta dłońmi, byleby więcej nie przerywać Phillipsowi.

– Nieczystymi, chłopcze. Szczęśliwcy, mogący się pochwalić przeżyciem spotkania z nim, mają w manierze mówić, że wielbił i wzywał na pomoc samego szatana. Dla mnie mógłby nawet czcić chińskie smoki, azteckich bogów czy przedwieczne potwory z głębin mórz i oceanów. Ciekawe, przyznaję, ale przestaje to mieć dla mnie większe znaczenie, jeżeli ktoś faktycznie jest nikczemnikiem. Ja wiem, że przez to, co robił,

ludzie ginęli bez śladu. Samo jego spojrzenie potrafi zmrozić człowieka i zatrzymać go w miejscu. Używa on tajemnych zaklęć i szamańskich rytuałów. Choć służą mu ludzie, osobiście widziałem duchy oraz nieziemskie stwory, które wzywał na pomoc, i czułem jego siłę. Mówił, że przeżył już dwa ludzkie żywoty i zamierza żyć wielokrotnie więcej niż najstarszy człowiek na świecie. Co do jednego, muszę się z nim zgodzić. Powtarzał, że wiedza to potęga i trzeba jej strzec.

Billy Joe walnął pięścią w stół, omal nie przyprawiając Morrisa o zawał serca.

– Hej, rudzielcu! Gramy czy nie? Twoja kolej, wchodzisz czy pasujesz?

– Wchodzę – chłopak rzucił bez zastanowienia i cisnął na stół pieniądze. – I co, panie Phillips? Jak pan sobie z nim poradził?

Clive wzruszył ramionami. Mówił dalej, dopiero gdy podbił stawkę:

– Nie poradziłem. Za pierwszym razem, kiedy na niego polowałem, pochwycił mnie, więził, ale nie zabił. Dziwne, jak na kłamcę i mordercę, ale kto tam ich zrozumie. Widziałem wtedy i słyszałem rzeczy, od których młody człowiek taki jak ty mógłby osiwieć.

Morris pomyślał, że wolałby być siwy niż rudy, ale powstrzymał się od komentarza.

– I jak żeś pan uciekł? – zainteresował się Jerry Lee. Słyszając to, drugi woźnica jęknął i przewrócił oczami w zniecierpliwieniu.

– Miejscowy szeryf mnie uratował, świeć Panie nad jego duszą i takie tam... Był tam ze mną w niewoli. Tak jak ja, patrzył i słuchał, lecz powoli tracił zmysły podczas niekończących się katuszy. Poświęcił życie, żebym mógł uciec. Od tamtej pory tropiłem drania od miasta do miasta, tylko ze względu na niego zostając łowcą nagród. A żeby, rzecz jasna, opłacić moje wysiłki w pojmaniu go. Kiedy wpadłem na jego ślad w Quachita i w końcu zasadziłem się na jego obóz, zaatakował mnie niedźwiedź. Bestia to była ogromna i zanim ją ubiłem, pokiereszowała mnie solidnie.

– Zastrzelił go pan z rewolwerów? – Morris wskazał colty Phillipsa.

– Nie. Zasięgnąłem go tym nożem – Clive sięgnął do pochwy umocowanej u pasa, tuż za rewolwerem na lewym biodrze. Wyciągnął ostrze długie na piętnaście cali, srebrzyste, którego płaz ozdobiły przedziwne, przypominające pismo wzory.

– Bzdurzysz pan – parsknął pogardliwie Billy Joe. – Słyszałem już różne przechwałki, ale z nożem na niedźwiedzia?

Zamiast odpowiedzieć, Clive odsunął chustę zasłaniającą szyję. Skrywała ona potężne blizny biegnące od lewego ucha do kołnierzyka koszuli, a dalej zapewne ku

klatce piersiowej. Widząc to, woźnica gwizdnął przeciągle i przestał podważać słowa Phillipsa.

– Byłbym tam wyzionął ducha, ale znaleźli mnie dobrzy ludzie. Drwal i jego żona. Mieszkali nieopodal. Zabrali do siebie i opatrzyli. Traktowali bardzo dobrze, jak członka rodziny. Zaszylili rany, karmili, poili. Podawali zioła i zmieniali okłady, żeby spędzić gorączkę. Tylko dzięki nim wydobrałem. Niestety, nie minęło parę dni, a w ich spokojnym dotąd domu zaczęły dziać się dziwne rzeczy.

– Jakie? – Morris odłożył karty na stół z błyskiem fascynacji w oczach. Znowu stał się małym chłopcem, któremu bracia opowiadali straszne historie przy ognisku. Tym, który z wypiekami na twarzy czytał kolejne odcinki o odważnych i zuchwałych.

– Dziwne, powiadam. Państwo Tappert byli młodzi, pełni życia i radości. Niewiele starsi niż ty, chłopcze. Może po dwadzieścia wiosen mieli. Pamiętam, że wieczorami zabawiali mnie rozmową, a pierwszego dnia, kiedy mogłem wstać z łóżka, zaprosili mnie, żebym zjadł z nimi kolację. Rozmawialiśmy wtedy długo, jak starzy znajomi, niemal jak rodzina. Następnego ranka wyszedłem się umyć i zauważyłem, że pan Tappert wygląda jakoś inaczej. Nawet jego żona dworowała, że w młodym wieku robią mu się zmarszczki od śmiechu. Ale następnego dnia zmarszczki się pogłębiły, a na jego skroniach pojawiły się pierwsze siwe włosy... Zastanawialiśmy się, czy to jaka choroba, ale on zapewniał, że czuje się dobrze, tylko kolana go trochę bolały. Tego dnia pojechali do miasta, do lekarza. Kiedy wrócili, mówili, że doktor nie wie, co to może być, ale zalecał odpoczynek. To, co zobaczyliśmy nazajutrz, wprawilo nas w najprawdziwsze przerażenie. Pan Tappert, ten młody dotąd człowiek, był już całkiem siwy, ręce mu się trzęsły, skóra pomarszczyła jak na starej pomarańczy, a palce powyginał artretyzm. Włosy przerzedziły się, a w nocy wypadły wszystkie zęby. Żona poznała go tylko po oczach, była zdruzgotana. Lamentowała, nie wiedząc, co się dzieje, ani jak temu zaradzić. Modliła się, ale bez skutku... Następnego dnia zaś pana Tapperta już nie było.

Przy stole zapadła cisza. Pokerzyści patrzyli na Clive'a w totalnym osłupieniu, niepomiernie na radosne krzyki i spontaniczne wybuchy śmiechu na sali. Głusi na dźwięki harmonijki i nawoływania barmana oraz pisk podszczypanych kelnerów.

Morris zorientował się, że braknie mu powietrza. Wziął głęboki wdech.

– I co było dalej?

– Nic. Niewiele mogłem zrobić. Zostawiłem biedną wdowę i poszedłem w swoją stronę. Po tym wszystkim uznałem, że to opiszę oraz wszystko inne, co napotkam, a co okaże się dziwne, niesamowite i będzie wykraczało poza ludzkie pojmowanie. Ale

przede wszystkim poprzysiągłem sobie, że znajdę tego szubrawca, który sprowadzał na ludzi taki los, i położę kres jego szaleństwu.

– Myśli pan, że to on odpowiada za zniknięcie pana Tapperta?

Clive zasepił się na chwilę. Nalał sobie alkoholu i wypił duszkiem:

– Nawet jeżeli go tam nie było, to uważam, że to jego wina.

Wrócili do gry. Przez kolejne kilka rozdań jedynie sucho deklarowali stawki. Żaden nie odważył się podnieść wzroku sponad kart. Nawet sam Phillips zaprzestał zerkania na przeciwników, jakby wyobrażenie owych strasznych wydarzeń ciążyło mu na sercu. Kiedy opadło napięcie, niespodziewanie głos zabrał Billy Joe:

– Jak pan chcesz dziwną historię do swojej książki, to my też widzieliśmy coś w sumie podobnego.

Clive spojrzał z zaciekawieniem na woźnicę.

– Zamieniam się w słuch.

– Słyszałeś pan kiedy o mieście duchów?

Clive wydał cienkie usta i przytaknął bez słowa. Billy Joe odchrząknął i kontynuował:

– Wiadomo, nie chodzi to o jedno miejsce, bo im dalej na zachód, tym więcej takich mięscin. Sporo z nich to tyle co ruiny opuszczone przez ludzi, których pokonała pustynia. Ale parę dni drogi stąd, u podnóża wzgórz, jest Crucible. A przynajmniej było. Trzeba jechać na zachód jakieś osiemdziesiąt mil, a potem odbić na południowy zachód, tak żeby ominąć wzgórze, jeszcze za Hadley's Hope, Silverton i Prosperity. To praktycznie na samej granicy z Nowym Meksykiem, w okolicy tak surowej, że trudno tam uświadczyc zwierząt. Rośliny to tylko zasuszone pnie drzew i kępki trawy tak ostrej, że jedno źdźbło może nieopatrznemu wędrowcowi nogi pociąć, żeby wykrwawił się na śmierć. Tam właśnie jest Crucible, a raczej było. Bo teraz nic tam nie ma... Raczej nikogo tam nie ma.

– Ale było?

– Ano było, jeszcze rok temu było. Duże miasto, bogate, dobrze prosperujące. Górnicy tam żyli, co pracowali w bodaj najbardziej obfitych kopalniach srebra w Teksasie. Kowala mieli, sklep, saloon, kościół nawet. Byli tak bogaci, że postawili własną linię kolejową łączącą ich z Prosperity, żeby urobek z kopalni przez pustynię wozić! Ile na to pieniędzy musiało pójść, to tylko oni wiedzą. Mówi się, że do budowy sprowadzili niewolników. I to nie tylko czarnych! W tych warunkach, na ostrym słońcu padali jak muchy. Podobno każdy cal tych przeklętych torów ochrzczony jest krwią nieszczęśnika, a czaszki i kości wystające spod piasku ciągną się przez całą trasę.

Takim to kosztem kolej sobie pobudowali, co jeździła od Crucible do Prosperity, w takiej ślepej pętli, no. Nie wiadomo czemu nie puścili jej dalej, chociaż do Silverton, czy tu, do Florence, bo tu przecie już kolej zwykła jest. No ale ktoś to tak wymyślił, żeby po srebro kupcy do Prosperity przyjeżdżali, bo do Crucible zbyt ciężka trasa. Można by pomyśleć, że miasto będzie tylko rosło, ale nie... Bo ludziom nagle się znikło. Jakby zapadli się pod ziemię. Puf i nie ma ich.

Morris poczuł powracający dreszczyk grozy. Nie powstrzymał kolejnego pytania:

– Jak to: zapadli się pod ziemię?

– Mówię, że zapadli – Billy Joe warknął i pociągnął łyk piwa. Splunął na myśl o przemierzaniu pustyni, ale kontynuował. – Jechaliśmy raz ja i Jerry Lee. Nienawidziłem tej części trasy, bo droga przez tę przeklętą pustynię jest cholernie zdradliwa. Płacze się i mąci człowiekowi w głowie, jakby tylko czyhała, aż popełnisz błąd, żeby pochłonać twoje życie. No ale przejeżdżaliśmy przez Crucible z pocztą i było w sumie jak zwykle. Ludziska chodzili po ulicach, w urzędzie odebrali listy i nadawali nowe. Ktoś wsiadł, ktoś wysiadł... Ale dwa tygodnie później, gdy wracaliśmy, miasto wyglądało... jakby ludzie po prostu zniknęli. Strach było tam zostawać, więc pojechaliśmy dalej.

– I nikt tego nie sprawdził?

Woźnica pokręcił głową.

– O, to wiadomo, że sprawdził. Kopalni srebra się nie porzuca. Podobno wysłali tam szeryfa z Roswell, ale biedak nigdy nie wrócił. Po prawdzie, to ktokolwiek by tam nie chciał jechać i szukać czy to ludzi, czy skarbów, znika bez śladu. Od tamtej pory nikt tam się nie zapuszcza, a my zmieniliśmy trasę, żeby jeździć dookoła. Cokolwiek stało się w Crucible, pozostanie, jak to pan pisarz powiada – tajemnicą.

Morris westchnął zafascynowany. Spojrzał na Clive'a, lecz z jego postawy nadal niewiele można było wyczytać. Wrócili zatem do gry.

Skończyli parę minut po północy. Woźnice wyszli kompletnie oskubani i niemożebnie wściekli. Billy Joe nadal wydawał się żywić urazę tylko do Morrisa. Zapewne za to, że nie udało mu się go zastraszyć i oszukać, oraz za to, że Phillips zgarnął całą ich forszę. Swoje niezadowolenie wyraził wymownym splunięciem pod nogi i bełkotliwymi groźbami mocno zniekształconymi przez kilka kieliszków whiskey. Przeczucie podpowiadało Morrisowi, że mógł być pewny kłopotów. Było to całkiem logiczne, bo jeżeli woźnica będzie się chciał na kimś wyżyć, to na pewno nie na tajemniczym rewolwerowcu, pisarzu, łowcy nagród i kolekcjonerze dziwnych historii.

– Miło się grało – rzucił oschle Clive i dodał: – Słyszałem o podobnym tobie młodzieńcu, który zasłynął umiejętnością gry w karty w Junction.

Morrisa jakby piorun raził. Junction było pierwszym miastem, do którego trafił po ucieczce z rodzinnego rancza dwa lata temu. Tam też ukradł pierwszego konia w swoim życiu. Drugiego, jeżeli liczyć chabetę, którą zabrał ze stajni ojca... Choć nie, trzecią, bo pierwsza przecież mu uciekła.

– Nigdy tam nie byłem – skłamał, czując, że się poci.

Nagle całe zmęczenie i gorycz porażki poszły precz.

– Oczywiście – Clive uśmiechnął się tajemniczo. Zgarnął wygraną, poszedł do baru, gdzie wziął sobie jeszcze jedną butelczynę, po czym skręcił w korytarz ku pokojom dla gości.

Poczucie, że właśnie stało się coś strasznego, chwyciło Morrisa za gardło i nie chciało już puścić. Bez pieniędzy nie było szansy uregulować pokaźnego rachunku u barmana. A wszystko za sprawą Phillipsa, który najwyraźniej wiedział coś o jego przeszłości i być może przybył tu za nim. Wybór był ciężki, ale jak mawiała babka nieboszczka, trzeba wiedzieć, kiedy brać nogi za pas, a trzeba jej przyznać, że zmarła ze starości.

Wrócił do pokoju, nawet nie patrząc w stronę baru. Szybko spakował swoje rzeczy, wyszedł przez okno i skierował się do stajni. Przekradanie się tak, by nie płoszyć koni, było nie lada sztuką, ale zwierzęta zwykle go lubiły. Miał do nich rękę, potrafił je obłaskawiać. W stajni tej nocy stało siedem koni. Sześć wałachów odczepionych od dyliżansu i kary ogier.

Co jak co, ale Morris znał się na koniach. Ten tu zaś miał w sobie coś niezwykłego, przerażającego wręcz. Nie chodziło tylko o lśniące umaszczenie, smukłą szyję, inteligentne spojrzenie czy mięśnie grające pod zdrową skórą. Było w nim coś jeszcze. Tego typu koni nie używano jedynie do transportu, raczej hodowano je dla oficerów kawalerii. Miały być inteligentne, waleczne i nieulękłe. Rumak stał spokojnie w swoim boksie niczym król, a pozostałe zwierzęta wyglądały, jakby chciały być jak najdalej od niego.

Zbliżywszy się ostrożnie, cicho szepcząc, Morris zaczął gładzić czarnego rumaka po szyi. Ten zaś reagował spokojnie, dawał się dotykać i jedynie strzygł od czasu do czasu uszami. Nie wykonywał gwałtownych ruchów, nie dreptał, nie rżał ani nie parskał. Pobieżne obejrzenie go w półmroku sprawiło, że chłopak zaczął kwestionować własną spostrzegawczość i siłę wzroku, ponieważ nigdzie nie znalazł wypalonego znaku właściciela. Z jednej strony było to ogromne szczęście, bo cena

takiego konia wzrastała niebotycznie, z drugiej podejrzany wydawał się fakt, że zwierzę tej klasy nie jest możliwe do zidentyfikowania.

Morris bił się z myślami. W głowie, niczym czerwona flaga, majaczył mu obraz groźnie wyglądających coltów, samego Phillipsa i jego wielkiego noża. Lecz chłopak wiedział też, czym jest głód i bardzo nie chciał znowu się z nim mierzyć. Ten koń, sprzedany odpowiednim ludziom, mógł dać mu pieniądze na przeżycie długich tygodni. Poza tym bez konia Phillips nie ruszy w pościg. Do Florence droga będzie już zamknięta, lecz na zachodzie ciągle leżało mnóstwo miast i miasteczek, w których można było się zatrzymać. Czarny rumak oznaczał zatem szansę na kolejny rozdział i kolejną przygodę.

\* \* \*

Prowadził konia za uzdę aż do pierwszego brzasku, a potem wskoczył na grzbiet i pomknął byle dalej.

Życie nauczyło go zawsze mieć przygotowane zapasy na czarną godzinę. Nie miał nawet piętnastu lat, gdy stał się dorosły. Aby to uczcić, uciekł z domu. Przyświecała mu wtedy idea, by na swoich warunkach stworzyć własną historię pełną zapierających dech w piersi przygód, podczas których zdobędzie sławę, pieniądze i miłość. Chciał stawić czoła naturze, być może spotkać rdzennych Amerykanów, stać się prawdziwym mężczyzną.

Pamiętał doskonale, że już pierwszej nocy koń mu uciekł. Kiedy po dwóch dniach Morris wrócił do domu, bracia go obśmiali, a ojciec sprzął na kwaśne jabłko i od razu pogonił do pracy przy przerzucaniu gnoju. Nie zadziało się nic, co byłoby w jakikolwiek sposób bliskie przypowieści o synu marnotrawnym, którą pastor Peele nazbyt często wygłaszał podczas niedzielnego nabożeństwa.

Sińce zeszły po nieco ponad dwóch tygodniach, a pragnienie przygody na powrót wychynęło spod całunu bólu, strachu i zwątpienia. Za drugim razem Morris przygotował się o wiele lepiej. Wpakował do worka parę konserw, kilka pasków suszonej wołowiny, manierkę z wodą i chleb. Zabrał spodnie, koszulę, ciepłą kurtkę oraz derkę, a wszystko załadował na najlepszego konia ze stajni ojca. Tak wyposażony znowu ruszył ku przygodzie.

Koń padł po tygodniu, bo wszedł na gniazdo grzechotnika i zaskoczona tym gadzina ugryzła go w nogę. Z ciężkim sercem Morris porzucił konające zwierzę i ruszył pieszo w stronę Junction, o którym ludzie mówili, że tam najlepiej złapać jakąś pracę. Nie potrafił dobić wierzchowca, a zostawienie go zламаło mu serce.

Teraz zaś, uciekając na czarnym rumaku należącym do Clive'a Phillipsa, z daleka omijał domy i osiedla, wiedząc, że charakterystyczny koń może rzucać się w oczy. Podczas wieczornego popasu, kiedy zmęczenie wzięło górę nad emocjami, postanowił cokolwiek się zdrzemnąć. Obiecował sobie spać lekko, lecz, zmrużywszy tylko oczy, zapadł w nicość.

Obudził się nad ranem, serce mu waliło, był zlany zimnym potem. Zdawało mu się, że pamięta jakiś niewyraźny sen. Coś jakby sylwetka człowieka mająca gdzieś daleko na wschodzie i przejmujące wrażenie, że czego by nie zrobił, człowiek ten będzie podążał za nim. Być może to poranne powietrze, ale Morrisem wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz. Czym prędzej zaparzył sobie kawy, po czym zwinął obóz i ruszył dalej, nieco zwawiej niż minionego dnia.

Wspomnienie złowróżbego snu zostawił za sobą, z każdą milą zyskując nieco więcej spokoju. Na popas szukał miejsc zielonych, w pobliżu nitek wodnych, tak aby koń mógł nieco odetchnąć, napić się i poskubać trawy. Dzień był piękny, niespecjalnie gorący. Na modrym niebie nie znać było ani jednej chmurki. Ptaki latały gdzieś wysoko, w trawie przemykały myszy, króliki i jaszczurki.

Kolejnego wieczora Morris pozwolił sobie na odrobinę samozadowolenia. Pościgu, nawet tego urojonego, nie było widać, koń sprawował się doskonale, a co więcej – okazał się wspaniałym i wdzięcznym towarzyszem podróży. Wreszcie mógł odetchnąć.

Schronienie zaoferowało mu przyjemne miejsce pod małym zagajnikiem, który wyrastał u stóp niewielkiego wzgórza pośrodku pól zieleni. Było ono osłonięte od wiatru, w pobliżu dało się nazbierać drwa na opał, a niedaleko szumiał niewielki strumień. Morris umościł się w pobliżu zwałonego pnia drzewa, zagrzał przy ognisku puszkę fasoli, którą zjadł z kilkoma sucharami i zagryzł kawałkiem sera.

Przy tej okazji obserwował towarzyszącego mu rumaka. Dziwne było to zwierzę, które patrzyło na świat z zatrważającą inteligencją drzemającą w wielkich, czarnych oczach. Nie jadło trawy, a jedynie czasem piło wodę. Morris mógłby przysiąc, że przywiązał konia do drzewa, lecz wystarczyło odwrócić wzrok, by zorientować się, że zwierzę spokojnie wałęsa się po okolicy. Nie uciekało, a spoglądało na niego od czasu do czasu, jakby sprawdzając, czy to on aby nie postanowił umknąć.

Jeżeli dzień był spokojny, to noc już do takich nie należała. Koszmary powróciły ze zdwojoną siłą. Morrisowi znowu się śniło, że jego śladem podąża tajemnicza postać. Tym razem jednak miał pewność, że był to nie kto inny, jak Clive Phillips. W jego snach rewolwerowiec nadal pieszo przemierzał preię, nieubłagany jak



burzowe chmury, niczym sama śmierć. Nawet w tej wizji wyraźnie było słychać niepokojący dźwięk jego ostróg. Phillips miał na sobie długi płaszcz, rozwiewany przez porywisty wiatr, a twarz przysłaniał od piachu i spiekoty czerwoną chustą. Oczy lśniły w cieniu rzucanym przez kapelusz.

Ognisko dopaliło się nad ranem, a zimny powiew obudził Morrisa, muskając policzki chłodnym palcami. Chłopak nienawidził spania na ziemi, lecz w drogę zabierał tylko swoją starą derkę i niewiele więcej. Gnaty go bolały, ale godził się na tę niedogodność, którą miał zamiar odbić sobie, gdy tylko sprzeda konia.

– Nie pozwolę ci go sprzedać.

Serce Morrisa załomotało. Zerwał się do pozycji siedzącej i rozejrzał w przestachu. Był absolutnie przekonany, że właśnie usłyszał suchy, zmęczony głos Phillipsa. Zamrugał, by przegonić poranną mgłę sprzed oczu. Zdało mu się, że na tle wylaniającego się zza widnokregu rdzawego słońca widzi postać siedzącą po drugiej stronie wygasłego ogniska.

Przetarł twarz, poklepał się po policzkach, a uszczyptnięcie definitywnie potwierdziło, że już nie śpi. Toteż serce o mało co nie wyskoczyło mu z piersi, dłonie mrowiły, a oddech nijak nie dał się uspokoić. Tak, naprzeciw, na zwalonej kłodzie, przycupnął Clive Phillips. Był ubrany tak jak wtedy, kiedy się spotkali przy partii pokera, lecz miał też na sobie długi płaszcz, zupełnie jak ten ze snu. Obok zaś leżały wypchane juki, lecz nigdzie nie było widać jego konia. To znaczy jego koń był na miejscu, lecz Clive nie miał przy sobie żadnego innego konia, którym mógłby udać się w pościg. Wyglądało to tak, jakby przyszedł za nimi na piechotę.

– Świat jest pełen tajemnic, chłopcze. Mówiłem ci przecież.

– P-p-panie Phillips... – Morris próbował coś wydukać, złożyć w całość jakieś zdanie, w którym mógłby spróbować się wytłumaczyć lub przynajmniej przeprosić.

Kradzież konia wiązała się przecież z poważnymi konsekwencjami, poczynając od tego, że Phillips mógł go całkiem legalnie zastrzelić na miejscu, po więzienie lub śmierć na stryczku.

– Mów mi Clive... Przyznam, że jestem pod wrażeniem. Myślałem, że wybadam cię jeszcze, sprawdzę, czy to na pewno ty. Zamiast tego musiałem cię gonić po prerii, bo natychmiast zwiąłeś, i to z moim koniem. Który, *nota bene* – tu rewolwerowiec z wyrzutem spojrzął na wierzchowca – mógłby wykazywać się nieco większą lojalnością. Dziwne to, bo kto by się do niego nie zbliżył, to gadzina gryzie. Z tobą zaś poszedł potulny jak baranek. Nie masz nawet pojęcia, ile musiałem poświęcić, by was dogonić.

Ostatnie zdanie zabrzmiało wyjątkowo złowrogo. Morris zgarnął poły derki i przycisnął do siebie, tak jakby okrycie mogło go przed czymkolwiek uchronić.

– Clive, ja przepraszam. Ja nie miałem...

Phillips uciszył go gestem ręki:

– Już, już. Ograłem cię, wiem. Jeżeli cię to pocieszy, to przyznaję, że trochę oszukiwałem. Dlatego nie mam ci za złe, że w desperacji zrobiłeś coś głupiego. Młody jesteś, a młodość to przede wszystkim robienie głupot. Bez tego niewiele byśmy wiedzieli o życiu.

Pomimo usłyszanych słów ulga nie chciała spłynąć na Morrisa. Trząśnięcie się ni z zimna, ni z przestrawienia, a przecież Phillips nawet na niego nie patrzył. Wlepił te swoje wielkie, brązowe oczy w drwa w wygasłym ognisku, żarzące się dzięki niemrawym podmuchom porannego wiatru.

– Mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia – mruknął rewolwerowiec. Wyciągnął zza pazuchy złożoną kartkę i rzucił chłopakowi.

Morris podniósł z ziemi pożółkły papier. Rozłożył go niechętnie, gdyż domyślał się już, z czym ma do czynienia. Jego podobizna na liście gończym nie należała do najbardziej dokładnych, lecz cechy charakterystyczne nawet się zgadzały. Okrągła buzia, kręcone włosy, melonik. Dodać brodę i garniec złota, a wyglądałby jak leprechaun. Nagroda to pięćdziesiąt dolarów. Przystępstwami szulerstwo i koniokradytstwo.

– Bzdura! – oburzył się. – Nie jestem szulerem.

Rewolwerowiec wzruszył ramionami.

– Nie obchodzi mnie to, chłopcze. Jak możesz się domyśleć, to nie mój pierwszy list gończy, a ty nie jesteś pierwszym frajerem, którego udało mi się złapać. Tłumaczyć się będziesz szeryfowi w Junction... albo w tym, no...

– Breckenridge – Morris niechętnie dopowiedział nazwę kolejnej miejsciny, w której pozbawił kogoś konia.

– O, tam właśnie. Miłe miejsce, ładne jezioro.

– Istotnie.

Chłopak załamał ręce i zgarbił się niczym zbity psiak. Ogarnęło go poczucie beznadziei, odczuwał nieprzyjemną pustkę w brzuchu. Nastąpiła cisza, można by nazwać niezręczną, lecz głośnie burczenie w żołądku szybko wyniosło ją na kolejny poziom absurdu.

– Masz rację – Clive pstryknął kościstymi palcami. – Lepiej zrób śniadanie. Będziesz potrzebował sił.

– Na co?

– Na drogę. Przecież nie mamy dla ciebie konia.

Morris zamrugał, nie do końca wierząc w to, co się dzieje. Lecz była to najprawdziwsza prawda, koń był jeden.

Usiedli do wspólnego posiłku. Całe szczęście Clive przyniósł ze sobą dodatkowe zapasy, więc mieli szansę przekąsić jajka z fasolą i zagryźć zadziwiająco świeżym chlebem. Z początku nic nie mówili, zwłaszcza że chłopak zdjęty strachem oczekiwał, że rewolwerowiec w każdej chwili zmieni zdanie i odstrzeli mu łeb.

Całe szczęście jedzenie miało na Morrisa zbawienny wpływ, czyli zawsze koło zszargane nerwy. Matula, jak jeszcze żyła, karmiła go, gdy tylko się skrzywił lub doświadczył jakiegokolwiek nieprzyjemności ze strony ojca lub braci. Nawet kiedy był już podrostkiem, podstawiała mu jedzenie pod nos, byleby złagodzić trudy życia na ranchu. Po jej śmierci nic tylko jadł. Niestety, bez matczynego ciepła strawa straciła moc przeganiania bólu.

Co zaś tyczyło się Clive'a Phillipsa, to jedzenie dawało pewną nadzieję. Ostatecznie, kto by chciał zabić drugą osobę zaraz po tym, gdy ta pochłonęła część zapasów? Chyba że ostatni posiłek był wyrazem litości dla przyszłego nieboszczyka, aczkolwiek nie miał też wiele wspólnego z ekonomią.

Pałaszowali zatem śniadanie, co w mniemaniu Morrisa musiało ich jakoś zbliżyć. Nie potrafił zbyt długo walczyć ze swoją naturą gaduły, więc zaczął od wychwalania posiłku.

– Panie Phillips, przyznam, że to najsmaczniejsze jajka, jakie kiedykolwiek miałem w ustach.

Clive niemal się zakrztusił. Odkaslnął w kułak i popił wodą z bukłaka.

– Matka cię nie uczyła, żeby najpierw pomyśleć, zanim się coś powie?

– Nie – Morris odparł z pełnymi ustami. – Ale nawet ona nie potrafiła tak zająć się jajkami.

– Sugerujesz, że potrafię dobrze zająć się jajkami? Lepiej niż twoja matula?

– Tak jest, panie Phillips. Jajka w pana dłoniach zamieniają się w delicje.

Clive musiał na chwilę przerwać jedzenie. Twarz skryta cieniem rzucanym przez kapelusz zdawała się drgać niekontrolowanie, utrudniając przełknięcie posiłku. Pokręcił w końcu głową i łypnął na towarzysza:

– Chłopcze... Ech... Skup się na jedzeniu, dobrze? I mów mi Clive.

Nie zdążył wziąć kolejnego kęsa, bo Morris znów coś mówił.

– A jak masz na drugie, Clive? Bo ja nazywam się Morris M. Swithen. „M” pochodzi od Muriel.

– Muriel? Rodzice chyba cię za bardzo nie lubili, co?

Morris M. wzruszył ramionami. Kawałkiem chleba pieczołowicie czyścił talerz z sosu.

– Tato uważał, że to całkiem zabawne. Matula już nie bardzo, ale z jakiegoś powodu nie kłóciła się z nim, bo wtedy zwykle zaczynał czepiać się, że wyszedłem rudy. No więc, jak masz na drugie, Clive?

– Kaleb. Na drugie dali mi Kaleb.

– Clive Kaleb Phillips. Ładnie brzmi, ale jakoś tak długo. Jakby się łamało na języku. W sumie to nie wiem, po co daje się dzieciom drugie imię. Może ty wiesz, Clive?

– Tradycja.

– To znaczy?

– Tradycja taka. W dawnych czasach dawano dziecku drugie imię po jakimś świętym, żeby ten się nim opiekował. Arabowie na ten przykład nadają drugie imię po ojcu, a Rosjanie w zażyłości mianują się imieniem i tak zwanym otczestwem. Podobnie jest w Skandynawii, gdzie imię ojca jest elementem nazwiska.

Morris z wrażenia zapomniał o przeżuwananiu. Nie miał pojęcia, o jakich krainach mówił jego towarzysz.

– Mojemu tatkowi jest Ambrose. Więc nie wiem, skąd wzięło się Muriel.

– Brzmi głupio, ale pocieszę cię, bo jest to imię świętego – Clive odparł jakby od niechcienia.

– Nie znam takiego.

– Jest to imię anioła. Końcówka -el o tym świadczy. Być może twój „tato” chciał zrobić ci psikusa, ale przypadkiem zgotował ci nie lada patrona. Tak myślę, patrząc na ciebie, niewydarzonego cherubina.

Morris przełknął ostatni kęs, uśmiechnął się i wyprostował. Z pewnością wyglądałby dumnie, gdyby nie plamy sosu z fasoli, pozostałe w kącikach ust. Niemniej pozował na zadowolonego, zupełnie jakby chciał wstać i pobiec do rodzinnego miasteczka, by wyjaśnić wszystkim śmiejącym się z niego dzieciakom, że Muriel to jego drugie imię i jest z niego dumny. Zadowolenie go opuściło, kiedy zdał sobie sprawę, że co najwyżej uda mu się komuś to wytłumaczyć, zanim zawiśnie na stryczku.

– Jest pan wyedukowanym człowiekiem – burknął, tracąc nieco rezon. – Panie P... Clive, prawda? Tamten woźnica mówił, że jesteś lekarzem.

– Po pierwsze, nie lekarzem, tylko doktorem nauk. Po drugie, to byłem. Po trzecie, nie twoja to sprawa. Kończ wreszcie, bo zaraz ruszamy. – Clive wstał i rzucił resztki jedzenia w ognisko. – Długa droga przed nami. Do Prosperity będzie ze dwa dni.

Morrisowi zdało się, że się przesłyszał.

– Prosperity? Przecież ja tam nigdy...

– Mówiłem przecież, że mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia – westchnął ciężko Clive, jakby zdecydował się wziąć na barki jakiś abstrakcyjny ciężar.

– Pojedziesz ze mną. Chcę sprawdzić jedno miejsce i myślę, że możesz mi pomóc. Zrób to, a zapomnę, że ukradłeś mi konia.

– J-j-ja? ... Co ty... Co to za miejsce?

Clive uniósł wzrok. Morris byłby w stanie przysiąc, że oczy mu zalśniły, przez co jego uśmiech wydał się jeszcze bardziej upiorny.

– Ekstraordynaryjne, mam nadzieję. Chcę odwiedzić Crucible, miasto duchów...



## ROZDZIAŁ 2

# KOMU BIJE DZWON

*...bowiem są na tym świecie rzeczy, o których być może ludziom się śniło, ale chyba tylko w najgorszych koszmarach. Każdy przecież marzy o rzeczach wielkich, lecz najczęściej w obliczu takowych zdaje sobie sprawę z kompletnej nijakości swojego istnienia. Rzeczy owe mogą być splotzonymi przez chore umysły fantasmagoriami lub naturalnymi dziwami, przez bojaźliwych celowo zepchniętymi do roli legend lub baśni.*

*Ludzie stający w obliczu huraganu dzielą się na tych, którzy szukają bezpiecznego schronienia, oraz tych, którzy brną przed siebie niepomni przeciwnieństwu, żeby zobaczyć, co jest w jego centrum. Ci pierwsi mają większe szanse na przeżycie, kiedy ci drudzy w większości giną marnie śmiercią głupców. Jest jeszcze trzecia grupa, o której nikt nie mówi. Są to ci, którzy potrafią uniknąć burzy lub sprawić, by ich ominęła. Głupota niestety ma to do siebie, że jest siostrą zawiści. To z nich przez wieki budowano stosy, na których palono uczonych i wizjonerów.*

Clive K. Phillips, *Dzienniki zebrane*

Morris przyjął na siebie obowiązek zasypania dopalających się gałęzi, kontemplując przy tym jakże miłą, w swoim mniemaniu, rozmowę przy śniadaniu. Fakt, że nie został na miejscu zabity za kradzież konia, uznał za sukces, a co więcej, chyba zaczynał się zaprzyjaźniać z tajemniczym rewolwerowcem. Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że będzie przecież podróżował w towarzystwie najprawdziwszego

pisarza! Oznaczało to zatem, że i on najpewniej stanie się kiedyś bohaterem książki napisanej przez Clive'a K. Phillipsa.

Z dziwnie pogodnego rozmyślenia wyrwały go brzęk i łupnięcie tuż obok. U jego stóp wylądowały juki z resztką zapasów zabranych z Florence, bukłak, kubki, a na końcu dołączyła do nich lina. Odwrócił się zdziwiony.

Clive właśnie przytracał do siodła własne bagaże.

– Chyba nie sądziłeś, że mój koń będzie targał twoje badziewie. – Clive nawet na niego nie spojrział. Dokończył wiązanie troczków, chwycił za łęk i wskoczył na wierzchowca. Poprawił kapelusz, poklepał zwierzę po szyi. – Lepiej się pospiesz. Pozbieraj to, bo nie będę na ciebie czekał.

Zgarniając rozrzucony dobytek, Morris znowu poczuł się nieco jak zbity kundel, a perspektywa pieszej wędrówki w ślad za jeźdźcem wydała mu się wyzwaniem w gruncie rzeczy niemożliwym. Biadolił pod nosem, gdy zarzucał skórzane torby na ramię. Nasadził melonik na głowę i spojrział na towarzysza błagalnym wzrokiem, niczym pies żebrzący o ochłap ze stołu.

– Clive, czy ja mogę...

– Nie. Podążaj za mną. Ciesz się, że będę na tyle uprzejmy, żeby wolno jechać.

Rewolwerowiec cmoknął na konia, obrócił go i ruszył stępą. Ogier karnie reagował na polecenia, ochoczo drepcząc przed siebie, zupełnie jakby bawiły go męczarnie chłopaka. Razem sprawiali niesamowite wrażenie. Piękne i dumne zwierzę o czarnym umaszczeniu oraz ubrany również na czarno tajemniczy jeździec. O takich duetach opowiadało się niesamowite historie przy ognisku i pisało książki.

Morris zwrócił uwagę na postawę jeźdźca. Clive, choć dosiadał konia szkolonego zapewne, by służyć oficerowi kawalerii, nie jeździł jak kawalerzysta. Był o wiele bardziej rozluźniony, poddawał się ruchom zwierzęcia, tymczasem żołnierze w siodle zwykle byli sztywni, jakby połknęli kij od szczotki. Może wyzbył się przyzwyczajień? W końcu od wojny domowej minęło już kilka lat.

Podróżowali prerią, przez większość czasu mając słońce za plecami. Poruszali się drogą wydeptaną pośrodku pól rzadkiej zieleni, od czasu do czasu porośniętych kępami drzew. Gdzieś w oddali majaczyły wzgórza, a po bokach z rzadka wychylały się ściany lasu. W trawie przemykały króliki, starające się uciec przed oczami drapieżników latających wysoko na wciąż bezchmurnym niebie. Tu i ówdzie napotykali kamieniste strumyki, w których szemrała zimna jak lód, acz krystalicznie czysta woda i pływały zdrowe, zwinne ryby.

Słońce sięgało zenitu, a Morris czuł na ramieniu bolesne otarcia od juków. Włosy pod melonikiem miał mokre i tłuste od potu. Właściwie to cały był mokry. Najprawdopodobniej krwawiły mu pięty, niemożebnie bolały go nogi, zwłaszcza otarcia na wewnętrznych częściach ud i w pachwinach. Chyba nigdy w życiu nie szedł tak długo i tak daleko. Wypił całą wodę, którą miał w manierce, choć liczył, że w końcu nadejdzie czas na popas.

– Hej, Clive! – Mrużył oczy, próbując ochronić je przed oślepiającymi promieniami słońca. – Może zatrzymamy się na obiad? Koń... powinien odpocząć.

Clive odwrócił się w siodle. Na nos miał zatknięte okrągłe okulary z przyciemnianymi szklami, które przypominały nieco gogle maszynisty.

– Koń ma się całkiem nieźle – stwierdził. – Nuży go raczej ta włóczęga. Wolałby iść nieco szybciej albo cwałować. Wtedy jest bardziej przewiewnie.

– Ale ja nie dam już rady... – Morris z każdą chwilą czuł, jak jego wola słabnie, a myśli o tym, jak bardzo jest głodny i zmęczony, sprawiały, że głód oraz zmęczenie doskwierały jeszcze mocniej. Miał ochotę zatrzymać się, paść na twarz i tak szczeznąć, byleby już nie iść, nie zmagać się z przeciwnościami i okrutnym losem.

Przed niechybnym zgonem uchroniła go upragniona przerwa w wędrówce. Znaleźli odrobinę cienia oferowanego przez drzewa i tam zatrzymali się na popas. Morris zdjął buty, a potem skarpetki, byleby dać odrobinę wytchnienia stopom. Był tak zmęczony, że zaraz po zjedzeniu na zimno puszki fasoli zasnął na dobre pół godziny. W tym czasie Clive nabrał wody z pobliskiego strumienia do manierek, napił też konia. W końcu jednak musiał obudzić chłopaka i skłonić go do dalszej drogi.

– Zawsze o tym marzyłem – Morris przyznał z naiwnym, acz nieco kwaśnym uśmiechem. – Teraz żałuję.

– Niby o czym?

– No, o podróżowaniu po prerii. O wolności.

Clive spojrzał na niego jak na idiotę.

– Właśnie cię pojmałem...

– Ja wiem, ale jakoś tak mi się kojarzy. Trudne początki miałem z tą wolnością. Uciekłem z domu, ojcu konia ukradłem.

– No pięknie... – burknął Clive, czując, że zanosi się na smętną opowieść.

– Oj, obiecałem sobie, że go spłacę. No, w każdym razie tak by było, ale skubany przegryzł powróż w nocy i gdzieś polazł. No więc musiałem wrócić do domu. Ojciec był wściekły. Zupełnie inaczej niż w kazaniu o... tym, no...



– Synu marnotrawnym – zgadł Clive.

– No więc ojciec mnie zrugął, złał, a potem dostało mi się jeszcze od braci. Pomyślałem, że za drugim razem lepiej się przygotuję, no i w końcu się udało. Jakoś, bo tym razem konia ukąsił grzechotnik.

– Więc ukradłeś ojcu dwa konie. – Clive pokręcił głową z niedowierzaniem. – I je straciłeś... Jak nic, chłopaku, masz talent.

Wkrótce wyruszyli.

– Wiem, że zasłużyłem – Morris wyjęczał, wlokąc się za towarzyszem. – Już nigdy, przenigdy nie ukradnę nikomu ani konia, ani muła, ani nawet na kucyka nie spojrzę. Solennie przysięgam na grób matki, ażebym zdechł.

– Nigdy nie mów nigdy – odparł Clive. – Pismo rzecze: po piąte, nie kradnij.

– Nie zabijaj.

– Słucham?

– Po piąte, nie zabijaj – Morris rzucił nieco głośniejsze. – Mnie się wydawało, żeś człek wykształcony, Clive. Nie kradnij jest chyba czwarte.

Druga część dnia zeszła im na nieco wolniejszej wędrówce. Im było później, tym słońce coraz bardziej próbowało zaglądać im prosto w twarz. W końcu ognista tarcza zaczęła chylić się do widnokręgu, a całą prerię zalało morze purpury, budząc do życia fantastyczne miraż.

– Wkrótce... popas? – Morris wysilił się, aby wydyszeć pełne nadziei pytanie.

Clive stanął w strzemionach i rozejrzył się po okolicy.

– Jeszcze nie. Za dużo tu kojotów. Musimy dojść do wzgórz i znaleźć sobie półkę skalną lub jaskinię.

Chłopak przyłożył rękę do czoła, by osłonić oczy przed słońcem. Kilka mil przed nimi majaczyły skaliste wzniesienia. Z jednej strony miał ochotę paść tu i teraz, by umrzeć marnie na tej piekielnej prerii. Z drugiej zaś jedna mila czy dwie nie robiły mu już większej różnicy, a pełna nadziei myśl o tym, by zalec przy ognisku i przespać całą noc, brzmiała jak zbawienie.

Musiał na chwilę stracić przytomność, bo ocknął się, kiedy dotarli do wzniesień. Clive wypatrzył im wygodne zagłębienie w skale, które, choć nie do końca było jaskinią, to zapewniało osłonę przed wiatrem czy ewentualnym deszczem. A tak się składało, że czyste niebo stało się już tylko wspomnieniem. Zapowiadało się na ulewę.

– Chwalić Pana... – Niczym nawrócony grzesznik Morris padł na kolana w miejscu, które wybrał na postanie. – Nie mam siły nawet jeść... Chyba pójdę spać i zjem rano...

– Żartujesz sobie? – Clive fuknął zniecierpliwiony. – Idź, nazbieraj gałęzi, bo trzeba ognisko rozpalić, co by węże wypłoszyć i pająki, żeby później nic nas nie podeszło.

Zapominając nagle o znoju, chłopak zerwał się na równe nogi.

– Węże?

– Oczywiście, durniu. Gady lubią w ciągu dnia wygrzewać się na skałach. Cholera wie, czy nie ma tu żadnego gniazda. No, idź zbierać drewna. Tylko pamiętaj, że na całą noc ma wystarczyć. I pospiesz się, bo zaraz będzie padało.

Morris nawet nie próbował dyskutować. Spojrzenie rewolwerowca wystarczyło mu za ostrzeżenie, takie z gatunku sugestywnych i przerażających. Powłókł się zatem do pobliskiego zagajnika w poszukiwaniu uschniętych gałęzi.

Choć ciężko mu się oddychało, z ulgą powitał orzeźwiający chłód niesiony przez wieczorne powietrze oraz wilgotny podmuch zwiastujący deszcz. Zdołał obrócić trzy razy, zanim wiatr przyniósł pierwsze krople. W tym czasie Clive rozstawił ich obozowisko pod skalną półką, przygotował kolację, a teraz siedział na ziemi oparty o siodło. Koń stał spokojnie tuż obok, skryty w głębi niewielkiej jaskini. Kiedy jedli, na zewnątrz zaczęło mocniej kropić. Po chwili siąpienie przeszło w rzęsy deszcz, a potem w istne oberwanie chmury. Całe szczęście półka skalna, na której siedzieli, wychylona była na zewnątrz, więc ich nie podmywało. Temperatura mocno spadła, ale nagrzane słońcem skały oraz niewielkie ognisko zapewniły im dostateczny komfort.

– Nie sądziłem, że dasz radę – Clive mruknął znad cynowego talerza. – Może nawet przeżyjesz.

Morrisowi było już chyba wszystko jedno. Wystawił na zewnątrz szmaty, żeby je zwilżyć i przyłożyć do poranionych stóp oraz poobcieranych barków. Nie czuł się ani dumny z siebie, ani gotów, by powtórzyć ten pełen katuszy dzień. Przy opatrywaniu obtarć i odparzeń syczał jak małe dziecko, a kiedy wreszcie cokolwiek mu ulżyło, siedział cicho i starał się powstrzymać łzy. Czuł, że coś w nim pęka i nie były to bąble na stopach.

– Nie dam rady... – mruknął przez zaciskające się gardło. Zaledwie po jednym dniu miał dosyć tej całej „przygody”, dosyć tej drogi oraz swojego skurwiałego losu. – Clive, ja... naprawdę przepraszam za tego konia... ale ja...

– Nawet nie próbuj mi tu ryczeć. Gadasz tylko o sobie. Ja i ja. Zachowujesz się jak dziecko. Nie sądzisz, że to żenujące? Myślałeś w życiu o kimś innym niż ty sam? – Clive ściszył głos, widząc, że chłopak odwrócił się i skrył twarz w dłoniach. Zgarbione

plecy trzęsły się od nieudanych prób powstrzymania szloch. – Ech... Uspokój się już. Pół dnia drogi stąd powinna być miejscina. Znajdziemy ci tam jakąś chabetę i siodło. Dalej będziesz mógł już wieźć swój tłusty tyłek na plecach jakiegoś biednego zwierzaka.

Morris przełknął łzy i wytarł nos.

– Ale ja nie mam pieniędzy.

– Ja mam, również te wygrane od ciebie. Powiedzmy, że to rekompensata i inwestycja w ciebie. W końcu, jak powiedziałem, jesteś mi potrzebny.

– No właśnie... – Morris odwrócił się przodem do rozmówcy. Odłożył na bok talerz i, jęcząc z bólu, spróbował znaleźć odpowiednią pozycję na posłaniu. – Do czego właściwie jestem ci potrzebny? Wyglądasz raczej na człowieka, który, no... sam sobie dobrze ze wszystkim radzi.

Clive spojrzał na chłopaka z politowaniem. Splunął w ogień, sięgnął do leżących obok juków i wyciągnął z nich notatnik wraz z ołówkiem oraz szczoteczkę do zębów. Przekartkował, przejrzał ostatnie zapiski, po czym zapisał kilka słów z przerwami na czyszczenie uzębienia.

– Naczytałeś się głupot, chłopcze. – Znowu splunął. – Żaden człowiek nie jest bezpieczny sam, w tej dziczy... a co dopiero w życiu. Każdy, co by nie mówił, potrzebuje wsparcia. Ty mi się trafiłeś, więc wziąłem ciebie. Wolałbym kogoś, kto nie będzie mi ciężarem i umie chociaż strzelać, ale ty przynajmniej potrafisz zająć się końmi... więc nie jesteś kompletnie bezwartościowy.

Co by nie mówić, była to sama prawda, więc Morris nie śmiał zaprzeczać. Oczy już mu się kleiły, a kolacja cudownie układała w żołądku. Kojące ciepło rozlewało się po całym ciele. Powoli zapominał o łzach, a zmęczenie wzięło górę.

– Ano potrafię – odparł sennie. – Clive, mogę mieć pytanie?

– Słucham.

– Powiedziałeś, że oszukiwałeś w pokera. Graliśmy przecież moją talią, więc nie mogłeś mieć znaczonych kart. A to znaczy, że nie mogłeś dokładać swoich. Więc jak to zrobiłeś? Jak oszukiwałeś?

*Idź już spać, chłopcze. Jutro długi spacer przed tobą.*

Morris nie potrzebował dalszego zachęcania, oczy same mu się zamknęły.

*Niebo spowijały ołowiane chmury, od czasu do czasu rozświetlane przez czerwone błyskawice odległej burzy, kottowały się i przewalały niczym krew bulgocząca w pokrytym rdzą garnku. Na spękanej od słońca, szarej płaszczyźnie bezkresnej pustyni*

stał wysoki dom. Wzniesiono go z drewna pomalowanego ciemnoczerwoną, niemal brązową farbą. Oprawę okien i okiennice zaś miał białe jak kość, tak samo jak cztery kolumny podtrzymujące balkon ponad obszernym gankiem. Wielkie, dwuskrzydłowe drzwi otwierały się niczym paszcza ogromnego potwora, gotowa pożreć każdego, kto ośmielił się stanąć w progu, za którym czaiła się nieprzenikniona ciemność.

Morris szedł powoli w kierunku tego właśnie domu. Wiedział, że musi wejść do środka. Nogi go nie bolały, a stopy tylko lekko muskały spękaną ziemię, jakby nic nie ważył. Patrzył wprost na posiadłość i zastanawiał się, czy kiedykolwiek wcześniej ją widział, czy miał okazję przebywać pośród tych posępnych ścian.

Pod kopułą nieba przetoczył się grom i zniknął na horyzoncie. Przez tę trwającą wieczność chwilę dało się wyczuć, jak bardzo był nienaturalny, twardy, metalowy i mechaniczny. Jakby był wielkim kołem zębatym poruszonym przeogromną sprężyną wielkości masywu górskiego, która strzeliła, przesuując wskazówkę zegara na tarczy potężnej jak sam Księżyc. Przez chwilę Morrisowi zdało się, że widzi ową tarczę wyłaniającą się pośród chmur, by przystąpić cały nieboskłon.

Znowu uderzył czerwony piorun. Jego blask rozświetlił bezkresne pola dookoła upiornego domu. Pola te pokrywały szare, obłe kształty. Morris przyjrzał im się, a kiedy zrozumiał, na co patrzy, zapragnął się zatrzymać. Nie był w stanie, bo jakaś niepowstrzymana siła ciągnęła go do budynku. Chciał krzyczeć, lecz nie mógł. Chciał biec, lecz droga jedynie się wydłużała. Mógł zatem ledwie obserwować morze czaszek rozlewające się jak okiem sięgnąć. Patrzyły na niego, uśmiechały się bielą zębów, obiecując, że on również wkrótce zalegnie pośród nich.

– Nie da się cofnąć czasu – zagrzemiał pełen pretensji szept.

– Pora wstawać, chłopcze.

Głowa pulsowała Morrisowi, jakby za poduszkę wybrał wielki kamień, co w sumie nie było dalekie od rzeczywistości. Kopnięcie w bolącą stopę miało chyba stanowić subtelny rodzaj pobudki i trochę nawet pomogło na ból głowy, ale tylko na chwilę. Choć przed oczami wciąż miał sceny z niepokojącego snu, przyjemny zapach świeżo zaparzonej kawy oraz rześkie powietrze odwracały uwagę.

Każdy ruch wywoływał skurcze i spazmy bólu w coraz to nowych miejscach. Nie chodziło tylko o stopy czy barki – bolało go wszystko i to znacznie bardziej niż minionego wieczora. Zupełnie jakby ciało odpoczęło tylko po to, by nabrać sił i kolejnego dnia z nedorzecznie zwielokrotnioną siłą alarmować, że jest skrajnie przeciążone i najprawdopodobniej uszkodzone.

- Czuję się jak zwłoki... – jęknął, gdy dźwignął się do pozycji siedzącej.
- To znaczy, że żyjesz – Clive skwitował, pakując swoje rzeczy.
- Bo czuję się jak trup?
- A myślisz, że trup coś czuje?

Przeciągły ziew Morrisa był tak szeroki, aż coś mu w szczęce chrupnęło. Przy okazji odkrył, że bolą go również powieki oraz zuchwa. Z pewnością się nie wyspał, a ta dziwna konwersacja jeszcze bardziej go niepokoiła. Czy rozmawiali właśnie o tym, co mogą czuć zwłoki?

- Do Prosperity mamy jakieś...
- Pół dnia marszu.

Morris dokończył za Clive'a, notując w głowie nazwę miasta, do którego zmierzali. Prosperity – brzmiało nawet zachęcająco. Mogła wynikać z dobrobytu lub zwyczajnie być nazwą nadaną miastu, by zainspirować osadników do rozwoju i budowania życia na nowej ziemi. Brzmiała jak miano osiedla, w którym ludzie uśmiechają się do siebie, witają na ulicy i żyją w dostatku. Miła perspektywa.

Porzuciwszy rozmyślenia, Morris dojrzał do imbryka. Podniósł z ziemi kubek, oczyścił go piachem i nalał do środka gorącej kawy. Powąchał, pozwalając, by aromat palonych ziaren obudził go, jeszcze zanim poczuje w ustach smak.

- Pamiętam – mruknął, balansując między snem a agonią. – Jeszcze pół dnia cholernego marszu w ślad za tobą i twoją cholerną szkapą...
- Hej! – Clive zgromił go wzrokiem. – On cię słyszy i rozumie.

Morris zrobił wielkie oczy, słysząc wyraźną nutkę ostrzeżenia w tych słowach. Przypomniało mu się niezwykle inteligentne spojrzenie rumaka, toteż nawet nie powążył się spojrzeć w jego stronę.

– No nie chcesz mi chyba powiedzieć, że twój koń wie, o czym mówię – wydukał, jakby chciał przekonać samego siebie, że w to nie wierzy. A wierzył.

– To ty nie chcesz iść tuż za koniem, którego obraziłeś – Clive uśmiechnął się złośliwie. – Dziwne to, ale z jakiegoś powodu cię lubi. Ty zaś chcesz chyba to zmienić. Pytanie, czy zwyczajnie cię kopnie, czy wybierze inną, bardziej cuchnącą formę zemsty.

Czarny rumak parsknął i zarzucił grzywą. Morris mógłby przysiąc, że poczuł wzrok zwierzęcia na plecach. Jasne, wiedział, że konie są wrażliwe, ale po raz pierwszy słyszał, żeby ktoś twierdził, że rozumieją mowę ludzi. Uznał, że jeżeli zda mu się, że ten konkretny koń do niego mówi, to znaczy, że postradał zmysły wskutek intensywnego wysiłku i długotrwałego wystawienia na słońce.

Dopiero po śniadaniu Morris ośmielił się okutać stopy i założyć buty. Pięty, palce, a nawet kostki paliły go żywym ogniem. Obdarta skóra momentalnie zrobiła się mokra od osocza, lepka i potwornie szczypała. Jeszcze nie ruszyli, a każdy krok był już czystym cierpieniem, droga zaś zdawała się prowadzić prosto do piekła.

Głuchy na jęki i złorzeczenia Clive ani myślał zapraszać chłopaka, by jechał z nim w siodle. Nie był jednak całkowicie bezduszny, ponieważ wspaniałomyślnie postanowił przewieźć jego juki.

Do Prosperity dotarli wczesnym popołudniem. Już kiedy drewniane zabudowania miasteczka oraz otaczających je farm zaczęły majaczyć w dali, Morris poczuł desperackie tchnienie nadziei. Głównie ze względu na wyczekiwany koniec marszu. Wprawdzie nie pomogło ono na pragnienie, ból nóg i głód, lecz pozwoliło wysilić wolę, żeby w ogóle dowiec się do celu.

Pomijając niewielkie domy rozrzucone dookoła miejsciny, na Prosperity składała się jedna uliczka, przy której stało kilka skleconych z desek budynków. Funkcjonowały tu oczywiście sklep, fryzjer, saloon, a bliżej znajdującego się za miastem cmentarza grabarz oraz rozpadający się hotel, który wyglądał, jakby ktoś postawił go czysto przez pomyłkę, bo przy wejściu nie widać było ani jednego konia. Pośrodku miasta zaś, naprzeciw saloonu, wybudowano potężny gmach z ciemnej cegły, którego dwupiętrowa konstrukcja górowała nad wszystkimi innymi, jakby patrząc na nie z wyższością kamiennego molocha.

W drugiej linii zabudowań znajdowały się dom kowala, razem z wielką stajnią, spichlerz oraz zagrody dla świń i bydła. Co ciekawe, tuż przed miasteczkiem stała zniszczona szubienica. Nie była spalona czy rozebrana, lecz połamana i porąbana. Wyglądała jak jakiś dziwny pomnik zemsty za śmierć skazańca lub skazańców, albo jeszcze dziwniejszy szyld witający przyjezdnych.

Po drewnianych tarasach i piaskowej drodze kręciło się mnóstwo tubylców. Pośród wszelkiej maści mieszczan byli tam też okoliczni farmerzy oraz poganiacze bydła. Ulicą przejeżdżały wozy lub kolaski, a jej poboczami spływały stróżki cuchnącego rynsztoka. Gdzieś za rogiem jazgotał jakiś rozwścieczony pies.

Morris szybko spostrzegł, że wbrew swojej nazwie Prosperity nie wyglądało na kwitnącą miejscinę. Raczej prezentowało się jak zapomniany przez Boga zbitek ruder nawiedzanych przez obdartych osadników o szarych twarzach. Tylko kowboje wydawali się zadowoleni, choć i ci patrzyli po ludziach w ten niepokojący sposób, który kazał mieć się na baczności.

Clive podjechał pod budynek hotelu, nie zwracając szczególnej uwagi na ciekawskie spojrzenia miejscowej ludności. Krytycznym okiem zmierzył podniszczoną fasadę wraz z wypłowiałym szyldem, od którego odpadły rzeźbione zdobienia. Połowę okien pomalowanych łuszczącą się farbą zasłonięto okiennicami, kiedy przez drugą można było dostrzec krzywo wiszące, podarte firanki.

Przed wejściem obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, gdzie jest Morris. Chłopak z bolesną miną wchodził właśnie do miasta, przypominając strudzonego drogą pielgrzyma, gotowego w każdej chwili paść na twarz i już się nie podnieść. Innymi słowy, wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy.

– Co pana sprowadza do Prosperity? – gdzieś z boku dał się słyszeć skrzeczący głos.

Na drewniany taras wszedł niewysoki mężczyzna o twarzy ogorzałej od słońca, przykrytej nieco rzadką, siwiejącą brodą. Na łysiejącą czaszkę miał nasadzony powycierany kapelusz. Pachniał starym tytoniem i cynamonem wymieszanymi z potem, przyprószonym odrobiną pyłu z prerii. Dawno niepraną marynarkę ozdabiała zaśniedziała gwiazda szeryfa, której jedno z ramion wyglądało jakby wygięło się, a ktoś nieporadnie próbował wyprostować je obcęgami. Przy pasie, opinającym się pod wydatnym brzuszyskiem, nosił rewolwer starszy zapewne niż to zapyziałe miasteczko, i równie zaniedbany.

– Jestem tu przejazdem – odparł Clive, zdejmując ciemne okulary. – Chcę odpocząć w hotelu, zrobić zakupy i ruszać w dalszą drogę. No i kupić konia dla chłopaka – wskazał na chwiejnie zbliżającą się personifikację znoju i bolesti. – Może wie pan, czy nie ma kto tu jakiej szkapy do sprzedania?

Szeryf splunął na ziemię śliną brązową od tytoniu i podrapał się w łysinę.

– Pan idzie do kowala. Tu za miastem ma stajnię, zdaje się, że trzyma tam klaczkę do odstąpienia. Jak mu pan rzuci groszem, to i rumaka oporządzi, a zna się na rzeczy.

Clive skinął szeryfowi, lecz nie dane mu było wejść do hotelu, gdyż lokalny stróż prawa najwyraźniej jeszcze z nim nie skończył.

– Na pewno panowie tylko na jedną noc?

– Zgadza się. Jesteśmy w drodze.

– A dokąd to, jeżeli można wiedzieć?

Coś było nie tak z oczami szeryfa, co przykuło uwagę Clive'a. Jedno miał zmrużone, kiedy drugie otwierało się niemal nazbyt szeroko. Sprawiało to wrażenie, jakby mężczyzna ciągle coś kombinował lub krew uderzyła mu do mózgu.

Mniej więcej w tym momencie doczłapał do nich Morris. Usiadł na tarasie, pozwalając, by nogi mu dyndały nad ziemią. Zdjął melonik, otarł pot z oblepionego mokrymi włosami czoła. Poświęcił parę chwil, by dyszeć oraz jęczeć z bólu, niewprawnie klnąc pod nosem.

Choć oblicze Clive'a nie wyrażało wielu emocji, dyskretnie taksował wzrokiem wścibskiego szeryfa. Zwrócił uwagę na jego postawę. Ciężar ciała miał przeniesiony na lewą nogę, prawą dłoń opierał na pasie tak, aby znajdowała się blisko broni, lecz była to tylko poza. Ten rewolwer nie miał szans zadziałać. O wiele groźniejsza wydawała się obstawa szeryfa. Po drugiej stronie ulicy, na chodniku przy sklepie, o ścianę opierał się chudy młodzieniec z odznaką zastępcy skrytą pod kurtką. Niedaleko znajdował się jeszcze jeden, ale ten nie umiał się kryć, więc stał jak kretyń, gapiąc się na Clive'a z rozdziawioną gębą.

– Na zachód – Clive odparł ostrożnie. – Jadę do Kalifornii odwiedzić siostrę. Mąż jej zmarł na gruźlicę i biedaczka sama została z trójką dzieci.

– Na zachód jest już tylko pustynia – stwierdził szeryf, wycierając twarz brudną chustką wyciągniętą z kieszeni. – O tej porze roku nie znajdzie pan tam wiele miejsc do zatrzymania się. Lepiej odbić na północ i jechać okrężną drogą. Kilka dni więcej, może tydzień, ale na pewno bardziej bezpiecznie.

– Czy na zachodzie nie ma jeszcze miasta? Zdaje się, że było te, no... Crucible.

Coś zmieniło się w dziwnej twarzy szeryfa. Przymrużone oko przeszło w wąską szparkę, a mięśnie szczęki drgnęły, wyraźnie wskazując, że mężczyzna zgrzytnął zębami.

– Crucible już nie ma, drogi panie – stwierdził szeryf sucho. – Zaraza tam była. Ludzie poumierali. Teraz to tylko ruiny i nic poza tym.

– Zaraza? Słyszałem, że zniknęli bez śladu.

– Plotki i tyle. Tyfus chyba, albo cholera jaka. Pewnie żółtki przywlekli ją ze sobą. Lepiej tamtędy nie jechać, dobrze panu radzę.

Clive nie dawał za wygraną.

– Znajomy woźnica mówił, że stróż prawa z Roswell udał się tam, ale nie wrócił.

– No właśnie – szeryf prychnął pogardliwie i znowu splunął. – Z Roswell jest tam bliżej niż ze starego dobrego Prosperity, ale z tego, co mi wiadomo, to nikt tam już się nie zapuszcza i panu radzę to samo. Dla pańskiego dobra. Lepiej, żeby nikt nie roznosił już żadnej choroby.

– Kopalnie srebra nikogo nie kuszą?



Morris dochodził powoli do siebie. Już miał już coś powiedzieć, ale zauważył, że Clive dyskretnie daje mu znak ręką, żeby siedział cicho.

Po raz kolejny szeryf splunął na ziemię, lecz tym razem jakby z większą dawką emocji. Zdawać by się mogło, że zaczyna dyszeć, jakby brakło mu powietrza.

– Wiadomo, że od czasu do czasu kogoś skuszą. Zawsze znajdzie się jakiś półgłówek, który woli sikać pod wiatr. Żaden jakoś nie wrócił. Tu nikt nie żałuje głupców.

– Rozumiem – Clive skinął głową. – Czy mogę jeszcze w czymś panu pomóc, szeryfie? Chciałbym pójść do hotelu odświeżyć się trochę.

– Nie. Proszę tylko o spokojny pobyt. Mieliśmy tu ostatnio takich, co rozrabiali – wskazał znajdujący się nieco dalej zakład grabarza wraz z kilkoma trumnami opartymi o ścianę budynku, w których z założonymi rękoma spokojnie stały świeże zwłoki. – Zapraszamy do saloonu, panie...

– Phillips. Clive Phillips. A to jest Morris M. Swithen.

Tym razem szeryf zmrużył oboje oczu. Przekrzywił głowę, miarkując coś przez chwilę. Kiedy w końcu wpadł na to, czego szukał w odmętach pamięci, oblicze nieco mu się zmieniło. Dziwny grymas przeszedł w coś, co zdawało się wyglądać jak niepewny, oślizgle przymilny uśmiech.

– A niech mnie – jęknął drżącym głosem. – Ten Clive Phillips?

Clive wzruszył ramionami.

– Nie wiem, czy ten. A ilu pan zna?

– Nie, nie. Rzeczywiście, pasuje pan do opisu. Chudy, wysoki, w czarnym kapeluszu i z żelastwem po obu stronach. A niech mnie, Kuloodporny Clive Phillips we własnej osobie. – powiedział z naciskiem. – Łowca nagród.

Morris zrobił jeszcze głupszą minę. Patrzył to na szeryfa, to na Clive'a.

– Opis chyba pasuje – odparł Clive. – Tylko nie wiem, skąd wziął się ten Kuloodporny.

– No, ludziska mówią, że kule się pana nie imają. Że nie można pana trafić.

Clive parsknął szczerze.

– Szeryfie, brał pan kiedy udział w strzelaninie?

– Raz się zdarzyło. – Z nieskrywaną dumą szeryf poklepał zardzewiały rewolwer.

Po krótkim namyśle uznał, że poprawi swój wynik. – Może dwa.

– Oberwał pan choć raz?

– Nie.

– No to zdaje się, że jest pan tak samo kuloodporny jak ja. Czy mam rację?

Pożółkłe i niekompletne uzębienie szeryfa ukazało się w pełnej krasie.

– A niech mnie... Masz pan rację. To kogo pan ściga?

– Nikogo. Mówiłem, jadę do siostry.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

– No niech będzie, panie Phillips. Ja jestem szeryf Lumley. Jak pan się urządzi, zapraszamy do saloonu na jednego. Może opowie pan o jakiejś z tych strzelanin, z których wyszedł pan cało. Tylko proszę pamiętać, tu taka zasada jest, że do saloonu chodzimy bez broni. Za dużo trupów się walało, a nasz grabarz ma już swoje lata i nie chcemy go zbyt obciążać. Rozumie pan.

– Oczywiście.

Szeryf skinął przybyłym i poszedł w swoją stronę. Jego zastępcy zniknęli kilka chwil później. Clive zaś stanął nad Morrisem i rozejrzał się po ulicy, udając, że czyści okulary z kurzu. Zwrócił uwagę na dziwnie zaszępienie twarzy ludzi, na niezwykle ciszę, która przeczyła sporemu ruchowi.

– Coś jest tu bardzo nie tak – mruknął pod nosem.

– Co takiego, Clive?

– Nie wiem, ale lepiej, żebyś nie kręcił się po ulicach i uważaj na to, z kim rozmawiasz. Pamiętaj, że jedziemy do mojej siostry do Kalifornii, a ty jesteś moim przygłupim kuzynem. – Sięgnął do kieszeni i rzucił chłopakowi dolara. – Masz, idź do sklepu, kup sobie zasypkę na otarcia, żebyś zakażenia nie dostał. Ja pójdę wynająć dla nas pokoje i zamówić kąpiel. Po obiedzie poszukamy dla ciebie konia.

Nie patrząc nawet, czy Morris się ruszył, Clive skierował kroki do hotelu.

Wnętrze budynku było zakurzone, a zdobione draperiami ściany aż prosiły o odnowienie. Leżące na podłodze dywany nadawały się do wyrzucenia, a kandelabry stanowiły śmiertelne zagrożenie. W środku nie znać było żywego ducha... no prawie. Jedynie dziesięcioletni chłopiec w za dużej liberii spał oparty o kontuar ustawiony tuż przy wejściu. Miał umorusaną buzię i zmierzwione blond włosy. Clive stanął nad nim, a kiedy ten nie ruszył się, wyciągnął rękę i skorzystał z dzwonka wystawionego na blacie. Dzwonek zgrzytnął, ale nie zadziałał.

– Hej, jest tu kto?

Zbudzony chłopiec zerwał się na równe nogi i stanął na baczność. Poprawił włosy, otrzepał marynarkę i spojrział z przestachem na górującego nad nim rewolwerowca.

– Witamy w hotelu Pyramid. Zapraszamy do pobytu. Niestety, ani kasyno, ani bar nie działają, ale może pan...

Clive przerwał mu gestem ręki:

– Nie ma tu nikogo dorosłego, chłopcze?

– No nie ma, proszę pana. Ojciec jest właścicielem, ale ostatnio prawie nie mamy gości, więc śpi do późna.

– To idź go obudź. Chcę dwa pokoje.

Chłopiec klasnął w dłonie i zniknął za kontuarem. Wlazł na znajdujący się tam stołek i uśmiechnął szeroko do Clive'a.

– To wspaniale! Pan wybaczy, lecz ojciec jest niedes... niedospo... no, wie pan. Ja pana obsłużę. Wszystkie kwatery są wolne. Polecam apartament, dzisiaj w cenie zwykłego pokoju.

Clive pokiwał głową zdziwiony, ale nie odmówił. Jak na razie w Prosperity nic nie było takie, jak się spodziewał.

– No dobra, chłopcze...

– Stephen. Proszę mi mówić Stephen, proszę pana.

– No dobrze, Stephen. Zajmę apartament na dzisiejszą noc. Daj mi jeszcze jeden pokój, dla mojego towarzysza. Najlepiej gdzieś obok.

– Oczywiście, proszę pana. Czy życzy sobie pan kąpiel?

Clive musiał przyznać, że młody Stephen zaczynał mu imponować przenikliwością.

– Dwie, dla mnie i mojego kolegi. Przyjdzie tu niedługo. Poznasz go po rudej czuprynie. Zresztą, z tego, co mówisz, nikt inny raczej tu się nie pojawi.

– Tak jest.

– Znasz tutejszego kowala? Podobno ma stajnię.

Stephen skinął, odwrócił się do tablicy wiszącej na ścianie i zdjął z niej jeden z kluczy ozdobionych drewnianymi zawieszkami z numerami kwater.

– Oczywiście, proszę pana. Doc Martin. Najlepszy kowal w Teksasie. A właściwie to jedyny kowal w tych stronach, ale zaręczam panu, że nie znajdzie pan lepszego!

– Dobra, dobra. Chodź ze mną.

Wyszli na zewnątrz. Clive odpiął od siodła juki swoje i Morrisa. Zrzucił je sobie na ramiona, a chłopcu podał lejce.

– Zaprowadź mojego konia do kowala. Niech go oporządzi. Powiedz, że przyjdę rozliczyć się przed wieczorem. Możesz mu napomknąć, że jeżeli ma tę swoją klacz do sprzedania, to niech pomyśli nad ceną. I uważaj, bo ten tu gryzie.

Jakby rozumiejąc, rumak potrząsnął grzywą i wyszczerzył wielkie białe zęby.

– Tak jest, proszę pana – Stephen posłał rozbrajający uśmiech. W jego oczach iskrzyła się radość, jakiej trudno było szukać pośród innych mieszkańców Prosperity. Clive czuł jednak, że jest to chwilowe uczucie, a głębiej w oczach chłopca czaił się wielki smutek.

Stephen już miał ruszyć w swoją stronę, kiedy Clive zatrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Chłopcze, ten Doc Martin jest godny zaufania?

Twarzyczka Stephena przyjęła pełen przejęcia, poważny wyraz.

– Doktorem on nie jest, proszę pana. Ale przydomek ma nie bez kozery. To najbardziej zmyślny i sumienny człowiek stąd, aż do... samego oceanu... i jeszcze dalej. Walczył na wojnie, a teraz wozy naprawia, konie kuje i sprzęty wyrabia. Miejscowi narzekają, że długo czasem trzeba na niego czekać, ale robotę robi jak ten, no... artysta jaki.

Clive uśmiechnął się półgębkiem i zmierzwił czuprynę chłopca.

– Dobrze więc. Ufam ci, Stephen. – Wyjął z kieszeni monetę i wcisnął chłopcu do ręki. – To dla ciebie. Za nocleg rozliczymy się, kiedy będę wyjeżdżał, zgadza się?

– Tak jest, proszę pana. Proszę iść do pokoju. Odprowadzę pana konia i każę pokojówce zagrzać wody do kąpieli. Czy życzy pan sobie również pranie odzienia? Wieczorem pokojówka odbierze, a na rano będzie czyste i pachnące.

Clive zastanowił się chwilę. Choć był temu niechętny, to musiał przyznać, że rzeczy Morrisa z pewnością wymagają odświeżenia. Zgodził się.

– Powiedz mi jeszcze, czy w saloonie czegoś lepiej nie zamawiać?

– Proszę nie brać chilli ani klopsa, bo zje pan pewnie jakiegoś starego kundla. Najlepiej to nic tam nie jeść. Burbon jest chrzczony herbatą, więc pan bierze zwykłą whiskey lub piwo.

– Zuch chłopak.

Stephen ruszył odstawić rumaka do kowala, a Clive postanowił rozejrzeć się nieco po mieście. Założył okulary i przeszedł główną ulicą, pozornie tylko nie rozglądając się na boki. Przed sklepem wielobranżowym siedziało dwóch meksykańskich poganiaczy bydła i grało w domino. Miejscowi omijali ich szerokim łukiem, wzrok wbijając w ziemię, lub udając, że ich nie widzą. Kolejnych trzech kręciło się, o dziwo, przy biurze szeryfa. Rozmawiali z zastępcami, palili wspólnie i śmiali się do rozpuku.

Niewielki ruch był w okolicy pracowni grabarza. Wiekowy chudzielec o skórze bladej jak kość słoniowa wytargał właśnie na zewnątrz kolejną trumnę. Ustawił ją w bocznej uliczce, położył na kozłach i zabrał się za heblowanie. Widząc Clive'a,

zatrzymał się na chwilę, zmierzył go wzrokiem od stóp do głów i skinął głową jak staremu znajomemu. Wrócił do pracy ze zdwojonym zapalem, jakby przeczuwając, że wizyta rewolwerowca może napędzić mu nieco koniunkturę.

Dalej były już tylko prywatne domy, cmentarz ogrodzony białym płotem i... Clive zatrzymał się gwałtownie. Zdjął okulary, podszedł kilka kroków, zastanawiając się, na co właściwie patrzy. Tuż za cmentarzem ujrzał pogorzelnisko. Osmalone deski już dawno zdążyły się rozpaść w proch, a nadpalone belki sterczały tu i ówdzie w istnym chaosie sezonowanej pożogi. Gdzieś spomiędzy rumowiska wystawały resztki drewnianego krzyża.

Jeżeli spalony kościół zadziwiał, to ćwierć mili dalej znajdowało się prawdziwe kuriozum. Tuż obok drogi widać było barak i semafor otoczone płataniną torów kolejowych, które biegły prosto na zachód. Na bocznicy kończącej bieg torowiska stała najprawdziwsza lokomotywa z doczepionymi do niej dwoma wagonami pasażerskimi, trzema wagonami towarowymi oraz wagonem pocztowym.

Clive uznał, że wystarczy mu tych dziwów i czas sprawdzić, czy apartament zasługuje na swoją górnoletnią nazwę.

Morris kuśtykał drewnianym chodnikiem w stronę sklepu, przed którym na dwóch skrzynkach siedzieli podejrzenie wyglądający poganiacze bydła. Obaj mieli brązową skórę, ciemny zarost i kręcone włosy. Grali w domino, przekrzykując się co chwila łamaną angielszczyzną, a liczne przekleństwa wzmacniali zamaszystą gestykulacją. Kiedy Morris ich mijał, mężczyzna o twarzy poznaczonej dołkami po ospie wyszczerzył się w złowieszczym uśmiechu, prezentując niepełne uzębienie. Rzucił coś szybko i niezrozumiale, a cokolwiek to było, zabrzmiało nieprzyjemnie.

– Pan do mnie? – Morris oparł się o drewniany słup i uśmiechnął boleśnie.

– On pytał – odezwał się drugi Meksykanin – co tak krzywo chodzisz, *cabrón*? Wyglądasz jakby jurny byk wziął cię za krowę.

Obaj parsknęli gromkim śmiechem. Ten, który najwyraźniej lepiej znał angielski, zobaczył, że kolega gmera mu przy klockach domina i odtrącił jego rękę, wypływając z siebie litanie wymyślnych inwektyw.

Idąc za radą Clive'a, Morris wykorzystał tę chwilę, żeby przemknąć się do wnętrza sklepu. Już naciskał klamkę, kiedy niespodziewanie drzwi otworzyły się same. Nie chcąc wpaść na nikogo, kto wychodził z budynku, chłopak odskoczył do tyłu. Ten mały sukces przyplącił potknięciem. Z przekleństwem na ustach wpadł na skrzynkę stojącą między Meksykanami, rozrzucając dookoła kostki domina.

Na niemożliwie długą chwilę zapadła cisza. Gwar na ulicy, przekrzykiwanie się kowbojów, nawet pies przestał na chwilę ujadać. Morris miał wrażenie, że jego serce właśnie zatrzymało się w oczekiwaniu na uderzenie nożem lub kulkę ołowiu. Czuł silne dłonie Meksykanów, które złapały go za poły ubrania i pociągnęły do góry, a potem przyparły do ściany sklepu tak mocno, że uderzenie wydusiło z niego całe powietrze.

W wejściu do sklepu stanęła śliczna dziewczyna i chyba tylko jej pojawienie się uratowało Morrisa. Niewiele młodsza od niego, ubrana była w skromną, schludną sukienkę. Oczy miała jasne, a skórę czystą i gładką. Z przestachem spojrzała na kowbojów szarpiących chłopaka.

– *Hola, chica!* – zawołał jeden z nich, uśmiechając się przy tym lubieżnie.

Słyszacząc zaczepkę, dziewczyna przyspieszyła kroku i oddaliła się spieszenie w kierunku kobiety, która czekała po drugiej stronie ulicy. Morris patrzył za nią jak zahipnotyzowany, lecz otrzeźwił go śmiech Meksykanów i ich nieświeże oddechy. Nagle zorientował się, w jak kiepskiej pozycji się znalazł, a ucieczka dziewczyny tylko rozsierdziła jego nowych znajomych.

– *Hombres, que se vaya el pendejo* – gdzieś z boku dał się słyszeć suchy głos szeryfa.

Mężczyźni spojrzeli po sobie, jakby nie mieli zamiaru reagować. W końcu jeden szczeknął coś do drugiego i z ociąganiem puścili Morrisa.

Stając już o własnych siłach, chłopak otrzepał się, nadal nieco zamroczony. Na ramię opadła mu dłoń szeryfa.

– Chodź, chłopaku. Nic tu po tobie.

Otwarceniu sklepowych drzwi towarzyszył fałszywy ton starego dzwonka. Szeryf wepchnął Morrisa do środka i wszedł za nim. Jego mina nie wyrażała zbyt wiele pozytywnych myśli, zupełnie jakby nużyło go obcowanie z ludźmi w tej miejscinie.

Duszne wnętrze pachniało tytoniem i lukrecją. Na półkach znajdowały się wszelkiego rodzaju przybory i utensylia, na szklanej ladzie leżała bela materiału, a obok stały słoiki z cukierkami. Można tam było znaleźć wędki, sieci na ptaki, spirytus, tytoń, bibułki, toniki i inne różności.

– O! – zawołał sklepikarz o aparycji szkieletu obciążonego skórą. – Pan szeryf przyprowadził mi nowego klienta! Czego młody pan sobie życzy?

Mężczyzna układał właśnie pod ścianą puszki z farbą ołowianą. Cienki wianuszek siwych włosów okalał jego poznaczoną plamami wątrobowymi czaszkę, a haczykowaty nos i zamglone oczy potęgowały wrażenie, że trawi go jakaś choroba.

– Bry – Morris jęknął, zastanawiając się, jak ma stać, żeby mniej bolało. Przepiępował więc z nogi na nogę przeświadczony, że kiedy się zatrzyma, nie będzie w stanie już się ruszyć. Kątem oka zobaczył, jak szeryf staje z boku, tuż obok zdobiących ładę słoików z landrynkami. – Potrzebuję zasyпки na otarcia.

Sklepikarz potaknął ze zrozumieniem, odwrócił się i zaczął gmerać po półkach.

– Ma pan szczęście, bo jestem również aptekarzem. Długa droga, co? Koń panu padł?

– Coś w tym guście. Nogi mam niemożebnie poranione, a jutro pora ruszać dalej.

Po chwili starszy mężczyzna wyłożył na ładę spore pudełeczko z szarego drewna. Sięgnął po papier, który sprawnie zwinął w trąbkę i za pomocą łyżki przesypał do środka kilka porcji jasnożółtego proszku.

– Proszę umyć porządnie nogi, przemyć alkoholem i posypać. Będzie piekło, ale pomoże. Przez noc rany mają oddychać, to bardzo ważne. Dam panu jeszcze bandaże, żeby pan sobie stopy owinął, ale proszę pamiętać, że trzeba je zmieniać, bo inaczej rany się zapaskudzą i nieszczęście gotowe. Rozumiesz pan?

– Jasne – Morris poczuł ukłucie strachu, ale przyrzekł sobie, że zastosuje się do wskazań. Przyjął papierowe zawiniątko razem z bandażem i zapłacił.

W tym czasie szeryf bezceremonialnie sięgnął łapskiem do słoja z landrynkami i wcisnął sobie jedną do ust.

– A daleko pan jedzie? – Zagadnął.

– No, do Kalifornii. Ale nie wiem jeszcze jaką trasą, bo to mój starszy kuzyn mówi, gdzie jechać. Ja to się nie znam i w ogóle...

– Kuzyn, pan powiadasz? – Przez skrzeczący głos szeryfa słychać było trzeszczenie cukierka między zębami.

Chłopak odwrócił się i uśmiechnął niepewnie. Zwrócił uwagę, że nerwowo drapie się po mokrej od potu czuprynie.

– Ano tak. Siostra mu choruje, czy coś.

– No jasne! – szeryf uśmiechnął się złośliwie. – A wiesz, chłopcze, z kim ty właściwie podróżujesz?

Morris przełknął ślinę. Mocniej przycisnął do siebie zakupy.

– No, pan Phillips... to znaczy Clive jest pisarzem. Książki pisze. No i jest łowcą nagród, ale ponoć kiedyś doktorem był. Wiem, to brzmi nieco niedorzecznie, ale to sama prawda.

Szeryf wsparł się o ładę, niebezpiecznie nadwyrężając szklany blat. Nie spojrzawszy nawet na przycichłego nagle sklepikarza, sięgnął po kolejnego cukierka.

Wsadził go sobie do ust i zaczął cmokać.

– Chodzą słuchy, że ten twój kuzyn jest, jakby to moi koledzy powiedzieli, *loco*. Niespełna rozumu, rozumiesz?

– Czemu pan tak mówi?

– Powtarzam tylko to, co ludziska gadają. Sława, zwłaszcza ta zła, ma to do siebie, że na językach ludzkich się przenosi, jak choroba. Tak się składa, że i o tym całym Phillipsie nawet u nas było słyhać. Mówią na niego Kuloodporny, bo kule się go nie imają. Mówią też, że nigdy nie widziano, żeby wyciągnął te swoje colty z kabur. Niektórzy zastanawiają się, czy on w ogóle umie strzelać. Bo to profesur jakiś był, gryziپیórek znaczy. Ubrał tylko łachy takie, ale nikt go nigdy nie widział w akcji.

Morris pokręcił głową z powątpiewaniem.

– No ale skąd w takim razie ten pseudonim? Ktoś strzelał do niego?

– Różne wersje słyshałem. Jedna jest taka, że nikt nigdy nie strzelał. Inna, że kto by nie strzelał, to nigdy nie trafił. Trudno ludziom wierzyć, bo wiesz chyba, jak to jest, kiedy opowiada się historie przy kielichu. Ludziska lubią przekręcać. Jedno tylko się zgadza i wszyscy to powtarzają, ten cały Phillips zawsze z kimś pracuje i jakimś cudem zawsze to nie on, a jego towarzysze kiepsko kończą.

– Co to znaczy, że kiepsko? – Głos Morrisowi łamał się z przestraszu.

Doskonale przecież wiedział, co szeryf miał na myśli, lecz potrzebował to usłyszeć.

– Ano kiepsko, młodzieńcze – szeryf cmoknął i sugestywnie przesunął palcem po szyi. – On kończy zadanie, zgarnia nagrodę, a jego partnerzy na tym etapie, że tak powiem... *estan muertos*.

– Zabija ich?

– Oj, nie. Z opowieści wynika raczej, że wszystkie kulki przeznaczone dla niego zwykle trafiają w innych. Jakby woził ze sobą żywe tarcze. Uważaj na siebie, żebyś i ty nie skończył jak inni jego „kuzyni”.

To mówiąc, szeryf zgarnął jeszcze jednego cukierka i wyszedł ze sklepu, zanosząc się złośliwym rechetem.

Morris stał tam jeszcze chwilę. Zdjęty przerażeniem chwilowo zapomniał o jakimkolwiek bólu. Wpatrywał się w zatrzaśnięte drzwi sklepu i sylwetkę szeryfa zniekształconą przez grube szkło okien. Widział, jak podchodzi do meksykańskich poganiaczy, jak wymienia z nimi kilka słów i dzieli chwilę dzikiej radości.

W głowie niczym zacięta płyta odtwarzały mu się pytania i budzone przez wyobraźnię obrazy. Jaki los spotkał jego poprzedników? Co czekało go



w towarzystwie Clive'a Phillipsa i dokąd zaprowadzi go ta cała „przygoda”?

W lobby hotelu Morris spotkał młodego Stephen. Całkiem zadowolony z siebie chłopiec akurat wrócił od kowala. W dłoni dumnie ścisnął srebrnego dolara, którego otrzymał od Clive'a. Bez problemu rozpoznał Morrisa, a możliwość obsłużenia jeszcze jednego gościa wprawiła go w iście radosny nastrój.

– Pana kolega poszedł już do swojego apartamentu. – Podał Morrisowi klucz do pokoju. – Zapraszam na kwaterę, pana bagaże są już w środku. Kąpiel też wkrótce będzie gotowa. W łazni znajdują się balie i ręczniki oraz inne uty... utem... te sylvia, właśnie!

Ku rozpaczycy Morrisa pokoje gości znajdowały się na piętrze. Perspektywa wchodzenia po schodach wydała mu się cokolwiek przerażająca, lecz z pewnością nie tak bardzo jak wizja śmierci jako żywa tarcza. Serce mu waliło, a głowę zaprzętały pełne trwogi wizje niedalekiej przyszłości, kiedy przesyją go kule przeznaczone dla Clive'a. Człapał więc, zaciskając zęby, a w duchu złorzeczył na swój los. Ogromnym wysiłkiem woli pokonał schody i przekroczył próg pokoju wskazanego przez Stephen.

Usiadł na skrzypiącym łóżku, tępo wpatrując się w deskowaną podłogę. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że chłopiec nadal stoi w drzwiach i coś do niego mówi.

– Co takiego? – zreflektował się.

– Proszę przekazać panu Phillipsowi, że mama zaprasza na obiad. Będzie gotowy, jak tylko panowie się odświeżą.

– Tak... dziękuję... – Morris odparł nie do końca świadomie. – To gdzie ta łazienka?

– Na parterze – odparł Stephen z rozbijającym uśmiechem, kompletnie nieświadomy rozpaczycy gościa.

Droga na dół okazała się jeszcze większą katuszą niż wspinaczka. Morris ścisnął zapakowaną w papier zasypkę na rany i bandaże, a w głowie układał już plan ucieczki. Opatrzy stopy, w nocy ukradnie konia... lecz co, jeżeli Clive znowu nawiedzi go w snach? Co będzie, jeśli go znajdzie? Przyjdzie za nim na kraniec świata, jak duch czy upiór jakiś. Jak najprawdziwsza klątwa w ludzkiej postaci.

W średniej wielkości pomieszczeniu ustawiono dwie blaszane balie, obecnie napełnione parującą wodą. W jednej z nich siedział już Clive. Nie mieścił się cały, więc podkulał nogi, a kościste kolana wystawały ponad taflę mlecznobiałej wody.

Ubrania, choć znoszone i brudne od kurzu, pieczołowicie ułożył na pobliskim krześle, a pas z bronią powiesił na oparciu. Pozbawiony swojego oporządzenia wyglądał niemal jak zwykły, kompletnie niegroźny człowiek. Ot, szczupły jegomość

o suchych mięśniach obciążonych cienką jak papier skórą, przyozdobioną bliznami, które najpewniej zostały po starciu z niedźwiedziem. Wyglądały paskudnie, jakby zwierzę próbowało rozerwać go na pół. Zaczynały się na wysokości ucha i czterema grubymi a szarpanymi ścieżkami biegły ku pępku, odcinając się niechętnie dla oka różem.

– Nie gap się tak, chłopcze. – Clive paznokciem próbował wygrzebać skawalony kurz z nosa. – Wskakuj do balii, póki woda ciepła.

Głęboki wdech pozwolił Morrisowi dojść nieco do siebie. Wiedział, że musi wziąć się w garść i działać. Do tego zaś potrzebował przemyć rany, a potem je opatrzyć. Kulawy i obolały niewiele mógł zdziałać.

– Taa, jasne... – mruknął.

Odwrociwszy się, trzęsącymi się dłońmi jeden po drugim odpinał guziki koszuli. Nogi miał jak z waty. Przed oczami majaczył mu obraz tego pozornie zwykłego człowieka, który bez blizn i w nieco innym anturazie wyglądałby istotnie jak uczonec, a nie awanturnik. Ale to nie jego blizny najbardziej zapadły w pamięć i zdziwiły Morrisa. To znaki na jego ciele. Dziwne zawijasy przypominające pismo, wpisane w geometryczne kształty ni to blizn, ni tatuaży. Kręgi, spirale i gwiazdy wyglądające jakby wypalono je żelazem, biegnące od barków aż po wierzchy dłoni. To dlatego Clive zawsze nosił rękawiczki – był bowiem poznaczony niczym rdzenny Amerykanin, lecz nie przypominało to niczego, z czym Morris spotkał się do tej pory. Żelazem znakowało się konie, niektórym przestępcom wypalano piętna, lecz to... to wykraczało poza wszelkie pojmowanie. Było nieludzkie, zdolne każdego bogobojnego chrześcijanina wprawić w odrazę i osłupienie.

– To, co widzisz, nie ma nic wspólnego z zabobonami, których uczyli cię w szkółce niedzielnej – Clive wciąż mówił tym samym spokojnym tonem. – Może kiedyś wyjaśnię ci, co znaczą te symbole i do czego służą.

– Nic się przed tobą nie ukryje? – Morris zdążył się już rozebrać i wślizgnąć do swojej wanny, robiąc co tylko było można, aby nie świecić przed towarzyszem prywatnymi częściami ciała. Pośpiech przyplacił wyciskającym łzy bólem.

– Jesteś jak otwarta księga.

– Co to niby ma znaczyć? – pobladły chłopak podkulił nogi i objął je ramionami.

Okropne pieczenie przetarć na stopach, ramionach i w pachwinach pozwalało mu skupić się na obecnej chwili. Choć krzywił się, to jego wzrok pozostawał pusty. Kontemplował ból. Akceptował go i pozwalał się oczyścić. Dopiero po chwili sięgnął po mydło i powolnymi ruchami zaczął mydlić dłonie.

– Przecież wiesz. Ludzie są jak konie, prawda? Wystarczy ich obserwować, żeby odczytać, co czują. Nie martw się, do wieczora stopy przestaną ci tak mocno doskwierać.

Rewolwerowiec wsunął się pod wodę, po czym wynurzył, przecierając twarz. Morris w tym czasie powolnymi ruchami mydlił rudą czuprynę.

– Clive?

– Chcesz o coś zapytać, to pytaj. Nie musisz mnie pytać o pozwolenie. To bez sensu.

Chłopak zatrzymał się i zerknął na towarzysza. Robił, co mógł, żeby nie dać po sobie pokazać przestachu, choć miał wrażenie, że to na nic.

– Clive, mówiłeś że człowiek nie może być sam. Że musi mieć kogoś, kto mu pomoże.

– Zgadza się.

– Czemu więc byłeś sam, kiedy się spotkaliśmy?

Clive uniósł brew i oparł się wygodnie w balii.

– Tak wyszło. Czasami ścieżki wiodą nas w różne strony.

Wymijająca odpowiedź nie zadowoliła Morrisa, a co więcej, zaniepokoiła go jeszcze bardziej. Nie dawał jednak za wygraną:

– A twoje zadania? Te, które wykonywałeś jako łowca nagród?

– Co z nimi?

– No... pracowałeś sam czy z partnerami?

Clive wyduł usta, sięgnął po mniejszy ręcznik, zmoczył go, po czym położył sobie na twarzy.

– Zwykle biorę ludzi do pomocy. Tak jest łatwiej, szybciej. No i jest do kogo gębę otworzyć.

– I co się z nimi stało? Czemu nie ma ich z tobą teraz?

Chwila ciszy, jaka nastąpiła po tym pytaniu, zawisła w pomieszczeniu, sprawiając, że woda w baliach zrobiła się jakby chłodniejsza. Morris zajął się myciem głowy, lecz piana dostała mu się do oczu, które momentalnie zaczęły piec. Skrzywił się i począł przemywać je wodą, lecz bez skutku. Dopiero kiedy wylał sobie wiadro ciepłej wody na głowę, poczuł odrobinę ulgi.

– Mieli pecha. – Clive odpowiedział na wiszące w powietrzu pytanie.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że jak działa się w tym fachu, to czasem robią się kłopoty. Czasem ścigany ma broń, czasem strzela lub wymachuje nożem. Czasem wsiada na konia

i ucieka. Łatwo wtedy o wypadek.

– To dlatego nazywają cię Kuloodporny? Bo giną inni, a nie ty, prawda?

Morris sam zdziwił się swoją bezpośredniością. Może to ból, może wstyd, a może było mu już wszystko jedno.

– To nie tak.

– Czemu zatem mam wrażenie, że zabrałeś mnie ze sobą właśnie w tym celu? Żebym przyjął kulę przeznaczoną dla ciebie?

Clive zerwał ręcznik z głowy. Obrzucił Morrisa podejrzliwym, pełnym irytacji spojrzeniem. W tej jednej chwili przestał sprawiać wrażenie normalnego i nawet bez swojego wyposażenia znowu wyglądał jak tajemniczy, cholernie groźny rewolwerowiec.

– Nie – warknął. – Nawet jakbym ci wytłumaczył, tobyś nie zrozumiał, więc nie próbuj. Masz u mnie dług i tylko to powinno cię interesować. I nie rozmawiaj z obcymi, bo kładą ci głupoty do głowy.

Nie odzywali się już do siebie. Od czasu do czasu słychać było plusk wody, kiedy jeden lub drugi płukał się z mydlin. Morris szorował stopy, próbując wymyć rany ze skrzepów, porwanej skóry i brudu tak mocno, że znowu zaczęły krwawić. Ból pomagał mu, dawał wytchnienie od trosk, ucieczkę.

Skończywszy, chłopak wstał, wytarł się i ubrał. Usiadł na krześle, sięgnął po zawiniątko z zasypką, żeby oprószyć nią rany. Najpierw zapiekło, potwornie. Po chwili przyniosło już odrobinę ulgi... Morris miał nieodparte wrażenie, że prawdziwy ból dopiero nadchodzi.

\* \* \*

– Pani Shelly Rice – żona właściciela hotelu wyciągnęła rękę do Clive'a. Ten zdjął kapelusz i ucałował dłoń kobiety. Choć uśmiechała się, jej oczy pozostawały smutne i odległe. Mimo to na uprzejmość rewolwerowca zareagowała dygnięciem. – A to moja córka, Mary. Stephen panowie już znają

– Morris M. Swithen – Morris potrząsnął ręką kobiety, całkowicie niepomny zaskoczenia na jej szczupłej twarzy. Kątem oka śledził krzątającą się po kuchni Mary. Mogło by się zdawać, że wygląda na nadąsaną, choć z jakiegoś powodu skrzywdzona wydawało się lepszym określeniem. Starła się omijać gości, nie patrzeć na nich.

– Panowie wybaczą, że podaję kolację w kuchni – oznajmiła pani Rice, poprawiając niesforny kosmyk brązowych włosów, który uciekł ze starannie upiętego koka. – Hotelowa restauracja i bar są chwilowo nieczynne.

Clive skinął głową i usiadł przy kuchennym stole.

– Proszę się nie przejmować – odparł, kładąc kapelusz na obrusie. – Dla kogoś, kto żyje w drodze, zwykła kuchnia i jej aromaty są warte stokroć więcej niż pozorny komfort wystawnych sal. Tak samo jak i dobre słowo pani domu, a nie kelnera czy barmana.

Kobieta odwróciła się, by ukryć pąs wykwitły na jej policzkach. Dyskretnie poprawiła szarą suknię i ze zdwojoną ochotą zajęła się podaniem posiłku.

Siadając przy stole, Morris obserwował rozmówców, zastanawiając się, co opętało Clive'a. Po raz kolejny się zmienił. Mówił spokojnie i delikatnie, a jego ton brzmiał niemal kojąco. Czyste włosy zaczesał do tyłu, przez co dało się zauważyć pierwsze oznaki siwizny na skroniach. Nie to, żeby był czarujący, lecz przez jego powierzchowność przebijały maniery człowieka obytego w towarzystwie.

Młody Stephen usiadł już przy stole, by nie przeszkadzać w krzątaniu. Tymczasem jego siostra ułożyła zastawę dla pięciu osób, przyniosła szklanki i nalała do nich nieco cydru. Po chwili na stole pojawiła się waza z aromatyczną zupą.

– Pan Rice do nas nie dołączy? – Clive sięgnął po łyżkę wazową. Zatrzymały go zdziwione miny pozostałych osób.

Pani Rice usiadła obok córki, złożyła dłonie do modlitwy. Przymknęła oczy, nie czekając, aż pozostali zrobią to samo.

– Mój mąż jest chory – odparła cicho. – Nie wychodzi ze swojego pokoju. Proszę się nie martwić, odłożyłam nieco stawy i dla niego.

Za przykładem gospodyni i jej dzieci Morris złączył dłonie. Zamknął oczy, czekając na rozpoczęcie modlitwy. Po chwili ciszy otworzył jedno oko, by zerknąć na Clive'a. Mężczyzna siedział z rękoma na stole, z kamienną miną czekał na współbiedników.

– Dobry Boże – odezwała się w końcu pani Rice. – Dziękujemy Ci za ten posiłek. Dziękujemy za gości w hotelu oraz za zdrowie. Błogosław im, aby odnaleźli drogę do Twojej miłości. Amen.

Clive chrząknął i, nie czekając już dłużej, nalał sobie zupy. Jadł wolno, choć sprawiał wrażenie, jakby robił, co mógł, by nie siorbać. Zapewne próbował pamiętać o manierach, którymi powinien kierować się przy stole, a od których odwykł, podróżując od miasta do miasta.

– Wyborna zupa – pochwalił Morris. – Niestety nie wyłowilem mięsa, choć z pewnością jest pyszne.

– Zupa jest na wywarze warzywnym. Mary ją przygotowała. Ale proszę się nie martwić, na drugie danie będzie potrawka z królika. – Pani Rice uśmiechnęła się w kierunku syna. – Stephen upolował go na prerii.

– Brawo, chłopcze. Królika trzeba umieć podejść – pochwalił Clive. – Albo dobrze strzelać do ruchomych celów. Najlepiej jedno i drugie.

– Jak jedno nie działa, to działa drugie – skwitował rezolutnie Stephen. – Strzelba taty jest bardzo celna – wskazał przeszkloną szafkę, w której zamknięto okazała dwururkę.

– Nie za ciężka dla ciebie, chłopcze?

Młody Stephen nie odpowiedział, tylko z pełną buzią wzruszył ramionami.

W garnku na kuchni bulgotała woda z kukurydzą, a w kociołku obok pod przykryciem dochodziła potrawka. Zapachy unoszące się w powietrzu przypominały Morrisowi świąteczne obiady, kiedy całą rodziną siadali przy długim stole, a matka podawała im jedzenie. Ich jadalnia nie była tak czysta, jak ta kuchnia, ani równie dobrze wyposażona. Tutaj na kołkach wisiały żeliwne patelnie i garnki. W przeszklonych szafkach zwisały gustownie zdobione łyżki i błyszczące noże. Firanki w oknach wyglądały jednak na wysłużone, podobnie jak obrus, którym pani Rice nakryła stół, a krzesła skrzypiały i prosiły się o odmalowanie, na półkach zaś dało się dostrzec zarysy usuniętych stamtąd ozdobnych talerzy.

– Nie mamy zbyt wielu gości ostatnimi czasy. – Pani Rice zwróciła uwagę na rozglądającego się Morrisa. – Od kiedy straciliśmy kontakt z Crucible, ruch w mieście zamarł. Okazyjnie tylko przyjeżdżają poganiacze bydła, ale przestali nas odwiedzać kupcy i górnicy. Handel srebrem opuścił te okolice, a w zamian zawitała bieda. Jesteśmy na granicy pustyni, więc okoliczne ziemie nie dają zbyt wielu plonów. Po prawdzie, ledwo nadają się do wypasania bydła.

– Przepraszam – Morris mruknął speszony. – Nie chciałem się gapić.

– Nie ma za co, takie są fakty. Musiałam sprzedać część zastawy, żebyśmy mieli na jedzenie. Dlatego tak się ucieszyliśmy panów wizytą. Niestety, jeżeli nic się nie zmieni, będziemy zmuszeni szukać innych sposobów, by przeżyć. Być może nawet opuścimy to miejsce.

Stephen stropił się, słysząc owe słowa, natomiast Mary odłożyła łyżkę na stół, a ta brzęknęła nieco zbyt mocno. Matka natychmiast zgromiła córkę wzrokiem, lecz równie szybko złagodniała.

– Co się stało z hotelowym barem? – Clive spróbował skierować rozmowę na nieco inne tory.

Morris miał już sięgać po dokładkę zupy, kiedy dotarło do niego, że dla gospodarzy nawet wodnisty wywar musi wyglądać niemal jak świąteczny posiłek. Cofnął rękę i choć czuł się nienasycony, również odsunął talerz od siebie.

Pani Rice zajęła się sprzątaniami ze stołu i podawaniem drugiego dania.

– Miejscowi – stwierdziła zdawkowo. – Na początku, kiedy ruch się zatrzymał, przychodzili do nas, by grać w kasynie. Ale szybko okazało się, że już nie mają za bardzo czego wydawać. Jednej nocy wybuchła bójka. Zabili krupiera i podpalił salę. Tylko cudem nie spalił się cały hotel, który własnoręcznie budowali mąż razem z teściem. Teraz musieliśmy odgrodzić się od tej części domu – kobieta spojrzała w kierunku szafy na zastawę, zza której wзираł kontur drzwi. – W wilgotne dni wciąż spalenizną.

– Nie próbowaliście czegoś zrobić? – Clive śledził wzrokiem krzątającą się panią Rice.

– Tu nie można nic zrobić – Mary odezwała się głosem pełnym napięcia – To przeklęte miejsce.

Pani Rice podeszła do córki i położyła jej dłonie na ramionach. Ten prosty gest sprawił, że stężone rysy dziewczyny nieco się rozluźniły. Dotyk matki zdawał się koić i dawać poczucie bezpieczeństwa.

– A co mogliśmy? – kobieta zapytała łagodnym tonem. – Kościół spłonął po uderzeniu pioruna, właściciel saloonu prowadzi dom publiczny, a szeryf brata się z lokalnym gangiem. Po pożarze mąż podupadł na zdrowiu, więc praktycznie nie zajmuje się już hotelem, w którym i tak nie mamy gości. Tylko grabarz jeszcze jako tako prosperuje, ale i on pracuje już głównie za wodę i ciepły posiłek. Mary ma rację, to miasto upada... już upadło i prawdopodobnie się nie podniesie.

Potrawkę z królika zjedli w ciszy. Choć przyrządzona była po mistrzowsku, to każdy kęs stanowił dla Morrisa wyzwanie. Wiedział oczywiście, że Clive opłaci ich pobyt, ale ciągle miał wrażenie, jakby objadał gospodarzy. Musiał przyznać, że z miejsca polubił panią Rice i jej rezerwowego syna. Nie potrafił też nie myśleć o Mary – współczuł jej uwięzienia w tym miejscu. Doskonale przecież znał jej beznadziejną pozycję. Sam kiedyś był uwiązany w domu rodzinnym, bez wielu perspektyw na przyszłość.

\* \* \*

Kował wolno kręcił korbą napędzającą terkoczący mechanizm rozwieraka. Wraz z mocniejszym naciąganiem kunsztownie wykonanych sprężynek i kół zębatach

profilowane ramiona urządzenia szerzej rozchylały szczękę Trávisa. Przerażone oczy mężczyzny łzawiły i robiły się coraz większe, jakby zaraz miały wybuchnąć. W daremnym poszukiwaniu ratunku panicznie łypały na wszystkie strony, do wtóru żałosnych jęków i rżenia.

Głowa Trávisa przytwierdzona była żelazną klamrą do oparcia mocarnego fotela skręconego z grubych, heblowanych belek. Podobnie ręce i nogi oraz tors. Nieważne, czy starałby się pokręcić głowę, czy wstać, żaden z tych wysiłków nie miał najmniejszych szans powodzenia. Mógł co najwyżej wic się jak mysz przytrzaśnięta ramieniem pułapki.

– Rozluźnij się, bo sobie krzywdę zrobisz – mruknął kowal, uważnie przyglądając się swojemu dziełu. – Nie zdołasz się wyrwać. Krzesło zrobiłem z dębiny sprowadzanej tu z Kansas, a okowy kułem z tego samego żelaza, z którego robią tory kolejowe. Pasy sam przygotowałem ze skóry wołu. Mocniejszych nie znajdziesz.

– Aaach – wyjęczał Travis.

Chrupnięcie zuchwy sprawiło, że mężczyzna wzdrygnął się i zamarł w oczekiwaniu na falę bólu. Kiedy ta nie nastąpiła, po jego policzku pociekła pojedyncza łza ulgi. Dopiero wtedy kowal przestał kręcić dziwnym mechanizmem zaczepionym o dżiąsła pacjenta. Sięgnął po chustkę i wytarł Travisowi wydzielinę cieknącą z nosa.

– Ech... Panie Martin, czy to na pewno bezpieczne? – Trevor zajrzał do kuźni. Podobnie jak Travis miał tłuste włosy i kilkudniowy zarost na ogorzalej od słońca twarzy. Mrużył oczy i mówił niewyraźnie, sepleniąc z lekka. Przytulał kapelusz do wypłowiałej koszuli przylepionej do chudego torsu.

Spomiędzy rozpalonych węgli paleniska kowal wyciągnął długie i wąskie szczypce. Choć nie były rozgrzane do czerwoności, to śmierdziały gorącym metalem, sycząc niczym zaskoczona żmija. Na ich widok Travis zaczął rzucać się tak, że metalowa obręcz na czole pokaleczyła mu skronie.

Kowal spojrzał tylko na niego z politowaniem i sięgnął szczypcami w głąb paleniska, by przyciągnąć do siebie garnek wypełniony bulgoczącą wodą. Wyjął ze środka jedwabną szmatkę, w której brzęczały błyszczące utensylia – młoteczek, dłuto i szczypce. Rozłożył je na stoliku roboczym, po czym sięgnął po butelkę ze spirytusem. Już miał zdezynfekować sobie ręce, lecz spojrzał na bełkoczący obraz żałości w postaci Trávisa. Palcami zatkał mu nos i wlał do rozwartego gardła solidną dawkę. Poczekał, aż pacjent przestanie się krztusić, skropił dłonie alkoholem i roztarł go między sękatymi palcami.



- Spiryt kosztuje ekstra – zwrócił się do Trevora.
- Może... pan też sobie chlapnie? Coby się ręce nie trzęsły.
- Nie pracuję po alkoholu. – Kowal przetarł czoło przedramieniem.

Sięgnął po młoteczek i dłuto, wsadził szpikulec do ust Trávisa. Pogmerał tam trochę, spojrzął uważnie, szukając odpowiedniego kąta. Stuknął metalowym młoteczkim. Pacjent zawył i wyprężył się, aż krzesło skrzypnęło, a po chwili opadł, oddychając chrapliwie. W tym samym momencie kowal uderzył jeszcze dwa razy, aż usłyszał chrupnięcie kości.

– I tu cię mam. – Uśmiechnął się z satysfakcją. Nie zważając na przeraźliwe jęki Trávisa, sięgnął po połyskliwe szczypczyki. Wsadził je do rozdziawionych ust, zacisnął na zębie i zaczął ciągnąć, podważając go to w jedną, to w drugą stronę. Opętańcze jęki pacjenta sprawiły, że konie w pobliskiej stajni zaczęły rzeć zaniepokojone i kopać w ściany boksów. W końcu, kiedy Travis był na krawędzi utraty świadomości, jednym szarpnięciem kowal wyciągnął ząb na zewnątrz.

– Twój brat miał szczęście – powiedział, pokazując Trevorowi czarny korzeń ociekający krwią i szarą ropą. – Jeszcze trochę i zakażenie mogło dojść do kości, a na to już tylko grabarz i *Zdrowaś Mario*.

- Dzd... – Trevor chciał coś powiedzieć, lecz słowa zamarły mu w gardle.

Zrobił się zielony, rozwarł szeroko oczy i wypadł z kuźni, zamieniając się w ludzką fontannę.

Clive zatrzymał się w porę, żeby uniknąć wymiotującego kowboja. Morris i Stephen niemal wpadli na niego, zajęci żarliwą dyskusją o życiu w mieście, koniach kowala i polowaniu na króliki.

Stanęli przed niewielkim budynkiem będącym niezwyklej połączeniem kuźni i pomocy stomatologicznej. Przez przybrudzone szyby widzieli palenisko, kowadło oraz żyłastego mężczyznę o kwadratowej szczęce i jasnej brodzie, który wycierał właśnie spracowane dłonie w skórzany fartuch. Obok niego stał drewniany fotel wyglądający jak wysnione w najgorszych koszmarach narzędzie tortur, więżące obecnie nieprzytomnego kowboja, któremu z przerażająco rozdziawionych ust ciekły krew z ropą.

– Ciekawe miejsce – skwitował Clive, patrząc na narzędzia kowalskie wiszące pod sufitem. Pięknej roboty szczypce, dłuto, młotki, piły oraz imadła. Na solidnych półkach z grubego drewna leżały posegregowane sztaby stali z opisaną zawartością węgla, żelaza oraz mosiądzu. Były tam formy, tygle do wytapiania surówki oraz wszystko, czego tylko dusza mogła zapragnąć, jeżeli chodzi o pracę z drewnem

i metalem. Wolne miejsca na ścianach wypełniały oprawione w ramki poźółkłe rysunki techniczne przedstawiające statek parowy pokryty stalowym pancierzem oraz kilka innych umykających zrozumieniu wynalazków.

Z jednej z półek kowal zgarął słoik zawierający brunatną substancję niewiadomego pochodzenia. Nabrał odrobinę na palec i ulepił z niej grudkę, a następnie wcisnął ją do rany.

– Co to?

Zielony na twarzy Trevor podpierał się o framugę drzwi. Nogi mu się trzęsły, a bladeść ust wskazywała, że zaraz znowu będzie wymiotował.

– Pasta mojej receptury – odparł kowal, zapychając ranę. – Kora dębu, czosnek, srebro, pleśń i płyn Lugola. Zabija infekcję kopyt, pozbędzie się też ropy z dziąseł. Brat ma się powstrzymać od alkoholu przez parę dni i przemywać gębę ostudzonym wywarem z kory dębu, aż mu opuchlizna nie zejdzie. Rozumiemy się? – Wprawnym ruchem zwolnił zabezpieczenie maszyny rozwierającej. Szczeka Trávisa klapnęła z taką siłą, że tylko cudem nie pokruszyła resztek poźółkłych zębów.

– Aha... – Trevor pokiwał głową.

– Dolar dwadzieścia – Doc Martin wytarł dłonie o skórzany fartuch i zaczesał do tyłu grzywkę jasną jak siano.

– Ma pan pięknego konia, panie Phillips – kowal wyszedł przed kuźnię, chowając do kieszeni fartucha uczciwie zarobione pieniądze. Z rozbawieniem obserwował, jak Trevor i Travis szli w kierunku miasta, podtrzymując się niczym para pijaków wracających z ostrej biby.

– A pan ma imponujące narzędzia – Clive wskazał dziwny fotel przyśrubowany do podłogi pośrodku kuźni.

– Tylko w ten sposób mogę utrzymać tych idiotów na miejscu. Po tym, jak jednego musiałem ganiać po całym mieście, żeby wyciągnąć mu szczypce z gardła, pomyślałem, że potrzeba mi ułatwić sobie nieco zadanie. Te przybory są niezwykle precyzyjne, a typ stali, z których je wykonano, bardzo rzadki. Nie mogę sobie pozwolić, żeby je stracić.

Clive pokiwał głową z uznaniem. Za jego plecami Morris i Stephen stali z rozdziawionymi gębami, w przerażeniu wpatrując się w fotel z piekła rodem oraz w plamy krwi wsiąkające w rozsypane wszędzie wióry.

– Martin Lee – kowal wyciągnął rękę do Clive'a. – Ale wszyscy mówią do mnie Doc.

– Nie dziwię się. A ja jestem...

– Clive Phillips. Tak, wiem, kim pan jest. Proszę tak nie patrzeć, wiadomości docierają nawet do tej zapyziałej dziury. To prawda, że mówią na pana Kuloodporny?

Clive uniósł brwi. Splunął na ziemię i wskazał stajnię.

– Mój koń tam jest?

Doc Martin pokiwał głową, akceptując niezbyt zręczną zmianę tematu. Bezceremonialnie klepnął Clive'a w ramię i poprowadził do wielkiego budynku z podwójnymi wrotami, ponad którymi lufcik prowadził na piętro wypełnione słomą.

Zarówno dom, kuźnia jak i stajnia należące do Martina Lee znajdowały się nieco na uboczu, tuż za miastem. Był stamtąd doskonały widok na zabudowania, na spalony kościół oraz obie drogi: wjazdową i wyjazdową.

– Mój wychowanek właśnie go oporządza – Doc wszedł pierwszy do stajni.

Jeszcze zanim zbliżyli się do budynku, Morris poczuł znajome zapachy koni i siana, co wywołało w nim zaskakujący cień nostalgii. Miał wrażenie, jakby na chwilę wrócił do domu, choć ta stajnia wydawała się o wiele lepiej zorganizowana niż zagrody na rodzinnym ranczu. Wszystko tu było idealnie zmontowane, oczyszczone i pomalowane. Siano czyste, a konie zadbane. Nawet charakterystyczny fetor wydawał się o wiele bardziej przyjemny niż gdziekolwiek indziej.

Rumak Clive'a stał w ostatnim boksie, spokojnie poddając się zabiegom. Wyczyszczone i wypastowane siodło wisiało na specjalnym stojaku obok. Dookoła konia krzątał się średniego wzrostu chłopak o mongoidalnych rysach. Uśmiechał się tępo i śpiewnie bełkotał coś pod nosem.

– Ten kretyń nie powinien dotykać konia – oburzył się Morris. – Jeszcze mu krzywdę zrobi.

Clive zgromił go wzrokiem.

– Niewiele wiadomo na temat tych ludzi – mruknął tonem zniesmaczonego wykładowcy. – Tyle tylko, że występują w niemal każdej rasie. Istotnie, są inni, zachowują się jak dzieci i krócej żyją, ale jak mu się przyjrzyysz, to zobaczysz, dlaczego Doc mu ufa.

Morris zamilkł. Spojrzał na kowala, po czym na stajennego. Chłopak podchodził do tak prozaicznej czynności jak wyczesywanie sierści z pieczołowitością, graniczącą z pietyzmem. Każdy ruch był dokładny, stanowczy, acz odpowiednio delikatny, i równocześnie masował znużone drogą mięśnie zwierzęcia.

– Brian zajmie się oporządzeniem – Doc Martin uśmiechnął się krzywo, najwyraźniej doceniając spostrzegawczość Clive'a. – Z tego, co widzę, to rumak

oficerski. Wojowniczy jest. Chciał mnie ugryźć.

– Gryzie każdego, kto się do niego zbliży – oznajmił Clive. – Poza mną... i z jakiegoś powodu również poza moim nieuprzejmym towarzyszem.

– I Brianem! – Morris dorzucił z fascynacją.

– Sprawdziłem mu kopyta – kowal westchnął, ruszając ku wyjściu. – Lewa tylna podkowa jest poluzowana. W lewej przedniej ma wrośnięty kamyk, jeszcze chwila i zaczniesz kuleć.

– Proszę w takim razie zadbać o jego kopyta – Clive poprosił, idąc za kowalem. – Oczyszczyć, podkuć na nowo, najlepiej podkowami pańskiej roboty.

– To będzie kosztowało.

– Jeżeli do kucia koni podchodzi pan tak samo jak do wszystkiego innego, to myślę, że warto za to zapłacić. Potrzebuję go w doskonałym stanie.

– Oczywiście – kowal lekko się uśmiechnął. – Będzie czysty, najedzony i podkuty. Zaznaczam, może to potrwać dwa, może trzy dni. Ale zaręczam, że warto poczekać.

– Nie mam tyle czasu – Clive mruknął z zawodem.

Doc Martin wskazał Stephena, który razem z Morrisem stali ciągle w stajni, podziwiając kunszt pracy Briana.

– Z tego, co widzę, zatrzymał się pan w hotelu. To i dobrze, przyda im się mieć takich gości, choć przez chwilę.

Clive uniósł brew.

– Mamy spodziewać się kłopotów?

– Nie, ale to da do myślenia tym, którzy źle życzą państwu Rice'om. Szkoda, bo to dobrzy ludzie są, a tu nie ma kto im pomóc.

– A pan?

Doc Martin podparł się pod boki i zmrużył oczy, patrząc w stronę miasta, za którym chowało się już zachodzące słońce.

– Musi pan zrozumieć, że Prosperity to mała miejscina jest. Kiedyś może i zasługiwała na swoją nazwę, ale teraz to dziura. Pokoje hotelowe stoją puste i niszczeją, a młoda Mary coraz mocniej jest nagabywana przez tutejszych kowbojów, którzy z poganiaczy bydła i górników stali się gangiem znudzonych oprychów. Wszyscy młodzi ludzie, którzy mieli cokolwiek rozumu w głowach, już dawno stąd wyjechali. Zostali tylko zbyt głupi lub zbyt uparci, by wracać do cywilizacji.

– Czemu więc państwo Rice'owie nadal tu siedzą?

– Może nie mają innego wyjścia? Może nie mają nic innego na tym świecie?

– Nie mogli skorzystać z kolei?

Doc Martin pokręcił głową i uśmiechnął się smutno.

– To krótki odcinek, tylko z dwiema stacjami krańcowymi. Jedna jest tu, druga w Crucible... Ale jak można się domyślić, pociąg od jakiegoś czasu już nie kursuje. Utrzymuję go w dobrym stanie na zlecenie właściciela kompanii wydobywczej, ale wątpię, żeby skład jeszcze kiedyś pojechał.

– Przywoził surówkę z kopalni?

– Tak jest. Woził też górników, zapasy, czasem pocztę. Po wojnie kompania Wilcamp wykupiła te tereny razem ze sztolniami. Świetnie sobie radziła. Mieli tyle pieniędzy, żeby wybudować tę linię, zwieźć tu materiały i na miejscu złożyć i lokomotywę, i cały skład. To chyba najkrótsza linia we wszystkich stanach i najbardziej zmarnowany wydatek wszech czasów. Szkoda gadać.

\* \* \*

– Zostaniemy tu kilka dni – Clive oświadczył beznamiętnym tonem.

Nadal zboląły Morris miał już wchodzić na podest prowadzący do hotelu Pyramid, lecz zatrzymał się wpół kroku.

– Wydawało mi się, że chcesz pospieszać – wydukał nieobecny tonem.

Przez okno zobaczył bowiem Mary Rice zajęta zapalaniem lamp w lobby hotelowym. Kiedy była sama, wydawała się nieco mniej spięta, a jej nieobecny wzrok wskazywał, że w wyobraźni znajdowała się zupełnie gdzie indziej. Tak właśnie musiały wyglądać muzy inspirujące malarzy do tworzenia wielkich dzieł.

– Tak, ale najwyraźniej Doc Martin potrzebuje trochę czasu – odparł Clive. – Ma też dla ciebie przygotowaną klacz i siodło, które odstąpi za niewygórowaną cenę. Na sprawnych koniach będziemy poruszać się szybciej, niż gdybyś miał wlec się za mną, dosiadając jakiejś szkapy czy innego muła. Zapewne chce nas przetrzymać w hotelu, żeby państwo Rice'owie coś zarobili, ale jeżeli robota ma być dobrze zrobiona, to mogę poczekać.

– Jasne... – Morris już nie słuchał. Urzekały go delikatne ruchy Mary, jej szczupłe dłonie oraz cień uśmiechu błędzący po zamysłonej twarzy. – Cokolwiek zechcesz, Clive.

– Idziemy do saloonu. Przestań robić maślane oczy i ruszaj za mną.

– Co? – chłopak się otrząsnął.

Clive pokręcił głową i westchnął ciężko:

– Mówię, że idziemy do saloonu. Chcę się napić, a nie mam zamiaru siedzieć tam sam.

– Może zagramy w karty?

– Pewnie – Clive uśmiechnął się półgębkiem, po czym ruszył chodnikiem. – Tyle że ty nie masz o co, a z powinności towarzyszenia mi do Crucible cię nie zwolnię. Ciesz się, że postawię ci drinka.

– Hej, Clive – Morris jęknął, człapiąc za nim. – Płacisz za mój hotel, za jedzenie, konia i teraz drinki. Czy to znaczy, że ja dla ciebie pracuję?

– Tak jakby. Ale zdaje mi się, że nie masz na co narzekać, prawda?

Chłopak nie potrafił zapomnieć, skąd wziął się przydomek jego towarzysza. Im więcej od niego dostawał, tym bardziej był przekonany, że w ten sposób Clive kupuje sobie kolejną ludzką tarczę.

– Nie podoba mi się to miejsce – syknął przez zaciśnięte zęby Morris, nieudolnie siłąc się na dyskrecję. – Co my tu robimy, do ciężkiej cholery?

Usiedli przy stoliku znajdującym się pod jedną ze ścian. Zajmowało go wcześniej dwóch miejscowych farmerów, lecz na widok posępnego rewolwerowca momentalnie dokończyli piwo i bez słowa zwolnili krzesła.

W saloonie panował zaduch prawie tak nieznośny, jak gwar przepelniony wrzaskami i wybuchami ryków tylko z pozoru przypominającymi śmiech. Zdawać by się mogło, że zebrana menażeria nie zwróciła uwagi na nowych gości, lecz Morris na tyle często bywał w podobnych przybytkach, że potrafił wyczuć subtelną zmianę w tonie rozmów. Czuł na sobie natrętne spojrzenia obcych.

Wnętrze lokalu bardziej przypominało zapuszczoną stajnię niż saloon, co samo w sobie kazało Morrisowi zastanowić się, czy konie lokalnego kowala nie żyły w lepszych warunkach i większej higienie. Pachniało też gorzej.

Podłogę pokrywała gęsta warstwa śmierdzących wiórów wymieszanych z piaskiem, wilgotna od różnorodnych płynów. Choć na sali dało się wypatrzeć kilka spluwaczek, nikt nie zwracał na nie uwagi, a co za tym idzie, nie trudził się, by ich używać. Miejscowi mieli upodobanie do żucia tytoniu, pluli nader często i gdzie popadło.

Bar wykonano z kilku desek przybitych do beczek, a mizerny wybór podłych alkoholi rozstawiony był na równie prowizorycznych półkach. Jediną oznaką cywilizacji w tym miejscu okazała się pianola, która samoistnie wyrzucała z siebie chaotyczne dźwięki, które nie składały się w spójną melodię.

Pomiędzy zapijaczonymi kowbojami i lokalnymi odrzutami z niedostępnej już kopalni srebra kręciły się damy lekkich obyczajów. One również pamiętały lepsze czasy. Czasy, kiedy było je stać na modne sukienki i fantazyjne treski z kolorowymi

piórami oraz perfumy sprowadzane z wielkich miast, upłynęły bezpowrotnie. Teraz zaś występowały w brudnych, poszarpanych widmach dawnych kreacji, z nasadzonymi na zawszone głowy potarganymi kołtunami oraz grubymi warstwami pudru mającymi przykryć posiniaczone twarze i szczerbate uśmiechy. Mimo to miejscowa klientela korzystała z ich usług, co i raz ciągnąc jedną czy drugą na kolana lub wychodząc do malutkich pokoików zlokalizowanych w korytarzu za barem.

Ignorując obawy Morrisa, Clive rozsiadł się wygodnie. Nie trudził się podchodzeniem do baru, tylko stuknął w stolik kułakiem i pokazał barmanowi, aby pofatygował się do niego.

– Ależ tu cuchnie – chłopak niepewnie usiadł na rozklekotanym krześle. – Jakby... trupem.

– Może jakiś tu leży – westchnął Clive.

Morris rozejrzał się zarówno z odrazą, jak i obawą. Musiał przyznać, że nie zdziwiłby się, gdyby gdzieś między stolikami można było potknąć się o rozkładające się ciało jakiegoś nieszczęśnika, zapitego i zapomnianego przez towarzyszy, lub ofiarę sprzeczki z nożem nadal wystającym spod żeber.

Kulawy barman zbliżył się do nich. Za pomocą brudnej ściereczki strzepnął ze stołu pozostałości po poprzednich gościach.

– Co podać?

– Whiskey dla mnie i chłopaka. Cała butelka.

– Się robi. Coś jeszcze? Może panienkę?

– Nie – odparł Clive zniesmaczony. – Tylko nie próbuj podawać żadnego syfu rozcieńczonego herbatą albo bejcą. Wyczuję, a nie chcesz, żebym wyczuł.

Barman zmrużył oczy i przygryzł przydługi wąs drażniący popękane usta.

– Coś się znajdzie.

Po chwili wrócił z zakurzoną butelczyną i dwiema szklankami. Rzucił też na stół powyginany talerz, a na nim podejrzanie wyglądające kawałki czegoś, co przypominało niedosmażony bekon.

– Zagrycha na koszt lokalu.

Morrisowi zrobiło się niedobrze na widok oślizgłych kawałków sinego mięsa. Podniósł jeden do góry i podejrzliwie obejrzał, jakby spodziewając się, że ten w każdej chwili może ożyć.

– Myślisz, że to jadalne? – szepnął, łypiąc na Clive'a.

– Myślę, że głodny człowiek zje wszystko. Całe szczęście jesteśmy po kolacji. – Odkorkował butelkę, powąchał i mruknął z uznaniem. – Jeżeli tu nie nasikał, to

raczej jest prawdziwa whiskey. – Napełnił obie szklanki, wznosił swoją, jeszcze raz powąchał, po czym wypił jednym haustem.

Morris zrobił to samo. Mocny i ostry w smaku alkohol o nieznośnym aromacie ziemi i starej beczki rozlał się po gardle, zabierając oddech i wywołując ostry atak kaszlu.

– A niech mnie... Smakuje jak czysty ogień!

Clive polał następną kolejkę. Niby nie interesował się ludźmi na sali, lecz Morris wyłapał, że co jakiś czas zerka w ich stronę, zupełnie jak podczas gry w karty. Dopiero teraz dostrzegł, że oczy rewolwerowca się wtedy zmieniały. Na chwilę mętniały, po czym przez ułamek sekundy można było w nich dostrzec odbicie osoby, na której skupił wzrok.

– Obserwują nas, prawda? – Morris syknął, pochylając się w stronę rewolwerowca.

– Nie zwracaj na nich uwagi. Uspokój się, pij. Zaraz ktoś do nas podejdzie.

– Skąd wiesz?

Clive nawet nie trudził się odpowiedzią, nie musiał. Niemal natychmiast zbliżyło się do nich kilku mężczyzn, lecz tylko jeden przysunął sobie krzesło. Usiadł obok Morrisa, bez pytania chwycił jego szklankę i wypił zawartość. Chłopakowi nieco ulżyło, choć udał oburzenie, na które i tak nikt nie zwrócił uwagi.

– Bry, panowie – nieproszony kowboj wychrypiął w ten sposób, w jaki mówią ludzie przyzwyczajeni do krzyczenia na innych. Właśnie tak wyglądali jego towarzysze – jak kukły bez woli, niczym smród ciągnący się za swoim panem. Pomarszczoną łysinę miał poznaczoną bliznami, podobnie jak przyozdobioną wąsami twarz. Z postury przypominał konia pociągowego.

Clive nie odpowiedział. Obracał w palcach do połowy wypełnioną szklankę, patrząc na świat przez pryzmat brunatnego alkoholu.

– Ty jesteś ten cały Kuloodporny Phillips? Ten łowca nagród, co to się zatrzymał w Pyramid? Dobry wybór. Mary to śliczna dziewczyna, a jej matka też jest niczego sobie.

Morris zagryzł zęby, czując iskierkę gniewu, która zatliła się w jego wnętrzu na wzmiankę o Mary. Patrzył to na intruza, to na Clive'a. Choć miał ochotę coś powiedzieć, to jakaś niewidzialna pętla coraz mocniej zaciskała się na jego gardle, powstrzymując go przed pochopnymi słowami. Z całych sił starał się nie pokazywać, że ma ochotę wstać i wyjść ze speluny, a potem uciec z tego przeklętego miasta. Niemal wszystko tu było brudne, groteskowe i totalnie spaczone.



Clive jednak pozostawał cicho. Przystawił szklaneczkę do ust i tym razem pił niespiesznie, delektując się każdym łykiem.

– To dobra whiskey... jak na taką dziurę – cmoknął z uznaniem, po czym przeniósł wzrok na łysola. – Nie zapraszałem cię do naszego stolika ani nie częstowałem drinkiem.

– No i?

– Wiesz, co się robi ze złodziejami?

– Nazywasz mnie złodziejem?

– Nazywam cię idiotą. Musisz nim być, skoro tu podchodzisz i robisz takie głupoty. Przyznam, że czuję się obrażony. Głównie dlatego, że oczekiwałem pojawienia się twojego szefa, a nie jego najgłupszego pacholka. A musisz być skończonym durniem, że robisz to, co robisz i nawet te drągale za tobą wyglądają jakby to wiedziały.

Przybyły rzucił gniewnym spojrzeniem na towarzyszy, po czym poczerwieniał z gniewu.

– A skąd wiesz, że ja tu nie jestem szefem?

Clive nie odezwał się nawet. Jego pełen powątpiewania, ironiczny uśmiezek wystarczył za odpowiedź.

Mina łysola stężała, a jego towarzysze spięli się, jakby wyczuwając myśli swojego przewodnika.

– Oszalałeś? – Pochylił głowę niczym pies gotujący się do skoku. – Wchodzisz do naszej knajpy i tak się do mnie odzywasz? Nas jest tu trzydziestu.

– Dwudziestu ośmiu – Clive odparł niewzruszenie. – Ale ty jesteś najbliżej. Myślisz, że dożyjesz, żeby sprawdzić, jak zareagowali koledzy?

Wahanie na twarzy kowboja nie umknęło uwadze Morrisa. Kątem oka zauważył, jak jego ręka powoli zbliża się do kabury. Przez myśl przebiegły mu słowa szeryfa o tym, by nie nosić tu broni, by nie sprawiać kłopotów. Clive oczywiście nie zastosował się do tego wskazania, ale prawda była taka, że wszyscy wokół byli uzbrojeni. Nawet za barem wisiała dwururka. W tym towarzystwie Morris zdawał się nagi jak noworodek.

– Phillips! – kobiecy głos przebił się ponad gwarem. – Clive pieprzony Phillips...

Wszyscy spojrzeli w stronę korytarza prowadzącego na zaplecze. Stała w nim niewysoka dama o ostrych rysach i zmierzwionych włosach, opadających kręconymi kaskadami na szczupłe ramiona. Nie wyglądała na miejscową prostytutkę. Sprawiała za to wrażenie, jakby sama skorzystała właśnie z czyichś usług. Głównie dlatego, że

tuż za nią stał młody kowboj o minie sugerującej skrajne wyczerpanie oraz bezgraniczne uwielbienie.

– A niech mnie... – stęknął Clive, kompletnie tracąc zainteresowanie dotychczasowym rozmówcą.

Tajemnicza kobieta przeszła chwiejnym krokiem w stronę stolika zajmowanego przez Clive'a. Miała na sobie mocno dopasowane spodnie, które w wulgarny sposób podkreślały kobiece kształty, co sprawiało, że wszyscy obecni gapili się tylko na nią, a raczej na jej krągłości. W pewnym momencie zdradziły ją niedopięte buty jeździeckie, które doprowadziły do utraty równowagi. Wpadła na łysola siedzącego obok Morrisa, ratując się przed upadkiem wsparciem o jego ramiona. Nachyliła się tak, że nosem niemal dotknęła jego czoła i posłała mu uśmiech pełen niespotykane równych, białych zębów.

– O, przepraszam, Jet... Jep...???

– Jebediah – mężczyzna mruknął, unosząc brwi.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki on również stracił zainteresowanie Clive'em.

– No właśnie, Jeb... widzę, że poznałeś mojego starego druha, słynnego Clive'a K. Phillipsa... – Zbliżyła usta do ucha kowboja i powiedziała udawanym szeptem. – K jest od Kaleb. Widzisz, jego rodzice, tak jak najwyraźniej i twoi, też czytali Biblię, ale ten tutaj w nią nie wierzy. Rozumiesz? Wyrzekł się Boga. Jest tym, no... apostrofem!

– Aha... – Jebediah skwitował, tonąc w ciemnych oczach rozmówczynie.

Ona zaś zwinęła się niczym wąż i już siedziała na jego kolanach.

– Słyszałeś kiedyś, Jebediah, o wiedźmach? Oczywiście nie takich, co to dzieci porywają i pożerają je w lesie. Mówię o takich prawdziwych wiedźmach. O takich, co czynią uroki, a nawet potrafią...

– Lepiej nic już nie mów, Cherie – Clive warknął z taką siłą, że kobieta się skuliła.

Morris nie poznawał go. Rewolwerowiec wydawał się spięty, jakby był gotów sięgnąć po rewolwery i rozpętać tu piekło. Lecz było coś w zachowaniu kobiety o imieniu Cherie, co trzymało jego niespodziewaną i niewypowiedzianą agresję na bardzo cienkiej wodzy. Morris przyznał, że nie widział jeszcze Clive'a w akcji, lecz zdał sobie właśnie sprawę, że nie chciałby prowokować tego doktora i pisarza, który postanowił zostać łowcą nagród.

– Ech, jak zwykle zero z tobą zabawy, Clive – Cherie pogłaskała Jeba po łysinie i zbliżyła się tak, że musnęła jego kinol lekko zadartym noskiem. – Zostawisz nasz,

Jebediah? Chciałabym porozmawiać z moim starym druhem. Wiesz, nadrobić zaległości.

– Jasne, Cher... – mężczyzna pozwolił jej zejść, po czym oddalił się razem z otępiałymi drabami.

Cherie uśmiechnęła się promiennie i przeciągnęła, głośno ziewając. Morris zwrócił uwagę, jak bardzo miała rozchełstaną koszulę przykrytą czarnym bolerkiem. Bezwstydnie prezentowała niewielkie, acz nadal kuszące krągłości kryjące się pod spodem.

Nie bacząc na wywołaną konsternację, Cherie odwróciła krzesło tak, by usiąść na nim okrakiem, ramiona ułożyła na oparciu.

– No to co, Clive, kochany? – mruknęła niczym kocica. – Co tu porabiasz?

Morris nie potrafił określić, w jakim była wieku. Z pewnością nie wyglądała jak dziecko, lecz do dojrzałości brakowało jej... czegoś. Wszystko w niej siało zgorzenie, było wulgarne, wyzywające i tak bardzo pociągające. To, jak patrzyła na mężczyzn, jak się wśród nich poruszała, a przede wszystkim, jak się nosiła sprawiało, że miejscowe kokoty rzucały w jej kierunku nienawistne spojrzenia i szeptały klątwy.

Clive nadal nie odpowiadał, więc zwróciła się do Morrisa. Już samo jej spojrzenie sprawiło, że chłopak oblał się pąsem. Pachniała alkoholem, papierosami i perfumami, co w połączeniu z całokształtem rozpalało wyobraźnię i poruszało lędźwia.

– Widzę, że masz nowego pomagiera – wydeła usta, udając zawiedzioną. – Zostawiłeś starą Cher gdzieś daleko w świecie i dobrałeś sobie tego tu rudzielca? – Mówiąc to, potargała czuprynę Morrisa. – Jak ci na imię, chłopcze?

– M... Morris.

Oszalała. Miała pełne usta, szerokie i ponętne. Usta, których linia...

– Hej! – pstryknęła Morrisowi przed oczami. – Obudź się. Mówię do ciebie.

– Tak?

– Pytałam, czy życie ci niemiłe.

Clive wypił jeszcze jedną kolejkę whiskey i odstawił szklankę na stół z takim impetem, że blat się zatrzęsł, a butelka niemal przewróciła.

– Za chwilę stracę cierpliwość... – warknął.

– No co ty, Clive? – mruknęła. – Ja tylko chciałam wiedzieć, co ten biedaczek zrobił takiego, że targasz go ze sobą. No, nie wygląda mi na zabijakę, chyba że to jakiś maniak, który z pozoru jest niczym dziecko, ale jak zostanie z kimś sam na sam, to ćwiartuje go na kawałki i pożera na surowo.

Morris wzdrygnął się, gdyż słowa Cherie zmroziły go do szpiku kości.

– J-ja... tylko...

– No dalej – nachyliła się do niego i musnęła paznokciem po brodzie. – Wyduś to z siebie.

– Dość! – Clive wstał od stołu. – Co tu robisz, Cher?

Kobieta zrobiła niewinne oczy. Sięgnęła po butelkę i wypła kilka łyków prosto z gwinta.

– Chyba nawet nie wiem, gdzie jest to „tu”. Znasz mnie przecież, Clive. Raz jestem tu, raz tam. Zresztą, tak jak ci obiecałam, zawsze będę w pobliżu – Przez jej twarz przemknęło coś niepokojącego. – Dla mnie to bez różnicy. Prędkiej czy później i tak dopnę swego.

– W takim razie słuchaj mnie uważnie. Nie wchodź mi w drogę i trzymaj język za zębami.

– Się wie – mrugnęła. – Cokolwiek pan Phillips rozkaże. Przecież nie chcę skończyć jak inni... a nie, chyba nie mogę. Swoją drogą, Clive, ciągle jeździsz na tym czarnym diable?

Rewolwerowiec nie odpowiedział.

– Tak, czuję jego smród od ciebie – westchnęła kobieta i jakby spięła się trochę. – Cokolwiek będziesz tu robił, niech ta bestia się do mnie nie zbliża. Rozumiesz? I ty, dzieciaku, też uważaj – zwróciła się do Morrisa. – Uważaj na tego tutaj i to cholerne bydlę, czy co to właściwie jest. Pożrą twoją duszę i wysrają resztki.

Clive warknął wściekle. Zerwał się z krzesła, jakby miał sięgnąć po broń, lecz zamiast tego ruszył do wyjścia, po drodze rzucając barmanowi dolara. Nikt nawet nie śmiał wejść mu w drogę. Morris zaś siedział osłupiały na swoim miejscu. Kiedy zdał sobie sprawę, że został sam z Cherie w barze pełnym kowbojów, nie bacząc na ból, wybiegł na ulicę.

– Clive! Hej, Clive – niemal nie mógł dotrzymać mu kroku. – Kim jest ta kobieta?

– Pracowaliśmy razem – Clive burknął przez ramię. – Dawno temu. To był błąd.

– Ale ja słyszałem... No słyszałem, że każdy, kto z tobą pracował, już nie żyje.

Clive zatrzymał się i obejrzał w kierunku saloonu.

– Jak widzisz, ona jest całkiem żywa.

– Nie rozumiem. Nic już nie rozumiem. Po co to wszystko? Naprawdę targasz mnie za sobą, żebym był twoją żywą tarczą?

– Coś ty powiedział?

Stali na środku pogrążonej w ciemnościach ulicy Prosperity. W pobliżu nie było nawet żywej duszy. Tylko z saloonu dobiegał radosny gwar i chaotyczne nuty rozstrojonej pianoli. Dla Morrisa nie miało to już żadnego znaczenia.

– Tak powiedział mi szeryf – uznał, że zagra w otwarte karty. – Podobno mówią na ciebie Kuloodporny, bo to inni zawsze obrywają za ciebie. A teraz mówisz, że ona jest jedyną, która przeżyła... To potwierdza te słowa, wiesz? Jak ja mam to rozumieć?

– Jak tylko chcesz.

– To nie jest odpowiedź, Clive! Czy ty myślisz, że jestem twoim niewolnikiem?

Clive zmarszczył nos. Morris mógłby przysiąc, że jego oczy błysnęły w ciemności.

– Myślę, dzieciaku, że oszczędziłem ci życie. Myślę, że miałem pełne prawo zastrzelić cię za kradzież konia albo odstawić do szeryfa, żeby cię powiesił. Myślę, że nie nadajesz się na partnera, więc nie masz się czym martwić, bo tylko ci, co ze mną pracowali, nie żyją. A ty ze mną nie pracujesz, ty dotrzymujesz mi towarzystwa. Wszyscy, którzy ze mną pracowali, prędzej czy później zdradzili lub zginęli. Ja potrzebuję asystenta, a nie partnera. Jesteś pomagierem, który ma mi pilnować konia. Przynajmniej do czasu, aż mnie nie wkurzysz tak bardzo, że jednak sam cię ubiję.

Morris nie wiedział, co w niego wstąpiło. Może to wieczne pomiatanie przez braci, a może to, że całe życie przed czymś uciekał. Wziął głęboki oddech i syknął:

– Jak chcesz, to strzelaj. Mam to gdzieś – po czym odwrócił się i poszedł w swoją stronę, zostawiając Clive'a samego w ciemności...



## ROZDZIAŁ 3

# UPIÓR W HOTELU

*...nie istnieje coś takiego jak rzecz nadprzyrodzona dla człowieka. Tak zwana historia stara nam się udowodnić, że tylko wyjątkowe jednostki naznaczone przez bogów potrafią dokonywać wyjątkowych czynów. Prawda jest zgoła odmienna. Ich wyjątkowość nie tkwi i nigdy nie tkwiła w darach bożych czy wysokim urodzeniu, wskazującym na pokrewieństwo z istotami wyższego rzędu, ani żadnej innej formie namaszczenia. Część z ich fenomenu wynika z wiary we własne możliwości, wiedzy bądź ich kombinacji, którą nazywamy szaleństwem. Cała reszta to kosmiczny zbieg okoliczności. Tak zwane przeznaczenie.*

*Tak samo jak Joanna d'Arc wyrosła z niczego, tak Achilles był ledwie jednostką, której przypisywano niezwykle właściwości. Rzecz w tym, że każdy posiada w sobie ową cząstkę przeznaczenia, swoistego potencjału do czynienia rzeczy wielkich. Jedni z niej korzystają, a inni nie. Wynika z tego, że o naszej wyjątkowości stanowi nie tyle wewnętrzna moc, co siła kajdan, które sami sobie nakładamy ku uciesze tych, którzy nas nauczają, jak to sprawnie robić.*

Clive K. Phillips, *Dzienniki zebrane*

Clive wrócił do hotelu. Zgrzytając zębami, wszedł na górę, otworzył drzwi do apartamentu i zatrzasnął je za sobą, nie bacząc nawet, czy hałas kogoś nie obudzi. Rzucił kapelusz na krzesło, na oparciu powiesił pas z bronią i podszedł do okna

zaciągnąć zasłony. Zanim to zrobił, spojrział przelotnie na niebo zasnuwane chmurami oraz wycierając zza nich niewyraźny sierp księżyca.

Usiadł na dwuosobowym łóżku i zajął się zdejmowaniem butów. Oddychał głęboko, starając się ostudzić emocje. Był przecież tak blisko, lecz im bliżej był odnalezienia Campbella, tym więcej przeszkód lądowało mu na drodze.

Wyciągnął z bagaży notatnik i ołówek. Zapalił lampę naftową, stojącą na małym biurku pod oknem. Usiadł, przekartkował dotychczasowe zapiski. Skupienie się na pisaniu zajęło mu o wiele dłużej niż zwykle. Zastanawiał się, co Cherie robiła w mieście, gdzie mógł podziąć się Morris i czy w ogóle wróci do swojej kwatery. Przede wszystkim myślał o tym, czy nie zmienić planów i z samego rana nie wyjechać z Prosperity. Za dużo się tu działo. Za dużo nieprzyjaznych oczu oraz rąk, zbyt szybko chętnych sięgać po broń. Szeryf ewidentnie był w zмовie z lokalnym gangiem, chciał wystawić Clive'a bezbronnego, namawiając go, by poszedł do saloonu nieuzbrojony. Rodzina Rice'ów wydawała się jedyną normalną w okolicy, podobnie jak kowal, choć ten robił, co mógł, aby zachować jako taką neutralność. W końcu zdobył sobie zaufanie i wdzięczność mieszkańców okolicy, wykonując dla nich zlecenia – zaczynając od podkucia koni, a na wyrwaniu zębów kończąc. Nie było w jego interesie podpadać komukolwiek.

Pisał. Myśli wypływały z niego w nieskończonym i niepowstrzymanym strumieniu świadomości. Pisał o Morrisie, o swoich planach z nim związanych oraz o zrzędzeniu nienawistnego przeznaczenia, które postawiło na jego drodze dawną znajomą.

W pewnym momencie zatrzymał się i nastawił uszu, ponieważ zdało mu się, że gdzieś w budynku słyszy przeciągły skowyt. Nie były to jęk ani westchnienie, tylko zawodzenie niepodobne do żadnego głosu, który mogłaby z siebie wydać istota ludzka. Dźwięk przycichł równie szybko, jak się pojawił.

Clive już miał uznać, że najwyraźniej mu się zdawało, kiedy zawodzenie powróciło. Brzmiało boleśnie, opętańczo, zupełnie jakby coś lub kogoś obdzierano ze skóry. Tym razem Clive złapał za rewolwer i, niosąc przed sobą lampę, wyrzwał na korytarz hotelowego piętra.

Światło z przydymionego klosza rzucało widmową poświatę, próbując przebić się przez zalegającą wszędzie ciemność. Nieznane Clive'owi postaci z obrazów spoglądały beznamiętnym wzrokiem. Stały na tle zielonych przestrzeni, tak bardzo niepodobnych do owej jałowej krainy, w której leżało Prosperity.

Ciągle nastuchując, zbliżył się do schodów. Kiedy skowyt powrócił, dało się już określić, że dochodził z dołu, z części budynku, w której mieszkała rodzina państwa Rice'ów. Przeczuwając niebezpieczeństwo, Clive pospiesznie zszedł na dół. Zatrzymał się w pół kroku tuż przy zasłonie, powieszony, by odgrodzić lobby od spalonej sali, w której mieściły się niegdysiejszy bar oraz kasyno. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że za wielkim płótnem musi znajdować się ruina, której wcześniej nie zauważył, a która była niczym ropiejąca rana na ciele rodziny Rice'ów. Nawet teraz zdawało mu się, że drażni go zapach popiołu, a gdzieś na skraju słyszenia dochodzi do niego trzask widmowych płomieni, które, choć zgasły dawno temu, wciąż płonęły w najgorszych wspomnieniach mieszkańców tego domu.

Potworne zawrodozenie odezwało się nieco bliżej. Tym razem dało się wyczuć w nim coś z ludzkiego głosu, choć zdeformowanego, pozbawionego wyrazu. Clive odciągnął kurek colta i, przyświecając sobie lampą, wszedł w korytarz prowadzący obok kuchni. Na jego końcu znajdowały się drzwi prowadzące do pokoi państwa Rice'ów.

Otworzył drzwi, Clive przeszedł do kolejnego korytarza, rozchodzącego się do pomieszczeń zamieszkałych przez młodą Mary ze Stephenem oraz do sypialni ich rodziców. Przelotnie zajrzał do dzieci, aby sprawdzić, czy są bezpieczne. W zaciemnionym pokoju dostrzegł Mary skuloną na łóżku. Ubrana w koszulę nocną i częściowo przykryta kołdrą chowała twarz w poduszce, a uszy zasłaniała tak, aby niczego nie słyszeć. Trzęsła się, tłumiąc szloch.

Stephen również nie spał. Wtulał się przerażony w kąt pomieszczenia, podkulając nogi pod brodę. Widząc światło i uzbrojonego rewolwerowca, chciał wstać, lecz Clive powstrzymał go gestem i poszedł dalej.

Stał przed drzwiami, zza których dochodziły opętańcze wrzaski. Już miał dotknąć klamki, kiedy drzwi otworzyły się i stanęła w nich pobladła pani Rice. Zobaczywszy Clive'a, rzuciła się w jego stronę, odsunęła rękę z bronią. Wypchnęła go na korytarz i pośpiesznie zamknęła za sobą drzwi.

– Proszę odłożyć broń, panie Phillips – szepnęła i poprawiała szlafrok. – Bardzo pana przepraszam, ale, jak mówiłam, mąż jest chory i bardzo cierpi.

Ciągle zaskoczony Clive spuścił kurek, cofnął się jeszcze dwa kroki. Przed oczami nadal miał obraz wnętrza pokoju państwa Rice'ów. Obraz, który wyrzył mu się w pamięci jak najgorszy koszmar, który kiedykolwiek mógłby go nawiedzić.

– To ja przepraszam – wyjąkał. – Myślałem, że jesteście państwo w niebezpieczeństwie.



– Dziękuję panu za czujność – Shelly Rice wzięła go pod ramię i poprowadziła do części dla gości. – Ale tu nawet lekarz nie pomoże.

Clive przytaknął nie do końca przytomnie. Tak, był w stanie się tego domyślić. Kiedy gospodyni życzyła mu dobrej nocy i zamykała przed sobą drzwi, on nadal miał przed oczami ten sam porażający widok. W łóżku małżeńskim oświetlony lampą leżał strzęp człowieka. Nie miał ani jednego włosa na ciele, a jego skóra wyglądała jakby się stopiła i zaczęła po nim spływać niczym wosk ze świecy. Cały pokryty był bliznami, a jedyne, co pozostawało w nim ludzkie, to oczy pełne bolesnej świadomości. Tak, ten mężczyzna próbował gasić pożar dorobku swojego życia, a zarazem domu swojego i rodziny. Niemal umarł podczas tej próby. Teraz zaś płacił okropną cenę za nieludzki wysiłek woli, który kazał mu przeżyć, w każdej chwili świadomości odczuwając ból spalonej skóry i uszkodzonych nerwów.

Zrozumienie spadło na Clive'a niczym niechciany ciężar. To dlatego rodzina Rice'ów nie mogła opuścić tego miejsca, była uwiązana do tego koszmarnego hotelu, tak samo jak ten kaleka był przykuty do łóżka, z którego zapewne już nigdy nie wstanie. Ile czasu będzie musiało minąć, zanim żona i dzieci zaczną życzyć mu śmierci, by mogli w końcu żyć?

Na równi uspokojony, co wstrząśnięty, Clive wracał do apartamentu. Nie zdążył nawet postawić nogi na schodach, kiedy od strony wejścia do hotelu doszło go pojedyncze łupnięcie w drzwi. Momentalnie wycelował broń w tamtą stronę i przyświecił sobie lampą. Zdawało mu się, że za przeszkleniem drzwi dostrzega majaczącą sylwetkę.

– Co jeszcze, do jasnej cholery... – zaklął pod nosem.

Zbliżył się i niemal natychmiast rozpoznał zarys sylwetki Morrisa, odcinający się na tafli szkła mętnego niczym mleko. Chłopak kiwał się na boki, a głowa opadała mu, jakby była zrobiona z ołowiu.

– No to żeś sobie popił, chłopcze – skomentował Clive i zatknął broń za pasek spodni. – Mam nadzieję, że już ochłonąłeś.

Podszedł do drzwi, odryglował je i otworzył.

Gdy bezwładne ciało Morrisa wpadło mu w ramiona, niemal upuścił lampę naftową. Clive przytrzymał chłopaka, byleby uchronić go przed upadkiem, ale nie zdołał utrzymać jego ciężaru i upadł wraz z nim na kolana.

Gdyby nie ruda czupryna, Morrisa trudno byłoby rozpoznać. Twarz miał brudną od krwi i piachu, z paskudnie pękniętą wargą i przestawionym nosem, dosłownie puchła w oczach. Pomiędzy strzępami ubrania na całym ciele dało się dostrzec liczne

sińce i zadrapania. Palce prawej ręki wyginały się pod dziwnymi kątami, a lewa noga zdawała się złamana poniżej kolana, ponieważ opuchlizna praktycznie rozsadzała nogawkę spodni.

Chłopak oddychał ciężko i chrapliwie. Szukał kogoś lub czegoś, na wszystkie strony łypiąc jedynym okiem, które mogło cokolwiek zobaczyć spomiędzy opuchniętych powiek.

Clive wyszarpnął broń zza paska i wycelował w stronę ulicy. Zdawało mu się, że słyszy stamtąd dochodzące dźwięki, lecz nie widział nikogo. Mimo wszystko omiótł wzrokiem okolice, gotowy otworzyć ogień do każdego, kto by mu się nawinął pod muszkę.

– Kto ci to zrobił? – wycodził przez zęby.

– N-n... nie... wiem – wychrypiał chłopak, opluwając się krwawą śliną.

– Dasz radę wstać?

Przerażony krzyk kobiety dał znać, że zaalarmowana rumorem pani Rice właśnie weszła do lobby i zobaczyła, co się stało. Podbiegła do Morrisa i zamarła, zasłaniając usta, by znowu nie stracić panowania nad sobą. Oczy jej zaszyły łzami, a gardło się zacisnęło i nie pozwoliło, by wydobyła z siebie jakikolwiek dźwięk. Dopiero kiedy zobaczyła Stephena biegnącego w ich stronę, pokręciła głową i przytrzymała go, żeby nie podchodził.

– Idź do swojego pokoju – powiedziała, odzyskując głos. – Powiedz Mary, żeby zagotowała wody i przyniosła opatrunki. Szybko!

Clive nadal trzymał głowę Morrisa na kolanach.

– Czy jest lekarz w mieście? – zapytał grobowym głosem. – Mogę po niego pójść.

– Niestety, panie Phillips. Jedyny, który był, wyniósł się jeszcze przed zimą.

Nie zwracając uwagi na obecność damy, rewolwerowiec zaklął siarczyście.

– Zabierzmy go stąd. Damy radę zanieść go do pokoju?

Shelly Rice przytaknęła. Wzięli chłopaka pod ręce i nie zważali na jęki, gdy targali go na piętro, a następnie tak delikatnie jak mogli, ułożyli na łóżku, podkładając poduszki pod pogruchotaną nogę. Wkrótce pojawiła się Mary razem z tacą, na której przyniosła dzbanek z wodą, alkohol, gazę, nici i bandaże. Wyglądało na to, że dziewczyna wie co nieco o opatrywaniu ran.

Połamane palce dało się nastawić, podobnie jak zwichniętą kostkę. Już w trakcie tych zabiegów Morris stracił z bólu przytomność. Wyglądał jakby stratowało go stado koni. Clive domyślał się, że Jebediah lub jego ludzie postanowili wysłać im subtelną aluzję. Po godzinie Morris był już w miarę czysty i opatrzony. Musieli go rozebrać,

ponieważ ubrania już się do niczego nie nadawały. Mary zdawała się nie zwracać uwagi na nagość chłopaka, za bardzo zajęta niesieniem pomocy. Nie mówiła wiele, lecz zwyczajnie robiła to, co należało. Kiedy wychodzili, zostawiając Morrisa, by odpoczął, powiedziała, że rano przyniesie mu śniadanie i rzeczy po ojcu, o ile znajdzie odpowiednio duże.

Clive odprowadził kobiety do schodów, po czym skierował się do swojego pokoju. Zamknął drzwi, podszedł do miski z wodą. Zasnęta krew nie chciała zejść z dłoni i musiał długo szorować, aby się jej pozbyć. Patrząc w lustro powieszony nad szafką, widział zmęczoną, ściągniętą troskami twarz. Twarz, na której odmalowywała się wewnętrzna walka pomiędzy tym, co uważał, że powinien zrobić, a tym, co chciał zrobić. Męczący go od jakiegoś czasu ból głowy wcale nie pomagał.

– Ech, ty durny sukinsynu... – mruknął do siebie.

Podszedł do pasa z bronią i wyciągnął z bandolierki jeden ze lśniących naboju. Uważnie go zlustrował. Opuszką palca wodził po symbolach kunsztownie wyrytych na łusce. Następnie sięgnął do bagaży, by wydobyć niewielki, prostokątny przedmiot owinięty w grubą tkaninę. W końcu zabrał nóż oraz lampę i po cichu przeszedł do pokoju Morrisa. Zamknął za sobą drzwi na skobel, tak aby nikt przypadkiem nie przerwał tego, co zamierzał zrobić.

Chłopak spał. Musiał spać, ponieważ pani Rice miała w domu buteleczkę wywaru z maku, używanego zapewne, by uśmierzyć ból męża. Zastosowali go również w wypadku Morrisa, gdyby miał obudzić się zdjęty gorączką. Nastawioną nogę usztywnili dwiema deseczkami, naprostowane palce uwięzili pomiędzy zawiązanymi bandażem kawałkami drewna.

Clive przysunął sobie krzesło, a przyniesione rzeczy położył na szafce nocnej, szczególną uwagę zwracając na nabój. Usunął tkaninę z przyniesionego zawiniątka i wydobył ze środka niewielką książeczkę oprawioną w grubą skórę. Wytarte, niegdyś złote litery wytłoczone na grzbiecie nie pozwalały odczytać jej tytułu. Na pożółkłych kartkach widniały odręcznie wypisane frazy, razem ze skomplikowanymi znakami geometrycznymi podobnymi tym, które Clive nosił na ciele.

Znalazłszy odpowiednią stronę, ułożył księgę na łóżku. Wyciągnął nóż i delikatnie rozciął bandaże opatrujące zdruzgotaną dłoń chłopaka. Przez cały czas mruczał do siebie litanie składającą się z dźwięków, które nie byłyby w stanie nic powiedzieć zwykłemu śmiertelnikowi. Robił to jednak z uwagą i wprawą, doskonale znając każdą głoskę oraz sposób jej intonowania.

Wziął do ręki nabój. Wodząc palcem po wypisanych na nim znakach, zdawał się je po kolei odczytywać. Kiedy skończył, położył go na piersi Morrisa, wziął nóż, zbliżył sztych do wnętrza dłoni chłopaka i naciskając, zagłębił go w skórze.

Niezwykłe precyzyjnymi ruchami ostrze poruszało się po liniach prostych, by przejść w łuki, a wraz z nimi tworzyć skomplikowane zawijasy. Clive wytyczył krąg, wpisał w niego znaki jak te wyryte na naboju, a których wersję ukazywała rycina w księdze. Dbał o każde nakłucie, każde najdelikatniejsze cięcie. Na koniec użył pozostawionych w pokoju utensyliów, by zdezynfekować ranę i sprawdzić, na ile dokładnie udało mu się odwzorować znaki.

– Dokonało się – odetchnął z ulgą.

Cały proces zdawał się odcisnąć na nim piętno zmęczenia. Późna godzina, emocje minionego dnia, a teraz to. Pozostała mu już ostatnia rzecz do zrobienia. Położył zatem rękę na naboju na klatce piersiowej Morrisa i wyszeptał ostatnie kilka słów.

Jak na komendę znaki na ciele Clive'a błysnęły widmowym światłem, podobnie jak ten wyryty na dłoni Morrisa. Małe ranki zaczęły zachodzić strupami, a kiedy te odpadły, zamieniły się w przedstawiające skomplikowany wzór blizny. Opuchlizna powoli zesza z uszkodzonych części ciała, a podeszłe krwią sińce zrobiły się fioletowe, czarne, po czym zaczęły blednąć, aż znikły kompletnie. Ciało Morrisa zdawało się nikać w oczach. Podłana tłuszczem skóra zrobiła się cienka, miejscami nawet uwidaczniając węzły mięśni. Jego twarz zarosła zaś rudą brodą, a kręcone loki opadły na skronie. W jednej chwili Morris zmężniał, przestał wyglądać jak chłopak, a stał się mężczyzną.

– Pożaluję tego... – mruknął Clive i wstał od łóżka.

Tam, gdzie wcześniej leżał nabój, znajdowała się tylko ołowiana kula otoczona rdzawym kurzem, oprócz zwiertzałego prochu będącym jedyną pozostałością po naboju.

\* \* \*

Podczas śniadania jedno krzesło pozostawało wolne, lecz Clive nie potrafił pozbyć się wrażenia, że tak naprawdę brakuje tam dwóch osób. Jakkolwiek miał pewność, że zabieg wykonany na Morrisie się udał i rany chłopaka zostały wyleczone, to nie wiedział, kiedy ten się obudzi ze względu na kombinację rytuału oraz użycie makowego wywaru. Ciężała mu również świadomość faktu, że za ścianą spoczywa przykutym do łóżka pan Rice. Zdjęty walką z bólem lub otumaniony balansuje na krawędzi szaleństwa, o ile już jej nie przekroczył. Kto wie, w jak straszne miejsca mógł

zawędrować jego umysł, dzień w dzień tonący w odmętach cierpienia. Ile świadomości w nim zostało? Ile z człowieka, którym kiedyś był?

Zarówno Shelly jak i jej dzieci wyglądali na niewyspanych. Położyli się przecież niewiele wcześniej. Clive nie zmrużył nawet oka, siedząc nad Morrisem i szepcząc mu do ucha skomplikowane formuły. Przyzwyczajony do niedogodności nie przejmował się zbyt czymś tak trywialnym jak zmęczenie. Miał przecież sposoby, by w krótkim czasie zaznać takiego samego odpoczynku, co w ciągu całej nocy.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało młodemu Morrisowi – pani Rice dołała sobie kawy, po czym podała dzbanek Clive’owi. – Powinien pan porozmawiać z szeryfem.

– Myśli pani, że ma to jakikolwiek sens?

– Nie – odparła całkiem szczerze. – Ale może pan się czegoś dowie.

Dzieci wydawały się na tyle zmęczone, że nie zwracały większej uwagi na toczącą się rozmowę. Mary walczyła z opadającymi powiekami, a Stephen bezwiednie przeżuwał ten sam kęs chleba już od kilku minut. Z tego też względu Clive nie przejmował się zanadto delikatnością poruszanego tematu.

– Szeryf i miejscowy gang to jedna klika – stwierdził.

Shelly nie odpowiedziała, tylko sięgnęła po kromkę chleba, żeby wyczyścić talerz z fasolowego sosu i żółtka.

– Tak – westchnęła i poprawiła niesforny kosmyk włosów, który muskał jej szyję.

– Pracują dla Howarda Wilsona. Ten okropny człowiek był jednym z udziałowców kompanii Wilcamp, do której należy kopalnia srebra w Crucible. Wynajmował większość z tych ludzi do ochrony. Pewnego dnia transporty srebra przestały docierać do Prosperity, a część jego ludzi osiedliła się tutaj na stałe. Później dołączyli do nich poganiacze bydła. Po pożarze Wilson zastraszył mieszkańców i osadził tu Lumleya jako szeryfa. Dzięki temu on i jego ludzie są praktycznie bezkarni.

– Jaki związek ma pożar z wyborem nowego szeryfa?

Dopiero kiedy sformułował nurtujące go pytanie, doznał olśnienia. Najwyraźniej pan Rice był nie tylko właścicielem hotelu, ale i poprzednim szeryfem w Prosperity. Shelly pokiwała głową, widząc, że zrozumiał, w czym rzecz.

– Tak czy inaczej, porozmawiam z Lumleyem – Clive odpowiedział za nią. – Zaraz po...

Odgłos kroków na korytarzu sprawił, że wszyscy obejrzel się w stronę wejścia do kuchni. Już po chwili w drzwiach stanął Morris. Nie tylko ubranie pana Rice’a go odmieniło. Włosy miał nieco dłuższe, tak że odruchowo odwinął rude loki za ucho.

Gęsta broda pokrywała wyszczupłą twarz, na której gościł niepewny uśmiech. Wydawał się wyższy o cal, może dwa. Nie znać po nim było nawet śladu odniesionych ran, co wprawiło w konsternację wszystkich poza Clive'em.

– Dobry Boże – pani Rice pobladła i przeżegnała się. – Nie może być!

Morris skłonił się na przywitanie i wskazał stół:

– Czy mogę? Jestem okrutnie głodny, jakbym z rok nie jadł.

Shelly pokiwała głową, a Mary wstała, by przygotować dla Morrisa zastawę. Zerkła na niego co chwila, to z przestraszaniem i ciekawością, to z fascynacją. Nawet Stephen nieco się rozbudził, choć wyglądał, jakby zobaczył ducha.

– Powiesz nam, co się wczoraj stało? – Clive przerwał niezręczną ciszę.

– Prawdę powiedziawszy, niewiele pamiętam – nie czekając na talerz, Morris złapał pajdę chleba i zaczął ją skubać na sucho. – Poszedłem na spacer, żeby oczyścić głowę. Pamiętam, że z kimś rozmawiałem, a potem... znalazłem się w hotelu. Chyba źle się poczułem.

Pani Rice patrzyła z niedowierzaniem na Morrisa, po czym zwróciła się do Clive'a poważnym tonem:

– Panie Phillips, pan z pewnością coś wie. To jakieś czary? Cud? Przecież Morris...

– ugryzła się w język, biorąc pod uwagę niezwyklej przemianę chłopaka. – Pan Morris jeszcze kilka godzin temu był umierający, no i...

– Umierający? – Morris wybełkotał z pełnymi ustami.

Zdziwienie okazało się słabsze niż głód, a talerz z jajkami na fasoli, który postawiła przed nim Mary, kompletnie zawładnął jego uwagą. Posłał jej rozbijający uśmiech, po czym zabrał się do pałaszowania śniadania, kompletnie niepomny pąsów wywołanych na obliczu dziewczyny.

– Panie Phillips – Shelly przygwoździła wzrokiem Clive'a. – Czy mogę prosić o rozmowę na osobności?

– Oczywiście.

Wyszli na korytarz, zamykając za sobą drzwi do kuchni.

– Nalegam – Shelly ściszyła głos. – Proszę powiedzieć, co właśnie się stało. Nie jestem ślepa ani głupia. Wiem, co widziałam w nocy i wiem, co widziałam przed chwilą. To ten sam chłopak, ale odmieniony, zdrowy i jakby nieco... zmężniał. Co to za cuda?

– To nie cuda – Clive skostatował, pociągając łyk kawy z kubka, który profilaktycznie zabrał ze sobą. Dał sobie chwilę, aby zebrać myśli. – To... zapomniana sztuka leczenia, stosowana w dzisiejszych czasach tylko w najdalszych zakątkach

planety. Polega na wprowadzeniu pacjenta w głęboki trans i wywołaniu reakcji ciała mającej przyspieszyć regenerację tkanek. Widziała pani, Morris wcina, aż mu się uszy trzęsą a to dlatego, że ciało potrzebuje strawy do uzupełnienia braków, które powstały podczas gwałtownej rekonwalescencji. To jest też powodem jego odmiany. Ciało potrzebowało siły, więc pobrało ją z tłuszczu.

Shelly zmarszczyła czoło, nie do końca dając wiarę pseudonaukowym tłumaczeniom Clive'a. Nic dziwnego, ponieważ przeczyły one wszystkiemu, co widziała w życiu, o czym słyszała, no i w żaden sposób nie było zgodne z dogmatami głoszonymi w kościele. Clive jednak powiedział to tak pewnie i takim tonem, jakby prowadził wykład w auli uniwersytetu, a nie tłumaczył domniemany cud gdzieś na zapomnianym przez Boga odludziu.

– Czy można to powtórzyć? – zapytała nieśmiało.

Nie musiała wyjaśniać, że pytanie dotyczyło jej męża. Clive był pod ogromnym wrażeniem, jak szybko kobieta przeszła od całkiem słusznego oburzenia domniemanym cudem do kwestii jego powtórzenia. Doprawdy musiała być zdesperowana. Zerknął w stronę drzwi do sypialni, gdzie zapewne znajdował się pan Rice. Z kuchni słyszał radosną rozmowę Morrisa ze Stephenem, a nawet cichy głos Mary.

– Musiałbym go obejrzeć – odrzekł po namyśle. – Ale nie mogę nic obiecać.

– To mi wystarczy.

Shelly sięgnęła do klamki i zaprosiła Clive'a do sypialni. Każda inna kobieta, nawet w takiej chwili, zachowałaby daleko posuniętą powściągliwość. Konwenanse wyraźnie zabraniały zapraszać obcego mężczyznę do prywatnych pokoi, zwłaszcza że Clive nie był ani lekarzem, ani kaznodzieją. Shelly Rice nie była jednak zwykłą kobietą i Clive musiał to przyznać w duchu. Podziwiał jej siłę, determinację i zdecydowanie. W nocy na widok poranionego Morrisa zareagowała krzykiem, lecz szybko przeszła do działania, a nawet zaczęła wydawać polecenia. Teraz po raz kolejny udowadniała swoją inteligencję i umiejętność szybkiego podejmowania decyzji.

Wnętrze sypialni spowijał półmrok, przez który przebijały cienkie snopy światła wpadające przez zaciągnięte zasłony. W gęstym zaduchu dało się wyczuć kwaśny zapach bandażu, wody z mydłem oraz ulotną woń goździków i szafranu. Na środku stało podwójne łóżko, w którym spoczywała przykryta kołdrą postać. Trudno było dostrzec szczegóły jej wyglądu, lecz nawet przy braku światła Clive widział świdrujące go oczy o wielkich białkach i dwóch czarnych punktach w miejscach spojówek. Spod

łóżka wystawała balia, a w niej leżały zużyte płaty gazy nasączonej sinobrazowym płynem.

Pan Rice oddychał spokojnie i głęboko, choć nawet niewprawne ucho mogło wychwycić fałszywą nutę boleśnie chrapliwego rzęzenia. Jego oddech przyspieszył, kiedy zobaczył obcą postać wchodzącą do pomieszczenia. Mężczyzna jęknął, poruszył się, jakby chciał ukryć swoje oblicze przed niespodziewanym gościem, lecz zrobił to z trudem, tak że łatwo było się domyślić, iż każdy ruch sprawiał mu ogromny ból.

– Paul, to jest pan Clive Phillips – Shelly powiedziała tak delikatnie, jakby zwracała się do chorego dziecka. – Mówiłam ci o nim. Jest naszym gościem. Przyprowadziłam go, ponieważ ma pewną wiedzę medyczną, która może ci pomóc.

Clive zbliżył się nieco.

– Dzień dobry, panie Rice.

– Mąż nie może odpowiedzieć – wyjaśniła Shelly. – Od czasu pożaru nie wypowiedział ani słowa. Rozumie, co się do niego mówi i reaguje, ale każdy ruch jest dla niego bolesny, tak jak i próby wypowiedzenia choć słowa.

– Rozumiem. Za pańskim pozwoleniem chciałbym pana obejrzyć.

Paul Rice poruszył się niepewnie, lecz wydał z siebie odgłos, który brzmiał jak zgoda. Clive podszedł do niego i stanął nad łóżkiem. Będąc już bliżej, dokładnie widział żaloszny strzęp człowieka leżący pod grubą pierzyną. Mężczyzna nie miał na ciele ani jednego włosa i tak jak zdawało się w nocy, jego skóra była pomarszczona, w całości pokryta jedną grubą blizną, kształtem przypominającą stopiony wosk. Miała ciemny kolor, jakby po części piekielny gorąc oraz dym zespoliły ciało tego biednego człowieka z popiołami dorobku życia. Pozbawione warg usta wyglądały jak cienka kreska, za którą kryły się pociemniałe zęby. Choć większość ran już dawno się zagoiła, na ciele dało się znaleźć wiele miejsc, z których wciąż sączyło się osocze. Pan Rice spoczywał więc w pościeli zlepionej własnymi wydzielinami, bez przerwy trawiony gorączką. Najpewniej cały czas czuł się, jakby lizały go płomienie. Piekło za życia. Clive wzdrygnął się na myśl, że jego biedna żona co noc leży z nim w tym samym łóżku.

Na stoliku nocnym znajdowały się brązowe buteleczki, kieliszek, szklanka i łyżeczki. Już po woniach unoszących się w pomieszczeniu Clive rozpoznał wywar z maku, spirytus i laudanum.

– Jeżeli pan pozwoli – zwrócił się do pana Rice'a. – Obejrzę pana rękę. Gdyby bolało, proszę dać znać.



Tak delikatnie, jak było to możliwe, ujął dłoń mężczyzny i uniósł ją do światła. Obrócił, przyjrzał się, a słysząc bolesne jęknięcie, odłożył ją równie ostrożnie. Miał już się wyprostować, kiedy niespodziewanie pan Rice poderwał się i złapał go za rękę. Trząsał się cały, lecz nie zwracał uwagi na ból. Jęczał coś i bełkotał nieskładnie, nie wydając z siebie dźwięków podobnych do ludzkiej mowy.

Ich oczy się spotkały, a Clive poczuł, jakby ktoś uderzył go młotem. Zachwiał się i zdjęty chwilową słabością niemal przewrócił, odsuwając się od łóżka.

Pani Rice przypadła do męża i skłoniła go, aby się położył. Trzęsącymi się dłońmi naląła do kieliszka laudanum i pomogła mu wypić zawartość. Dopiero kiedy się uspokoił, wyszli z pokoju.

– Przepraszam pana za to – powiedziała, przecierając czoło z zimnego potu. – Mąż na ogół leży spokojnie. Czasem tylko w chwili wielkiego bólu tak reaguje.

Clive nie odpowiedział. Na jego pobladłej twarzy nadal malował się wyraz zaskoczenia. To, co zobaczył w tych oczach, co wyczytał z nich i z myśli kłębiących się w głowie pana Rice'a, przeraziło go tak mocno, że nie potrafił jeszcze wydobyć z siebie ani słowa.

– Panie Phillips. Czy mojemu mężowi da się pomóc?

Clive odchrząknął, wyprostował się i poprawił kamizelkę. Spojrzał na Shelly wzrokiem pełnym współczucia. Już sam ten gest sprawił, że kobieta jęknęła żałośnie, straciwszy wszelką nadzieję.

– Niestety – odparł smutno. – Obawiam się, że ciało pani męża jest za bardzo zniszczone. Morris był ledwie poturbowany. Możliwe, że złamania nie zrosły się dobrze, ale poza tym nie odniósł poważniejszych ran. To, co można by zrobić dla pani męża, z pewnością stało się samoistnie w ciągu pierwszych miesięcy po pożarze. Bardzo mi przykro, ale moje sposoby nic tu nie pomogą.

– Niektóre jego rany nadal są otwarte – szepnęła ze łzami w oczach. – Wszystko go boli. Czasem... czasem ma wrażenie, że czuję to, co on. Tę pustkę, samotność w cierpieniu. Czasem nie śpię w nocy, bo mam wrażenie, że razem z nim wpadam w otchłań szaleństwa.

– Rozumiem – Clive pozwolił sobie położyć rękę na ramieniu kobiety. Ona podniosła zapłakane oczy, w których zalśniło coś, czego tam nie powinno być. Choć za drzwiami leżał jej na wpół martwy mąż, dotyk innego mężczyzny wywołał u niej gęsią skórkę. – Nie jestem lekarzem, ale myślę, że te rany już nigdy się nie zagoją. Pani mąż jest silnym człowiekiem, nawet bardzo silnym. Przeżył coś, czego nie mógł przeżyć nikt inny i teraz za to płaci. Bardzo mi przykro, lecz nie mogę mu pomóc.

– On chce umrzeć – szepnęła, spuszczać wzrok. – Wiem to.

Clive również to wiedział, lecz nie chciał upewniać pani Rice w jej przekonaniu. Ten mężczyzna dzień w dzień przeżywał tamten wieczór i tamten pożar. Był tu, lecz jego umysł utknął w najprawdziwszym piekle.

Wróciwszy do kuchni, zastali uśmiechniętego Morrisa żartującego z Mary i Stephenem. Sprzątali razem po śniadaniu, a chłopak, pomagając, podjadał jeszcze resztki ze stołu. Wyglądali niemal bez troski.

– Jak się czujesz? – Clive zapytał towarzysza.

– Głodny – Morris odparł z ustami pełnymi suchego chleba. – Ciągłe głodny. Ale jakiś inny... Sam nie wiem.

Szczerząc się błogo, podał Mary ostatni talerz. Odwróciwszy się, przetarł twarz dłonią i zamarł w bezruchu. Pod palcami poczuł brodę, a kiedy odsunął rękę od twarzy, zobaczył w jej wnętrzu znak, podobny do tych, które Clive miał wyryte na ciele. Jego mina stężała.

– Musimy porozmawiać – powiedział tonem, jakiego Clive wcześniej od niego nie słyszał.

– Coś ty mi zrobił? – Morris patrzył w witrynę sklepu, raz po raz palcami przeczesał brodę. Dotykał swoich policzków, powiek, a nawet sprawdził pasek spodni, aby upewnić się, że nie oszalał i naprawdę jest szczupły. – Nawet nie wyglądam jak ja – jęknął. – Nie mówię, że źle, ale nie jak ja.

– Jesteś sobą – zapewnił Clive, przypalając papierosa.

Spod kapelusza i zasłony ciemnych okularów obserwował ruch na ulicy, a zwłaszcza wyszukiwał kręcących się tu i ówdzie członków gangu. Specjalnie poprosił Morrisa o rozmowę na zewnątrz, aby wszem wobec pokazać, że się nie boi, ale i wy badać, czy nie zauważy kogoś, kto będzie szczególnie zdziwiony widokiem niedoszłej ofiary znajdującej się w bardziej niż dobrym i tak mocno odmienionym stanie.

– Co to za znak na mojej ręce? – Morris potarł kciukiem stwardniałą już bliznę. – Takie same widziałem na twoich ramionach.

Ciepły powiew suchego powietrza drażnił go, rozwiewając włosy łaskoczące w policzki i kark. Słońce grzało już od samego rana, a lazurowego nieba nie przysłaniała nawet jedna chmurka.

– To glif koncentrujący energię. Ryję je na nabojach.

– Po co?

Ruszyli drewnianym chodnikiem, korzystając z cienia oferowanego przez zadaszenia budynków. Morris nasunął na głowę melonik, byleby opanować niesforne kosmyki.

– To skomplikowane – Clive rzucił zdawkowo, jakby licząc, że to zakończy dyskusję. Próbował skupić się na panu Risie oraz jego przerażającym wręcz stanie, lecz tak naprawdę starał się odgonić zaprzatający głowę obraz Shelly, kształtu jej ust, spojrzenia, w którym czaiła się niewysłowiona potrzeba.

– Serio? A może jednak takie nie jest? Pamiętam, że ta cała Cherie mówiła coś o wiedźmach albo czymś takim...

– Co? – Clive otrząsnął się z zamyślenia.

– Mówię o Cherie i o tym, co plotła wczoraj wieczorem. Pamiętam też, że człowiek, którego ścigasz, brata się z mrocznymi siłami. Więc, patrząc na to wszystko, jak na dłoni widać, że coś tu cuchnie i to mocno. Kim wy wszyscy jesteście, do cholery?

– Daj spokój.

– Nie! – Nieco zbyt późno Morris zorientował się, że podniósł głos.

Rozejrzał się, uśmiechnął do gapiów, po czym kontynuował już nieco ciszej. – Nie. Nie dam ci spokoju. Albo mi to powiesz, albo pójdę i poszukam Cherie, żeby mi wszystko wytłumaczyła. Jestem przekonany, że ona wie całkiem sporo i powie więcej niż ty, przy okazji oszczędzając mi zagadek. Miałem ci towarzyszyć, ale nie było słowa o bezbożnych rytuałach.

Clive zacisnął usta. Kolejna już osoba tego dnia ciągnęła go za język, a miał wrażenie, że to dopiero początek. Już zaczynał żałować swojego czynu, który uważał za kolejny nazbyt litościwy wobec chłopaka.

– To żadne mroczne siły – wyrzucił z siebie. – Ta energia... Nazywam to magią potencjału.

– Nie rozumiem. Czym?

– Każdy z nas rodzi się, żyje i umiera. Jedni odchodzą wcześniej, kiedy inni później, taka jest kolej rzeczy. Zastanawiałeś się czasem, czemu niektórzy ludzie dożywają sędziwego wieku?

Morris wzruszył ramionami.

– Bo żyją... zdrowo? Bo Bóg...

– Bzdura – Clive splunął na ziemię. – To, że ktoś zdrowo żyje, to tylko dodatek. Można żyć zdrowo, a mimo wszystko poważnie zachorować albo napytać sobie biedy. Można co niedzielę chodzić do kościołka i odmawiać różaniec przed snem, a zdechnie

się na suchoty. Słyszałeś kiedyś o dziadkach, co to w wieku stu lat ciągle pływają na potańcówkach, choć całe życie pili, palili, nigdy się nie myli i żarli co popadło? Tak wyraża się ich potencjał. To jakby suma sił życiowych, farta i paru innych rzeczy, które nawet mi trudno jest pojąć, a jeszcze trudniej wytłumaczyć. To jakby twój czas na tym padole łąz. Jedni żyją długo, nigdy nie korzystając z potencjału, a inni uczą się go wykorzystywać.

– I ja niby mam taki potencjał? – Morris prychnął sceptycznie. – Chyba za dużo przebywałeś na słońcu.

– Każdy jakiś ma. Ty masz jeden z silniejszych, z jakimi się spotkałem. Już teraz mogę ci powiedzieć, że o ile nie narobisz strasznych głupot, to masz duże szanse dożyć późnej starości. Los będzie cię oszczędzał, zdrowie dopisze, nieważne, co byś robił, chyba że ze wszystkich sił będziesz chciał zginąć lub zrobić coś wyjątkowo głupiego albo spektakularnego.

Morris zatrzymał się, robiąc wielkie oczy, lecz jego wzrok ze zdziwienia szybko przeszedł w powątpiewanie, a potem w szczere rozbawienie.

– Chyba coś ci się pomyliło – zaśmiał się serdecznie. – O czym ty mówisz? Jaki fart? Już sam fakt, że cię spotkałem, to jakiś podły żart losu. Niewiele pamiętam, ale sam mówiłeś, że wczoraj zostałem poturbowany. A wiesz, co się stało, kiedy próbowałem uciec z domu? Koń mi uciekł!

– I co wtedy zrobiłeś?

– Przygotowałem się lepiej i znowu spróbowałem.

Clive spojrział na towarzysza, jakby ten właśnie wszystko wyjaśnił.

– Naprawdę nie rozumiesz? Wróciłeś do domu, bo nie byłeś gotowy na podróż. Może czekało cię ogromne niebezpieczeństwo, o którym nawet nie wiedziałeś. Już kiedy podjąłeś decyzję o pierwszej próbie, działo się coś, co ci zagrażało. Mówiłeś, że drugiego konia ugryzł wąż. Nawet za drugim razem ten cholerny grzechotnik postanowił stanąć ci na drodze i sprawił, że w rezultacie dotarłeś w miejsce docelowe nieco później. Przecież w farcie nie chodzi o to, żeby zawsze ci się udawało. Czasami coś musi się nie udać, żebyś nie miał większego pecha. A co, jeżeli są ludzie, którzy potrafią to zmienić? Manipulować losem? Naprawdę myślisz, że nasze spotkanie to przypadek? Ciekawe, co tamci woźnice by zrobili, gdybym tego wieczora nie miał ochoty na grę w karty.

Morris wzruszył ramionami:

– Jeżeli ci wierzyć, to nic.

– Nieprawda. Mogli cię skrzywdzić, a nawet zamierzali. Mogli uciąć ci palce, uszy albo przyrodzenie. Widzisz, Potencjał może cię uchronić przed krzywdą, ale nie musi. On zwyczajnie jest. Czasem nieświadomie z niego skorzystasz, czasem robi to ktoś inny i wtedy te siły znoszą się wzajemnie. Jedna ma szansę przemóc drugą, a wtedy ktoś przegrywa, cierpi albo ginie. Dlatego ludzie nie zwracają na to uwagi. Nasze losy nie są jednoznacznie zapisane, ale mają jakiś kierunek... potencjalny.

– A może gdybanie nie ma sensu, bo zgodnie z tym, co mówisz, nie mam władzy nad własnym życiem.

– Sęk w tym, że masz – Clive odparł z błyskiem w oku. – Bo potencjał to nie żaden bóg ani przeznaczenie, bo takowe nie istnieją. On adaptuje się do człowieka i zgodnie z jego wolą może też działać przeciw niemu samemu. Reaguje na podejmowane wybory, dostosowując się jak woda do szklanki. Zdarzają się ludzie bez specjalnego Potencjału, którzy ciężką pracą osiągają wielkie rzeczy, oraz tacy, którzy mają ogromny Potencjał, lecz nie potrafią nic z nim zrobić.

– I ty nauczysz mnie, jak z niego korzystać? Ten znak ma mi w tym pomóc?

– Nie – Clive pokręcił głową. – Nie miałem tego w planach, a zrobiłem to, żeby cię uratować. To jak dać dziecku pistolet do ręki. Konsekwencje mogą być opłakane. Ten glif miał na celu tylko umożliwienie odblokowania twojego Potencjału za pomocą tego, który magazynuję w moich nabojach. Niczym iskra zapalająca płomień pobudziłem twoje ciało do regeneracji, korzystając z tego, co masz w sobie.

– I te wycinanki mają taką moc?

– Aż tak trudno w to uwierzyć? Geometria znaków, ich konotacje kulturowe i kosmologiczne... Już dawno odkryto, że jako rasa ludzka jesteśmy kompatybilni z siłami wszechświata. Pewne rzeczy są nam przypisane niczym oddychanie czy sen. Jak się zapewne domyślasz, można manipulować nie tylko swoim, ale i czyimś Potencjałem, bo to właśnie zrobiłem w twoim wypadku. Potrzebowałem cię tylko naznaczyć tymi, jak to określiłeś, wycinankami. W teorii mogło to być cokolwiek. Mogłem dać ci prezent z tym znakiem lub wypowiedzieć odpowiednią formułę prosto do ucha. Czasu było mało, wybrałem ten sposób, który uważam za najpewniejszy i najbardziej trwały.

– Naznaczyć – Morris wzdrygnął się, przypominając sobie, jak znakuje się bydło i konie za pomocą rozgrzanego żelaza. – Zmieniłem się przez to.

– Bo w praktyce przespałeś parę miesięcy w kilka godzin.

– Jak to możliwe?

– Mówiłem, to skomplikowane. To dawne sposoby, w większości zapomniane już przez ludzi. Niektórzy tylko je pamiętają. Indianie sięgający do sił wszechświata za pomocą narkotycznych oparów, mnisi z Dalekiego Wschodu podczas medytacji, plemiona żyjące w najdalszych ostępach, gdzie nie dotarła jeszcze cywilizacja chrześcijańska. Każda rasa wykorzystywała to w inny sposób. Ja dokonałem kompresji czasu. Wziąłem kilka miesięcy z twojego życia i wcisnąłem je w kilka następnych godzin, tak abyś mógł się zregenerować.

– Czekaj... czyli zabrałeś mi mój czas? Uratowałeś mi życie, ale będę żył krócej.

– Mniej więcej. Czas jest w bezpośredniej relacji do Potencjału. Potencjał ma ogromny wpływ na twój czas. Kiedy kończy się Potencjał, twoje dni są policzone. Zakrztusisz się wykałaczką, dostaniesz krwawej sraczki, ukąsi cię skorpion lub zabije wierzyciel. Koniec i kropka.

– To strasznie skomplikowane.

– Mówiłem, sam jeszcze nie wiem, dlaczego nie umarłeś z głodu lub dlaczego przespałeś cały proces. Pewne rzeczy ciągle są dla mnie tajemnicą, choć badam je od lat.

Wyszli już z miasta i kierowali się w stronę kuźni. Popękana ziemia i nieliczne źdźbła wyschłej trawy trzeszczały im pod butami. Z daleka widzieli pomocnika kowala, który karmił konie, mówiąc do nich coś po swojemu, a zwierzęta ufnie reagowały na jego dotyk.

– Zatrzymajmy się na chwilę – poprosił Clive. – Rozumiem twoje wątpliwości, więc jeżeli własny przykład ci nie wystarczy, sprawię, że mi uwierzysz. Myślę, że tylko w ten sposób zrozumiesz, jakim zagrożeniem jest Campbell.

Morris podrapał się po głowie. Zdaje się, że po raz pierwszy usłyszał nazwisko człowieka, którego tropem podążał Clive.

– Jak? Zamienisz tego biedaka w żabę?

Clive spojrzał na towarzysza z politowaniem, jakby chciał mu powiedzieć, że nie zrobi tego, bo nie wziął ze sobą czapki w gwiazdki ani magicznej różdżki.

– Drwiny, jak widzę, mają na celu zamaskowanie tego, że boisz się odpowiedzi, chłopcze. Obawiasz się, że świat może być zupełnie inny niż ci się kiedykolwiek wydawało. Jesteś też ciekawy, ale nie chcesz po sobie tego pokazać, licząc, że coś na tym ugrasz.

Morrisowi zapało dech w piersiach, Phillips bowiem zawarł w kilku zdaniach dokładnie to, co aktualnie kotłowało się w jego wnętrzu.

– I do tego jeszcze słyszysz moje myśli?

– Nie, nie do końca. Pokażę ci. – Clive skinął w stronę stajni.

Pomocnik kowala nadal zajmował się końmi. Uśmiechał się do nich, przytulał, jak dziecko przytula ulubione zabawki, przy których czuje się bezpiecznie. – Widzisz tego nieszczęśnika. Co możesz mi o nim powiedzieć?

Morris wyduł usta. Zastanowił się chwilę.

– No... głupi jest.

– Nie bardziej niż ty teraz – Clive bezceremonialnie pacnął Morrisa w potylicę. – Skup się. Spójrz poprzez swoje uprzedzenia, tam, gdzie nikt nie ma ochoty patrzeć. Tam, gdzie nie patrzy ograniczony rozum, ale gdzie nie zaślepi cię współczujące serce. Nie ignoruj przeczucia. Nie oceniaj. Co podpowiada ci instynkt?

Morris przyjrzał się chłopakowi. Skupił na szczegółach. Na ruchach, wyrazie oczu i sposobie, w jaki obchodził się z końmi. Przyjrzał się jego ubiorowi: plamom na spodniach, koszulinie cerowanej w miejscach przedarc.

– Jest samotny – mówił wolno i cicho, a z każdym słowem czuł we wnętrzu wzbierającą kulę obcego ciężaru, jakby przyjmował na siebie cudze troski. Jakby przywdziewał na chwilę jego ciało. – Widzi świat inaczej niż my... Nie dostrzega w nim zła ani uprzedzeń, choć ludzie są dla niego niemili i potrafią go skrzywdzić. Nazywają go prostytutkiem, ale szybko zapomina o troskach. Skupia się na pracy ze zwierzętami. Jest... jak koń. Wrażliwy, ale silny. Kował się nim opiekuje niczym rodzony ojciec, ale on nadal pamięta swoich prawdziwych rodziców, którzy go odtrącili, bo się go bali – głos załamał się Morrisowi. Choć próbował przestać, fala emocji sprawiała, że nie potrafił powstrzymać się od mówienia. – Nie chodzi zbyt często do miasta, ale patrzy ukradkiem w tamtą stronę. Szczególnie upodobał sobie... Mary. Wzdycha do niej, choć nie rozumie tych uczuć. Ona przychodzi czasem tutaj, żeby pobyć przy koniach i wtedy spędzają razem czas. Jest jedyną osobą oprócz kowala, która okazuje mu życzliwość pozbawioną uprzedzeń.

– Brawo – Clive poklepał chłopaka po ramieniu. – Teraz rozumiesz? Nie wiesz, skąd te myśli przyszły do ciebie, ale im głębiej ich szukałeś, tym chętniej pojawiały się w twojej głowie. Część to intuicja, obserwacja, empatia, ale sam przyznasz, że jest w tym coś jeszcze. Coś niewytłumaczalnego. Na ten przykład, skąd wiesz o Mary? Widziałeś ją tu? Czy jest w tym obrazku jakikolwiek szczegół, który mógłby na to wskazywać? A może ci powiedziała?

– Nie...

Morris stał z rozdziawioną gębą, starając się powstrzymać drżenie rąk i łzy piekące go w oczy. Oddychał ciężko, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem.

– Co to jest? – szepnął. – Ten żal, który czuję.

– To przekleństwo osób świadomych istnienia Potencjału. Zupełnie jak zapach, na odległość wyczuwasz, jak silny jest w ludziach. Czasem masz tak, że się kogoś obawiasz, choć nie wiesz dlaczego. Czasem lubisz kogoś, choć nie zamieniłeś z nim nawet słowa, albo miewasz przecucia, że komuś stanie się krzywda. To właśnie czujesz teraz. Ty już wiesz, że temu biedakowi niewiele czasu zostało.

– On umrze?

– Może dziś, a może za miesiąc, nikt tego nie wie, oprócz tego, że jest to przesądzone.

Morris przełknął ślinę, lecz wielka gula zbierająca mu się w gardle robiła się tylko większa. Nie prosił o to. Nie chciał wiedzieć, czy ktoś umrze, czy będzie żył długo. Żaden człowiek nie powinien wiedzieć takich rzeczy.

– No dalej, chłopcze – Clive poklepał go po ramieniu. – Otrząśnij się i nie myśl o tym. Dopóki nie będziesz praktykował, większość z tych spostrzeżeń będzie dla ciebie nieuchwytna. Nie bardziej niż do tej pory, gdy grałeś w karty. Chodźmy.

Doc Martin przygotowywał właśnie pracownię do kucia podków. Krzątał się przy kuźni, znosił węgiel, układał narzędzia. Widząc nadchodzących Clive'a i Morrisa, zmrużył oczy i przesłonił je dłonią, ponieważ miał wrażenie, że wzrok płata mu figle.

– Co, do jasnej cholery... – burknął, przyglądając się Morrisowi. – Podróżuje pan również ze starszym bratem kolegi?

– Nie, panie Martin. To jest Morris, poznał go pan wczoraj.

Podali sobie ręce. Kowal uścisnął dłoń Morrisa. Jak zakłęty przyglądał się mu i badawczo otaksował od stóp do głów.

– Nie jestem ani stary, ani głupi. Twierdzisz pan, że ten okrągutki rudzielec w jedną noc schudł i wyrósł?

– To skomplikowane – Morris podrapał się po czuprynie. – Naprawdę. Nawet nie wie pan, jak bardzo.

– To cholernie dziwne, ot co. Ale nie takie rzeczy w życiu już widziałem – Doc Martin wrócił do oporządzania kuźni.

– Dziwniejsze niż to?

– Ano – kowal odparł zdawkowo, lecz widząc zaintrygowane spojrzenia obu gości, nie wiedzieć nawet dlaczego, postanowił nieco rozwinąć myśl. – To było coś, co naprawdę trudno jest wyjaśnić. Obawiam się, że wezmą mnie panowie za szaleńca, jeżeli powiem, co zdaje mi się, że widziałem.



– Panie Martin – Morris uśmiechnął się nieśmiało. – W ciągu kilku ostatnich dni spotkało mnie już niejedno, co umyka rozumowi. Proszę tylko spojrzeć na mnie.

Ewidentnie bijąc się z myślami, kował pokręcił głową. Po chwili słowa wypłynęły z jego ust, ciche, poważne, pełne nieokreślonego bólu:

– Byłem pod Gettysburgiem. Służyłem w regimencie generała Stuarta. Okrążaliśmy właśnie siły jankesów, kiedy natrafiliśmy na silny opór – Doc wskazał na Clive’a. – Pan Phillips jest z północy, prawda? Mogliśmy walczyć po przeciwnych stronach.

Clive pokiwał głową.

– Pod Gettysburgiem mnie nie było, ale nie raz i nie dwa widziałem szarżę kawalerii.

Doc Martin uśmiechnął się smutno, wbił pusty wzrok w ziemię.

– Daleko nam było do reszty wojsk, żadnych wiadomości od dowództwa, wykonywaliśmy manewr zdani tylko na siebie. Jechałem w drugiej linii, ramię w ramię z moim przyjacielem Mortem Koontzem. W myślach błagałem, żebyśmy tylko nie dostali się w pole ostrzału artylerii. Cholera, wychowaliśmy się razem z Mortem, a wojna sprawiła, że połączyła nas prawdziwie braterska więź. Zawsze śmialiśmy się, że razem zginiemy. Niepoprawny kobieciarz, miał słabość do mężatek. Nie zliczę, ile razy wyciągałem mu dupę z tarapatów... Pamiętam to jak dziś. Salwy z karabinów, kwik koni, gdzieś w dali grzmiały armaty. Nie wiedziałem nawet, kiedy razem z moim rumakiem zostaliśmy skoszni. Zleciałem z siodła i wpadłem w zasieki, raniąc się dotkliwie – to mówiąc, podwinął rękawy, by pokazać blizny pokrywające przedramiona gęstą siatką wypukłości i zagłębień. – Widziałem, że Mort i jego koń leżą niedaleko. Był w o wiele gorszym stanie niż ja. Przez jedną, potwornie długą chwilę patrzyłem, jak opuszczają go resztki życia. Krew lała się z przestrelonej piersi, miał wielką dziurę zamiast oczodołu, tak że widziałem bladą materię mózgu spływającą mu po twarzy... Nie było już mojego przyjaciela, ale wróg nadchodził. Próbowałem się wydostać z pułapki, a kiedy przeszła fala szarży, zostałem sam. Jankesi zaczęli wpełzać ze swoich okopów. Pierwszych dwóch położyłem z pistoletu, ale szybko wystrzelałem wszystkie kule. Biegli, by zakłuć mnie bagnietami, byli coraz bliżej. Widziałem już śmierć, jak po mnie idzie. Czułem na karku jej zimny oddech. Cieszyłem się nawet, że tak to się skończy, bo straciłem tam wszystko. Konia, przyjaciela, a teraz i życie. Dopadło do mnie trzech żołnierzy wroga. Jeden wsadził mi bagniet w ramię, drugi chciał poprawić prosto w serce... I nagle ich głowy potoczyły się po ziemi. Wpadł między nich nikt inny jak Mort Koontz. Wymachiwał szablą na

prawo i lewo, niepomny odniesionych ran i kolejnych, które pojawiały się na jego ciele. Rozumiecie? Kiedy odwrócił się do mnie tyłem, widziałem, że nie miał połowy głowy, ale nadal walczył, jak jakiś upiór powrócony z piekła! Teraz wiem, że spłacał wszystkie długi. Każdą burdę, każdy wymyk, kiedy napytał sobie biedy, a ja stawałem w jego obronie, każdą wspólną bitwę. Na koniec, kiedy nie było już kogo zabijać, odwrócił się do mnie. Zalany krwią patrzył jednym okiem, w którym nie znać już było życia. Skinął mi, ot tak, zwyczajnie, po czym padł jak ta lalka, co to odetnie się jej sznurki. Tego dnia widziałem chodzącego i walczącego trupa, więc to, na co patrzę teraz, nie jest dla mnie niczym dziwnym ani nawet strasznym. I nie, nie dbam, czy mi uwierzycie lub uznacie za pomyłeńca.

Clive nic nie powiedział, lecz Morris przełknął głośno ślinę w beznadziejnej próbie otrząśnięcia się z wrażenia, jakie wywarła na nim ta historia.

– Przykro mi, że stracił pan przyjaciela.

– Wielu ludzi tam zginęło, chłopcze... – Mina kowala stężała, kiedy wrócił myślami do chwili obecnej. – Tak jak mówiłem, konie będą gotowe jutro, może pojutrze.

– My nie w tej kwestii – wyjaśnił Clive. – Chciałem zapytać, czy ma pan broń?

Doc Martin podniósł wielki wór węgla, zaniósł go do pracowni, by cisnąć go obok paleniska. Przetarł dłonie ściereczką i wskazał szablę kawaleryjską wiszącą na ścianie.

– Jedyna, jakiej mi trzeba – odrzekł z dumą. Rozłożył materiał na pulpicie znajdującym się obok kowadła, a na nim skrupulatnie ułożył kilka rodzajów młotków, szczypiec oraz innych narzędzi.

Morris podszedł do szabli i przyjrzał się tabliczce znamionowej przytwierdzonej do pochwy. Napis na niej głosił: *Porucznik I Pułku Kawalerii Mortimer Koontz*.

– Nie o to pytam – Clive wskazał na Morrisa. – Czy można u pana kupić broń? Chodzi o chłopaka. Potrzebuje pistoletu, pasa, naboju. Nie wiedzieć czemu, ale w lokalnym sklepie ich nie ma.

– To jest szabla pańskiego przyjaciela? – Zainteresował się Morris.

– Tak. Moja pękła podczas upadku. Nie mogłem zabrać jego ciała stamtąd, więc wziąłem szablę. Nie miałem serca jej zakopać w pustym grobie. A co się tyczy broni, to owszem, nie dostaniecie jej w sklepie – Doc Martin oparł się o blat roboczy i zaplótł ręce przed sobą. – Gang... tfu! Szeryf Lumley zakazał sprzedaży. Niby żeby utrudnić życie gangowi Wilsona, ale po prawdzie to jest kompletnie na odwrót. Jego

ludzie i tak mają dostęp do amunicji. Chodzi o to, by mieszkańcy miasta czuli się bezbronni. Prawo pozwala na śrutówki do polowania na drobną zwierzynę i tyle.

Clive zmrużył oczy i spojrzął na kowala, a Morris już wiedział, że rewolwerowiec stosuje swoją sztuczkę, która nie jest do końca słuchaniem myśli. Po chwili uśmiechnął się przebiegle.

– Ale ty masz broń palną, prawda? Z solidnym zapasem amunicji.

Kamienna mina kowala nie zdradzała ani zaskoczenia, ani strachu. Nie obeszła go również nagła poufałość ze strony rewolwerowca. Zamiast cokolwiek powiedzieć, zajął się krzesaniem ognia w palenisku.

– W pułku byłem inżynierem, a zaczynałem jako rusznikarz – odparł po chwili. – Potrafię naprawić każdy pistolet i karabin, jaki mi pokażesz. Potrafię zrobić każdy nabój – ostatnie słowa przyszły mu z trudem. W oczach zabłysło bolesne wspomnienie, które sprawiło, że Morris odwrócił wzrok. Nie chciał zgadywać przyczyn tej emocji ani przyjmować na siebie jej ciężaru.

– Czyli możesz zrobić rewolwer?

– Rewolwer? – Doc Martin zaśmiał się szczerze. – Myślę, że żaden z nas nie ma na to czasu, bo na tym zadupiu więcej zajmie mi przygotowanie odpowiednich narzędzi niż właściwa robota. Ale w sumie to mam coś, czego od dawna chcę się pozbyć. Dajcie mi chwilę.

Zostawił ich w kuźni i poszedł do domu. Rozpalone drewno wymieszane z węglem trzaskało, rozgrzewając i tak ciepłe już pomieszczenie do temperatury powoli stającej się trudną do zniesienia. Po paru minutach Martin wrócił ze sporym zawiniątkiem. Z brzękiem rzucił je na stół.

Płótno skrywało solidny pas z czarnej skóry wraz z nabojami oraz olstrem, w którym spoczywał masywny rewolwer. Clive wyciągnął go i obejrzał dokładnie. Stojący za nim Morris zaniemówił z wrażenia, gdy zobaczył błyszczący metal pokryty gustownymi rytami w kształcie pnących się liści bluszczu.

– Rewolwer Pietta z 1858 roku – kowal wyrzucił z siebie jednym tchem. – Remington Texas Nikiel De Luxe kaliber 44. Mosiężna rama, rękojeść z orzecha, wykończony niklem. Duży, ładny i zabójczy. Choć to niedopowiedzenie, bo to najprawdziwsza armata jest.

– Piękny – Morris zagwizdał z podziwem. – Wygląda na ciężki.

Doc Martin wzruszył ramionami. Złapał z półki sztabę stali, wrzucił ją między węgle.

– Ciężki jest dobry. Możesz na nim polegać. Jak skończą się naboje, zawsze możesz nim kogoś zdzielić.

Clive posłał kowalowi pełne powątpiewania spojrzenie, jakby chciał powiedzieć, że na tym etapie przeżycie do momentu wykończenia naboju byłoby niezłym wyczynem ze strony Morrisa.

Temperatura wzrastała nieznośnie, a kowal na domiar złego zaczął dąć w miech. Rozżarzone węgle trzaskały, a w powietrze strzelały setki błyszczących iskier.

– Może być twój, jeśli go udźwigniesz. Dopiszę wam do rachunku.

Clive schował rewolwer do kabury i podał pas Morrisowi, ten zaś niewprawnie zaczął mocować się z powieszeniem go na biodrze.

– Chłopak ma rację, to piękna broń. Dlaczego ją sprzedajesz?

Doc Martin uśmiechnął się krzywo.

– Nastrzelałem się już w życiu. Więcej nie chcę. Wolę robić coś dla ludzi. Konie im kuć, wozy naprawiać i zęby wyrywać. Moja wojna już się skończyła, a jak kojoty się zakradną do koni, to mam dwururkę z solą. Ten rewolwer był mi zmorą przez zbyt wiele lat i czasem myślę, że jest tak ciężki nie ze względu na masę, lecz na mnogość dusz, które posłał na tamten świat. Czasem budzę się w nocy i zdaje mi się, że przy łóżku widzę wszystkich ludzi, którzy zginęli od jego kul. Niech kto inny weźmie na siebie to brzemie, zanim postanowię przetopić go na gwoździe.

– Zrobione – ucieszył się Morris.

Spojrzeli na niego krytycznie. Pas wisiał krzywo, lecz broń dobrze prezentowała się na prawym biodrze chłopaka. Chcąc sprawdzić, jak to jest, Morris wyszarpnął rewolwer z olstra i spektakularnie upuścił go na podłogę.

Kowal uniósł brwi i zwrócił się do Clive'a:

– Jesteś pewny, że chcesz mu go dawać do ręki?

\* \* \*

Huk wystrzału odbił się echem w małej dolince wyżłobionej przez wyschnięty strumień. Fontanna kurzu wzniecona przez pocisk uderzający o ziemię pojawiła się w pewnym oddaleniu od puszek ustawionych jako cele. Leżący nieopodal szkielet padniętego wołu przyglądał się nieudolnym popisom strzeleckim Morrisa równie beznamiętnie co Clive, po raz kolejny tłumaczący te same zasady.

– Za długo celujesz. Ściskasz spust, zamiast ciągnąć, i źle oddychasz. Przez to ręka się męczy i lufa jest wszędzie, tylko nie w celu. Rozluźnij się, do cholery. Spięty

będziesz wolniejszy. Spać musisz się na samym końcu, tuż przed strzałem, żeby nadgarstka ci nie pogruchotało.

Morris opuścił mdlejące ramię i schował rewolwer do olstra. Trafił dopiero za trzecim razem, a przy okazji poparzył sobie nogę gorącym metalem. Z wysiłku i spiekoty zrobił się czerwony na twarzy, przeciążony nadgarstek boleśnie błagał o litość. Chłopak przetarł rękawem pot z czoła, a następnie pochylił się, by złapać odrobinę powietrza.

Pożyczyli od kowala powóz i pojechali za miasto szukać miejsca do ćwiczeń, które trwały już dobre kilka godzin. Morris miał wrażenie, że wielokrotnie przekroczyli limit jego wytrzymałości.

Clive zaś podchodził do tematu czysto akademicko. Najpierw zrobił Morrisowi wykład o bezpiecznym obchodzeniu się z bronią, potem objaśnił budowę rewolweru oraz podstawowe czynności, po wielokroć podkreślając wagę konserwacji, a w szczególności czyszczenia mechanizmu spustowego oraz bębna. Następnie pokazał postawę, chwyt i wyjaśnił, jak oddychać podczas strzelania, jak szybko strzelać z biodra, a jak oddawać precyzyjne strzały. Kiedy przeszli przez wszystkie podstawowe techniki, Morris był już tak zmęczony i skołowany, że ledwo utrzymywał w dłoniach ciężki kawał żelastwa. Wystrzeliwane kule zaś trafiały wszędzie, tylko nie w stojące nieopodal cele.

– To cholernie ciężkie – sapnął. – A ta armata kopie jak wściekły muł.

– Bo to ciężka broń jest. Budzi respekt, ale jest też bardzo wymagająca. Jego waga sprawia też, że musisz polegać bardziej na sprycie niż na szybkości. Remington 44 powali byka, a człowiekowi zdmuchnie głowę z karku... o ile trafisz.

– Bardzo zabawne – Morris wyprostował się.

Strzepnął odrętwiałą dłoń, rozczapierzył palce bolące od odciągania kurka i przygotował się do strzału. Ustawił nogi w lekkim rozkroku, prawą wysuwając nieco przed siebie, pochylił się i zrotował biodra do przodu. Sięgnął po rewolwer, zacisnął palce na rękojeści. Wyciągnął broń, odciągnął kurek i zmrużył oczy, celując w puszkę.

– Bardziej się z tym pieprzyć już nie można – burknął Clive.

Ignorując przytyk, Morris wypuścił powietrze i pociągnął za spust. Zacisnął zęby, przygotowany na ogłuszający huk, lecz usłyszał tylko metaliczne kliknięcie.

Clive pokręcił głową zażenowany.

– Cholernie trudno strzela się bez naboju. Sześć, chłopcze! Zwykle oddasz sześć strzałów, o ile naładujesz broń! Czasem może być mniej, bo zdarzają się też

niewypały. Schowaj go i wracamy, na dzisiaj już koniec. W hotelu zjemy kolację, a potem zajmiemy się czyszczeniem, ładowaniem i rozładowywaniem broni.

Z nieukrywaną ulgą Morris schował pistolet.

– W książkach wydaje się to takie proste – westchnął. – Nie pamiętam, żeby ktokolwiek trzymał się przeładowywaniem albo czyszczeniem.

– W książkach są same bzdury. Wierz mi, kiedy mówię, że ludzie nie chcą czytać prawdy ani technikaliów. Lubią romantyczne historie o rewolwerowcach potrafiących odstrzelić musze skrzydła w locie i kładących przeciwników jednym strzałem. Tymczasem muchy za cholerę nie trafisz, a człowiek zwykle umiera długo i w męczarniach. Życie jest brudne i okrutne, a czytelnicy wolą historie, które przeniosą ich do lepszego świata niż znój i gnój, w którym codziennie brodzą.

– Ale ty jesteś pisarzem.

– No właśnie – Clive ruszył w stronę powozu. – Więc wiem, co mówię. Dlatego też piszę o rzeczach niesamowitych, bo nie muszę nic koloryzować. One same z siebie są już dziwne i pozornie nierealne. Bo widzisz, ludzie lubią też tajemnicę i lubią się bać. Pod pozorem zmyślonych opowiadań mam zamiar przekazać im odrobinę prawdy o tym, czego nie widzą na co dzień, a co czai się w ciemności.

– Tak jak ta twoja sztuka leczenia?

– Regeneracja to tylko skutek uboczny tego, co zrobiłem. Ale nie, nie piszę o Potencjale ani o możliwościach, które daje.

– Dlaczego?

– Nie domyślasz się?

Morris zatrzymał się wpół kroku. Oczywiście, że rozumiał. Sam zaczął się zastanawiać, jak w ciągu tego dnia wiele rzeczy przychodziło mu łatwiej. Umysł zdawał się lotny, a zadziwiająco klarowne myśli nieprovokowane wpadały mu do głowy.

– Campbell – skonstatował. – On korzysta z tych zdolności, ale w złych celach, prawda?

– Zgadza się. Czasem zastanawiam się, czy chrześcijanie wyparli dawną magię dlatego, że zagrażała ich władzy, czy po to, by niepowołani ludzie nie mieli do niej dostępu. W ciągu setek lat magię zastąpiliśmy mieczami, bronią palną i maszynami na parę. Dodaj do tego potwory sprowadzane z innych światów lub zrodzone z koszmarów udręczonej duszy, a będziesz miał namiastkę tego, do czego zdolny jest Campell. To diabeł wcielony.

– A więc to jest magia?

– Czary, magia, zaklinanie, uroki, nazywaj to, jak chcesz. Dla mnie to kolejna gałąź nauki o prawach rządzących światem.

– Zatem naprawdę jesteś wiedźmą.

Podeszli do znajdującego się nieopodal powozu. Ciągący go muł patrzył tępo w przestrzeń widoczną pomiędzy zaslepkami, bezmyślny wzrok skupiając na kępce wyschniętej trawy. Clive wspiał się na kozła i wziął lejce.

– Jestem naukowcem, który coś odkrył i teraz z tego korzysta. Jeżeli pytasz, czy czczę szatana, to odpowiem ci, że nie wierzę w takie bzdury. Wierzę w wiedzę, a tę zdobyłem dzięki wieloletnim badaniom i eksperymentom. Oczywiście, jeszcze niedawno jakiś purytański fanatyk z pewnością spaliłby mnie za to na stosie. Powoli jednak zbliżamy się do dwudziestego stulecia, a to czas, aby odłożyć zabobony na bok. Wierzę, że będzie to wiek umysłu i wielkich wynalazków.

– Dlatego wyruszyłeś na zachód. Z dala od cywilizacji, żeby kontynuować swoje eksperymenty?

– Nie. Dlatego Campbell wyruszył na zachód. Ja idę za nim i w końcu go dopadnę.

– Nie lepiej skupić się na nauce? Skoro chcesz, żeby świat poznał magię, to czemu jej nie uczysz?

Clive zamilkł, a jego twarz spowił cień.

– Najpierw Campbell, potem wszystko inne. Ten człowiek to zdrajca bez honoru, sprzedawczyk i morderca...

Ruszyli ścieżką prowadzącą wzwyż ku płaszczyźnie prerii. Dopiero kiedy byli już u szczytu wyjazdu, Morris przestał rozmasowywać nadgarstek, sięgnął na tył powozu w poszukiwaniu manierki. Wyjął ją z podróznego kosza, pociągnął solidny łyk wody i spytał Clive'a, czy ma ochotę. Kiedy ten odmówił, chłopak odłożył butelkę. Podnosząc wzrok zamarł, czując, że woda podchodzi mu z powrotem do gardła.

– Clive... jedź szybciej – jęknął łamiącym się głosem.

– Co znowu?

– Jedź szybciej, mówię!

Clive obrzucił Morrisa rozdrażnionym spojrzeniem, lecz widząc jego pobladłe oblicze, zerknął za siebie.

Z południowego wschodu nadciągała gigantyczna burza piaskowa. Potężne chmury kurzu, wzbudzone przez szalejące porywy wiatru, przysłaniały cały widnokrąg, nieubłaganie zbliżając się w ich stronę. Pojedyncze wyładowania piorunów tańczyły w dali, podświetlając chmury od środka.

Popędzony muł zawył w proteście, lecz smagnięty lejcami zaczął szybciej przebierać kopytami. Im bliżej byli miasta, tym wyraźniej widzieli popłoch wśród mieszkańców. Ludzie chowali dobytek do domów, ryglowali okiennice i zasłaniali witryny panelami zbitymi z desek.

Pomocnik kowala zamykał właśnie stajnię, nieporadnie krzątając się z żalną miną wykwitłą na mongoidalnym obliczu. Zdążyli jeszcze do niego podjechać, wprowadzić wóz do środka i zamknąć muła w oddzielnym boksie. Nigdzie nie było widać Martina.

Przygryzając palce, spanikowany Brian podreptał do domu.

– Wygląda na przerażonego – stwierdził Morris.

– Brian! Hej, Brian! – Clive zatrzymał chłopaka. – Gdzie jest Doc Martin?

Nawet skulony, wychowanek kowala dorównywał wzrostem Morrisowi, lecz był o wiele szerszy w barkach. Przyciskał palce do posiniałych ust. Jego rozbiegane oczy czerwieniły się od łez.

Morris przełknął ślinę na wspomnienie tego, co czuł, kiedy wcześniej obserwował chłopaka. Otworzył się teraz ponownie na jego aurę i objął go ramieniem, prowadząc do domu.

Pomogli zamknąć wszystkie okiennice. Przerazenie Briana wydawało się już niemal namacalne, promieniowało od niego niczym ostry, drażniący zapach. Czuł się opuszczony. Zabrano mu coś. Jedyłą podporę podtrzymującą chyboczący most życia, po którym się poruszał.

– Brian – powiedział łagodnie Morris. – Gdzie jest Doc Martin? Co się z nim stało?

Chłopak jęknął żałośnie.

Będąc blisko, Morris wyczuwał u chłopaka pustkę, jaką powinien wypełniać Potencjał. Próbował patrzeć, odgradzając się od współczucia, skupiać się na uczuciu zagubienia i strachu.

– Zabrali – odpowiedział bełkotliwie Brian. – Pan szeryf i inni tu przyszli. Krzyczeli na Doca. Od pracy go oderwali. Powiedzieli, że źle robi, że wam pomaga.

– Do aresztu go zabrali?

Brian nie odpowiedział, lecz trzęsącą się dłonią wskazał dokładny kierunek, w którym znajdowało się biuro szeryfa.

Clive z Morrisem wymienili spojrzenia. Zasłonili twarze chustami i pobiegli w kierunku miasta w milczącym porozumieniu, targając za sobą przerażonego Briana. Morris nie miał serca zostawić go samego w domu kowala. Choć upośledzony



chłopak początkowo upierał się, że poczeka na Martina, wystarczyła jedna wzmianka o Mary, by już nie protestował.

Przemierzając opustoszałą ulicę, musieli przekrzykiwać się z upiornym wyciem wiatru i osłaniać oczy przed ostrymi niczym szkło drobinkami piasku. Burza deptała im już po piętach, a porywy wichury próbowały pozbawić ich gruntu pod nogami. Coraz bliższe grzmoty brzmiały niczym pomruk wściekłego olbrzyma gotowego stratować wszystko na swojej drodze. Gonieni przez chmurę pyłu wpadli do hotelu w ostatniej chwili. Zatrzasnęli za sobą okiennice chroniące drzwi i zaryglowali wejście. Suchość w ustach i wszędobylski piach wywołały ataki duszącego kaszlu. Brian jako jedyny nie miał ani kapelusza, ani chusty, dlatego usiadł pod kontuarem kompletnie zdezorientowany. Morris musiał mocować się z nim niczym z młodym bykiem, byleby nie pozwolić mu trzeć oczu.

– Mieliliśmy farta – wycedził, wypluwając drobinki piasku chrzęszczące mu między zębami.

– Nie ma czegoś takiego jak fart – odparł Clive. – Tu zadziałały zupełnie inne siły. Myślisz?

Clive zamarł. Uniósł palec do ust w ostrzegawczym geście. Dopiero teraz spostrzegli, że nigdzie w pobliżu nie ma pani Rice ani jej dzieci, a w powietrzu unosił się swąd kłopotów poważniejszych niż burza piaskowa przetaczająca się nad miastem...



## ROZDZIAŁ 4

### BANSHEE

*...styszałem o ludziach, dla których śmierć nie wyznaczała ostatecznej granicy. Widziałem fenomeny natury, będące połączeniem najgorszych i najbardziej zapalczywych żywiołów. Ostatecznie doświadczyłem furii istot z najdalszych głębi koszmarów, sprowadzonych na ten świat dzięki bramom otwartym w umysłach na tyle szalonych i głodnych poznania, by zaryzykować wszystko, przekroczyć brzegi Rubikonu i sięgnąć po trujący owoc poznania. Lecz zarówno ziemskie bestie, koszmary, jak i prawdziwe demony zamieszkujące odmęty wszechświata, nie mogą sobie uzurpować tytułu prawdziwie złych. One są, bo taka jest ich natura. Naturą człowieka powinno być czynienie dobra. Co zatem sprawia, że niegodziwość i występki tak łatwo nam przychodzą? Jakie powody stoją za wyborami kierującymi nas ku złu? Bo to wybór, nie natura odpowiada za zło tego świata. Nie ma zatem większego zła i gorszego potwora niż człowiek.*

Clive K. Phillips, *Dzienniki zebrane*

Z dziką furią burza piaskowa szalała za oknami hotelu, próbując wyrwać zatrzaśnięte okiennice. Ich opętańczemu łomotaniu akompaniowało skrzypienie drewnianej konstrukcji zaniedbanego budynku, który sprawiał wrażenie, jakby miał za chwilę runąć.

W wieku dziesięciu lat Morris widział potworną burzę, bezduszny żywioł, którego okropieństwo bezpowrotnie wryło mu się w pamięć. Niebo poczerniało

wtedy w ciągu kilku chwil, a wichura uderzyła z całą zaciętością. Ogrodzenia wybiegów dla koni padały, a oderwane dachówki fruwały dookoła.

Wówczas niespodziewanie furia nawałnicy zrodziła ogromną trąbę powietrzną, która przeszła przez pobliskie zagrody, doszczętnie niszcząc wszystko na swojej drodze. Nawet zabłąkane konie były porywane w powietrze, zupełnie jakby nic nie ważyły. Ich przerażony kwik przedzierał się przez huk wiatru i gromy rozrywające niebo.

Przez kolejne tygodnie ranczerzy znajdowali zmasakrowane truchła zwierząt, porzucane na najdalszych nawet pastwiskach. Nadgryzione już przez padlinożerców, pokryte stadami much, szczyrzyły zęby i wybałuszały puste oczy, na zawsze zastygłe w wyrazie bezgranicznego przerażenia.

Clive wskazał płachtę prowadzącą do pomieszczeń, w których znajdowało się spalone kasyno. Wielki kawał materiału został pionowo przecięty na wysokość dorosłego człowieka, a ze środka dochodziły ciche odgłosy, świadczące, że ktoś tam jest. Mdłe światło przebijało na zewnątrz, rzucając na materiał niewyraźne refleksy i cienie.

Stąpając najciszej jak tylko potrafił, z wyciągniętą bronią Clive podszedł do płachty. W tym czasie Morris pokazał na migi Brianowi, żeby został, gdzie jest, a sam ruszył za rewolwerowcem. Odchyliwszy poły materiału, zajrzeli do środka.

Zrujnowane pomieszczenie oświetlały pełgające słabym płomieniem lampy naftowe, śmierzdzało spalenizną, a nieuprzątnięte nigdy zwłoki sprzętów straszyły poczerńiałymi szkieletami. W środku znajdowało się kilku uzbrojonych ludzi, w których Clive bezbłędnie rozpoznał członków lokalnego gangu. Była tam również Shelly Rice, a jej poblądłe z przerażenia dzieci tuliły się do niej, jakby mogła je uchronić przed napastnikami.

Clive odciągnął kurek rewolweru i już miał wejść do środka, kiedy poczuł zimną stal lufy napierającą na skroń. Krzywo uśmiechnięty kowboj wychynął zza osłony portalu. Wyciągnął brudną rękę, gestem nakazując, żeby oddać mu broń.

Rewolwerowiec przeklął w duchu własną bezmyślność. Jeszcze raz rzucił okiem na salę. Shelly wraz z dziećmi stała przy ledwo trzymającym się kupy stole do pokera, za którym siedział elegancki mężczyzna od niechcienia tasujący osmalone karty. W okraszonych idealnie zakręconym wąsem ustach zagryzał cygaretkę. Gładko ogolona twarz wyrażała znużenie długim oczekiwaniem. Zobaczywszy rewolwerowca, uniósł brew zadowolony i przyjaźnie skinął, zapraszając do środka.

Jeszcze nie zaczęli strzelać, więc sytuacja wydała się Clive'owi rozwojowa. Nie widząc innego sposobu, spuścił kurek, przekręcił rewolwer i niechętnie go oddał, po czym zrobił to samo z drugim pistoletem i nożem.

Wyobraźnię Morrisa podsycalo szalone pulsowanie krwi w skroniach. Podpowiadała ona sceny z powieści awanturnicznych, w których moment ten byłby początkiem epickiej walki na śmierć i życie. Bohater wkroczyłby do akcji, plując ogniem z luf obu rewolwerów. Rozsiewałby dookoła ołów, ryzykował wszystko, byle uratować damę w opałach i jej bezbronne pociechy.

Ze świata wyobraźni wyrwał go odgłos kroków, dochodzący od strony korytarza prowadzącego na zaplecze. W odruchu czystej fantazji chwycił za broń i spróbował ją wyszarpnąć z olstra. Zaczepił kurkiem o poluzowany rzemień, co sprawiło, że zamiast wyciągnąć rewolwer, zaczął się z nim mocować. Pełen szyderstwa rehot sprawił, że zaprzestał prób i podniósł zrezygnowany wzrok. Z korytarza wyłonił się uzbrojony Jebediah w towarzystwie wiecznie drepczących za nim drabów.

– A niech mnie – wymamrotał kowboj, unosząc broń. Wredny uśmieszek zszedł mu z twarzy, rozpoznał bowiem Morrisa, lecz w kondycji dalece odbiegającej od tego, czego się spodziewał. – A niech mnie...

Chłopak sapnął z rezygnacją i uniósł ręce, notując w pamięci, że mężczyźni kompletnie zignorowali Briana, najwyraźniej traktując go jako niegroźnego.

Jebediah podszedł ostrożnie, jakby zbliżał się do zaalarmowanego grzechotnika. Sięgnął do olstra i zabrał rewolwer Morrisa.

– No dalej – syknął. – Właż do środka, odmieńcu.

Unosząc skryte w rękawiczkach dłonie, Clive podszedł do stolika, przy którym siedział elegancki mężczyzna.

– Nic wam nie zrobili? – zwrócił się do Shelly i przerażonych dzieci.

– Jak pan widzi, są cali i zdrowi – nieznajomy odpowiedział za kobietę. Skinął na jednego ze swoich ludzi. – Przystawcie panu Phillipsowi krzesło. Nie wypada, żeby stał nade mną, prawda? Porozmawiamy jak równy z równym.

Kowboj przytaknął z nabożnym szacunkiem i zaczął rozglądać się za czymkolwiek nadającym się jeszcze, by na tym usiąść. Tymczasem poblady Jebediah podprowadził Morrisa do stolika.

– Panie Wilson, nie uwierzy pan, ale to ten gnojek, co myśmy go wczoraj... no, wie pan. On jest cały i jakiś taki...

– Wierzę – mężczyzna odparł, nie odrywając wzroku od Clive'a. – Pan Phillips ma swoje sposoby, prawda?

Clive nie odpowiedział. Ostrożnie usiadł na przystawionym krześle i położył dłonie na popękanej od żaru powierzchni stołu, tak aby wszyscy je widzieli. Dokładnie przyjrzał się wąsatemu elegantowi, jego nienagannemu garniturovi, sprowadzonemu zapewne z samego Paryża, oraz fantazyjnie przylizanym włosom przeplatany pasmami siwizny. Pachniał paczulą, lukrecją i cygarem.

– Howard Wilson – Clive nie musiał zgadywać. – Słyszałem co nieco o panu.

– Pułkownik Howard Wilson – mężczyzna poprawił z dobrotliwym uśmiechem, nadal trzymając w zębach przygryzioną cygaretkę. – A pan jest Clive K. Phillips. Od wspólnej znajomej słyszałem, że K jest od Kaleb.

– Cherie!

– Zgadza się. Urocza dama. Bardzo rozmowna, bardzo niebezpieczna, zwłaszcza kiedy ktoś zajdzie jej za skórę. A z tego, co rozumiem, właśnie to pan zrobił, prawda?

– Mamy wspólną historię – mruknął Clive. – Dlaczego pan nachodzi tę biedną rodzinę? Nic panu nie zrobili.

Pułkownik Howard Wilson umieścił talię kart przed rozmówcą i wskazał, aby ten je przełożył. Aby go nie prowokować, Clive niespiesznie wyciągnął rękę, by to zrobić.

– O, panie Phillips. Nie wypada tak w rękawiczkach.

– Karty są brudne.

– Tylko trochę zwęglone. Jest pan uczonym człowiekiem, więc pewnie wie, że węgiel to najczęściej występująca substancja na tej planecie. No, przynajmniej jeżeli mówimy o tym, co żywe lub co było żywe. Bo czy nie jest tak, że spalone drzewo przemieni się w węgiel, tak samo jak spalone ciało ludzkie się zwęgla? Nawet przetapiając metale, dajmy na to takie srebro, musimy oczyścić je ze skazy węglowej. Zatem węgiel jest wszędzie, zakładam, że nawet w panu. Proszę nie kazać mi, żebym pana prosił.

Patrzyli sobie w oczy, nawet nie mrugając. Im dłużej się nie odzywali, tym mocniej rosło napięcie wśród otaczających ich członków gangu. Nie chcąc prowokować agresji, Clive powoli ściągnął rękawiczki, odsłaniając fantazyjne linie blizn układających się w magiczne glify. Przełożył karty i przesunął talię z powrotem na drugą stronę stołu, wzbudzając tym ruchem drobinki kurzu.

– Sztuka wykorzystania Potencjału to groźna broń, prawda, panie Phillips? – słowa pułkownika Wilsona potwierdziły domysły Clive'a. Człowiek ten nie pojawił się tu przypadkiem. Przypadki nie istniały. – Można jej się uczyć latami i nie zdołać wiele z nią zrobić, podczas gdy inni mają do tego czysty talent. Pan zaś jest bardzo przedsiębiorczy, choć z tego, co słyszałem, niewiele Potencjału ma pan już w sobie. Te

znaki na ciele wyglądają jak bolesna cena za... powiedzmy to sobie wprost, za moc. Choć nie, za czas.

– Chce się pan przekonać, pułkowniku?

– Och nie. Widzi pan, na co dzień dbam i chronię to miasto, ba, tę część stanu! Lecz dziś jestem tylko posłańcem pokoju. Mam wiadomość od Wesa Campbella.

Słyszając ostatnie słowa, Morris poczuł, jak gardło mu się zaciska, a nogi zamieniają się w watę. Pułkownik Wilson z pozoru cechował się miłym usposobieniem i łagodnym spojrzeniem, lecz jego słowa cięły jak nóż, idealnie przesuwały się na głębokości nerwów. Przyjrzawszy mu się, widział, iż jest to człowiek bezwzględny, na którego rękach zastygła krew niezliczonych istnień. Ani jego elegancki ubiór, ani zadbana powierzchowność nie przysłaniały cierpienia, które się za nim ciągnęło niczym fetor zgnilizny. Patrząc na niego, Morris zrozumiał coś jeszcze. Ten mężczyzna walczył kiedyś o dominację w tym mieście, w wyniku czego spłonęło kasyno, w którym właśnie się znajdowali.

– Słuszne domysły – pułkownik Wilson spojrział na Morrisa wzrokiem chłodnym niczym zimowa noc. Następnie zwrócił się do Clive'a. – To tak *à propos* talentów do władania Potencjałem. Wyszkoli go pan czy... zrobi co innego?

Szalejąca na zewnątrz burza piaskowa przechodziła idealnie nad miastem. Pioruny biły dookoła tak mocno, że wszystko się trzęsło, a huk gromów można było poczuć nawet w trzewiach.

– Jaka to wiadomość? – syknął Clive.

Zacisnął pięści, aż skóra na dłoniach pobieliała.

Wilson przetasował znowu karty, z wprawą rasowego szulera przełożył je kilka razy w palcach jednej dłoni. Położył plik na stole i, nie patrząc, zdjął pierwszą z wierzchu, przysunął ją do rozmówcy grzbietem do góry. Następną w kolejności umieścił przed sobą.

– Lubi pan hazard, prawda? Może zagramy?

– Nie mam ochoty.

– Ale ja mam – głos Wilsona stwardniał wyraźnie. – Panie Phillips, pogoda nie sprzyja spacerom, więc jesteśmy tu jakby zamknięci. Należałoby się zastanowić, skąd wichura w ogóle się tu wzięła, prawda? Któryś z nas ją przyzwał świadomie bądź nieświadomie. A może to zrządzenie losu, mające na celu stworzenie dogodnych warunków do... no właśnie, czego? Tak czy inaczej, nasza rozmowa może potrwać jakiś czas, a może skończyć się boleśnie szybko. Proponuję więc nic innego jak prostą, niewinną wręcz grę towarzyską. Kto wyciągnie wyższą kartę, ten zadaje pytanie,

a przegrany musi odpowiedzieć zgodnie z prawdą lub posiadaną wiedzą. Z pewnością zgodzi się pan ze mną, że to uczciwy układ i jakże emocjonujący sposób na spędzenie paru chwil razem, poznania się. Wybór należy do pana.

Clive zmarszczył brwi. Naliczył w pomieszczeniu siedmiu członków gangu, co z Wilsonem dawało ośmiu przeciwników. Shelly i dzieci znajdowali się w samym centrum, podobnie jak stojący za plecami Morris. Żadne próby walki nie miały tu większego sensu, zwłaszcza że obserwujący go Wilson z pewnością wyczułby agresywne zamiary.

Zaklął w duchu, wyciągnął rękę i szybko odwrócił kartę figurą do wierzchu. As pik.

Widząc to, pułkownik Wilson aż klasnął w dłonie. Z błyskiem ekscytacji w oku przewrócił swoją kartę, którą okazała się dama kier.

– No i mamy pierwszy zgrzyt – westchnął teatralnie. – Bo w sumie to nie ustaliliśmy zasad. Pan wybaczy, moja wina. Uznajmy zatem, że as jest dziś wyższą figurą, co sprawia, że może mi pan zadać jedno pytanie.

– Co to za wiadomość? – Clive wyrzucił bez zastanowienia.

– Ech, panie Phillips, za grosz subtelności. Myślałem, że będzie chciał pan pobawić się nieco dłużej, a pan już tak z grubej rury. No, ale słowo się rzekło. Oto więc słowa Wesa Campbella: „Kaź temu maniakowi iść precz. Nie czeka go tu nic poza śmiercią, a ta, którą mu zgotuję, będzie trwała wieki”.

– Dokładnie to powiedział?

Wilson cmoknął, kręcąc głową.

– To już drugie pytanie, panie Phillips. – Bez ostrzeżenia wyciągnął piątkę karo. – O, chyba mam pecha.

Clive dotknął karty, której wierzch stanowił jednolitą skorupę zwęglonego papieru. Okazało się, że rewers również wyglądał źle i choć nie udało się odczytać cyfry, można było policzyć małe listki wyobrażone na papierze. Ósemka trefl.

– No proszę – ucieszył się Wilson. – Pan pozwoli, że odpowiem zatem. Tak, wypowiedział dokładnie te słowa; chwałę sobie, że cechuje mnie bardzo dobra pamięć. Domyślam się, że chciałby pan wiedzieć, czy powiedział coś więcej. Dostałem jasną instrukcję, że mam pana zniechęcić do dalszej podróży na zachód, a gdyby pan się przy tym upierał... no cóż, mam pana powstrzymać permanentnie i za pomocą wszelkich dostępnych środków. Zaręczam, że tych mi nie brakuje, tak samo jak determinacji.

Po twarzy Clive'a przebiegł cień wściekłości. Nie przypuszczał, że Campbell otoczy się małą armią ludzi. Co ciekawe, nie życzył mu też śmierci, tylko raczej chciałby trzymać się od niego z daleka. Zachowanie Wilsona jednak wskazywało, że posłusznie wykonuje rozkazy, lecz zabezpieczył się, biorąc na zakładników niewinną rodzinę, którą i tak już kiedyś skrzywdził. Co więcej, nakazał aresztowanie kowala, co może nie stanowiło dużej przeszkody, lecz z pewnością usuwało z planszy jedną z niewielu życzliwych osób i opóźniało ruszenie w dalszą drogę.

– Moja kolej – syknął Clive. Przez ułamek sekundy zawiesił rękę nad talią i dopiero wtedy sięgnął po kartę.

Morris poczuł mrowienie w naznaczonej ręce, a kątem oka zauważył, że jeden z naboju znajdujących się w bandolierze Clive'a rozsypał się w proch. Na stole wylądował as karo.

Paskudny uśmiech wykwitł na twarzy Wilsona, a w jego oczach pojawił się błysk przywodzący na myśl atakującą żmiję. Wyszczrzył zęby i wyciągnął rękę ku talii. Jego usta poruszyły się, lecz nie wypowiedział ani słowa. Wyciągnął asa kier.

– Zdaje się, że mamy remis – syknął.

Stojący najbliżej członek gangu zakaszłał. Morris z przerażeniem zanotował, że mężczyźnie w mgnieniu oka nieogolona szczecina przyprószyła się siwizną, a na ogorzałej twarzy pojawiły się głębokie bruzdy zmarszczek. W kąciu ust perlila mu się plamka krwi.

– Remis oznacza, że musimy znowu ciągnąć karty – Wilson rozparł się na krześle.

Teatralnie udał, że się zastanawia, po czym zmrużył oczy i odwrócił się powoli w kierunku Shelly i jej dzieci. Uważnie przyjrzał się kobiecie, jej córce, po czym zawiesił wzrok na młodym Stephenie. Zwrócił się do niego głosem słodkim i ciepłym, niczym dobry wujek chcący zamienić słowo z ulubionym chrześniakiem.

– Podejź tu, chłopcze.

Shelly mocniej przytuliła syna, co sprawiło, że pułkownik Wilson zgromił ją wzrokiem. Już sam ten gest wywołał małe poruszenie pośród członków gangu. Obawiając się przemocy, Stephen wyswobodził się z objęć matki i ostrożnie podszedł do stołu.

– Bliżej – poprosił Wilson, a kiedy chłopiec go usłuchał, wziął go pod ramiona i posadził sobie na kolanach. Zrobił to delikatnie, jakby miał niemałą wprawę w opiece nad dziećmi. – Nie bój się, chłopcze. My tu tylko sobie gramy w karty. Widzisz, chciałbym, żebyś mi pomógł. Zapłacę ci nawet za to – to mówiąc, Wilson



wyciągnął z kieszeni srebrną monetę i obrócił ją w palcach. Zarówno na awersie, jak i na rewersie wyryto charakterystyczne glify.

– Nie! – Clive zaprotestował, lecz wystarczyło jedno spojrzenie Wilsona, aby usadzić go w miejscu.

– Proszę – mężczyzna podał Stephenowi monetę. – To za twoją fatygę. Poczekajmy, aż wujek Clive wyciągnie swoją kartę, a potem zrobisz to ty. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Mięśnie zagrały na zaciśniętej szczęce Clive'a, a jego dłoń się zatrzęsła. Naraz Morris zrozumiał, na co patrzy. Przed chwilą Clive wykorzystał Potencjał zgromadzony w jednym z pocisków, żeby wyciągnąć wysoką kartę. Wilson zaś zrobił dokładnie to samo, lecz zabrał odrobinę Potencjału jednemu ze swoich ludzi. Zapewne płacił im dokładnie tymi samymi przeklętymi monetami, na których wyryto znak pozwalający mu na takie właśnie działanie. Teraz zaś Stephen znalazł się w jego mocy, z której Wilson zapewne śmiało skorzysta, żeby zniwelować ewentualne działania przeciwnika. Razem z tą rewelacją przyszła fala prawdziwej grozy, która oblała Morrisa niczym lodowata woda. Uniósł prawą dłoń, by zobaczyć bliźnę układającą się w kształt glifu, w niepojęty sposób łączącego go z Clive'em. Zrobiło mu się niedobrze.

– Niech i tak będzie – Clive sięgnął po kartę i wyciągnął dwójkę trefl.

– Widzisz, młody Stephenie – pułkownik Wilson zwrócił się do chłopca. – Wujek Clive potrafi być rozsądny. No, teraz twoja kolej.

Stephen sięgnął ku talii. Na stole wylądowała dwójka karo. Pułkownik klasnął w dłoń z radości i pozwolił chłopcu odejść.

– Widzisz? To są emocje! Ani ty, ani ja raczej nie nagniemy już dziś losu, a ten i tak z nas drwi. Nie masz czasem wrażenia, że przeznaczenie naprawdę istnieje, ale jest starym, złośliwym skurwysynem, który bawi się naszym kosztem? No dalej, twoja kolej.

Clive wyciągnął siódmkę pik. Wilson wyłożył piątkę karo.

– Gdzie jest Campbell?

– Jesteś upartym człowiekiem, Phillips.

Morris odnotował zmianę sposobu, w jaki Wilson zaczął się zwracać do Clive'a. Był to blef czy mężczyzna naprawdę zaczynał tracić panowanie nad sobą?

– Raczej konsekwentnym.

– Konsekwentnie zmierzasz do grobu. Po co ci ta wiedza, skoro kolejny krok na zachód oznacza śmierć? Ale niech będzie, jestem uczciwym człowiekiem.

Odpowiadam zatem. Wes Campbell rezyduje w moim domu, który oddałem mu do dyspozycji.

– Gdzie jest ten dom?

– To akurat... – uśmiechnął się pułkownik – ...jest kolejne pytanie.

Wilson wyciągnął dziesiątkę kier. Pokiwał głową, a rozpromienił się jeszcze bardziej, kiedy Clive wylosował trójkę.

– No proszę. Pora na zaspokojenie mojej ciekawości. Zastanówmy się, cóż mógłbym chcieć od pana wyciągnąć. Może na ten przykład powie mi pan... co takiego się stało, że Cherie pana nienawidzi?

Pytanie sprawiło, że Clive pobladł. Wyglądał jakby trafił go piorun, a głos nie chciał wydostać mu się z gardła. Wilson nastawił ucha.

– No dalej, panie Phillips. Czekamy. Chyba nie chce pan przerwać naszej zabawy, kiedy robi się naprawdę ciekawie?

Clive zacisnął zęby, powstrzymując się przed wypowiedzeniem choć słowa. Wilson nachylił się do niego i szepnął konfidencjonalnym tonem:

– Proszę po raz ostatni. Odpowiedz, zanim wszyscy tego pożałujemy.

Nie usłyszawszy odpowiedzi, pułkownik odsunął się i podniósł głos:

– Jebediah. Pan Phillips uważa, że można zmieniać reguły gry. Zastrzel, proszę, panią Rice.

Serce zatrzymało się w piersi Morrisa. Clive nabrał powietrza, żeby zaprotestować, lecz huk wystrzału uderzył go niczym niespodziewany cios. W ciszy, która nastąpiła, zawisło widmo strachu.

Shelly stała przy dzieciach, a na jej twarzy malował się wyraz niemego zdziwienia. Sącząca się z czoła krew spływała cienkim strumykiem po twarzy, by skapywać z brody na sukienkę. Uścisk kobiety zelżał, nogi się pod nią ugięły i osunęła się na ziemię bez życia.

Oczy Stephena zrobiły się wielkie w wyrazie bezgranicznej grozy. Stał nad ciałem matki, trzęsąc się i nie mogąc wyartykułować choćby dźwięku. Jego siostra padła na kolana. Wyła jak opętana, zupełnie jakby to ją ktoś postrzelił. Przypadła do ciała matki, szarpała ubranie i szukała życia w omdlałych ramionach, w bezsilnej próbie wybudzenia jej z ostatecznego snu.

– Przeklęty! – Clive zerwał się z krzesła. Jednym ruchem cisnął stół na bok i rzucił się na Wilsona, by udusić go gołymi rękoma.

Zamiast się bronić, pułkownik wyciągnął rękę w stronę Stephena. Chłopiec pobladł i padł na ziemię. Clive zamarł w bezruchu. Cofnął się, zacisnął pięści,

a w jego ustach zagrały słowa zaklęcia.

– O nie, nie, panie Phillips – syknął pułkownik. – Chce pan pozbawić życia całą rodzinę?

Wciąż zdjęty szokiem, Morris obserwował całą sytuację w stuporze. Widział rozpaczającą Mary i patrzył w martwe oczy jej matki. Ze zgrozą zanotował, że czuje przez skórę moc przyzywaną przez Clive'a oraz niewidzialne pazury zaciskające się wokół Stephena. Było to zupełnie jak w chwili, zanim piorun uderzy w drzewo obok, a włoski na całym ciele stają dęba. Nic jednak się nie zadziało, ponieważ żaden z mężczyzn nie poważił się, aby wykonać kolejny krok.

Przerwało im przeciągłe wycie, które rozniosło się po całym budynku. Żałosne i groźne, przepełnione bezgranicznym bólem, stratą i krwiożerczym gniewem. Dźwięk ten był tak przerażający, że członkowie gangu zamarli w bezruchu. Gdzieś z korytarzy hotelu dało się słyszeć powolne stąpanie bosych stóp. Krok za krokiem coś się zbliżało, ogłaszając swoje nadejście opętańczym skowytym.

– To ten idiota! – Jebediah wrzasnął do kowboja stojącego przy wejściu. – Załatw go, zanim zrobi coś głupiego.

Mężczyzna skinął i sięgnął do płachty oddzielającej kasyno od lobby.

Huk wystrzału za plecami sprawił, że Morris skulił się instynktownie. Coś gorącego i lepkiego ochlapało jego, ściany i podłogę dookoła. Odwróciwszy się, zobaczył padającego na ziemię kowboja, który stał najbliżej płachty prowadzącej do lobby hotelu. Ta zaś wisiała postrzępiona od salwy z obu luf śrutówki.

Oprzytomniali członkowie gangu unieśli broń do strzału. Ich ręce trzęsły się w przestrachu, a oddechy przerodziły się w jęki grozy, kiedy zobaczyli istotę, która weszła do pomieszczenia. Paul Rice wyglądał jak upiór, który wypełzł z najgłębszych czeluści piekielnych. Kompletnie nagi, powłóczył nogami i wył żałosnie ni to w gniewie, ni bólu wywołanym wysiłkiem, ale i widokiem martwej żony. W poparzonych, spływających osoczem dłoniach trzymał dwururkę. Brnął naprzód, jakby walczył z powietrzem gęstym niczym smoła. Złamał strzelbę i przeładował.

Pierwszy zareagował Jebediah. Uskoczył za zasłonę, a stamtąd strzelił do pana Rice'a, chybiając haniebnie. Idąc za jego przykładem, pozostali członkowie gangu również otworzyli ogień. Pociski śmigały w powietrzu, rozbryzgując dookoła kawałki drewna ze ścian. Tylko nieliczne dochodziły celu. Paul Rice zaś, jakby nic sobie nie robiąc z bólu, zdołał przeładować, zrobił parę kroków i praktycznie z przyłożenia wypalił z obu luf prosto w twarz jednego z drabów.

Zaraz po tym jak rozpoczęła się kanonada, Morris padł na ziemię, zasłaniając głowę. Chciał przeczłgać się do Mary, lecz zauważył, że leżący obok drab bez głowy był uzbrojony. Trzęsącymi się dłońmi zabrał jego rewolwer.

Pomieszczenie wypełniał huk wystrzałów, krzyki i kłęby siwego dymu, przez który Morris widział potworną postać pana Rice'a wznoszącego broń do ostatniego już strzału. Jego zmasakrowane ciało było rozrywane na kawałki, a on sam był niczym szalony demon. Nie wiadomo skąd tuż obok pojawił się Jebediah. Wychynął zza sterty spalonych mebli i wycelował prosto w głowę poparzonego mężczyzny.

Morris z przerażeniem zauważył, że kowboj trzyma jego remingtona.

Dał sobie chwilę na wycelowanie. Obserwował, jak Jebediah naciska spust raz i drugi. Rewolwer nie zadziałał, ponieważ nadal jego bęben pozostawał pusty.

Tym razem to Morris strzelił. Celował w sylwetkę, po cichu licząc, że trafi w serce lub w głowę, tymczasem kula strzaskała ramię kowboja.

W następnej chwili dym i smród spalonego prochu całkowicie wypełniły pomieszczenie. Morris nie widział dalej niż na wyciągnięcie ręki. Kanonada ustała, coś ciężkiego zważyło się obok niego, po czym dało się słyszeć tupot butów. Ktoś krzyknął:

– Bierzcie dziewczynę.

– Nie! – Morris wstał, celując na oślepa. Bezskutecznie starał się przegonić dym sprzed oczu, licząc, że dostrzeże choć jeden cel. Wiedział jednak, że jeśli otworzy ogień, może trafić również Mary. Tymczasem tupot butów już się oddalił.

Gniewny krzyk Briana rozdarł powietrze, lecz przerwał go jeszcze jeden strzał. Dźwięk ten sprawił, że serce podeszło Morrisowi do gardła. Ręce mu opadły. Wypuścił broń z ręki. Stał tak niemy pośród nieprzeniknionej otchłani siwej mgły, która śmierdziała piekłem i śmiercią.

Wraz z ostatnim nieludzkim jękiem Paula Rice'a opuściła dusza. Leżał na podłodze. Zesztywniałą już rękę wyciągał w stronę martwej żony, lecz nie starczyło mu już sił, by ją chwycić.

W pierwszym odruchu Clive przypadł do Stephena i zasłonił go własnym ciałem. Korzystając z reju, odebrał mu srebrną monetę i wyrzucił daleko. Wyprowadził go teraz z kasyna, aby nie oglądał miejsca masakry.

Znaleźli remingtona. Z dziwnym poczuciem ulgi Morris podniósł broń i tym razem napełnił bęben, przykładem jednego z bohaterów książkowych każdemu z naboju dedykując inne imię. Jebediah, Wilson, Campbell... Phillips.

Na miejscu zostały trupy trzech członków gangu. Wszystkie noszące ślady paskudnych postrzałów ze śrutówki. W ścianach widniały wielkie dziury, wpuszczające do środka przepelnione piachem powietrze. Burza powoli już przechodziła.

Morris klęknął przy pani Rice. Jej martwe oczy patrzyły w przestrzeń z wyrazem bezgranicznego przerażenia wyrażającego naturalne pytanie – kto teraz zajmie się jej dziećmi? Przyszła mu na myśl rozpacz, jaką czuł w dniu śmierci własnej matki i serce mu się ścisnęło na myśl o biednym Stephenie. Zupełnie jak niegdyś jego ojciec zamknął powieki kobiety, dziwiąc się, że ciało po śmierci nadal pozostaje ciepłe, choć robi się dziwnie twarde.

Pierwsza łza nie zapowiadała prawdziwej powodzi, jaka po niej nastąpiła. Usiadł na podłodze pośród martwych i rozpląkał się jak dziecko. Nie potrafił opanować spazmów wyciskających z niego niekontrolowane jęki rozpacz.

– Na razie położyłem go spać – powiedział Clive, wróciwszy do kasyna. Podniósł swoje rewolwery, które przechowywał jeden z martwych członków gangu.

Chłopak spróbował choć trochę się opanować. Nabrał głęboko powietrza tylko po to, by wydusić z siebie proste pytanie, na które przecież znał odpowiedź:

– Co z Brianem?

– Dostał prosto w serce – beznamiętnym tonem odparł Clive. – Ale zanim umarł, skręcił kark jeszcze jednemu z nich. Zdaje się, że próbował ratować Mary.

Niewidzialna siła wykręcała Morrisowi wnętrzności, aż zrobiło mu się niedobrze. Przetarł twarz rękawem i smarknął. Jeszcze parę dni temu grał z przygodnymi frajerami w karty, a teraz siedział na podłodze pośród trupów.

– Jak to położyłeś Stephena spać? – spróbował zająć głowę czymś innym niż wizje tragedii.

– Mam swoje sposoby.

– No tak, twoje sposoby. Jakoś nie pomogły nam dzisiaj. Nie pomogły państwu Rice’om ani Brianowi. Doc Martin też na nich nie skorzystał.

Clive stanął nad Morrisem. Niemal bez emocji sprawdził broń, zajrzał do obu bębnow i zakręcił nimi, po czym schował rewolwery do olstrów. Chłopak patrzył na niego krytycznie. Cała ta otoczka, magiczne znaki, straszne rewolwery, mroczny jeździec na karym koniu. Nic nie zrobił, żeby uratować niewinnych. Szeryf Lumley miał pewnie rację. Ten człowiek jest szaleńcem, chodzącą klątwą, dookoła której umierają ludzie.

– Wstawaj – Clive wyciągnął do niego rękę. – Musimy iść po Mary.

Chłopak spojrzał na niego przekrwionymi oczyma.

– I co niby zamierzasz zrobić? – zapytał z wyrzutem. – Tutaj się nie popisałeś. Wielki Clive Phillips znowu potwierdził, że jest kuloodporny... i niewiele więcej. Tylko czemu znowu ktoś zginął w twoim towarzystwie?

– Ty żyjesz.

Morris prychnął. Objął kolana ramionami i skulił się jak opuszczone dziecko. Obserwował gładki wyryty na dłoni, po czym przeniósł wzrok na bandolierę u pasa swojego towarzysza.

– Jestem jak jeden z tych twoich naboń, prawda? Po to mnie ze sobą zabrałeś? Sam mówiłeś, że mam w sobie całkiem sporo tego... czegoś.

– Tak – odparł sucho Clive. – Każdy z nich to jeden ze ściganych, za którymi wystawia się listy gończe z dopiskiem „żywy lub martwy”.

– Rozumiem, że dostarczałeś ich martwych, ale wcześniej okradałeś z Potencjału?

– Lepsze to niż gdyby miał się zmarnować. Nie jestem jak Campbell czy Wilson. Nie czerpię mocy z niewinnych ludzi.

– Jesteś bezdusznym skurwysynem.

Nawet powieka nie drgnęła na niemal nieludzko spokojnej twarzy rewolwerowca.

– Nigdy nie mówiłem, że jestem dobrym człowiekiem. Jestem... pragmatyczny. Wstawaj.

Morris odtrącił podaną rękę i podniósł się sam. Dopiero teraz dostrzegł, że jest prawie tak wysoki jak Clive. Mógł mu spojrzeć prosto w oczy.

– Ale mnie naznaczyłeś – warknął. – Zabrałeś ze sobą jak żywy zasobnik na moc.

Clive tylko wzruszył ramionami.

– Sam widzisz, że Campbell jest niebezpieczny. Wilson zapewne nie ma nawet połowy tej mocy co on.

– I to ma cię niby tłumaczyć? Naprawdę masz czelność mówić mi to prosto w twarz?

– Powtarzam po raz ostatni, nie odbieram Potencjału niewinnym. Jesteś złodziejem. Cholernym koniokrądem. Nadal mam pełne prawo zabić cię tu i teraz, bo nie mam czasu szukać uczciwego szeryfa, który odprowadzi cię na stryczek. Mogę też zabrać cię ze sobą, żebyś uratował panienkę z opałów, a potem pomógł mi pozbyć się z tego świata najprawdziwszego demona w ludzkiej postaci. Pieprzoną plagę naszych czasów, która wkrótce zbierze żniwo większe niż ostatnia wojna. Co wolisz?

Morris skrzywił się gniewnie. Nie powiedział nic, tylko schował rewolwer do olstra, po czym podniósł z podłogi dwururkę pana Rice'a.

– Dobry wybór – mruknął Clive.

\* \* \*

Szeryf siedział za biurkiem, delektując się zapachem kawy parującej z blaszanego kubka. Choć burza szalejąca za oknami przeszła kilka godzin temu, on nadal nie wyściubił nosa ze swojej klitki. Zaraz po tym, jak ucichł wiatr, kazał dwóm zastępcom odsłonić okiennice, coby wpuścić do biura odrobinę światła, ale nie miał zamiaru robić wiele więcej. Nie przejmował się ruchem, powoli wracającym na ulice miasta, ani lamentowaniem osób dotkniętych przez żywioł. Miał już swoje lata i jego męczone artretyzmem dłonie na niewiele by się przydały.

Doc Martin siedział w zakratowanej celi, z której miał doskonały widok na plecy Lumleya. Gdyby tylko można było zabijać wzrokiem, szeryf już dawno padłby trupem. Niedawno przyniesiono wiadomości, że kuźnia spłonęła wskutek burzy piaskowej. Nic dziwnego, skoro aresztowali go w trakcie pracy, nie dając mu czasu na wygaszenie paleniska. Ogień i porywisty wiatr to przepis na tragedię.

W pierwszej reakcji Martin wyładował wściekłość, wrzeszcząc na Lumleya. Teraz zaś poświęcał czas na kalkulowanie bolesnej zemsty, jaką wyrzucić może tylko ktoś, kto potrafi wyrywać innym zęby. Liczył po cichu, że jego wychowanek uszedł z pożaru bez szwanku, choć dręczyły go złe przeczucia.

– Po cholere mnie zamknąłeś, Lumley? – warknął po raz kolejny. – Nic nikomu nie zrobiłem, do jasnej cholery!

– To dla twojego bezpieczeństwa – szeryf westchnął, pociągając łyk kawy tak dobrej, że aż zmrużył błogo oczy. – W mieście pojawił się niepożądany element. Kiedy sobie pójdzie, będziesz wolny.

– Element? No tak, mówisz o Phillipsie. Ale wiesz, że nie mam z nim nic wspólnego? Konia tylko mu podkuwałem, ty pieprzony idioto. Nic więcej.

Szeryf odwrócił się ze skwaszoną miną.

– Obrażasz przedstawiciela władzy, Doc. Jak ja mam to traktować?

– Próbujesz oszukać mnie czy siebie? – prychnął pogardliwie kowal. – Przez ciebie straciłem kuźnię. Gdzie ja teraz mam pracować? Kto ludziom konie będzie kuł, brony naprawiał, zęby wyrywał? Może ty?

– Gadaj zdrów.

Doc Martin wstał z pryczy i zrobił dwa kroki po celi. Nosiło go. Gdyby tylko mógł, wyrwałby te kraty i zatłukł nimi Lumleya za jego bezgraniczny cynizm, cholerną obłudę i bezdusność. Za to, że nie podzielił się kawą.

Naraz do biura wpadł jeden z zastępców szeryfa. Ziajany nalał sobie wody. Wypiwszy duszkiem, zakrztusił się i zaniósł kaszlem.

– Pan Wilson... był w hotelu – wysapał. – Była tam... strzelanina. Znaleźliśmy ciała. Dużo ciał.

Szeryf pobladł. Wyprostował się, a jego mina stężała.

– Czyje?

– Kilku naszych. Pani Rice, jej mąż i... – mężczyzna spojrzął na kowala zamkniętego w celi. Podeszedł do szeryfa i ostatnią informację przekazał mu na ucho.

Lumley zerknął na Martina z przestachem.

– Widziałeś ich? Gdzie oni są? – zapytał, mając na myśli Clive'a i Morrisa.

– Nie wiem. Jakby rozplynęli się w powietrzu. Pokoje są puste, nie ma ani ich, ani Stephena czy panienki Mary. Pan Wilson i jego ludzie zamknęli się w siedzibie kompanii.

– Idź posprzątać ten bałagan – rzucił szeryf.

Zastępca spojrzął na niego, niewiele rozumiejąc.

– Sprzątnij ciała, do jasnej cholery! Nie myślisz, że będę teraz dźwigał trupy i woził je do grabarza! Kryzys w mieście jest. Muszę pomyśleć.

Gdy zastępca wyszedł, szeryf sięgnął do biurka po butelkę whiskey. Dolał sobie do kawy kilka kropel, zgarpnął drugi kubek i napełnił do połowy. Wstał i zbliżył się do celi, w której zamknął Martina.

– Masz – podał alkohol kowalowi. – Napij się.

Doc Martin, choć zdziwiony nagłą zmianą postawy szeryfa, nie odmówił drinka. Ilość tragicznych informacji oszałamiała. Serce go bolało na myśl o państwie Rice'ach, być może bardziej nawet niż gdy myślał o spalonej kuźni. Podejrzliwie powąchał alkohol, po czym siorbnął odrobinę.

– O co chodzi, Lumley? Co żeś tak pobladł? Bać to ty się będziesz, jak wyjdę na wolność.

– Właśnie – odpowiedział szeryf. – Obawiam się, że jeszcze tu posiedzisz.

– No tak, twój „niepożądany element” narobił chyba małego zamieszania, co? Wielki pułkownik Wilson nie poradził sobie z jednym dziwakiem i jego pomagierem. Teraz pewnie liczysz, że po strzelaninie zabiorą konie i wyjadą bez pożegnania. Coś czuję, że sam masz ochotę na podobny manewr.



– Przestań, Doc. – Szeryf zrobił zboląłą minę.

Tymczasem głos Martina z każdym słowem przybierał na sile, zmieniając ton z fałszywej troski w krwiożerczą pasję:

– Z drugiej strony zastanawiasz się pewnie, ilu ludzi stracił Wilson i czy sam przypadkiem jest jeszcze cały, prawda? Bo jak jego zabraknie, to całe tałatajstwo, które trzyma w ryzach, rozpierzchnie się jak robactwo. Wtedy miejscowi powieszą cię u wjazdu do miasta, żeby przestrzec takie szumowiny jak ty, żeby się nie zbliżały do Prosperity. Bo nikt ci, skurwysynu, nie zapomni, że im pomagałeś!

Doc Martin cisnął kubkiem w skulonego szeryfa, oblewając go alkoholem. Złapał kraty, szczerząc zęby niczym wściekły kojot.

– Wiesz o tym, tchórzliwy robaku. Wiesz przecież. To nie ty powinieneś nosić tę gwiazdę, tylko Paul Rice. Ale on już nie żyje, tak jak i jego żona, biedaczka, z której zrobiliście wdowę jeszcze za życia jej męża. Będziecie smażyć się w piekle, ty i ten skurwiel Wilson!

Szeryf Lumley odsunął się od celi, porażony zapalczywym gniewem Martina. Skulony wycofał się do biurka, niezdolny znieść palącego wzroku kowala. Trzęsącymi się dłońmi przetarł mokrą twarz, po czym nalał sobie whiskey i wypił, by ukoić nerwy.

– On tu przyjdzie – Martin opadł na pryczę, lecz Lumley mógłby przysiąc, że jego oczy świeciły w cieniu czystym gniewem. – Wiem, co mówię. Paul Rice po ciebie przyjdzie, zobaczysz. Znałem go, to był dobry i silny człowiek. Wstanie z grobu i po ciebie przyjdzie, Lumley, żeby własnoręcznie zaciągnąć cię do bram piekła.

Szeryf wychylił kolejną porcję whiskey. Wiedział, że jest zamknięty w małej klitce, poza którą znajdowało się miasto wypełnione ludźmi, pamiętającymi, w jaki sposób został wybrany na swój urząd. Doskonale zdawał sobie sprawę, że każdego dnia patrzyli na niego ze świadomością, iż stanowiska dochrapał się dzięki rozkazowi Wilsona.

– Trzeba ci było się stąd zabrać, Doc – jęknął. – Trzeba było wyjechać, kiedy sprawy jeszcze się nie posypały do końca. Teraz brodzimy w bagnie, które wciąga nas coraz mocniej. Nawet ciebie.

Zastępcy szeryfa wrócili do biura wczesnym wieczorem. Urobieni po łokcie wyglądali jak widma ludzi. Usiedli na krzesłach ze spuszczoneymi głowami.

– Twoje pacholęta chyba nigdy nie widziały tylu trupów – skryty w cieniu Doc leżał na pryczy.

Zdążył już nieco ochłonać, lecz jego słowa ociekały jadem.

Pijany Lumley dokończył butelczynę whiskey dobrą godzinę przed zmrokiem. Kiwając się na boki, siedział za biurkiem, wydymając napuchnięte i zaślinione wargi.

– Ilu ich tam było? – Wybełkotał do zastępców.

– Siedmiu naszych, no i właściciele hotelu – powiedział młodszy z zastępców.

– Pan go nie słucha, szeryfie – sapnął drugi. – On przecie nie umie liczyć.

Dwunastu naszych, państwo Rice'owie i ten chłopak, co to...

Szeryf Lumley na chwilę otrzeźwiał, przyłożył chwiejący się palec do ust i syknął, by uciszyć zastępcę. Silił się na dyskrecję, gdy łypał w kierunku celi, aby upewnić się, że wzmianka o jeszcze jednej ofercie umknęła uwadze kowala. Odsapnął z ulgą i rozlał się po krześle, jakby miał za chwilę zasnąć.

– Sza! – rozkazał i wybełkotał, tracąc kontakt z rzeczywistością. – Żadnych szczegółów przy więźniu.

Zastępcy spojrzeli po sobie ze zrozumieniem. Najwyraźniej nie pierwszy raz widzieli przełożonego zapijającego się do nieprzytomności. Młodszy wstał, otworzył drugą celę, po czym we dwóch podeszli do szeryfa, żeby przenieść go na wolną pryczę.

Byli już w połowie drogi, kiedy drzwi do biura otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich uzbrojony Clive Phillips. Zaskoczeni odruchowo unieśli ręce do góry, skutkiem czego szeryf zwałił się na ziemię jak worek kartofli.

Wybełkotał kilka przekleństw.

Clive omiół wzrokiem pomieszczenie i wszedł do środka. Kopniakiem zamknął drzwi i wskazał lufą w stronę zastępców.

– Słuchajcie, głąby. Broń odkładacie na podłogę i kopiecie do mnie.

Przerażeni mężczyźni postąpili zgodnie z instrukcjami.

– Dobrze, a teraz zabieracie pana Lumleya do celi i zamykacie ją za sobą.

Przyzwyczajeni do wykonywania rozkazów bez zadawania zbędnych pytań zastępcy zajęli się realizacją zadania. Tymczasem Doc Martin wstał z pryczy i podszedł do kraty.

– Phillips, co ty wyprawiasz, do jasnej cholery?

– Wyciągam cię z więzienia.

Kowal zmarszczył brwi i oparł się o kratę.

– No, to pięknie i w ogóle miło mi, ale mam wrażenie, że za bardzo przywiązałeś się do naszej umowy z kuciem konia. Niestety, z tego, co słyszałem, kuźnia mi się spaliła, więc może być z tym mały problem.

Starszy zastępca szeryfa zamknął kratę od środka i wystawił na zewnątrz metalową obręcz z kluczami. Clive pochwalił go za inteligencję, odebrał mu je i podszedł do

sąsiedniej celi, aby ją otworzyć.

– Bardzo mi przykro, Doc, ale po dzisiejszym dniu nie będziesz miał ochoty tu siedzieć.

– Co ty mówisz? – zdziwił się kowal.

Clive otworzył kratę i wyrzucił klucze w najdalszy róg pomieszczenia. Chwilowo ignorując Martina, zajął się przeszukiwaniem szafek w biurze.

– Phillips, napadasz na biuro szeryfa, wypuszczasz więźnia, a teraz masz jeszcze zamiar je obrabować?

Clive otworzył szafkę z bronią i uśmiechnął się upiornie na widok pudełka z pociskami.

– Tego szukam.

Kowal podszedł do dzbanka stojącego na żeliwnym piecyku. Podniósł go i zamieszał, nasłuchując, czy w środku jest kawa. Zadowolony nalał sobie do kubka i wypił duszkiem już dawno wystygły napój.

– Słyszałem o tym, co się stało z Shelly i Paulem – wyznał ciężkim głosem i przysiadł na biurku. – Ale nie wierzę, że w jeden dzień tak mocno się z nimi zaprzyjaźniłeś, że teraz będziesz się za nich mścić. Ja znałem tę rodzinę dłużej niż ty, ale nie mam zamiaru bić się z uzbrojonym gangiem i równać całego miasta z ziemią, bo to właśnie musiałbyś zrobić, żeby przeżyć.

– Nie o nich chodzi, Doc – Clive spojrzał mu w oczy. – Wilson porwał panienkę Mary.

– Clive, to naprawdę brzmi źle, ale...

– Panie Martin – odezwał się młodszy z zastępców. Zdjął kapelusz i przycisnął go do piersi. – Obawiam się, że pan również kogoś stracił.

Twarz kowala ściągnęła się w jednej chwili, a mroczne rozbawienie dziwną sytuacją opuściło go naraz.

– Mów – powiedział martwym głosem.

– Doc... Panie Martin, w tamtej strzelaninie zginął ten prostak, co to go pan przygarnął. Przenieśliśmy jego ciało do grabarza.

Martin obrócił się w stronę Clive'a, patrząc na niego błagalnie, jakby prosił, by zaprzeczyć tym słowom.

\* \* \*

– Słyszałem, że nie znaleźli was w hotelu – Doc Martin stał w piwnicy domu grabarza, gdzie na podłodze ułożono ciała Briana, państwa Rice'ów oraz kowbojów,

którzy zginęli w strzelaninie.

– Poszliśmy do twojego domu – Clive nachylił się tak, żeby nie usłyszał go upiorny grabarz stojący nieopodal. Nawet mając go za plecami, miało się wrażenie, że właśnie czyni w myślach notatki, by oszacować wielkość trumny. – Stephen jest w złym stanie. Morris z nim został. Pójdziemy tam pod osłoną nocy i pomyślimy, co dalej.

– Ja już wiem, co dalej – kowal mruknął. Stał nad ciałem Briana i po ojcowsku gładził go po zimnym czole.

Nie musiał nic więcej mówić. Sam jego głos wyrażał dostatecznie wiele, by przekonać Clive'a, iż pójdzie z nim.

Wychodząc, rewolwerowiec zatrzymał się przy grabarzu. Wyciągnął z kieszeni kilka monet i wsadził mu je do ręki.

– To na pogrzeb chłopaka i tych dwojga. A jutro zamów porządną dostawę drewna. Będzie wiele trumien do zrobienia...



## ROZDZIAŁ 5

### A NA IMIĘ JEJ BYŁO ZEMSTA

*...w swoim egoizmie uważałem niegdyś, że nie ma na świecie wielu więcej adeptów tak zwanych sztuk tajemnych. Do tej pory znałem bowiem jedynie Wesa Campbella i siebie, a słyszałem i czytałem o żyjących w rezerwatach indiańskich szamanach, tybetańskich mnichach oraz mędracach zamieszkujących pustynie Wschodu. Jak się miało wkrótce okazać, magia już dawno przestała być sztuką tajemną, a stosy, na których palono tak zwane wiedźmy, już wkrótce miały ponownie zapłonąć podczas nierównej walki rozumnego postępu z rozumnym uwstecznieniem... Zaraz po tym, jak rzuciliśmy się sobie do gardeł.*

Clive K. Phillips, *Dzienniki zebrane*

Utrzymywany zaklęciem w stanie snu Stephen spoczywał na łóżku w pokoju Briana, podczas gdy Clive, Morris i Martin siedzieli w niewielkim salonie, rozważając możliwości działania. Zasłonili wszystkie okna, zapalili tylko kilka świec, aby można było jakkolwiek poruszać się po domu. Raczyli się chlebem i kawałkami suszonej wołowiny, a że nie chcieli rozpalać w kuchni, to popijali je surową wodą.

– Siedziba kompanii to jedyny budynek w mieście wzniesiony z cegły – oznajmił Doc Martin. – W środku byłem raz, może dwa. Parter, dwa piętra, strych i spory balkon z drewnianą balustradą. Jeżeli się tam okopią, to będą jak w najprawdziwszej twierdzy. Obawiam się, że we trzech niewiele poradzimy, a na miejscowych też nie mamy co liczyć. Ani tego ostrzeliwać, ani podpalić, ani szturmować.

Clive wyłożył na stół trzy pudełka amunicji do rewolwerów oraz dwie garści gilz do śrutówki. Ustawił przed sobą dwanaście naboí i brał je kolejno, by za pomocą czegoś, co przypominało srebrny gwóźdz, ryć na nich glify.

Morris z fascynacją obserwował ten proces, a jego uwadze nie umknęło, że znowu mrowi go ramię. Z każdą chwilą robił się coraz bardziej wrażliwy na przepływ Potencjału, przynajmniej tego, którym manipulował Clive.

– Mówiłeś, że musisz je naładować – zwrócił się do rewolwerowca. – Czy samo naznaczenie sprawia, że zyskają jakiegokolwiek właściwości?

– Nie – mruknął Clive. – Ale pewnie zużyję tam większość zgromadzonego zapasu. Po wszystkim trzeba będzie je uzupełnić.

Morris wzdrygnął się na myśl o wykradaniu ludziom Potencjału, nawet jeżeli była mowa o bandytach z gangu Wilsona. Z drugiej strony tłumaczył sobie, że lepsze to, niż gdyby sam miał być go pozbawiony. Przed oczami nadal miał widok kowboja, któremu pułkownik Wilson wydarł odrobinę tej mocy. Oznaki nagle pojawiającej się choroby, starzenie. Zupełnie jakby nagle pozbawiono go kilku lat życia.

– O czym mówicie? – zainteresował się Martin.

Clive oderwał się na chwilę od zajęcia. Zmierzył kowala poważnym wzrokiem.

– Opowiadałeś nam o Morcie, twoim przyjacielu, i tym, jak walczył nawet po śmierci.

– Tak.

– A co, jeżeli mógłbym wyjaśnić ten fenomen?

W pomieszczeniu zaległa cisza z gatunku tych dusznych. Dopiero po chwili wstrzymywania oddechu kowal odezwał się cicho:

– Każdego dnia... – spuścił wzrok, pocierając stwardniałe już blizny na przedramionach. – Absolutnie każdego dnia zastanawiam się, co było tego przyczyną. Zapytałem kiedyś o to kaznodzieję podczas spowiedzi. Odparł, że to jakieś szatańskie sprawy i bym porzucił myśli o nich, żeby nie prowokować złego. Kiedy zaś zadawałem pytania, on zagroził, że nie da mi rozgrzeszenia, jeżeli będę drażył ów fenomen. Nigdy nie sądziłem, że ukojenie znajdę u kogoś zupełnie innego. A teraz ty oferujesz mi wyjaśnienie. Zrozum, ale sam już nie wiem, w co mam wierzyć.

Na wzmiankę o kaznodziei Clive prychnął pogardliwie.

– Wychowano mnie na katolika – burknął. – Zanim wybrałem drogę rozumu, również zdarzyło mi się zapytać księdza o przyczyny niewyjaśnionych zdarzeń, które obserwowałem. Odpowiedział mi zagadką, formułką, którą słyszałem tak często powtarzaną przez zaślepionych wyznawców, niezależnie od ich poziomu społecznego

czy wykształcenia. „Niezbadane są ścieżki Pana”, bredzili, albo że to cud. Kiedy drażyłem, mówiono mi, że szatan postawił mi te dziwy przed oczami i teraz mnie kusi, abym zszedł na złą drogę, a ostatecznie postradał duszę. Lecz najbliżej byli twierdzący, że ludzie nadal nie rozumieją wszystkich zjawisk, które mają miejsce dookoła nas i że kiedyś nauka je wyjaśni. Z tymi potrafiłem się zgodzić i ich ścieżkę właśnie wybrałem.

– Sam mówisz zagadkami – kowal odparł bez cienia ironii.

– Zróbmy zatem mały eksperyment. Weź monetę.

– Po co?

– Nie pytaj. Zobacz i zrozum.

Zaintrygowany Martin wyciągnął z kieszeni ćwierćdolarówkę.

– Dobrze – kontynuował Clive. – A teraz powiedz mi, co wypadnie, gdy ją podrzucisz.

– No, nie wiem. Orzeł albo reszka. Nigdy nie wiadomo, ale na tym przecież to polega.

– Otóż to. W matematyce nazywa się to prawdopodobieństwem. W teorii szanse na wypadnięcie jednej lub drugiej strony są dokładnie takie same. Pół na pół. W praktyce jest tak, że jeśli podrzucisz monetę dwa razy, jest spora szansa, że wypadnie to samo. Nawet jeśli podrzucisz trzy. Ale czy nie jest tak, że za każdym następnym razem twoja pewność co do wyniku będzie malała?

– Zgadza się. Ale co ma pewność do prawdopodobieństwa?

Clive uśmiechnął się przebiegle.

– Daj teraz tę monetę Morrisowi.

Chłopak ożywił się, słysząc swoje imię. Zerknął to na Clive'a, to na Martina, który z mieszkanką sceptycyzmu, ale i ciekawości oddał dolarówkę.

– I co teraz?

– Podrzucaj, ale skup się na wyniku. Myśl tylko o reszce. Pozbądź się wątpliwości co do faktu, że może być inaczej. Dla ciebie na pewno wypadnie reszka.

Morris pokiwał niepewnie głową i już miał podrzucić monetę, kiedy Clive szybkim ruchem wyciągnął broń i przystawił mu lufę do głowy.

– Hej! – zszokowany Martin aż odsunął się od stołu. – Co ty wyprawiasz?

– On dobrze wie – odparł Clive. – Widzę to po nim. Czuję, że nie wierzy w to, co robi. Dla niego wynik nadal jest niepewny. Dlatego daję mu dodatkową motywację. Interesuje mnie prawdziwa wola, zatem daję mu dobrą motywację. Więc – odciągnął kurek rewolweru. – Morris wie, że mówię serio. Czuje to, ponieważ łączy nas

niewidzialna więź, a on sam bardzo szybko zaczął dostrzegać ludzkie myśli i intencje. Więc doskonale zdaje sobie teraz sprawę, że zastrzelę go, jeżeli tylko wypadnie orzeł. Prawda, Morris?

Chłopak przełknął głośno ślinę, a na czole wystąpił mu zimny pot. Tak, doskonale czuł realną groźbę śmierci, a raczej absolutne zapewnienie tego, że porażka oznacza śmierć. Ta intencja promieniowała od Clive'a niczym aura świecy ustawionej w mroku. On naprawdę nie żartował. Serce waliło mu w piersi, z każdym uderzeniem głośniejsze błagając o życie.

Morris podrzucił monetę. Srebrny krążek wirował w powietrzu, po czym upadł na stół z brzękiem. Reszka.

– Brawo – Clive mruknął z mroczną satysfakcją. – A teraz powtórz rzut.

Drżącą ręką Morris podniósł monetę i wykonał polecenie. Wstrzymał oddech, kiedy moneta spadała na blat, kręciła się, jakby sobie z niego dworowała. Zagryzł zęby, aby wysilić wolę. W myślach widział jedyny możliwy wynik rzutu. Odetchnął zaś z ulgą, kiedy ponownie wypadła reszka.

– Uff...

– Jeszcze raz – syknął Clive.

– Czy to nie pozbawia mnie Potencjału? – Morris zapytał drżącym głosem.

– Kula pozbawi cię go szybciej.

Kolejny rzut. Kolejna reszka. Doc Martin przysunął się do stołu, by lepiej widzieć dolarówkę. Nie wiedział jeszcze, czy wierzy, lecz był absolutnie zafascynowany tym, co widział.

Morris powtórzył próbę bez namawiania. Reszka. I jeszcze raz, a potem kolejny. Za każdym następnym coraz bardziej wyzbywał się wątpliwości i uspokajał... aż wypadł orzeł.

Chłopak wstrzymał oddech i zacisnął powieki – był pewny, że zaraz padnie strzał. Usłyszał tylko kliknięcie opuszczonego kurka i dźwięk rewolweru chowanego do olstra. Poczucie zagrożenia znikło. Otworzył oczy.

– Co się stało? – jęknął, czując, że krew odpłynęła mu z nóg.

– Dziewięć razy wyrzuciłeś reszkę, ale za dziesiątym – Clive spojrzał na Martina – on ci przeszkodził.

– Ja nic nie zrobiłem – zapewnił kowal.

– Nie zrobiłeś tego świadomie. Widzisz, żyjesz w czymś, co się nazywa paradygmatem. Dla ciebie są rzeczy dziwne i niepodlegające zdrowemu rozsądkowi, które stoją w opozycji do świata działającego według znanych reguł. Problem polega



na tym, że twój zdrowy rozsądek jest ukształtowany przez to, jak zostałeś wychowany i co ci wpojono. Do pewnego momentu godziłeś się na niedające się wyjaśnić zjawisko, lecz w końcu i tu napotkałeś granicę, a twoje zwątpienie i strach były tak silne, że sam wpłynąłeś na wynik.

Bez słowa Clive podniósł monetę i podrzucił ją niedbale w powietrze.

Morris poczuł mrowienie, a świece jakby przygasły na chwilę. Moneta zaś wirowała w powietrzu o wiele wolniej i dłużej niż powinna, a kiedy spadła na stół, wylądowała idealnie na krawędzi i tak już została.

– Niemożliwe – jęknął kowal. – To jakaś sztuczka.

– Oczywiście, że to pewnego rodzaju „sztuczka” – odparł Clive. – Co nie znaczy, że to niemożliwe. Czy nie jest tak, że dla dziecka rozgrzanie sztaby stali do czerwoności wygląda jak magia? Czy aby nie potrafisz wykonywać skomplikowanych urządzeń, które początek mają w twojej głowie, a ty kształtujesz drewno i metal podług swojej woli? A co, jeżeli każdy z nas ma w sobie element kształtujący coś, co mylnie nazywamy przeznaczeniem, a ono kształtuje rzeczywistość dookoła nas? Co, jeżeli w tym życiu mamy określony czas i siłę na to, by spożytkować go zgodnie z naszą wolą i jest on zarówno policzalny, jak i elastyczny? Gdyby go dotknąć i ukształtować, czy nie staje się nowym surowcem, elementem nauki i technologii? Ja zaś mówię, że jest równie realny co magnetyzm, którego nie zobaczysz, ale odczujesz, a przecież nie mówisz, że magnetyzm jest metafizyczny.

Po tym, co zobaczył, Doc Martin miał jeszcze wiele pytań, ale zdecydowanie mniej wątpliwości. Przyswoił podstawowe informacje dotyczące Potencjału, ani przez chwilę ich nie podważając. Sam wywnioskował, że Morris został w jakiś sposób dotknięty ową mocą i jego niezwykła przemiana była wynikiem leczenia po pobiciu przy wykorzystaniu magii Potencjału. Gdy dowiedział się, iż pułkownik Wilson również posługiwał się odmianą tej sztuki, stropił się, lecz czym prędzej zaczął głowić się nad możliwymi rozwiązaniami.

– Zatem Wilson wyciągnął Potencjał od swojego człowieka, osłabiając go, ale, tak jak ty, wpłynął na karty, a potem próbował to zrobić z młodym Stephenem?

– Zgadza się – odparł Morris.

– No, ale czy nie powinien tego robić podczas tasowania, kiedy karty były w ruchu? Skoro karty zostały już ułożone, jak mogliście wpłynąć na wynik?

– Dlatego wysiłek był większy – odparł Clive. – Zabawa z wirującą monetą to jedno, ale wpłynięcie na coś, co już się stało, to potężny wydatek energii. Stąd kradzież Potencjału tak mocno odcisnęła się na tamtym nieszczęśniku i dlatego nie mogłem

uszczupłać dalej swoich zapasów ani ryzykować krzywdą młodego Stephena. Na ten przykład, podczas bitwy pod Gettysburgiem Mort umarł przedwcześnie, bo w tamtej bitwie walczyły nie tylko fizyczne siły ludzi, ale i zbiorowa wola tysięcy żołnierzy, a nawet ich rodzin, które znajdowały się setki mil od tamtego miejsca. Choć ciało Morta było już martwe, jego gasnąca wola skupiła cały swój Potencjał, by dokonać ostatniego aktu i zmusić ciało do walki. Ba, możliwe, że nieświadomie sam mu w tym pomógł. Jeżeli ludzkie życie to świeca, którą zgaszono, zanim się dopaliła, to sprawiliście, że dla Morta wybuchła niczym laska dynamitu.

– No dobrze – kował sięgnął po kartkę i ołówek, by naskicować schematy obrazujące pozyskane informacje. – Człowiek ma swój Potencjał, ale każdy ma inny. Mniejszy lub większy. Nieświadomiony działa biernie, może się aktywować lub nie. Ale za pomocą ćwiczeń można nauczyć się go kontrolować, choć przy każdym użyciu się go wytraca. Więc jeżeli chce się coś więcej z tym robić, to przy pomocy przeklętych przedmiotów lub nawet samych słów można komuś go odebrać, by wykorzystać go wedle własnej woli?

– Tak, choć nie do końca – odparł Clive. – Po pierwsze, wymaga to lat przygotowań i nie każdemu się udaje. Po drugie, te przeklęte przedmioty czy słowa to nic innego jak zbiory bodźców wywołujących pewne reakcje, swoiste katalizatory reakcji. Wilson operuje zarówno na poziomie słowa, jak i symbolu, ale nie trzyma się magazynowaniem. Płaci ludziom naznaczonymi monetami, by móc do nich bezpośrednio sięgać. Przygotował sobie zatem pole do kradzieży Potencjału. Tyle że wykorzystanie za pomocą słów czy też zaklęć daje słabszy efekt, który wymaga czasu, aby zadziałał.

Martin pokiwał głową ze zrozumieniem.

– No dobrze, więc w jaki sposób odbierałeś ściganym ich Potencjał?

– Łapałem ich żywych i naznaczałem, wiążąc na poziomie symboli pomiędzy pociskiem a dawcą. Umierali w tym procesie, ale i tak byli już skazani na śmierć za swoje przewiny.

– Czy to wymagało, by „dawca” przyjął twój znak, tak jak na przykład monetę?

– Nie. To wszystko są agresywne techniki i nie wymagają nawet świadomości ofiary. Nie znam przypadku, w którym ktoś świadomie przekazał komuś swój Potencjał. To zupełnie jak z czasem, pewne procesy działają tylko w jedną stronę.

– W takim razie mam dla ciebie pewien pomysł – kował wziął w palce jeden z pocisków i uśmiechnął się przebiegle.

\* \* \*

Clive Phillips niedbale palił papierosa. Szedł niespiesznie samym środkiem głównej ulicy Prosperity w stronę budynku kompanii Wilcamp. Odwinął poły płaszcza, aby mieć łatwy dostęp do rewolwerów, a zarazem pokazać wstecz, że idzie załatwić konkretne sprawy. Nałożył ciemne okulary, aby nie oślepiało go wschodzące słońce, które choć miał za plecami, to odbijało się od szyb budynków i witryn. Wraz z każdym jego krokiem ulica pustoszała, a ludzie chowali się do domów, czym prędzej zatrzymując drzwi i okna, lecz tylko po to, by wyglądać rozwojowi wydarzeń przez szpary.

Kilku niedospanych opryszków wychynęło z saloonu, pospiesznie zapinając pasy z bronią. Na przeciwległym balkonie budynku Wilcamp pojawiło się paru innych z przygotowanymi do strzału winchesterami. W oknach poniżej dało się zauważyć małe poruszenie.

Dwie bandolierki zawieszona na pasie ciążyły Clive'owi, lecz pomysł Martina miał ogromne szanse powodzenia. Jego realizacja zajęła im całą noc, lecz każdy z osobna był zdeterminowany, aby załatwić tę sprawę raz na zawsze. Przewaga liczebna była oczywiście po stronie gangu, a zadaniem Clive'a było nieco go uszczuplić, choć nawet jemu wydawało się to czystym szaleństwem.

Zatrzymał się na środku ulicy dokładnie pomiędzy saloonem a budynkiem z cegły. Zaciągnął się po raz ostatni, rzucił niedopałek na ziemię i przydeptał butem. Splunął, poprawił rękawiczki i czekał, nie zważając na bełkotliwe komentarze członków gangu stojących przed saloonem. Całą noc męczyła go migrena, lecz nie mógł pozwolić, aby przeszkodziła mu w zadaniu.

– Popelnia pan błąd, panie Phillips. – Z balkonu murowanego budynku dał się słyszeć głos pułkownika Wilsona. Wytworny mężczyzna stanął pomiędzy swoimi ludźmi, by spojrzeć z góry na Clive'a. Poły marynarki miał odwinęte, co uwidaczniało trzydziestkę ósemkę zawieszoną w kaburze na szelkach. – Przychodzi pan tu po śmierć.

– Zgadza się – odparł Clive. – Po waszą, o ile nie wypuścisz dziewczyny. Zrób to, a pójde w swoją stronę i więcej mnie nie zobaczysz.

– Kusząca propozycja, tyle że sprawy nieco się pokomplikowały. Moi ludzie zginęli, a pozostali chcą zemsty. Nie mogę tak tego zostawić. Jeszcze ktoś pomyślałby, że się ciebie boję – roześmiał się teatralnie.

– Nie ma nic do udowadniania – krzyknął Clive. – Oddaj panienkę Mary, a obędzie się bez strzelaniny. Ty pierwszy rozlałeś krew. Podpaliłeś kasyno, kazałeś zabić panią Rice. Twój ludzie zginęli z rąk oszalałego ducha zemsty, którego ty sam

stworzyłeś! Zastanawia mnie tylko, ilu z nich ma ochotę oddać za ciebie życie, bo to przecież oczywiste, że zaraz padną trupy.

Ostatnie słowa wywołały drobne poruszenie wśród ludzi Wilsona. Clive doskonale zdawał sobie sprawę, że pułkownik im płaci, lecz też trzyma ich w ryzach za pomocą tajemnej mocy, której nie rozumieli. Wiedzieli tylko, że każdy, kto miałby czelność mu się przeciwstawić, umierał natychmiast, i to straszną śmiercią. Z drugiej strony znali też, powtarzali, przekręcali i dopowiadali sobie historie, tworząc tak zwaną legendę Kuloodpornego Phillipsa, a to stawiało ich w naprawdę niewygodnej sytuacji.

– Lepszy diabeł, którego znasz! – Zawołał pułkownik, jakby zgadując jego myśli.

Clive skrzywił się paskudnie i splunął na ziemię.

– Martwi nie wymieniają powiedzonek.

– Koniec z tym pieprzeniem – warknął Wilson. Odebrał jednemu ze swoich ludzi winchestera, wycelował w Clive'a i nacisnął spust.

Huk wystrzału rozniósł się echem po ulicy, lecz pocisk nie trafił, zamiast tego uderzył w piaszczystą ulicę u stóp Clive'a. Klnąc na czym świat stoi, Wilson przeładował, wycelował dokładniej i strzelił znowu. Choć Clive nawet się nie poruszył, pocisk znowu chybił. Pomiędzy ludźmi podniosły się szmery, spośród których słyhać było głównie słowo: „kuloodporny”.

Wilson po raz kolejny przeładował.

– Bezsensownie się wysilasz, Phillips. Dla mnie to nawet lepiej, bo ilu kul unikniesz, zanim twoje zapasy się wyczerpią?

Clive zacisnął zęby. W duchu przyznał Wilsonowi rację. Dwa strzały, na których trajektorię właśnie wpłynął, kosztowały go już dwa naładowane pociski. Prawie nie miał już w bandolierze naboji posiadających jakikolwiek Potencjał, a reszta dopiero czekała na swoją kolej.

Wściekły Wilson zaczerpnął energii od najbliższego ze swoich ludzi. Przekształcił ją i wypuścił razem z kolejnym strzałem z winchestera. W tym czasie osłabiony mężczyzna, skrzywiony z bólu, padł na ziemię. Rozczapierzonymi palcami złapał się za klatkę piersiową.

Tym razem Clive zareagował. Błyskawicznie sięgnął po broń, aktywował glyfy na rewolwerze, które, zestrojone z nabojami znajdującymi się w bębnie, załśniły czystą energią. Wypalił w stronę Wilsona.

Dokładnie w pół drogi między nimi prysnęły iskry, kiedy pociski otarły się o siebie. Clive poczuł pieczenie w udzie, wywołane uderzeniem odłamka, lecz z satysfakcją

zauważył, jak Wilson łapie się za twarz w miejscu, gdzie odprysk kuli rozorał mu policzek.

– Zabić go! – zawył wściekle pułkownik.

Przez kilka uderzeń serca członkowie gangu wahali się, lecz wystarczyło, że Clive wyciągnął drugi pistolet, by – głównie z przestachu – otworzyli ogień. Huk kanonady ogłuszał, lecz to, co nastąpiło w ciągu kilku następnych sekund, przeszło do legendy.

Ci, którzy oglądali sytuację z ukrycia, powtarzali historię o tym, jak Kuloodporny Clive K. Phillips zawirował jak fryga, jak dookoła niego śmigły pociski wzbijające chmury pyłu, a on tańczył pośród nich, oddając strzał za strzałem. Za każdym razem, kiedy naciskał spust, miało się wrażenie, że ziemia się trzęsie, jego broń błyskała zimnym światłem, a następstwem tego padał kolejny przeciwnik. Po chwili na ulicy był tylko on i świeże trupy.

Clive próbował nie pokazywać, jak ciężko dyszy. Opuścił ciężące mu pistolety, pozwalając, aby dymiące lufy schłodziły się nieco. Gdzieś powyżej pułkownik Wilson uciekał właśnie do wnętrza budynku, zostawiwszy na balkonie ciała pomagierów.

– Sprawdźmy twój pomysł, Martin – mruknął Clive i skupił wolę.

Naraz poczuł wszystkie wystrzelone przez siebie kule pozostające w ciałach dogorywających przeciwników. Zignorował tylko te, które przeszły cele na wylot. Sięgnął, by aktywować glify naznaczające i zassał energię Potencjału, wtłaczając ją bezpośrednio do pocisków zgromadzonych w drugiej bandolierze. Początkowo nic się nie działo, lecz już po chwili, kropla po kropli, Potencjał zaczął do niego płynąć. Z satysfakcją odkrył, że sposób, choć wymagał od niego chwilowej koncentracji, okazał się nadzwyczaj efektywny. Już po wszystkim ucieszył się w duchu, że nikt nie wykorzystał tej okazji, żeby do niego strzelić.

– A niech mnie – zaklął pod nosem. Zastanawiał się, czemu sam wcześniej nie wpadł na ten pomysł.

Wyrzucił z bębnowy zużyte łuski, które zmieniły się w pył, zanim jeszcze dotknęły ziemi. Załadował świeże naboje, po czym ruszył ku wejściu do budynku kompanii. Idąc, wycelował przed siebie i wypalił. Energia Potencjału zgromadzona w naboju dosłownie rozsadziła drzwi w drobne drzazgi.

– Wilson! – zawołał z szaleństwem w oczach. – Wychodź! Wychodź, gdziekolwiek jesteś!

Korzystając z zamieszania wywołanego przez Clive'a, Morris i Doc Martin zakradli się na tyły budynku. Przeskoczyli niewielki płot, okalający niegdyś wystawne

patio, i skryli się za zasłoną, oferowaną przez pamiętającą lepsze czasy altanę.

Wejścia do budynku strzegł tylko jeden człowiek, a i on skupiał się bardziej na nasłuchiowaniu dyskusji Wilsona z Clive'em niż na rozglądaniu się po okolicy. Kiedy padły pierwsze strzały, kiepsko rozgarnięty kowboj opuścił swój posterunek, żeby wychynąć zza załomu, licząc, że zobaczy cokolwiek z widowiska dziejącego się na ulicy.

Doc Martin postanowił wykorzystać okazję. Pokazał Morrisowi, że rusza, po czym wyciągnął nóż i zakradł się do mężczyzny od tyłu. Złapał go, zasłonił usta i dźgnął pod żebra dwa razy, po czym poprawił uderzeniem w klatkę piersiową. Wartownik osunął się martwy na ziemię. Zaciągnęli go do altany i tam ukryli.

– Może weź jego broń – Morris wskazał rewolwer kowboja. – Nie chcesz chyba iść na strzelaninę bez broni?

Doc Martin pokręcił głową i poklepał wiszącą u boku szablę, którą wygrzebał ze zgliszczy kuźni. Choć osmalona, nie wydawała się wcale zniszczona, a sprawdzona pilnikiem wykazywała twardość właściwą zahartowanemu metalowi, co kowal uznał za swoisty cud. Wyposażony w nową wiedzę nie wykluczał również opcji, że tkwi w tym coś głębszego.

– Mówiłem ci, chłopcze, ja się już nastrzelałem w życiu. To sprawa osobista, a takie zawsze lepiej załatwiać z bliska, ostrzem, a nie kulą.

Morris pokręcił głową zszokowany. Czuł zarówno podziw dla kowala, jak i strach przed jego szaleństwem. Przecież właśnie zarznął drugiego człowieka cicho, precyzyjnie i bez mrugnięcia okiem.

Od strony ulicy dobiegł dźwięk równoczesnego wystrzału oraz wizg rykoszetujących pocisków. Przepływ energii w okolicy sprawił, że nie tylko rękę Morrisa przeszył dziwny prąd, lecz doszły do tego również nagły ból głowy i pieczenie w udzie.

– Zabić go! – Krzyk pułkownika Wilsona i następująca po nim kanonada były sygnałem również dla nich.

– Idziemy! – syknął Doc Martin.

Otworzyli drzwi. Nie skradali się, ponieważ huk wystrzałów doskonale zagłuszał ich kroki. We wnętrzu ciasnego korytarza nie widzieli nikogo, choć doskonale słyszeli rumor dochodzący z całego budynku. Wydawane rozkazy, tupot stóp, przewracanie mebli, brzęk tłuczonego szkła. Brzmiało to, jakby członkowie gangu ostrzeliwali się z całą armią szturmującą ich siedzibę.

– Nie wiem, kto jest bardziej szalony – szepnął Morris. – Clive czy my.

– Zastanowimy się, jeżeli jakimś cudem wyjdziemy z tego cało – burknął kowal.

Doc Martin szedł przodem, w jednej ręce dzierżył obnażoną szablę, a w drugiej nóż. Morris podążał w ślad za nim z przygotowaną do strzału dwururką należącą niegdyś do pana Rice'a.

Zagląдали do kolejnych pomieszczeń, lecz znaleźli tylko składziki i pokoje gospodarcze. Kiedy zbliżali się do drzwi wieńczących korytarz, kanonada na zewnątrz ucichła, a paradoksalnie ruch na piętrach się wzmógł.

– Przegrupowują się – szepnął kowal. – Ktokolwiek na nas wyskoczy, uważaj, żebyś tą śrutówką...

Dokładnie w tej chwili drzwi do korytarza otwarły się i stanął w nich blady jak ściana kowboj. Wyglądał, jakby biegł do wyjścia, lecz, widząc dwójkę nieznajomych, zatrzymał się zdziwiony. Próba oceny sytuacji drogo go kosztowała.

Morris wznosił dwururkę do strzału, lecz Doc Martin był od niego szybszy. Rzucił nożem, bezbłędnie trafiając kowboja w szyję. Natychmiast też doskoczył do niego, wyrwał ostrze i poprawił, wbijając je głęboko w ucho ofiary. Mężczyzna był martwy, zanim upadł na podłogę.

– Jeżeli to robisz z nożem... – Morris nie zdążył dokończyć, ponieważ poczuł nagłe przyciąganie.

Coś szarpnęło go w stronę ulicy, jakby jakaś niewidzialna siła chciała zassać jego duszę. Oparł się temu, choć wyraźnie zakręciło mu się w głowie. Wkrótce było już po wszystkim.

– Zrobił to – powiedział do Martina nie do końca przytomnym głosem. – Naładował naboje.

– Świetnie – syknął kowal. – To znaczy, że jeszcze żyje. Idziemy dalej.

Za drzwiami widać już było hol budynku i schody na górę. Kilku ludzi Wilsona barykadowało główne wejście za pomocą masywnej szafy. Dwóch kucalo pod oknami, gotowi do oddania strzału, a kolejni szykowali się na piętrze.

Doc Martin wskazał Morrisowi, żeby poczekał na nadarzącą się okazję. Jak na życzenie w następnej chwili wejście eksplodowało, jakby ktoś wystrzelił z armaty. W holu zapanował istny chaos.

Kowal znowu rzucił nożem, po czym skoczył i siekł szablą. Prawie w tej samej chwili do środka wpadł Clive, by siał spustoszenie. Morris stał bez ruchu, oszołomiony widokiem nierównej walki, w której zaskoczenie chwilowo brało górę nad przewagą liczebną. Wiedział, że powinien coś zrobić, lecz dłonie mu się trzęsły, a w ustach zaschło. Nigdy jeszcze do nikogo nie strzelał.

Sytuacja szybko wymusiła na nim działanie. Jakkolwiek jego towarzysze poradzili sobie z kowbojami znajdującymi się na parterze, tak ci zasadzeni na piętrze prawie natychmiast otworzyli ogień. Doc Martin uskoczył za grubą komodę. Clive próbował się ostrzeliwać. Jego ruchy zdawały się rozmyte, a strzały oddawane były jakby z kilku pistoletów na raz. Położył jednego, może dwóch przeciwników, lecz tamci nie dawali za wygraną.

Morris zagryzł zęby, wychylił się z korytarza i spojrział w górę. Poprzez balustradę widział sylwetki ludzi Wilsona. Drżącymi rękoma uniósł broń, wypuścił powietrze. Zacisnął mocno powieki i nacisnął spusty.

Strzelba wypaliła z obu luf, posyłając w powietrze chmurę śrutu, która podziurawiła barierkę schodów i wszystko, co się za nią znajdowało. Z góry dały się słyszeć przeraźliwe wrzaski pełne bólu, a przez dziury w suficie zaczęła sączyć się krew.

Wykorzystując sytuację, Clive i Doc Martin wbiegli po schodach. Clive osłaniał kowala, tak by tamten mógł wpaść na górę, rozdając śmierć za pomocą szabli. Morris ruszył w ich stronę. Uznał, że po drodze przeładuje dwururkę, ale gorące gilzy poparzyły mu palce, a nogą zahaczył o jedno z ciał na podłodze. W rezultacie wyłożył się jak długi, a trzymane w dłoniach naboje rozsypały się dookoła.

Już miał się podnieść, lecz ktoś złapał go za ramię. Był to jeden z członków gangu, który jakimś cudem wyszedł spod szabli Martina. Jego rozorana ostrzem twarz przypominała koszmarną maskę, w której spomiędzy broczącego krwią mięsa wystawały kości czaszki i chrząstka przepołowionego nosa. Obląkany wzrok mężczyzny przepełniała chęć mordy, a brudne łapska kurczliwie zaciskały się na ubraniu Morrisa.

Chłopak odepchnął przeciwnika i panicznie zaczął macać dookoła za gilzami. Już miał jedną między palcami, kiedy zauważył, jak atakujący go kowboj sięga po nóż zatknięty za pasek. Mężczyzna wzniósł ostrze i z nieludzkim skowytem zamachnął się, by wbić je w brzuch Morrisa. Wyciągnięcie rewolweru okazało się odruchem. Ręka Morrisa zacisnęła się na orzechowej rękojeści remingtona, by gładko wyszarpnąć go z olstra. Długa lufa znalazła się dokładnie na linii tego, co było kiedyś nosem kowboja. Wystarczyło nacisnąć spust. Huk i szarpnięcie niemal ogłuszyły Morrisa i tylko dlatego do końca życia dziękował sobie, że nie pamięta widoku rozbryzgującej się głowy przeciwnika. Kojarzył tylko, że przez chmurę dymu ochlapała go ciepła i lepka ciecz. Gorzka i słona zarazem smakowała miedzią.

Podniósł się, robiąc wszystko, byleby nie spojrzeć na bezgłowy zewłok. Zgarnął najbliższe leżące gilzy, załadował strzelbę. Schował rewolwer do olstra i ruszył po



schodach na piętro, gdzie toczyła się regularna bitwa. Mniej więcej w połowie drogi dotarło do niego, co przed chwilą zrobił. Zatrzymał się, bo zakręciło mu się w głowie, w następstwie czego zwymiotował pod nogi.

– Niedobrze! – zawołał oparty się o ścianę Doc Martin. Z przestrzelonego ramienia krwawił jak zarzynane prosię. Wskazał szytychem załom korytarza, przy którym czatował Clive ukryty przed sporadycznymi salwami od strony przeciwników. – Zdaje się, że zeszli z drugiego piętra i zgromadzili się w pokojach, tam w głębi. Nie wiem, po co, ale ostrzeliwują się stamtąd. Mają więcej ludzi, a co za tym idzie, więcej amunicji. Na dobrą sprawę wystarczy, że nas przeczekają.

– Clive! – zawołał Morris i przetarł usta. – Nie możesz czegoś zrobić? Przecież kule się ciebie... – słowa ugrzęzły mu w gardle, ponieważ zobaczył krew ciekącą z prawego uda rewolwerowca i rany w lewym boku.

– Ciężko – odparł Clive pomiędzy jednym strzałem a drugim. – Już próbowałem. Jak znowu zaczną do mnie pruć w ciasnej przestrzeni, to niewiele zdziałam. Aż tak kuloodporny to ja nie jestem.

Dźwięk tłuczonego szkła od strony pokojów sprawił, że Clive i Doc spojrzeli na siebie z niepokojem.

– Co to było? – zapytał Morris.

– Za tobą! – krzyknął Martin.

Chłopak obrócił się, żeby zobaczyć trzech kowbojów wbiegających do budynku od strony głównego wejścia. Jeden z nich wyraźnie utykał, jakby skręcił kostkę podczas skoku z okna na pierwszym piętrze. Morris wymierzył w ich stronę i wypalił z obu luf śrutówki. Chmura śrutu poraniła dwóch pierwszych. Szybka salwa ze strony Clive'a dokończyła dzieła.

Przez wyłom w miejscu drzwi wejściowych dało się zobaczyć dwóch jeźdźców. Spięli konie i puścili się galopem. Jednym z nich był pułkownik Wilson. Niemal w tym samym momencie od strony korytarza dobiegł krzyk Mary.

Clive zaklął pod nosem i ruszył schodami w dół.

– Co ty robisz? – zawołał Morris, chwytając rewolwerowca za ramię.

– Muszę złapać Wilsona – Clive nie dał się zatrzymać. Wyrwał rękę i zbiegł schodami. – On wie, gdzie jest Campbell i pewnie jedzie go ostrzec.

– Ale Mary...

Clive go nie słuchał.

Morris zajął miejsce przy załomie korytarza. Odrzucił strzelbę, do której nie miał już amunicji, i wyciągnął rewolwer. Spojrzał na Martina, który przykucnął u szczytu

schodów.

– Dajesz radę?

– Bardziej niż ty, dzieciaku – kowal uśmiechnął się blado. – Przestali strzelać, ale ciągle tam są. Cholera wie, ilu. Czterech, może pięciu.

Kolejny krzyk Mary wstrząsnął Morrisem. Chłopak odciągnął kurek pistoletu i ku przerażeniu Martina z wrzaskiem skoczył w korytarz.

Bohaterska szarża skończyła się niemal tak szybko, jak zaczęła. Z ostatnich drzwi wyłonił się kowboj, który posłał w stronę Morrisa niecelny strzał. Wystarczyło, żeby chłopak rzucił się na podłogę i nacisnął spust, posyłając kulę w sufit. W następnej chwili przebiegł nad nim Martin.

Morris postanowił blefować. Ponownie wystrzelił w sufit, tak by przypadkiem nie trafić kowala, a wystraszyć przeciwnika. Pozwoliło to Martinowi podbiec do drzwi idealnie w momencie, kiedy kowboj znowu wychylił się, żeby strzelić. Szybkie cięcie szabli pozbawiło go dłoni.

Na tyle niezgrabnie, że nieomal wybił sobie zęby o podłogę, Morris zerwał się i szybko znalazł obok kowala.

– Co teraz? – zapytał z przerażeniem.

Pod nogami miał odciętą dłoń kowboja, wciąż zaciśniętą na rewolwerze. Z pokoju dochodziły jęki rannego.

– Nie podchodzić! – Zagrzmiął głos jednego z członków gangu. – Mamy tu kobiety. Jak czegoś spróbujecie, to poderżniemy im gardła.

– Kobiety? – zdziwił się Morris.

Doc Martin dał znać, że również nie ma pojęcia, o kogo chodzi.

– Jest nas tu dziesięciu! – zawył kowboj.

– Pieprzy głupoty, jest ich trzech! – odezwał się nieco znudzony, damski głos.

– Zamknij się, suko!

Morrisowi zdało się, że rozpoznał drugą kobietę.

– Pani Cherie?

– Tylko nie pani, dzieciaku. Tak stara to ja nie jestem.

– Zamknij się! – powtórzył kowboj.

– Jest z wami Phillips? – zainteresowała się Cherie.

Morris spojrzał pytająco na Martina, lecz ten tylko wzruszył ramionami i aż syknął z bólu.

– No... nie ma – chłopak odparł rozbijając szczerze pomimo gniewnych gestów Martina. – Pojechał za pułkownikiem Wilsonem.

– Aha – skwitowała Cherie.

Z pokoju dobiegł łoskot. Coś brzęknęło, coś łupnęło, Mary wrzasnęła przerażona. Jakiś mężczyzna jęknął w agonii z wyraźnym meksykańskim akcentem. Po kilku chwilach rejwach ucichł. Morris i Martin wykorzystali okazję i skoczyli do drzwi. Tam zatrzymali się jak wryci.

W obszernym pokoju zobaczyli Cherie stojącą nad trupami. Jeden miał poderżnięte gardło, drugiemu z oka wystawała długa szpilka do włosów, przypominająca cienki sztylet. Trzeci leżał na podłodze i wił się w agonii, a z jego rozoranego ostrzem krocza buchała krew. Kowboj bez ręki leżał siny obok drzwi pośrodku ciągle rosnącej kałuży.

Mary kuliała się w rogu pomieszczenia. Zakrywała twarz dłońmi, byleby nie widzieć masakry. Cherie podeszła do niej, pogłaskała po głowie i delikatnie pomogła jej wstać.

– No dalej, dziecko, już jesteś bezpieczna – powiedziała nadzwyczaj łagodnym, kojącym wręcz tonem, czym po raz kolejny wprawiła Morrisa w konsternację. Ta delikatna, opiekuńcza dama właśnie zarznęła trzech mężczyzn za pomocą szpilki do włosów. – Chodź ze mną i nie patrz, poprowadzę cię. Już dobrze.

Pomogła Mary wyjść z pokoju. Mijając osłupiałych mężczyzn, warknęła na nich, aż się wzdrygnęli:

– Nie stójcie jak te słupy. Pomóżcie mi ją odprowadzić do domu. Gdzie jest jej brat?

– U mnie – wydukał kowal.

– Chodźmy, zanim zleżą się tu jakieś niedobitki – zarządziła. – A pana, panie Martin, trzeba opatrzyć, bo robisz się pan już błydy jak ściana.

Morris stał jeszcze przez chwilę pośród poboju, zadając sobie pytanie, co się właśnie stało. Nie znalazłszy odpowiedzi, uznał, że chwilowo najważniejsze jest bezpieczeństwo Mary. Podeszedł zatem do Martina i pozwolił mu wesprzeć się na swoim ramieniu.

Wyszli na ulicę i skierowali się w stronę domu kowala. Nie uszli nawet kilku kroków, kiedy od strony saloonu dobiegł ich wściekły krzyk.

– Hej!

Morris odwrócił się. Kilkanaście metrów dalej stał Jebediah z wyciągniętą bronią i wrednym uśmiechem na twarzy. Wycelował i nacisnął spust.

Kurek pistoletu opadł i uderzył w spłonkę naboju, lecz nic się nie stało.

– Niewypał – syknął Morris z satysfakcją i sięgnął po broń.

Wystrzelił instynktownie, z biodra. Nie celował w żaden konkretny punkt, przez co trafił kowboja w brzuch. Początkowo Jebediah wyglądał na zdziwionego. Kolana się pod nim ugięły, zwinął się i padł na ziemię. Przyciskał ręce do rany, jęczał i przebierał nogami, jakby mogło mu to w coś pomóc. Potężna dziura wylotowa na plecach ukazywała rozerwane na boki żebra, a rozbryzg krwi i wnętrzności ciągnął się za nim jeszcze kilka stóp.

Morris chciał go dobić, lecz powstrzymał go Doc Martin.

– Od postrzału w brzuch umiera się długo i w męczarniach – powiedział ponurym głosem.

Morris stanął nad kowbojem. Odkopał na bok jego rewolwer, po czym splunął sobie pod nogi.

– A to niech zdycha.

\* \* \*

Clive pośpiesznie wymaszerował na ulicę. W dali widział pułkownika Wilsona wraz z ostatnim ze swoich ludzi, pędzących na złamanie karku. Pozostawiali za sobą jedynie tumany kurzu. Opuścili już miasto, minęli spalony kościół, obierając kierunek ku pustyni, na majaczące gdzieś daleko drobinki wzgórz. Była to droga, która prowadziła do Crucible, a zapewne i do samego Campbella.

Rewolwerowiec sięgnął do kieszeni kamizelki po drewniany gwizdek. Przyłożył go do ust, dmuchnął, wydobywając potwornie głośny pisk, gorszy nawet niż zgrzytanie zębów czy drapanie paznokciami po tablicy. Gdzieś zza miasta odpowiedziało mu rzenie konia. Już po chwili spomiędzy budynków wyskoczył czarny rumak. Galopował z zaciętością drapieżnego kota i niepowstrzymaną siłą parowozu.

Clive ściągnął troczki kapelusza, tak by ciasno oplatały brodę, zaciągnął chustę na twarz. Zupełnie jak istocie ludzkiej wskazał rumakowi kierunek, w którym uciekał Wilson. Koń zwolnił tylko tyle, by Clive mógł złapać za grzywę i zaczepić nogę w strzemieniu, a przyspieszył, czując jeźdźca w siodle. Już po chwili wystrzelili z miasta, mknąc z prędkością, której żadne zwierzę nie byłoby w stanie rozwinąć.

Droga wiła się, schodząc w małe dolinki i wspinając się na niewielkie wzniesienia prerii. Clive kurczowo ścisnął rumaka udami, byleby nie spaść w tej szalonej galopadzie. Szybko spostrzegł, że uciekinierzy wiedzą o pościgu. Zobaczył, jak towarzyszący pułkownikowi kowboj odwraca się w siodle i strzela. Pocisk śmignął

gdzieś wysoko. Clive nie pozostawał mu dłużny. Wyciągnął rewolwer, dał sobie czas, by wymierzyć, i nacisnął spust. Uwolnił energię naboju i posłał kulę idealnie między łopatki strzelca.

Wilson pochylił się w siodle i spiął konia mocniej, lecz nieważne, jak bardzo by katował swojego wierzchowca, nie mógł uciec pędzącej za nim furii obleczonej w skórę zwierzęcia. Wkrótce zrozumiał, że jego wierzchowiec nie mógł się równać z bestią, której dosiadał Clive. Ściągnął cugle, zatrzymał się i z wprawą godną mongolskich wojowników położył konia na ziemi, traktując zwierzę jak żywą zastonę. Wychynął zza siodła, wystawił trzydziestkę ósemkę, wymierzył i strzelił, sięgając po cały zapas mocy, którym mógł jeszcze dysponować.

Pocisk trafił, a uderzenie szarpnęło Clive'em i zrzuciło go z siodła. Jego rumak zaś pomknął dalej, przeskakując nad Wilsonem.

Pułkownik wstał i z bronią gotową do strzału zbliżył się do leżącego Clive'a. Spadając z konia, rewolwerowiec przekeziółkował, a teraz leżał twarzą w piachu. Jego kapelusz wyładował nieopodal.

– Kto by pomyślał – szepnął Wilson. – Już myślałem, że mnie dopadniesz. Kuloodporny Clive Phillips, o którym Wes Campbell wypowiadał się w samych superlatywach.

Podszedł bliżej do Clive'a i kopnięciem przewrócił go na plecy. Ciemne okulary rewolwerowca leżały obok, a zaciągnięta na twarz chusta zawinęła się, odkrywając usta wykrzywione w bólu. Wilson stanął nad rannym i wymierzył broń prosto w jego serce. Chciał coś powiedzieć. Chciał chełpić się zwycięstwem, wyrazić podziw dla determinacji przeciwnika i pogratulować zajścia tak daleko. Słowa zamarły mu w gardle, bowiem poczuł, że coś jest bardzo nie tak.

Clive nie miał żadnych ran, nawet te, które otrzymał w walce, zdążyły się zagoić.

– Coś ty... – Wilson spiął się do strzału, lecz szybkie kopnięcie wytrąciło mu broń z ręki. Kolejne trafiło pod kolano, pozbawiając go równowagi.

Clive błyskawicznie sięgnął po broń i wziął Wilsona na muszkę.

– Za dużo gadasz – syknął i podniósł się z ziemi.

– Zmniejszone prawdopodobieństwo odniesienia ran podczas upadku – zgadywał pułkownik. – Potencjał wpompowany w kompresję czasu, by uleczyć rany. Straciłeś parę tygodni życia.

– Warto było. Choćby po to, żeby zobaczyć twoją minę.

Stali naprzeciwko siebie. Clive mierzył z rewolweru prosto w brzuch Wilsona, a ten stał z zaciętą miną, ze wszystkich sił starając nie dać po sobie poznać, iż wiedział,

że jest przegrany.

– I co teraz?

– Powiesz mi dokładnie, gdzie jest Campbell – warknął Clive.

– Zapomnij. Możesz mnie zabić...

Huk wystrzału rozerwał powietrze. Wilson zawył z bólu i padł na ziemię. Ze strzaskanego kolana buchnęła krew.

– Durniu... – jęknął, ledwo zdolny wydobyć z siebie głos. – Twoje cenne naładowane naboje... cholerne kuglarskie sztuczki... Marnujesz je, żeby mnie złamać?

Clive kucnął tuż przy pułkowniku.

– Te kuglarskie sztuczki okazały się skuteczniejsze niż cokolwiek, czym ty chciałeś się popisać. Tymczasem jeżeli zastanawiasz się, kto jest gorszy, Campbell czy ja, to zaręczam, że możesz się zdziwić.

– Rób, co chcesz... i tak nie czeka mnie nic gorszego niż...

Clive wypalił z przyłożenia, druzgocąc drugie kolano Wilsona. Pułkownik zawył. Na jego purpurowej twarzy pojawiły się żyły, a przekrwione oczy pałały szaleństwem. Brudny od kurzu, zbryzgany krwią garnitur nie wydawał się już tak wytworny.

– On... ma rację... – wyjęczał. – Ty jesteś pomyłony. Nie cofniesz się przed niczym...

– Zgadza się – odparł Clive i wstał.

Wysypał proch z bębna rewolweru, po czym z pietyzmem załadował nowe naboje.

– Co... on ci takiego... zrobił?

– Właśnie to, co widzisz. Przez niego jestem, jaki jestem. Ale to, co nas różni, to podejście do pojęcia świętości ludzkiego życia. Dla niego nie ma czegoś takiego.

– A dla ciebie jest? Wysysasz Potencjał od innych na prawo i lewo!

– Tylko od tych, którzy na to zasłużyli.

– I ty masz mandat, by ich osądzać?

– Zabawię się z tobą w grę, pułkowniku Wilson, zdaje się, że lubisz takie. Mam tu coś dla ciebie, przygotowałem to minionej nocy – mówiąc to, Clive wyciągnął z kieszeni srebrną dolarówkę, na której wyrył magiczne glify. Rzucił ją na Wilsona. – To prezent dla ciebie.

– Nie chcę... go... – pułkownik wyjęczał, strzepując monetę z siebie, jakby go parzyła.

Clive znowu kucnął przy nim, podniósł dolarówkę i siłą wpakował Wilsonowi do ręki.

– Ależ weźmiesz, bo wiesz, że teraz zaczniesz się zabawa. Moja będzie miała o wiele prostsze reguły niż twoja i będzie też bardziej uczciwa. Powiesz mi, gdzie jest Campbell. Nie, nie zabiję cię – Clive zgadł myśli Wilsona. – To już omówiliśmy, że śmierć cię nie obchodzi. Ja zrobię coś innego. Postawię cię na granicy, zabiorę twój Potencjał i zostawię cię w późnej starości. W tym smutnym momencie życia, w którym wszystko cię boli i jesteś tak bardzo zniedołężniały, że sikasz pod siebie. A potem zwrócę ci Potencjał, żebyś żył jak najdłużej w tym stanie. Kto wie, może pamięć nie będzie ci szwankowała i coś z nim jeszcze zrobisz. Kto wie.

Pułkownik Wilson zrobił się biały jak ściana. Na skamieniałej twarzy odmalował się wyraz skrajnego przerażenia.

– Nie zrobisz tego. Potencjału nie można zwrócić.

– Oczywiście, że można – zaśmiał się Clive. – Tyle że jak jest się takim zachłannym skurwielem jak ty czy Campbell, to się zwyczajnie o tym nie myśli. Nie boisz się chyba starości?

– A jeżeli ci powiem? Co będę miał z tego? Niemal odstrzeliłeś mi nogi, ty pomyłony skurwielu!

Clive zastanowił się chwilę, udając teatralną manierę Wilsona. W końcu uniósł palec w geście triumfu.

– Już wiem! Odpowiem na twoje ostatnie pytanie. Powiem ci, czemu Cherie mnie nienawidzi. Czy zaspokojenie twojej ciekawości nie jest interesującą nagrodą?

Pułkownik nie marnował czasu na przemyślenie propozycji. Kałuża krwi dookoła robiła się coraz większa.

– Dobrze! – jęknął. – Campbell jest w mojej starej posiadłości parę mil za Crucible, pomiędzy wzgórzami. Widać stamtąd wejście do północnej kopalni.

– Ilu ludzi ma z sobą?

– Nie wiem. Nie byłem tam od pół roku. Jak wyjeżdżałem, miał ze sobą czterech, ale oni byli jacyś inni. Nieludzcy. To wszystko, co wiem.

– Co on tam robi?

– Eksperymenty. Wysłał mnie tu, żeby odsunąć od siebie, żeby nie podpatrywał. Mówił, że mam cię powstrzymać, że nie wolno ci przekroczyć granicy.

– Jakiej granicy? – zdziwił się Clive.

– Nie wiem. Chyba moich ziem, nie powiedział. Bełkotał tylko coś o lepszych czasach, o przyszłości.

Clive poznał, że Wilson mówi prawdę. W tym stanie pułkownik nie potrafiłby przekonująco kłamać. Nachylił się nad nim i wyszeptał mu do ucha obiecane

wyznanie.

– Właśnie dlatego?! – zaśmiał się Wilson. – Dziwny jesteś, Phillips, ale Cherie jest chyba jeszcze dziwniejsza.

Nadal nachylając się nad pułkownikiem, Clive przystawił mu pistolet do brzucha i bez ostrzeżenia wypalił.

– Ale... przecież mówiłeś...

– Mówiłem, że odpowiem na twoje pytanie – Clive wstał i spojrzał z góry na umierającego pułkownika. – Nie obiecywałem, że przeżyjesz. Teraz zaś, gdziekolwiek się wybierasz, możesz być pewny, że Paul Rice już tam na ciebie czeka...





## ROZDZIAŁ 6

# DUCHY PROSPERITY

*...od zarania dziejów ludzkość obserwuje wszelakie fenomeny w swoim otoczeniu. Im więcej jednak ich dostrzega, tym bardziej skupia swe siły na ich wyjaśnieniu. W ten sposób rozwija się zakres wiedzy, który określamy mianem nauk, tym częściej też dawne fenomeny zyskują wytłumaczenia w formie praw rządzących światem. Uczni eksplorują nowe oblicza nauki, rozdrabniają wszechświat na coraz mniejsze części i składowe, odkrywając kolejne kurioza, by je nazwać i opisać, wyciągnąć ze świata wyobraźni i ugruntować w znanej nam rzeczywistości.*

*Lecz co, jeśli człowiek zacznie badać obszary praw magii i mistycyzmu? Czy umieszczenie magii w kanonie nauk sprawi, że ze świata wyobraźni do naszego przedostaną się również związane z nią demony i inne koszmary? A może świat wyobraźni nie istnieje? Wierzę bowiem, że jest ona ledwie kolejnym zmysłem pozwalającym nam wyczuć to, czego nie ma, wyobrazić to, co znajduje się za zasłoną postrzegania.*

*Tak samo jak naukowiec może popełnić błąd, łącząc ze sobą dwie mikstury, których mariaż wywoła eksplozję, tak mistyk badający granice stworzenia może sprowadzić na świat to, co do niedawna było jeszcze niewyobrażalne. Bowiem nasze umysły to prawdziwe bramy do niezliczonych światów, w których czekają na nas tak samo cuda, jak i potwory.*

Clive K. Phillips, *Opowieści niesamowite*

Cherie zaprowadziła Mary do pokoju, by utuliła brata i była z nim w żałobie. Wkrótce wróciła już sama, od razu przystąpiła też do opatrywania rannego Martina. Napaliła w kuchni, kazała Morrisowi przynieść wodę, odpowiednie szczypce i cokolwiek, z czego mogłaby zrobić opatrunki.

– To nie pierwszy raz, gdy kogoś pani łąta? – zagadnął Doc Martin.

– W takim właśnie świecie żyjemy – stwierdziła Cherie, bezceremonialnie rozrywając koszulę kowala. Odsłoniła ranę na ramieniu, sięgnęła po butelkę z alkoholem i zaczęła czyścić okolice postrzału. – Mężczyźni idą na wojnę o jakieś bzdury, a kobiety muszą łązić za nimi lub czekać w domach, gotowe, żeby szyć ich rany, a jak się poczują lepiej, to i ogrzać w łóżku. Mają trwać w czymś, co każe im się nazywać milczącą siłą, ale tak naprawdę łądają od nich, żeby robiły swoje i nie przeszkadzały. Milcząca siła... Takiej bzdury nie wymyśliłaby żadna kobieta.

– Mówi pani z własnego doświadczenia?

Cherie poląła alkohol bezpośrednio na ranę, po czym przycisnęła do niej materiał. Nie mrugnęła nawet okiem, kiedy Martin zaczął zwiąć się z bólu.

– Skończ się nad sobą użalać – podała mu butelkę. – Pij, to pomoże.

Kilka łąków palącego płynu przyniosło ulgę kowalowi, wraz z nadzieją, że już wkrótce nieco się znieczuli.

– To nie mój pierwszy postrzał – westchnął boleśnie. – Już kiedyś przelewałem krew, w armii.

Kobieta uniosła brew z powątpiewaniem.

– Wielkie mi rzeczy – prychnęła. – Ja przelewam co miesiąc, więc nie wiem, czym chcesz mi zaimponować. A teraz pij i nie gadaj już, bo zaraz się zesrasz z bólu.

Doc Martin postąpił zgodnie z zaleceniem. Ponownie pociągnął kilka solidnych łąków whiskey, a kiedy poczuł nadchodzącą lekkość, dał znak i zacisnął zęby, gotując się na wyciągnięcie kuli z ramienia. Tymczasem Cherie przemyła alkoholem wyparzone już narzędzia. Niemal z fascynacją przyjrzała się długim i wąskim szczypczykom, po czym bez ostrzeżenia wbiła je głąboko w dziurę po kuli. Martinowi nie udało się powstrzymać krzyku.

– Do cholery! Oszalałaś, kobieto?

– Nie szarp się tak – powiedziała, gmerając w ranie.

W skupieniu przygryzała język, co paradoksalnie nie odbierało jej uroku, lecz również zdradzało wiejskie pochodzenie.

Coś zgrzytnęło, tak że siedzący po drugiej stronie pokoju Morris skrzywił się, jakby to na nim dokonywano zabiegu. Doc Martin zawył w agonii, a zamroczony

nagłym bólem stracił przytomność.

– Chyba otarłam się o kość – Cherie zachichotała z błyskiem szaleństwa w oku i mrugnęła do pobladłego Morrisa. – Przynajmniej będzie siedział spokojnie, co nie?

Próbując nie patrzeć na poczynania Cherie, Morris spróbował skupić się na czymś innym. Przeszedł przez pokój, by wyjrzeć za okno. Z trudnością przychodziło mu zebranie myśli. Choć nie żałował Jebediaha, to pierwsze, co zrobił po jego śmierci, było zwrócenie reszty zawartości żołądka. Tego poranka zabił dwóch ludzi, kilku ranił, lecz dopiero kiedy zeszyły z niego emocje, poczuł ciężar owych czynów, a ten okazał się gorszy niż zaschnięte krople krwi, kawałki kości i mózgu na koszuli. Teraz zaś ręce mu się trzęsły, nogi miał jak z waty, a w spierzchniętych ustach gromadziła się gęsta ślina, którą starał się przepić wodą, byleby znowu nie puścić pawia. Bał się podejść do balii czy przejść obok lustra, aby nie zobaczyć swojego umazanego krwią oblicza ani rąk, proszących się, by je umyć z plam, które pozostaną tam już na zawsze.

– Czemu nam pomogłaś? – spytał głosem ciężkim od świadomości powracających mdłości.

Cherie nie odpowiadała. W skupieniu manipulowała szczypczykami, z każdą chwilą zbliżając się do celu. Jej ruchy robiły się coraz krótsze, coraz bardziej dokładne.

– Aha! – ucieszyła się, kiedy szczypce zacisnęły się na kuli. Wyciągnęła ją kolistymi ruchami, a kiedy to zrobiła, krew buchnęła z rany. – Odsuń się! – krzyknęła do Morrisa, który plątał się przy kuchni.

Złapała przez ścierkę rozgrzany do czerwoności nóż i, nie tracąc czasu, przypaliła ranę na ramieniu kowala. Skóra zaskwierczała, a w powietrzu uniósł się zapach karmelu. Po wszystkim naląła sobie whiskey, po czym zajęła się bandażowaniem Martina.

– Słowo daję, co jeden to bardziej durny – mruknęła pod nosem.

– Do kogo mówisz? – zdziwił się Morris.

Cherie przewróciła tylko oczami.

– Do siebie. Zdaje mi się, że jestem tu jedyną myślącą osobą. Nie pomogłam wam, tylko tej biednej dziewczynie. Od jakiegoś czasu jestem w tym mieście i widziałam, że nigdy nie zrobiła nikomu nic złego. Opiekowała się bratem, rozmawiała z tym przygłupem, co tu z kowalem mieszkał i robił do niej maślane oczy. To dobra dziewczyna jest. Jej matka też była w porządku. A tu nagle pojawiliście się z Phillipsem i jak zwykle wszystko poszło w diabły!

– Jak zwykle?

– Oczywiście, że tak. Mówiłam ci, znam Clive’a już od dawna. To jednoosobowa armia, chodząca klątwa i pieprzony zwiastun wszystkiego, co złe i pokręcone. Nie spotka cię przy nim nic dobrego. Popatrz sobie na kowala, ledwo żywy. A kiedy go poznał? Wczoraj.

– Przedwczoraj... – mruknął Morris. – No i ja jestem cały, a znam go dłużej.

– I dlatego oberwiesz najgorzej – ostrzegła.

Morris przełknął ślinę.

– Myślałem, że pracujesz z nimi. Z gangiem, ma się rozumieć.

Perlisty śmiech Cherie wprowadził go w jeszcze większe zakłopotanie.

– Pracuję? Nie. Mówiłam już, nie wiem nawet, jak tu trafiłam. Jedna popijawa za dużo, a potem kilka następnych. Już tak mam, że czasem budzę się w dziwnych miejscach. Prosperity okazało się wyjątkowo dziwne. Odległe od wszelkiej cywilizacji, a i tak Phillips się tu przypałał.

– Może przeznaczenie cię tu przywiodło.

Cherie spojrzała na Morrisa w sposób, który sprawił, że chłopak pożałował swoich słów. W tym jej geście było tyle furii i odrazy, że gdyby tylko wzrok mógł palić, spopieliłaby go na miejscu.

– Nie chcę słyszeć o tych sprawach. O żadnym, tfu!, Potencjale, magii i innych bzdurach.

– Ale ja...

– Nie obchodzi mnie, co widziałeś ani co robiłeś. Phillips potrafi manipulować ludźmi, tak samo jak ten cały Campbell. Ja nie jestem jedną z tych osób! I nigdy nie będę!

Doc Martin poruszył się na krześle i o mało co z niego nie spadł. W ostatniej chwili Morris doskoczył, by go przytrzymać. Poczul, że kowal jest rozpalony. Razem z Cherie pomogli mu przejść do łóżka i położyli, żeby odpoczął.

– Znasz tego Campbella? – zainteresował się Morris.

– Nie osobiście. Znam jego dokonania, słyszałam o jego sposobach. Niewiele więcej, ale to wystarczy, żebym nie przepadała za draniem.

\* \* \*

– Tak jak sądziłem, Campbell zapewne ma coś wspólnego z wyludnieniem Crucible – oświadczył Clive. Wrócił nieco po południu, brudny i zdrożony. – Wilson przed śmiercią powiedział, gdzie go szukać.

– Chciałeś obejrzeć Crucible, bo to miasto duchów – skonstatował Morris. – Ale od początku podejrzewałeś, że może tam być Campbell.

– Zgadza się.

Clive zdjął płaszcz i kapelusz. Nalał do miski czystej wody, by umyć twarz z kurzu. Zerkał co jakiś czas na Cherie siedzącą w rogu pomieszczenia, jakby obawiał się, że kobieta podejdzie i poderżnie mu gardło. Obserwowała go niczym kot polujący na niczego nieświadomego ptaka, przyczajona, lecz w każdej chwili gotowa do skoku.

– Co ona tu robi? – mruknął.

– Ona tu jest i cię słyszy – warknęła Cherie. – Jeżeli jeszcze raz tak się odezwiesz, nakarmię cię własnym kapeluszem i żadne hokus-pokus ci nie pomoże.

Z jakiegoś powodu Morris wierzył, że jest do tego zdolna. Wyczuwał w niej dzikość, urazę, ale też ogromny konflikt rozrywający ją od środka.

– No dobrze – Clive usiadł przy stole. – Co tu robisz, Cherie?

Aby uniknąć awantury, Morris odpowiedział za nią.

– Uratowała Mary, pomogła nam z gangiem i opatrzyła ranę Martina. A ty gdzie byłeś? Bo na moje oko to ona w rozrachunku wypada znacznie lepiej niż ty.

– Nie tym tonem – ostrzegł go Clive.

– Zostawiłeś nas tam! – chłopak uderzył pięścią w stół. – Mogli nas zabić, a ty pojechałeś za Wilsonem.

– Nie będę tego po raz kolejny tłumaczyć...

Nagle Clive zacisnął kurczowo oczy. Początkowo Morris myślał, że twarz rewolwerowca wykrzywia się w czymś, co miało być grymasem gniewu, lecz kiedy ten złapał się za głowę i skulił, widać było, że coś jest bardzo nie w porządku. Jęknął, niekontrolowanie przyciskając kułaki do skroni, a z nosa buchnęła mu krew.

Nawet Cherie wydawała się zaskoczona, a przez ulotną chwilę na jej obliczu zagościł wyraz troski. Natychmiast zmienił się jednak w zimną obojętność, pomimo tego, że sięgnęła po szmatkę i rzuciła ją niedbale na stół. Clive po omacku sięgnął po nią i przystawił do twarzy. Po kilku chwilach rozluźnił się i rozparł w krześle, wycierając krew z twarzy.

– Co to było, do jasnej cholery? – Morris zapytał zdezorientowany.

– Nie interesuj się!

Tym razem to chłopak nie wytrzymał:

– Ty egoistyczny draniu!

Huk przewróconego krzesła sprawił, że obaj spojrzeli w kierunku Cherie. Kobieta zerwała się na równe nogi i ruszyła do dawnego pokoju Briana.

– Obaj jesteście durniami! – Syknęła wściekle. – Zachowujecie się jak stare małżeństwo. Nie przyszło wam do głowy, że za ścianą są dziewczyna i jej brat, którym zamordowali oboje rodziców na ich oczach? Okażcie trochę zrozumienia i dajcie im odpocząć!

Morris opadł na krzesło z miną skruszonego szczeniaka. Choć palił go gniew, myśl o zrozpaczonej Mary szybko ostudziła jego emocje. Nachylił się do Clive'a, który, choć zamilkł, nie dawał po sobie poznać, że popis Cherie zrobił na nim wrażenie.

– No, to gdzie jest Campbell?

Rewolwerowiec przetarł resztki krwi z twarzy i pociągnął nosem, żeby sprawdzić, czy nadal krwawi.

– Parę mil za Crucible, w posiadłości Wilsona.

– Doskonale! – Morris wyszczerzył zęby w złośliwym grymasie. – Odprowadzam cię do Crucible i tam nasze drogi się rozchodzą. Dalej rób sobie co chcesz.

– Co?

– Jak to co? – Chłopak zmrużył przebiegłe oczy. – Pamięć ci szwankuje? Chciałeś, żebym jechał z tobą do Crucible i pomógł obejrzyć miasto duchów. Nie było mowy o niczym więcej. Poza Crucible radź sobie sam.

Dochodzący z korytarza cichy chichot Cherie sprawił, że Morris poczuł się dumny.

Wieczorem obudziły ich krzyki dochodzące od strony miasta. Łuna płonących żagwi wdarła się do domu przez przysłonięte starymi firankami okna, wywołując na ścianach upiorny taniec cieni. Morris zerwał się z krzesła oszołomiony nie tylko faktem dziwnego zjawiska, ale świadomością skrajnego wyczerpania, jakie spłynęło na niego po porannej bitwie, co sprawiło, że zasnął nawet nie wiadomo kiedy.

Podszedł do okna i, przecierając znużone oczy, wyjrzał na zewnątrz. Wieczorna szarówka ogarnęła Prosperity czymś, co w każdej innej sytuacji można by traktować jak sielskie zakończenie pracowitego dnia. Lecz dziś przybrało ono obraz koszmaru. Miasto rozświetlał pożar rozpętany w pobliżu zgłiszczy starej szubienicy.

Clive stał przed domem. Z kamiennym obliczem i założonymi rękoma obserwował zbiegowisko kotłujące się niedaleko, lecz się nie zbliżał. Morris wyszedł do niego. Jeszcze na werandzie zauważył Cherie siedzącą na bujanym krześle. Nonszalancko opierała nogi o balustradę, a na jej równie zmęczonym obliczu tańczyły refleksy dalekiej pożogi.

– Co tam się dzieje? – zapytał nieśmiało. Nie wiedział, czy Clive nadal jest na niego zły.

– Pogrom – odparł Clive. – Ostatnimi członkami gangu w mieście są *de facto* szeryf Lumley razem z jego przygłupimi zastępcami. Miejscowi nagle się obudzili, że mają przewagę, zwłaszcza że tamci nadal siedzieli zamknięci w więzieniu. Postanowili im wymierzyć sprawiedliwość za wszystkie krzywdy, na które przymykano tu oko. Jak sądzisz, czego dopuszczał się gang w mieście? Myślę, że krzywe spojrzenia i sprośne żarciki to dziecinna zabawa przy ich dokonaniach.

– Robili co chcieli – odezwała się Cherie. – Może nie zabijali na prawo i lewo, ale zdarzyło się parę gwałtów, parę pobić. Każdy, kto obok nich przechodził, musiał się kłaniać, bo inaczej groziło mu targanie na sznurze za koniem wzdłuż głównej ulicy. Czasem robili to bez powodu, tylko dla zabawy. Ludzie przychodzili do Lumleya, a on kierował ich do Wilsona, by ten znowu mydlił im oczy. Twierdził, że nie toleruje chuligaństwa i dawał swoim reprimendy... Reprimendy – powtórzyła z obrzydzeniem.

– I ty z nimi trzymałaś? – skrzywił się Morris.

Nie potrafił przetłumaczyć sobie, jak można było spędzać czas w towarzystwie tych ludzi, a co dopiero się z nimi bawić lub nawet...

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Kwestia przetrwania – ziewnęła. – Lepiej patrz, co tam się dzieje. Może czegoś się nauczysz.

Istotnie, w mieście coś się ruszyło. Przez tłum dało się zauważyć, że pożar to tak naprawdę ogromne ognisko sporządzone z resztek szafotu. Morris już dawno zrozumiał, że to gang pierwszy spalił szubienicę, a zgliszcza zostawił, aby wszem wobec przypominać, iż jest bezkarny wobec prawa. Teraz ludność postanowiła to zmienić.

– Spalą ich na stosie? – zapytał drżącym głosem.

Clive nie spuszczał wzroku z widowiska. Niewzruszony obserwował przodowników prowadzących skrępowanych byłych stróżów prawa.

– Nie – odparł. – Powieszają ich na żerdzi najbliższego budynku. Choć ogień istotnie jest ważny w tym, na co patrzysz. Ogień oczyszcza w sposób symboliczny, wiele kultur uważało go za święty, za dar od bogów lub żywiol wykradzony tymże bogom, a co za tym idzie, nie tylko niebezpieczny, ale i niedostępny dla zwykłego człowieka. Ogień kojarzy się też z piekłem, więc miał też kontekst niszczyciela, sprawcy bólesci. Inkwizytorzy palili oskarżonych o czary, by wypalić z nich grzech, a ci przez ból mieli dostąpić odkupienia lub trafić do czeluści piekielnych, by smażyć się tam już po wieki. Ten stos to tylko echo zakorzenionych w ludzkich umysłach

znaczeń, a dziś, oprócz symboliki, ma również nieco im przyświecić, żeby nic nie stracili z przedstawienia.

Paradoksalnie, Morris lubił słuchać Clive'a, kiedy ten na chwilę przemieniał się w wykładowcę. Głos mu wtedy łagodniał, a przekazywane informacje brzmiały jak najciekawsze historie. Chwile te zdarzały się nadzwyczaj rzadko, lecz miało się wtedy wrażenie, jakby obok stał zupełnie inny człowiek, mniej poszarpany przez życie i poparzony przez słońce prerii. Człowiek, który winien być objuczony książkami, a nie morderczym żelastwem.

– Ale szeryf chyba nic im nie zrobił? – zaprotestował. – Przymykanie oka to nie...

– Bzdura – przerwała mu Cherie. – To nie ma żadnego znaczenia. Jest tak samo winny jak reszta.

– Zgadza się – poparł ją Clive. – Przepędziliśmy z miasta ciemężycieli, więc mieszkańcy nie mają się na kim mścić. Zresztą, nawet gdyby został choć jeden uzbrojony członek gangu, to pewnie baliby się ruszyć dupy z domostw. Ale tu mają podanych na tacy bezbronnych ludzi, którzy kojarzą im się z gorszymi czasami. Może nawet ktoś tam chowa urazę za wypadek Paula Rice'a albo że przy okazji wyboru nowego szeryfa dostał po mordzie, żeby głosować na Lumleya. Tak czy inaczej, sprawiedliwość w takich momentach na chwilę przybiera oblicze anarchii, by zaraz szukać drogi do uporządkowania spraw i zapomnienia o krwawej ścieżce prowadzącej ku pozornej stagnacji. Co ciekawe, w takich chwilach różnice w podgrupach się zacierają, a społeczność łączy się dzięki wspólnemu obiektowi nienawiści. Jutro będzie po wszystkim, a oni na powrót zamienią się w bogobojnych chrześcijan.

– Powinniśmy ich powstrzymać! – oburzył się Morris. – Niech wypędzą Lumleya i tamtych dwóch. Niech ich zlinczują, obtoczą w smole i piórach. Dlaczego mają ich zabijać?

– Idź im to powiedz – zaśmiała się Cherie. – To tłum. Tłuszcza, która nie myśli, tylko kieruje się najgorszymi instynktami. Każdy tam niby ma swój rozum, ale oglądają się na siebie nawzajem, więc zawsze znajdzie się jakiś, który zapragnie się popisać, być krzykaczem lub frustratem, który wymyśli coś strasznego, tylko by zobaczyć, jak inni robią to za niego. On tylko pierwszy rzuci kamień. Inni to podchwycą i jak się rozpędzą, to będą jak oszalałe stado bydła. Startują wszystko na swojej drodze.

– Może kaznodzieja...

– A widziałeś tu jakiegoś? Bo z tego, co wiem, za miastem jest spalony kościół. Podobno w zeszłym roku piorun w niego uderzył, a budynek spłonął razem



z wielebnym uwięzionym w środku. Nie dziwi cię, dlaczego nie odbudowali kościoła i nikt nie przyjechał na zastępstwo?

– Gang zabronił?

– Bingo! Kaznodzieja miał wpływ na ludzi i, tak jak stary szeryf, mógł ich buntować. Nie ma szeryfa, nie ma kaznodziei, nie ma problemu. Tak więc, co gorsza, ta konkretna tłuszcza kieruje się zbiorową iluzją wolności podszytej zapewne niekontrolowanym religijnym zapalem. Aż dziw, że wybrali powieszenie, a nie rozszarpali ich na strzępy gołymi rękoma.

Na belkach balkonu budynku, w którym mieścił się zakład szewca, zawiązywano sznury zakończone pętlami. Podstawiono tam stołki i wprowadzono na nich skazańców.

Morris patrzył na widowisko z fascynacją, ale też z rosnącym przerażeniem. Czuł suchość w ustach. Nogi zaczęły się pod nim trząść, a dłonie pocić. Kurczowo zaciskał palce i łapczywie łapał każdy oddech, aż zdał sobie naraz sprawę, że to nie jego myśli ani emocje. Na chwilę znalazł się w głowie Lumleya! Otrząsnął się i spróbował skupić na czymś innym, w obawie, co mógłby poczuć, kiedy tamten zawiśnie na stryczku.

Kontakt musiał w jakiś sposób zwrócić uwagę szeryfa, ponieważ ten stanął na palcach i zaczął się wydzierać przez tłum:

– Phillips! Phillips! Powstrzymaj ich! Powiedz, że ja nie... – zamilkł, kiedy brutalnie nałożono mu pętlę na szyję.

– Clive, mógłbyś to powstrzymać – poparł Morris. – Idź tam, wytłumacz im.

– To nie moja sprawa – uciął Clive.

Tymczasem szeryf znowu zawył błagalnie. Ktoś zapytał go, czy chce powiedzieć jakieś ostatnie słowa, lecz on w poczuciu totalnej beznadziei chwycił się tylko nawoływania tego, który wyzwolił miasto od gangu.

– Phillips!

Pomimo nagłej ciszy z tej odległości nie było słychać stukotu przewracanych stołków ani trzeszczenia napiętych lin. Nikt nie skandował, nikt nie wydał z siebie nawet dźwięku. Tłum stał tak, patrząc niemo na swoje ofiary. Szeryf umarł od razu, ponieważ własny ciężar zmiażdżył mu kark. Zastępcy, młodszy i silniejsi, rzucali się jak ryby schwytane na haczyk.

– Prawdopodobieństwo! – pisnął Morris. – Możesz sprawić, że belka pęknie. Może jest spróchniała.

Rewolwerowiec nie odpowiadał. Mijały długie chwile, kiedy chłopak czuł narastającą gulę w gardle i nagłą duszność, mimo że nawet nie patrzył na coraz

wolniej dyndającego Lumleya.

– Po wszystkim – Cherie westchnęła, wstając. – Idę do saloonu.

– Nie.

Stwierdzenie Clive'a zmroziło krew w żyłach stojącego obok Morrisa, ponieważ w tej właśnie chwili zobaczył, jak tłum odwraca się w ich stronę. Dosłownie czuł dziesiątki oczu skupionych na nich oraz myśli ludzi kłębiące się wokół, głośnie i niezrozumiałe niczym szum wiatru wymieszany z krakaniem stada kruków.

Tłuszcza ruszyła w ich stronę. Płonące pochodnie i ciepłe trupy dyndające za ich plecami nie zwiastowały niczego dobrego.

– Co robimy? – Morris nie spodziewał się takiego obrotu sytuacji. Spoglądał to na Clive'a, to na Cherie, oczekując od nich jakichkolwiek rozkazów czy choćby wskazówek. – Czego oni chcą?

Clive nie odpowiadał. Stał z założonymi rękoma jak posąg, cierpliwie czekając na rozwój wydarzeń.

Po chwili tłum zatrzymał się przed domem kowala. Trudno było tam rozpoznać kogoś znaczącego. Morze jednakowych, szarych twarzy. Ludzi żyjących do tej pory pod butem gangu, na przekór wszystkiemu uczeplonych tego miejsca. Teraz zaś patrzyli pustym wzrokiem na tych, którzy rozpętali w mieście piekło i przynieśli zmiany.

Z tłumy wyłonił się starszy człowiek, niosący w zasuszonych dłoniach odebraną Lumleyowi gwiazdę.

– Potrzebujemy nowego szeryfa – zatrzeszczał suchym głosem.

– Nie – odparł Clive.

– Ale pan... pan ich przegonił. Wszyscy żeśmy widzieli.

– Powiedziałem, że nie. Nie mam zamiaru tutaj osiadać, a na pewno nie bawić się w stróża prawa.

– No to co nam teraz robić? – stropił się staruszek.

– To nie moja sprawa. Może trzeba było pomyśleć, zanim powiesiliście Lumleya? Może bez Wilsona zacząłby w końcu robić swoją robotę? Może chciałby odpracować przewiny? Teraz się tego nie dowiemy, prawda?

Starszy człowiek stał z gwiazdą spoczywającą na trzęsącej się dłoni, zupełnie jakby nie słyszał lub nie rozumiał słów rewolwerowca.

– Może Doc Martin?

– Z nim rozmawiajcie, nie ze mną – Clive odparł sucho. – Tyle że Doc Martin jest ranny i teraz odpoczywa. Idźcie do domów, poczekajcie parę dni. Jeżeli z tego

wyjdzie, to może będzie chciał z wami rozmawiać. Teraz nie macie czego tu szukać.

Niepocieszony staruszek schował gwiazdę i odwrócił się, by odejść. Dokładnie w tym samym momencie spośród tłumu wyłoniła się jakaś kobieta. Wskazała Cherie i zawołała skrzeczącym głosem:

– Jeszcze ona została! Widziałam ją w saloonie, jak gziła się z kowbojami Wilsona.

Cherie nie zareagowała, lecz Morris odruchowo położył dłoń na rewolwerze. Pośród tłumu podniosły się szepty.

– To ona!

– No i co z tego? – Cherie przeciągnęła się, udając beztroską.

Kobieta z tłuszczy zrobiła się czerwona z gniewu.

– To jedna z nich! – zaskrzeczała jeszcze głośniejsze, a tłum podchwycił jej zawołanie. Nawet starszy człowiek wydawał się poruszony nagłym zrywem.

– Pierdolenie! – zawołała Cherie. – To, że z nimi piłam...

– Byłaś ich dziwką! Powiesić ją!

Clive spojrział na Cherie z pytaniem, a ona uniosła tylko ręce w geście bezradności, choć w oczach oprócz strachu miała to coś, co mówiło, że nie podda się bez walki. Morris stanął tuż obok, gotowy bronić swojej niedawnej wybawczynie.

Ogłuszający huk wystrzału ostudził mordercze zapędy tłuszczy. Nawet Clive, Morris i Cherie wzdrygnęli się, ponieważ dźwięk doszedł zza ich pleców. W drzwiach domu stanęła Mary. W dłoniach trzymała dymiącą strzelbę ojca, a na jej twarzy malował się wyraz zaciętości i desperacji, który każdej osobie przy zdrowych zmysłach kazałby odsunąć się na bezpieczną odległość.

– Nikt jej nie ruszy! – krzyknęła z pasją. Sam dźwięk jej podniesionego głosu sprawił, że Morris poczuł lekkość, a także niezwykłą energię pobudzającą serce do szalonej galopady. Oto odezwał się w niej duch dawnego szeryfa. – Pani Cherie nigdy nie była związana z gangiem Wilsona! Została porwana, tak samo jak ja! Była przetrzymywana tak samo jak ja. Ale, w odróżnieniu ode mnie, walczyła! Widziałam, jak własnoręcznie zabija trzech członków gangu, żeby nas ratować. Potem odprowadziła mnie tutaj. Opiekowała się mną i Stephenem! Jestem jej winna życie i jeżeli któryś z was będzie chciał choćby jej dotknąć, to klnę się na pamięć rodziców, że odstrzelę mu pieprzony łeb!

Zapanowała cisza. W tle dopalały się zgliszczka szubienicy, gdzieś tam dyndały ciała szeryfa i jego zastępców, a Morris czuł, że kompletnie traci głowę. Patrzył jak w obrazek na Mary, nie wiedząc nawet, czy zwyczajnie rozdziawia gębę z wrażenia, czy uśmiecha się jak przygłup. Najważniejsze było to, że tłum się zatrzymał. Nikt nie

śmiały postawić nawet kroku dalej, a paskudna krzykaczka zniknęła nagle z pola widzenia. Po chwili ludzie zaczęli się rozchodzić.

– A niech mnie – uśmiechnęła się Cherie. – No, na moje oko, to ona powinna zostać szeryfem.

Mary odetchnęła. Nogi się pod nią ugięły i opuściła strzelbę. Morris znalazł się na tyle blisko, żeby powstrzymać dziewczynę przed upadkiem. Podał jej ramię i zaprowadził do domu, usadził przy stole i podał wody.

– Dziękuję – uśmiechnęła się blado. – Chyba trochę przesadziłam.

– Nie, nie! Nic z tych rzeczy – chłopak trajkotał jak katarynka. – To była piękna przemowa, taka silna i pełna pasji. Oratorska wręcz. Trzeba było im to powiedzieć, żeby wiedzieli, jak odróżniać przyjaciół od wrogów. A pani Cherie to...

– Daj już spokój, dzieciaku – Cherie zajrzała do środka. – Zdaje się, że chwilowo jesteśmy na siebie skazani. Clive mówi, żebyś poszedł ze mną do saloonu po mój bagaż. Trudno w to uwierzyć, ale się z nim zgadzam. Lepiej, żebym tam nie zostawała, bo cholera wie, czy nie znajdzie się jakiś przygłuchy nadgorliwiec, który nie rozumiał, jak poważnie panienka Mary mówiła.

Morris przełknął ślinę. Spojrzał na Mary, zupełnie jakby prosił o wybaczenie, że zostawia ją samą. Poprawił pas, sięgnął po melonik i latarnię.

– Chodźmy zatem.

Nikt nie zamknął wejścia do saloonu, w środku zaś panowały ciemność i cisza. Porzucone w nieładzie stoły stały nieuprzątnięte, a na podłodze wałało się szkło z okien rozbitych podczas porannej strzelaniny. Nawet w ciemnościach dało się zauważyć zaschnięte plamy krwi w miejscu, gdzie padli pierwsi przeciwnicy Clive'a.

– Upiorne – stwierdził Morris, przyświecając sobie lampą. – Czemu tu nikogo nie ma? Przecież musiał tu zaglądać ktoś oprócz członków gangu.

– A jakże – odparła Cherie. Minęła go w wejściu i bez wahania weszła do środka. – Tyle że kurz jeszcze nie opadł. Jutro, może pojutrze wróci tu właściciel, zacznie sprzątanie. Ktoś przyjdzie się napić, ktoś do niego dołączy i wszystko wróci do jako takiej normy. Może nawet te stare kurwy, co tu dawały, będą miały jakikolwiek zarobek, o ile syfilis nie zeżre ich do końca.

Przeszli przez salę i stanęli u wejścia do korytarza prowadzącego ku pokojom gościnnym. Morris czuł przejmujące zimno, które nie wynikało jedynie z chłodu wieczora. Miał wrażenie, jakby nagła pustka w tym miejscu wymagała, by ją czymkolwiek wypełniono, i dlatego wysysała z niego całe ciepło.

– Dużo ma pani bagaży? – zapytał nieśmiało.

Cherie pokręciła głową z zażenowaniem. Zamiast pójść do swojego pokoju, przeszła za bar, wyszukała interesującą ją butelczynę i wyciągnęła dwie w miarę czyste szklanki.

– Napijesz się? – Nie czekała na odpowiedź, tylko poląła im obojgu. Podsunęła szklaneczkę do Morrisa. – Za to, że przeżyliśmy.

Nie chcąc być nieuprzejmym, chłopak spełnił toast. Alkohol okazał się mocny i gryzący, co wywołało u niego atak kaszlu. Cherie zachichotała i poląła jeszcze jedną kolejkę. Wzięła szklankę i ruszyła ku swojej kwaterze.

– Po pierwsze, to wiesz, jak mam na imię, więc daruj sobie panią. Nie jestem aż tak stara. Po drugie, nie mam dużo bagażu. Ot, jedna torba. Chodź, pomożesz.

Morris zatrzymał się zmieszany.

– To chyba nie wypada, żebym oglądał prywatne rzeczy damy.

– Nie oszukujmy się, żadna ze mnie dama – Cherie puściła do niego oczko. – Nie krępuj się.

Jej pokój był niewielki. Miała w nim łóżko, małą szafeczkę i okno wychodzące na ścianę przyległego budynku. Pościel pozostawała w nieładzie, a wszędzie leżały elementy bielizny i ubrań.

Z niewiadomych względów Morris poczuł, że powinien coś powiedzieć. Czuł się nieswojo w towarzystwie urodziwej, acz ekscentrycznej kobiety. Jej maniery zdawały się równie wyzywające co ubranie, a kompletny brak poszanowania dla cudzej przestrzeni intymnej, czy nawet tak mizernych konwenansów, z którymi wychowano go na ranczu, wprawiały go w nieprzyjemne zakłopotanie.

– Ładny pokój – wydukał.

Cherie podnosiła właśnie z podłogi bieliznę, a słysząc nieudany komplement, parsknęła śmiechem tak bardzo, aż zatoczyła się i usiadła na łóżku. Schyliła się, sięgnęła między nogi i wyciągnęła spod łóżka skórzaną torbę. Wpakowała do niej ubrania, nie trując się sprawdzaniem, czy są czyste, a na pewno nie takimi błahostkami, jak porządne ich złożenie.

– Uroczy jesteś – obdarowała go czarującym uśmiechem.

Morris poczuł, jak dla odmiany robi mu się gorąco. Spróbował znaleźć jakikolwiek punkt w pokoju, gdzie mógłby zaczepić wzrok, byleby wyrwać się z uścisku magnetycznego spojrzenia kobiety.

Pakowanie zajęło Cherie jeszcze kilka chwil. Na samym końcu weszła na łóżko, sięgnęła ku belce stropowej, spod której wyciągnęła kilka banknotów. Złożyła je i bezceremonialnie schowała sobie za dekolt.

– Czyli możemy już iść? – Morris nie był w stanie ukryć napięcia.

– Oczywiście.

Cherie wymaszerowała z pokoju, intencjonalnie ocierając się o niego biodrem. Zamiast opuścić saloon, postawiła bagaż na barze, po czym nalała sobie kolejnego shota.

– Nie wypijeś poprzedniej kolejki – mruknęła. – Teraz musisz wypić dwie.

– Ja... nie wiem, czy to dobry pomysł. Miałem tu z tobą przyjść, żebyś była bezpieczna.

Kobieta uniosła brew w powątpiewaniu.

– Oczywiście, że tak. A teraz pij! Nie mogę spać na trzeźwo w tym samym domu co Philips.

Chcąc nie chcąc, Morris wypił zaległą kolejkę i dopiero wtedy przyjął toast. Bardzo szybko zaczęła ogarniać go przyjemna lekkość, a język zrobił się jakby luźniejszy. Postawił lampę na barze i klapnął na krzesło. Cherie przeszła obok niego i usiadła na barze, tak że jej uda znalazły się idealnie na wysokości oczu chłopaka. Z tej pozycji poląła im kolejną rundkę.

– Czujesz miętę do Mary – stwierdziła bez ogródek.

Morrisa zatkało. Zacisnął wargi, przetarł czoło rękawem. Miał wrażenie, że na przemian czuje uderzenia gorąca, by po chwili oblała go fala zimna. Nie potrafił ukryć drżenia rąk, a na pewno nie umiał opanować oddechu. Myślał o Mary, lecz z tej odległości docierało do niego naturalne ciepło ciała Cherie wraz z oszałamiającym zapachem jej perfum. Cieszył się, że usiadł w porę.

– No... ja...

– Daj spokój, przecież wiem – mruknęła jak kotka. Uniosła do ust szklankę i wychyliła jej zawartość, nie odrywając od niego wzroku. – Ona jest teraz w bardzo trudnej sytuacji – kontynuowała. – Straciła rodziców, musi opiekować się bratem. Jest sama na tym świecie. Skrzywdzona, wrażliwa. Myślisz, że potrzebuje teraz mężczyzny?

– No, ja ... nie wiem.

– No właśnie – Cherie znowu przywołała ten swój powalający uśmiech. – A ja wiem. Ostatnie, czego potrzebuje kobieta w jej sytuacji, to napalonego absztyfikanta i do tego młokosa. Może przyjmie pomoc, wsparcie, ramię do wypłakania się. Zapomnij jednak o miłostkach, przynajmniej na jakiś czas, bo zrobisz krzywdę i jej, i sobie. Rozumiesz?

Morris pokiwał głową, w której już odrobinę szumiało. Oczywiście, że rozumiał. Pamiętał, jak czuł się po stracie matki. Opuszczony i odsłonięty, niczym przetarta skóra na pełnym słońcu. Wszystko sprawiało wtedy ból.

– Rozumiem – odparł i wypił.

Kaszlnął, lecz tym razem to on nalał następną kolejkę.

– No, nie smuć się tak – Cherie pogłaskała go po policzku. – Nie powiedziałam, że nie możesz zostać tym mężczyzną, który się nią zaopiekuje. Takie rzeczy się widzi. A ja widziałam, jak ona patrzy na ciebie. Gdzieś tam w głębi jest zainteresowanie. Ale ty nadal jesteś dzieciakiem. Zaraz zresztą Phillips wyciągnie cię na kruczatę przeciwko Campbellowi. Jeżeli nie skończysz tak jak inni, to, kto wie, może wrócisz jako mężczyzna.

– Tak myślisz? – zapytał z nadzieją.

– Aha – pogłaskała go po czuprynie, przyjemnie wplatając długie palce w jego rude loki. – Byłeś kiedyś z kobietą?

Morris zakrztusił się z wrażenia, co wywołało kolejną salwę śmiechu Cherie.

– No, nie bądź taki – powiedziała cicho. – Przecież to normalne. Kobieta i mężczyzna zostali stworzeni, żeby dawać sobie nie tylko miłość, ale i przyjemność. Czasem jedno idzie z drugim w parze, ale wierz mi, świat jest tak ułożony, że nie jest to reguła, a raczej wyjątek.

Chłopak przepłukał gardło i, czując nagłą śmiałość, zbliżył się nieco do Cherie. Rozejrzał się, jakby spodziewał się, że w pustym saloonie ktoś może go usłyszeć, ale za oknami panowała już nieprzenikniona ciemność, a w środku oprócz nich nie było żywego ducha.

– No, nie byłem – wyznał. – Jakoś tak nigdy śmiałości nie miałem.

– Nawet z prostytutką?

– Nie. Na początku pieniędzy było szkoda, a potem... no, jakoś tak nie pasowało mi to.

– Rozumiem. Wiesz, to robi wrażenie. Jesteś romantykiem, wierzysz w miłość.

– A ty wierzysz?

Wzrok Cherie przygasł, jakby na chwilę spojrzała gdzieś daleko w przeszłość. W tym jednym momencie maska kotki opadła, ukazując oblicze zagubionej kobiety, tęskniącej za czymś lub za kimś.

– Wierzę – szepnęła.

– Kochałaś kiedyś?

– Oczywiście, durniu. I to z wzajemnością. To był najlepszy czas w moim życiu. Niestety, świat to okrutne miejsce, które nie wybacza błędów.

– Jaki błąd popełniłaś?

– Lubię cię, Morris – nachyliła się do niego. – Dobry z ciebie chłopak. Przypominasz mi mojego męża, jak byliśmy młodzi. Też był pełny marzeń i pomysłów. Widział świat zupełnie inaczej niż wszyscy inni i to go w końcu zgubiło.

– Opowiesz mi o nim?

– Nie. Nie teraz. Ale ci pomogę. Chcesz?

– Jak?

Nie odpowiedziała. Naraz w jej oczach pojawił się błysk, który sprawił, że cały świat zniknął. Złapała Morrisa za włosy i przyciągnęła do siebie. Wstał, a w następnej chwili czuł już ciepłe, aksamitne usta przyklejone do swoich. Niewprawnie oddał pocałunek, a wtedy ona oplótła go nogami. Złapał ją za biodra, po czym zreflektował się i przesunął dłonie wyżej, na plecy. Kobieta przesunęła je w dół.

– Jeżeli chcesz zostać mężczyzną – szepnęła, gryząc go w ucho – to zacznijmy od tego.

\* \* \*

– Cherie – szepnęła. Twardy materac jej dotychczasowego łóżka potęgował uczucie ogarniającej go senności. Miał wrażenie, że gryzą go pluskwy. – Wiesz, że przez to, co Clive mi zrobił, wiem, co ludzie czują?

– No i? – mruknęła, naciągając spodnie.

Morris odnotował w pamięci, że z jej głosu zniknęło gdzieś dotychczasowe ciepło i zalotny ton, nie wspominając o płomiennej namiętności.

– Kiedy wspomniałaś o mężu. Poczulem coś. Wielki ból, stratę. Cholera, przykro mi. Chciałbym ci jakoś...

Przerwała mu gestem.

– Po pierwsze – odparła spokojnie. – Cokolwiek byś nie robił, nie zakochuj się w tej pierwszej. To nigdy nie kończy się dobrze. Po drugie, zabraniam ci wchodzić do mojej głowy lub do czyjejkolwiek. Ludzkie myśli i uczucia to prywatna sprawa. Intymna.

Uniósł się na łóżku, a widząc, że kobieta ubiera się do wyjścia, sam zaczął szukać swoich rzeczy.

– Opowiesz mi chociaż o mężu?

– Umarł – odparła sucho. – A właściwie to został zamordowany.



– Bardzo mi przykro. Naprawdę.

– Dziękuję.

Założył już spodnie i narzucił na siebie koszulę.

– Kto go zamordował? Campbell?

Pożałował tego pytania. Nawet w ciemności zobaczył błysk jej oczu. Grobowy ton, którym mu odpowiedziała, prześladował go przez wiele kolejnych dni. Podskórnie znał już odpowiedź, tak jakby usłyszał ją, zanim kobieta wykrztusiła z siebie nazwisko.

– Tak ci powiedział, co? – szepnęła. – Nie, to nie Campbell zabił mojego męża. Zrobił to Phillips. Przyjęliśmy go pod dach, pomogliśmy, opatrzyliśmy rany... a on go zabił... i dlatego przysięgłam, że zginie z mojej ręki.

Serce Morrisa zatrzepotało, a zimny dreszcz przebiegł po całym jego ciele. Naraz złożył w głowie fakty. Spróbował przypomnieć sobie nazwisko z opowieści, którą usłyszał od Clive'a przy stole do pokera.

– Ty jesteś tą wdową... Cherie Tappert...

\* \* \*

Morris siedział przy śniadaniu, próbując nie wyglądać na zmieszanego obecnością Cherie, a tym bardziej Mary, która dwoiła się i troiła, by zająć się wybawcami. Clive siedział naprzeciwko, pogrążony w rozmyślaniach. Nie odzywał się do nikogo od rana, tylko notował w kajecie. Nawet Doc Martin, który zdołał podnieść się z łóżka, nie zdradzał chęci do nawiązania rozmowy. Było to najdziwniejsze towarzystwo w najbardziej niezręcznej sytuacji.

Chłopak rozpamiętywał rozmowę, jaką odbył w nocy z Cherie, zaraz po tym, jak oni... Rozpamiętywał, jak wracali do domu kowala, jak dopytywał o szczegóły jej zemsty i znajomości z Clive'em.

– Zostawił mnie samą w środku lasu w domu, w którym umarł mój mąż – odpowiedziała wtedy. – Mogłam tam zostać lub pójść za nim i dowiedzieć się, co tak naprawdę się stało. Przygarnął mnie, wkrótce zaczęliśmy razem pracować i nawet go polubiłam. Nauczył mnie czytać i pisać, a nawet walczyć. Opowiadał o swoim udziale w wojnie domowej, o zwadzie z Campbellem. Czasami brał ludzi do pomocy, ale wszyscy ginęli podczas akcji. Z czasem zaczęłam się zastanawiać, jak to możliwe, że ani Clive'a, ani mnie nie imają się kule. Wszystko stało się jasne, jak przydybałam go kiedyś i dowiedziałam się, co robił ze ściganymi. Niby łapał ich żywych, ale zawsze jakoś umierali. Bo widzisz, on odprawiał na nich te swoje rytuały. Zabierał im czas,

czy ten jak mu tam, Potencjał. Ciągłe dopracowywał metodę. Kiedy zobaczyłam, jak naznaczony przez niego człowiek starzeje się na moich oczach, umiera i przemienia się w proch, wtedy zrozumiałam. To Clive zabił mojego męża. Polubiłam tego skurwiela, przywiązałam się do niego, a kiedy to do mnie dotarło, znienawidziłam go szczerze. Zapytałam go wtedy, czy to prawda. Nie zaprzeczył.

– Poprzysięgłaś mu śmierć?

– Tak – odparła z pasją. – Odkryłam, że ten hipokryta nie ma serca zrobić mi krzywdy. W jakimś pokręconym poczuciu odpowiedzialności albo gryziony przez resztki sumienia, sama nie wiem. Obiecałam mu, że będę go prześladowała, będzie czuł mój wzrok na plecach, będzie słyszał oddech, nigdy nie ucieknie od poczucia winy. A kiedy nie będzie się tego spodziewał, poderżnę mu to jego kłamliwe gardło.

Morris był tak mocno wstrząśnięty usłyszaną opowieścią, że pomimo zmęczenia długo nie zmrużył oka tej nocy. Wyobrażał sobie Clive'a kradnącego Potencjał pana Tapperta, byleby pomóc sobie w kompresji czasu i leczeniu ran. Miał przed oczami Cherie, która podążała za nim, uczyła się walczyć i pracowała jako łowczyni nagród. W końcu po raz kolejny zastanowił się, jaki los czeka jego samego. Czy będzie mu dane opuścić Crucible? Czy spełni swoje zadanie jako żywy zasobnik mocy dla wiedźmiego rewolwerowca? Kiedy w końcu zasnął, dręczyły go koszmary.

Przy śniadaniu Mary usiadła obok Morrisa i uśmiechnęła się blado. Sama wyglądała, jakby niewiele spała, a zamiast tego płakała aż do świtu. Jej brat nadal nie opuszczał pokoju Briana, pogrążony w rozpacz nie miał jeszcze sił, by wyjść do ludzi.

Ten jeden uśmiech Mary, to jedno spojrzenie sprawiły, że na trzewiach Morrisa zacisnęły się oślizłe łapska poczucia winy. Oczywiście Cherie wytłumaczyła mu, że ich zbliżenie było jednorazowe i miało charakter czysto fizyczny. Ona chciała odrobiny przyjemności, a jemu zaoferowała wprowadzenie w świat stosunków damsko-męskich. Musiał przyznać, że bardzo przyjemne to wprowadzenie. Teraz zaś samo ciepło Mary, jej zapach, tak cichy, a jednak niezwykle głośny świst jej oddechu dawały mu pewność, że po wszystkim będzie chciał do niej wrócić. Wykona swoją powinność, spłaci dług i przyjedzie tu, by zająć się nią i młodym Stephenem.

– Clive – wyrwał rewolwerowca ze skupienia. – Kiedy ruszamy?

– Jak najszybciej – odparł Clive, odkładając na bok notatnik. – Doc Martin raczej nie dokończy kucia konia, ale myślę, że wypada, abyśmy zostali do czasu pogrzebu państwa Rice'ów i Briana.

– Dokończę – przerwał mu kowal. – Podkowy wykute, kowadło i tak mam na zewnątrz, a narzędzia do oporzędzania koni w stajni. Kuźnia mi do tego niepotrzebna.

– Z jedną ręką?

– Poradzę sobie – Doc Martin skrzywił się zadziornie, nie dając po sobie poznać ani krzty słabości. – Nie musicie oddawać mi pieniędzy. Idźcie kupić zapasy na drogę, tylko pamiętajcie też o mnie.

Clive i Morris spojrzeli na kowala pytającym wzrokiem.

– No co się tak gapicie – zachnął się. – Jadę z wami.

– Po co?

– Clive mówił, że Campbell ma coś wspólnego z wyludnieniem Crucible, a to właśnie było powodem zejścia na psy tej miejsciny. Do tego, jak rozumiem, Wilson był jego zausznikiem. To znaczy, że Campbell musi odpowiedzieć za czyny swoje i swoich ludzi. Zamierzam tego dopilnować.

– Może powinniśmy powiadomić wojsko? – zagadnął Morris.

Prawdą było, że po wojnie południowe stany były nadzorowane przez siły Unii. Rozmieszczone w strategicznych miejscach forty, patrole w granatowych mundurach czy gwiazdy i pasy na fladze nikogo w Teksasie już nie dziwiły.

– Jak widzisz, nie ma tu żadnego wojska – kwaśno skwitował Doc Martin. – Jak tylko straciliśmy kontakt z Crucible, a kompania Wilcamp zamieniła się w gang Wilsona, Unia przestała interesować się tymi rejonami. Choć ludzie tu zadziorni, to raczej marne szanse, żeby w tej dziurze odrodziła się Konfederacja, to i wojska nie potrzeba. Tak czy owak, jadę z wami i nie macie nic do powiedzenia.

– Ja też – Cherie posłała Clive'owi jadowity uśmiech. Oświadczenie to sprawiło również, że Morris zaczął wiercić się na krześle, czując skrępowanie przeplatające się z irracjonalnym podnieceniem.

– Nie – Clive wstał od stołu. – Nie ma mowy, Cherie. A panience Mary pięknie dziękuję za wyborne śniadanie. – To powiedziawszy, zgarnął swoje rzeczy, uklonił się i ruszył do wyjścia.

– A jak zamierzasz mnie powstrzymać, Clive? – Cherie rzuciła w ślad za nim.

Nie doczekała się odpowiedzi.

Morris popił ostatni kęs posiłku i zabrał się za pomaganie Mary w sprzątanii stołu.

– Cherie, może powinnaś jednak zostać z Mary, przynajmniej dopóki nie wrócimy.

– Dziewczyna sobie poradzi – odparła. – Przypilnuje w tym czasie domu Martina, może wymyśli, co zrobić z hotelem. Żadna ze mnie piastunka, a bardzo chcę zobaczyć, jak Phillips w końcu popełnia jakiś błąd.

Mary podeszła do balii z wodą, w której zmywali naczynia. Stojący tam Morris nie śmiał spojrzeć na nią, więc skupił się na myciu talerzy.

– Naprawdę poradzę sobie – powiedziała do niego delikatnym głosem. – Pani Cherie powinna jechać z wami. Może w Crucible trzeba komuś pomóc, a może są tam gdzieś resztki gangu. Myślę, że potrzebujecie każdej pomocy, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo.

Chłopak przełknął ślinę. W tych słowach słyszał obietnicę, nadzieję nawet, że nie tylko wywrą ostateczną pomstę, ale być może przywrócą Prosperity choć odrobinę z sensu jej nazwy. A gdzieś tu mogło być również miejsce dla Morrisa, jego powrotu i sprawdzenia, czy on i Mary są sobie pisani.

\* \* \*

Sklepiarz przywitał ich głębokimi ukłonami, niczym najznamienitszych oficjeli, którzy akurat tego dnia postanowili odwiedzić jego skromny przybytek. Morris uśmiechał się do niego niepewnie, lecz Clive nie zwracał uwagi na umizgi, choć po drodze wspomniał coś o możliwych rabatach, których w sumie oczekiwał. Coś przecież należało się bohaterom Prosperity.

– Konserwy dla trzech osób na tydzień – zaczął Clive. – Suszona wołowina, fasola...

– Dla czterech – wtrącił się Morris.

Sklepiarz podniósł pytający wzrok znad kartki, na której czynił notatki.

– Dla trzech – poprawił Clive. – Do tego zapalki, papierosy...

Morris westchnął z rezygnacją. Postanowił poczekać, aż jego towarzysz złoży zamówienie, a swoją uwagę skierował ku innym towarom rozstawionym w sklepie. Zatrzymał się przy zakurzonej półce, na której zalegały pozółkłe już gazety oraz kilka książek wydrukowanych na tanim papierze i siermiężnie oprawionych w cienkie okładki. Pośród nich znalazł kilka pamfletów z czasów wojny, w których bezpardonowo szkalowano prezydenta Lincolna, kilka romansów dla pań oraz broszur z powieściami odcinkowymi o rewolwerowcach. To na tych ostatnich skupił największą uwagę. Zaczął je wertować, z lubością przypominając sobie dawne lektury. Oczy mu się śmiały, kiedy wracał do znanych fragmentów, niegdyś przyprawiających go o dreszcz emocji. Naraz zdał sobie sprawę, że oto sam znajduje się w środku

historii, przy których te o obronie meksykańskich *pueblos* przed rozbójnikami czy odpieraniu ataków Indian na powozy pionierów to marnej jakości historyjki, w gruncie rzeczy wysane z palca. Odkładając je, zauważył jeszcze jedną książkę wciśniętą w dalszą część półki. Jej czarna okładka i srebrne litery wywołały w nim ukłucie podniecenia, zupełnie jakby znalazł coś, czego nie powinien. Wziął ją do ręki i przeczytał: C.K. Phillips *Historie niesamowite*.

Obejrzał się, żeby zobaczyć najprawdziwszego autora trzymanej przez siebie książki, który zamawiał właśnie zapasy na podróż, mogącą posłużyć jako inspiracja dla kolejnego dzieła. Otworzył wolumin i przeczytał spis treści: *Potwór w grobowcu, Bramy do innych światów, Zapomniani bogowie, Sekret Murraya Davenporta, Łowca spoza czasu, W odmętach szaleństwa*.

– Morris! – Chłopak wzdrygnął się na dźwięk swojego imienia. Zamknął książkę i schował za siebie. – Zamówienie gotowe i opłacone – poinformował Clive. – Idę z panią Mary do grabarza porozmawiać o pogrzebie, potem wracam do kowala. Ty poczekaj tu i pomóż przetransportować pakunki.

– Jasne.

Jak tylko Clive wyszedł, Morris zbliżył się do sklepikarza. Starszy mężczyzna krzątał się, wykładając na ladę kolejne elementy zamówienia.

– Pan przygotowuje to dla czterech osób.

Właściciel sklepu sapnął:

– Pan Phillips zapłacił za trzy...

– Pan Phillips się pomylił. Proszę przygotować czwarty zestaw, dopłacę na miejscu, gdy zaniemiemy wszystko. I proszę dorzucić tę książkę.

Zapewniony o zapłacie sklepikarz wrócił do realizacji zamówienia. Układał rzeczy, pakował w szary papier i zawijał sznurkami. Morris zauważył, że oddzielną część zakupu stanowią naboje w małych pudełkach po tytoniu. Spojrzał z uznaniem na starszego mężczyznę – być może szeryf zabraniał sprzedaży amunicji, lecz jak widać jego zakazy nie miały dostatecznej mocy, by stłumić inwencję lokalnych przedsiębiorców.

Widząc skrupulatne, acz kompletnie pozbawione pośpiechu ruchy sklepikarza, Morris postanowił wyjść i poczekać w cieniu na chodniku przed sklepem. Usiadł na skrzynce w miejscu, w którym niedawno jeszcze urzędowali meksykańscy poganiacze bydła. Z zaciekawieniem obserwował nieco odmienione ulice miasta, twarze ludzi, jaśniejsze, pozbawione strachu, pełne nadziei. Zupełnie jakby poprzedniego dnia nie odbyła się tu masakra, a za miastem nie kopano właśnie rzędów grobów dla zabitych

w strzelaniu bandytów. Zupełnie jakby na belce podtrzymującej balkon pobliskiego warsztatu szewca nadal nie wisiały trzy ciała, wokół których brzęczały już stada much. Ich popielate twarze z wystającymi z ust opuchniętymi językami i puste oczy wychodzące z orbit spoglądały na miasto powracające do normalności.

Morris odepchnął natrętne myśli o pogromie. Wspominanie okropieństw minionego dnia sprawiało, że robiło mu się niedobrze, a po plecach przechodził zimny dreszcz. Skoro dopiero co przeżył najprawdziwszą bitwę, to strach było myśleć, co czekało dalej na drodze wyznaczonej przez dziwnego rewolwerowca, władającego zapomnianą magią. Zamiast gdybać, pogrążył się w lekturze, która od pierwszego akapitu postawiła mu włosy na karku. Nie chodziło o szalone teorie, opisywane wydarzenia czy atmosferę grozy potęgowaną przez ciągłe wzmianki o pradawnych bóstwach i potworach czających się w mroku. Wystarczyła świadomość tego, że nie wszystko, co tam napisano, było wytworem wyobraźni autora...



## ROZDZIAŁ 7

### SZARAŃCZA

*...siły mitu nie powinno się mierzyć w jego przestaniu, ile w czasie, jaki ów przetrwał w ludzkiej świadomości nietknięty. Bowiernie przekazy w czasie się zmieniają, zyskując lub tracąc swą wartość. Tę samą opowieść można snuć na tysiąc różnych sposobów. Nowe czasy sprawiają, że stare przekazy nabierają nowych znaczeń. Tymczasem potęga tkwi w tym, aby sedno sprawy pozostało takie samo.*

Clive K. Phillips, *Dzienniki zebrane*

Nazajutrz Mary wróciła do hotelu, aby przygotować ciała rodziców do pogrzebu. Doc Martin uparł się, żeby jej towarzyszyć i zrobić to samo dla swojego wychowanka. Morris również zaproponował pomoc i choć Mary oponowała, mówiąc że nie chce obarczać go widokiem martwych, on oświadczył, że rozumie, jaki to dla niej ciężar i spróbuje choć odrobinę wziąć go na swoje barki. Kiedy wychodzili, Cherie skinęła mu głową w uznaniu. Ten prosty gest dodał mu sił i podniósł na duchu.

Jak się okazało, z hotelu uprzątnięto już trupy napastników. Co tyczy się ofiar, pani Rice, jej mąż i Brian zostali ułożeni na stołach przyniesionych do kasyna. Grabarz umył ich ciała, a twarze upudrował, by cokolwiek polepszyć doświadczenie oglądania ich po śmierci. Pachnące świeżym drewnem trumny czekały już oparte o ścianę.

– Jakiś czas po śmierci zwłoki doznają skurczu – oświadczył Doc Martin, z grymasem zdejmując rękę z temblaka. Przyniesione dla Briana odzienie delikatnie

ułożył na stole, tuż obok zwłok wychowanka. Ciało nosiło ślady pobicia, a w piersi widniała dziura po kuli. Poobcierane kułaki wskazywały, że chłopak nie odszedł bez walki. – Nie dacie rady poruszyć kończynami, więc nawet nie próbujcie. Musimy poradzić sobie z nimi tak jak są. I uważajcie – dodał nieco ciszej. – W brzuchach mogą im się zbierać gazy. Nieboszczyk może czasami, no wiecie, popuścić. To normalne, ale dla niewtajemniczonych może okazać się trochę straszne i cokolwiek obrzydliwe.

Oboje przytaknęli i czym prędzej zajęli się ubieraniem zwłok. Morris krępował się najpierw podczas rozbierania, a potem odziewania Shelly Rice. Kobieta była zimna, twarda i zapadnięta w sobie, zupełnie jakby straciła po śmierci parę kilo wagi i uschła. Paradoksalnie wydawała się cięższa, niż można by przypuszczać. Jej nagie ciało nie budziło skrępowania, lecz Morris i tak skupiał się bardziej na Mary, na jej smutku i łzach. W myślach próbował przekierować na siebie tak jasno wyczuwalny ból, przeżywać go z nią, dodawać jej sił. Nie wiedział niestety, na ile te wysiłki mogły skutkować, a na ile była to próżna robota jego wyobraźni.

O wiele trudniej było zająć się Paulem Rice'em. Dawny szeryf i właściciel hotelu jeszcze za życia wyglądał przerażająco. Po śmierci przypominał obraz z najgorszych snów, który każdego przyprawiłby o szybsze bicie serca i nocne koszmary. Trudno było uwierzyć w to, jak wiele cierpienia doświadczył ten człowiek i jak wiele zniósł w ostatnich momentach swojego życia. Jaka nieludzka wola sprawiła, że ustał po otrzymaniu tylu ran, które powaliłyby byka. Nawet po śmierci tchnęła od niego jakaś niewyjaśniona siła, jakby pod stopioną maską jego skóry tkwiło oblicze człowieka prawego i walecznego.

Skończyli przed południem i dopiero wtedy Morris zorientował się, że przez cały czas pozostawali cicho. Nikt nie odezwał się ani słowem. Nawet Doc Martin, który po dokonaniu czynności zwyczajnie siedział obok swojego wychowanka. Ze spuszczoną głową i ręką z powrotem na temblaku pogrążył się zapewne w modlitwie lub jednostronnej konwersacji ze zmarłym.

W samo południe pojawił się grabarz w towarzystwie czterech pomocników w nieco wysłużonych liberiach. Pomogli przełożyć ciała do trumien i zaprosili bliskich, by poczekali przy karawanie.

Nawet Mary była zaskoczona tym, co ujrzała na ulicy. Spodziewała się zapewne, że rodziców będzie żegnać jedynie w towarzystwie brata i swoich wybawców. Tymczasem na uroczystość przybyło całe Prosperity. Ludzie tłoczyli się na ulicach, by podążać za skromnym karawanem ku cmentarzowi.



Gdy wyniesiono trumny, Mary ustawiła się za karawanem, trzymając brata za rękę, w drugiej ścisła wymiętą już chusteczkę. Za nimi szli Doc Martin, Clive i Morris. Cherie obserwowała obrzędy z bezpiecznej odległości.

Procesja przeszła przez całe miasto, a jej uczestnicy zachowywali niezwykle skupienie i ciszę. Na cmentarzu czekały trzy odsłonięte mogiły. Zgliszcza spalonego kościoła straszły poczerńiałymi belkami, a rzędy świeżych grobów wykopanych poza poświęconą ziemią przypominały o burzliwych wydarzeniach minionego dnia.

Grabarze umieścili trumny w grobach i właśnie wtedy nastąpiła chwila konsternacji. W normalnych warunkach pogrzeb powinien celebrować pastor, lecz w Prosperity przecież takowego od dawna już nie było. Ludzie udawali, że modlą się w milczeniu, lecz łypali po sobie, nie do końca pewni, co począć dalej. Sytuacja ta nie umknęła uwadze Mary. Zdruzgotana dziewczyna zaczęła się trząść, ostatkami sił powstrzymując rozpacz.

Nieoczekiwanie pojawił się obok niej Clive. Zdjął kapelusz, ukłonił się i przecesał dłonią włosy. W ciemnych okularach i kamizelce wyglądał nieco jak pastor, choć nietypowy, posępny, uzbrojony po zęby i naznaczony magicznymi symbolami.

– Czym jest miłość? – zagrział poważnym, choć pozbawionym patosu tonem. Oczy wszystkich zgromadzonych skupiły się na nim. – Każdy z nas, jak tu stoimy, ma o niej własne wyobrażenie. Dla jednych jest porywem serca, chwilą zapomnienia, motylami w brzuchu lub westchnieniem. Dla innych jest zobowiązaniem na całe życie. Państwo Rice'owie postanowili żyć w tym mieście. Paul Rice został wybrany na szeryfa i piastował swój urząd do momentu nieszczęśliwego wypadku. Lecz, nawet okaleczony, potrafił chwycić za broń, by przyjść na pomoc umiłowanej rodzinie. Pani Rice zaś, choć nie znałem jej długo, wydała mi się najbardziej oddaną i kochającą kobietą, jaką spotkałem na tym świecie. Dbała o męża, o dzieci i poświęciła dla nich wszystko, co miała, nawet swoje życie. Była to bowiem kobieta silna, której heroizm powinien być przytaczany w tym mieście jako przykład już po wsze czasy. Shelly i Paul Rice'owie umierali w tragicznych okolicznościach, zginęli jednak, mając świadomość, że kochali się nawzajem, że kochali swoje dzieci. Byli razem za życia i gdziekolwiek teraz są, po śmierci również będą razem. Będą w naszych sercach i naszej pamięci. Niech spoczywają w pokoju.

Powiedziawszy to, Clive ucałował rękę Mary, schylił się, by wziąć garść ziemi z wykopu, nasypał jej w ręce dziewczyny i jej brata. Po tym jak oni rzucili po trochu

na trumny, Clive uczynił to samo. Po chwili każdy z osobna podchodził do nich, składał kondolencje i rzucał ziemię do grobów, również do grobu Briana.

Morris zachowywał dystans. Nie chciał być nachalny, postanowił ofiarować tę chwilę sierotom Rice'ów. Naraz zorientował się, że tuż obok stoi Cherie. Pochyliła głowę, dłonie złożyła na podołku, po policzkach płynęły jej łzy.

– Pieprzony drań – szepnęła. – Gdyby nie takie chwile, o wiele łatwiej byłoby go nienawidzić.

Morris przyznał jej w duchu rację. Clive był draniem, który miał czasami swoje chwile.

Głośne westchnienie w tłumie pociągnęło za sobą falę szmerów, rozchodzących się niczym szum liści poruszanych przez wiatr zwiastujących burzę. Jakaś kobieta krzyknęła w przerażeniu, ludzie zaczęli nerwowo się kręcić.

Nie będąc w stanie dojrzeć, co wzbudziło poruszenie, Morris wspiął się na palce, aby zobaczyć, w czym rzecz. Po chwili nie musiał już nic robić, ponieważ ludzie rozstąpili się niczym Morze Czerwone, ukazując prostą na przestrzał ścieżkę ku wyjściu z cmentarza.

Mówili potem, że przybył z zachodu. Południowe słońce idealnie oświetlało jego przygarbioną sylwetkę, a lekki wiatr niosący piasek z prerii rozwiewał poszarpane ubranie. Powłóczył nogami, a ręce zwisały mu bezwładnie, przy każdym kroku kołysząc się w przód i w tył. Elegancki niegdyś garnitur szpeciły plamy krwi i liczne dziury, z których najgorsza ziała w brzuchu, a z której wylewały się węzowe kształty flaków. Na wpół zjedzona przez padlinożerców twarz jedynym okiem tęsknie łypała w stronę zgromadzenia. Wyszczerała do zebranych odsłonięte zęby ni to w grymasie gniewu, ni w upiornym uśmiechu.

Ktoś padł na kolana, modląc się do nieba, kilka osób wzięło nogi za pas, a jedna z kobiet zemdląca.

– Nie może być – westchnęła przerażona Cherie. – To chyba... Wilson.

Upiorny strzęp człowieka, który zaiste był kiedyś pułkownikiem Wilsonem, z każdym krokiem zbliżał się do cmentarza. W oskubanej z ciała dłoni trzymał trzydziestkę ósemkę.

– Jakie piękne zgromadzenie! – zawył chrapliwym głosem, od którego włosy stawały dęba. – A mnie nie zaproszono... mnie... opiekuna Prosperity!

Morris spojrział na Clive'a w poszukiwaniu odpowiedzi. Rewolwerowiec zaś z fascynacją patrzył w stronę Wilsona. Choć okulary przysłaniały mu oczy, zdawać się

mogło, że łączywie pochłania fenomenalny widok. Analizuje ruchy istoty, jej głos, szuka w niej oznak magii Potencjału.

Z tłumy padł strzał. Ktoś najwyraźniej przyniósł broń na pogrzeb i wypalił w stronę makabrycznej postaci. Kula przebiła na w pół wyschnięte ciało, nie czyniąc mu większej krzywdy. Wilson zaśmiał się szyderczo, a to wystarczyło, by ludzie wpadli w panikę. Zaczęli uciekać, popychali się, tratowali groby i przeskakiwali niskie ogrodzenie.

– Czym jesteś? – zapytał Clive.

Niespodziewanie pułkownik Wilson zatrzymał się przed granicą cmentarza. Oglądał ciekawsko pozostałe na placu osoby, po czym zdziwiony spojrział sobie pod nogi.

– Poświęcona ziemia – syknął zaintrygowany. – Jeżeli wierzyć tym wszystkim historiom opowiadanym przez klechów, nie powinienem móc na nią wkroczyć.

Bez ostrzeżenia i żadnego wahania zrobił krok przed siebie, a potem kolejny.

– No, popatrzcie tylko – zarechotał. – Same bujdy.

Morris cofnął się dwa kroki, rozbieganym wzrokiem szukał wśród towarzyszy wskazówek, co powinien zrobić. Znajdująca się tuż obok Cherie doskoczyła do Mary i młodego Stephena, by odciągnąć ich jak najdalej od stwora. Nawet Doc Martin wyglądał na przerażonego.

– Czym jesteś? – powtórzył Clive.

– Nie wiesz? – wychrypiał Wilson. – Zabiłeś mnie... ty mnie zabiłeś... strzeliłeś mi prosto w brzuch... umarłem, a jednak żyję. Jestem, tu i teraz, choć człowiek... nie, rzecz, której być nie powinno wcale. – Powiedziawszy to, upiór podniósł broń do strzału.

Clive zareagował odruchowo. Sięgnął po rewolwer i strzelił z biodra. Pocisk trafił w miejsce, gdzie powinno znajdować się serce potwora, lecz dokładnie tak samo jak poprzednio kula jedynie przebiła martwe ciało.

Trzydziestka ósemka wypaliła, lecz niecelnie. To zaś pozwoliło Clive'owi uskoczyć za stary nagrobek. Stamtąd wychylił się, by oddać kolejny strzał, lecz natychmiast się cofnął, skrzywiony boleśnie. Broń wypadła mu z odrętwiałej dłoni. Rewolwerowiec złapał się za głowę, a z jego nosa buchnęła krew.

– Przeciekasz, Phillips – zarechotał Wilson. – Twoje przeznaczenie, twój czas, twój tak zwany Potencjał ucieka z ciebie niczym woda z przestrelonego wiadra. Już wkrótce... już wkrótce również twój czas nastąpi.

Wilson zatoczył się i dopadł do osłupiałego Morrisa. Chwycił go za fraki i przyciągnął do siebie.

– Tyyy – wyszczał. – Co za okaz. Jaśniejiesz niczym latarnia w ciemności... Jak bardzo...

Nie tylko potworny widok, ale i odrażający odór sparaliżowały Morrisa. Chłopak nie był w stanie się ruszyć, ledwo mógł oddychać, inaczej uciekłby już dawno, a nie stał jak porażony. Dziwna myśl przemknęła mu przez głowę. Zaskoczyła go niepowstrzymana siła potwora, który paradoksalnie wyglądała, jakby ledwo był w stanie ustać na nogach.

Wilson przyłożył mu dłoń do czoła, nakreślił symbol i wyszeptał do ucha niezrozumiałą formułę. Już w następnej chwili chłopak poczuł, jak coś przyciąga jego wnętrze, jego całe jestestwo, zupełnie jak w momencie, kiedy Clive zasysał Potencjał od swoich ofiar. Tym razem jednak nie było to nic podobnego do wiru znajdującego się tuż obok, a skoncentrowane na nim świadome działanie. Przez jedno uderzenie serca połączył się z Wilsonem tą samą więzią, jaka łączyła go z Clive'em, a wraz z nią uderzyła go nagła świadomość, czym jest istota, która go schwyciła. Żywy trup, animowany przez wtłoczoną w niego moc Potencjału. Poprzez łączący ich strumień energii Morris dostrzegał obrazy, słyszał dźwięki buzujące wewnątrz Wilsona. Przeżywał z nim najważniejsze chwile jego życia – potyczki na polach bitew, nauki u Campbella, śmiech dzieci. Zlewał się z nim w jedno, pochłaniany przez niepowstrzymany wir, przez zimną i łaknącą pustkę.

Cherie wyprowadzała już Mary i Stephena z cmentarza. Wiedziony desperacją Doc Martin chwycił za szpadel i bezskutecznie zaczął okładać Wilsona po plecach.

Morris zaś czuł, że traci wszystko, co ma w sobie. Teraz całe jego życie przelatywało mu przed oczami. Rzeczy, które przeżył, oraz te, które mógł dopiero przeżyć. Chwile piękne i koszmary czekające nań w przyszłości.

Ogłuszający huk przerwał ten odrażający proces. Morris zobaczył tylko zdobioną glifami lufę pistoletu Clive'a, przystawioną do skroni głodnego upiora. Zadzzwoniło mu w uszach, a przed oczami zatańczyły mroczki. Jego całe życie, jego Potencjał uderzył go falą wtórnego przyływu, zwałił go z nóg i pozbawił świadomości.

\* \* \*

– Żyje! – Doc Martin zawołał z ulgą. – Chłopak żyje.

– Nie drzyj się tak – wyjęczał Morris. – Głowa mnie boli.

Niewiele widział. W sumie to nic nie widział. Świat zdawał się wielką szarą plamą, a sylwetki otaczających go postaci jedynie ciemniejszymi plamami na tym abstrakcyjnym płótnie. Czuł się, jakby miał najgorszego kaca w życiu.

Drażnił go potworny smród rozkładającego się ciała. Pod palcami coś chrzęściło. Ktoś go niósł. Ludzie krzyczeli dookoła w panice. W tle słychać było strzały, a ponad wszystkim unosił się opętańczy śmiech Wilsona.

– Co... co się dzieje? – wymamrotał. – Puśćcie mnie.

– Spokojnie, chłopcze – usłyszał głos Martina. – Nic ci nie będzie.

Znowu zapadł w ciemność.

\* \* \*

Obudziło go walenie do drzwi, głuche i monotonne, przypominające rytmiczne uderzenia młotków podczas budowy domu. Świat zdawał się wirować, w powietrzu czaił się gryzący swąd dymu, a do uszu docierały powoli nabierające kształtów dźwięki. Coś go boleśnie uwierało w plecy, więc przekręcił się na bok. Zdziwiła go nagle chwila bezwładności, po czym świat uderzył go z siłą rozpędzonej lokomotywy.

– Szlag! Czy ktoś w ogóle na niego patrzy?! – Zza zasłony bezkształtnego hałasu dobiegł go wściekły głos Cherie. – Spadł ze stołu!

Wszystko go bolało, w głowie zadomowił się ogłuszający pisk, zniekształcający odgłosy otoczenia. Błądnik na chwilę oszalał, bo przecież nie można było upaść na sufit.

– Zaraz się przedrą! – krzyknął Doc Martin.

Już po chwili nastąpiła salwa z kilku luf jednocześnie. Ktoś wykrzykiwał rozkazy. W powietrzu zrobiło się duszno od smrodu palonego prochu.

– Wstawaj! – Cherie szarpnęła Morrisa do góry. – Bierz broń!

Wzrok zaczął mu wracać, lecz kiedy tak się stało, chłopak pożałował, że nie został na dłużej w błogim niebycie. Miał wrażenie bowiem, że obudził się wewnątrz najprawdziwszego koszmaru.

Byli zabarykadowani w biurze szeryfa. On, Clive, Doc Martin, Cherie, Mary i Stephen. Z jakiegoś powodu dzieci zamknięto w celi. Kulily się tam wciśnięte w najdalszy róg pomieszczenia, zasłonięte przewróconą pryczą.

Zawarte okiennice jęczały pod naporem dziesiątek rąk. Drzwi, choć przystawione biurkiem, zaczynały się rozpadać, a przez wyrwane w nich dziury do środka sięgały sine ramiona odziane w łachmany. Zakończone brudnymi od ziemi pazurami łapska chciwie wyciągały się, na oślep szukając ofiar.

Kule przebijały drewno, dziurawiły ramiona potworów, a z ich ran wylewały się skrzepy czarnej krwi. Z rosnącym poczuciem grozy Morris zauważył, że ranieni napastnicy nie wydawali z siebie najmniejszego dźwięku, tylko z niepojętą siłą napierali niczym najprawdziwszy żywioł stworzony z mięsa, kości i czystej woli.

Cherie strzelała z winchestera z zapasów szeryfa Lumleya. Clive uzbroił się w strzelbę. Mieli obok siebie otwarte pudełka z amunicją, do których sięgali co chwila, by ładować broń.

Uzbrojony w nóż Doc Martin wcisnął Morrisowi do rąk karabin i wskazał okno. Szturmujący wyrwali właśnie okiennice. Za szybami pojawiły się brudne, bezduszne monstra, w których dało się rozpoznać członków gangu Wilsona. Ich sine oblicza, oczy pozbawione wyrazu i całkowita cisza budziły szalone myśli. Nie było w nich życia.

Morris otrząsnął się ze stuporu. Ucisk w brzuchu skręcał mu trzewia, jakby ktoś imadłem próbował wypchnąć na zewnątrz treść żołądka. Nie chodziło jednak o makabryczny widok, a o pochodzące z niewiadomego źródła zrozumienie tego, co widzi. Z jakiegoś powodu bowiem wiedza powoli krystalizowała się w jego głowie.

– Strzelajcie im między oczy! – niespodziewanie krzyknął Martin, choć Morris już wiedział, że to jedyne, co może podziałać na stwory.

Ani Cherie, ani Clive nie tracili czasu na dziwienie się tej informacji. Od tej pory posyłali kule w każdą głowę, która pojawiła się w ich polu widzenia. Choć przeciwnicy w końcu zaczęli padać, ich kamraci nie zwracali na to najmniejszej uwagi. Napór zelżał stopniowo, aż ostatni z trupów osunął się na ziemię. Tylko z ulicy dochodziły opętańcze wrzaski przerażonych mieszkańców.

– Co to jest, do jasnej cholery? – wymamrotała Cherie, próbując opanować drżenie dłoni, kiedy ładowała winchestera.

– On ożywił ich... – Morris próbował zebrać myśli. – To znaczy Wilson. Kiedy przyszedł na cmentarz, musiał ich wyczuć. Bo oni nadal byli przez niego naznaczeni. Mieli te cholerne monety. Musiał coś zrobić, wpompować w nich Potencjał i podnieść ich z grobów!

– Skąd ty to wiesz? Skąd Martin wiedział, żeby strzelać im w głowy?!

– Teraz to nie ma znaczenia – warknął Clive. – Sam widziałem, jak Wilson dorwał na cmentarzu kilku żałobników. Musiał wyssać z nich moc i użyć jej do animacji trupów.

– To w ogóle możliwe? – jęknął żałośnie Morris. W głowie mu się płątało. Napierające szaleństwo odbierało mu oddech. Spojrzał na Martina, który nadal stał

przed celą, blady i przerażony. Tyle że wyraz cierpienia na jego twarzy nie współgrał z sytuacją. Podskórnie dało się wyczuć, że męczyła go mierzy się z jakimiś bolesnymi wspomnieniami.

– Najwyraźniej – burknął Clive.

– Nie słyszę w tobie zbyt dużego przekonania.

– Bo go nie mam! – Ryknął gniewnie rewolwerowiec. – Myślisz, że kiedykolwiek spotkałem się z czymś takim? Na tym pieprzonym cmentarzu wypaliłem mu prosto w łeb. Puścił cię i upadł na ziemię. Myśleliśmy, że już po wszystkim, a on wstał i złapał najbliższego człowieka. Ta sztuczka na niego akurat nie podziałała. Musieliśmy więc uchronić.

Morris podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, gdzie rozgrywał się najprawdopodobniej koszmar rodem z biblijnej apokalipsy. Umarli napierali na zabarykadowane domostwa, w których kryli się ogarnięci paniką mieszkańcy miasta. Gdzieś tam sporadycznie odezwał się huk wystrzału, lecz wszelkie próby powstrzymania ataku spełzały na niczym.

– Nie mają się czym bronić – jęknął chłopak. – Pojedyncze sztuki amunicji i śrut. Tylko tyle im zostało.

Na ulicy leżały też ciała ludzi, którym nie udało się uciec. Rozzerwane na strzępy i rozwleczone niczym przez stado wściekłych kojotów. Oderwane kończyny, głowy wykręcone pod dziwnymi kątami, z zastygniętymi na twarzach maskami grozy. Co poniektórzy nieszczęśnicy jeszcze żyli. Wyli z bólu, jęczeli lub wymiotowali własnymi trzewiami w groteskowych próbach trzymania się ostatnich iskerek życia.

– Jeszcze trochę i tutaj też będzie miasto duchów – rzucił kwaśno Morris. – Może to samo stało się w Crucible?

– Nie sądzę – Clive odpowiedział już nieco spokojniej. Również wyglądał przez okno. – Na Haiti mieszkają kapłani nazywani *houngan*. Podobno potrafią przyzwać umarłych na pomoc. Pierwsze plemiona z północy zaś wierzą w legendę o *Wendigo*, który jest nieumarłym przeklętnikiem, polującym na ludzi i żywiącym się ich organami. Praktycznie w każdej kulturze można znaleźć podobne podania. Jakby się nad tym zastanowić, to historie o Jezusie...

– Czyli jednak coś o nich wiesz – dość brutalnie Morris przerwał wykład, zanim jego towarzysz zdążył się rozkręcić.

– Coś. Nie wiem, na ile może nam to pomóc. Na Haiti takich powróceńców nazywa się *zombie*. Istnieją rytuały pogrzebowe zapobiegające powstawaniu ich z grobu. Przybijanie kołkiem do ziemi, ćwiartowanie ciała, czuwanie. *Wendigo*

podobno boi się ognia – zerknął na wciąż milczącego Martina. – Nie wiem jednak nic o strzelaniu im między oczy, choć to dość uniwersalny sposób na położenie przeciwnika.

– Ważne, że działa – chłopak uśmiechnął się blado.

Zamiast się na nim skupiać, zerknął w kierunku celi. Tam znajdowała się przerażona Mary. Wyglądała, jakby była na skraju swoich możliwości. Tuliła brata, próbując znaleźć odrobinę odwagi i ukojenia w żarliwej modlitwie.

– Wspaniale z was więdźmy – prychnęła Cherie. – Jeden stary i głupi, drugi naiwny i nieopierzony. A jedyną przydatną rzecz powiedział kowal!

Spojrzeli na nią, jakby smagnęła ich batem. Ona zaś przewróciła oczyma.

– Wiemy już, że trzeba palnąć im w łeb, tak?

Morris nerwowo potaknął. W odpowiedzi Cherie uśmiechnęła się dziko i przeładowała winchestera.

– To może idźmy tam i wyślijmy ich z powrotem do piekła?

Wybiegli na ulicę, przeskakując przez stos trupów zalegających pod drzwiami biura szeryfa. Zostawili za sobą Doca Martina strzegącego sierot Rice'ów. Kiedy tylko znaleźli się na zewnątrz, pozostałe *zombie* momentalnie odstąpiły od oblegania okolicznych domostw i ruszyły posuwistym krokiem w ich stronę. Nawet wciąż nie zdjęci ze sznurów wisielcy zaczęli mocniej wierzgać w groteskowych próbach zerwania się z lin.

Pierwsza zaczęła strzelać Cherie. Precyzyjnie celowała, dając sobie czas na mierzenie prosto w głowę. W następnej sekundzie dołączyli do niej Clive i Morris. Nie wszystkie kule dochodziły celów, lecz i tak trupy padały gęsto. Już wkrótce z dwóch dziesiątek ożywionych członków gangu została mniej niż połowa.

– Jak za dawnych czasów! – z ekscytacją w głosie Cherie krzyknęła do Clive'a. – Ależ byś się zdziwił, jakbym teraz pieprznięła ci w łeb.

– Nie gadaj tyle – Clive uśmiechnął się półgębkiem. – Zaganiają nas!

Morris odrzucił pusty już karabin, którym i tak niewiele zdziałał. Sięgnął po rewolwer. Istotnie, trupy otoczyły ich półkolem i zmusiły do cofania się. Cherie przerwała strzelanie, żeby po raz kolejny załadować winchestera. Clive odrzucił strzelbę i również wyciągnął colty.

Nagle zdali sobie sprawę, że *zombie* nie ubywa. Morris z przerażeniem odkrył, że do martwych członków gangu dołączają mieszkańcy miasta. Ich ciała nie nosiły śladów kaźni, lecz poruszały się dokładnie tak samo, jak te podniesione przez Wilsona.

– Clive! – zawołał trwożnie.



– Widzę!

Chłopak uniósł ciężki rewolwer, wycelował i w końcu powalił któregoś przeciwnika. Ponownie odciągnął kurek, wymierzył. W tym właśnie momencie jego głowę przeszył ten sam pisk, który towarzyszył mu, kiedy odzyskał przytomność. Ze zgrozą odkrył, że czuje przytłaczającą obecność Wilsona.

Opuścił broń, przyciskając ręce do skroni. Nogi się pod nim ugięły i zwałił się na ziemię. Dostrzegł, że Cherie przestępuje nad nim, żeby go osłaniać. Krzyczała coś gniewnie, lecz on nie słyszał. Dyszał ciężko i próbował skupić zamglony wzrok. Kilkadziesiąt metrów za nimi na samym środku ulicy stał Wilson.

Martwy pułkownik pochwycił grabarza za szyję i podniósł go nad ziemię przy użyciu tylko jednej ręki. Jego ofiara wiła się i wierzgała, aż życie opuściło jej ciało. Wilson wykrzyczał wtedy słowa zaklęcia, a Morris poczuł i niemal zobaczył przepływ Potencjału wyssanego z umierającego człowieka, a potem oddanego mu w chwilę po jego śmierci.

Wypuszczony grabarz upadł na ziemię niczym szmaciana lalka, po czym wstał, poruszając się o wiele bardziej sztywnymi ruchami niż za życia.

Chciwy wzrok Wilsona spoczął na Morrisie.

– Tyyy – chłopak bardziej poczuł słowa niż je usłyszał. – Oddaj to, co moje.

Wysiłkiem woli Morris uniósł broń i strzelił do pułkownika. Raz za razem pociski trafiały w sylwetkę, lecz nie mogły nic przeciw niemu wskórać.

Coś szarpnęło Morrisem. Znajome wrażenie wysysania, brutalnego obdzierania go z wewnętrznej siły, czasu i przeznaczenia.

– Clive... – jęknął.

Bez przerywania kradzieży Potencjału Wilson sięgnął po broń i sam strzelił. Kula śmignęła w powietrzu. Chybiła.

Zaalarmowany Clive odwrócił się, żeby zobaczyć pułkownika oddającego kolejny strzał. W ostatniej chwili wykrzyczał zaklęcie, a jego rewolwery załśniły.

Morris widział ogień wypluty z lufy trzydziestki ósemki Wilsona. Zdawało mu się, że dostrzega kulę mknącą w jego stronę, a kiedy ta nagle zwolniła, widział ją już doskonale. Zbliżała się nieubłaganie, lecz o wiele wolniej, niż można by się spodziewać.

Powinien uskoczyć, powinien się uchylić, lecz nie miał na to siły. Zamiast tego w czysto ludzkim odruchu zasłonił się rękoma i zacisnął kurczowo powieki. Usłyszał tylko wizg pocisku tuż obok, po czym jego uszu dobiegł bolesny jęk kobiety.

Cherie upadła na ziemię, a Clive zakrzyknął w furii. Podniósł oba rewolwery, aktywując wszystkie kule, które miał załadowane w bębnach. Eksplozja Potencjału niemal oślepiła Morrisa. Zobaczył nagle, jak wszystko dookoła zwalnia, jak upadająca Cherie porusza się powoli niczym liść opadający z drzewa, jak *zombie* niemal zatrzymują się w bezruchu.

Tymczasem Clive odwrócił się do Wilsona. Uniósł oba rewolwery i jeden po drugim zaczął naciskać spusty. Dziesięć kul pomknęło niemal jednocześnie w stronę pułkownika. Przez ułamek sekundy leciały tak, że było je wyraźnie widać, po czym przyspieszyły, pędząc wprost do celu, by rozrywać go na strzępy.

Ucisk na skronie zelżał, a uczucie pochłaniania znowu przygasło. Zupełnie jak na cmentarzu do Morrisa powróciła fala skradzionego Potencjału, tak silna, że znów wyrwała z Wilsona część jego własnej mocy. Wysiłkiem woli chłopak sięgnął do niej i do widmowej wiedzy, jaka wraz z nią nadchodziła. Wykrzyczał słowa, których sam nie rozumiał, a którymi jeszcze przed chwilą posługiwał się Wilson. Szarpnął.

Zalała go fala gorąca. Nierzeczywistego, niefizycznego, a jednak wyraźnie odczuwalnego. Płonął od środka, płonęła jego dusza. Nie przestawał, tylko zabierał coraz więcej energii Wilsona. Chwycił się jej i z całą mocą wyrwał z pułkownika ostatnie isierki siły, która go ożywiła. Była tam skradziona cząstka Morrisa, cząstka Wilsona i coś jeszcze, coś, co należało do Clive'a.

Nastała cisza. Nic już nie huczało. Nikt nie krzyczał. Tylko bolesne jęki kobiety dawały znać, że jeszcze żyje.

Morris odwrócił się do Cherie. Rękoma powstrzymywała krew lejącą się z jej brzucha.

– Cholera – uśmiechnęła się blado. – Widzisz, każdy, kto z nim pracuje... każdy w końcu oberwie...

W następnej chwili nastąpiła ciemność.

\* \* \*

Ciało Wilsona leżało na środku ulicy. Odstrzelona ręka wisiała tylko na strzępie ubrania, głowa przypominała rozbitą skorupkę jajka. Clive stał nad zwłokami, do których od przeszło dwóch dni nikt nie śmiał się zbliżyć. Ludzie złorzeczyli, pluli z daleka i czynili znak krzyża, lecz nie podchodzili, bali się ich dotknąć. Trup pozostawał ostatnim śladem po masakrze, która miała tu miejsce.

Ci mieszkańcy Prosperity, którzy uszli z życiem, zdążyli pochować już swoich zmarłych. Na wszelki wypadek spalili ciała, niezależnie od tego, czy ofiary zostały

powrócone przez Wilsona, czy rozszarpane przez *zombie*. Podobnie uczyniono z samymi powróćcami. Zrzucano ich na wielki stos na kościelnym podwórzu i dbano, by wciąż płonął. Od dwóch dni nad miastem unosił się dławiący odór palonego ciała, włosów i ubrań, zupełnie jak w czasach zarazy.

Dochodziło południe. Słońce wisało wysoko na błękitnym nieboskłonie, o ile dało się go dostrzec poprzez kłęby dymu. Nad Prosperity kołowały stada ciekawskich sępów, lecz nawet one nie miały w sobie tyle śmiałości, by skubnąć zwłoki, które już raz powróciły do życia. Padlinożercy lądowali czasami na dachach, niby złośliwie spoglądając w dół ku przerażonym ludziom, traktującym ich obecność jako zły omen.

– Jak głowa? – zapytał Doc Martin.

– Już lepiej, dziękuję.

Kowal wydawał się wyraźnie zaniepokojony. W ostatnich dniach spędził sporo czasu w towarzystwie Clive'a i co najmniej dwa razy zwrócił uwagę na nagłe ataki migreny męczące rewolwerowca i towarzyszące temu krwawienie z nosa.

– Prosperity pustoszeje – zauważył kolejny wóz obładowany dobytkiem, który opuszczał miasto drogą na wschód.

Ludzie pakowali swój majątek i wyjeżdżali w pośpiechu, nie oglądając się za siebie. Pozostawiali po sobie budynki o drzwiach i oknach zabitych deskami, w złudnej nadziei, że nikt się do nich nie włamie, a oni sami być może jeszcze kiedyś tu wrócą. Oszukiwali samych siebie.

– Przynajmniej nikt nie będzie chciał cię posadzić na stołku szeryfa.

Clive kucnął przy Wilsonie. Szpicem noża odchylił poły marynarki trupa, odsunął koszulę z klatki piersiowej. Wbił nóż przez mostek, po czym docisnął, aż kości chrupnęły. Dopiero wtedy miał pewność, że zniszczył serce.

– Myślisz, że jeszcze wstanie?

Clive przetarł czoło wierzchem dłoni, popatrzył jeszcze chwilę na zwłoki. Przy całej swojej wiedzy nie znał odpowiedzi na to pytanie, lecz skrycie był tego bardzo ciekaw.

– Nie wiem, ale chciałbym mieć pewność, że zrobiliśmy wszystko, co się dało. Trzeba się tego pozbyć.

Odrąbali Wilsonowi kończyny i głowę, tak jak robili to mieszkańcy Haiti. Szczątki wrzucili na wózek i wywieźli za miasto, żeby tam spalić. W ostatnich dniach nadpalone szczątki kościoła idealnie sprawdziły się jako materiał zasilający stosy pogrzebowe.

Dorzucili zatem do płonącego już stosu kawałki belek, deski z ławek, a nawet coś, co wyglądało jak resztki osmalonego krzyża. Kiedy ogień buchał z największą siłą, cisnęli w jego huczące płomienie poćwiartowane ciało upiora.

Czas mijał powoli, lecz oni nawet nie myśleli, żeby odejść. Bacznie obserwowali resztki pochłanianie przez żywioł, w cierpliwym oczekiwaniu, by wszystko, co zostało po pułkowniku Wilsonie, przemieniło się w popiół.

– W niektórych kulturach zebrano by prochy i rozrzucano na rozstajach dróg, żeby zły duch nie mógł znaleźć drogi powrotnej i wyrzucić zemsty – stwierdził Clive.

Doc Martin wyduł usta i pokręcił głową. Przyznał w duchu, że to nie był taki głupi pomysł.

– Trzeba było tak zrobić za pierwszym razem.

Rewolwerowiec przemilczał ostatnią uwagę. Przed oczami miał moment, w którym strzelił Wilsonowi w brzuch i, jak teraz, zwyczajnie czekał. Patrzył, jak życie kropla po kropli opuszcza ciało pułkownika. Naznaczył go i sączył jego Potencjał przez niewidzialną więź.

– Cherie straciła sporo krwi – zmienił temat. – Jeżeli przeżyła do tej pory, to jest pewna szansa, że z tego wyjdzie. Martwię się jednak o Morrisa.

Głos Clive'a zdradzał napięcie. Od momentu starcia z Wilsonem i jego ostatecznego pokonania chłopak nie odzyskał przytomności poza chwilowymi przebłyskami. Przewracał się wtedy na wszystkie strony z oszalałymi oczyma, bełkotał w malignie jak szaleniec i toczył pianę z ust. Nie sposób było go uspokoić, dlatego Clive postanowił utrzymywać go w takim samym stanie, w jakim umieścił młodego Stephena zaraz po śmierci jego rodziców.

– Będziesz podejmował kolejną próbę wybudzenia go? – Kowal splunął na dopalający się stos Wilsona, profilaktycznie dorzucił jeszcze kilka desek, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył ku Prosperity.

– Nie. Po drugim razie uznałem, że to na nic. Jego umysł jest w strzępach, a duszę trawi szaleństwo, którym najwyraźniej zaraził go Wilson. To jakaś forma metafizycznej skazy.

Przed opuszczeniem cmentarza zatrzymali się na chwilę przy grobach państwa Rice'ów i Briana. Zeszłego wieczora przyszli tu, by je zasypać, w duchu ciesząc się, że pułkownik nie podniósł również tych nieboszczyków. Gdyby tak się stało, sieroty Rice'ów mogłyby postradać zmysły.

– Nie znam się na tej twojej magii – Doc Martin poprawił szablę wiszącą przy pasie. Od momentu ostatniej potyczki miał ją zawsze przy sobie. – Ale możliwe, że

znam kogoś, kto mógłby pomóc, choćby radą.

Clive wydał się wyraźnie zaintrygowany.

– To Indianin z plemienia Choctaw – wyjaśnił Kowal. – Szaman. Spotkałem go kilka razy podczas polowania na północ stąd, daleko między wzgórzami. Jest... specyficzny, ale również stary i bardzo mądry. Mówi czasem zagadkami, zupełnie jak ty. Pędzi za to znakomity biber.

– Co to znaczy, że jest specyficzny?

Doc Martin westchnął z niepewnym uśmiechem. Podrapał się po ramieniu i poprawił rękę na temblaku.

– No, on mieszka na cmentarzu. To znaczy wzgórze dookoła jego domu to jeden wielki cmentarz. Nie wiem, dlaczego nie żyje ze swoim plemieniem, ale jego ludzie przyjeżdżają do niego, przywożą swoich bliskich, by w jego towarzystwie dokonali żywota. Potem wspólnie chowają zmarłych w takich małych skrzynkach.

– Widziałeś kiedyś ich rytuał pogrzebowy?

– Tak – Kowal przełknął ślinę, jakby zrobiło mu się niedobrze. – Raz... i więcej już nie chcę.

Szli dalej przez na wpół wymarłe miasto. Nieliczni mieszkańcy przemykali po ulicach niczym duchy, jakby bali się, że wciąż coś może ich zaatakować. Po wejściu do budynków czym prędzej zatrzaskiwali drzwi i zastawiali je ciężkimi sprzętami.

Doc Martin od pewnego czasu mocował się z męczącą go myślą. Zaklął w końcu pod nosem i wyartykułował ją z niechęcią, jakby obawiając się prawdopodobnej odpowiedzi:

– Myślisz, że ten twój Campbell ma więcej takich ludzi jak Wilson? Takich, którzy, no, wiesz. Potrafią takie rzeczy, jak to, co tu widzieliśmy.

– Szczerze, to nie mam pojęcia – westchnął Clive. – Prosperity to największe miasto w okolicy. Skoro gang go strzegł, to nie można wykluczać istnienia innych posterunków na zachód czy północ od Crucible. No i pytanie, co dzieje się w samym miasteczku.

Martin zmrużył oczy i zacisnął mocno usta. Nabrał głęboko powietrza i wypuścił je wraz z podjętą decyzją.

– Trzeba coś z tym zrobić. Jedź z chłopakiem do Chaliisa. To trzy dni drogi stąd, prosto na północ, jak w mordę strzelił. Poznasz, jak będziesz na miejscu. Ja udam się do Fort Hopkins.

Clive przytaknął bez słowa. Nadal zastanawiał się, z jakiej przyczyny w okolicy nie znalazł posterunku Unii, lecz doskonale zdawał sobie sprawę, że tematem Campbella

już dawno powinny zająć się siły federalne. Jeżeli do Prosperity kiedykolwiek miał wrócić spokój, należało tu sprowadzić wojsko, ustanowić tymczasowy posterunek oraz wysłać patrol do Crucible, a najlepiej porządnie uzbrojony oddział.

– Zdaje się, że tak szybko nie wyruszę w dalszą drogę, ale może to i lepiej. Teraz musiałbym jechać sam, a praktycznie nie mam już amunicji.

– Spokojnie – Doc Martin poklepał go po ramieniu. – Poradzimy coś na to.

Popołudnie i wieczór spędzili w prowizorycznym warsztacie urządzonym w salonie Martina. Clive pomógł wygrzebać wszelkie potrzebne narzędzia ze spalonej kuźni. Posłali również Stephena, by wyniósł ze sklepu siarkę i saetrę. Węgla drzewnego mieli aż nadto. Siedzieli teraz, odmierzając proporcje i mieszając proch.

– Nie ma sensu przerabiać amunicji – stwierdził Martin, zdrową ręką ugniatając mieszankę w móżdżerzu. – Sam widziałeś, że w pewnych momentach standardowe pociski są zbyt silne.

– Zgadza się – odparł Clive. – Twój pomysł z naznaczeniem kul jest świetny, ale część z nich przebijała cele.

– Dlatego rekomenduję dwa rodzaje amunicji. Pierwszy będzie zawierał słabszą mieszankę prochu i będzie zrobiony z nieco bardziej miękkiego materiału, z którego odlejemy kule. W ten sposób będzie też łatwiej je naznaczyć twoim znakiem, a gdybyś chciał go zmodyfikować lub wymyślisz coś pokręconego, będziesz miał nieco większe pole manewru. Nie będą rykoszetowały i na pewno zostaną w ciele. Niektóre mogą się rozpaść, ale większość pozwoli na szybki transfer mocy.

– A drugi rodzaj?

– Drugi – Doc Martin położył na stole nabój zakończony stożkowatym, spiłowanym rdzeniem z nieco jaśniejszego metalu. – Drugi rodzaj wymaga naznaczenia na łuskach, a nie na rdzeniu. Te naboje są cięższe i mocniejsze. Pracowałem kiedyś nad nimi, myślę, że pora, by na coś się wreszcie przydały. To prawdziwe narzędzie zniszczenia, które będziesz mógł wykorzystać wedle woli. Zrób tak, by łądowały się od razu dzięki pierwszemu rodzajowi amunicji. Wystrzelisz lub zużyjesz je, jak tam będziesz sobie chciał. Musisz tylko wymyślić, jak chcesz łądować gnaty. Bębny wypełnione do połowy przekłętymi pociskami, a do połowy zakłętymi? A może do każdego osobno?

Clive pokiwał głową z uznaniem.

– Przekłete i zakłete naboje, powiadasz? – zaśmiał się serdecznie. Wstał, podszedł do szafki, by sięgnąć po butelkę whiskey. – A mówiłeś, że nie znasz się na magii.

– Odłóż to – Doc Martin spowaźniał. – Nigdy nie robię po alkoholu. Ty też nie pij, bo masz więcej sprawnych rąk niż ja. Lepiej zrób kawy. To będzie długa noc.

Około północy Clive postanowił nieco rozprostować gnaty. Wstał od stołu i z kubkiem kawy przeszedł do sypialni Martina, gdzie ułożyli ranną Cherie. Kobieta leżała przykryta zgrzebnym pledem należącym do kowala. Jej włosy spływały kaskadami z poduszki, a blade oblicze ściągnięte było niczym u nieboszczki.

– Przepraszam, Cherie – szepnął Clive. – Przepraszam za wszystko. Za to, że znaleźliście mnie w tym lesie. Za to, że wykorzystałem waszą dobroć. Za to, że pościg za Campbellem był dla mnie ważniejszy niż życie twojego męża. Przepraszam, że nie odprawiłem cię, kiedy do mnie przysłaś. Naprawdę przepraszam...

Cherie poruszyła się nieznacznie. Spróbowała przełknąć ślinę, lecz wyschnięte gardło nie pozwoliło jej na to.

– Ty skończony... skurwielu... – wychrypiała.

– Mówię szczerze – uśmiechnął się smutno.

– Możliwe. Tyle że ja nie o tym. Jest środek nocy, a ty przychodzisz do mnie z kawą... Od samego zapachu się obudziłam.

– Chcesz trochę?

Kobieta prychnęła pogardliwie i natychmiast skrzywiła się z bólu.

– Tej lury, którą parzy Martin? Nie wiem, co on tam sypie, ale to nawet obok kawy nie stało... już lepiej mnie dobij, a nie będziesz mnie tym truć.

Clive odstawił kubek na szafkę nocną. Nalał z dzbanka wody i pomógł Cherie zwilżyć usta. Kiedy poprosiła o więcej, przechylił jej głowę i pozwolił wziąć kilka łyków.

– Jak się czuje... Morris? – zapytała, walcząc z opadającymi powiekami.

– Nic mu nie jest.

– Wiem, że kłamiesz – skrzywiła się. – Za dobrze cię znam...

Istotnie, ze wszystkich ludzi na świecie jej nie potrafił oszukać.

– Źle z nim, Cherie. Nie wiem, jak mu pomóc, ale Doc Martin wskazał mi kogoś, kto może wiedzieć.

Niemal niezauważalnie Cherie pokiwała głową.

– Pomóż mu. To dobry dzieciak... Ma dobre serce... W odróżnieniu od ciebie.

– Spróbuję – powiedział, po czym wstał i skierował się do wyjścia. – A ty odpoczywaj. Mary się tobą zajmie, jak nas nie będzie.

– Clive – Cherie zatrzymała go, zanim opuścił pokój.

– Tak?

– Ja... przeżyję...

– Wiem – odparł, uśmiechając się do niej ciepło.

– To dobrze... muszę przeżyć... żeby cię zabić... za to, co zrobiłeś...

Spuścił wzrok i zamknął za sobą drzwi. Wiedział, że miała rację.

Z samego rana wyprowadzili konie ze stajni. Doc Martin dosiadał swojej klaczy. Zdjął rękę z temblaka i choć nadal mocno doskwierał mu ból, robił, co mógł, żeby mimo to jakoś sobie radzić. Clive zaś jechał bryczką, do której zaprzął konia przyobiecanego Morrisowi. Pakę wyścielali kocami, na których ułożyli nieprzytomnego chłopaka. Niezbyt zadowolony ze swojej roli wierzchowiec Clive'a został przytroczony do bryczki, by móc iść swobodnie.

Odprawdzali ich Mary razem ze Stephenem.

– Kiedy wrócidie? – zapytała z troską.

– Pięć dni – odparł Clive. – Może tydzień. Trudno powiedzieć.

– Mogę jechać z panem? – Stephen zwrócił się do Martina. – Pomogę, a jeszcze nigdy nie widziałem ani żołnierzy, ani fortu.

– Zostań, bo jesteś potrzebny siostrze – kowal pochylił się w siodle i zmierzwił mu czuprynę. – Wkrótce wrócidimy, a jak dobry Bóg da, to z posiłkami.

Ruszyli w swoje strony. Doc Martin na wschód, Clive Phillips na północ. Przynajmniej na jakiś czas zostawili za sobą poranione i wciąż krwawiące Prosperity...





## ROZDZIAŁ 8

### SZAMAN

*Spoglądałem w oczy bestii, co wciąż przybierała kształty umykające percepcji. Ludzki język nie jest na tyle giętki, by dostatecznie obrazowo opisać skalę makabry tego, co ujrzałem. Ohyda tej istoty wywoływała zarówno fascynację, jak i skrajne przerażenie. Jej przelewająca się masa pozostaje w ciągłej zmianie, wyobrazając kształty, które zdawała się wyciągać wprost z mojej głowy. A może były to koszmary, które napotkała w innych, dziwnych światach, a teraz tylko przywoływała je przed moje oczy, aby zabawić się krzykami szaleństwa, jakie wydostawały się z porażonego odrazą gardła?*

*Raz stanowiła moje lustrzane odbicie, by po chwili przybrać postać wilka, niedźwiedzia, orła, ośmiornicy. Przywdziewała szatę strachu, cierpienia lub ekstazy, a niekiedy wszystkie naraz. A gdy stawała się głodem, na całej powierzchni jej czarnej skóry wyrastały chciwe paszcze najeżone tysiącami ostrych jak szpilki, wystających we wszystkie strony zębów. Teraz wiem, że to był mój koszmar. To był mój demon, którego sprowadziłem na ten świat poprzez wrota mej duszy. Pozostał ze mną już na zawsze.*

Clive K. Phillips, *Rzecz, której nie powinno być*

Ostryimi niczym igły promieniami słońce kłuło oczy, paliło odsłoniętą skórę z mocą rozgrzanego żelaza. Towarzyszyło w każdej chwili podróży na północ poprzez krainę

usianą na tyle niskimi pagórkami, że na próżno było w niej szukać nawet odrobiny cienia.

Clive cenił samotne chwile w podróży, kiedy mógł pobyc tylko ze swoimi myślami. Przyzwyczał się do nich, lubował się w nich, ponieważ wiedział, czym jest zgiełk największych miast i wcale do niego nie tęsknił. Tym razem wiozł rudowłosego podrostka, który zadał decydujący cios nieumarłemu potworowi. Cisza. Była to ciekawa odmiana po dniach spędzonych w jego towarzystwie, przepełnionych zwykle nieprzerwaną paplaniną.

Podczas popasów Clive najpierw zajmował się końmi, potem jadł, by w końcu podejmować próby napojenia Morrisa lub podania mu czegoś do jedzenia. Kończyło się na skraplaniu warg wodą i ratowaniu chłopaka przed zadławieniem.

Tylko raz Clive pokusił się o wybudzenie Morrisa, lecz – tak jak poprzednio – szybko tego pożałował. Echo opętańczego bełkotu, wypluwanego w nieznanym ludzkości językach, towarzyszyło mu już przez resztę podróży.

Otwieranie notatnika i próby zapisywania myśli również kończyły się niepowodzeniem. Clive za żadne skarby nie mógł się skupić. Męczący ból głowy i chwilowa słabość ustępowały w tym wypadku potokom natrętnych myśli związanych z ostatnimi wydarzeniami, o powstałych z grobu *zombie*, Wilsonie i ostatecznie pytaniu, co właściwie mu się stało, a raczej – jak dokładnie do tego doszło.

Wieczorami siedział przy ognisku, wpatrując się w hipnotyzujący taniec płomieni. Pogryzał się w stanie, który, z braku lepszego określenia, nazywał medytacją, lecz tak naprawdę próbował już nie myśleć i tylko pilnować, aby ogień nie przygasł. Kiedy zaś podnosił wzrok, tuż poza skrajem łuny dostrzegał błyskające w ciemności ślepie kojotów, wyczekujących chwili nieuwagi człowieka.

Brak zakłętej amunicji mu ciążył. Miał świadomość, że jest niemal bezsilny wobec wszelkiego zagrożenia. Zupełnie jakby śmiercionośna technologia nie wystarczyła do obrony. A przecież w razie zagrożenia należało wystrzelić, narobić hałasu, by spłoszyć zwierzęta lub zwyczajnie pomachać rozpaloną żagwią.

Drugiego wieczora Clive przysnął na siedząco. Obudziły go przeraźliwe piski i skowyt. Zerwał się na równe nogi i sięgnął po broń. Próbował uspokoić oddech i galopujące serce. Tuż obok dostrzegł tłące się pozostałości ogniska. Całe szczęście wiszący wysoko księżyc dostatecznie dobrze oświetlał prerię.

Podbiegł do wozu, żeby sprawdzić, czy Morris jest cały. Chłopak leżał przykryty pledami, ciągle w tej samej pozycji. Wyprzęgnięta klaczka stąpała niepewnie,

potrząsała łbem i strzygła uszami. Nigdzie nie było widać drugiego konia. Powróż, na którym szedł, został zerwany.

Clive odszedł kilka kroków i rozejrzał się po okolicy. Spomiędzy odległych krzaków usłyszał ciche kwilenie. Zbliżywszy się, ujrzał liczne truchła. Ciała kojotów, zmiżdżone, wywrócone trzewiami na wierzch, cuchnące krwią i flakami. Ostatni z nich właśnie dogorywał w męczarniach.

Rewolwerowiec zaklął pod nosem i schował broń, a kiedy odwrócił się na pięcie, serce o mało co mu nie wyskoczyło z piersi. Tuż za nim, niczym najczarniejsza plama na tle nocnego nieba, stał jego rumak. Cichy i spokojny. Pokornie pozwolił odprowadzić się do obozowiska.

– Aż trudno uwierzyć, że mówię do siebie – mruknął Clive. – Choć łatwiej pomyśleć, że rozmawiam z tobą. Taka jednostronna konwersacja z kimś, kto nie raczy odpowiadać. Do jasnej cholery, chyba za bardzo przyzwyczyłeś mnie do swojego gadania. W drodze ciągle paplałeś, że jesteś głodny, zmęczony. Teraz popatrz, nie możesz jeść i ciągle leżysz. Jak się obudzisz, to ugotujemy ci taki posiłek, że porzygasz się z przejedzenia.

Morris pozostawał głuchy na słowa Clive'a. Idący na końcu rumak potrząsnął grzywą i prychnął z dezaprobatą, jakby drwił ze słów rewolwerowca.

– Za długo to trwa – Clive potarł szczecinę na brodzie. Zaczepił lejce na kołku i zdjął ciemne okulary, żeby delikatnie przetrzeć je z kurzu. – Miało być dwa dni na północ, a jedziemy już trzeci dzień i jestem niemal pewny, że kierunki mi się nie pomyliły.

Jechał jednak dalej, wbrew rozsądkowi, lecz pełen nadziei.

Pierwsze znaki, że docierają na miejsce, pojawiły się pod wieczór tego samego dnia. Już od jakiegoś czasu w dali majaczyły wzgórza, a na nich jakieś nierozpoznawalne kształty. Im znajdowali się bliżej, tym punkty te nabierały formy małych wieżyczek. Rozsiano je po okolicy niczym zagajnik. Mijając pierwsze ze wzgórz, Clive rozpoznał w nich coś na kształt mierzącego siedem, może dziesięć stóp wysokości rusztowania wzniesionego z drewna. Na szczycie każdego znajdował się podest, z którego zwisały kolorowe pledy. Szukał w pamięci informacji o tym, na co patrzy. Wtedy dotarło do niego znaczenie miejsca, w którym się znalazł. Cmentarzysko.

Słońce już zachodziło, kiedy wjechał pod górkę przed niewielką chatką. Przez zamknięte okiennice i szparę pod drzwiami widać było tańczące cienie rzucane przez ogień palący się wewnątrz. W obejściu znalazł studnię, małą zagrodę dla kóz

i skromny warzywniak. Niedaleko stała też szopa, z której wystawał komin przydomowej destylarni.

Clive zeskoczył z kozła i podszedł do drzwi. Zapukał, a kiedy nikt mu nie odpowiedział, zrobił to jeszcze raz.

– Dobry wieczór. Nazywam się Clive Phillips i szukam Chaliisa. Podobno może mi pomóc. Przysłała mnie Doc Martin z Prosperity.

Coś szurnęło w środku, ktoś kaszlnął, lecz się nie odezwał. Clive zaczął się zastanawiać, czy szaman w ogóle zna angielski, lecz przecież Martin nie wspomniał nic o problemach z porozumieniem, z wyjątkiem manieri mówienia zagadkami.

– Naprawdę potrzebuję pomocy. Mam tu rannego.

– Nie znam żadnego Doca Martina! Idź sobie! – z chatynki odezwał się głos mówiący nader poprawną angielszczyzną.

– Ale on mówił, że tu mieszka Chaliis, który dzielił się z nim swoją mądrością. Myślę, że trudno pomylić to miejsce z jakimkolwiek innym.

Osoba wewnątrz chrząknęła w niezadowoleniu.

– Wróć rano.

– Zimno się robi – zaprotestował Clive. – Od trzech dni jesteśmy w drodze i...

– Wróć rano!

Rewolwerowiec zacisnął wargi, żeby nie powiedzieć nic, co mogłoby mu zaszkodzić. Wrócił do wozu i, mamrocząc przekleństwa, zajął się wyprzęganiem koni.

Przygotował małe obozowisko w pobliżu chaty. Nie trzymał się pytaniem, czy może skorzystać ze zgromadzonego drewna, żeby rozpałcić ognisko. Nabrał też wody ze studni.

Noc przyszła szybko, a wraz z nią zadziwiający jak na tę porę spadek temperatury. Clive musiał siedzieć blisko ognia. Pomyślał, że przynajmniej Morris nie zmarznie pod tymi wszystkimi pledami.

Nieco uspokojony, że dotarł do celu, wyjął notatnik i z poczuciem klęski przeczytał swoje ostatnie zapiski. Pokreślił te, które nie miały zbyt wiele sensu. Miał ochotę wyrwać kartki i wrzucić je do ognia, żeby mieć z nich jakikolwiek pożytek. Bił się jakiś czas z myślami. W końcu napisał jedno zdanie, a potem następne. Już wkrótce słowa wylewały się z niego niczym wartki strumień, a on zapomniał się w tej czynności i tylko okazjonalnie podrzucał drwa do ognia.

Przez cały czas zdawało mu się, że ze wzgórz płyną do niego ciche zawodzenia przypominające płacz żałobników. Podświadomie rozumiał zawarte w nich smutek i poczucie osamotnienia. Czyżby rodziny przychodziły tu w nocy na modły? Dziwna

to była myśl, biorąc pod uwagę, że nigdzie w pobliżu nie zauważył innych zabudowań.

W pewnym momencie usłyszał dobiegający z chatki dźwięk tłuczonego szkła oraz gniewny bełkot przerywany atakami czkawki:

– Żesz jasna cholera... Pieprzone szkło... z rąk samo wypada...

Pokręcił głową zażenowany. Trafił mu się szaman bimbrownik i do tego alkoholik, koneser własnych trunków.

Pierwsze promienie słońca przegoniły nocne chłody. Wraz z nimi nieco zaspany jeszcze Clive miał możliwość baczniej rozejrzeć się po okolicy. Dziwne rusztowania były widoczne jak okiem sięgnąć.

Głodne kozy domagały się jedzenia, becząc niemiłosiernie, lecz rezydent chatki nie myślał nawet o wyściubieniu nosa na zewnątrz.

– Hej! Jest już rano! – niewyspany i zziębnięty Clive załomotał do drzwi. – Wyłaż, bo musimy porozmawiać. A te twoje kozy doprowadzą mnie zaraz do szału! Kawy bym się napił.

– Idź sobie! – z chatki odezwał się ten sam głos, zdradzający tym razem oznaki zaspiania. – Wróć jutro... albo wcale.

Rewolwerowiec zacisnął pięści.

– Przekłety durniu! – zawył wściekle. – Wyłaż stamtąd albo sam cię wyciągnę!

– Idź precz!

Clive nie wytrzymał. Cofnął się o krok i kopniakiem wyważył liche drzwi. Wparował do chaty cuchnącej potem i rozlanym alkoholem. Na zbitym z desek sienniku znalazł drobną postać okutaną w gruby pled.

– Wynocha! – burknął gospodarz i zamachał ręką, jakby odganiał muchę.

Clive stanął nad nim, zerwał zeń okrycie i złapał za poły ubrania.

– Posłuchaj mnie, Chalii... – głos ugrzązł mu w gardle.

Nie chodziło o smród bimbrowy wydobywający się z ust tego człowieka. Chodziło głównie o to, że nie wyglądał on ani na starego, ani na mądrego, a już najmniej na szamana. Istotnie był rdzennym Amerykaninem, miał długie, czarne włosy i ciemną skórę poznaczoną tatuażami, tyle że na oko mógł liczyć niecałe trzydzieści lat. – Kim ty, do cholery, jesteś?

– Jak to kim? – wybełkotał Choctaw. – Jestem Larry... Larry Red.

Clive puścił go i odsunął się, niemal wpadając na sklecony z desek stół stojący nieopodal paleniska. Jego twarz zamieniła się w maskę konsternacji.

– A gdzie jest Chalii?

Larry Red wygramolił się ze swojej chatki i przeciągnął w słońcu. Podeszedł do studni, ciężkimi od zaspania ruchami nabrał wody, po czym wsadził głowę do wiadra. Przytrzymał chwilę, a gdy ją wyciągnął, krzyczał z zimna i radości. Rozchlapał przy tym wodę dookoła, mocząc i tak poirytowanego już Clive'a.

– Skończyłeś? – burknął rewolwerowiec. W myślach rozważał, czy aby nie podtopić gospodarza w tym cholernym wiadrze. – Chcę się spotkać z Chaliisem.

– Zaraz... – Larry wyciągnął palec, po czym nieco niepewnym krokiem odszedł od studni. Bezceremonialnie spuścił spodnie, w pełnej krasie prezentując pośladki, i zaczął sikać w takt jedynie sobie znanego mruczando. – Ooo tak. Tak lepiej.

Wtedy zauważył, że część z zebranych i skrzętnie obrobionych kłód została użyta przez Clive'a do rozpalenia ogniska.

– Czyś ty oczadział! – Oburzył się, po czym skulił i ściszył głos, czując ból w skroniach. – Oszalałeś? – dodał już ciszej. – Czy ty wiesz, jak trudno w okolicy znaleźć drzewa? Myślisz, że z czego buduję te rusztowania?

– A czym palisz pod bimbrownikiem? – Clive odbił piłeczkę.

Larry zmieszał się i naciągnął spodnie.

– Ścinkami – stwierdził bez przekonania.

Dopiero w pełnym słońcu Clive zauważył, jak długie paznokcie miał Larry. U obu dłoni kciuk, palec wskazujący i środkowy wyposażone były w długie na kilka cali, grube i potwornie brudne pazury.

– Słuchaj no, Larry – potarł bolące skronie. – Mówiłem już, że szukam Chaliisa. Naprawdę muszę się z nim spotkać.

Indianin sapnął z rezygnacją i machnął ręką na rewolwerowca.

– No dobrze. Chodź, zaprowadzę cię do niego.

Przeszli grzbietem wzgórza, ścieżką prowadzącą do najwyższego wzniesienia. Po drodze mijali rusztowania, u stóp których dało się zauważyć ułożone przedmioty. Były tam miski, łuki, strzały. Gdzieniegdzie stały dzbany, wisały zdobione skóry lub kolorowe elementy odświętnej odzieży.

Po chwili marszu podeszli do najwyższego rusztowania, które trzykrotnie przewyższało wysokością dorosłego człowieka.

– Chaliis jest na górze – Larry wskazał pazurem.

– A nie może do nas zejść?

– No, nie bardzo – Choctaw wzruszył ramionami.

Wiedziony złym przeczuciem Clive zdjął płaszcz. Złorzecząc, zaczął wdrapywać się po drewnianej konstrukcji. Szło mu to całkiem sprawnie, ponieważ mocno

osadzono ją w ziemi, a jej wykonanie okazało się nadzwyczaj solidne. Tylko raz noga mu się obsunęła.

Na górze potwierdziły się jego przypuszczenia. Znalazł tam zwłoki starego i pomarszczonego mężczyzny o orlim nosie, długich aż do pasa włosach i pazurach jeszcze dłuższych niż u Larry'ego. Ciało wyglądało, jakby leżało tam już jakiś czas, schnąc i rozkładając się na słońcu.

– Hej, Larry, przecież on jest martwy!

Z dołu dobiegło szydercze prychnięcie:

– Jesteś bardzo spostrzegawczy, Klein.

– Mam na imię Clive – rewolwerowiec wychynął zza krawędzi, wzrokiem ciskając pioruny w kierunku rozbrajająco poważnego Indianina. – Czemu mi nie powiedziałaś, że Chaliis nie żyje? Mało co sobie karku nie skręciłem, włącz tu na górę!

– Bo nie pytałeś – Larry wzruszył ramionami. – Mówiłeś tylko, że chcesz się z nim spotkać. No to masz ostatnią okazję.

Clive zlął na dół mocno niepokieszony. Zgarnął płaszcz i, nie patrząc nawet na Larry'ego, ruszył ścieżką w dół.

– Tyle zachodu na nic – mruzczał do siebie. – Niech cię szlag, Martin.

– Kim jest Martin? – zainteresował się Larry.

– To głupiec, który mnie tu wysłał. Mówił, że Chaliis mi pomoże.

Szaman podrapał się pazurem za uchem.

– No, jeżeli przywiozłeś mi tu kogoś z plemienia Choctaw, to oczywiście mogę się nim zająć. Po to tu jestem, żeby pilnować tradycji i takie tam.

– Jakiej tradycji?

– Rozejrzyj się, geniuszu. To cmentarz.

Larry nawet nie zdawał sobie sprawy, jak blisko było, by został uduszony przez bardzo dziwnego pisarza.

– Świetnie mówisz po angielsku jak na strażnika tradycji – zauważył Clive.

Larry obdarzył go promiennym uśmiechem.

– Warto znać język wroga, prawda? Ale tak akurat się złożyło, że urodziłem się w trakcie Szlaku Łez, jak przesiedlili całe moje plemię. Jak to szło? „Oddajcie nam ziemię, albo wymordujemy wszystkich mężczyzn”. Moja rodzina próbowała mieszkać obok białych. Tamci budowali szkoły, przyjmowali misjonarzy. Potem biali kazali mi iść walczyć z jankesami, a kiedy wróciłem, rodziny nie było, dom mi spalili. Więc tak, całkiem nieźle znam angielski, dziękuję.

Clive się zmieszał.

– Ja...

– No, nie mów, że będziesz teraz mnie przepraszał za to, coście zrobili z naszą ziemią. Jak ci jest tak bardzo wstyd, to pakuj dupę w troki i płyn, skądkolwiek przybyła twoja rodzina. A nie, czekaj, nie chcesz albo nie możesz. Więc skoro tu jesteś, to daruj sobie przynajmniej hipokryzję.

Zatrzymali się przy chacie. Clive wskazał powóz.

– Morris nie jest z Choctaw. Jest tylko synem ranczera. Coś mu się stało i nie jestem w stanie nic z tym zrobić. To sprawy mistyczne czy też duchowe. Potrzebuję szamana.

Larry spowaźniał, zmarszczył brwi i wziął się pod boki. Wyglądał jak bohaterski chłopiec oferujący siostrzyczce, że wdrapie się na drzewo po kota.

– Może ja coś poradzę.

Clive obrzucił go pełnym powątpiewania spojrzeniem, ale mimo wszystko podprowadził do Morrisa.

– O żesz w mordę – Larry zatrzymał się jak wryty, kiedy tylko zobaczył czarnego rumaka pasącego za jego destylarnią. – Jak To się tutaj znalazło?

– Przyszło – Clive wzruszył ramionami.

– Niech To się do mnie nie zbliża.

– To jest koń... – rewolwerowiec westchnął zniecierpliwiony, choć zachowanie Indianina zaczynało mu dawać nadzieję, iż ten wie cokolwiek o bardziej nadnaturalnym obliczu otaczającej ich rzeczywistości.

Larry baczył, by nie stać tyłem do rumaka i zawsze mieć go w zasięgu wzroku.

– Skoro tak mówisz, Klein. Wyjaśnij mi teraz, co właściwie stało się twojemu rudemu koledze.

Clive opowiedział Larry'emu niezwykłą historię śmierci i powrotu Wilsona, bitwy o Prosperity oraz jej słodko-gorzkiego rezultatu. Nieco mgliście wspominał o umiejętności manipulowania Potencjałem czy Campbellu, zaznaczając tylko, że w grę wchodziły siły nadprzyrodzone.

– Nadprzyrodzone, jak moja dupa – Larry pokręcił głową zniesmaczony. – Po pierwsze, to przyjeżdżasz do mnie z tą czarną bestią, po drugie, jesteś obwieszony bronią, na której widnieją znaki skupiające uwagę duchów. Po trzecie, to, co jest temu chłopakowi, w istocie ma wymiar duchowy, więc nie pieprz mi o rzeczach nadprzyrodzonych, jakbyś udawał, że w nie nie wierzysz.

– Znasz się na tych rzeczach? – zdziwił się Clive.



– Oczywiście. Mówiłem przecież, że jestem strażnikiem tradycji. Nie spadłem tu z deszczem po śmierci Chaliisa, prawda?

Choć niechętnie, Clive musiał mu przyznać rację.

Przenieśli Morrisa do chatki i położyli na podłodze przy palenisku. Larry obejrzał go, zajrzał mu pod powieki, posłuchał oddechu, pogmerał w kieszeniach.

– Mówisz, że gdy się budzi, to toczy pianę i bełkocze?

– Zgadza się. Nie mogę do niego dotrzeć. Nie wiem, o czym myśli, bo wewnątrz ma istny chaos.

Larry wstał i wyszedł z chaty. Ominął rumaka szerokim łukiem i zgarnął kubek z resztkami jedzenia, które wsypał do zagrody dla kóz. Te zaś rzuciły się na pokarm, jakby nie jadły przez tydzień.

– Chaliis uczył mnie, że istota człowieka zawiera się w dwóch aspektach – wyjaśnił, wracając. – Tak jak mamy dzień i noc, tak człowiek ma swojego jasnego ducha i swój cień. Nazywamy je *shilombish* i *shilup*. Ten pierwszy kieruje nami za dnia, a kiedy idziemy spać, odpływa do miejsc, o których śnimy. Po śmierci zaś oba te aspekty opuszczają nasze ciało. *Shilombish* w końcu odchodzi na zachód ku Krainom Duchów, lecz cień, czyli *shilup*, czasem zostaje na ziemi i nawiedza żywych. Taki jest porządek rzeczy.

– Jak to ma się do Morrisa?

– Ma się zarówno do Morrisa, jak i do ciebie – stropił się Larry. – Obawiam się, że jesteś w o wiele gorszej sytuacji niż ten tutaj. Ten chłopak ma w sobie dwa cienie, które ze sobą walczą. Twój cień cię opuścił i wyszedł na ten świat. Po śmierci nie czeka cię nic, wiesz, o czym mówię, prawda?

Clive przytaknął. Wiedział doskonale.

Przerwało im rzenie konia, dźwięk kroków i skrzypienie kół powozu. Larry wychynął z chaty i spojrzał w dół ścieżki prowadzącej na południe. W ich stronę zmierzała piątka osób z plemienia Choctaw. Niscy, schludnie i kolorowo ubrani rdzenni mieszkańcy o długich włosach i poważnych minach. Szła tam kobieta, prawdopodobnie z mężem, dzieckiem i dwójką starszych ludzi. Z pewnością rodzina. Przyprawdzili ze sobą wóz, na którym przywieźli bale służące do zbudowania platformy, koce, plecione kosze i kilka pięknie zdobionych, glinianych garnków. Larry poinstruował ich w języku Choctaw, co mają robić, i wskazał miejsce na wzgórzu, gdzie, jak domyślał się Clive, miało stanąć rusztowanie pogrzebowe.

– Wybacz, ty i Morris musicie poczekać – wyjaśnił. – Moim obowiązkiem jest pomóc w obrzędzie.

– Oczywiście – Clive nie śmiał protestować. – Tyle, że... oni nie przywieźli zwłok.  
– Poniekąd – odparł Larry. – Śmierć nadejdzie dzisiaj wieczora. Oni już to wiedzą i przyszli w samą porę. Teraz czas zbudować wieżę, na której spoczną doczesne szczątki.

Larry pomagał w budowaniu rusztowania, głównie wydawał instrukcje. Pazury nie bardzo pozwalały mu na wykonywanie prac, co wyglądało z daleka nieco dziwnie, bo nawet staruszkowie pracowali przy stawianiu konstrukcji.

Clive w tym czasie przycupnął na drewnianej ławeczce pod chatą. Wyciągnął notatnik i zaczął opisywać to, co widzi, przypominając sobie zwłoki Chaliisa, historię o jasnych i ciemnych duchach oraz o śnieniu.

Przerywał w trakcie notowania i spoglądał w kierunku grupki Indian. Widział dziewczynkę siedzącą w pewnej odległości od rodziny. Bawiła się drewnianym konikiem. Pomachał do niej, a ona odwzajemniła się tym samym.

Słońce znajdowało się już w zenicie, kiedy zrobili sobie przerwę. Rodzina usiadła przy swoim powozie. Wyciągnęli zapasy i przygotowali posiłek. Miło się na nich patrzyło. Młodzi ludzie usługiwali starszym w pełnym szacunku skupieniu.

Larry poszedł do chaty, żeby coś zjeść. Wychynął na zewnątrz z kubkiem wody, pajdą suchego chleba i dwoma miskami warzywnej papki. Usiadł obok Clive'a, podał mu jedną z misek i zaczął w najlepsze pałaszować obiad.

– Po co są te wieże? – zapytał Clive, nieufnie wąchając posiłek. – Żeby dusza miała bliżej do nieba?

– Nie – Larry uciął między jednym a drugim kęsem. – Żeby kojoty nie zezarły zwłok.

– Aha...

– No i z tym niebem to też tak nie do końca. Krainy Duchów znajdują się na zachodzie, tam, gdzie co dzień odchodzi słońce.

– Więc ciało musi być blisko słońca? Ono jest dla was ważne?

– Słońce i jego brak są w centrum wszystkiego – wyjaśnił Larry. – Słońce pomaga oczyścić zwłoki, odprowadza duchy do zaświatów. Tam, na wieży, na ciała nie pada żaden cień.

– Dlaczego oni budują wieżę jeszcze za życia?

– Bo doskonale wiedzą, kiedy ktoś umrze. To się czuje.

Clive nie dyskutował z tą teorią. Zbyt wiele wiedział o Potencjale i jego wyczerpaniu. Sposób postrzegania Choctaw nie różnił się wiele od jego własnego.

Fascynująca za to okazała się informacja o tym, że świadomość kresu jest dla tych ludzi czymś absolutnie naturalnym.

– Ile trwa ceremonia pogrzebowa? – zapytał, po czym spróbował papki. Smakowała rozgotowanymi warzywami, które ktoś zapomniał posolić.

– Po waszemu to będzie jakieś cztery, może pięć miesięcy.

Oczy Clive'a zrobiły się wielkie jak spodki.

– Myślę, że Morris tyle nie wyżyje bez jedzenia. Będiesz miał czas mu pomóc?

Larry prychnął i machnął niedbale ręką.

– Oczywiście. Rodzina wieczorem złoży zmarłego, popilnują go w nocy, jutro będą zwyczajowo lamentować, a potem sobie pójdą. Będą wracali tu co jakiś czas, żeby płakać, aż w końcu oddam im kości, a oni będą gotowi, by żyć dalej i już nigdy nie wspomnieć o utraconej osobie. Przed Szlakiem Łez ten sposób chowania praktykowali wszyscy Choctaw. Teraz nasze rytuały są uważane za mało cywilizowane. Chaliis był ostatnim ze swojego rodzaju, a ja jestem tylko jego nędznym naśladowcą.

Larry wstał i odniósł puste już miski do domu. Wrócił po kilku chwilach.

– Biali lubią mówić, że czasy się zmieniają – oświadczył, ruszając w stronę indiańskiej rodziny. – Biali lubią zmiany, Klein.

– Clive – rewolwerowiec burknął niezadowolony.

Zanim słońce zaczęło znikać za widnokrzem, wieża była już gotowa. Ojciec rodziny ułożył na wieńczącej ją platformie pledy i część przywiezionego dobytku. Im bliżej było mu do zakończenia pracy, tym większy ogarniał go smutek. Zszedł potem do swoich i w milczeniu zaczęli się żegnać. Pierwsi byli stary Indianin i dziewczynka. Tulili się i płakali, wymieniając ciche słowa pełne czułości.

Clive z zaciekawieniem obserwował rozwój sytuacji. Z cieniem rozbawienia zastanawiał się, jak dziadek wlezie na wysoką konstrukcję. Po całym dniu był całkowicie przekonany, że pogrzeb odbywa się dla seniora rodziny.

Dreszcz niepokoju przeszył go, kiedy zwrócił uwagę, jak kolejna osoba podeszła do dziewczynki. Była to najstarsza kobieta. Również przytuliła dziecko, ofiarowała mu naszyjnik z kolorowych koralów i zapłakała. Racjonalna część umysłu Clive'a kazała mu przypuszczać, że być może pogrzeb jest dla obojga seniorów, choć rozum podpowiadał coś zgoła odmiennego.

Widząc, jak do dziewczynki podchodzą jej rodzice, postanowił spojrzeć na nich w sposób, który pozwalał mu rozpoznać cudzy Potencjał. Serce mu się ścisnęło, kiedy zobaczył, że zarówno starsi ludzie, jak i rodzice dziewczynki mają go w sobie wiele,

a przynajmniej tyle, by w zdrowiu przeżyć jeszcze długie lata. Towarzyszące im dziecko było go całkowicie pozbawione.

Larry wrócił znowu do chaty, tym razem, by przygotować się do rytuału. Przywdział nieco lepsze ubranie składające się z czarnych spodni, błękitnej koszuli z białymi zdobieniami oraz długiego naszyjnika z koralikami. Na głowę zaś nasadził prosty kapelusz.

– Pora jej w drogę – mruknął, przechodząc obok Clive'a. – Chcesz nam towarzyszyć?

Rewolwerowiec wstał i otrzepał ubranie. Przytaknął z poważną miną.

– Wiesz, że mógłbym spróbować jej pomóc? – powiedział, kiedy byli w połowie drogi do wieży.

– Nie możesz – odparł Larry. – Ona jest chora i dzisiaj umrze. Taki jej los.

– Z jakiegoś powodu dziewczynka ma w sobie mało siły, którą nazywam Potencjałem. To wyznacznik naszego czasu na...

– Przestań – Larry zatrzymał się i położył rękę na ramieniu Clive'a. – Rozumiem, o czym do mnie mówisz, i też to czuję. Możesz myśleć, że to niesprawiedliwe, ale prawda jest też taka, że to bardzo naturalne. Wy, biali, jesteście cholernie uparci w temacie kradzieży. Jakoś tak łatwo wam przychodzi przywłaszczanie sobie tego, co do was nie należy. Kradniecie ziemię, zwierzęta. Ludzi kradniecie i przywozicie tu, żeby ich niewolić. Ty kradniesz ludziom częśćkę Stwórcy.

– To nie jest kradzież.

Larry uniósł dłoń, delikatnie, acz stanowczo uciszył Clive'a.

– Jest, i dobrze o tym wiesz. Co chcesz zrobić? Komu chcesz odebrać jego boski dar i oddać tej dziewczynce? Tak, wiem. Powiesz, że każdy ze stojących tam ludzi oddałby go z radością, byleby ona wyżyła. Ale co wtedy? Z jaką świadomością ma żyć to dziecko oraz ci, którzy z nią zostaną? Zrozum, że to nienaturalne. A teraz spójrz na siebie. Tak samo jak ja wiesz, że twój czas również nadchodzi i nawet twoja magia nic na to nie poradzi. Czas przecieka ci przez palce niczym woda. Też jesteś chory, prawda?

Clive skinął głową, potwierdzając.

– Tyle, że ja dostaję to, na co zasłużyłem – mruknął. – A co ona złego komu zrobiła?

– Każdy dostaje – Larry uśmiechnął się smutno. – Chaliis żył sto i siedem lat. Przyszedł tu ze swoim plemieniem więcej niż trzydzieści lat temu. Od tamtej pory jedyne, co robił, to pomagał grzebać ludzi, pił, palił, jadł plony ziemi. A jednak jego

*shilombish* był silny, zupełnie jak w chłopaku, którego mi przywiozłeś. Jemu właśnie pisane jest o wiele dłuższe życie niż tobie, Clive... o ile nic nie spieszymy, oczywiście. Co się tyczy tej małej, to już ci mówiłem, że nie chodzi o rachunek zasług, jak w naukach waszego Chrystusa, tylko o to, co powinno być. Jeżeli będziesz godził się na wyroki duchów, to już nigdy nie poczujesz czegoś, co możesz określić jako brak sprawiedliwości. A teraz chodź. Przedstawię cię rodzinie.

– Rzeczywiście brzmisz trochę jak szaman – westchnął Clive.

– Wiem, chyba zaczynam trzeźwieć.

Zgromadzeni przyjęli Clive'a z zadziwiającą serdecznością. Dziękowali mu, że będzie dzielił z nimi ból straty najmłodszej członkini rodziny. Z bliska dziewczynka prezentowała się bardziej mizernie. Jej oczy gasły z każdą chwilą, choć z twarzy nie schodził naiwny, dziecięcy uśmiech. Nie sposób było przeoczyć faktu, że ona doskonale wiedziała o swoim odejściu.

Kiedy nadszedł czas, ojciec pomógł jej wspiąć się na rusztowanie. Ułożyła się spokojnie, pozwoliła przykryć pledami. Trwali tam aż do zachodu słońca, kiedy mała zamknęła oczy i już ich nie otworzyła.

Noc spędzili, czuwając przy konstrukcji, paląc ognisko i wymieniając wspomnienia związane ze zmarłą. Larry wyciągnął przyniesioną butelkę bimbrowa, więc raczyli się napitkiem, zagryzając zapasami przywiezionymi przez rodzinę.

Clive obserwował tych ludzi, ich niezwykłą wrażliwość i serdeczność. Bez mrugnięcia okiem dzielili się tym, co mieli, a stratę przeżywali na swój głęboki i uduchowiony sposób. Przez kilka chwil znowu czuł się jak nauczyciel uniwersytecki, profesor badający zwyczajnie tego konkretnego plemienia pierwszych plemion. Tylko przez chwilę, ponieważ miał wrażenie, że magiczne znaki na ciele palą go, jakby próbowały mu przypomnieć, po co tu przybył.

– Nie wracasz do chaty? – zwrócił się w pewnym momencie do Larry'ego.

Podchmielony już nieco szaman pokręcił głową i wskazał ognisko.

– Nie ruszamy się poza krąg światła. Wszędzie dookoła są cienie. Dopóki słońce nie wstanie, pozostaniemy tutaj. Nigdy nie wiesz, co czai się w ciemności, Klein.

– Clive... wydawało mi się, że już załapałeś.

– No tak – Larry czknął i uśmiechnął się błogo. – Rozejrzyj się. Nie wiesz, co czai się w ciemności. To może być krzak, kamień, o który się potkniesz, jadowity skorpion albo ta twoja bestia. Może tam nic nie być. Nigdy nie wiesz, co kryją cienie.

– To dlatego nie chciałeś mnie wczoraj przyjąć? – zgadywał Clive. – Bo było już po zmroku?

– Też – Larry wyszczerzył się, mrużąc oczy w błogim stanie. – No i nie miałem ochoty dzielić się gorzałą.

Rodzina dziewczynki rozdała pledy, tak by każdy mógł się otulić. Wkrótce zrobiło się ciepło i błogo, przez co Clive nie pamiętał nawet, kiedy zasnął. Następnego dnia wspomniał zasłyszane rozmowy, śpiewny, acz obco brzmiący język Choctaw oraz pełne bóleści zawrodozenie żałobne roznośzące się po wzgórzach.

Śniło mu się tej nocy, że jest na cmentarzu w Prosperity. Stał nad grobem państwa Rice'ów, wspominał tę ulotną chwilę intymności, kiedy serce zabiło mu nieco mocniej przy nieżyjącej już Shelly. We śnie stała obok niego indiańska dziewczynka. Trzymała go za rękę i nie chciała puścić.

Rano pożegnali rodzinę zmarłej i poszli zobaczyć, jak miewa się Morris. Stan chłopaka nie zmienił się, choć dało się zauważyć bladeść, która osnuła jego oblicze. Jego wargi robiły się już sine i spękane.

Larry przyniósł drwa, rozpałił w palenisku, by nieco ogrzać pomieszczenie i przygotować śniadanie. Kiedy zjedli, znowu obejrzał chłopaka, posłuchał jego oddechu. Szeptał wtedy ulotne słowa w swoim języku, czasem spoglądał gdzieś w bok, jakby mówił do kogoś, kto stał w pobliżu. Clive przyglądał się temu nieco cynicznie, walcząc sam ze sobą, by nie oceniać dziwnych praktyk młodego szamana.

– Spróbujemy dzisiaj coś dla niego uczynić – oznajmił Larry. – Ale, jak się domyślasz, nie mam w tym żadnego doświadczenia. Kilka razy widziałem, jak Chaliis wybierał się na drugą stronę, aby porozmawiać z duchami. Za każdym razem, gdy wracał, było go trochę mniej i pił potem długo, jakby starał się wymazać niemiłe wspomnienia.

– Co to znaczy, że wybrał się na drugą stronę? Do krainy duchów?

Larry wstał, by zobaczyć liczne półki, które wisiały na ścianach. Przeszukiwał słoiki i gliniane miski, odkorkowywał butelki, wachając zawartość. Okazyjnie golnął sobie jednego czy drugiego specyfiku i cmokał z zadowoleniem.

– Tak jakby – wyjaśnił. – Sam nie wiem, bo przecież nigdy tam nie byłem, a dziad nie był zbyt wylewny w tej kwestii. Mamy tu młodego człowieka o silnej części Stwórcy, który...

Clive przerwał mu uniesieniem dłoni.

– Znowu mówisz o Stwórcy. Wyjaśnisz? Bo chyba nie masz na myśli tego samego Stwórcy, w którego wierzą chrześcijanie?

Larry prychnął pogardliwie, po czym zreflektował się i rozłożył ręce.

– A skąd ja mogę wiedzieć, czy to nie ten sam? Może ten sam, a może inny. Ważne chyba, że stworzył to wszystko, stworzył nas, rośliny i zwierzęta. Tyle że nasz Stwórca nic nikomu nie każe, niczym nie straszy. Jest uczciwy do bólu. Dał nam życie i każdemu ofiarował mniejszy lub większy kawałek siebie. Tobie, mnie, jemu, a nawet tym cholernym kozom w zagrodzie czy jeleniowi w lesie. Dlatego my, Choctaw, dzielimy się wszystkim, bo wiemy, że wszyscy jesteśmy jednym ludem, a zwierzęta to nasi bracia. Dlatego prosimy je, by pozwoliły się upolować i przepraszamy, kiedy odbieramy im życie.

– Czyli Potencjał to dar od boga?

– Nieważne, jak to nazwiesz – Larry postawił na stole zebrane przedmioty i usiadł naprzeciw Clive'a. – Ważne, że jest to coś boskiego, co jest święte. Ważne, że Morris ma to w sobie, a ten drugi *shilup* w nim chce tego dla siebie. Wygnał jego *shilombish* do Krainy Snów, gdzie Morris błąka się teraz i nie może wrócić. Kiedy próbujesz go obudzić, możesz dostrzec walkę, która tam się toczy, a o której on może nawet nie wiedzieć. Walkę, którą on przegrywa, bo przeciwnik jest silniejszy, sprytniejszy, bardziej doświadczony, łaknący tego, co on ma.

– Czyli Morris jest nawiedzony przez Wilsona – Clive spojrzał z przerażeniem na chłopaka.

– Tłumacz to sobie jak chcesz – Indianin postawił między nimi glinianą miskę, do której nasypał ostro pachnących ziół. – Jesteś gotowy wyruszyć mu na pomoc?

Clive obrzucił go spojrzeniem pełnym zaskoczenia:

– Ja? Myślałem, że to ty...

– Przecież on mnie nie zna. Myślisz, że mi zaufa? Poza tym mówiłem ci już, że nigdy tego nie robiłem. Nie wiem, czy uda mi się do was dołączyć, bo mój duch może polecieć gdzieś w cholerę. Nigdy nie byłem nad oceanem. Co zrobisz, jak mnie tam wywieje? Otworzę dla ciebie drzwi, ale nie gwarantuję, co za nimi zastaniesz.

– Kiedy zaczynamy? – Clive potarł bolącą skroń.

– Wkrótce – odparł Larry. – Możliwe, że Chaliis nam w tym pomoże, ale musimy coś dla niego zrobić.

– Ale Chaliis nie żyje.

– Masz świetną pamięć, Klein.

Zdjęcie z platformy ciała starego szamana wymagało odrobiny wysiłku, lecz dokonali tego wspólnymi siłami. Owinęli zwłoki w pledy, obwiązali je liną i spuścili na dół. Wysuszone przez słońce ciało okazało się niezwykle lekkie, lecz też bardzo delikatne.

Przenieśli Chaliisa do domu i ułożyli obok Morrisa. Larry odwinął pledy, przygotował drewnianą szkatułkę, miski oraz oddzielną misę z ziołami. Zaprosił Clive'a, aby usiadł obok niego. Zanim zaczął, westchnął ciężko, sięgnął po butelkę bimbru, pociągnął solidnego łyka i podał ją Clive'owi.

– To konieczne? – zdziwił się rewolwerowiec.

Obrzydzony zasłonił chustą nos i usta.

– Do rytuału? Niespecjalnie – westchnął Larry. – Tyle że ja nie jestem w stanie robić tego na trzeźwo.

– Czego?

Larry skrzywił się. Wziął zapalki, zapalił jedną i wrzucił do miseczki z ziołami.

– Zaraz zobaczysz.

Przyjemny, choć lekko duszący dym rozniósł się po pomieszczeniu kłębamirującymi w fantazyjnych spiralach. Larry nie przystąpił do dzieła, dopóki wraz z Clive'em nie opróżnili butelki bimbru. Dopiero wtedy pobladły nachylił się nad Chaliisem. Odstonił zeschnięte ciało szamana, po czym zagłębił w nim paznokcie.

Mięso odchodziło od kości, stawiając pewien opór, lecz Larry z wprawą usuwał kawałki skóry i obskubywał kolejne pasma włókien mięśniowych. Clive w duchu dziękował zarówno za wypity alkohol, jak i za zioła, które całkiem niezłe maskowały smród rozkładającego się ciała. Z coraz większą fascynacją oglądał, jak kości pieczołowicie pozbawiane są mięsa, co w pewien sposób przypominało mu posiłek, kiedy skubało się kurczaka lub wydłubywało ości z ryby.

– Chaliis robił to przez całe życie – wyjaśnił Larry. – Ja za każdym razem czuję opór, choć wiem, że taka jest tradycja.

– Co robicie ze szczątkami? – zapytał Clive, czując ogarniającą go lekkość. Miał wrażenie, jakby wewnątrz jego głowy utworzył się mały wir zasysający do środka roztrzęsiony mózg.

– Kości oddajemy bliskim, ale kości Chaliisa zostaną tutaj. Wszyscy jego bliscy już nie żyją. Po dzisiejszym dniu nigdy nie będziemy wspominać jego imienia. Taka jest tradycja.

Powieki rewolwerowca zrobiły się ciężkie, głos zwolnił, jakby każde słowo, które wypowiadał, wymagało wysiłku i skupienia, a głoski wydostające się z ust miały wagę ołowiu. Podobnie było z dźwiękami, które słyszał. Musiał je łowić z otoczenia i pożerać, trawić, aby poznać ich znaczenie.

Miał wrażenie, jakby wewnątrz chaty nie byli już sami. Nie chodziło o śniącego Morrisa, lecz o kogoś jeszcze. W cieniach czaiły się chciwe oczy, a naprzeciw nich



siedział stary szaman kiwający się do przodu i do tyłu, pomarszczonymi ustami śpiewnie modlący się do duchów.

– *Ty jesteś Chaliis?* – zapytał Clive.

Stary szaman spojrział na niego, nie przerywając modłów. Zasuszonymi dłońmi chwycił spiralne kłęby dymu i pchnął je, by omiotły rewolwerowca. Opar gęstniał, tak że po chwili wzrok Clive'a nie był w stanie rozpoznać kształtów. Z daleka dobiegały echa rozmów, muzyki, śpiewu ptaków, a wszystko zniekształcone, jakby odwrócone, wywleczone na drugą stronę. Wszystko brzmiało dźwiękiem myśli i intencji.

Sucha dłoń spoczęła na ramieniu Clive'a, pośród oparu zamajaczyła górująca nad rewolwerowcem sylwetka Chaliisa. Szaman skinął na niego, by wyszli razem z chaty.

Stali pod rozgwieżdżonym niebem pełnym nieziemskich barw, jakich Clive jeszcze nigdy w życiu nie widział. Wszystko przemawiało do niego uspokajającą muzyką trwania w czasie. Po niebie latały ptaki o kościanych skrzydłach i pustych oczodołach.

Szaman wskazał na otaczające ich wieże obrzędowe, na ich jaśniejące struktury lśniące barwami jeszcze bardziej wyrazistymi niż te przelewające się po nieboskłonie. Część z konstrukcji wydawała się wygasła i spływały z nich żywe cienie, gęste niczym smoła.

Przeszli do wieży, na której złożono ciało indiańskiej dziewczynki. Tutaj Clive zauważył jaśniejącą poświatę u szczytu konstrukcji. Zobaczył węzowe macki cienia, które próbowały się wspiąć wyżej, by dostać się do tego, co znajdowało się na platformie. Smoliste kształty niczym ośmiornica chwytaly się coraz to wyższych szczebli, wyciągały, byleby tylko dosięgnąć znajdującej się u szczytu ofiary.

– *Co się tu dzieje?* – Clive zapytał szamana.

Chaliis nie odpowiedział. Wskazał tylko na szczyt wieży, na jaśniejącą lunę, którą rewolwerowiec rozpoznał jako ducha zmarłej dziewczynki. Wyczuł w niej strach i samotność. Cieniste macki już sięgały do niej, a ona przesuwała się w drugi kraniec platformy. Trudy te zdawały się daremne, bo nie było stamtąd ucieczki. Cienie czały się wszędzie.

Clive odwrócił się do szamana.

– *Pomóż jej!*

Chaliis wznosił rękę w powietrze i zakrzyknął słowa, które, choć pozbawione dźwięku, odbiły się echem tak mocnym, że dało się je wyczuć całym sobą. W odpowiedzi po okolicy przetoczyło się zimne tchnienie, które samo w sobie

sprawiło, że cienie się skurczyły. Z nieba spłynął do nich kościsty ptak. Był wielki niczym koń, a jego skrzydła miały rozpiętość dwóch łodzi. Przycupnął na platformie, chroniąc ducha dziewczynki swoim wielkim skrzydłem. Kłapnął dziobem, odstrasząc cienie, które opadły, by niczym wściekłe węże kłębić się u stóp wieży, sycząc niezrozumiałe złorzeczenia.

Ciekawość kazała Clive'owi przyjrzeć się bacznie tej dziwnej istocie, która nad nimi górowała. Nie dostrzegął w niej życia, na pewno nie takiego, jakie znał, lecz wyczuwał jakąś głęboką mądrość i coś, co rozumiał jako naturalną sprawiedliwość. Istota ta patrzyła również na niego. Wlepiała weń spojrzenie pustych oczodołów ptasiej czaszki, jakby rozważając, czy jest on jedynie zabłąkanym przechodniem, czy też kolejnym zagrożeniem dla bezbronnego ducha.

Clive wyciągnął do niego rękę, lecz ptak kłapnął tylko dziobem. W reakcji wewnątrz rewolwerowca skręciło się i skurczyło. Coś się w nim wiło i przelewało z samego środka jaźni tuż pod skórę, gdzie kłębiło się niczym dziesiątki spłoszonych węgorzy.

Spazm нефizycznego bólu powalił go na kolana. Clive poczuł, że coś się wylewa z niego na zewnątrz, wydostaje przez oczodoły, wychodzi z uszu, nosa i gardła. Uniósł trzęsące się ręce i zobaczył, jak wyzierają z niego cienie. Dziesiątki mackowatych kształtów, głodnych, rzucających się na wszystkie strony w poszukiwaniu ofiar.

Macki wyciągały się wysoko, przyzywane przez świetlistą poświatę ducha dziewczynki, a Clive nie umiał ich powstrzymać. Było ich zbyt wiele, były zbyt silne. Wystarczyło jednak jedno gniewne kłapnięcie ptasiego dzioba, by cofnęły się struchlałe. Wyczuwając sposobność, Clive sięgnął do nich i przywołał je do siebie, stłamsił, ukrył.

Ta walka go wycieńczyła. Choć próbował, nie mógł podnieść się z kolan. Ręce opadały mu bezwładnie, głowa ciążyła.

*– Rozumiem – jęknął. – Każdy, komu odbiorę potencjał, nie znika do końca. Jego istnienie nie przemija bez śladu, lecz pozostawia po sobie pustkę, wolne miejsce, które zamieszkuje jego cień. A nie mając już nic, do czego ten cień mógłby się przyczepić, przyczepia się do mnie, a potem wyżera od środka.*

Nieludzki ryk wstrząsnął wzgórzami i znajdującymi się na nich konstrukcjami. Wszędobylskie cienie rozpiezchły się w panice. Kościany ptak zerwał się do lotu i poszybował wysoko. Nawet Chaliis wyglądał na przerażonego.

Gigantyczny kształt wychynął zza horyzontu i przysłonił niebo wraz ze wszystkimi cudami kolorów i latającymi na nim stworzeniami. Spojrzał wprost na struchlałego rewolwerowca, musnął go swoją świadomością. Wystarczyło, by cienie wewnątrz Clive'a zawrzały niczym ławica spłoszonych ryb, niemal rozrywając go od środka. Groza i szaleństwo zawładnęły jego umysłem, przysłoniły mu wszelkie zmysły, jakimi tu dysponował. Bezsilny czuł, jak coś brutalnie wnika do jego umysłu, jak bezpardonowo bada go i ocenia, nie zwracając sobie głowy takimi drobnostkami jak przyzwolenie.

Clive zawył z bólu, ponieważ owo coś sięgnęło głęboko w jego jaźń i odłowiło stamtąd wijący się cień, gruby i oślizły niczym robak żerujący na zwłokach. Brutalnie rozerwało go, przetworzyło cienistą materię. Z niej zaś stworzyło bramę.

Tuż przed Clive'em wyrosła wielka, zasysająca wszystko wyrwa prowadząca do zupełnie innego świata. Wyrwa, przez którą Clive widział bezkresne połacie obcej krainy zamieszkiwanej przez istoty, których nie potrafił nazwać. Miały wiele kształtów, choć tak naprawdę nie posiadały żadnego. Zmieniały się, przelewały, lecz kiedy tylko spoczął na nich ludzki wzrok, zdawały się przekształcać w coś wygrzebanego wprost ze świadomości patrzącego. Jedna z tych istot zauważyła również Clive'a i zaczęła pełznąć w jego kierunku, nieporadnie starając się przejść przez wyrwę.

– *Ja... nie chcę...* – Clive jękał się, zdjęty zimną grozą, bowiem to, co się do niego zbliżało, z każdą chwilą robiło się coraz bardziej wyraźne, przybierało kształty jego najgorszych koszmarów.

Istota stanęła w wyrwie, wychynęła przez nią, wylewając się na zewnątrz. Clive czuł jej zimne tchnienie, łapczywe, pozbawione uczuć i moralności. Ponieważ nic, co owa istota sobą reprezentowała, nie odpowiadało ludzkim uczuciom czy motywom, Clive percypował, że kieruje nią jakiś pierwotny głód.

Chaliis szarpnął rewolwerowca i odwrócił ku sobie. Równie przerażony co Clive krzychał swoje bezgłośne zaklęcia. Przyłożył mu zimną rękę do czoła, kreślił w powietrzu znaki i wzywał duchy na pomoc. Kościste ptaki zlatywały się, przysłaniając ich skrzydłami. Krzychały w bólu, atakowane przez bezkształtny koszmar z innego świata, lecz się nie poddawały.

Wszystko ucichło. Nie było ptasich krzyków, gdzieś zniknęła monstrualna obecność, nie pozostał ślad po Chaliisie. Nawet otoczenie się zmieniło. Przed Clive'em rozpościerała się rozległa równina, na środku której stał trzypiętrowy dom.

Prowadziła do niego szara droga brukowana kamieniami. Biegła pod szarym niebem, zasnutym kłębiącymi się chmurami.

Clive ruszył w stronę budynku. Szedł po zadziwiająco równych, podobnych do siebie kamieniach, wprasowanych w piaszczyste podłoże. Gdzieś daleko na horyzoncie majaczyły czarne wzgórza.

Im bliżej był domu, tym zdawało mu się, że budynek jest coraz większy, jakby przybywało mu pięter. Górował nad nim niczym monolityczny gigant, i choć wyglądał jak zbudowany z drewna, dało się zauważyć, że tak naprawdę wymurowano go z tych samych kamieni, z których ułożono drogę.

Clive zauważył, że dziwne kamienie coraz gęściej wystają również z ziemi dookoła domu. Już wkrótce poza nimi nie dało się zobaczyć piachu czy jałowej gleby. Były tylko szare kamienie.

Coś chrupnęło mu pod stopą, a noga zapadła się w niewielką dziurę. Clive spojrzał w dół i aż sapnął z zaskoczenia. To nie po kamieniach stapał. To nie kamienie wysięcały teren dookoła domu. To były ludzkie czaszki.

Czaszki zalegały wszędzie. Wybrukowano nimi ścieżkę, wyłożono podwórze, posłużyły nawet jako budulec do wzniesienia domu. Patrzyły na Clive'a pustymi oczyma, w głębi których czały się głodne cienie, niczym robaki obierające zwłoki z resztek mięsa. Były tam, czekały, by je uwolnić lub posłużyć jako bramy do innych światów.

Clive stanął przed schodami prowadzącymi do wnętrza domu. Jego percepcja nie ogarniała skomplikowanego budynku, na który patrzył. Z jednej strony wydawał się typowym, kolonialnym domostwem, jakich było mnóstwo na południu. Z drugiej zaś, zdawał się piąć aż do samego nieba, choć miał przecież tylko trzy piętra.

Drzwi z kości zostawiono dla niego uchylone. Zanim wszedł do środka, odruchowo sięgnął do pasa, by sprawdzić, czy ma przy sobie broń. Rewolwery wisiały jak zwykle na biodrach. Glify na nich lśniły widmowym światłem, lecz żaden nabój nie miał w sobie nawet grama mocy.

Mimo wszystko wyciągnął broń. Gdzieś w tym domu mógł być Morris. To musiał być jego sen, być może rodzinny dom na ranchu ojca. W tym miejscu mógł również czaić się cień Wilsona.

*Do trzech razy sztuka, pomyślał.*

Wnętrze domu nie nosiło już śladów makabrycznego budulca ani wszechogarniającej szarości. Tchnęło za to urzekającym ciepłem i wygodą. Gustownie

dobre meble sprawiały wrażenie całkiem nowych, a płonące wszędzie lichterze oferowały nie tylko ciepły płomień, lecz także łagodną poświatę.

Na podłogach ułożono grube, wzorzyste dywany, ściany zdobiły jedwabne tapety, niczym w najznamienitszych pałacach Europy. Masywne podesty w korytarzach prezentowały niezwykle rzeźby, a fantazyjne obrazy przyciągały oko tak sprawnie i przebiegle, że łatwo było zapomnieć się w próbach interpretacji niesamowicie realistycznych malowideł.

Długi korytarz prowadził do jadalni i bawialni. Clive zaglądał do pomieszczeń w poszukiwaniu Morrisa, lecz zastał tam tylko niezwykle żywe cienie, formą przypominające ludzi. Poruszały się tak szybko, że wzrok niemal za nimi nie nadążał. Ruch ten zdawał się urywany, a oko – o ile Clive rzeczywiście używał oczu w tej sferze świadomości – nie potrafiło go pochwycić ani się do niego przyzwyczaić.

Widmowe postaci żyły własnym życiem. Rozmawiały, jadły przy stole, dokazywały w poobiednich zabawach. Dziwny niepokój zdjął Clive'a, kiedy obserwował owe sceny, choć nie potrafił go jeszcze sformułować.

Nie ulegało wątpliwości, że Morrisa tam nie było, Clive ruszył więc dalej. Ominął schody prowadzące na górę, zajrzał do kuchni i spiżarni. Znalazł tam krzątające się cienie służby, ogrodnika, stajennego, ale nic więcej. Choć poruszał się między nimi, nie zwracały na niego uwagi, jakby instynktownie go omijając. Nie chcąc zakłócać ich spokoju, Clive powstrzymał się od eksperymentowania z próbami kontaktu. Zamiast tego ruszył schodami na górę.

Droga na piętro dłużyła się niemiłosiernie, zupełnie jakby wchodził na strome wzgórze. Po jakimś czasie dziwne zmęczenie ogarnęło go do tego stopnia, że musiał dać sobie chwilę wytchnienia. Spojrzał za barierkę, spodziewając się zapewne zobaczyć przepaść. Zamiast tego ujrzał niezbyt odległy parter budynku, ot, widziany z półpiętra. Ukłucie niepokoju kazało mu zastanowić się, czy owa kraina stroiła sobie z niego żarty, czy to on nie rozumiał jej praw?

Dając odpocząć nogom, robił, co mógł, żeby nie spoglądać w kierunku obrazów ozdabiających ściany. Miał wrażenie, że poruszają się, przedstawiają makabryczne sceny zaciekle walczące o jego uwagę. Mimo iż całym sobą próbował się powstrzymać, w końcu uległ i zerknął tylko raz.

To, co ujrzał, wstrząsnęło nim do głębi. Widział tam bowiem dziesiątki, może nawet setki ludzi uwięzionych na znajomym płaskowyzu. Próbowali się wygrzebać z jałowej ziemi, lecz coś ciągnęło ich w dół. Nieznana siła wysysała z nich życie i przemieniała w widmowe cienie. Ponad nimi zaś, spośród kłębiących się szarych

chmur, wyzierały oczy. Przypominały mrowie gwiazd, nieludzkie i głodne. Znał je, dopiero co przecież te same oczy należące do nieznanego mu monstrualnego bytu sięgnęły ku jego duszy, wyciągając stamtąd najczarniejszy cień i otwierając przejście dla czegoś, co z braku lepszego określenia nazywał koszmarem. Wiedział to na pewno. Już kiedyś przypadkowo sam do tego doprowadził.

Bojąc się, że ogarnie go szaleństwo, Clive odwrócił wzrok, byleby nie patrzeć już w ten obraz, nie zapaść się w jego grozie. Ruszył czym prędzej na górę, notując w głowie, że opuściły go wszelkie wątpliwości co do miejsca, w którym się znajdował. To nie był dom ze snów Morrisa, a na pewno nie dom jego dzieciństwa. Miejsce to musiało być jakąś formą odzwierciedlenia posiadłości Wilsona, a to oznaczało, że znajdował się w właśnie w jego śnie, a nie w śnie Morrisa.

Znacznie szybciej, niż by się tego spodziewał, Clive wbiegł na piętro. Targany złymi przeczuciami rozglądał się za jakimkolwiek śladem Morrisa. Mógł to być ruch albo dźwięk, lecz zdało mu się, że dostrzegł coś w ciemnej bibliotece. Wszedł tam czym prędzej.

Biblioteka zdawała się znacznie bardziej rozległym pomieszczeniem niż mogłaby wskazywać na to budowa domu. Na długie, półkoliste ściany składały się niebotyczne półki z książkami, do których można było dostać się tylko za pomocą niezwykle wysokich drabin. Te zaś zdawały się samoczynnie przesuwac od półki do półki, zupełnie jakby żyły własnym życiem. Liczone w milionach książki ciągle wysuwały się ze swoich miejsc, niczym stroszące się ptaki potrząsając masywnymi grzbietami w próbach zwrócenia na siebie uwagi. Kusily, błagały wręcz, aby po nie sięgnąć, by zgłębić wiedzę przez nie oferowaną.

Na środku pomieszczenia stał okrągły stół zastawiony wielkimi księgami. Zgromadzone tam woluminy traktowały o historycznych wojnach, poczynając od rzymskich podbojów, a kończąc na niedawno rozstrzygniętej wojnie domowej. To o niej mówiła księga, która leżała otwarta akurat na rozdziale opisującym zabójstwo prezydenta Abrahama Lincolna przez niejakiego Johna Wilkesa Bootha, który zastrzelił go podczas przedstawienia w teatrze. Rozdział opatrzone zdjęciem prezydenta, zrobionym w ostatnich miesiącach życia. Clive pamiętał go doskonale, jak wpłynęła na niego wojna, jak bardzo postarzał się w ciągu ostatnich lat. Serce mu się ścisnęło na tę myśl.

– Podobno byliście przyjaciółmi – odezwał się nieprzyjemnie znajomy głos, dobiegający z ciemnego kąta biblioteki.

– Ile razy będę musiał cię jeszcze zabić, Wilson? – Clive uniósł broń i wycelował w tamtą stronę.

Kawałek cienia oderwał się od ściany i podpłynął do rewolwerowca. Wyglądał jak jedno z widm, które Clive spotkał na parterze, lecz miał o wiele bardziej zwartą formę – na tyle, że dało się go uchwycić wzrokiem, a nawet dostrzec niuanse grymasów oblicza.

Cień Wilsona nic sobie nie robił z uwagi na temat jego śmierci. Zbliżył się do stolika i przejechał cienistym palcem po wizerunku martwego prezydenta.

– Daruj sobie wymachiwanie tym żelastwem – syknął. – Obaj wiemy, że nie masz czym strzelać. Porozmawiajmy jak cywilizowani ludzie. No, może nie do końca ludzie, ale z pewnością cywilizowani.

Clive opuścił broń. Choć gardził Wilsonem, nie znał reguł Krainy Snów. Od jakiegoś czasu męczyła go świadomość, że nie rejestrował tu obecności Potencjału, jakby miejsce to pozostawało zawieszony gdzieś poza czasem, a nawet poza życiem. Po raz pierwszy od dawna zdał sobie sprawę, że jest prawdziwie bezsilny.

– Wes Campbell mówił, że bardzo przeżyłeś śmierć swojego prezydenta – westchnął Wilson. – Ciekawi mnie, czemu nie było cię tam, żeby go chronić.

Clive sięgnął do książki i zamknął ją z hukiem. Zbliżył się do Wilsona tak, że czuł jego chłodną aurę.

– Zapytaj swojego mocodawcę. Może przy okazji opowie, jak złamał dane słowo i jak zamordował najbardziej prawego człowieka, którego nosiła ta ziemia. Ale zanim polecisz do niego, jak na grzecznego pieska przystało, pokaż mi, gdzie jest chłopak.

Cień zbył gniew rewolwerowca niedbałym machnięciem ręki.

– Daj spokój, Phillips. Zobacz, gdzie jesteśmy. To biblioteka, twoja świątynia, twój dom. Od jakiego czasu tułasz się od miasta do miasta, obcując z pleniącym się wszędzie plugastwem? Nie brakuje ci konwersacji z kimś nieco bardziej światłym niż te niedouczone szumowiny?

– Gdzie jest Morris? – Clive powtórzył z naciskiem. – Za chwilę moja cierpliwość się skończy, a wtedy, choćbym miał wypruć z siebie ostatnie pokłady mocy, zetnę cię na proch.

Cień Wilsona aż klasnął w dłonie z radości, choć gest ten nie wywołał żadnego dźwięku.

– Groźby! Co za wspaniałe groźby, kompletnie niemożliwe do zrealizowania! Niestety, cokolwiek chciałbyś zrobić, tutaj to nie zadziała. Tutaj jesteś w moim królestwie. Ale niech ci będzie, wiesz, jak bardzo lubię gry. Zagramy sobie w jedną.

– Żadnych gier.

– Ta będzie wyjątkowo prosta, uwierz mi. To nawet nie gra, tylko zwykła wymiana, jeżeli wolisz. Bo widzisz, tak naprawdę nie masz czym handlować. Nie możesz mi zagrozić, nie możesz zranić. Masz tylko słowa, lecz musisz je odpowiednio dobierać, żeby zadziałały. Zupełnie jak z twoimi zaklęciami, tyle że miernikiem mocy jest tu informacja. Powiedz mi tylko, czemu opuściłeś Lincolna, a ja zaprowadzę cię do rudzielca. Naprawdę, zżera mnie ciekawość, a tutaj jest ona jak cholerna tortura.

Clive zagryzł wargi. Cyniczny uśmiezek, który wykwitł na widmowej twarzy cienia, doprowadzał go do szału. Wiedział, że nie ma wielkiego wyboru.

– Abe... prezydent Lincoln przestał słuchać. Nie raz i nie dwa udowodniłem mu, jak przydatna jest magia. To dzięki niej znaleźliśmy kopie rozkazów generała Lee. Ot tak, porzucone i zapomniane. Oszczędłem, bo Lincoln wiedział, że wojna się kończy. Zainwestował w nią wszystko, co miał, aż odcisnęło to na nim straszne piętno. Ale on musiał dbać o wizerunek, a coraz więcej osób zadawało niewygodne pytania. Nie chciał stracić poparcia, gdyby wyszło, że sięga po wiedzę tajemną. W tym samym czasie Campbell wycofał się ze wspierania Konfederacji. Przynajmniej tak twierdził. Teraz wiem, że kłamał.

– Tę część akurat znam – przyznał Wilson. – Powiedzmy, że coś tam słyszałem o waszym pakcie. Dziwi mnie zatem twój upór, jeżeli chodzi o wywarcie zemsty. Lincoln przecież sam był sobie winien. Co więcej, jego czas i tak już się kończył. Zupełnie jak twój teraz.

– Był moi przyjacielem! – powtórzył Clive, akcentując każde słowo.

– Przyjaciół, który złamał dane słowo, prawda? Czy w zamian za pomoc nie miał przypadkiem finansować badań nad magią? Czy nie miał pomóc wprowadzić jej do kanonu nauk? Utorować wam drogę do wyjścia z cienia?

Clive spuścił głowę z rezygnacją. Spojrzał na książkę, w której opisane były dzieje wojny domowej, takie, jakie zapamiętać miała historia, a nie jakie on znał. Tajne stowarzyszenia, adepci wiedzy tajemnej pracujący po obu stronach, by przewidywać posunięcia wroga, naginać prawdopodobieństwo na nieprawdopodobną wręcz skalę. Mający do wykorzystania setki tysięcy ochotników, nieświadomie stawiających na szali Potencjał swojego życia. A wszystko to usprawiedliwiane przed władzami Kościoła przez wyższą konieczność.

– Tak.

– Bravo! – Wilson znowu klasnął w dłonie. – Dziękuję za szczerość. Odwdzięczam się zatem tym samym. Proszę tedy, poszukajmy razem młodego



Morrisa.

Wyszli z biblioteki i ruszyli długim korytarzem. Clive szedł za prowadzącym go cieniem, czując ciężar przywołanych wspomnień. Ogarnęło go potworne zmęczenie, sprawiając, że kończyny zrobiły się ciężkie, jakby odlano je z ołowiu. Wiele silniejsze niż zmęczenie okazały się podejrzenia. Coś było bardzo nie tak. Gospodarz zbyt ochoczo przystał na doprowadzenie go do Morrisa.

– Fascynujące miejsce, nie sądzisz? – zagadnął Wilson. – Z grubsza odzwierciedla mój stary dom, ale, jak wiesz, oddałem go w posiadanie Campellowi w zamian za dostęp do części jego wiedzy. Po śmierci, tej drugiej, ma się rozumieć, znalazłem się właśnie tutaj. Oczywiście w rzeczywistości dom tak nie wygląda. Jest mniej wymuskany. Przestrzenie są mniejsze, biblioteczka nieporównywalnie uboższa. Mam wrażenie, jakby to, co widzimy, było bardziej odbiciem wnętrza Wesa Campbella niż moim.

– Za dużo gadasz – mruknął Clive.

– A ty najwyraźniej za bardzo nasiąkałeś Zachodem. Nie lepiej było wracać do Nowego Jorku lub Bostonu, uczyć na uniwersytecie? Podczas wojny tak bardzo rozsmakowałeś się w odbieraniu życia, że nie możesz już bez tego wytrzymać, prawda? Zakładam, że kusi cię moc, która za tym idzie. Nie musisz odpowiadać, bo w sumie doskonale cię rozumiem. Wiesz, że Lee też miał dar? Spotkałeś go? Campbell podobno nad nim pracował, ale tamten był cholernie uparty i...

Huk wystrzału dobiegający zza drzwi prowadzących do jednego z pokoi przerwał wypowiedź Wilsona.

– O, jesteśmy na miejscu – uśmiechnął się cień i sięgnął ku kłamce.

Weszli do sypialni, z której można było przejść na obszerny balkon z tyłu budynku. W pomieszczeniu Clive zauważył wyraźne ślady wskazujące na obecność Morrisa. Na stoliku leżał jego melonik, częściowo przykrywający rozłożone karty do pokera.

Kolejny strzał zadudnił echem, a zaraz za nim dał się słyszeć triumfalny śmiech Morrisa. Na balkonie bowiem odbywała się lekcja strzelectwa. Bliźniaczy cień Wilsona instruował tam chłopaka, który trenował ze swoim rewolwerem. Strzelali do czaszek ustawionych na przeciwległej barierce balkonu.

Clive spojrzał na prowadzący go cień, a ten uśmiechnął się, wzruszył ramionami i zniknął. W tym samym momencie Wilson stojący przy Morrisie zrobił się jakby pełniejszy, odwrócił głowę do rewolwerowca i uśmiechnął się promiennie.

– Brawo, chłopcze – powiedział przymilnie. – Prosto między oczy. Teraz spróbuj zestrzelić wszystkie sześć na raz.

Nie wiadomo jak ani skąd na barierce pojawiło się sześć czaszek ułożonych w nieregularnych odległościach od siebie. Morris prychnął ze szczeniacką pewnością siebie. Nie wznosząc nawet broni, strzelił z biodra. Nacisnął spust, po czym błyskawicznie odciągnął kurek sześć razy, perfekcyjnie strącając wszystkie cele.

– Brawo! – cień nagrodził go klepinięciem w ramię.

Dopiero teraz Clive zwrócił uwagę na wygląd chłopaka. To nie był Morris z ostatnich dni. Był to o wiele młodszy Morris, pucułowaty rudzielec o nieco naiwnym spojrzeniu.

– Clive – przywitał się nieco chłodno. – Co ty tu robisz?

– Przyszedłem po ciebie. Nie powinno cię tu być.

– A kto tak mówi? Ty?

Słowa Morrisa wywołały niepokój, ale i ukłucie gniewu. Clive chciał podejść do niego, lecz powstrzymała go zacięta mina chłopaka oraz fakt, że ten nie opuścił jeszcze broni.

– To nie jest rzeczywiste – Clive uniósł ręce przed siebie, tak by były dobrze widoczne. – To nie jest twój dom, prawda?

– Nie jest – przyznał Morris. – Ale to najlepszy dom, jaki w życiu miałem. Zostałem tu przyjęty i ugoszczony. Pułkownik dba o mnie, uczy i szanuje. Nie tak jak ty.

– Dba? – zdziwił się Clive.

– W tym miejscu czas płynie inaczej – wyjaśnił cień Wilsona. – Mieliliśmy okazję całkiem niezłe się poznać, choć początki rzeczywiście można uznać za trudne.

Clive rzucił gniewne spojrzenie w jego kierunku.

– Zapomniałeś już, co on zrobił, Morris? Zabił Shelly Rice, matkę Mary.

– A ty zabiłeś męża Cherie – zripostował Morris. – I ludzi pułkownika. I Bóg jeden wie ilu jeszcze. Obaj macie krew na rękach.

Cień Wilsona zacisnął zęby w udawanym grymasie.

– Zrobiło się jakby niezręcznie, co?

– Morris, muszę cię stąd zabrać – nalegał Clive. – Leżysz teraz w naszym świecie, zimny i bez ducha. Ty umierasz.

Tym razem to chłopak uniósł broń. W instynktownej reakcji rewolwerowiec uczynił to samo.

– Chcesz mnie zabrać? Zabrać ze sobą i w odpowiednim momencie odebrać moc, prawda? – wycedził przez zęby Morris. – Nigdzie nie idę. Tu mi dobrze.

– Chyba nic tu po tobie, Clive – westchnął z teatralną manierą Wilson. – To całkiem imponujące, że tu dotarłeś, ale obawiam się, że będziesz musiał opuścić to miejsce.

Clive schował broń. Pokonany stracił rezon, ponieważ nie znajdował w sobie żadnych argumentów, którymi mógłby przekonać zaślepionego chłopaka.

Nagle w głowie zaświtała mu pewna myśl.

– Gdzie jest twój cień, Morris?

– Co?

– Gdzie jest twój cień? Spójrz na siebie. Nie wyglądasz jak te upiory, co się tu wałęsają. Nie czujesz się niekompletny? To tutaj to tylko twoje śniące ja, jaśniejące mocą Potencjału. Ale ja wiem, że tam, gdzie jest światło, jest i cień – mówiąc to, Clive wyciągnął rękę. Siłą woli zmusił rezydujące w nim cienie, aby wychynęły na zewnątrz, zatańczyły, szukając źródła pożywienia niczym głodne czerwie. – To są cienie – wyjaśnił. – Tak, odebrałem wiele żyć, a z każdym cząstkę mocy, którą nazywamy Potencjałem. Tyle że przepuszczałem je przez siebie, żeby ładować zakłętę przedmioty, a kiedy to robiłem, cienie zmarłych przyczepiały się do mnie, wypaczając i wypychając na zewnątrz mój własny cień. Dlatego wiem, że one tkwią w każdym z nas. Spójrz na Wilsona, nie jest taki jak ty czy ja. Jest tylko cieniem samego siebie. Pozostałością i nędznym upiorem.

– Hola! – zaprotestował Wilson. – Wypraszam sobie!

– Prawdziwy Wilson już nie żyje – kontynuował Clive niezrażony. – Zabiliśmy go razem. To tylko jego duch, który cię nawiedza. Przyssał się do ciebie jak pijawka, próbując zastąpić twój własny cień, żeby mieć dostęp do twojej mocy. Więc pytam, chłopcze: gdzie jest twój cień?

Widmo pułkownika Wilsona poruszyło się nerwowo. Nachyliło się do Morrisa i syknęło mu do ucha:

– Nie słuchaj go, dzieciaku. On chce tego, co masz w sobie. Ja nic nie chcę, bo przecież nie żyję. Może i umierasz, ale to, co mamy tutaj, w zasadzie będzie trwało w nieskończoność. Zobacz, ile się już nauczyłeś. Nie chcesz więcej?

Zdezorientowany Morris odsunął się od Wilsona, ale nie opuścił broni. Teraz celował raz w cień pułkownika, a raz w Clive'a.

– Obaj chcecie tego, co mam – jęknął. – Obaj jesteście jak pijawki.

– To prawda – przyznał Clive. – Po to cię zabrałem ze sobą. Ale miałeś być tylko zabezpieczeniem, w razie gdyby Campbell okazał się zbyt silny. Gdyby mi się udało go powstrzymać, poszedłbyś w swoją stronę.

– To niezbyt pocieszające – prychnął Morris. – A ty – zwrócił się do Wilsona – ty nie żyjesz. Nie widziałem, jak umierasz, ale widziałem, jak zdychało to coś, w co się przemieniłeś. Gdzie jest mój cień, czy jak to tam się nazywa?

– Nie ma go – pułkownik wyszczerzył przymilnie zęby. – Odesłaliśmy go razem. Teraz ja jestem twoim cieniem. Innego nie potrzebujesz.

– To prawda? – Morris zwrócił się do Clive’a.

Rewolwerowiec zacisnął dłoń, a kłębiące się w nim cienie wniknęły z powrotem w ciało.

– Myślę, że po części tak. On jest w tobie, ale to ty go kontrolujesz, nie on ciebie. A twój cień gdzieś tam nadal jest. Próbowałem cię obudzić i widziałem, jak się miota, walcząc pewnie z tym czymś – Clive wskazał na Wilsona. – Ale ty nie musisz walczyć. Wystarczy, że będziesz miał wolę.

– Nie słuchaj go! – syknął pułkownik. – On chce cię omamić. To wszystko dla niego jeden wielki eksperyment. Ja też byłem jego eksperymentem, niech ci powie. Niech wyjaśni, co sprowadził na Prosperity...

Morris cofał się coraz bardziej, aż natrafił na barierkę balkonu. Niepewność w jego oczach i strach wyrażały skrajne zagubienie w potwornej nierzeczywistości, każącej mu kwestionować wszystko, co znał. Spojrzał w niebo, w kłębiące się szare chmury. Zerknął na budynek, na wznoszące go czaszki.

– Co to za koszmar?

Ziemia się zatrzęsała, a konstrukcja budynku jęknęła ze zgrzytem trących o siebie kości. Morris zachwiał się i złapał barierki. Nagły powiew wiatru rozgonił chmury, by ukazać monstrualny kształt wpływający na nieboskłon. Patrzył tysiącami oczu, sięgał w dół, łapczywie szukając ofiar.

– Nie! – zawył przerażony Wilson. – Jeszcze nie teraz!

Clive złapał osłupiałego Morrisa i pociągnął do wnętrza trzęsącego się budynku.

– Uciekamy! – krzyknął, nie oglądając się za siebie.

Morris spojrział. Zobaczył cień pułkownika schwytyany przez mackowate ramiona gigantycznej bestii górującej nad światem jego koszmaru. Widział, jak jest rozrywany na strzępy i przetwarzany. W mgnieniu oka na balkonie pojawiła się mroczna wyrwa prowadząca na płaskowyż pełny bezkształtnych potworności. Jedna z nich ruszyła, by przedostać się na zewnątrz.

– No już, nie zatrzymuj się! – Clive pociągnął go mocniej.

Wybiegli na korytarz i pomknęli ku schodom. Budynek chwiał się, miotany ogromną siłą, jego ściany pękały, obrazy spadały na podłogę.

– Jak możemy stąd uciec? – Morris próbował przekrzyczeć łoskot walącego się domu. – Nie wiem nawet, gdzie jesteśmy!

– Larry! – zawył Clive.

– Jestem Morris! – poprawił go chłopak.

Rewolwerowiec machnął ręką, żeby mu nie przeszkadzać.

– Larry! Zabierz nas stąd!

Siła monstrialnego bytu rozrywała budynek, jakby ten zbudowano z papieru. Belka po belce, ściana po ścianie. Dokoła sypały się kości i czaszki. Spanikowane cienie służby i domowników pierzchały, a te, którym się nie udało, były łapane przez macki sięgające z nieba i przetwarzane na kolejne bramy do świata koszmarów.

– Larry, żesz do jasnej cholery!

Stali w pozostałościach głównego korytarza domu. Droga ucieczki została odcięta przez zgliszcza. Z piętra wylał się bezkształtny koszmar zrodzony z cienia pułkownika Wilsona. W odruchu desperacji Clive i Morris wyciągnęli ku niemu broń. Stwór zatrzymał się, jakby stanęła między nimi niewidzialna ściana.

– Ja... – szepnął przerażony Morris. – Ja go czuję...

– Larry!

\* \* \*

Pojawili się pośrodku cmentarzyska Choctaw. Po czystym niebie znowu latały kościane ptaki, a łuna dobywająca się z pogrzebowych platform malowała okolicę na fantazyjne kolory.

– Wybaczcie, panowie – Larry uśmiechnął się niewinnie. – Jak się okazuje, ocean jest cholernie piękny...



## ROZDZIAŁ 9

# RZECZ, KTÓREJ BYĆ NIE POWINNO

*Skosztowałem gorzkiego owocu wiedzy, który, niczym w biblijnych przypowieściach, niewiele miał wspólnego z mądrością, a stworzono go, by testować wiernych. Mądrość bowiem przyszła do mnie dopiero w momencie porażki – choć od lat eksploruję to, co ukryte, opisuję owe dziwa i grozę, w swojej absolutnej ślepcocie odrzuciłem istnienie wszelkich bogów czy innych sił większych niż ludzkie pojmowanie. A oni tam są, nie kieruje nimi żadna myśl podobna ludzkiej ani nic, co moglibyśmy uznać za poczucie moralności czy zdrowy rozsądek. Bogowie, a może li tylko obcy nam mieszkańcy innych sfer egzystencji, tam właśnie są i zdają się równie ciekawi nas, co my ich.*

*Wrota prowadzące do ich światów znajdują się bliżej niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Przeklętym po stokroć, że choćby musnąłem wiedzę o tym, jak znaleźć klucze do ich domostw.*

Clive K. Phillips, *Rzecz, której być nie powinno*

Larry stał przed chatą, wpatrzony w niezwykle dziwy, które ukazywała przed nim Kraina Snów. Z rozwartymi ustami i głupawą miną przeglądał się w majestacie morza gwiazd, przeplatanych zorzą istnień, które przeminęły, a które czekały, by razem ze słońcem odejść na zachód do Krainy Duchów.

Był z nimi również Chaliis. Uczucie dumy malowało się na pomarszczonej twarzy starego szamana. Poklepał ucznia po ramieniu i ruszył w kierunku swojej

wieży pogrzebowej, by oczekiwać na moment odejścia w zaświaty. Zatrzymał się tylko przed Clive'em. Poprosił, aby rewolwerowiec nachylił się do niego, a potem szaman wcisnął mu w dłoń jakiś przedmiot i wyszeptał parę słów do ucha. Następnie odszedł.

– Nie wiem jak wam, panowie, ale mnie to chce się pić – z nerwowym uśmiechem oświadczył Larry.

Clive przytaknął z ulgą. Wiele już widział, wiele przeżył, lecz to, czego doświadczył w Krainie Snów, przerastało jakąkolwiek przygodę, biło na głowę najgorszy koszmar i wydawało się zarówno bluźniercze, jak i niesamowite.

Martwiła go cisza ze strony Morrisa. Chłopak nie odzywał się, obserwował tylko. W jego cokolwiek odmienionym spojrzeniu czaiło się coś na kształt poczucia straty. Zdawać się mogło, że tęsknił już za miejscem, gdzie po raz pierwszy w życiu dobrze go traktowano.

– Wracajmy – Clive westchnął z ulgą.

Larry zbliżył się do niego.

– A... Chaliis powiedział ci może, jak mamy wrócić? – zapytał niepewnie.

Oczy Clive'a rozszerzyły się w wyrazie zaskoczenia. Wyglądał, jakby chciał udusić szamana.

– Jak to, nie wiesz, jak mamy wrócić?!

– Przecież jestem tu pierwszy raz! – oburzył się Larry. – Chaliis wchodził w trans, a później... no, zwyczajnie budził się. – Odwrócił się w kierunku, w którym odszedł jego mentor. – Wracaj tu, ty stary pijaku! Jak mamy stąd wyjść, do jasnej cholery?!

Chaliis jednak się nie zatrzymał, nawet kiedy Larry zaczął rzucać w jego stronę kolorowymi kamieniami i wrzeszczeć jak opętany.

– To sen, prawda? – cichym tonem skrzywdzonego człowieka odezwał się Morris.

– Oho, kolejny geniusz – kwaśno skwitował Larry. – To Meksyk. Byłeś kiedyś w Meksyku? Nie? No więc to właśnie tak wygląda. Kolorowe światełka, ptaki zrobione z kości i wizje jak po grzybkach.

– Chodzi mi o to, że gdzieś muszą być nasze ciała, prawda? – Morris nie zareagował na paplaninę Indianina. – Clive mówił coś o jakiś cieniach. Mówił, że każdy je ma. Może te cienie są przy naszych ciałach.

– Ty to masz łeb – Larry pstryknął palcami. Zwrócił się w kierunku swojego domu i aż krzyknął ze strachu. Zza chaty wyszedł rumak Clive'a. – Co do... Tego to już za dużo...

Koń nie wyglądał jak cień zwierzęcia, a, co więcej, prezentował się jeszcze bardziej dostojnie niż w rzeczywistości. W jego przerażająco inteligentnych, czarnych oczach

odbijało się nieskończone morze gwiazd.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – sapnął Larry, bojaźliwie omijając zwierzę.

– Mnie dziwi – niezrażony Morris podszedł do rumaka. Położył dłoń na jego pysku, pogłaskał po zimnych chrapach. – Żaden ze stworów, które widziałem w tym świecie, nie przypominał prawdziwego zwierzęcia. Ale ten tutaj jest jak żywy.

Koń pochylił głowę, pozwalając na pieśczoły, a potem zadziornie skubnął ucho Morrisa, wywołując u chłopaka smutny uśmiech.

– Czasem myślę, że jest w nim więcej ludzkich uczuć niż we mnie – skwitował Clive, przechodząc obok. Rumak tylko parsknął, jakby chciał potwierdzić.

We wnętrzu chaty zastali swoje cienie znajdujące się dokładnie w miejscu, gdzie w rzeczywistości przebywały ich ciała. Cień Morrisa nie wyglądał jak pucułowaty chłopak, tylko jak szczupły, młody mężczyzna. W miejscu Clive'a ziała pustka pełna kotłujących się niczym węże cieni, układających się jedynie w kształt człowieka.

– Czemu twój cień tak wygląda? – zapytał Morris.

– Ten prawdziwy chyba stoi na zewnątrz – wyjaśnił rewolwerowiec. – Ale ja sam do końca tego nie pojmuję.

Pierwszy powrócił Larry. Wystarczyło, że dotknął swojego cienia i połączył się z nim, po czym zniknął. Morris poszedł w jego ślady. Clive zawahał się, ponieważ po raz pierwszy zobaczył siebie od tej drugiej strony, a widok ten wstrząsnął nim do głębi. Przez całą podróż po tej krainie czuł w sobie owe cienie, lecz dopiero teraz zobaczył, jak mocno wpłynęły one na jego jestestwo, jak mocno wyzarły go od środka.

Otworzył dłoń, w której szaman zostawił mu amulet zrobiony z kości ptaka z Krainy Snów. Przedmiot wyglądał niepozornie, jak rzeźbiona czaszka pisklęcia nanizana na rzemień, przez który przepleciono paciorki i pióra twarde niczym kość. Amulet dawał ciepło, a sam jego dotyk przynosił spokój, pomimo niezwyklej fascynacji, którą wywoływały drobne glify zdobiące większość jego elementów.

Clive dotknął swojego cienia. Poczł dreszcz, zimno i ból. Oblała go ciemność, a potem zassała niczym wir wodny, odbierając oddech. Mimowolnie zaczął walczyć, niczym topielec bezskutecznie próbujący przemóc siłę wodnego żywiołu. Przegrywał tę walkę, odchodził w nicość, zdając sobie sprawę, że coś poszło bardzo nie tak. Zapadał się. Znowu czuł porażające spojrzenie istoty z nieboskłonu. Pozbawiony sił, z bolesną rezygnacją przestał walczyć. Wtedy właśnie usłyszał rzenie swojego rumaka. Poczł, jakby coś szarpnęło go za kołnierz, i otworzył oczy.

\* \* \*



– Co powiedział ci... ten stary dziad, którego imienia nie wspomnę? – dopytywał Larry podczas kolacji.

Słońce już zachodziło, a oni rozpalili ognisko przed wejściem do chaty. Na próżno wyglądali tych samych gwiazd i kolorów, które zachwycaly ich w świecie snów. Rzeczywistość zdawała się ostra, zimna i cholernie głośna. Posiadała też zapachy, których, jak sobie zdali sprawę, nie czuli w Krainie Snów i za większością by nie tęsknili. Lecz nawet w świecie uznawanym przez nich za rzeczywisty, z grozą spoglądali na cienie rzucane przez strzelające ognisko. Zupełnie jakby obawiali się, że zaraz ożyją i wyciągną ku nim lepkie macki.

– Dał mi naukę – Clive zważył w dłoni amulet, z którym się obudził.

– No ale jaką?

– Powiedział, że próbuję rzeką zgasić świecę, a czasem wystarczy kropla, by pokonać pożar.

– Pieprzony staruch, zawsze mówił zagadkami – parsknął Larry i pociągnął solidny łyk samogonu.

– Ja chyba rozumiem – odezwał się Morris. – Myślę, że chciał ci przekazać, że jesteś zbyt rozrzutny z wykorzystaniem mocy Potencjału. Robisz nieprawdopodobne rzeczy, przetwarzając ogromne pokłady energii. A być może sęk tkwi w tym, żeby umieć z niej korzystać mądrze, prawda? Pamiętasz eksperyment z orłem i reszką? Sam mówiłeś, że to niewiele kosztuje. Może inne rzeczy nie są aż tak drogie, jak ci się zdaje?

Clive przysunął amulet bliżej źródła światła i przyjrzał się glifom pokrywającym czaszkę ptaka. Choć nie wiedział, jakie właściwości ma przedmiot, podświadomie rozumiał znaczenie rytów. Były podobne do tych, które pokrywały jego ciało, lecz o wiele bardziej subtelnie podchodziły do operowania energiami. Korzystały z nich oszczędniej, choć nie skupiały się na żadnym konkretnym celu, a raczej na wszystkim dookoła.

– Zbadamy to – zwrócił się do Morrisa. – Razem, jeżeli pozwolisz.

Chłopak nie odpowiedział. Wpatrywał się w ogień, myślami powracając do chwil spędzonych w Krainie Snów. Ostatnie słowa pułkownika Wilsona jeszcze długo nie dawały mu spokoju. Mimo to, a może chcąc w spokoju pomyśleć, poszedł spać jako pierwszy, co oczywiście poskutkowało kąśliwą uwagą podchmielonego już Larry'ego, że przecież chłopak spał od kilku dni.

Clive postanowił skorzystać z być może ostatniej okazji i zadać Indianinowi kilka pytań.

– ...monstrualny, tak wielki, że przysłaniał całe niebo – opisywał istotę, która za nimi podążała. – Chwytał cienie i robił coś z nimi, jakby je modelował, wywracał na drugą stronę. A kiedy to zrobił, powstawało jakby okno do innego świata. I coś stamtąd przechodziło. Coś, czego nie da się opisać, bo nie miało jednej stałej formy, ale reagowało na myśli dostosowując się, jakby szukając kształtu w głowie tego, kto na niego patrzył.

Kiwając się już lekko na boki, Larry uniósł brwi w zdziwieniu.

– No, to brzmi strasznie! – burknął. – Ale nie mam pojęcia, o czym mówisz. Może to jakieś duchy lub demony, jak ten twój, no, wiesz – dyskretnym skinieniem Indianin wskazał miejsce, gdzie pał się rumak rewolwerowca. – Skąd go właściwie wytrzasnąłeś?

– Sam się przyplątał – przyznał Clive. – Któregoś ranka w drodze obudziłem się, a on tam był. Przypomina mojego konia, którego otrzymałem podczas wojny, ale tamten zginął od kuli. Teraz myślę, że to naprawdę może być mój cień, a właściwie coś, co wypęzło ze mnie i przyjęło taką formę. Jego prawdziwa natura pozostaje dla mnie zagadką, choć zaczynam się jej domyślać.

– Co za brednie – Larry czknął. – Choć może, kto wie, pewnie Chaliis...

– Miałeś nie wspominać jego imienia – przypomniał Clive.

Oczy Larry'ego zrobiły się na chwilę wielkie jak spodki. Rozejrzył się zaniepokojony, po czym przyłożył palec do ust, jakby sam siebie próbował uciszyć.

Tymczasem Clive kontynuował:

– A ta istota na niebie? To jakiś duch? Bóg? Słyszałeś o czymś takim?

Indianin milczał przez jakiś czas, marszcząc się, jakby usilnie czegoś szukał w pamięci chwilowo przyćmionej oparami alkoholu.

– Ch... no, sam wiesz kto opowiadał o mi kiedyś o *Nalusa Chito*. W języku Choctaw oznacza to Ten Wielki, ale my na niego mówimy też Pożeracz Dusz. To istota zrodzona z cienia, choć zapewne ona jest tym wielkim cieniem, który... no, jakby dał początek wszystkim innym cieniom – Larry zatoczył szeroki krąg ręką. – Rozejrzyj się. On jest wszędzie, tam, gdzie nie ma słońca czy blasku ognia. Za dnia też go widzisz, tam, gdzie coś przysłania światło słoneczne. Jeżeli czujesz smutek lub strach, nie chce ci się żyć, to znaczy że *Nalusa Chito* dotyka cię i zaczyna pożerać twojego *shilombish*. To taki... bóg kaca.

– Ale on nie próbował nas pożreć, tylko wrywał cienie i przyzywał te rzeczy z innego świata.

– A kto by zrozumiał, o co mu tak naprawdę chodzi? – Poirytowany Indianin machnął ręką. – Spójrz na mnie. Obieram ludzi z mięsa. Myślisz, że to ma jakiś sens? Ale robię to, bo taka jest tradycja. Może kiedyś się dowiem, po jaką cholereę ktoś to wymyślił.

Clive niechętnie przyznał Larry'emu rację. Jeżeli naprawdę istniały istoty wyższe, obce człowiekowi, zamieszkujące inne sfery egzystencji, to czy próby objęcia ich ludzkim rozumem nie były z góry skazane na porażkę? Człowiek może zrozumieć mrówkę, ale czy mrówka, nie mówiąc o zrozumieniu, w ogóle dostrzega istnienie człowieka? Czy ludzkie wybory, by ominąć mrowisko, zgnieść je butem lub wypalić, mogą być zrozumiałe dla insektów? Bo tym się właśnie czuł w obliczu tego, co tutejsi nazywali *Nalusa Chito* – nic nieznaczącym insektem.

Rano pożegnali się z Larrym, którego nawiedził najpotężniejszy kac w życiu – nie omieszkał on rzucić subtelnego komentarza o Pożeraczu Dusz i jego perfidnych próbach wpędzenia w melancholię, a wypowiedź tę zakończył barwną litanią klątw i wyzwisk pod adresem mrocznego bóstwa.

Postanowili zostawić na miejscu powóz Doca Martina, ponieważ konno mogli poruszać się o wiele szybciej. Zjechali ścieżką ku dolinie i ruszyli drogą, którą przyjechał tu Clive. Za plecami zostawiali cmentarzysko i sekrety Krainy Snów.

Morris nie odzywał się, co już samo w sobie wywoływało niepokój rewolwerowca. Clive zaś nie podejmował prób rozpoczęcia rozmowy, ponieważ wyczuwał w chłopaku ogromne napięcie. Trudno było sobie wyobrazić, co przeżył w Krainie Snów oraz jak długo jego duch tam przebywał. Nie ulegało wątpliwości, że tak abstrakcyjne przeżycie nie tylko ostatecznie otworzyło mu oczy na niezwykłą lub też ukrytą naturę otaczającego ich świata, ale i doprowadziło do przemyśleń, które miały szansę zaważyć na jego przyszłości. Naturalna zatem okazała się konkluzja, że chłopak musi pobyć trochę ze swoimi myślami.

Zatrzymali się na popas późnym wieczorem, obóz rozbili u podnóża pagórka porośniętego rzadkimi drzewami. Niedaleko płynął strumień, a jego przyjemne szemranie cudownie kołysało nerwy, pozwalając na chwilę zapomnieć o demonach i potworach. Podzielili się posiłkiem, nakarmili konie, a Morris nadal się nie odzywał. Zachowywał się niezwykle pewnie, jakby obozowanie nagle stało się dla niego rutyną. A przecież nie tak dawno temu sprawiał wrażenie nieopierzonego młokosa, dla którego każda wyprawa w dzicz mogła oznaczać marny koniec. Czy był to kolejny skutek czasu spędzonego z Wilsonem? A może tkwiło w tym coś jeszcze?

Coraz więcej natrętnych pytań męczyło Clive'a, wystawiając na próbę jego cierpliwość. Uznał w końcu, że zagadnie chłopaka przy śniadaniu. Opatulił się więc derką, głowę nakrył kapeluszem i zasnął, balansując pomiędzy ulgą a nieuchwytnym strachem związanym z tym, co może mu się przyśnić i ile z tego będzie pamiętał. Gdzieś tam bowiem czaił się Pożeracz Dusz wraz ze swoją armią koszmarów.

Clive nie potrafił powiedzieć, ile godzin udało mu się przespać. Męczyło go przecucie, silne, panicznie dopominające się o uwagę. Przez chwilę po przebudzeniu udawał, że jeszcze śpi. Oddychał miarowo, nasłuchiwał, a w tym czasie malował pod powiekami obraz otoczenia.

Okolice budziła się do życia, rześkie powietrze oznaczało poranek, a zapach tłącego się ogniska potwierdzał, że pora musiała być bliska świtaniu. Konie skubały nieliczne kępki zeschniętej trawy, nad strumieniem unosiła się poranna mgiełka.

Kamień zgrzytnął pod czyimś butem. Blisko, cholernie blisko. Clive zrzucił z siebie pled i sięgnął do olstra... Nie miał przy sobie broni.

– Musimy porozmawiać – odezwał się Morris głosem osoby, która nie przespała nocy, a czas ten poświęciła na głębokie rozmyślenia.

Kucną kilka kroków od Clive'a. W rękę trzymał rewolwer, lufą pocierał czoło, jakby starał się uspokoić myśl świdrującą mu umysł. U jego stóp leżała broń rewolwerowca. Pistolety zostały rozładowane i rozłożone na części, a nóż spoczywał w dostatecznie dużej odległości, by Clive nie zdołał do niego doskoczyć jednym susem.

– Co to ma znaczyć? – warknął Clive. – Wilson znowu cię opętał?

– Nie – Morris pokręcił głową. W jego oczach czaiło się coś, czego tam wcześniej nie było, coś na granicy obłądzenia, a może desperacji. – Odkąd uciekliśmy z tego snu, pewna rzecz nie daje mi spokoju. Myślałem o tym, próbowałem sobie jakoś wytłumaczyć i dochodzę tylko do jednego wniosku. Nie podoba mi się ten wniosek. Dlatego muszę to usłyszeć od ciebie.

Powoli i ostrożnie Clive podniósł się na łokcie, a potem do pozycji siedzącej. Nie śmiał zrobić nic więcej, ponieważ lufa pistoletu Morrisa spojrzała mu prosto w oczy.

– Co chcesz usłyszeć?

– Pułkownik Wilson zaraz przed tym, jak dopadło go... to coś, powiedział, że to wszystko to twój eksperyment. Powiedział, że sprowadziłeś coś do Prosperity. Co takiego miał na myśli?

Clive poruszył się niespokojnie. Przerazała go przemiana Morrisa. Czas, który spędził w Krainie Snów, musiał nie tylko zrównać się z tymi miesiącami, które

odebrała mu ekspresowa rekonwalescencja, ale i znacznie go przekroczyć.

Potwierdził skinieniem głowy, a odpowiedział głosem stanowczym, lecz pozbawionym wyższości czy agresji.

– To tylko gadanie złośliwego ducha. Nawet w ostatniej chwili próbował nas skłócić. Wie, że idziemy po jego mocodawcę i robił, co mógł...

– Ja po nikogo nie idę – przerwał mu Morris. – Przypomnę ci umowę, że miałem pomóc ci zobaczyć miasto duchów. Tylko tyle. Co do eksperymentu, to uważam, że jest w tym coś więcej niż tylko próba skłócenia nas. O to akurat sam zadbałeś. Zostawiłeś nas podczas walki i pojechałeś za Wilsonem. A potem wróciłeś późno, bardzo późno i do tego sam. Zacząłeś coś notować w tym swoim zeszycie.

– Notuję tam obserwacje i pomysły. To dziennik, który ma mi posłużyć do napisania kolejnej...

Morris wstał, lewą ręką sięgnął za pazuchę i wyciągnął notatnik Clive'a. Lufą pistoletu przerzucił kartki, tak by znaleźć odpowiedni zapis. Poranna szarówka oświetlała jego sylwetkę, w oczach odbijały się pierwsze promienie wschodzącego słońca.

Zaczął czytać:

*...schwywanie pułkownika Wilsona wymagało sporo zachodu, lecz szczęśliwie dopiąłem swego. W ostatnich chwilach wyjawiał mi miejsce przebywania Wesa Campbella, który, jak się okazało, zamieszkał w posiadłości ziemskiej kilka mil za Crucible. Postanowiłem zadać śmierć Wilsonowi, aby wymierzyć sprawiedliwość w imieniu mieszkańców Prosperity.*

*Wzrok mi się mącił, w głowie huczało. Być może był to wynik ogromnego stresu lub znużenie walką i pogonią. Znowu poczułem krew spływającą z nosa. Potwór, który zagnieździł się w mojej głowie, po raz kolejny poruszył oślizgłym cielskiem, przypominając o nieuchronności mojego losu. Z każdą chwilą, z każdym oddechem czuję, jak odbiera mi po trochu kawałki życia. Ile mogło mi go zostać?*

*W tej właśnie chwili zawładnęła mną myśl. Przypomniałem sobie historię opowiedzianą przez Doca Martina o jego przyjacielu, któremu na imię było Mort, a który na chwilę przewyciężył śmierć, by zadać rany swoim wrogom. Tamtego prowadziła czysta wola, taka sama jak ta, która każe mi brnąć dalej, by wyrzucić pomstę na moim wrogu. Podobna wola nadal tliła się w pułkowniku Wilsonie, lecz obaj wiedzieliśmy, że jego chwile są już policzone.*

*W jaki sposób Mort mógł animować martwe ciało? O czymś takim czytałem tylko w historii o szalonym chemiku i jego monstrum, lecz to była zupełnie inna opowieść. Animacja trupa. Z pewnością był to wyczyn, do którego Mort nieświadomie wykorzystał cały zgromadzony w sobie Potencjał. W ten sposób osiągnął coś, co efektem przekraczało moje najśmielsze wyobrażenia i zdawało się o wiele potężniejszym czarem nawet niż kompresja czasu.*

*A gdyby tak spróbować z Wilsonem? Co, gdyby ofiarować mu ładunek mocy, precyzyjnie wtłoczony weń dokładnie w momencie śmierci! Czy czysta wola utrzyma go wtedy przy życiu? A może wskrzesi ciało, by mógł funkcjonować w tej formie? Ile czasu będzie mógł przewyżczać śmierć? Kilka chwil jak Mort, a może znajdzie się sposób, aby mógł dłużej trwać w tym stanie?*

*Nacisnąłem spust, posyłając w jego ciało kulę silnie naładowaną Potencjałem. Wycelowałem tak, by przeszły organy, lecz nie wyleciała na zewnątrz. Patrzyłem potem, jak Wilson umiera, jak gasną ostatnie iskierki jego nędznego życia.*

*Mylilem się. Oczekiwałem przy nim długie godziny, odganiając padlinożerców, lecz nic się nie zdarzyło. Zabrakło mu woli? A może ładunek Potencjału był zbyt mały? Może oszukuję sam siebie? Może śmierci nie da się pokonać? Zostawiłem go tam na rozdrożu. Niech pożrą go sępy, na więcej nie zasłużył...*

Morris zatrzasnął notatnik i cisnął nim w rewolwerowca. Na jego niegdyś puciołowatej twarzy odmalował się wyraz gniewu graniczącego z obrzydzeniem.

– To ty go wskrzesiłeś! – wycedził. – Ty sprowadziłeś na Prosperity atak żywych trupów! Ci ludzie, którzy zginęli w tak potworny sposób... masz ich wszystkich na sumieniu. Jak możesz z tym żyć? Jak to możliwe, że jeszcze nie palnąłeś sobie w łeb?

Clive spuścił głowę. Trwał tak, choć słowa same cisnęły mu się na usta.

– Nie zaprzeczę. Prawda jest taka, że ciągle badam granice magii. Wiem tak niewiele, a korzystam z niej nader rozrzutnie – dotknął zawieszzonego u szyi amuletu otrzymanego od zmarłego szamana.

– To ma być wytłumaczenie?! Badasz? Eksperymentujesz?

– A jak myślisz, ilu ludzi musiało poświęcić życie, żeby lekarze wiedzieli, jak leczyć choroby? Jak operować? Ilu jeszcze umrze w imię nauki i lepszego jutra?!

W oczach Morrisa zaszklily się łzy gniewu.

– Brzydzę się twoją magią. Brzydzę się tobą, Wilsonem i Campbellem. Niech was wszystkich piekło pochłonie!

– Piekło nie istnieje, chłopcze. Na pewno nie takie, o jakim nas uczono. Nie byłeś na wojnie. Wojna to piekło. Zachód to piekło. Piekło tkwi w ludzkich umysłach

i przez ich działania wylewa się na ten świat. Magia może...

Morris zerwał się na nogi i wycelował w rozmówcę.

– Przystań! Przystań pieprzyć te swoje mądrości. Zastanawiam się, jak to się stało, że to wymyśliłeś? Jaki zły duch sprowadził na ciebie tę wiedzę?

– Wbrew pozorom nie jesteś daleki od prawdy – westchnął Clive. – Z tego, co mi wiadomo, od początku naszego stulecia odnotowano kilka, może kilkanaście przypadków czegoś, co nazwano Objawieniami. Nie chodziło o żadne zwiastowanie, ale o prawdziwe objawienie. Wiedza sama przybyła, jakby ktoś szeptał mi do ucha, co mam robić, gdzie szukać. Odkrywał karty dawno zapomnianej nauki. Potem metodą prób i błędów zacząłem pracę. Myślę, że inni, o których słyszałem, przeżyli coś podobnego.

– Ilu jest takich jak ty i Campbell?

– Nie wiem. Kilku? Kilkunastu na całym świecie? Campbell już zaczął szkolić uczniów, na pewno Wilsona. Pytanie, co z innymi.

– A ty? Miałeś uczniów?

– Tylko ciebie.

Morris jęknął ze wściekłości i zacisnął palce na rękojeści rewolweru tak mocno, aż mu zbieleły kłykcie.

– Nie jestem twoim uczniem! Nie godzę się na to! Zabierz swoje znaki, zabierz tę cholerną wiedzę, którą ty i ten pieprzony skurwiel wcisnęliście mi do głowy! Nie chcę ich!

– A myślisz, że ja chciałem? Myślisz, że to takie proste odbierać komuś jego czas na tej ziemi i przetwarzać w cuda? Każdy cud to czyjaś śmierć. Każdy czar to skradziony czas, w którym ktoś mógłby stać się lepszym człowiekiem, żałować albo i zadośćuczynić bliźnim. Przypominam ci tylko, że ja zabijałem ludzi wyjętych spod prawa. Prosperity to był wypadek.

Morris pokręcił głową, a w jego głosie zabrzmiało najprawdziwsze obrzydzenie:

– Wypadek? A mąż Cherie Tappert to też był wypadek?

– Byłem zdesperowany. Musiałem dopaść Campbella.

– Hipokryta! Pieprzony, zaślepiiony zemstą hipokryta! Powinienem wpakować ci kulkę w łeb.

Z kamienną miną Clive wstał i wyprostował się. Błady z wściekłości nie dbał już, czy chłopak użyje broni.

– Nie zrobisz tego. A ja nie pozwolę, żebyś mi przeszkodził – mówiąc to, wyciągnął rękę w kierunku Morrisa. Siłą woli sięgnął do glifu, którym naznaczył

chłopaka. Nie chciał odbierać mu mocy, chciał tylko dać nauzkę.

Zbyt późno zorientował się, że przecenił swój stan. Był zbyt słaby, podczas gdy Potencjał Morrisa, silny jak nigdy dotąd, lśnił energią niczym najjaśniejsza gwiazda w nocy. Clive nie miał do niej dostępu. Zamiast tego poczuł, że poprzez nawiązane połączenie to Morris sięga ku niemu.

Zaczęli się mocować, jeden przez drugiego próbując swoich sił w pojedynku woli. Pamiętając, jak cudem pokonał Wilsona, Morris napierał, skupiając się na przepelniającym go gniewie.

Clive walczył siłą doświadczenia, choć nie zdarzyło się jeszcze, aby ktoś stawiał mu taki opór. Z przerażeniem zauważył, że pierwotnie dzika siła Morrisa wzmagą się. Razem z tą rewelacją pojawiło się zwątpienie. Widział bowiem, że chłopak całkiem świadomie sięga do własnych pokładów Potencjału, by wzmocnić swoją wolę.

– Nie masz czym walczyć, Clive – Morris wiedział, że wygrywa. Nie chciał się tym, jedynie stwierdzał fakt. – Bez źródła mocy możesz skorzystać tylko z tego, co masz w sobie, a to się kończy. Twój czas się kończy.

– Tak to ma wyglądać? Będziemy ze sobą walczyć, kiedy powinniśmy sobie pomagać?

Morris naparł jeszcze mocniej, a Clive słabł, choć gdzieś w głębi czuł podziw dla niezwykłych pokładów woli, drzemających w tym niepozornym młodzieńcu. Chłopak korzystał z mocy rozważnie, delikatnie, zasilał wolę na tyle, by efekt nie odcisnął się na jego zdrowiu. *Wspaniale* – pomyślał i osunął się na kolano. W głowie mu zaszumiało, a w ustach pojawił się smak krwi. Stracił całą koncentrację, kiedy atak bólu wstrząsnął nim do głębi.

– Sam widzisz – Morris stanął nad rewolwerowcem. – Z każdą chwilą robisz się coraz słabszy. Masz wiedzę, ale niewiele więcej. Czy rozumiesz, że nawet ktoś bez doświadczenia potrafi cię pokonać? Czym właściwie chcesz walczyć z Campbellem? Jak wiele istnień masz zamiar poświęcić, by nie ulec własnej słabości?

– Dopadnę go – jęknął Clive i zaniósł się kaszlem. Na ziemię spadły krople krwi ciekającej mu z ust i nosa. – Choćby to była ostatnia rzecz, jaką miałbym zrobić!

– To z pewnością będzie ostatnia rzecz, jaką zrobisz – poprawił go Morris i natychmiast złagodniał. – Mam dla ciebie propozycję, nowy układ. Tu i teraz zapominamy o kradzieży konia, twoich i moich grzechach. Wyruszamy do Crucible, a stamtąd po Campbella. Załatwiamy z nim sprawę i jeżeli przeżyjemy, to nasze drogi się rozchodzą. Pójdiesz sobie gdzieś umrzeć w spokoju, nie niszcząc już nikomu życia. Przy odrobinie szczęścia zdechniesz w samotności, a nie zabity przez Cherie.



– A ty? – Clive wypluł krew na ziemię i otarł wykrzywione gniewem usta. – Wrócisz do Prosperity? Myślisz, że Mary cię zechce, i że tam osiądziesz? Ona prawie cię nie zna, ani ty jej. Jesteś dzieckiem. W głowie roi ci się miłość, a to niewiele więcej jak szczeniacka chuć.

– To już moja sprawa – Morris wyciągnął do niego rękę. – Ważne, żebyście ani ty, ani Campbell już nikogo nie skrzywdzili. Dopilnuję tego.

W głosie chłopaka zabrzmiała groźba, a mimo to Clive przyjął rękę i wstał. Wiedział, że Morris nie pozwoli mu już na żadne eksperymenty, a w razie konieczności wykorzysta każdą chwilę słabości, których Clive miał coraz więcej.

– Pisane są ci wielkie rzeczy, chłopcze.

Morris skrzywił się i splunął na ziemię.

– A kto powiedział, że ich chcę?

\* \* \*

Doc Martin stanął w strzemionach. Spoglądał na Fort Hopkins dostojnie okalający zielone wzgórze, z którego szczytu prawdopodobnie dało się już zobaczyć gęste lasy południa. Na maszcie, znajdującym się obok najwyższego budynku wystającego ponad mury, powiewał sztandar, dumnie prezentujący przybrudzone kurzem gwiazdy i pasy.

Już z tej odległości dało się zauważyć granatowe mundury nielicznych żołnierzy kręcących się po forcie. Na przedpolu, tuż nad płynącym tam strumieniem, pasły się konie. Pod drzewami zalegali niezbyt zajęci wypasaniem mężczyźni. Z komina kuchni fortowej unosił się dym, a przez bramę wyjeżdżał właśnie wóz prowadzony przez farmera, zapewne zaopatrującego żołnierzy w żywność. Wywoził drewniane kratki, bańki po mleku i skrzynki z sianem, w jakich zwykle transportowano jajka.

– Cholerna sielanka – Martin mruknął krytycznie i pokierował wierzchowca drogą w kierunku wartowni.

Lata spędzone w siodle kawalerzysty sprawiły, że na samą myśl o kontaktach z wojskiem dostawał mdłości. Nie chodziło o złe wspomnienia ze służby, bo ta sfera życia była akurat najbardziej poukładanym, mającym konkretne zasady sposobem funkcjonowania, który mu zwyczajnie pasował. Chodziło o wojnę, liczne walki i zadawanie śmierci, po tych wszystkich latach dogłębnie wpisane w jego osobę. O wyzbywanie się człowieczeństwa w bratobójczym konflikcie pomiędzy rodakami, gdzie zaciętrzewienie i krwawy amok wyznaczały rytm kolejnych potyczek, a żołnierzy posyłało pod bezpośredni ostrzał.

Jak przysłało na południowca, Martin walczył po stronie Konfederacji. Z południa pochodziła jego rodzina i choć nie należała do specjalnie majątnych, to w Luizjanie miała mały majątek, utrzymywany dzięki wysiłkom kilkudziesięciu czarnych, pracujących na plantacji tytoniu. Dla chłopaka wychowanego w tym środowisku posiadanie niewolników nie stanowiło tematu tabu. Przecież tak było od zawsze.

Prawda była też taka, że w gospodarstwie państwa Lee niewolnicy nie mieli na co narzekać. Czarni mieli lekką pracę, rzadko uciekali, zwłaszcza że ojciec brzydził się karami cielesnymi. Służące w domu chodziły zawsze uśmiechnięte i odnosiły się do rodziny z prawdziwym uczuciem, zwłaszcza piastunka Abigail. Ale to była tylko fasada. Ci ludzie również nie znali innego życia, nie mieli innego wyboru.

To, że każdy człowiek chce być wolny, Martin zrozumiał zaraz po bitwie pod Gettysburgiem. Przeżył beznadziejną potyczkę, ale dostał się do niewoli. Jako oficera traktowano go z należyтым szacunkiem, lecz nie można mu było zagwarantować zbytniego komfortu. Ranny, wstrząśnięty widokiem zmartwychwstałego przyjaciela, walczył z szaleństwem, które było niczym wściekły pies, za wszelką cenę próbujący wydostać się z klatki.

Resztę wojny spędził w niewoli. Wraz z innymi jeńcami musiał budować okopy dla unijnych żołnierzy. Zaczął wtedy zadawać sobie pytanie – kto bardziej tęskni za wolnością, ten, który miał ją i utracił, czy ten, który nie miał jej nigdy, lecz co dzień patrzył, jak inni z niej korzystają w najlepsze?

Po zakończeniu walk, które zwieńczył zamach na prezydenta Lincolna, Martin zrozumiał, jak bardzo miał dość: konfliktów, kaźni, okrucieństwa, projektowania coraz to nowszych narzędzi służących zabijaniu, z których poszycie pancernika wydawało się najbardziej humanitarnym przedsięwzięciem, bo przecież nie zabijało, tylko chroniło. Kuźnia gdzieś na krańcu cywilizacji brzmiała przy tym jak wybawienie.

Nieco z konieczności, a nieco z przekory wjechał do fortu jak do siebie. Brama pozostawała otwarta, niestrzeżona przez nikogo.

Przed budynkiem pełniącym rolę kuchni siedziało dwóch żołnierzy o niemożliwych do określenia stopniach, ponieważ mieli na sobie tylko spodnie i koszule. Obierali warzywa na obiad, gawędząc o sobie znanych tylko sprawach. Nieuczescani, nieogoleni, nie przypominali nawet wojskowych, a już sam zasłyszany urywek ich rozmowy zniesmaczył Martina i oburzył go niemiłosiernie.

Tymczasem widok przybyłego wywołał u żołnierzy prawdziwą konsternację, zupełnie jakby oprócz wieśniaków nikt nigdy nie pojawiał się w tym miejscu.

– Czego tu? – zawołał jeden z nich.

Martin spojrział na nich twardo.

– Przyjechałem rozmówić się z dowódcą – odparł, nie trując się nawet zsiadaniem z konia.

Już sam jego ton sprawił, że żołnierze się wyprężyli.

– Dowódca jest zajęty.

– Już nie jest. – Z budynku przeznaczonego na biuro i kwaterę wyszedł postawny mężczyzna o nieco zaokrąglonym brzuchu.

Dopinał właśnie guziki spodni, a zza jego pleców wychynęła speszona wieśniaczka i chyłkiem podreptała ku wyjściu z fortu. Mijając Martina, uniosła przerażony wzrok oczu pełnych łez.

– Porucznik Theodore J. Arkham – przedstawił się oficer, podchodząc nieco bliżej.

Na widok dowódcy Doc Martin zsiadł z konia. Zdążył już pobieżnie zlustrować placówkę na tyle, by wyrobić sobie o niej cokolwiek negatywne zdanie. Podwórko w nieładzie, obsada w rozchełstanych mundurach, dziwki, nawet dowodzący tu porucznik wyglądał na zapuszczzonego. Koszula opinała się na wyraźnie widocznym brzuchu, a zatknięty na pozostające w nieładzie długie blond włosy kapelusza wyglądał, jakby ktoś na nim usiadł i niedbale spróbował go naprostować. Ci ludzie tylko przypominali żołnierzy, lecz równie dobrze mogli być bandą wieśniaków nieudolnie podszywających się pod armię.

– Martin Lee – Doc przedstawił się, całkiem umyślnie nie wspominając swojego stopnia. Dowódca okazał się jednak na tyle spostrzegawczy, że sam wychwycił świadczące o tym manieryzmy.

– Wojskowy? Nosi się pan jak wojskowy, nawet bez munduru.

Martin przytaknął dosyć niechętnie:

– Kapitan drugiego pułku kawalerii, w stanie spoczynku.

– Czyżby krewny Roberta Lee?

Kowal poczuł, że robi mu się gorąco.

– Generała Roberta Lee – poprawił oficera.

– Z tego, co mi wiadomo, człowiek ten został pozbawiony rangi, a nawet obywatelstwa. Tyle że ja nie o to pytałem.

– Nie – odparł Martin. – Nie jestem spokrewniony z tym człowiekiem.

Porucznik Arkham zmrużył oczy i mlasnął, językiem próbując wydłubać coś spomiędzy zębów. Zwrócił uwagę na podłużne zawiniątko przytroczone do konia. Bezceremonialnie podszedł i pomimo ostrego spojrzenia Martina odwinął płótno, żeby obejrzeć rękojeść szabli.

– Kapitan – burknął oficer. – Kawalerzysta Konfederacji – dodał nieco głośniej i ostentacyjnie splunął na ziemię.

W oknach koszar pojawiły się ciekawskie twarze żołdaków.

– Wojna się skończyła – Martin wyciągnął rękę do porucznika. Jeszcze parę lat temu dałby mu w pysk i zażądał satysfakcji.

– Przegraliście.

Oczywiste stwierdzenie nadal brzmiało jak potwarz, lecz Martin nie opuszczał sękatą, spracowaną dłoń.

– Wszyscy przegraliśmy, poruczniku.

Oficer niechętnie odwzajemnił uścisk i poprowadził gościa do swojego biura, które znajdowało się w małym pokoiku drewnianego budynku, stanowiącego kwaterę dowódcy. Brudne okna jego gabinetu wychodziły na podwórze.

– No, to w czym mogę panu pomóc... kapitanie – porucznik rozsiadł się w swoim krześle i zarzucił nogi na biurko.

Wyciągnął z kieszeni chustkę, przetarł pot perlący się na czole, będący zapewne skutkiem bardziej wysiłku niż jakichkolwiek emocji związanych z niespodziewaną wizytą.

Martin usiadł naprzeciwko. Odetchnął, próbując wyzbyć się uczucia odrazy dla tego okropnego człowieka, który zachowaniem przynosił ujmę mundurowi, nieważne, czy granatowemu, czy szaremu. Jego biuro śmierdziało potem i podłym tytoniem.

– Na zachód stąd jest miasto, Prosperity.

– Daleko na zachód – mruknął porucznik, paznokciem pomagając sobie w usunięciu natrętnego obiektu zaklinowanego między żółtymi zębami.

– Nie tak znowu daleko. Dalej jest tylko Crucible, a potem to już Nowy Meksyk. Mieliliśmy w Prosperity problemy z lokalnym gangiem. Przydałaby się pomoc wojska.

– No widzę właśnie – porucznik wskazał lekko podkulone, lewe ramię Martina. Kował mógł już nim ruszać, lecz ranie daleko było do zagojenia się. – Ale skoro pan tu jest, kapitanie, to chyba już po kłopotach. Mam rację, czy uciekł pan stamtąd, żeby wezwać posiłki?

Po raz kolejny Martin poczuł, jakby ktoś napluł mu w twarz. Przełknął gulę goryczy, próbując powstrzymać wzbierający w nim wybuch słusznego gniewu.

– Nie do końca. Od ponad roku nie ma kontaktu z Crucible, a przez Prosperity wiódł szlak przewozu srebra z tamtejszej kopalni. Skutkiem tego padły prawie wszystkie interesy w mieście, lokalny gang zaczął się panoszyć...

– Z tego, co mi wiadomo – przerwał mu porucznik – to w Prosperity jest szeryf.

– Był – podkreślił Martin.

– A co się z nim stało? Kolejne podpalenie? Jakoś nie chce mi się wierzyć, że padł ofiarą gangu.

Doc Martin zacisnął usta. Nie podobała mu się postawa oficera. Mówił z nonszalancją, która zdradzała, że wie więcej o sytuacji niż chce pokazać.

– Nie, mieszkańcy miasta go zlinczowali, a dokładniej rzecz biorąc, powiesili razem z jego zastępcami.

Porucznik z wrażenia aż zdjął nogi z biurka. Oparł się na blacie, przywołując na twarz jadowity uśmiech. Deski mebla jęknęły żałośnie.

– A niech mnie, naprawdę? Dziwni zatem ludzie mieszkają w tym Prosperity, że najpierw wybierają szeryfa, a potem go linczują. Lumley musiał nieźle zaleźć im za skórę.

– To dłuższa historia – westchnął Martin. – Powiedzmy, że sobie zasłużył.

– To bardzo ciekawe, co pan mówi, kapitanie. Przyjeżdża pan do mnie i melduje, że mieszkańcy miasta zaatakowali legalnie obranego stróża prawa. Mam nadzieję, że nie należał pan do tłumu, który dopuścił się samosądu.

– Nie. Tego samego dnia miała miejsce potyczka z gangiem. Jak pan widzi, zostałem ranny i akurat gdy wieszali szeryfa Lumleya, byłem opatrywany.

– No pięknie – oficer splótł brudne palce. – Czyli motłoch mordował stróża prawa, a pan sobie leżał. Godzi to się tak? A może ma pan problem z lokalnymi władzami?

Martin zerknął za okno. Na podwórzu pojawiło się kilku uzbrojonych żołnierzy, którzy mimochodem kręcili się w okolicy biura, jakby nasłuchując. Od strony koszar szedł w ich stronę szczupły oficer w randze podporucznika. Gładko ogolony, ze starannie przystrzyżonym wąsem i schludnym mundurem zbliżył się do żołnierzy, fuknął na nich, aż pospieszyli do swoich zajęć, po czym skierował się do biura dowódcy.

– Szeryf współpracował z gangiem – wyjaśnił Martin. – Przymykał oko na ich wybryki, przyzwalał na gwałty i rozboje. Za poprzedniego szeryfa nic takiego nie

miało prawa się zdarzyć.

– No tak, tak. Chyba się spalił. Jak mu tam było?

– Rice, Paul Rice. Nie spalił się, tylko został poparzony, choć istotnie już nie żyje. Zginął dzień przed opisywanymi przeze mnie wydarzeniami.

Do biura wmaszerował podporucznik, stuknął obcasami. Widząc Martina, zmieształ się trochę, lecz, nie tracąc fasonu, wciągnął do niego rękę w powitalnym geście.

– Witamy w Fort Hopkins, kapitanie Lee.

– Dziękuję – Martin z wrażenia wstał i uścisnął podaną mu dłoń.

Nie dostrzegł w młodszym oficerze ani krzty wrogości, a jego regulaminowy mundur oraz nienaganna prezencja wskazywały, że jest prawdopodobnie jedynym kompetentnym żołnierzem w okolicy.

Porucznik Arkham jakby się ożywił.

– No właśnie, kapitanie Lee. Pan pozna, to mój zastępca, podporucznik Samuel Bradley. Panie Bradley, kapitan przyjechał nam donieść o samosądzie w Prosperity.

Martin obrzucił dowódcę fortu pełnym niedowierzania spojrzeniem.

– Nie w tym rzecz, panie poruczniku. Samosąd wynikał z konkretnych powodów, które panu wyłuszczyłem.

– A ja pana proszę – napuszył się porucznik – żeby pan mi nie zwracał uwagi. Nie jest pan czynnym wojskowym, a rangę to pan miał w wojskach Skonfederowanych Stanów, które prawi obywatele nazywali zwyczajnie buntownikami.

– Co to ma do rzeczy? Tłumaczę przecież...

– Na razie tłumaczy mi pan, że był świadkiem samosądu, do którego doprowadziła strzelanina, w której zresztą pan uczestniczył.

Młodszy oficer zbliżył się do biurka i nachylił ku dowódcy.

– Panie poruczniku – powiedział nieco ciszej – może powinniśmy wysłuchać kapitana Lee. Kto wie...

– To nie jest sprawa dla wojska – porucznik zbył go niedbałym gestem, nie bacząc na ton głosu. – Pan kapitan zostanie zatrzymany do wyjaśnień. Wyślemy telegram do Fort Worth, żeby przysłali tu oficera dochodzeniowego. Niech władze federalne się tym zajmą.

Słyszając to, Martin zerwał się z krzesła.

– Protestuję! Nie ma pan podstaw...

Przerwał mu widok pistoletu, który porucznik położył na biurku. Od jakiegoś czasu musiał go ukrywać pod blatem.

– Mam wszelkie podstawy – ziewnął oficer. – Panie Bradley, proszę odprowadzić kapitana Lee do karceru. Poczeka tam sobie na oficera dochodzeniowego. Jak dobrze pójdzie, to przyślą nam kogoś w ciągu kilku tygodni.

Młodszy oficer nie wyglądał na zadowolonego. Nie znalazł rozsądnych argumentów, pozwalających w tej chwili zmienić zdanie przełożonego, zwrócił się więc ku Martinowi. W żaden sposób mu nie zagroził ani nie wyciągnął do niego nawet ręki, tylko wskazał drzwi.

Wyszli z biura i pokierowali się na tyły fortu, gdzie w pobliżu latryny znajdował się niewielki budynek fortowego więzienia. Śmierdziało tam znacznie mniej niż można by przypuszczać, lecz małe było to pocieszenie.

– Panie Bradley – syknął Martin. – Nie wierzę, żeby pan nie widział, że coś jest tu nie tak.

Młody oficer nie zareagował. Wprowadził więźnia do karceru, zamknął go w niewielkiej celi i wyszedł bez słowa. Martin zaś usiadł ciężko na pryczy i z ironicznym rozbawieniem zauważył, że cela w zapyziałym Prosperity była czystsza i wygodniejsza niż ta tutaj. Z pewnością też lepiej tam pachniało.

Z niedowierzaniem Martin obserwował nieudolną organizację zajęć w Fort Hopkins. Karcer co prawda miał obecnie tylko jednego więźnia, lecz i tak nikt nie interesował się jego losem. Dopiero wieczorem tego dnia ktokolwiek do niego zajrzał. Znudzony żołnierz przyniósł miskę pomyj, będących najprawdopodobniej pozostałościami po kolacji. Zostawił ją razem z kubkiem wody i kawałkiem zeschniętego chleba, po czym oddalił się, nie słuchając niczego, co Martin mógł mieć do powiedzenia, ani nie odpowiadając na żadne pytania.

Jedzenie okazało się lepsze niż wyglądało, więc po pierwszym niepewnym kęsie kował pochłonął cały posiłek. Nieco pokrzepiony zaległ na pryczy, rozmyślając o chwilowo ograniczonych możliwościach działania.

Zdążył już całkiem mocno zapoznać się ze swoją nową kwaterą. Zwrócił uwagę, jak ciężko chodziła krata i jak mocno jęczała. Znakiem tego nikt nie dbał o metal, nie trudząc się nawet, by naoliwić niezbyt często używane zawiasy ani by odmalować pojawiające się tu i ówdzie wykwyty rdzy. Całe szczęście, nikt nie pomyślał też, by dla więźniów przygotować siennik, a zamiast tego zostawił tu prostą pryczę skleconą z drewnianych drągów i mocnego materiału. W innym wypadku siennik znalazłby sobie już nowych lokatorów w postaci myszy, przyniesionych przez nie pcheł lub, co gorsza, pluskiew. Sam przybytek zbudowano z grubych desek, a nie z bali drewna, tak jak choćby koszary czy kwaterę dowódcy. Martin nie omieszkał sprawdzić, jak solidne

są owe deski i czy mocno trzymają się na wbitych w nie kilkucalowych gwoździach. W tym wypadku z uznaniem stwierdził, że konstrukcja zdawała się całkiem solidna, a drewno zabezpieczono tak, by wytrzymało długie lata.

Dzień Martin umiał sobie obserwacją życia w forcie. Wyglądał przez uchylone drzwi, nasłuchiwał; nawet zmieniające się zapachy mówiły mu co nieco o częstotliwości gotowania posiłków i ich wydalania. A życie toczyło się tu nadzwyczaj leniwie.

Jedynym wyznacznikiem jakiegokolwiek dyscypliny okazał się podporucznik Bradley. Przechadzał się po forcie, strofował żołnierzy, wydawał rozkazy i sprawdzał ich wykonanie. Gdyby nie jego obecność, miejsce to przypominałoby raczej jakąś niedorobioną formę ośrodka wczasowego dla upośledzonych wojaków niż placówkę wojskową z krwi i kości. Oczywiście Martin miał świadomość, że podczas wojny rekrutowano kogo się dało, lecz konflikt zakończył się kilka lat wcześniej, a ludzie, z którymi miał teraz do czynienia, nie powinni tu być z przypadku.

W nocy przebudził się tylko raz. Zdawało mu się, że ktoś jest z nim w celi. Jakby jakaś ciemna postać kryła się w najczarniejszym kącie. Uznał, że to sen, lecz kiedy tylko zamknął oczy, instynkt zaczął krzyczeć do niego, że coś jest nie tak. Otworzył powieki już nieco bardziej świadomy i ciekawy. Był przekonany, że nie jest sam. Wstał i podszedł w tamto miejsce, lecz uczucie obecności już przeminęło.

Następnego dnia odwiedził go nie kto inny, jak porucznik Arkham. Dowódca fortu zaszczylił go swoją obecnością zaraz po przebudzeniu, czyli niewiele przed południem. Wszedł do więziennego baraku, z obrzydzeniem notując panujący tam smród, zupełnie jakby w jego biurze pachniało lepiej.

– Telegram wysłany – oznajmił bez zbędnych uprzejmości. – Poczekamy na odpowiedź i zobaczymy, kiedy oficer dochodzeniowy będzie mógł się do nas pofatygować. Nie liczyłbym na cuda. Zorganizowanie kogoś zajmie im nieco czasu.

Martin wstał z pryczy i zbliżył się do kraty, żeby oficer nie budował w swoim umyśle złudnego poczucia wyższości.

– Zapewne wystarczy, by przypudrować nieco ten burdel – uśmiechnął się z pogardą. – Chyba że pańska bezwstydnosc nie zna granic i uzna pan, że nie dba, co ktokolwiek znajdujący się na rzeczy pomyśli o tym miejscu.

Porucznikowi nawet nie drgnęła powieka. Odwrócił się do Martina plecami i butem odsunął znajdujące się na jego drodze wiadro.

– To najdalej wysunięta placówka wojskowa w Teksasie. Rotacji nie mamy tu praktycznie żadnej. W obszarze naszej jurysdykcji nie znajdziesz buntowników,



Indian, nawet przestępców jest jakoś dziwnie mało. Słowem, nic ciekawego. To tutaj to, że tak powiem, forma kolonii karnej. Trafiają tu same specjalne przypadki, którymi nikomu nie chce się przejmować, nikomu nie chce się z nimi pieprzyć, a wieszając ich szkoda. Cenię sobie ten fakt, bo dopóki Nowy Meksyk nie postanowi zrobić nic głupiego, to miejsce jest najbezpieczniejszym i najbardziej wygodnym kurwidołkiem w całym stanie, jeżeli nie na całym południu.

Z Martina jakby zeszło powietrze. Usiadł ciężko na pryczy i załamał rękę.

– Jesteś żaloszny, Arkham. Wiesz o tym? Przynosisz ujmę mundurowi i fladze.

Porucznik odwrócił się z błyskiem gniewu w oczach. Coś zmieniło się w jego postawie i ruchach. Przez ułamek sekundy wydał się zupełnie innym człowiekiem.

– I kto to mówi? Południowiec i buntownik? Kował z jakiejś obsranej dziury, Bóg jeden wie gdzie. Jedyne, co ma tam jakąkolwiek wartość...

Arkham ugryzł się w język, czując, że za chwilę powie za dużo. Wziął głęboki oddech, zgasił swój gniew. Nie zdołało to zbić Martina z tropu.

– Wiesz o Prosperity zadziwiająco dużo jak na człowieka, którego nigdy tam nie widziałem, a który, od kiedy pamiętam, nie wysłał tam ani jednego patrolu. Zatrzymałeś mnie z byle powodu. Jakby nie było ci w smak ruszanie tłustej dupy z za biurka, to pewnie byś mnie zignorował, kazał zabierać się stąd i nie siać popeliny. Ale ty postanowiłeś mnie zatrzymać. Jak dużo Wilson ci płaci za przemykanie oka na jego sprawę? O, przepraszam, płacił. Bo widzisz, pułkownik Wilson nie żyje.

Tym razem słowa Martina zdały się dotrzeć o wiele głębiej do porucznika Arkhama, bo mężczyzna stracił rezon, a nawet nieco pobladł. Wrażenie to trwało tylko chwilę, bo zaraz na jego twarzy zagościł wyraz ulgi.

– A więc ta konfederacka szmata w końcu gryzie glebę – smakował każdą sylabę wyplutej obelgi. – Podpowiesz mi, jak to się stało? Wspomniałeś o strzelaninie i linczu. Chyba nie ty go zabiłeś.

– Nie.

– No więc?

– No więc, jak chcesz się dowiedzieć, to jedź tam i sprawdź samemu.

Porucznik prychnął pogardliwie. Podszedł do drzwi wyjściowych, uchylił je i podejrzliwie wyjrzał na zewnątrz, jakby spodziewając się, że coś może tam się na niego się czaić.

– Nie mam zamiaru ruszać się w tamte okolice, kapitanie Lee. Pan raczej też już tam nie wróci, a na pewno nie w najbliższej przyszłości. Przynajmniej dopóki nie dowiem się, co mam z panem zrobić.

Martin zmrużył oczy. Potrafił wyczuć groźbę czającą się w słowach, a w tych, które usłyszał, zadźwięczał mu najprawdziwszy wyrok śmierci. Tyle że nie Arkhamowi było o tym decydować. On miał tylko wykonać rozkaz.

– Nie wezwałś oficera dochodzeniowego – stwierdził, wstając.

Podszedł do krat i zacisnął na nich dłonie, w myślach wyobrażając sobie, że robi to na gardle rozmówcy.

W odpowiedzi porucznik Arkham posłał mu krótkie spojrzenie. Nie wytrzymał jednak oskarżającego wzroku więźnia, zamrugał speszony i wyszedł ze spuszczoną głową.

Długie godziny mijały, a Doc Martin nie usiadł nawet na chwilę. Chodził po swojej małej celi pogrążony w rozmyślaniach. Bezskutecznie próbował ułożyć w głowie, co takiego mogło sprawić, że nawet oficer lokalnego posterunku był zamieszany w wydarzenia w Prosperity. Bo przecież musiał być. Samo to, że nie wysyłał w te rejony patroli, było co najmniej podejrzane, biorąc pod uwagę, jak blisko granicy stanu się znajdowali. Może Crucible zyskało już oficjalny status wymarłego miasta, lecz Prosperity w żaden sposób na to nie zasłużyło, przynajmniej do tej pory. Czy wydarzenia te miały związek z tajemniczym Campbellem, o którym wspominał Clive Phillips? Czy ten człowiek miał aż tak rozległe koneksje, by wykorzystywać do swoich celów takich ludzi, jak pułkownik Wilson – co by nie mówić, południowiec z krwi i kości – i mieć wpływ na jankesów pokroju porucznika Arkhama?

Martinowi nie układało się to w spójną całość. Nie ulegało wątpliwości, że cokolwiek jest przyczyną ostatnich wydarzeń, władze muszą się o tym dowiedzieć. Musiał uciec z tej przekłętej celi i wezwać pomoc. Może gdyby dostał się do placówki komunikacyjnej we Florence i nadał telegraf? Tylko do kogo? Bo przecież jechać do Fort Worth i samego Dallas brzmiało jak szaleństwo. Równie dobrze mógł planować wycieczkę do Waszyngtonu.

Wieczorem kolację przyniósł mu sam podporucznik Bradley. Najwyraźniej zawsze poważny i skupiony, wyglądał, jakby w pojedynkę próbował nadrobić brak wojskowej postawy całej obsady fortu. Przyszedł, bez najmniejszego zawahania otworzył kratę i podał więźniowi tacę z jedzeniem.

Przejęty beznadziejną sytuacją Martin nawet nie spojrzał na nieco lepszy posiłek niż ten, który zaserwowano mu dzień wcześniej. A znajdowały się tam świeży chleb, kawałek wędzonego sera, a nawet ciepłe jeszcze mięso.

– Pan wie, że dzieje się tu coś bardzo niedobrego – skonstatował, bo przecież tylko głupi lub ślepy by ignorował oczywiste fakty.

Podporucznik Bradley zdjął kapelusz i wsadził go pod pachę. Nawet w takiej sytuacji stał prosto z piersią regulaminowo wypiętą do przodu.

– Tak, jest mi to wiadome, kapitanie Lee. Obawiam się, że obaj znaleźliśmy się w bardzo trudnej sytuacji.

– Może mi pan jakoś pomóc? Jestem przekonany, że Arkham nie wysłał żadnego telegramu, a na pewno nie tam, gdzie trzeba. Władze o niczym się nie dowiedzą, więc nieważne, ile byśmy czekali, nikt się tu nie pojawi.

Oficer zacisnął wargi, miarkując możliwości działania. Ewidentnie nie było mu łatwo odnaleźć się w tej sytuacji.

– Cokolwiek bym dla pana nie zrobił, będzie to niesubordynacja. Został pan osadzony na wyraźny rozkaz dowódcy.

– Bezprawnie! Arkham nie ma żadnych podstaw, żeby mnie więzić. Każdy sędzia by mi przyznał rację.

– Ale tu nie ma żadnego. Dobrze pan wie, kapitanie, że tu panuje prawo wojskowe.

– Które nie ma zastosowania do tej sytuacji. Proszę zrozumieć, wasza obecność jest potrzebna w Prosperity. Miasto było zdominowane przez gang, ale już nie jest. Potem miały tam miejsce wydarzenia... – głos ugrzązł w gardle kowala.

– Jakie? – zainteresował się podporucznik Bradley.

– Nie uwierzyłby pan, gdybym opisał to, co widziałem. Nadal kwestionuję swoją poczytalność na samą myśl o tym, czego doświadczyłem. Ale wiem, co widziałem i to nie było normalne. Jeżeli to się powtórzy, ludzie sobie z tym nie poradzą. Proszę mi wierzyć – Martin pokręcił głową, widząc w oczach rozmówcy coś, co zinterpretował jako powątpiewanie. – Sam bym uznał siebie za pomyłonego, gdybym coś podobnego usłyszał.

– Proszę mi wszystko opowiedzieć – poprosił Bradley. – Obiecuję, że nie zakwestionuję pańskiej poczytalności. Słowo oficera.

Doc Martin przełknął ślinę. Rozmowa o wydarzeniach w Prosperity z ludźmi, którzy tam byli, to jedno, lecz opisanie ich komuś obcemu to coś zupełnie innego. Przerabiał to już przecież. Próbował zadawać pytania, szukać odpowiedzi wyjaśniających fenomeny, których był świadkiem na wojnie, a najuprzejmniejsze, z czym się spotkał, to wątpliwości. Posądzano go o przywidzenia, szaleństwo, herezję, a nawet o tchórzostwo. Bardzo nie chciał to tego wracać. Bądź co bądź, Bradley dał słowo honoru, a wyglądał na człowieka, dla którego honor był wszystkim.

Pomimo wątpliwości Martin opowiedział mu wszystko z najbardziej nieprawdopodobnymi szczegółami, tak jak to rozumiał, widział i zapamiętał. Wyłuszczył nawet swoje niejasne podejrzenia co do porucznika Arkhama i jego związku z całą tą sprawą.

Podporucznik Bradley od jakiegoś czasu siedział na odwróconym wiadrze, ponieważ dosyć długa i dziwna opowieść sprawiła, że nogi się pod nim ugięły.

– To istotnie niebывałe – westchnął ciężko. – I doceniam pańską szczerłość. Ale nie tylko, będąc wierny swojemu słowu, nie zakwestionuję pana opowieści, kapitanie. Powiem więcej, wierzę panu.

– Dlaczego pan to robi? – zdziwił się Martin. – Zniesmaczenie zgnuśniałym dowódcą to jedno, ale dawanie wiary szalonym słowom byle przybłądy jest zastanawiające.

– Nie jest pan byle przybłądą – Bradley oznajmił z przejęciem. – Jest pan kapitanem Martinem Lee z Drugiego Oddziału Kawalerii Wojsk Stanów Skonfederowanych, wielokrotnie odznaczonym między innymi za bitwę pod Vermillion Bayou, uczestnikiem projektu *Ironclad* i konstruktorem opancerzenia nowej klasy okrętów wojennych, pojmanym na wzgórzu cmentarnym pod Gettysburgiem.

Wszystko się zgadzało, co do joty. Doc Martin zamrugał, nie mogąc wyjść z podziwu.

– Pan mnie zna?

– Poniekąd – odparł Bradley. – Byłem wtedy ledwie gołowąsem, świeżo mianowanym kapralem, ale pamiętam doskonale. Wpadł pan w nasze okopy, prowadząc szarżę na umocnienia wzniesione na cmentarzu. Pana oddział został odcięty, to była przegrana sprawa, ale pan walczył jak demon. Nie zapomina się takiej odwagi, niezależnie od tego, po której stronie się stoi.

– Żadnego z nas nie powinno tam być – Martin przycichł na wspomnienie ostatnich chwil, jakie spędził z przyjacielem. Nie było dnia, żeby nie wyrzucał sobie, że gdyby zatrzymał się na chwilę, spróbował złapać kontakt z dowodzeniem, być może Mort nadal by żył.

– Ale to tylko element tego wspomnienia – Bradley ściszył głos, jakby bał się, że ktoś go usłyszy. – Pana towarzysza... ja widziałem, jak wstał, odniósł rany, których nikt nie mógłby przeżyć. Strzelaliśmy do niego, kłuliśmy bagnietami i siekliśmy, ale to on zadawał śmierć. Widziałem, jak w końcu pada pośród ciał rannych i pomordowanych. Nie miał połowy twarzy, w jego brzuchu ziała wielka dziura,

a skóra wielokrotnie przebita przez kule i bagnety nie przypominała już ludzkiej. A mimo to jeszcze się ruszał. Błagał pana, żeby zadał mu pan śmierć. Po bitwie ujęliśmy pana i odprowadziliśmy do więzienia. Nic pan nie mówił, bo przecież nikt by nie uwierzył panu słowom, oprócz mnie. Przez długi czas żyłem z tą tajemnicą, lecz w końcu nie dała mi ona spokoju. Sam zacząłem mówić o tym głośno. Uznano mnie za szaleńca i zostałem zesłany tutaj. Dlatego tak, wierzę w każde pana słowo.

Martin słuchał opowieści, próbując odgonić sprzed oczu obraz krzywiącej się, zmasakrowanej twarzy przyjaciela. Nie chciał słyszeć jego błagalnych jęków tylko z pozoru przypominających ludzkie. Nie chciał czuć w dłoni ciężaru rewolweru, odciąganego kurka i huku wystrzału, kiedy próbował dobić Morta. Bradley zaś opowiadał owe wspomnienia, doskonale oddając każdy szczegół, a pasja w jego głosie wykluczała jakiegokolwiek wątpliwości co do obecności w tamtym miejscu i czasie. Martin przypadł do krat, czując przyływ nadziei. Czyżby spotkał w tym nieprzyjaznym miejscu prawdziwego sprzymierzeńca?

– Proszę mi pomóc. Chyba rozumie pan, że muszę tam wracać. Moje miasto jest w potrzebie. Ci, którzy sprowadzili na nas te istoty, ciągle tam są. Musimy ich powstrzymać, żebyśmy mogli tam w końcu żyć w spokoju.

Podporucznik Bradley wstał i poprawił mundur. Jego twarz znowu przysłoniła maska powagi.

– Wierzę panu i szanuję pana, ale, jak już mówiłem, pomoc panu będzie oznaczała bunt, który, jak pan wie, karany jest śmiercią. Nadal jestem oficerem, a pan więźniem mojego przełożonego.

Kowal spuścił głowę z rezygnacją.

– Tak, wiem. Przepraszam. Doskonale pana rozumiem.

– Porozmawiam z porucznikiem Arkhamem – oznajmił Bradley. – Może uda mi się przemówić mu do rozumu.

– A co, jeżeli nie posłucha? Co, jeżeli jest skorumpowany?

– To wtedy będę miał podstawy, żeby podważyć jego decyzje.

Podporucznik Bradley pożegnał się i wyszedł, a Martin znowu został sam ze swoimi myślami. Nie wiedział, w jaki sposób młody oficer chce skonfrontować się z dowódcą. Sam zastanawiał się, jakby do tego podszedł? Próbował go zagadać, udać przejęcie sytuacją, jednocześnie ciągnąc Arkhama za język, tak aby ten w końcu powiedział o kilka słów za dużo? A może zapyta wprost, licząc na honor żołnierza lub, co gorsza, jego cynizm?

Tysiące pytań pozostało tego wieczora bez odpowiedzi. W międzyczasie Martinowi zdawało się, że zobaczył niewielkie poruszenie na podwórzu fortu, a nawet, że słyszy niewyraźne krzyki dochodzące z kwatery dowódcy. Cokolwiek to było, nie przyniosło tej nocy żadnego rozwiązania. Godziny mijały, księżyc wędrował po pozbawionym gwiazd nieboskłonie, rzucając mdlą poświatę przez zakratowane okno celi.

Podporucznika Bradleya nie było widać, a Martin nie potrafił zmrużyć oka. Stał przy kracie, patrząc przez szparę w drzwiach wejściowych, lecz jedyne, co mu się zdało, to że widzi widmową figurę poruszającą się na zewnątrz, tę samą, która nawiedziła go minionej nocy.

Pozostała może godzina do świtu, kiedy drzwi do więzienia w końcu skrzypnęły. Martin zerwał się z pryczy, w ciemności dostrzegając, że do budynku weszła jakaś umundurowana osoba.

– Panie Bradley? – szepnął. – To pan?

Do kraty zbliżył się żołnierz, jeden z tych, którzy niezbyt przyjemnie przywitali Martina, kiedy ten zajechał do fortu. Mężczyzna wyglądał na niezwykle przejętego, przestraszonego wręcz. Mundur miał niewprawnie dopięty, na ramieniu niósł karabin i podłużne zawiniątko.

– Proszę wybaczyć, kapitanie Lee – odezwał się cicho. – Przyszedłem pana uwolnić.

– O tej godzinie? – zdziwił się Martin.

Momentalnie zaczął wietrzyć podstęp. Być może Arkham chciał upozorować jego ucieczkę, by zastrzelić go bez potrzeby tłumaczenia się komukolwiek. Nikt by nie zadawał zbędnych pytań.

Żołnierz przytaknął nerwowo.

– Tak jest. Rozkaz podporucznika Bradleya – szepnął, przekręcając klucz w zamku. – W forcie dzieje się coś bardzo złego i lepiej, żeby pana tu nie było.

– Co takiego?

– Zaraz panu pokażę. Podporucznik Bradley prosił, aby pan nie reagował nerwowo, tylko uchodził stąd czym prędzej.

Zagadkowa odpowiedź nie była tym, co mogło pozbawić Martina wątpliwości. Zamiast tego wzbudziła jeszcze większy niepokój.

– Chyba tu zostanę – mruknął, nie ruszając się z pryczy. – Wolę to niż skończyć z bagnetem w plecach albo kulką w głowie.

Żołnierz obejrzał się na wejście. Otworzył kratę i wyciągnął rękę do więźnia.

– Pan nie rozumie. Musimy pana stąd jak najszybciej wyprowadzić. To był ostatni rozkaz pana Bradleya. Kazał to panu przekazać – mężczyzna zdjął z pleców podłużne zawiniątko, które podał kowalowi. Była to jego własna szabla, pamiątka po Morcie.

– Jak to ostatni rozkaz?

Niepokój Martina przerodził się w zimną determinację. Czym prędzej opuścił celę i w towarzystwie żołnierza zakradł się do drzwi wejściowych. Wychylili się na zewnątrz, a widząc, że nikogo tam nie ma, przemknęli do głównego placu fortu.

Znaleźli się pomiędzy budynkiem koszar a kuchnią. Z tego miejsca miało się dokładny ogląd na uchyloną bramę prowadzącą na zewnątrz, a nawet konia Martina, który czekał tam na niego.

Kowal rozejrzał się dokładnie. Nigdzie nie widział straży, nic nie wskazywało, żeby w okolicy kryli się żołnierze, którzy mieli wyskoczyć zniemacka jak przyjaciele szykujący przyjęcie niespodziankę.

Martin wziął głęboki wdech, ścisnął mocniej szablę i ruszył ku bramie. Był już w połowie drogi, kiedy zatrzymał się wpół kroku, rejestrując coś, czego nie widział wcześniej na tym placu.

Na środku fortu stał słup. Wcześniej trudno było zwrócić na niego większą uwagę, ot, drewniany kłoc, jakich mogło być tam wiele. Można było na nim wywieszać ogłoszenia, przytroczyć konie lub manekiny ćwiczebne. Można było też przywiązywać tam więźniów, ot tak, dla przykładu. Tej nocy słup znalazł to ostatnie zastosowanie. Do tego słupa bowiem przywiązany był mężczyzna. Nikt inny jak podporucznik Bradley.

Młody oficer wyglądał okropnie. Wycieńczony, prawie wisiał na łańcuchu uczepionym kajdan, w które go zakuto. Porwany mundur i posklejane krwią, zmierzwiłone włosy wskazywały, że go męczono. Oddychał płytko i chrapliwie.

Martin zignorował syczenie żołnierza i podbiegł do Bradleya – widok z bliska potwierdzał jego domysły – młodego oficera dotkliwie pobito. Twarz miał całą w siniakach i zakrzepłej krwi, która ściekała strużką wraz ze śliną płynącą z opuchniętych warg.

– Bradley! – szepnął. – Kto to zrobił? Arkham?

Podporucznik Bradley uniósł głowę. Uśmiechnął się słabo i przytaknął.

– Co tu jeszcze robisz... głupcze... – wyjęczał. – Uciekaj. On cię zabije...

Martin obejrzał się na żołnierza, który podbiegł do nich.

– Nie ma mowy – syknął. – Proszę mi pomóc go uwolnić.

– Nie – zaprotestował Bradley.

Przejęty żołnierz wzruszył żałośnie ramionami.

– Nie mam klucza do kłódki.

– Żesz jasna cholera, a kto ma?

– Ja mam! – od strony kwatery dowódcy dał się słyszeć gromki głos.

Słońce już powoli wstawało, więc poranna szarówka sprawiła, że postać porucznika Arkhama była doskonale widoczna w drzwiach prowadzących do jego kwatery. Mężczyzna miał na sobie spodnie i koszulę, a w prawej ręce trzymał pistolet. Uniósł go i wycelował w Martina, następnie podszedł do wiszącego niedaleko dzwonka i zaczął bić na alarm.

W ciągu kilku chwil cały fort ożył. Żołnierze zaczęli wysypywać się z koszar, w panice dopinając mundury i sprawdzając broń. Nadzwyczaj karnie ustawili się w dwa szeregi, a reszta obstawiła punkty strategiczne przy bramie i na umocnieniach. Nie było mowy, żeby manewr ten ćwiczyli z Arkhamem. Ich szybka reakcja musiała być zasługą podporucznika Bradleya.

– Wspaniała próba ucieczki – ucieszył się Arkham. Wskazał na żołnierza stojącego przy Martinie. – Widzę, że pomimo usunięcia „elementu wywrotowego” miał pan pomoc.

– Zostaw go – jęknął Bradley. – Wydałem mu rozkaz.

– Rozkaz – prychnął Arkham.

Uniósł broń i bezbłędnie strzelił żołnierzowi prosto w głowę. Mężczyzna padł na ziemię bez życia.

Martin patrzył na ciało żołnierza ze zgrozą. Jego uwadze nie uszło zaskoczenie malujące się na twarzach obsady fortu. Arkham musiał na ich oczach katować Bradleya i przywiązać go tutaj, a teraz zabił jednego z nich za zdradę.

– Ja tu wydaję rozkazy – mruknął Arkham.

– Po co to? – Martin wyszedł nieco do przodu, tak by zasłonić próbującego się podnieść Bradleya. – Po co ta śmierć? Co ci zawinił twój zastępca?

– Bunt. Niesubordynacja. Wybierz sobie. Regulamin ma na to odpowiednie przepisy.

– Regulamin? – zdziwił się Martin. – A od kiedy to jesteś tak karny? Byłeś taki dosłowny, jak próbowałeś rozpuścić tych żołnierzy? Byłeś taki karny, jak ignorowałeś potrzebę wysyłania patroli na zachód?

– Nie twoja sprawa! – zawarczał Arkham. – Pojmać więźnia!

Stojący w dwuszerogu żołnierze rozpięchli się i otoczyli Martina, unosząc broń do strzału, ale niezbyt wysoko. Równie dobrze mogliby próbować strzelać mu pod



nogi. Żaden też nie śmiał podejść bliżej niż na kilka stóp, jakby dzieliła ich niewidzialna ściana.

– Brać go! – gniewnie ponaglił dowódca.

– Stać! – krzyknął Bradley, a krzyk ten sprawił, że żołnierze nawet nie drgnęli, ignorując tym samym rozkaz dowódcy. – Dosyć tego! Proszę natychmiast mnie uwolnić!

Żaden z wojaków nie poruszył się. Patrzyli w napięciu po sobie, licząc, że zrobi to ktoś inny. Ani jeden nie odważył się spojrzeć w kierunku wściekłego porucznika Arkhama. Ten zaś uniósł znowu broń i wycelował w tłum.

– Pierwszy, który się ruszy, dołączy do kolegi – wskazał trupa.

– Poruczniku Arkham! – krzyknął Bradley. – Zostanie pan dzisiaj aresztowany i postawiony pod sądem. Oskarżam pana o ignorowanie swoich obowiązków, przekupstwo oraz o morderstwo.

– Ty nic nie możesz, Bradley – zaśmiał się Arkham. – Jesteś więźniem. Nic nie możesz.

Martin przyglądał się temu w ciszy, lecz wiedział, że sytuacja jest patowa. Żołnierzom starczyło odwagi, by chwilowo powstrzymać się od działania, lecz w końcu znajdzie się jeden, który się wyłamie. Który to będzie? Ten, który podejmie uwolnić Bradleya, czy ten, którego strach przed Arkhamem okaże się większy? Z jednego się cieszył – uwaga dowódcy chwilowo nie była skupiona na nim. Dzielili ich zbyt duża odległość, żeby doskoczyć i ciąć szablą, nie narażając się na strzał. Zresztą każde agresywne działanie mogło się wiązać z niekontrolowaną salwą skonfundowanych żołnierzy, a to byłaby bardzo głupia śmierć.

– Poruczniku – Martin usłyszał swój głos. – Mam dla pana propozycję.

Arkham spojrzał na kowala z odrazą.

– To przez ciebie, suczy synu. Wszystko było w porządku, dopóki się nie pojawiłeś.

– Ja to zacząłem i ja to skończę. Jako oficer armii wyzywam pana na honorowy pojedynek.

Porucznik ryknął pełnym pogardy śmiechem.

– Jesteś zenujący, Lee. Żaden z ciebie oficer. Zabiję cię jak psa – mówiąc to, uniósł pistolet.

– Zrób to, a nigdy nie odzyskasz szacunku swoich ludzi! – krzyknął Bradley. – Poznają o tobie prawdę. Prawdę, że jesteś pozbawiony honoru, godności i przynosisz

ujmę mundurowi. Będą tobą gardzić, obśmiewać za plecami, aż w końcu poderzną ci gardło we śnie.

Arkham znowu prychnął, ale już z nieco mniejszą pewnością. Spojrzał po twarzach żołnierzy, tych samych, których mu przysyłano tutaj jak do kolonii karnej. Żołnierzy zaciętych, znanych z niepokornych charakterów i wyjątkowego problemu z posłuchem u przełożonych. Takich, których łatwiej było rozpuścić niż musztrować. Czy prawdą było, co mówił Bradley – jedyny człowiek, który potrafił wykrzesać z nich choć odrobinę pokory? W tej jednej chwili Arkham zdał sobie sprawę, że owo prawdopodobieństwo było całkiem duże.

– Niech będzie – mruknął opuszczając broń. – Dajcie mu pistolet.

– Na szable – warknął Martin. – Jak na oficerów przystało.

Arkham uśmiechnął się paskudnie, zupełnie jakby na to właśnie liczył. Odwrócił się na pięcie i wszedł do swojej kwatery.

W tym czasie jeden z żołnierzy dopadł do Bradleya i zaczął kombinować z otwarciem kajdan przy pomocy bagnetu. Nie udało mu się ich zdjąć, ale przynajmniej odczepił je od słupa. Kilku innych podeszło pomóc Bradleyowi ustać na nogach.

– Co on tak się cieszy? – zdziwił się Martin.

Bradley spojrzał na niego z miną, która wyrażała współczucie.

– Przed wojną był instruktorem szermierki w West Point – oznajmił. Widząc nietęgą minę kowala, spróbował go pocieszyć. – Ale to było dawno temu, jeszcze przed wojną.

– Aha... Czyli zdążył nabrać doświadczenia w praktyce.

– Jeżeli tak to ujmujesz.

– Jakieś podpowiedzi? – Martin mruknął, widząc Arkhama wychodzącego z budynku. Miał podwinięte rękawy koszuli i niósł swoją szablę oficerską. Piękną, acz przerażającą broń. Nic paradnego, a kawał żelastwa wykuty, by zadawać szybką śmierć.

– Daj z siebie wszystko – uśmiechnął się Bradley. – Wiesz, głupio by było, jakbyś teraz poległ.

– Fakt – sapnął Martin, wyciągając swoją szablę.

Pomyślał o Morcie. Jego przyjaciel był o wiele lepszym szermierzem. Śmiał się często, że Martin ma instynkt zabójcy, lecz niewiele w tym było finezji. Potrafił się zakraść, świetnie strzelał i przyzwoicie radził sobie z szablą. Pytanie zaś brzmiało, jak taki zestaw cech miał się do sposobu walki Arkhama?

*Przydałbys' mi się tutaj, Mort* – pomyślał. Machnął szablą dwa razy, aby przyzwyczaić mięśnie do pracy. Stropił się zaś, widząc pogardliwe spojrzenie porucznika, który zakręcił orężem z wprawą, jakiej nie spodziewałby się po człowieku jego postury. Ostrze śmignęło w powietrzu i zagrało zabójczą pieśń.

Stanęli naprzeciwko siebie, skąpani w pierwszych promieniach wschodzącego słońca. Zasalutowali i ustawili się w pozycjach wyjściowych. Martin nieco bardziej bokiem, by jak najmniej wystawiać przestrelone ramię. Całe szczęście jego prawa ręka była w miarę sprawna i dzięki pracy w kuźni – cholernie silna.

*Oddychaj* – zawsze powtarzał mu Mort. – *Pracuj biodrami, nie usztyniaj nadgarstka. Pozwól szabli robić swoje, ona odpowie na twoje ruchy.*

Pojedynek rozpoczął się spokojnie. Nie skoczyli ku sobie, siekąc jak opętani. Zamiast tego, zachowując nienaganne pozycje, zaczęli krążyć dookoła siebie, obserwując przeciwnika, szukając luki i sposobności do ataku.

Pierwsze cięcie wyprowadził Arkham. Było niezwykle szybkie, niczym strzał z bata. Martin odbił je z najwyższym trudem, po czym postanowił nie być dłużny i odpowiedział. Porucznik nawet nie zamierzał parować, tylko uniknął ostrza, zmieniając delikatnie dystans.

Kolejna wymiana nastąpiła po chwili. Cios za cios. Dwa wysokie, jeden niski, wypad z pchnięciem, odpowiedź. Pomimo nadwagi porucznik nie wydawał się specjalnie męczyć tą walką, tymczasem Martin już zaczynał się pocić. Robił, co mógł, żeby dotrzymać kroku przeciwnikowi, który z każdym kolejnym ruchem tylko przyspieszał.

Potwornie szybki wypad sprawił, że kowal omal się nie wywrócił podczas próby uniku. Odpowiedział cięciem, lecz Arkham zbił je i przeprowadził ostrze po łuku, wytrącając przeciwnika z równowagi. Nie wykorzystał sytuacji, tylko cofnął się, zafurkotał szablą i spojrzał triumfalnie na podporucznika Bradleya.

– Zgotowałeś mi marny los – uśmiechnął się jadowicie.

Martin spróbował wykorzystać chwilową dekoncentrację Arkhama, lecz ta okazała się ledwie uludą. Porucznik był cały czas skupiony i widząc ruch, instynktownie odbił broń, zmniejszył dystans, po czym zdzielił Martina lewą pięścią, a następnie poprawił kopnięciem w brzuch. Pozbawiony oddechu kowal zwałił się na ziemię, a z jego rozbitego nosa buchnęła krew.

– Jak z dzieckiem – mruknął Arkham. – Pora to kończyć. Dzień jeszcze młody.

Sapiąc i kaszląc krwią, Martin podniósł się i otarł krew z twarzy. Czuł narastający gniew, lecz spróbował przykryć go maską przerażenia. Spodziewał się zdecydowanego

natarcia, prawdziwego popisu kunsztu szermierczego. Z pewnością Arkham wyprowadzi cięcie, które będzie wyglądało na możliwe do zablokowania, wykona zwód i przeprowadzi ostrze inną płaszczyzną, by ciąć gdzieś w okolicie tętnicy udowej.

Pierwsze cięcie istotnie wyglądało na możliwe do zablokowania, lecz Martin postanowił się cofnąć, a kiedy finta przeszła we właściwy cios, był już gotowy. Machnął szablą do góry, wyprzedzając o ułamek sekundy atak przeciwnika. Samą końcówką ostrza przejechał po policzku Arkhama, zostawiając na nim krwawy ślad.

Coś jakby wstąpiło w Martina. Udało mu się zranić tego przerażającego szermierza, a to już samo w sobie dodawało animuszu. Tyle że to uczucie było czymś jeszcze, czymś na granicy euforii, o którą nie posądzałby się w tak dramatycznej sytuacji. Nagle zmęczenie zniknęło, a w mięśniach wstąpiły nowe siły.

Nogi Martina zrobiły się szybkie, a szabla nadzwyczaj lekka. Skoczył w bok, zamarkował unik i znowu ciął. Zaskoczony Arkham zdołał odbić jedno cięcie, odpowiedzieć, by zaraz znowu musieć się bronić. Nie wiedzieć kiedy gdzieś zniknęła jego pewność siebie, a na twarzy pojawiła się determinacja.

Cios za ciosem – ostrza krzyżowały się i krzesaly iskry. Martin walczył jak natchniony, zmieniając co chwila styl, szybkość i taktykę. Otrzymał płytką ranę w ramię i cięcie, które prześlizgnęło mu się po żebrach, lecz w tym momencie Arkham wyglądał niewiele lepiej.

– Co to za czary? – wściekle sapnął porucznik.

Martin nie odpowiedział. Znowu nacierał. Nie miał czasu zadawać sobie tego samego pytania, uznał, że pomyśli o nim już po wszystkim. Manewry same układały mu się w głowie, a w ułamku sekundy ciało reagowało. Skrócił dystans, a kiedy zmęczony Arkham nie zdążył uskoczyć, przechwycił jego szablę i, niczym mistrz fechtunku, rozbroił go.

Stał z dwoma ostrzami, spocony i zdyszany, lecz szczęśliwy jak dziecko, które po przerwie wsiadło na ulubionego kucyka. Z porażającą pewnością siebie podrzucił broń Arkhama, złapał za zastawę i podał porucznikowi z szelmowskim uśmiechem.

Przeciwnik odebrał broń i bez ostrzeżenia zaatakował. Chciał ciąć Martina pod pachę, lecz ten wykonał szybki piruet. Jego ostrze wzniosło się i opadło, zagłębiając się w czaszce zdziwionego Arkhama. Gęsta krew spłynęła mu po twarzy, oczy uciekły w głąb czaszki, nogi się pod nim ugięły. Wielkie cielsko porucznika padło na wznak, unosząc z ziemi tuman kurzu.

Nad placem zapanowała cisza. Martin ciężko dyszał i kaszłał, jakby miał wypluć płuca. Czuł, że jego ciało stanęło przed nie lada próbą, a umiejętnościami, których użył,

skrajnie go wycieńczyły. Prawe ramię potwornie piekło i nie miał siły podnieść ręki do góry. Kolana i kostki bolały jak po wielomilowym biegu, w głowie huczała krew.

Odpowiedź na nasuwające mu się pytania przyszła sama, sprawiając, że Martin po raz kolejny podał w wątpliwość swoją poczytalność. Zdało mu się bowiem, że zobaczył cienistą figurę, znajomą postać pochylającą się nad ciałem martwego już porucznika Arkhama. Znał doskonale tę osobę. Widział, jak umierała raz i drugi.

Mort uśmiechnął się do niego, zsalutował żartobliwie i zniknął...



## ROZDZIAŁ IO

### PRZED WYRUSZENIEM W DROGĘ...

*Istotnie, był czas, kiedy myślałem, że każdy, kto za mną podąży, prędzej czy później umrze w raczej nieciekawych okolicznościach. Ale czy po prawdzie śmierć nie jest przykrym losem, który czeka każdego z nas?*

*Wybieramy swoje ścieżki, podejmujemy decyzje i żyjemy z ich konsekwencjami, nawet jeżeli oznacza to dla nas śmierć, a nawet zwłaszcza jeżeli oznacza to śmierć, bo czy istnieje większe poświęcenie? W tych ostatnich chwilach jestem przekonany, że coś, co niektórzy nazywają klątwą, to jedynie wynik determinacji, z jaką trzymałem się przyrzeczonej zemsty. Powinienem być zginąć od tysiąca kul, które wystrzelono w moim kierunku. Ja potrafiłem im zejść z drogi, ci, którzy naciskali spust, tego nie potrafili, tym bardziej moi towarzysze...*

Clive K. Phillips, *Dzienniki zebrane*

Dosyć trudno było wyszarpnąć ostrze zaklinowane w czaszce porucznika Arkhama. Martin mocował się z nim bez większego skutku, po czym sfrustrowany zaparł się nogą o korpus nieboszczyka i pociągnął z całej siły. Coś chrupnęło, coś mlasnęło i po chwili zmagani, graniczących z bezczeszczeniem zwłok, szabla była już wolna.

Ku zadowoleniu kowala klinga okazała się ciągle prosta, bez oznak falowania czy skrzywienia. Mimo to ostrze wymagało odrobiny pracy, ponieważ zyskało kilka wyszczerbień w miejscu, gdzie zetknęło się z szablą Arkhama. Poza tym oręż wydawał się w jak najlepszym porządku.

Martin nie zwracał szczególnej uwagi na gapiących się żołnierzy, skierował zmęczone kroki ku ławeczce pod zadaszeniem koszar. Usiadł ciężko, z ulgą pozwalając ciału na odrobinę zasłużonego odpoczynku. Nie miał pewności, jak żołnierze zareagują na całe zajście. Równie dobrze mogli go teraz zabić jak i zignorować, w najlepszym wypadku zachować bezpieczny dystans. Jemu chwilowo było wszystko jedno, musiał złapać odrobinę oddechu, bez którego nie miał nawet siły myśleć.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że to nie on walczył pod koniec starcia. Nie znał części użytych w pojedynku technik i nawet gdyby improwizował, nie potrafiłby walczyć z podobną finezją. Wspominając te chwile, miał wrażenie, jakby patrzył na walkę, będąc zaledwie obserwatorem w tłumie, a nie uczestnikiem zdarzenia. Przypominało to bardzo realistyczny sen, kiedy kontrola nad własnymi poczynaniami jest tylko ułudą.

Styl stosowany przez Martina, o ile można było nazwać ów wyuczony na polach bitew sposób walki, był prosty i brutalny. Bazował bardziej na sile i zaciekłości, lecz niespecjalnie na szybkości. To, co się działo kilka chwil wcześniej, było od tego dosyć dalekie.

Tak po prawdzie, to Martin znał człowieka, który potrafił wywijać szablą w równie imponujący sposób – i był to Mort. W tej chwili przychodziło mu do głowy tylko jedno wyjaśnienie i sam się sobie dziwił, że na to wpadł. Po tym wszystkim, co widział i przeżył, wiara w duchy czy chwilowe opętanie nie była najbardziej szaloną koncepcją, z jaką mógł żyć. Musiała mu chwilowo wystarczyć.

– Mam nawiedzoną szablę – parsknął, przetarłszy spocone czoło.

Opierając się na ramieniu żołnierza, podporucznik Bradley podszedł do Martina, by usiąść obok niego. Przez jakiś czas siedzieli tak w milczeniu, poranieni, lecz wygrani. Obserwowali, jak obsada fortu sprząta ciała porucznika Arkhama oraz zastrzelonego żołnierza.

– Szaleństwo – westchnął Bradley.

Martin uraczył go znużonym spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć „nie masz pojęcia, jak bardzo”. Zamiast komentować, zapytał:

– Jak do tego w ogóle doszło?

– Poszedłem do porucznika Arkhama zaraz po naszej rozmowie. Zapytałem, czy otrzymaliśmy odpowiedź na telegram wysłany do Fort Worth. Odparł, że jeszcze nie. Było to oczywiste kłamstwo. O to samo zapytałem wcześniej dyżurnego, który oznajmił, że od tygodnia nie wysyłaliśmy ani nie przyjmowaliśmy żadnych depezy. Wszelka komunikacja wymaga posłania człowieka do Florence, a w ostatnich dniach

nic takiego nie miało miejsca. Arkham się wściekł, kiedy mu to wytknąłem. Nigdy mnie nie lubił. Lubował się w przypominaniu mi, że do wyboru miałem szpital dla obłąkanych lub to miejsce. Powiedział, że mam zwidy, że znowu coś mi się uroiło. Od słowa do słowa zażądałem pańskiego uwolnienia oraz możliwości pojechania z panem do Prosperity w celu wybadania pańskiej wersji. Potem sprawy potoczyły się dość szybko. Wezwał żołnierzy, zakuli mnie. Bił mnie, jakby mnie przesłuchiwał, ale nie zadawał żadnych pytań. Kiedy się znudził, kazał mnie przykuć do słupa, żebym nieco „skruszał”. Żołnierze wykonali rozkaz, ale sami byli zdziwieni tą sytuacją. Ackles – ten, który zginął, spytał, czy mógłby coś dla mnie zrobić. Resztę już pan zna.

– Skończmy z tym panem – zaproponował Martin. – Karierę wojskową mam już dawno za sobą. Jestem Martin, ale wszyscy mówią do mnie Doc.

– Samuel.

Uścisnęli sobie dłonie.

Bradley zawołał jednego z żołnierzy, żeby przyniósł im wody. Siedzieli tak w ciszy, pijąc i obserwując krzątanicę – dwóch zboliałych weteranów skromnej, acz niezwykle intensywnej bitwy o Fort Hopkins. Po jakimś czasie jedynymi śladami po walce na placu były plamy krwi na piachu.

Nabrawszy nieco sił, poszli do koszar, żeby się umyć, po czym zjedli śniadanie razem z żołnierzami. Martin zanotował, że humory nadzwyczaj dopisywały zgromadzonym, zupełnie jakby jakiś ciężar spadł im z serc. Nadal daleko im było do karności, jakiej powinno się oczekiwać po zawodowcach, lecz wrażenie to równoważyła jakaś forma kamraterii. Ci ludzie byli bandą wyrzutków, lecz tu zapewne mieli szansę w ten czy inny sposób przepracować swoje problemy i odnaleźć się w gronie osób takich jak oni. Chyba że zwyczajnie każdy miał głęboko w dupie, co przeszkobała reszta, i jakoś się dogadywali. Tak czy inaczej – przypominali raczej bandę najemników niż mundurowych.

Toaleta i czyste rzeczy nie miały mocy leczenia ran, lecz same w sobie dodawały odrobiny sił. Pozwoliło to Martinowi i Bradleyowi udać się do kwatery Arkhama, by przejrzeć jego dokumenty.

Weszli zatem do środka. Podporucznik Bradley od razu skierował się do biurka byłego dowódcy fortu i zaczął przeszukiwać skrytki, nożem pomagając sobie w otwarciu zamkniętych szuflad.

Martin zatrzymał się w wejściu. Nie chodziło o bezpardonowe przetrzepywanie rzeczy świeżo zmarłego oficera, ponieważ to akurat uważał za konieczność. Zobaczył



bowiem krzesło stojące pośrodku pomieszczenia, a dookoła niego plamy rozbryźniętej krwi, a nawet dwa zęby poniewierające się po podłodze.

– Cholera – podrapał się po głowie. – Przepraszam, że musiałeś to przechodzić.

Bradley uniósł wzrok znad rosnącej sterty papierów, którymi pokrył blat biurka. We wpadającym przez okno świetle wczesnego poranka jego twarz wyglądała upiornie, niczym u męczennika ze świętych obrazów. Pod oczami zdążyły mu się zrobić sińce, na garbie nosa wykwitła fioletowa plama, podobnie na policzku, a na opuchniętych ustach w miejscach pęknięć zakrzepła krew.

– Musiało do tego dojść. – Dopiero teraz dało się zauważyć, że mówi z trudem i odrobinę sepleni. – Jeżeli to cena za poukładanie spraw i możliwość zrobienia czegoś słusznego, to płacę ją z radością.

– No właśnie – Martin otrząsnął się. Podeszedł do biurka i spoczął na krześle. – Czego szukamy?

– Rozkazów. Dziennika, raportów z patroli, może ksiąg ewidencyjnych. Arkham sam prowadził całą dokumentację. Część komunikacji przechodziła telegrafem, ale raz na kilkanaście tygodni przyjeżdżał kurier z poufnymi listami. Nigdy nie dowiedziałem się, o czym traktowały, ale mam pewne podejrzenia.

Martin odrzucił kilka dokumentów, przejrzał dwa notatniki. Pomimo niechlujnej postawy Arkham zdawał się niezwykle skrupulatnie prowadzić dokumentację fortu. Były tu szczegółowo opisane kwestie zaopatrzenia, finansów, a nawet zleconych patroli i złożonych raportów. Już sama analiza zapisków jasno wskazywała, że patrolowano obszary na północ, południe i wschód od Fort Hopkins, lecz na zachód nie wypuszczano się dalej niż na dzień drogi.

– Aż dziw bierze – potarł bolące oczy. – Jakby dokumentację prowadził zupełnie inny człowiek. No i to, co powiedziałeś o West Point. Arkham to tylko porucznik, a jednak jego drugie oblicze sprawia inne wrażenie.

– Nie tylko – Bradley przerwał wertowanie papierów. – Arkham istotnie był instruktorem szermierki w West Point, ale w randze kapitana. Na wojnie zaś dochrapał się stopnia majora.

Martin poczuł, jak krew odpływa mu z dłoni, a zimne ciarki przebiegają po plecach. Przed oczami stanęło mu wspomnienie człowieka, z którym krzyżował szable, i zrozumiał, że tak naprawdę nie wiedział o nim kompletnie nic, a wyobrażenia okazały się mylne. Człowieka, który najwyraźniej o wiele lepiej krył swoje prawdziwe intencje, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Zupełnie jakby przywdział maskę lub był aktorem mającym więcej niż jedną twarz.

– Co się w takim razie stało?

– Podobno został zdegradowany za pijaństwo i burdy. Mogłoby się zgadzać, biorąc pod uwagę jego zachowanie, ale patrząc na tę dokumentację, zaczynam mieć poważne wątpliwości. Zdaje się, że Arkham był tu najbardziej kompetentną i skrupulatną osobą, lecz jego misją nie było utrzymanie tego fortu w jak najlepszym stanie, tylko zdaje się, że coś zgoła odwrotnego. Dzięki niemu nie mieliśmy szans wiele zdziałać – Bradley klapnął ciężko na krześle dowódcy, zdając sobie sprawę z konsekwencji. – Nie mieliśmy szans zbliżyć się do Prosperity.

Ze zdwojoną determinacją wrócił do wertowania papierów. Przejrzał wszystko, co dało się znaleźć w biurku, wyjął nawet szuflady i sprawdził, czy nie znajdzie tam nigdzie tajnych skrytek.

– Na to wychodzi – mruknął Martin. – Od kiedy tu jesteś?

– Fort zbudowano zaraz po wojnie. W sześćdziesiątym szóstym przyjechał tu Arkham z trzonem obstawy. Ja dołączyłem rok później, więc będą ponad dwa lata. Jeżeli pytasz, czy już wtedy patrole działały tak, jak widnieje w tych dokumentach, to tak. Przyznam, że przez długi czas nie miałem pojęcia o istnieniu Prosperity ani tym bardziej Crucible. Kiedyś trafiłem z patrolom na transport srebra z kopalni i okazało się, że dalej na zachód jest coś więcej niż pustynia.

Martin pokręcił głową. Wiedział, że ciągle czegoś nie dostrzegają, że coś im umyka.

– Mieszkam w Prosperity od czterech lat i nigdy nie widziałem tam patrolu, więc to by się zgadzało, ale kontakt z Crucible urwał się dopiero rok temu. Jeżeli nawet Arkham miał za zadanie przemykać oko na to, co się tam działo, to zaczął robić to o wiele wcześniej niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Tylko po co? Kompania Wilcamp działała w najlepsze, przez miasto szły dostawy srebra. To przecież dobry interes, zysk dla wszystkich. Naprawdę nie rozumiem.

– Wygląda jak szerzej zakrojona inicjatywa – stwierdził Bradley. – Jeżeli ów pułkownik Wilson miał za zadanie chronić Crucible przed niepowołanymi gośćmi, to Arkham mógł stanowić drugą linię, tę bardziej oficjalną, i robił to dłużej, żeby tamci mogli coś przygotować. Ale co?

Martin ponownie przerzucił kilka dokumentów. Bez skutku wypatrywał informacji, która skleiłaby w jedno garść pozornie niepowiązanych ze sobą faktów.

– Cokolwiek się wydarzyło rok temu w Crucible, teraz odczuwamy tego skutki. Musimy znaleźć te tajne listy. Nie spodziewam się, żeby Arkham porozumiewał się z Wilsonem. Jeden był zatwardziałym jankesem, drugi południowcem. Jestem za to

przekonany, że coś ich łączyło, nawet jeżeli nie bezpośrednio. Musimy dowiedzieć się co.

Resztę dnia spędzili, przeszukując prywatny pokój Arkhama. Listy znaleźli w zamykanej na klucz skrzynce. Jakkolwiek sukces przyniósł im odrobinę satysfakcji, tak informacje, które pozyskali, okazały się cokolwiek zagadkowe. Nie było w nich ani słowa o Wilsonie czy Campbellu, za to potwierdziły się wszystkie przypuszczenia co do obszaru patrolowanego. Dopiero jeden z ostatnich dokumentów, datowany rok wstecz, rzucał pewne światło na całą sprawę, lecz sam w sobie budził o wiele więcej pytań niż przynosił odpowiedzi.

– *...operacja wchodzi w kolejną fazę* – czytał Bradley. – *Należy zwracać szczególną uwagę na ruch w kierunku zachodnim. Od tej chwili wszelkich podróży napotkanych podczas patroli należy kierować na szlaki ku miastom peryferyjnym.*

– Operacja – zmartwił się Martin. – Czyli istotnie mamy do czynienia z czymś organizowanym przez wojsko.

– Bardziej coś, co się tu dzieje za federalnym przyzwoleniem – poprawił Bradley. – Jakkolwiek „tajna” operacja wymagałaby postawienia tu rzetelnej obsady fortu, a nie pozoranta, który ma tylko utrzymywać wrażenie, jakoby wojsko miało pieczę nad tym terytorium. Co więcej, Arkham dostawał rozkazy z samej góry. Wszystkie listy podpisane są przez generała Ulyssesa Granta, poza dwoma ostatnimi, które podpisał generał Sherman, ale to jakby oczywiste.

– Czemu? – zdziwił się Martin.

Bradley spojrzał na niego jak na dziecko.

– Nie macie gazet w tym Prosperity? Dwa miesiące temu Ulysses Grant został nowym prezydentem Stanów Zjednoczonych...

Pukanie do drzwi wyrwało ich z zacieklej dyskusji pełnej spekulacji i niestworzonych teorii spiskowych. Podporucznik Bradley poprawił się w krześle za biurkiem dowódcy i pozwolił wejść żołnierzowi do środka. Potężnej postury mężczyzna o twarzy porośniętej dwudniową szczeciną zasalutował niedbale. Obserwujący to Doc Martin powstrzymał się od przewrócenia oczami, choć jego umiłowanie do porządku cierpiało tutaj okrutne katusze.

– O co chodzi, Carter? – Bradley rzucił nieco zmęczonym już głosem.

– Melduję, że nie możemy nigdzie znaleźć kaprała Thompsona... sir.

Zaskoczony Bradley wyprostował się z marsowym obliczem.

– Jak to? Ktoś coś widział?

– Nie, sir. Rano był na zbiórce, ale w ciągu dnia musiał się ulotnić. Nie ma też jednego konia, jego osobistych rzeczy, no, wie pan, ulotnił się.

Młody oficer zaklął szpetnie i wałnął pięścią w stół. Wstał, oparł się obiema rękami o biurko, próbując uporządkować myśli.

– O co chodzi? – zapytał Martin. – Dezerter po takiej sytuacji to nic zaskakującego, prawda?

– Nie do końca. – Rozbiegany wzrok Bradleya wskazywał, że mężczyzna stara się uporządkować myśli. Nie dało się jednak ukryć, że ma sobie za złe wyniki właśnie niedopatrzenie. – Kapral Thompson był naszym łącznościowcem. W sumie to od zawsze, jeszcze nawet zanim ja się tu pojawiłem. Odpowiadał za komunikację z dowództwem, a w tym za wysyłanie i odbieranie telegramów z Florence.

Doc Martin już rozumiał. Najwyraźniej porucznik Arkham nie był jedyną osobą zaangażowaną w intrygę.

– Co zamierzasz?

Bradley wyprostował się i wyszedł zza biurka, dopinając mundur.

– Przygotować mojego konia – rzucił do sierżanta Cartera. – Ty i czterech ludzi jedziecie ze mną do Florence. Natychmiast.

– Ależ sir – żołnierz wskazał okno. – Niedługo będzie zmierzchać. Mamy jechać do miasta po ciemnicy? Przecież dotrzemy tam najszybciej po północy, o ile konie nóg nie połamią na pieprzonych kamieniach.

Podporucznik Bradley spiorunował podkomendnego wzrokiem.

– Wykonać!

Nie musiał dwa razy powtarzać. Żołnierz wyprostował się jak rażony piorunem, zsalutował, po czym wybiegł z budynku.

Martin pokiwał głową z uznaniem.

– Sam, rozumiem, że chcesz go złapać, ale musimy jak najszybciej ruszać do Prosperity. Każda chwila zwłoki gra na naszą niekorzyść.

– Przykro mi, Martin – Bradley rzucił, wychodząc. – Wierzę, że Thompson może mieć jakieś informacje, a na pewno będzie próbował przekazać komunikat o śmierci Arkhama. Prosperity może poczekać. Wrócimy zapewne jutro wieczorem. Ty zostań tutaj i odpoczywaj, będziesz potrzebował sił na powrót do domu.

– Rozsądniej będzie, jeśli wyślesz za nim ludzi i sam odpoczniesz.

Bradley po raz pierwszy uśmiechnął się do niego, a w oku błysnęła mu iskierka humoru.

– Dziękuję za radę. Całe szczęście nie możesz mi rozkazywać.

Po nieprzespanej nocy i męczącym dniu Doc Martin zasnął natychmiast po przyłożeniu głowy do lichej poduszki. Ponieważ fort nie miał kwater dla gości, zajął jedno z wolnych łóżek w koszarach. Ciągłe jednak zastanawiał się, czy nie wrócić do więzienia. Żołnierze traktowali go z rezerwą, choć patrzyli na niego z nieukrywanym podziwem. Najwyraźniej popis szermierczy wywarł na nich piorunujące wrażenie. Gdyby tylko wiedzieli, z czym się wiązał, być może nie byłiby tacy chętni, by spać w tym samym pomieszczeniu.

Następnego dnia nad ranem obudziły go odgłosy krzątania. Żołnierze wstali i udali się do swoich obowiązków, zwalnając tym samym nocną wartę. Martin musiał przyznać, że było w żołnierskich pryzkach coś, czego mu brakowało, a do czego przyzwyczał się na wojnie. Spał w kwaterach, w namiotach, czasem na gołej ziemi, dlatego jedyna rzecz, która była stała podczas ciągłych ruchów wojsk, to pryzce. Przyzwyczał się do materiału rozciągniętego między drewnianymi drągami, do poduszek wypchanych słomą i ciężkich koców. W domu w Prosperity stworzył sobie komfortowe warunki, lecz ciągle potrafił budzić się w nocy zdjęty strachem, że coś jest nie tak, że jest mu zbyt wygodnie. Wygoda często oznaczała śmierć, a jej brak sprzyjał czujności.

Śniadanie zjadł z żołnierzami, później niewiele miał już do roboty. Łaził bez celu po forcie, czując się jak piąte koło u wozu. Wszyscy zajmowali się wyznaczonymi zadaniami, na które składały się drobne naprawy, odbieranie dostaw od przybyłych wieśniaków. Część mężczyzn zajęła się kopaniem grobów na przedpolu.

Martin zaczepił jednego z żołnierzy, żeby zapytać, gdzie mógłby oporządzić swojego konia. Zaprowadzili go na sam tył fortu, gdzie znajdowała się stajnia oraz coś, co pod pewnymi względami mogło przypominać prowizoryczną kuźnię połączoną z warsztatem. Oczywiście kowal zasnęły, kiedy zobaczył miejsce, w którym wreszcie mógł cokolwiek zdziałać. Na podwórzu wystawiono kowadło, pod drewnianym zadaszeniem znajdowały się koło szlifierskie, stół stolarski oraz kilka półek z narzędziami. Pachniało tam wypalonym węglem i metalem.

Wbrew pozorom koń nie wymagał wiele uwagi, dlatego dosyć szybko Martin odstawił go z powrotem do stajni. Słońce dopiero pięło się w stronę zenitu, a dzień należało przecież jakoś spożytkować.

Nieniekajony przez nikogo postanowił dokonać poprawek wyszczerbionej szabli. Sprawdził dokładnie, czy aby ubytki nie spowodowały rozwarstwienia materiału. Usiadł przy blacie roboczym, wyczyścił ostrze, poprawił nieco kamieniem szlifierskim, wygładził, naostrzył klingę i naoliwił. Nawet odniesione rany nie

sprawiły, by zadanie to zajęło mu specjalnie wiele czasu. Mimo wszystko otrzymał możliwości refleksji nad doświadczeniem, jakim był odbyty pojedynek.

Pod żadnym względem Martin nie uważał się za osobę uduchowioną, nigdy nie przejawiał zbyt wielkiej wrażliwości na sprawy wiary i nie obserwował cudów natury. Jego świat stanowiły otaczające go narzędzia, czy to kiedy pracował jako rusznikarz, jako wynalazca lub kowal. Dlatego nie dziwiło go, że nie czuł nic od broni, którą trzymał w rękach. Żadnego ciepła, zimna, wibracji – kompletnie nic. Patrzył na swój wizerunek odbijający się w powierzchni wypolerowanego metalu i zastanawiał, czy Mort lub jakaś jego częśćka rzeczywiście gdzieś tam jest. Tyle że to nie musiała być magia. Mógł mieć do czynienia z nieznaną sobie gałęzią nauki.

Co mówił Clive Phillips na temat sił, którymi operował? Każdy człowiek ma je w sobie, może zabłysnąć w jednej chwili, czyniąc cuda, lub wyczerpywać je przez całe życie, nawet nie zauważając ich działania. A jeżeli ten błysk, ten spontaniczny wybuch mocy zostawia piętno na przedmiotach lub nawet na ludziach? Taki metafizyczny odcisk, zupełnie jak sylwetka ofiary wybuchu odznaczająca się na osmolonej ścianie. Być może tym była pozostałość Morta żyjąca w szabli. Widmem, niczym namalowany sepią obraz uwieczniony na fotografii.

Pośród tych rozważań Martin przypomniał sobie sposób, w jaki usprawnił możliwość pobierania mocy Potencjału poprzez naznaczone kule. Jedne kule posiadały glyfy pobierające, a łuski pocisków glyfy przechowujące. A gdyby tak wypisał owe znaki na jednym przedmiocie? Czy ostrze szabli, odbierając życie, mogło magazynować je w sobie i zasilać... no właśnie, co? Ducha Morta? Jak to miałyby działać?

Czas mijał, a Martin siedział nad kartką papieru, kreśląc z pamięci zapamiętane wzory. Po jakimś czasie miał przed sobą naszkicowany projekt modyfikacji szabli, uwzględniający znane mu, acz nie do końca zrozumiałe kombinacje symboli. Im dłużej patrzył na niezwykle, obce wręcz znaki, tym mocniej wmawiał sobie, że czuje ich oddziaływanie. Zupełnie jakby samo patrzenie na nie otwierało jakąś klapkę w mózgu, jakąś zapomnianą lub ukrytą szufladkę umysłu, w której kryły się tajemnice, o jakich nikomu się nie śniło.

Zostawił na chwilę projekt, poszedł zrobić sobie kawy, a kiedy wrócił, miał już pewność, że chce spróbować. Poszukał odpowiedniego rylca, przygotował zestaw młotków, pilników, kamieni szlifierskich i wziął się do roboty przekonany, że jeżeli nic z tego nie wyjdzie, to przynajmniej będzie miał ciut ładniejszą szablę.

Bradley wrócił ze swoimi ludźmi jeszcze tego samego wieczora. Wparował przez główną bramę, pozwolił pomóc sobie zsiść z konia, nie dbając zanadto o wizerunek niezniszczalnego. Wręcz odwrotnie, brudny od pyłu sprawiał wrażenie skrajnie wycieńczonego, jakby stał na ostatnich nogach. Zapewne tak właśnie było. Nietęga mina na jego pobladłym obliczu nie wróżyła niczego dobrego. Poprosił, by Martin przeszedł z nim do kwatery dowódcy, gdzie podano im kolację.

– Kiepsko wyglądasz – Doc Martin stwierdził to, co oczywiste.

Bradley zdawał się tak bardzo zmęczony, że nie miał ochoty na jedzenie. Patrzył tylko w przestrzeń zamyślonym wzrokiem i dźgał widelcem stygnącą potrawkę. Śmierdział spoconym koniem i drogą.

– Uciekł – mówiąc to, zaniósł się suchym kaszlem. Zwilżył usta odrobiną wody, próbując przemyć pył, którego nawdychał się w ciągu wielu godzin podróży. – Ale był we Florence, wiem to. Nad ranem obudziliśmy poczmistrza, żeby go przesłuchać. Nic nie kręcił, powiedział, jak było. Thompson przybył do niego około południa i kazał nadać komunikat aż do Waszyngtonu. Niestety dyktował wiadomość, która była zaszyfrowana. Nigdzie nie pozostał żaden jej zapis.

– Czyli możemy uznać, że ktokolwiek za tym stoi, już o wszystkim wie. Najpewniej sam generał Sherman, a może nawet i prezydent... – Martin zająknął się, jakby nie wierząc, że słowa te przechodzą mu przez gardło.

– To nie wszystko – oznajmił Bradley. Wyciągnął zza pazuchy złożoną kartkę i podał rozmówcy. Odręczne pismo prezentowało ciągi liczb i cyfr, na pierwszy rzut oka nie układających się w spójną całość. – Rozumiesz coś z tego?

Martin pokręcił głową. Równie dobrze mógł patrzeć na kartkę zapisaną po chińsku.

– Zdążył odebrać odpowiedź?

– Nie – odparł Bradley. – Przyszła z samego rana.

– Czyli nic z tym nie zrobimy. Chyba że w rzeczach Arkhama znalazłeś coś, co wygląda jak klucz do szyfru.

Bradley tylko pokręcił głową.

– Czy w takim razie możemy już jechać do Prosperity?

Młody oficer patrzył na kowala umęczonym wzrokiem. Nabrał powietrza i zawołał sierżanta Cartera, który siłą rozpędu pełnił już funkcję jego adiutanta. Kazał zebrać ludzi na głównym placu.

Słońce zaszło, a fort oświetlały jedynie lampy i pochodnie. Żołnierze ustawili się w dwuszeregu na głównym placu, czekając, aż pełniący obowiązki dowódcy

podporucznik Bradley przekaze im, co ma do powiedzenia. Nie wyglądali na zadowolonych. Najprawdopodobniej w ciągu dwóch dni wydarzyło się tu więcej niż przez ostatni rok, a to w ocenie Martina niekoniecznie musiało sprzyjać miłemu spędzaniu czasu na nieróbstwie.

Mobilizując ostatki sił, Bradley stanął przed swoimi ludźmi. Wyprostowany zakrzyknął z błyskiem w oku, a jego gromki głos w cudowny sposób sprawił, że łatwo zapominało się o jego zmęczeniu.

– Panowie, jak wiecie, wczorajszego dnia podczas honorowego pojedynku padł porucznik Arkham i do czasu przybycia dla niego zastępstwa będę pełnił obowiązki dowódcy. Pragnę was poinformować, że w trakcie misji, podczas której ścigaliśmy zbiegłego kaprała Thompsona, nadałem do dowództwa stosowną depezę i oczekuję, że wkrótce podjęte zostaną odpowiednie kroki.

Po zebranych przeszedł cichy szmer. Ktoś kaszlnął, ktoś przewrócił oczyma na służbisty ton Bradleya. Poruszenie to zburzyło pozornie prostą linię szeregów.

– Z posiadanych przeze mnie informacji wynika, że porucznik Arkham świadomie zaniedbywał część swoich obowiązków, w tym patrolowanie podległego stanowi Teksas i rządowi federalnemu terytorium należącego do miast Prosperity oraz Crucible. Dzięki uprzejmości będącego w stanie spoczynku kapitana Martina Lee dowiedziałem się o niepokojących wydarzeniach, które miały miejsce w obu tych miastach, a które mogą zagrażać obywatelom tego stanu. Dlatego też uważam za swój święty obowiązek udzielić niezbędnej pomocy oraz zapewnić bezpieczeństwo naszym obywatelom. Udaję się zatem na misję, której celem będzie zbadanie tej sprawy. Do waszej wiadomości podaję też, że porucznik Arkham działał na wyraźny rozkaz zwierzchnika sił zbrojnych, co w świetle podjętych przeze mnie decyzji może postawić mnie w stan oskarżenia o bunt i zdradę stanu. Nie mam jednak zamiaru porzucać swoich obowiązków wobec obywateli Teksasu oraz Stanów Zjednoczonych, nawet jeśli oznaczać będzie to dla mnie postawienie przed sądem. Jutro przed świtem wyjeżdżam z kapitanem Lee. Potrzebuję dziesięciu ludzi, w pełni przygotowanych do drogi, uzbrojonych i przede wszystkim wyruszających z własnej woli, w pełni świadomych potencjalnych konsekwencji. Nie mam zamiaru nikomu wydawać takiego rozkazu, każdy powinien podjąć własną, świadomą decyzję. Zaznaczam też, że misja ta może wystawić na próbę nie tylko waszą odwagę, ale także człowieczeństwo, wiarę oraz poczytalność, bo rzeczy, które czekają w tych miastach, wykraczają poza ludzkie pojmowanie.



Pośród zebranych zapadła niezręczna cisza. Nikt nawet nie drgnął, nikt nie patrzył na drugiego oczekując, że ktoś ruszy się pierwszy. Bradley dał sobie chwilę na kilka oddechów. Martin widział to wyraźnie, zupełnie jakby siły opuszczały go z każdą sekundą coraz bardziej ciężącej ciszy. Sam miał nadzieję, że znajdzie się ktokolwiek, kto z nimi wyruszy, lecz nic nie zapowiadało, żeby ktoś się zdecydował.

– Rozumiem – powiedział w końcu Bradley.

Już miał zwolnić żołnierzy, kiedy sierżant Carter nieśmiało podniósł rękę.

– Co to znaczy poczytalność?

Bradley uniósł brwi.

– To znaczy, i mówię to z pełną świadomością, że ową misję możemy przypłacić utratą zdrowych zmysłów... Szaleństwem, ma się rozumieć.

Carter podrapał się po szczecinie, ważył słowa dowódcy. Spojrzał po kolegach i wystąpił do przodu.

– No i wreszcie, kurwa, dzieje się tu coś ciekawego... sir.

Bradley i Doc Martin patrzyli osłupiali, jak do Cartera dołączył jeszcze jeden żołnierz, po czym kolejny i kilku następnych. Po chwili wyłoniło się oczekiwanych dziesięciu, a reszta wyglądała, jakby pluła sobie w brodę, że szybciej nie podjęli właściwej decyzji.

Martin odetchnął z ulgą. Liczył tylko, że Bradley zachowa fason i padnie na twarz dopiero w swojej kwaterze, a nie przed ludźmi, którzy właśnie w dosyć specyficzny sposób okazali mu szacunek i wierność.

Tuż przed świtaniem oddział był wyspany i gotowy do drogi. Żołnierze stali w strzemionach, ich konie zostały objuczone na wyjazd i, podchwytyjąc emocje jeźdźców, przebierały kopytami, nie mogąc się doczekać przebieżki. Do siodła miały przytroczone kabury na karabiny, w jukach znajdował się sprzęt wyprawowy.

Sierżant Carter siedział na masywnym zwierzęciu, które bardziej przypominało konia pociągowego niż wierzchowca kawalerzysty. Jako jedyny miał uczepioną na linach do siodła długą drewnianą skrzynię, która wyglądała na dosyć ciężką.

Bradley pojawił się jako ostatni, podziękował Carterowi za przygotowanie konia do drogi. Nadal odrobinę blady i obity poruszał się z nieco większą werwą niż dnia poprzedniego. Wsiadł na konia i ściągnął brwi, widząc skrzynię, którą zabierał ze sobą Carter.

– Nie wydawałem rozkazu, żeby brać ciężkie uzbrojenie.

Carter wzruszył potężnymi ramionami i uśmiechnął się niewinnie.

– Jak mam stracić tę, no... poczytalność, to przynajmniej w końcu sobie porządnie postrzelam, sir.

Bradley pokręcił głową z rezygnacją.

– Bylebyś nas nie opóźniał, Carter.

Westchnął, zamknął oczy, a kiedy je otworzył, zapłonął w nich ogień.

– W drogę! Wio! – Spiał konia i pogalopował przez bramę.

Pozostali ruszyli za jego przykładem, w tym Martin, nie mogący wyjść z coraz większego podziwu.

Żegnała ich pozostała obstawa fortu. Dziwnie posklejana banda jednostek stanowiących odrzuty ze wszystkich możliwych kompanii na terenie Stanów Zjednoczonych, a najbardziej bezczelni i szaleni z nich jechali właśnie ku nieznanemu, stawiać czoła niebezpieczeństwu, o których nawet im się nie śniło.

\* \* \*

W ciągu półtora tygodnia Prosperity opustoszało niemal doszczętnie. Większość budynków została już zabita deskami, w tym sklep, warsztat grabarza, a nawet saloon. Porzucone biuro szeryfa ogołocono, a drzwi wejściowe do budynku jęczały, dyndając na ostatnim zawiasie. Bezpańskie psy biegały samopas po wyludnionej ulicy, po której chyłkiem przemykali nieliczni już mieszkańcy. Tylko gnijące ciała wisielców, których nikt nie śmiał zdjąć z balkonu nad pracownią szewca, wskazywały, że do niedawna można było tu spotkać więcej żywych.

Clive i Morris jechali główną ulicą, kierując się do domu kowala. Rozglądali się i nie mogli uwierzyć, że Prosperity tak się zmieniło. Wiatr hulał tu między budynkami, a ludzie okazywali się rzadszym widokiem niż krzaki targane jego podmuchami.

– A nie mówiłem? Masz swoje miasto duchów. – Morris splunął na ziemię. – Zadowolony?

Clive tęsknił za tymi kilkoma dniami, kiedy jego młody towarzysz nie zamykał się i gadał o głupotach. Teraz jego słowa kęsały, a trafne spostrzeżenia sprawiały, że naprawdę trudno było nie pozwolić mu zająć sobie za skórę.

– Myślisz, że chciałem, żeby tak się stało?

– No jasne, ty tylko chcesz dopaść Campbella. Cały świat może spłonąć, ale ty musisz mieć swoją zemstę. Więc przyjrzyj się dokładnie. Musisz się zbliżyć, bo świat dosłownie rozpada się pod twoimi stopami.

O wiele lepiej niż samo miasto prezentowały się liche farmy rozsiane dookoła Prosperity. Tam ludzie byli bardziej przywiązani do ziemi, z której od zawsze, a przynajmniej odkąd tu przybyli, próbowali wycisnąć jakiegokolwiek plony umożliwiające im przeżycie. Odwieczna walka z prerią sprawiła, że nadzieja stała się ich pożywką, upór mieli we krwi i każdego dnia mocno wierzyli, że wkrótce coś zmieni się na lepsze. Żadna z rodzin tam mieszkających nie poważyła się nawet zajrzeć do miasta. Kto pozostał w Prosperity, musiał fatygować się do nich, by kupić cokolwiek do jedzenia.

Przez ostatnie kilka godzin Morris rozmyślał o snach minionej nocy. Sen, niewyraźny, lecz sugestywny, mocno przypominał ten sam, który nawiedził go tuż po ucieczce z Florence, kiedy Clive podążał jego tropem. Nadal pamiętał odległy wizerunek rewolwerowca z uporem pieszo przemierzającego prerię.

Dzięki nowej wiedzy doskonale zdawał sobie sprawę, że tamten sen stanowił odbicie magicznego efektu. Clive użył wtedy magii, by namierzyć Morrisa, przedostać się do niego, poniekąd ignorując przestrzeń, a może w jakiś sposób manipulując czasem potrzebnym na przemierzenie dzielących ich mil. Sen w tamtym wypadku okazał się pewnego rodzaju odbiciem, swoistym efektem ubocznym działających energii.

Minionej nocy Morrisa nawiedziła podobna wizja, przerażająca nie tylko ze względu na swoją treść, ale i na możliwe implikacje tego, co mogła oznaczać. Czy była prawdziwa? Mogła przecież być pozostałością czasu spędzonego w odmiennym stanie świadomości, chociaż, z drugiej strony, mogła też stanowić ostrzeżenie, że oto podążają za nimi ci dziwni i niebezpieczni ludzie.

We śnie Morrisa owe postaci zbliżały się z wielu stron na raz, choć postrzegał je jakby jednocześnie. Nie była to armia i gdyby chłopak miał zgadywać, powiedziałałyby, że naliczył ich kilku, może kilkunastu. Jechali konno, pojedynczo lub w małych grupkach. Zbliżali się od wschodu, południa i północy. Ubrojeni, posępni, pozbawieni twarzy, wyglądali upiornie i groźnie. Jednemu z nich towarzyszyły psy, całe stado psów – wielkich, przerośniętych bestii o przyciętych uszach i oczach pałających żądzą krwi. Inny, mężczyzna w krótkim płaszczu, jechał z wielkim karabinem na plecach, do którego zamontowano pokaźnej wielkości lunetę. Ostatnim, który zapadł Morrisowi w pamięć, był samotnik podróżujący na wychudzonym koniu. Tak samo jak i jego wierzchowiec człowiek ten prezentował się mizernie, chorowicie wręcz. Nosił się jak grabarz, pozbawiony broni, w szarych

spodniach i pasiastym surducie z jakiegoś powodu przerażał najbardziej. Jego śladem szła potężna burza.

Morris nie powiedział swojemu towarzyszowi o tej dziwnej wizji. W ogóle starał się z nim jak najmniej rozmawiać, licząc że ich tak zwana współpraca szybko się skończy. Miał dość magii, wizji i całego tego szaleństwa. Liczył, że wkrótce spotka Mary, będzie miał szansę z nią porozmawiać, sprawdzić, czy ona podziela jego uczucia. Tylko to się liczyło.

Minęli miasto i skierowali się na ziemię należącą do Doca Martina. Samotny dom, stojący w sąsiedztwie spalonej kuźni i wielkiej stajni, wydawał się najbardziej żywym miejscem w okolicy. Jego bielone ściany wznosiły się dumnie, jakby chciały powiedzieć, że nie straszne im są wszelkie koleje losu.

Na werandzie siedziała Mary. Ubrana w ciemną sukienkę, na głowie miała męski kapelusz, bujała się w fotelu, na kolanach trzymała winchestera. Doglądała młodszego brata bawiącego się z psem, który najwyraźniej przybłąkał się do nich w ostatnim czasie.

Obok domu pasło się stadko kur. Stajnia zaś została naprędce przerobiona na oborę, w której dziewczyna trzymała kilka świń i kóz.

Na widok powracających mężczyzn Stephen wybiegł im naprzeciw, radośnie machając czapką, co oczywiście wywołało uporczywe ujadanie psa. Chłopiec miał na sobie świeżą koszulę i czyste ogrodniczki. Na jego młodej twarzy malował się wyraz prawdziwej radości, zupełnie jakby wydarzenia sprzed kilku dni nigdy nie miały miejsca. Złapał klacz Morrisa za uzdę i doprowadził ich do domu, nie szczędząc pytań o szczegóły podróży.

Mary wstała z fotela i, ciągle trzymając karabin, zeszła z werandy. Zmieniła się przez ten krótki czas. Wyglądała, jakby wydorosła o dobre kilka lat. Zniknęła gdzieś skrzywdzona i osierocona dziewczyna, a w jej miejscu pojawiła się wciąż niedoświadczona, ale zdeterminowana kobieta, próbującą poradzić sobie w ekstremalnej sytuacji, w której musiała bronić jedynej rodziny, jaka jej została.

– Długo wam to zajęło – skrzywiła się z cieniem niezadowolenia. – Już myślałam, że nie wrócicie. Ale dobrze widzieć was w zdrowiu. No, przynajmniej jednego z was.

Morris zeskoczył z konia i podszedł do niej, ściągając z głowy melonik. Oczy mu się świeciły na widok dziewczyny, lecz w gardle brakowało słów, którymi byłby w stanie wyrazić swoją radość. Dla niej minęło kilka dni, on miał wrażenie, jakby nie widział jej całe lata.

– To niesamowite, co zrobiłaś z tym miejscem – wydukał wreszcie. – Jest prawie nie do poznania.

– Musieliśmy jakoś sobie radzić. Część ludzi zostawiła zwierzęta, których nie mogli zabrać. Postanowiłam je przygarnąć. Kozy łatwo jest utrzymać, tak jak świnie czy kury. Cherie dużo mi podpowiedziała, mówiła, że sama kiedyś mieszkała na wsi.

– Jak ona się miewa? – Clive uchylił kapelusza dziewczynie.

Mary obdarowała go oschłym spojrzeniem i pozbawioną tonu odpowiedzią.

– Lepiej. Dopiero co zaczęła wstawać z łóżka. Tyle co wyjdzie na werandę, posiedzi trochę, czasem jest ze mną w kuchni. Szybko się męczy, ale chyba dochodzi do siebie. Jeszcze parę tygodni i zacznie być samodzielna.

– Pójdę z nią porozmawiać – Clive minął dziewczynę.

– Nie radzę. Jedyne, co trzyma ją przy życiu, to twoja śmierć.

Rewolwerowiec zatrzymał się, przytaknął, ale i tak w końcu wszedł do domu.

– Jakies wieści od Doca Martina? – zapytał Morris.

– Żadnych.

Z tej perspektywy widok umierającego miasta budził grozę. Morris przetarł rękawem kurz z czoła i nałożył melonik na głowę. Prosperity, Mary, dom Martina – wszystko wyglądało inaczej, jakby posunięte w czasie, choć przecież tak mało go minęło w rzeczywistości. Tak właśnie postanowił to nazywać, podzielił świat na rzeczywistość i Krainę Snów. Pozwalało mu to jakkolwiek sklasyfikować i racjonalizować swoje doświadczenia.

Kiedy byli już sami, uśmiech Mary zrobił się nieco cieplejszy.

Cherie siedziała w łóżku. Przykryta do połowy kołdrą, z wełnianym kocem narzuconym na ramiona, z rozpuszczonymi włosami i kolorami powracającymi na twarz wyglądała jak wiejska żona. Brakowało jej tylko tamborka, na którym mogłaby haftować kwieciste wzory. Zamiast tego siedziała z osełką i w skupieniu ostrzyła noże.

Na nocnej szafce stała miska po rosole, obok dzbanek z wodą i czysta szklanka. Za nimi zaś sarta książek, które zapewne Mary czytała jej wieczorami.

Clive zapukał do drzwi i zajrzał do środka. Spojrzenie Cherie było ostrzejsze nawet niż klingi, które najprawdopodobniej byłyby teraz w stanie przeciąć włos na dwoje. Przez chwilę rewolwerowiec zastanawiał się, czy kobieta nie rzuci w niego nożem lub nie zerwie się z łóżka, żeby wbić mu go w serce.

– Fatalnie wyglądasz – burknęła. – Jesteś błydy i schudłeś. Można by pomyśleć, że bardziej się nie da.

– Czas mi się kończy – odparł szczerze.

– No tak. To kiedy ruszamy do Crucible?

Clive zaniemówił. Zdjął kapelusz, poprawił włosy i podszedł do łóżka. Odezwał się głosem spokojnym i pełnym troski:

– Ty nigdzie nie jedziesz, Cherie, i wiesz o tym.

– Chyba sobie żartujesz, że puszczę cię tam samego – parsknęła. – Po pierwsze, chcę spojrzeć Campbellowi w oczy, a po drugie, muszę się upewnić, że to ja cię zabiję, a nie on.

– W takim razie pozostaje ci trzymać kciuki, żebym wrócił.

Spojrzała na niego jak na niemądrego szkraba.

– Nic z tego. Jadę z wami. Wiesz, że mnie nie przekonasz.

Clive pozwolił sobie usiąść obok niej na krawędzi łóżka.

– Wiem, że nie dasz rady wyjść dalej niż do sąsiedniego pokoju. Nie ma się co upierać. Nie będziemy na ciebie czekać, a jeżeli Martin nie wróci w ciągu dwóch dni, pojedziemy tam z chłopakiem i bez niego. Tak postanowiliśmy.

– Postanowiliśmy? – szczerze się zdziwiła. – A od kiedy to twoi pomocnicy mają coś do powiedzenia?

Clive zmieszał się. Westchnął ciężko.

– To dobry chłopak, cholernie silny, uparty chyba bardziej nawet niż ty, a pod tą ryżą czupryną nie brak mu charakteru. Ja zaś umieram. Wszystko się zmienia. Nawet to miejsce. Dzięki tobie Mary je odmieniła. Masz na nią dobry wpływ, no i wiesz, jak dbać o obejście.

– Twarda z niej dziewczucha.

– Tak, choć niechętnie zauważam, że przejęła też nieco twojego charakteru.

Twarz Cherie złagodniała. Ku zdziwieniu Clive'a jej oczy się zaszklily, a usta zaczęły drżeć, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem.

– Musisz mnie stąd zabrać – szepnęła błagalnym tonem. – Ja już nie wytrzymam. Od lat nie siedziałam w jednym miejscu dłużej niż kilka dni, a tu jestem niemal przykuta do tego pieprzonego łóżka. Cholera mnie ciska. Już dla zabawy zaczęłam rzucać nożami – wskazała przeciwległą ścianę, w której ziały dziesiątki wyszczerbionych otworów.

– Mary dobrze się tobą opiekuje. Wkrótce będziesz zdrowa.

– Nie – jęknęła. – Ja tu oszaleję. Chcę się ruszyć, robić coś, bo jak nie, to boję się, że ostygnę. Że zapuszczę korzenie. Ta dziewczyna jest zbyt dobra, a ten mały gnojek, który się tu kręci, jest tak uroczy i kochany, że mam ochotę go zatłuc miską na szczynty.

Clive powstrzymał się od śmiechu. Pogłaskał Cherie przyciskając do piersi noże, zupełnie jakby to były jej dzieci.

– Przykro mi, moja droga. Musisz poczekać.

– Nie muszę – szepnęła z nadzieją. – Możesz zrobić te swoje czary mary. Możesz przewinąć dla mnie czas. Będę jak nowa.

Rewolwerowiec poczuł, że robi mu się zimno. Widział w kobiecie żądzę działania, potrzebę ekscytacji i przygody tak mocną, że stawiała na szali własny czas. Była gotowa oddać odrobinę z i tak przemijającej już młodości, byleby szybciej wrócić do świata.

– Wiesz, z czym to się wiąże – ostrzegł. – Będę musiał użyć twojego Potencjału, dostać się do niego, zawładnąć nim.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– I nie brzydzi cię to? Nie boisz się, że zrobię coś, co przeszkodzi ci w dochowaniu przysięgi, którą mi złożyłaś?

Cherie uśmiechnęła się smutno. Odłożyła noże na bok i ujęła twarz Clive'a w szczupłe dłonie. Były ciepłe, pachniały metalem.

– Clive, głuptasie – bez ostrzeżenia spoliczkowała go z taką siłą, że na chwilę go zamroczyło. – Ja wiem, że tego nie zrobisz. Męczy cię choroba, a ja za dobrze cię znam, żeby myśleć, że się jej poddasz! Resztki sumienia, które masz w tym pokręconym umyśle, ubolewają nad tym, co zrobiłeś mnie i mojemu mężowi. Nawet mocniej niż ja chcesz, żebym to ja cię zabiła, a nie ta choroba. Dlatego zrobisz, co mówię, do jasnej cholery, albo tu i teraz przegryzę ci tętnice i wydrapię serce gołymi rękoma – mówiąc to, uśmiechnęła się w sposób, który byłby w stanie przerazić każdego.

Clive przełknął ślinę. Nigdy nie udało mu się jeszcze wygrać z Cherie.

– Dobrze, ale nie dzisiaj – oświadczył niepewnie. – Pozwól mnie i Morrisowi odpocząć. Chciałbym, żeby był przy tym.

– Po jaką cholere? – zapytała, lecz ugryzła się w język. Spojrzała badawczo na rewolwerowca. – Ty nie jesteś pewny, czy ci się uda, tak?

Przytaknął.

– Też, ale mam wrażenie, że Morris wie więcej niż mogłoby się wydawać. Wszystko ci opowiem.

To powiedziawszy, Clive wyłuszczył szczegóły odbytej podróży, zwracając szczególną uwagę na czas, który chłopak spędził z cieniem Wilsona oraz o naukach,

które u niego pobierał. Nie pominął nawet kwestii indiańskiego bóstwa sprowadzającego koszmarny monstra za pomocą pochwyconych cieni.

W pierwszym odruchu Morris odmówił udziału w rytuale. Nie chciał mieć do czynienia z czarami Clive'a, a już z pewnością nie zamierzał pozbawiać Cherie nawet odrobiny jej Potencjału. Dopiero rozmowa z kobietą i jej absolutne zdecydowanie zmieniło jego zdanie. W rzeczy samej, musiała go błagać, aby wyraził zgodę, a w końcu zagroziła, że powie Mary o ich wspólnej nocy. Niechętnie zgodził się pomóc.

Zaraz po śniadaniu zamknęli się w pokoju, w którym leżała Cherie. Clive nie wymagał specjalnych przygotowań, chciał tylko, by kobieta była porządnie najedzona i wypoczęta.

– Kiedy mi to zrobiłeś – zauważył Morris – strasznie schudłem. Mówiłeś, że ciało potrzebowało energii do regeneracji. – Stał u stóp łóżka, patrząc, jak jego towarzysz przygotowuje mały pędzelek i buteleczkę inkaustu.

Cherie leżała na wznak. Obnażyła ramiona i podwinęła koszulę, tak by było widać ranę na jej brzuchu. Dziura tuż nad prawym biodrem zaszyła grubą warstwą skrzepniętej krwi, pod którą powoli regenerowała się tkanka. Skóra wokół była nieco obrzęknięta.

– Poniekąd – przyznał Clive.

– No, Cherie jest bardzo szczupła.

Słyszając to, kobieta uśmiechnęła się i puściła Morrisowi oczko. Nagle powracające wspomnienie wspólnie spędzonej nocy nie tylko zbiło chłopaka z pantałyku, ale sprawiło, że się zająknął. Nie umknęło to uwadze Clive'a, który spojrzał na nich i pokręcił głową z zażenowaniem, trafnie odgadując myśli obojga.

– Sugerujesz – mruknął, zamaczając pędzelek w tuszu – że ciało Cherie nie będzie miało z czego podtrzymać życia podczas kompresji czasu?

Morris pokiwał głową i kucnął przy łóżku.

– Coś w tym stylu.

– To magia – Clive rzucił, jakby to miało wszystko tłumaczyć. – Magia tak naprawdę na każdego działa nieco inaczej. Popatrz na siebie. Zabraliśmy ci parę miesięcy, dzięki czemu schudłeś i zmęźniałeś. Zwykły człowiek potrzebowałby do tego ciężkiej pracy i sycących posiłków, nie mówiąc już choćby o tym, że każdy do przeżycia potrzebuje wody. Jak więc twoje ciało przeżyło kilka tygodni skompresowanych do kilku chwil? Przyznaję, że nie potrafię tego jeszcze wyjaśnić,



a badam i używam magii pewnie od dwudziestu lat. Może i tak zmieniłbyś się w ten sposób?

– Użyłeś kiedyś tego na sobie, prawda? – Dopiero po zadaniu tego pytania Morris skarcił się, przypominając sobie, że cenę za ten efekt magiczny zapłacił wtedy mąż Cherie. Słyszając to, kobieta przymknęła oczy i odwróciła głowę.

– Tak, ale wtedy trwało to kilka dni. Kompresję podzieliłem na krótkie interwały. Po prawdzie to liczyłem, że nie będzie ona wymagała poświęcenia wszystkiego, po co sięgałem. Okazało się inaczej. Kilka dni zmieniłem dla siebie w kilka chwil. Nie sprawiło to, że się odwodniłem lub zagłodziłem.

Cherie poruszyła się niespokojnie. Sięgnęła po szklankę z wodą i wychyliła całą.

– Tak profilaktycznie – uśmiechnęła się blado. – Ale rozumiem, że nie ma zagrożenia, tak?

– Raczej nie ma – mruknął Clive. Wziął ramię kobiety i zaczął na nim malować glyfy podobne do tych, które wyrył na dłoni Morrisa.

– Wyjaśnij mi coś – chłopak wstał i zaczął krążyć po pokoju. – Im większa kompresja, tym większy wydatek energetyczny. Możesz spowolnić lub przyspieszyć czas dla siebie, dla kogoś lub w danym obszarze?

– Mniej więcej.

– A co, jeżeli kompresja miałaby trwać długo, ale modyfikowałaby przepływ czasu znacznie delikatniej niż przy szybkim leczeniu?

Clive przerwał tworzenie malunku. Spojrzał na chłopaka, mruknął, kalkulując coś w głowie.

– Na kompresję ma wpływ wiele czynników. Obszar lub punkt skupienia, poziom kompresji. Jedynym ograniczeniem jest to, że czasu nie da się cofnąć, bo co się stało, to się już nie odstanie. O dziwo, w odróżnieniu od manipulowania prawdopodobieństwem, o wiele łatwiejsze są tu radykalne działania niż finezyjne efekty. To jest coś, o czym mówił mi Chaliis.

Clive bezwiednie pogłaskał indiański amulet na szyi. Wrócił do malowania ciała Cherie, lecz w pewnym momencie zmienił koncepcję. Wytarł część znaków i zaczął kreślić nowe, nieco inne.

– Pomożesz mi – zwrócił się do Morrisa. – Zrobimy tak, aby zabrać Cherie jak najmniej czasu. Trochę to potrwa, ale jeżeli dobrze rozumiem, do czego zmierzasz, to powinno nam się udać. Potrzebny jest do tego odpowiedni poziom skupienia, kontroli nad tym, co będziemy robili, aby działać delikatnie. Wolę tego nie robić sam. Dasz radę?

Chłopak zatrzymał się. Pełne nadziei spojrzenie wielkich oczu Cherie wystarczyło, by przegonić niechęć do współpracy z Clive'em.

Kłamstwem byłoby, gdyby powiedział, że nie wie, co ma zrobić. Pułkownik Wilson podzielił się z nim sporym kawałkiem zdobytej wiedzy, choć on sam bazował bardziej na zabawie z prawdopodobieństwem niż z czasem. Natomiast o kontroli przepływu i wykorzystaniu Potencjału chłopak miał już całkiem solidną wiedzę podstawową, choć nadal bardzo małe doświadczenie. Przystał więc na propozycję rewolwerowca.

Klęknął po drugiej stronie łóżka i złapał Cherie za rękę. Kobieta uśmiechnęła się do niego czule. W oczach zagrała jej delikatna iskierka wdzięczności, coś, co do niej kompletnie nie pasowało, jak przeblysłk z poprzedniego wcielenia, w którym była osobą o wiele delikatniejszą, prostszą i spokojną.

– Jesteśmy gotowi? – zapytał Clive.

Oboje przytaknęli. Chłopak poczuł znajome przyciąganie, które niekontrolowane mogłoby wyssać z niego moc Potencjału. Nie pozwolił na to, lecz odpowiedział tworząc mozolnie, acz dokładnie, most między umysłami swoim i Clive'a.

Pierwszy raz świadomie dokonywał takiego połączenia z rewolwerowcem, a to, co wyczuł po drugiej stronie, wstrząsnęło nim do głębi. Clive niemal nie posiadał już mocy. Jego czas się skończył. Zostało mu ledwie parę dni, choć równie dobrze mogło to być parę godzin. Był jak koń, któremu płaczą się nogi, zanim padnie i już nie powstanie. Co więcej, gdzieś tam wewnątrz tego człowieka kotłowało się kłębowisko cieni. Clive miał w sobie dziesiątki cudzych duchów, zagarniętych podczas kradzieży Potencjału, drażących go od środka niczym chmara wygłodniałych robaków. Jakież silny musiał mieć umysł, skoro nie doprowadziło go to jeszcze do skrajnego szaleństwa. A może już to się stało? Może Clive K. Phillips, który napisał wszystkie te niesamowite opowieści, doktor nauk z Bostonu, w gruncie rzeczy już nie istniał? Zastąpił ją łowca nagród i czarownik, mściciel i badacz spraw nadprzyrodzonych.

Obserwowanie Clive'a okazało się niezwykle wciągającym zajęciem, ale tego dnia to Cherie wymagała interwencji. Glify wypisane na jej ciele pozwalały w swobodny sposób badać jej poziom mocy. Sporo z niej już wykorzystano, raczej nieświadomie. Przeżyła już dwadzieścia dziewięć lat i o ile nic innego nie miało na to wpływu, jej Potencjał powinien pozwolić na przeżycie niemal kolejnych trzech dekad. Na końcu tej drogi czekała zapewne jakaś choroba, a przy tym trybie życia Morris wróżył jej

problemy z wątrobą lub szalenie wywołane przez syfilis. Naszła go refleksja, że czego by nie zrobiła, nie doczeka przełomu stuleci.

Sondowanie myśli i emocji Cherie wciągało niczym dobra lektura, co sprawiło, że Morris musiał wysilić wolę, by się w niej nie zatracić. Skupił zatem uwagę na symbolach użytych przez rewolwerowca. Widział je oczami umysłu, czuł całym sobą. Zdawały się nieco inne niż te, które Clive uwiecznił na swojej skórze oraz których używał na nabojach. Ich kształty poruszały w Morrisie przepływy mocy, otwierały nowe ścieżki kontrolowania Potencjału. Budziły bezgraniczną fascynację i przerażenie. A przecież było to tylko kilka maźnięć, kombinacja zawijasów, kropek i kresek. Mimo swojej pozornie trywialnej formy oddziaływały na wszystko i umożliwiały rzeczy, które wykraczały poza pojmowanie i zdrowy rozsądek. Jakaż tajemnica musiała kryć się w ich genezie, kto je powołał do życia i w jaki sposób połączył je z tak skomplikowanym tworem jak człowiek?

Morris wyobrażał sobie cały proces kompresji czasu jak nabieranie w dłonie śniegu i prasowanie go, gładzenie i ściskanie, by zrobić idealną kulę. Wymagało to niebywałej kontroli. Zbyt mocne ściśnięcie sprawiłoby, że czas wyciekłby im między palcami. Efekt byłby podobny, lecz utrata czasu o wiele większa. Zbyt słabe ściskanie sprawiłoby, że efekt by się rozpadł. Pracowali więc cierpliwie.

Mógł mieć otwarte oczy, lecz to, czego doświadczał, zdecydowanie wykraczało ponad to, co potrafiły ogarnąć ludzkie zmysły. Widział Cherie, ale też czuł jej czas, jej myśli, jej emocje. Na to wszystko nakładał się żywy chaos emanujący z Clive'a. Wspólnie zaś dokonywali operacji na kobiecie, intencjonalnie przyspieszając dla niej przepływ czasu.

Rana na brzuchu Cherie malała w oczach, obrzęk znikał, strup wysychał. W tym procesie Morris stracił poczucie czasu, a kiedy tylko o tym pomyślał, stała się rzecz straszna.

Kątem oka zarejestrował, że poblady Clive słania się, by za chwilę upaść na podłogę. Połączenie z nim zostało zerwane, efekt osłabiony. Chłopak natychmiast postawił przed sobą obraz kuli śnieżnej i zacisnął na niej palce swojej woli. Nagle utrzymanie kontroli stało się dla niego karkołomnym wyzwaniem. Wiedział, że porażka może skończyć się tragicznie dla Cherie. Czas mógł wystrzelić dla niej jak szalony, przenosząc ją do wieku starczego lub jeszcze dalej, gdzie czekała tylko śmierć.

Rana zasklepiła się całkowicie, wyschnięty strup odpadł, pozostawiając po sobie okrągłą tkankę blizny. Dopiero wtedy Morris zaczął puszczać, pozwolił, by czas

Cherie się rozprężył, zwolnił nawet na chwilę bardziej niż powinien, by w końcu dostosować się do właściwego przepływu, jaki dotyczył całego wszechświata.

Dokonało się.

Chłopak usiadł na podłodze, wycieńczony niebotycznym i jakże niespodziewanym wysiłkiem. Oddychał głęboko niczym topielec powrócony do życia. Jak przez mgłę zobaczył Cherie zrywającą się z łóżka, by doskoczyć do Clive'a. Spróbował się podnieść, lecz wywołujący mdłości błędnik odmawiał mu posłuszeństwa. Rewolwerowiec leżał tuż obok, za załomem łóżka. Jego oblicze przeraźliwie pobladło, oczy wywróciły się do góry białkami, krwawił z ust i nosa. Krztusił się, kaszlał i rzeził. Cherie klęczała nad nim, wycierając krew kawałkiem koszuli.

– Jeszcze nie teraz – powtarzała z mroczną pasją. – Nie zabije cię choroba. Ja to zrobię, rozumiesz, Phillips? Tylko ja.

Ciało rewolwerowca przeszywały drgawki. Jego dłonie i stopy trzepotały niczym płetwy ryby wyrzuconej z wody.

– Co mu jest? – wybełkotał wciąż oszołomiony Morris.

– A skąd ja mogę wiedzieć? – zachnęła się Cherie. – Nie jestem lekarzem.

W akcie improwizacji złapała leżący nieopodal pędzelek i wetknęła go między zęby Clive'a, żeby nie przygryzł sobie języka. Niewiele więcej mogli zrobić.

Atak minął równie niespodziewanie, jak się pojawił. W tym czasie Morris nie odrywał wzroku od Cherie. Istotnie, coś się w niej zmieniło, lecz zmiana ta wydawała się ulotna. Kobieta miała nieco dłuższe włosy, a jej oblicze sprawiało wrażenie najdoskonalszej wersji siebie, jak szczytowe osiągnięcie rzeźbiarza. W jakim wieku mogła być teraz? Próbowali skompresować dla niej kilka tygodni, może miesięcy. Nie miała zmarszczek ani siwych włosów, a to samo w sobie oznaczało spektakularny sukces. Raczej nie wyrządzili jej krzywdy.

Clive nie obudził się już tego dnia. Przenieśli go na łóżko i na zmianę doglądali w cierpliwym oczekiwaniu, aż i on zregeneruje siły. Morris nie potrafił oprzeć się wrażeniu, jakby patrzył na klepsydrę, w której zostało ledwie kilka ziarenek piasku. Już za chwilę, już wkrótce opadnie ostatnie z nich i czas Clive'a K. Phillipsa bezpowrotnie się skończy, tak jak i jego pełna okropieństw historia...

\* \* \*

Clive odzyskał przytomność, a z nią przyszły potworny ból głowy, mdłości i suchość w ustach. Przypominało to potężnego kaca, lecz dojmujące osłabienie wskazywało, że

śmiertelna choroba przechodzi w ostatnie stadium.

Wstał z łóżka, wspierając się o meble, byleby znowu nie upaść na podłogę. Za oknem nastał już nowy dzień, a słońce zaglądało przez firanki, boleśnie kłuło w oczy ostrymi promieniami. Ubranie Clive'a lepiło się od zakrzepłej krwi i śmierdziało potem.

Dosyć niepewnie wyszedł z sypialni, przespacerował do salonu, gdzie zostały jego sakwy. Umył twarz w zimnej wodzie pozostawionej w kuchennej misce. Skończywszy, wysupłał z kieszeni ciemne okulary, zatknął je na nos i odetchnął z ulgą, gdy światło w końcu przestało go razić.

Zdało mu się, że słyszy z podwórka rzenie koni i głośnie rozmowy. Odsunął frankę i ujrzał domowników rozmawiających z groźnie wyglądającym oddziałem kawalerii. Na tle kilkunastu jeźdźców w granatowych mundurach wyraźnie odcinał się Doc Martin. Strudzony drogą, z nowymi ranami, lecz wciąż żywy.

– Nareszcie – Clive szepnął z mroczną satysfakcją.

Założył czystą koszulę i kapelusz i wyszedł na zewnątrz, zapominając kompletnie o złym samopoczuciu.

Żołnierze dostali polecenie, by rozejrzeć się po mieście, pokazać się, co samo w sobie powinno mieć zbawienny wpływ na pozostałych tu mieszkańców. Tymczasem Clive, Morris, Martin, Cherie i podporucznik Bradley zebrali się w salonie, by ustalić plan działania. Usiedli, gdzie się dało, czekała ich długa i wyczerpująca dyskusja. W jej trakcie podzielili się zdobytymi informacjami oraz niepokojącymi przypuszczeniami co do zasięgu intrygi, w którą, mniej lub bardziej świadomie, wdepnęli.

– Czym prędzej wyruszam – oznajmił w końcu Clive. – Nie rozumiem, dlaczego generalicja chroni to miejsce przed wzrokiem postronnych, ale niewiele mnie to obchodzi. Ci głupcy widzą we wszystkim tylko swój interes. Pan wybaczy, poruczniku, ale tak po prostu jest.

Oficer uczynił gest sugerujący, że nie wzięął uwagi do siebie.

– Twierdzi pan, że nie znają prawdziwej natury tego, co kryje się poza Crucible?

– Wręcz odwrotnie. Podczas wojny pracowałem z tymi ludźmi i przyznam, że całkiem nieźle poznałem zarówno Shermana, jak i Granta. Początkowo byli sceptyczni względem wykorzystania magii do skrócenia konfliktu, ale prezydent Lincoln przekonał ich i kilku innych, aby mi zaufali. Z czasem dowiedziałem prawdziwości istnienia tych sił oraz możliwości wykorzystania czarostwa w tamtych trudnych chwilach. Podobnie jak pan walczyłem, lecz na nieco innym froncie.

Bradley uniósł brwi i spojrzał na Martina. Ten potaknął, dając do zrozumienia, że rewolwerowiec nie jest szaleńcem, przynajmniej nie kompletnym.

– I Wes Campbell był pana odpowiednikiem po stronie południowców?

– Mniej więcej.

Do pewnego momentu Morris trzymał się na uboczu, tylko obserwując. Teraz zaś wstał z krzesła, tym samym ściągając na siebie uwagę zebranych.

– Z tego, co zrozumiałem, Wes Campbell jest odpowiedzialny za zamach na prezydenta Lincoln. Dlatego Clive na niego poluje.

Wszyscy spojrzeli na niego, z wyjątkiem Clive'a, którego mina nagle stężała.

– Skąd to wiesz, chłopcze? – spytał Martin.

Morris zmieszał się, lecz odpędził wątpliwości. Nie był to czas na gryzienie się w język lub unikanie trudnych tematów.

– Powiedział mi o tym duch pułkownika Wilsona.

Zebrani spojrzeli po sobie. W normalnych okolicznościach ktoś rzuciłby jakiś cięty komentarz, podważył słowa Morrisa lub wprost go wyśmiał. Tyle że nikt w tym gronie nie miał na to najmniejszej ochoty, bo wszyscy, nawet podporucznik Bradley, dopuszczali do siebie, że to prawda. Próbowali żyć w nowym świecie, którego dopiero zaczynali się uczyć.

– Zgadza się – wtrącił Clive. – Na kilka tygodni przed tym wydarzeniem spotkałem się z Campbellem. Przedstawiłem mu propozycję, którą wystosował Abe Lincoln. Zwycięstwo Unii było już przesądzone, a dalsze działania na polu magicznym paradoksalnie mogły tylko przedłużyć wojnę. W zamian za wycofanie się zarówno mnie, jak i Campbella, prezydent obiecał powołanie nowej gałęzi nauki zajmującej się badaniem magii. Wraz z Campbellem i kilkoma innymi mieliśmy stać się prekursorami heksologii na najważniejszych uniwersytetach Stanów Zjednoczonych.

– Heksologii? – powtórzył Bradley.

– Czarostwa – odpowiedziała Cherie. – Do niedawna paliliśmy wiedźmy na stosach. Clive chciał, żebyśmy zaczęli je kształcić na uniwersytetach.

– Tak – przyznał Clive. – Campbell zgodził się i zaprzestał działań. Ja zrobiłem to samo. Mieliśmy z ubocza obserwować przebieg wydarzeń. Niestety tuż przed zakończeniem wojny prezydent Lincoln został zastrzelony. Sęk w tym, że tylko on był gwarantem umowy.

Porucznik Bradley wstał od stołu, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Jaki udział miał w tym Campbell? – zapytał. – Przecież zamachu dokonał John Wilkes Booth. Kawaleria ścigała go aż do Wirginii. Padł w strzelaninie, a jego współników powieszono.

– To również się zgadza – odparł Clive. – Z tym, że Booth okazał się tylko pionkiem, maniakiem i głupcem. Gdybym był wtedy w teatrze, pewnie bym wyczuł, że coś się dzieje. Nie wiem, jak to nastąpiło, w jaki sposób Campbell zapewnił mu przejście do prezydenckiej loży. Wiem tylko, że w chwili śmierci Booth miał przy sobie talizmany naznaczone przez Campbella. – Czując pytające spojrzenia, postanowił wyjaśnić. – Nie zdołałem ocalić Lincolna, ale udałem się w pościg za Boothem. Pomimo złamanej nogi zdołał uciekać przez kilka dni. Dopadliśmy go na farmie Garretów, krył się w ich stodole. Niestety oficer kawalerii strzelił mu prosto w szyję, pozbawiając go głosu. Wkrótce też Booth się wykrwawił. Po wszystkim zażądałem spotkania z Campbellem, ale on odmówił. Dopóki miałem trop, ścigałem go zaciekle. Niestety zdarzył się pewien wypadek – głos mu się urwał, a ciężący na nim wzrok Cherie stał się nagle nie do zniesienia. – I wszystko nagle się zmieniło.

– I to daje ci pewność jego winy? – zdziwił się Martin. – Talizmany?

– Owszem. Są jak personalny podpis, nie sposób ich podrobić. Co więcej, kto niewinny uciekałby przed konfrontacją?

– Może ktoś, kogo ściga opętany chęcią zemsty szaleniec? – wtrąciła Cherie.

Clive skrzywił się, jakby chciał powiedzieć, że wszyscy, jak tu siedzą, są szaleńcami.

Bradley wypatrywał powracającego oddziału, lecz tak naprawdę starał się ułożyć w głowie układankę, której większość elementów miał przecież przed oczami, a wciąż do siebie nie pasowały.

– To nie wyjaśnia, dlaczego porucznik Arkham chronił Campbella – zastanowił się. – Działający zresztą na rozkaz generalicji. Wyraźnie osadzony w tym konkretnym miejscu, a co więcej, pośrednio wspierany przez byłego pułkownika Konfederacji.

Clive kiwnął głową. Również nie dawał mu spokoju ten szkopał. Jasne, nawet w tym pokoju znajdowali się ludzie, którzy walczyli po dwóch stronach barykady, a którzy mimo to potrafili ze sobą współpracować. Lecz z relacji wynikało, że zarówno Arkham, jak i Wilson nie porzucili swoich poglądów z czasów wojny. – Tego możemy dowiedzieć się tylko od samego Campbella – stwierdził sucho. – Aby tak się stało, musimy przejechać przez Crucible i dostać się do posiadłości Wilsona. Porucznik Bradley będzie miał szansę zobaczyć miasto, być może dowie się, co się stało z jego mieszkańcami. Kto będzie chciał, może ruszyć ze mną, by stawić czoła

Campbellowi. Miejmy nadzieję, że w ten sposób rozwikłamy tę tajemnicę i każdy z nas otrzyma, czego mu trzeba.

Słyszac to, Cherie chrząknęła sugestywnie, a na zmęczone spojrzenie Clive'a odpowiedziała jadowitym uśmiechem. Jej nadrzędnym celem pozostawało zgoła co innego.

Bradley sięgnął do kieszeni i wyciągnął kartkę z zaszyfrowaną depezą wysłaną z Waszyngtonu. Pokazał ją Clive'owi.

– Rozumie pan coś z tego?

Rewolwerowiec przyjrzał się zapiskom. Mruknął, pokiwał głową.

– Tak, to szyfr, jakiego używaliśmy podczas wojny. Służył do komunikacji w ramach kręgu osób wtajemniczonych w magiczne oblicze tego konfliktu. To *de facto* łacina. Cyfry oznaczają litery alfabetu, a litery...

– Sir – z szacunkiem, acz stanowczo Bradley przerwał mu gestem. – Czy potrafi pan to odczytać?

Clive potwierdził. Wyjął notatnik i zaczął litera po literze odcyfrowywać wiadomość. Skończywszy, z sykiem wypuścił powietrze i uniósł wzrok na zebranych. Wyglądał na zaniepokojonego.

– Musimy jak najszybciej wyruszać.

– Dlaczego?

Clive odchrząknął i przeczytał treść depezy:

– *W związku z zagrożeniem operacji niezwłocznie wysyłamy oddział likwidacyjny.*

– Co to może znaczyć? – Morrissa zdjął zimny dreszcz. Przeczucie podpowiadało mu, że już wie, co oznacza wiadomość, oraz kogo mogli się spodziewać.

– Oddział likwidacyjny brzmi jak ktoś, kto ma zamieść sprawę pod dywan – wyjaśnił Bradley. – Zabić lub wyprowadzić stąd Campbella, prawdopodobnie pozbyć się świadków. W tym wypadku obawiam się, że chodzi o wszystkich zebranych w tym pokoju.

I znowu nastąpiła pełna napięcia cisza. Każde z nich miało świadomość swojego udziału, oznaczającego wyrok śmierci, nieoficjalnie wydany przez rząd Stanów Zjednoczonych.

– Całe szczęście mamy ze sobą oddział kawalerii – Cherie mrugnęła zalotnie w kierunku Bradleya.

– To nic nie zmienia – zaprzeczył Clive. – Jak myślicie, kogo wysłaliby do zabezpieczenia kogoś takiego jak Campbell? Sądzę, że jednostki będące w stanie sobie z nim poradzić. To nie będą zwykli żołnierze czy najemnicy. W najlepszym wypadku



zdążają tu ludzie uzbrojeni w magiczne przedmioty, w najgorszym – czarownicy jak ja czy Campbell.

– Ile mamy czasu?

– Niewiele – wtrącił Morris. – Magia pozwala na przemierzanie dużych odległości szybciej niż zrobiłby to zwykły człowiek.

Nie trzeba było więcej mówić ani wdawać się w szczegóły techniczne. Wszyscy wiedzieli, co należy robić. Przyszedł czas, by wreszcie wyruszyć do Crucible.

\* \* \*

Bradley po raz kolejny przechodził wzdłuż składu kolejowego, krytycznie lustrując każdy z wagonów. Nieużywany od wielu miesięcy pociąg stał na bocznicy umożliwiającej przełączenie lokomotywy z jednego końca składu na drugi, obecnie skierowany na zachód ku Crucible.

Rolę dworca pełnił tutaj drewniany barak ze sporym zadaszeniem, wyposażony w niedużą, pustą teraz wozownię. W tym miejscu właśnie wyładowywano urobek przywieziony z kopalni i przekazywano do dalszego transportu, zapewne organizowanego w pobliskim budynku kompanii Wilcamp. Po drugiej stronie torów znajdował się wielki semafor ustawiony na drewnianym rusztowaniu. Ostatnimi czasy jego zadaniem było zbieranie deszczówki, a w najcieplejsze dni służył co bardziej odważnym lub pijanym mieszkańcom Prosperity jako basen.

Dowódca kawalerzystów przystanął na końcu pociągu, gdzie znajdował się wagon pocztowy. Pomalowana na zielono, wzmocniona metalem konstrukcja prezentowała się solidnie, niczym najprawdziwsza mobilna forteca. Trzy zestawy wąskich okien wpuszczały do środka odrobinę światła, lecz nie pozwalały, by ktokolwiek się przez nie przecisnął. Para wzmocnionych drzwi, ryglowana od środka na stalowe sztaby, zdawała się niemożliwa do sforsowania, a mała wieżyczka stanowiła świetny punkt obserwacyjny i strzelniczy.

– No dobrze, ten wagon daje nam nadzieję, że w razie ataku uda nam się jakoś obronić – powiedział Bradley do towarzyszącego mu Martina. – Nadal uważam, że gdybyśmy bezzwłocznie wyjechali konno, mielibyśmy większe szanse dotrzeć na miejsce. Stracimy sporo czasu, zanim zapakujemy się do pociągu i uruchomimy tę piekielną maszynę.

Doc Martin poklepał towarzysza po ramieniu jak starego przyjaciela. Za ich plecami kawalerzyści niechętnie rozkulbaczali konie, z równym sceptycyzmem co ich dowódca patrząc na potężny pojazd, który miał zawieźć ich do Crucible.

– Szanse może byśmy i mieli, ale to, z czym się mierzymy, to nie jest zwykły pościg. Musisz chyba przyznać, że nic w tej sprawie nie jest ani zwykłe, ani normalne. Za cholere nie wiemy, co to za jedni podążają naszym tropem i jakimi możliwościami dysponują. Pociąg może i łatwiej zobaczyć czy nawet dogonić, ale ma ogromną przewagę: jedzie tak szybko, jak koń w galopie, ale w odróżnieniu od zwierzęcia się nie męczy. Konno musielibyśmy zatrzymywać się na popas i na nocleg, a korzystając z pociągu, dotrzemy tam w parę godzin, co, jak sam zapewne przyznasz, będzie jakąś formą odpoczynku po naszej podróży z Fort Hopkins. Co więcej, tory przechodzą obok Crucible i prowadzą dalej do kopalni, a stamtąd powinno być całkiem blisko do posiadłości, w której ukrywa się Campbell.

– Dobrze, dobrze. Przestań już gadać.

Jak przystało na kawalerzystę, Bradley nie wyglądał na przekonanego. Bardziej ufał w swobodę i mobilność jeźdźca i konia, niż w poruszanie się pojazdem mogącym jechać tylko w jedną stronę. Zamknięcie w najbezpieczniejszej nawet puszcze było dla niego po prostu zamknięciem, zniewoleniem równym uczepleniu kuli do nogi czy zakuciu w kajdany. Sytuacja jednak zdawała się nadzwyczajna. Niechętnie, ale w końcu przyznał Martinowi rację.

– W wagonie pocztowym postawimy pięciu ludzi. Po dwóch na każdą burtę i jednego na wieżyczce. Grube ściany i wąskie okna to dobre punkty do obrony, zupełnie jak w porządnej twierdzy.

Przeszli dalej wzdłuż wagonów towarowych. Te nie miały okien, choć również były zamykane.

– Mówię to z ciężkim sercem, ale w tych tu przewieziemy konie. Obawiam się tylko, by wierzchowce nam się nie ugotowały.

Martin podszedł do wagonu, wspiał się po małej drabince zamontowanej na jego przedzie. Wdrapał się na dach, przeszedł po nim, przyjrzał się uważnie, tupnął parę razy.

– Zaraz wybiję parę otworów wentylacyjnych – rzucił, wychylając się do Bradleya. – Powinno wystarczyć na tak krótką podróż, ale konie i tak będą musiały mieć zasłonięte oczy.

Przeszli dalej. Martin skakał z dachu na dach, by w końcu zejść na wysokości wagonu pasażerskiego, w którym czekał już na niego Bradley. Wnętrze okazało się brudne i zapuszczone, ponieważ nieużywany pociąg zyskał drugie życie jako kwatery dla gangu Wilsona. Można było znaleźć rozbite butelki, koce, cynowe kubki i resztki

zepsutego jedzenia. Wnętrze przesiąkło zapachem rozlanego alkoholu i ludzkiego potu.

– Duże okna – skrzywił się niezadowolony oficer. – Przeszkłone drzwi od frontu i od tyłu. Kiepsko to widzę. Ściany są raczej cienkie, nie ma tu za czym się ukryć. Te drewniane siedzenia to żadna osłona. Tu damy po dwóch ludzi na wagon. Sam też z nimi zostanę, w razie czego będziemy łączyli siły.

Martin przyznał w duchu, że brzmiało to jak plan, i to całkiem składny. Jego rolę zdążyli już mniej więcej omówić. Ponieważ zajmował się konserwacją lokomotywy, wiedział o niej najwięcej, także to, jak ją uruchomić. Nie uśmiechało mu się to zadanie, lecz ciągle nie był chętny, by brać do rąk broń palną. Cóż innego mu zatem pozostawało?

– Będę potrzebował pomocy przy obsłudze lokomotywy. Znam podstawy, ale żaden ze mnie maszynista, więc będę musiał mieć wolne ręce. Potrzebuję kogoś silnego do przerzucania węgla, bo nadal goi mi się ramię, więc zwyczajnie nie dam rady.

Na obliczu Bradleya pojawił się szelmowski uśmieszek. Wychylił się przez okno i zawołał:

– Panie Carter, poproszę tu do nas!

Postawny żołnierz wszedł do przedziału. Miał podwinięte rękawy i rozchełstaną koszulę. Zarośnięta twarz przyprószone była kurzem z drogi, który spływał mu teraz po policzkach wraz z kropelkami potu. W trakcie trzech dni drogi Carter dał się poznać jako człowiek pełny rubasznego humoru, a jego zadziorny charakter wybijał się nawet na tle tej niezwyklej zbieraniny, której przewodził Bradley. Martin musiał przyznać, że miał ambiwalentne odczucia co do tego człowieka, lecz w całej swojej dalekiej od regulaminowej postawie i prostolinijnej bezczelności nie można było mu odmówić, że był cholernie szczery.

– Ta jest, panie poruczniku – Carter stuknął obcasami.

– Panie Carter, będzie pan odpowiedzialny za ochronę lokomotywy – poinformował go Bradley. – Kapitan Lee będzie pełnił funkcję maszynisty, a pana zadaniem będzie mu pomagać.

– Znaczy się, że mam jechać w lokomotywie? – Carter ucieszył się jak małe dziecko.

– I to jest postawa. Będzie pan chronił lokomotywę, dorzucał do pieca.

– Znaczy mam łopatować? – entuzjazm żołnierza nieco zmalął. – A będę mógł przynajmniej zagwizdać?

Bradley posłał Martinowi pytające spojrzenie. Ten wzruszył tylko ramionami, jakby chciał powiedzieć, że wszystko mu jedno. Widząc to, Carter uśmiechnął się szeroko.

– Panie poruczniku! – dobiegł ich głos jednego z żołnierzy pozostających na zewnątrz. – Lepiej, żeby pan to zobaczył.

Szczupły kawalerzysta nazwiskiem King poprowadził ich z powrotem do wagonu pocztowego.

– Drzwi zamknięto na kłódkę, ale udało nam się je sforsować – wyjaśnił. – Pomyślałem, że lepiej, żeby pan zajrzał tam do środka i powiedział, co mamy z tym zrobić.

– Z czym?

Bradley ściągnął brwi. Istotnie, wszystkie wejścia do wagonu zostały zaryglowane od środka poza jednym, które zamknięto na kłódkę. Otwarte drzwi zapraszały do spowitego półmrokiem wnętrza.

Wdrapali się tam razem z Martinem. Wnętrze wagonu pocztowego zdawało się nietknięte od momentu pozostawienia tu pociągu samemu sobie. Wpadające do środka światło przeszywało je snopami oświetlającymi pląsające w powietrzu pyłki. Wysokie szafki pokrywała cienka warstwa kurzu, podobnie jak stojące tam biurko i krzesła. Na przytwierdzonym do ściany stojaku z bronią wisiały cztery karabiny, a obok nich spoczywało kilka pudełek amunicji. Najciekawszym elementem tego wnętrza okazały się jednak drewniane skrzynki ustawione na końcu wagonu.

Martin i Bradley zbliżyli się do owych skrzyń. Naliczyli ich dwadzieścia dwie. Ustawione jedna na drugiej wyglądały, jakby przewożono nimi amunicję artyleryjską. Martin podszedł do najbliższej i sprawdził wieko. Nie zostało ono przybite i przy niewielkim wysiłku dało się je zdjąć. To, co zobaczyli w środku, zaparło im dech w piersiach. Skrzynię wypełniały bowiem brązowe laski dynamitu ułożone jedna na drugiej.

– Ile tego może tu być? – Bradley wydusił przez wyschnięte nagle gardło.

– Wystarczająco dużo, żeby zrównać z ziemią tę miejscinę – odparł Martin. Delikatnie wziął jedną z lasek i dokładnie sprawdził. Obejrzał od góry, od dołu, powąchał.

– Co robisz?

– Źle przechowywany dynamit może pocić się nitrogliceryną. Robi się wtedy niestabilny. Znaczy, że może sam z siebie wybuchnąć. Całe szczęście jest tu suche powietrze, materiał zdaje się w porządku.

– Skąd tyle o tym wiesz? – zdziwił się Bradley. Nawet on słyszał o dynamicie, lecz wynalazek ten nadal był nowością.

Martin odłożył laskę i ostrożnie zamknął wieko skrzyni.

– Po prostu wiem – odparł zdawkowo. – Podczas jednej z rozmów Wilson zachwycał się tym materiałem. Musiał go zamówić przed tym, co się stało w Crucible, pewnie do pracy w kopalni. Dynamit nigdy tam nie dojechał. Pytanie, co my z nim zrobimy?

Bradley przeszedł po wagonie. Z jego postawy łatwo dało się wyczytać, że miarkuje wszelkie możliwości. Spoglądał na skrzynki nie tyle z przestachem, co z respektem.

– Nie możemy tego tu zostawić – stwierdził w końcu. – Ktoś może przez przypadek to odkryć i będzie nieszczęście.

– Trudno się z tym nie zgodzić, ale nie myślisz, że nam też będzie zagrażał? Wystarczy jeden strzał i po nas.

Dowódca kawalerzystów uderzył pięścią w burtę wagonu. Głuche łupnięcie nie dało pogłosu. Rozejrzał się dokładnie, uważnie sprawdzając każdy szczegół wnętrza.

– Nie bez powodu umieścili skrzynie akurat tutaj – powiedział cicho. – To najbezpieczniejsze miejsce do przechowywania i transportu. Skrzynie zostaną tutaj. Tylko, Martin, nie mów nikomu, co w nich jest. Myślę, że żołnierze będą się czuli lepiej, wiedząc, że nie jadą zamknięci w jednym pomieszczeniu z czymś, co może nas wszystkich zabić w mgnieniu oka.

– Jasne – kowal przytaknął, zaskoczony tonem towarzysza. Przeraziła go perspektywa ukrywania tak istotnego szczegółu przed obsadą wagonu, choć pod pewnymi względami rozumiał takie podejście. – Sam, tylko wybierz niepalących...



## ROZDZIAŁ II

# STAŁOWY ŚWIT

*Ten rudy gnojek ma łeb na karku. Czy już o tym wspomniałem?*

Clive K. Phillips, notatka na marginesie dziennika osobistego

Stukot stalowych kół trących o dawno nieużywane tory hipnotyzował miarowością, usypiał nie mniej niż ciężki oddech parowozu. Stalowy gigant, zasilany węglem dorzucanym przez sierżanta Cartera, mknął przez pustynię w kierunku wzgórz, rysujących się cienką linią na tle nieba przybierającego kolor purpury.

Tory wiodły przeważnie po równinie. Okazyjnie tylko zbiegały w niewielkie dolinki lub wyginały się w łuk, by ominąć szczególnie niekorzystny teren.

Im dalej jechali na zachód, tym roślinność stawała się rzadszym widokiem, ustępowała pola spieczonym od słońca skałom i wyschłej, jałowej ziemi. Nie znać tu było śladu zwierząt, nawet ptaków zwykle dostrzegalnych przecież gdzieś na niebie.

– W tej krainie nie ma Boga – skomentował sierżant Carter podczas jednej z nielicznych chwil odpoczynku.

Wystawił głowę poza osłonę kabiny, aby wiatr nieco go schłodził. Wyglądał cokolwiek zabawnie, umorusany węglowym pyłem niczym spracowany górnik.

– Bóg już dawno opuścił te ziemie, sierżancie – skomentował Martin. – O ile kiedykolwiek tu zawitał. Czasem zastanawiam się, czy przyplłynął On na ten ląd z pierwszymi osadnikami, czy postanowił jednak zostać w starym świecie.

Martin musiał przyznać, że Carter okazał się wdzięcznym towarzyszem podróży. Głównie dlatego, że, mając tak monotonne zajęcie, jak dorzucanie do pieca, mówił bardzo mało. Całkowicie skupiał się na pracy, okazywał wobec podróży pociągiem o wiele więcej entuzjazmu niż jego dowódca. Martin zaś cenił sobie chwile ciszy, kiedy mógł pomyśleć. Złapał się na tym, że myśli o swoim zmarłym wychowanku. Chłopak był prostakiem, ale z gatunku tych, którzy więcej robią niż mówią. Miał rękę do zwierząt i nigdy się nie naprzykrzał. Dobry dzieciak z niego był.

Pociąg wzniecał tumany kurzu od dawna zalegającego na torach, co musiało sprawiać, że z daleka wyglądał jak czarny smok przemierzający pustynię, dymiący wściekle z pyska, potężny i nieustępliwy. Mimo to Martin jeszcze nie pozwolił Carterowi użyć gwizdka. Jechali tak już ponad cztery, może pięć godzin, co oznaczało, że mogli być mniej więcej w połowie drogi z Prosperity do Crucible. Dzień powoli dobiegał końca, a temperatura uparcie nie chciała spadać, nagrzana pustynia dopiero zaczynała oddawać nagromadzone w ciągu dnia ciepło.

Przyrządy lokomotywy wskazywały na optymalne ciśnienie pary, a uzupełnione przed wyjazdem zapasy wody miały w zupełności wystarczyć na podróż. Martin chwycił manierkę i pociągnął solidny łyk, po czym podał ją Carterowi, żeby i ten nieco zwilżył gardło. Przeszedł na tył lokomotywy i wdrapał się na przedział mieszczący zapas węgla, wyjrzał w kierunku wagonu pasażerskiego.

Dostrzegł Bradleya przechadzającego się środkową alejką wagonu, ostentacyjnie wyglądającego to w jedną, to w drugą stronę. Zapewne robił, co mógł, by nie poświęcać zbyt wiele uwagi trajkotaniu próbującej z nim flirtować Cherie. Kobieta niedbale rozsiadła się na jednej z ławek i wodziła za nim rozbawionym wzrokiem, najwyraźniej nie przestając mówić. Bezwstydnie prezentowała wielce kształtne nogi, opięte skórzanymi spodniami, a nader rozchełstaną koszulę przykryła kurtką, której nie zapięła. Objuczona nożami wyglądała jak piratka.

Martin uśmiechnął się pod nosem. Widział bowiem, że nawet odpoczywający tam żołnierze ledwo powstrzymywali śmiech, udając, że nie słuchają mieszaniny z pewnością subtelnych i porażająco niestosownych uwag Cherie.

– Hej, kapitanie – zawołał Carter. – Masz pan dobry wzrok?

– Jeszcze chyba tak.

Carter patrzył w kierunku północnym ku szczytom rozległej doliny, którą jechali od jakiegoś czasu.

– Pan rzuci okiem, tam na górze. Czy mi się zdaje, czy to jeźdźcy?

Martin przysłonił oczy, by nie raziło go słońce chylące się ku zachodowi. Jakieś półtorej mili od nich na wzniesieniu dostrzegł trzy ciemne sylwetki na koniach. Zdawać by się mogło, że dookoła nich kłębiło się stado jakichś zwierząt. Nie ulegało wątpliwości, że nie mógł to być naturalny widok w tych okolicach.

– Miałem cichą nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale to chyba oni – stwierdził, żałując, że żaden z nich nie ma lunety. – Panie Carter...

Żołnierz spojrział na niego z nadzieją, zapewne zdając sobie sprawę, jakie dostanie polecenie. Błysnął zębami w pełnym ekscytacji uśmiechu.

– Proszę użyć gwizdka – polecił Martin. – No, śmiało. A potem pan sypie do tego pieca, ile się da. Musimy jechać z maksymalną prędkością, jakby nas sam diabeł gonił!

Ucieszony Carter pociągnął za sznurek uruchamiający gwizdek lokomotywy. Para wystrzeliła z jednego z kominów, a charakterystyczny gwizd parowozu odbił się echem od ścian doliny. Umówiony sygnał postawił w stan gotowości całą obsadę pociągu.

– Zaczyna się – mruknął Martin.

\* \* \*

– Och, mój ty biedaku. Trzy lata na wygnaniu, zamknięty w dusznym forcie z bandą niesubordynowanych wyrzutków, których zatrzymano w armii tylko dlatego, że mają bogatych rodziców. – Cherie obróciła się na ławce, kucnęła i ułożyła głowę na oparciu, byleby nie stracić z oczu Bradleya. – Musiało być ci ciężko.

Oficer odchrząknął, wyprostował się i mocniej wypiął pierś w swojej nieprzerwanej marszrucie w tę i z powrotem wzdłuż wagonu. Próbował nie zwracać uwagi na potok słów, którym kobieta raczyła go, odkąd wsiedli do pociągu. Jej głos, cokolwiek niski i zmysłowy, wwiercał się w mózg, uniemożliwiając skupienie na zadaniu. Próbował ją przeprosić, skłonić do przeniesienia się do drugiego wagonu, gdzie całkiem umyślnie ją umieścił. Z tym, że ona nie słuchała. Co więcej, nie dawała się przegadać, nie działały na nią twarde spojrzenie ani służbisty ton, który potrafiłby postawić do pionu najbardziej niesubordynowanego żołnierza. Wręcz przeciwnie, wszelkie starania zdawały się jedynie ją podniecać, sprawiać, że jej wzrok robił się skupiony, głos melodyjny, a dyskretne gesty, jak zabawa włosami czy wodzenie szczupłym palcem po oparciu fotela... Bradley po raz kolejny otrząsnął się z dziwnego transu, w który wprowadzał go hipnotyzujący głos Cherie. A może był to zapach, który przecież witał z radością, bo zagłuszał swoimi tonami wszędobylski smród.



Zatrzymał się przed drzwiami wieńczącymi wagon i z utęsknieniem spojrzął do kolejnego przedziału pasażerskiego. Zastanawiał się, czy gdyby tam przeszedł pod pretekstem sprawdzenia, co u żołnierzy, Cherie poszłaby za nim. Powstrzymały go ukradkowe spojrzenia podkomendnych. Z jednej strony było im żal, że uroczą damą opuściła wyznaczone jej miejsce, a raczej wcale go nie zajęła. Z drugiej zaś, doskonale wiedzieli już, kogo obrała sobie za cel i najwyraźniej bawili się setnie, obserwując dowódcę mocującego się z własnymi słabościami.

Odwrócił się i pierwsze, co zobaczył, a przecież spojrzął tylko mimowolnie, to wielkie oczy Cherie i jej zmysłowy uśmiech. Zamrugał, odwrócił głowę, by wyrzeczć przez okno. Jechali doliną, zmierzchało, dookoła było jakoś pusto. Nic ciekawego.

– Doc Martin mówił, że niedaleko fortu była jakaś wioska. – Cherie przeciągnęła się. Bradley był przekonany, że muskała go słowami, zupełnie jak kot muska człowieka ogonem, krążąc dookoła i mrukliwie prosząc o posiłek lub pieszczotę. – Nie mieliście tam żadnych chętnych dzierlatek? Jestem pewna, że musiały być. Która kobieta oprze się mężczyźnie w mundurze?

Bradley zacisnął usta i ruszył korytarzem w stronę lokomotywy. Przez skład węgła dostrzegł Martina, który patrzył wprost na niego i... śmiał się. Zapewne musiał rozumieć jego niezręczną sytuację i przeklęty miał z tego ubaw nie mniejszy niż żołnierze.

Minąwszy Cherie, posłał gniewne spojrzenie w kierunku przyjaciela, co wyłącznie rozbawiło Martina jeszcze bardziej. Tak, myślał o nim jak o przyjacielu. Był to przecież pierwszy i zapewne jedyny człowiek, który go rozumiał, dzięki któremu nie czuł się już szaleńcem.

– Panie poruczniku – Cherie mruknęła, udając zawód. – Czyżby Doc Martin bardziej pana interesował niż moja skromna osoba?

Powstrzymywany chichot paru żołnierzy Bradley odczuł jak wymierzony mu policzek. Odwrócił się purpurowy na twarzy i z desperacją w oczach wydusił z siebie:

– Panno Cherie...

– Pani – przerwała mu. – Jestem wdową.

Znowu zbiła go z pantafelku! Miał ochotę podejść do niej, złapać ją za ramiona i...

– Pani wybaczy, ale nie mam niestety możliwości pani teraz zabawić. W innych okolicznościach z pewnością dotrzymałbym pani towarzystwa, lecz teraz...

– Jaki szarmancki – uśmiechnęła się promiennie. – Czy to obietnica?

– Nie! To znaczy, tak... może. – Nie rozumiał, czemu się jąka. – Co zaś się tyczy mojej przyjaźni z Martinem... kapitanem Lee...

– Znasz go dopiero kilka dni, a już mówisz o przyjaźni? – Wtrąciła ku dyskretnej uciesze podkomendnych Bradleya. – To daje mi nadzieję, że, w odróżnieniu od innych mężczyzn, szybko odnajdujesz zrozumienie swoich uczuć.

Zaniemówił. Znowu to zrobiła! Znowu wyprowadziła go z równowagi i utrzymała tak dostatecznie długo, by stracił rezon i siły do walki. Cóż to za kobieta była, tak nowoczesna, wyrafinowana i pełna nieposkromionej energii!

Głośny gwizd lokomotywy brzmiał jak zbawienie. Przerwał potok myśli i w cudowny sposób wybawił Bradleya z niezręcznej sytuacji. Mężczyzna doskoczył do drzwi wagonu. Martin krzyczał coś, wskazując północne szczyty doliny, lecz huczenie parowozu zagłuszało go całkowicie. Tak, ktoś tam był na górze. Jeźdźcy wraz ze stadem, zdawałoby się, psów. Oficer skarcił się za brak skupienia, przecież dopiero co patrzył w tamtą stronę!

Odwrócił się, by wydać rozkaz żołnierzom, lecz oni zdążyli już przyspaść do okien, wypatrując zagrożenia. Miał zamiar zwrócić się do Cherie, ale i ona zdążyła już zareagować. Wybiegła z przedziału, nie bacząc na kołyszące się wagony otworzyła drzwi do kolejnego i wskazała jadącym tam żołnierzom, skąd mogą spodziewać się ataku. Jakby tego było mało, błyskawicznie wspięła się na dach i tą drogą pobiegła w kierunku wagonu pocztowego, aby przekazać wiadomość. Co za kobieta!

Zwinna niczym kocica Cherie przeskoczyła na dach ostatniego wagonu. Zachwiała się i opadła na kolano, ponieważ ten dach był bardziej obły niż w reszcie składu, zupełnie jakby ktoś zaprojektował go tak, by trudno było po nim chodzić. Łapiąc równowagę, przebiegła do wieżyczki obserwacyjnej i kucnęła przy niej. W wąskim otworze zobaczyła szeregowego Kinga szykującego karabin do strzału.

– Słyszałem sygnał – powiedział, nieco zdziwiony widokiem kobiety.

– Na szczycie doliny – wskazała.

Jeźdźcy nie ruszyli się nawet na krok, choć pociąg powoli się z nimi zrównywał. King odwrócił się ku północy i wystawił lufę karabinu przez lufcik. Krzyknął w dół do towarzyszy:

– Wróg na szczycie wzgórza, kierunek północny! Do broni!

Cherie zmrużyła oczy. Z tej odległości widziała już wyraźnie trzech jeźdźców, otoczonych przez stado monstrualnych psów. Zakłęła pod nosem, największa z tych bestii nie byłaby w stanie przejść między nogami konia. Kreatury były dziwne jakies, jakby połyskiwały w słońcu.

Refleks światła od strony jeźdźców zakłuł ją w oczy. King szybciej niż Cherie zrozumiał, co im zagraża i spróbował ją ostrzec:

– Proszę uwa... – Jego głos zgrał się z dalekim hukiem wystrzału i urwał w pół słowa.

Pomimo pędu pociągu i szumu wiatru Cherie doskonale słyszała wizg zbliżającego się pocisku. Kula przemknęła tuż obok i niczym wściekły moskit wpadła w szczelinę lufcika wieżyczki. Łoskot opadającego na podłogę ciała szeregowego Kinga sprawił, że zrobiło jej się zimno.

Z przerażeniem spojrzała w kierunku jeźdźców. Nie potrafiła oszacować odległości, ale ktokolwiek oddał ten nieprawdopodobnie precyzyjny strzał, właśnie przeładowywał broń.

– Szybko! – Wrzasnęła przez lufcik. – Otwórzcie mi drzwi!

Tupot stóp w wagonie i dźwięk zdejmowanych rygli od strony południowej potwierdziły, że ktoś ją usłyszał. Kątem oka zauważyła kolejny odbłysek światła. Nie myśląc zbyt wiele, spięła się, złapała krawędzi dachu i skoczyła. Kolejny huk wystrzału odbił się w dolinie.

Cherie obróciła się w locie i, wykorzystując chwyt, wpadła do wagonu, niemal cudem tylko unikając wystrzelonego w jej kierunku pocisku. Szczęśliwie lądowanie zamortyzował stojący tam żołnierz. Upadli oboje na podłogę twarzami do siebie. Cherie wyszczerzyła się rozbijającą i pocałowała zaskoczonego mężczyznę w czubek nosa.

– Dzięki, słodziutki.

Wstała. Z przerażeniem zanotowała, że tuż obok leżało ciało szeregowego Kinga. W miejscu jego prawego oka ziała wielka dziura po kuli, a na twarzy na zawsze już zamarł wyraz skrajnego zaskoczenia.

Schyliła się i wzięła do rąk karabin zmarłego. Przeładowała.

– Zamknijcie te cholerne drzwi i nie zbliżajcie się do okien! Strzelajcie dopiero, kiedy zobaczycie białka ich oczu!

Mówiąc to, wlała na wieżyczkę. Wychyliła się tylko na ułamek sekundy, by sprawdzić, gdzie są przeciwnicy. W tumanach kurzu zjeżdżali po zboczach doliny, otoczeni stadem monstrualnych psów, galopujących niczym rozjuszone niedźwiedzie.

– Snajper się przemieszcza! – zakrzyknął Bradley.

Wraz z żołnierzami wychylił się przez południowe okna i otworzył ogień do dwóch jeźdźców zbliżających się od strony urwiska. Do tej pory nie mogli się ruszyć, przynajmniej dopóki trzeci z napastników – strzelec wyborowy, pozostawał na swojej pozycji. Jak tylko postanowił ją zmienić, odpowiedzieli ogniem.

– Strzelać bez rozkazu! – zakomenderował.

Rozpoczęła się szaleńcza kanonada. Wychylali się, strzelali do psów lub do ich panów, którzy również nie pozostawali im dłużni i odpowiadali ogniem. Kule świszczały dookoła, tłukąc okna i krusząc drewniane elementy wagonów. Pogoń dobiła do pociągu i pomimo szaleńczego tempa ani na chwilę nie odpadała. Jeźdźcy trzymali się nieco z tyłu, by nie wystawiać się na ostrzał, podczas gdy ich psy kompletnie nie przejmowały się zagrożeniem. Jeden z mężczyzn strzelał rzadziej. Na jego szyi majtał się zaczepiony na wisiorku gwizdek. Kiedy tylko przykładał go do ust i dmuchał, psy jak na komendę wykonywały polecenia.

Wystarczyło jedno spojrzenie na ścigające ich bestie, by Bradley poczuł paralizujące ukłucie najprawdziwszej grozy. Nigdy czegoś takiego nie widział! To nie były zwykłe zwierzęta, lecz dziwne, przerośnięte monstra. Dwa albo trzy razy większe od największego psa, o krótkiej czarnej sierści i szerokich pyskach. Ich czarne oczy pałały żądzą krwi, a bulgoczący warkot i wycie sprawiały, że człowiekowi wnętrzości zawiązywały się ze strachu w twardy węzeł.

Zaklął szpetnie. Kule nie miały się tych potworów, lecz nie dlatego, że zwierzęta poruszały się na tyle szybko, by dogonić rozpędzony pociąg. One były opancerzone! Dolną część długich łap osłonięto im metalowymi płytami koloru złota i miedzi, w których tkwiły zakrzywione ostrza przypominające pazury. Na szyjach nosiły obroże z tej samej kombinacji metali, przechodzące w hełmy wyposażone w coś, co wyglądało jak mechanizmy szczękowe wspomagane potężnymi sprężynami. Na tułowiach miały wzmocnione uprząże pełne dziwnych tub i obłych, połyskliwych pojemników.

– Co to jest, do jasnej cholery! – zawołał jeden z żołnierzy.

W panice upadł na podłogę, jęcząc z przerażenia, ponieważ w tym momencie najbliższy z psów spał się i skoczył. Mechanizmy na grzbiecie zwierzęcia syknęły, szczęknęły i wystrzeliły go niczym pocisk tak, że z łatwością dopadł do wagonu i wczepił się szczękami w burtę, drąc poszycie metalowymi pazurami. Warknął zajadle, szarpnął i odskoczył, pozostawiając po sobie wielką dziurę ziejącą w ścianie. Przekoziółkował ciężko, nawet nie pisnąwszy. Kiedy jego towarzysze przeskoczyli nad nim, zerwał się i pocwałował w ślad za pogonią.

– Ognia! – zawołał Bradley. – Ognia, do jasnej cholery! Strzelać! Nie mogą się zbliżyć, bo rozerwą ten przeklęty pociąg na strzępy!

W myślach dziękował Martinowi za pomysł podróży pociągiem. Gdyby te monstra dopadły ich na koniach, to byłaby masakra.

\* \* \*

Martin przetarł oczy, nie wierzył w to, co widzi. Obleczone w mechaniczne uprząże przypominające psy monstra doskakiwały do wagonów, kłusząc je wielkimi, metalowymi szczękami. Kawałek po kawałku wyrywały drewno i metal, zupełnie jak drapieżniki próbujące zamęczyć uciekającą ofiarę.

Fascynowały go mechanizmy, które widział. Zdawało mu się, że rozpoznaje zasadę, na jakiej działały. Przeciwbieżne sprężyny aktywowane rozwarciem lub zamknięciem szczęk zwierzęcia, rozchylane kły i szpony, a nawet wzmocnione uprząże za pomocą sprężonych gazów, umożliwiające wspomaganie poruszania się tych mocarnych zwierząt. Na pozór nie miały one prawa działać, a jednak działały! Doprawdy fascynujące!

Odwrócił się do Cartera, żeby go ostrzec, lecz kątem oka zobaczył cień skaczący w ich stronę. Odwróciwszy się, spostrzegł psa wdrapującego się na przedział z węglem. Carter również go zauważył, niekontrolowanie wrzasnął, po czym łupnął go łopata przez pysk. Przy wtórze metalicznego łoskotu hełm bestii odskoczył na bok. Pies powoli obrócił głowę, warcząc wściekle, jakby chciał zaznaczyć, że to był kiepski pomysł.

– Jezu Chryste – sapnął sierżant Carter, cofając się w przestachu.

Martin złapał znajdującą się nieopodal szablę i wyszarpnął ją z pochwy. Poczucił przyływ siły i pewności dostarczanych mu przez obecnego przy nim ducha. Mort był tam i tym razem nie trzeba było czekać, aż włączy się do walki. On był już gotowy. Wraz z Carterem rzucili się na psa, tnąc i smagając, czym popadło. Szabla krzesła iskry, odbijając się od metalowego pancerza, lecz łopata złamała się już przy drugim uderzeniu. Bojowa bestia kłapała wielką szczęką i machała pazurami, zdolna przepołować człowieka jednym ciosem.

Miejsca było mało na jakiegokolwiek manewry, a pancerny pies zdawał się niewiele sobie robić ze starań przeciwników. Krok po kroku spychał ich w głąb lokomotywy, wprost ku rozgrzanej gardzieli pieca i przyrządom.

Martin zaatakował, wściekle odnotowując, że Mort każe mu uchylić się przed mknącą łapą i zanurkować pod nią, by spróbować dojść sztychem otwartej szczęki potwora. Coraz łatwiej szło mu rejestrowanie, kiedy poruszał się on, a kiedy kontrolę przejmował Mort. Myślenie w ten sposób przyszło mu jakoś naturalnie, ponieważ obecność ducha przyjaciela koła wciąż tłące się uczucie niepowetowanej straty.

Poddał się więc kierującej nim sile. O milimetry uniknął przelatujących obok ostrzy. Miał już sięgnąć ku rozwartej szczęce, lecz usłyszał jęk sierżanta Cartera.

Kątem oka zobaczył, że łapsko psa rozorało mu biodro. Rzucony siłą ciosu Carter poleciał w tył na ścianę przyrządów parowozu.

Pies ruszył, żeby dobić oszołomioną ofiarę. Bez chwili namysłu Martin stanął mu na drodze. Zdało mu się, że słyszy w głowie głos oponującego Morta, zupełnie jak za czasów, kiedy kłócili się, jak to przyjaciele mieli w zwyczaju. Wiedział, że nie zostawi Cartera na pastwę losu, nie pozwoli mu umrzeć i Mort musiał to zaakceptować.

Rzucił się zatem na bestię, ze zdwojoną siłą starając się ją zmusić do obrony. Szabla wirowała po łuku, krzesła fontanny iskier strzelających z dziwnego pancerza stwora. O dziwo, przynosiło to pewne skutki. Bojowy pies przestał atakować i cał po cał wycofywał się, spuszczając głowę.

Martinowi już zaczęła świtać nadzieja, że szaleńczy plan działa, kiedy bestia machnęła łapą. Pazury oszczędziły jego nogę, ale impet uderzenia przewrócił kowala, który gruchnął na stalową podłogę, tracąc oddech. Nie miał szansy nawet pomyśleć o dławiącym go uczuciu, ponieważ w następnej chwili bestia stała tuż nad nim z szeroko rozdziawioną szczęką. Z tej perspektywy doskonale widział cudowny mechanizm pancerza. Niemal rozumiał jego działanie i cholernie żałował, że umrze, zanim zdąży go zbadać.

Wysoki dźwięk gwizdka lokomotywy znowu odbił się echem w dolinie. Opancerzony pies zadrzał, cofnął się i uniósł łeb, by spojrzeć na Cartera, który, nie mając lepszego pomysłu, postanowił podjąć próbę odwrócenia uwagi bestii. Udało się. Udało się na tyle, że Martin poczuł, jak kierujący jego ręką Mort łapie za szablę i mocno pcha w górę, przeciskając sztych przez metalowe szczęki. Wprowadził ostrze głębiej w kufę zwierzęcia, poprzez podniebienie, aż do mózgu. Bojowy pies zadrzał i nogi się pod nim ugięły. Zanim padł na podłogę, był już martwy.

Mechanizm szczękowy z mocnym trzaśnięciem odpuścił sprężyny, zamykając paszczę stwora. Martin byłby stracił rękę, gdyby nie Carter. Żołnierz dopadł do niego i zablokował szczękę kawałkiem roztrzaskanej łopaty. Mechanizm i tak zamknął się, lecz zyskamy ułamek sekundy pozwolił Martinowi wyswobodzić ramię, a nawet kawałek szabli.

\* \* \*

Cherie klęła, na czym świat stoi, ponieważ z lufcika nie miała dobrego pola ostrzału, pozwalającego jej dosięgnąć poganiaczy pancernych psów. Jeźdźcy utrzymywali się blisko pociągu, zjeżdżając to na jedną, to na drugą stronę. Ten z gwizdkiem był szczególnie irytujący. Zawsze, kiedy miała go już na celowniku, musiał zrobić coś, co

jej przeszkodziło w strzale. To sam wypalał z pistoletu w jej kierunku, to posyłał jednego z psów jako żywą tarczę. A te cholerne bestie zdawały się być wszędzie. Skakały na wagon pocztowy, powodowały, że chwiało się, jakby miał za chwilę runąć na burtę. Wzmocnione ściany jeszcze trzymały, ale w paru miejscach powstały już spore szpary po szponach. W pewnym momencie bestie chyba chciały zniszczyć łączniki między wagonami, lecz całe szczęście nie potrafiły wyciągnąć spinającej mechanizmy szpili ani nie były na tyle mocarne, aby przegryźć przeguby odlane ze stali.

Najgorsze było, że piekielny snajper zajął już nową pozycję. Wysforował się daleko przed pociąg i co jakiś czas oddawał strzał. Kąt, z którego mierzył, musiał być dla niego nieco gorszy, a odległość większa, więc jeszcze nie szył z taką precyzją, od której zginął szeregowy King. Nie przeszkodziło mu to uszczuplić obsady wagonu pocztowego o jeszcze jednego żołnierza.

Cherie przysunęła sobie zalegające na krańcu wagonu pudła, żeby mieć nieco lepszą podporę dla nóg. Raz już udało jej się spaść z niestabilnej drabinki i bardzo nie chciała tego powtarzać. Wychyliła się, lecz musiała szybko schować głowę, ponieważ poganiacz psów znowu wypalił w jej stronę.

– Żesz do jasnej cholery! – wrzasnęła.

Kucnęła na pudle, odetchnęła, wybrała moment, wysunęła lufę karabinu przez lufcik. Nie bacząc na zagrożenie, wymierzyła w poganiacza. Ten zadał w gwizdek i natychmiast jedna z bestii skoczyła, by go zasłonić. Cherie tylko na to czekała. Kątem oka widziała bowiem drugiego jeźdźca i to do niego strzeliła. Fortel okazał się skuteczny, ponieważ mężczyzna zachwiał się w siodle.

W tym właśnie momencie coś łupnęło o burtę wagonu. To jeden z pancernych psów skoczył, wczepił się w ścianę pazurami i zaczął się po niej wspinać. Już po chwili Cherie zobaczyła jego pysk wynurzający się od południa. Zwierzę wlaźło na dach i natychmiast skoczyło ku wieżycze. Metalowe szczęki zaczęły bezlitośnie gryźć i szarpać, roznosząc konstrukcję w drobne drzazgi.

Cherie z krzykiem zeskoczyła z pudła. Choć uderzyła plecami o podłogę, to strzelała w górę jak opętana, aż do wyczerpania magazynka karabinu. Trzęsącymi się dłońmi zaczęła na powrót ładować winchestera.

Chciała wezwać pomocy, lecz nie miał kto jej pomóc. Żołnierze obstawiający stronę południową rzucili broń i ostatkami sił mocowali się z przesuwanymi drzwiami, które jedno z monstrów w jakiś sposób próbowało otworzyć od zewnątrz. Po drugiej stronie jedyny ocalały wyglądał, jakby sam miał zaraz palnąć sobie w łeb.

Blady jak ściana, płakał i bełkotał coś bez ładu. Nadal strzelał, choć zapewne robił więcej huk, niż było z tego pożytku.

Potworny trzask dobiegł od strony wieżyczki. Cherie zobaczyła, że ostatni jej element został wyrwany i z łoskotem poleciał w przestrzeń. Do ziejącej w dachu dziury zajrzała monstrualna głowa psa.

Gwizd parowozu odwrócił uwagę zwierzęcia. Pies podniósł wysoko łeb i wtedy Cherie dostrzegła kawałek odsłoniętego ciała na szyi. Bez namysłu podniosła broń, wskoczyła na pudło i niemal z przyłożenia wypaliła wprost w odkryte miejsce.

Bolesny kwik nie brzmiał jak pisk rannego psa. Przypominał bardziej ludzki wrzask, opętańczy, bestialsko zniekształcony, pełen bólu. Dźwięk ten sprawił, że kobiecie zrobiło się niedobrze. Tymczasem ranna bestia odpadła od wagonu i zniknęła gdzieś w tumanie kurzu, kotłując się po ziemi.

Cherie spojrzała na żołnierzy walczących na dole. Z każdą chwilą ich szanse malały. Śmierć zaglądała im w oczy i oni o tym wiedzieli. Może dlatego walczyli ze zdwojoną siłą, nie dbając już o nic. Zdawać by się mogło, że jest to daremny wysiłek. Nie mieli szans. Cherie jednak nie godziła się na śmierć. Nie, kiedy Clive Phillips chodził jeszcze po tej ziemi!

Odetchnęła głęboko, jakby chciała wypchnąć z siebie wszelkie wątpliwości co do szalonego pomysłu, który wykwitł jej w głowie. Odrzuciła karabin i wspięła się do otworu wieżyczki, a potem na dach. W następnej chwili kucała na krawędzi, nie bacząc, czy snajper obierze ją za cel lub co zrobią jeźdźcy jadący wśród pancernych psów. A ci byli całkiem blisko, niemal na wyciągnięcie ręki. Ranny jechał nieco z boku, zajęty ostrzeliwaniem się od północnej strony pociągu. Poganiacz za to właśnie wznosił gwizdek do ust.

Wybiła się i zeskoczyła z wagonu wprost na niego. Zaskoczony tym wyczynem mężczyzna nie zdążył zareagować, więc został wysadzony z siodła. Szczepieni gruchnęli na ziemię, staczając się z niewielkiego nasypu kolejowego wprost pod łapy galopujących psów.

Wszystko ją bolało, a w uszach dźwięczał jednostajny pisk. Nie poruszała się już, a mimo to świat nie przestawał wirować, jakby wciąż turlała się w chaosie rąk i nóg, kamieni i płaczącego się gdzieś z boku jeźdźca. Całkiem przytomnie zanotowała, że jakimś cudem nie została stratowana.

Leżała twarzą do ziemi, a jej ciężki oddech unosił duszący kurz pokrywający prerię. Z jękiem uniosła się na bolące łokcie i spróbowała podnieść głowę. Przed oczami tańczyły jej ciemne plamy, choć zdawało się, że widzi w dali rozmytą sylwetkę



oddalającego się pociągu. Dopiero kiedy wzrok zaczął jej wracać, zauważyła, że jest otoczona przez stado pancernych psów. Dyszały, dreptały dookoła, a spomiędzy zawartych metalowych szczęk wyciekała spieniona ślina. Mechanizmy uprząży na ich plecach tykały i syczały, wypuszczając sprężone gazy z dziwnych zaworów. Cherie wiedziała już, że psy nie są tak mocno opancerzone, jak się początkowo wydawało. Wiele z nich krwawiło, część słaniała się na nogach. Niemniej z bliska wyglądały jeszcze bardziej przerażająco.

Kłęczała wsparta na obolałych rękach. Naprzeciw niej leżał jeździec, którego zrzuciła z konia. Uniósł się, nadzwyczaj lekko wstał i nonszalancko otrzepał z kurzu. Najwyraźniej o wiele lepiej zniósł upadek. W jego oczach nie było podziwu ani szacunku, a jedynie zimna złość na kobietę, która w nieobliczalny sposób przerwała mu pościg. Jego wierzchowiec odbiegł w dal przerażony.

Mężczyzna splunął na ziemię i pewnym ruchem sięgnął po gwizdek. Nie zamierzał brudzić sobie rąk, chciał wydać rozkaz do ataku. Proste polecenie, by zwierzęta rozszarpały tę bezczelną kobietę. Nie udało mu się.

Drżącą ręką Cherie podniosła gwizdek wiszący na zerwanym łańcuszku. Smukły, cylindryczny przedmiot ze złota, srebra i mosiądzu miał się całkiem nieźle. Na całej powierzchni miał wyryte magiczne glify. Przytknęła go do drżących ust, nabrała głęboko powietrza i dmuchnęła.

Nie usłyszała dźwięku, choć wnet zrozumiała, że się rozległ. Nie miała pojęcia, czy i jak gwizdek zadziała. W tej jednej chwili sięgnęła do pełnej desperacji myśli o przetrwaniu. Nie chciała być pożerana, rozczłonkowana, mielona w mechanicznych zaciskach przytwierdzonych do łbów bestii. Woląca, by spotkało to mężczyznę, którego miała naprzeciwko. Za strach, za furię. Za to, że miał czelność stanąć między nią a jej zemstą.

O dziwo, podziałało. To, co zrobiły mu te psy, prześladowało ją już do końca życia. Jeszcze długo w najgorszych koszmarach wracało do niej kłapanie metalowych szczęk, mlask rozrywanego ciała i potworne wrzaski w agonii.

A zatem gwizdek przekazywał zwierzętom intencje, zupełnie jakby były rozkazami. Wystarczyło dmuchnąć.

Cherie domyślała się tylko, że na tym etapie pociąg musiał już równać się z pozycją snajpera, co stawiało wszystkich w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Widziała nawet jego sylwetkę majaczącą w dali na wzgórzu. Przytknęła zatem gwizdek do ust i dmuchnęła.

W reakcji psy podniosły na nią wzrok i przestały kłapać zakrwawionymi szczękami. Bestii było osiem. Natychmiast podchwyciły rozkaz: *Zabić snajpera*. Ruszyły szaleńczym biegiem ku nowej ofierze, zostawiając chmurę pyłu

Podniesienie się przyszło Cherie z wielkim trudem. Pociąg był już daleko, a ona stała przy torach zupełnie sama. Koń spłoszył się i uciekł, pozostało jej iść pieszo. Ile mogło dzielić ją od Crucible? Dwie, dwie i pół godziny jazdy pociągiem? Konno byłoby z pół dnia, a pieszo... Wolała nie myśleć.

Nagły zgrzyt tuż za plecami i towarzyszący mu dziwny syk sprawiły, że zmroziła ją fala strachu. Odwróciła się powoli, by zobaczyć oszołomionego psa idącego w jej kierunku. Płyty jego pancerza były powyginane, a z mechanizmów wspomagających przeguby łap z sykiem wydobywał się gaz. Zwierzę zbliżyło się do niej, a z jego gardzieli wydobywał się głęboki, potworny warkot.

Zamarła. Zapomniała o oddychaniu. Zapomniała nawet o gwizdku. Widziała tylko ogromną bestię obchodzącą ją z boku, wciąż wlepiającą w nią te przerażające ślepie wyzierające z otworów w hełmie. Ten pies był nieco mniejszy od pozostałych, równie imponująco umięśniony, lecz jakby smuklejszy, bardziej zgrabny. Cherie pomyślała, że to musi być suka. Suka pozna sukę.

Pancerna bestia minęła ją i zbliżyła się do strzępów pozostałych po poganiaczu stada. Niewiele zostało z tego człowieka, ot, kawałki mięsa porozrzucane w okolicy, jak elementy makabrycznej układanki.

Cherie pozwoliła sobie na kilka płytkich oddechów. Nie miała komfortu zastanawiania się nad tym, co widzi. Czuła iskierkę nadziei, odnotowując, że suka nie skomle po swoim panu. Ona powąchała jego resztki i prychnęła pogardliwie. Wzięła głęboki wdech i zaczęła łapą grzebać przy hełmie, jakby próbowała go zerwać sobie z głowy.

– Chcesz to zdjąć – Cherie szepnęła drżącym głosem.

Suka szarpnęła się i zmroziła ją wzrokiem.

Kobieta uniosła rękę z gwizdkiem, lecz nagły warkot zwierzęcia powstrzymał ją. Wiedziała, że nie zdąży dmuchnąć. Z jakiegoś powodu zdawała sobie sprawę, że suka prędzej odgryzie jej głowę.

– Jesteś mądrzejsza od pozostałych – szepnęła Cherie. – Widzę to. Zróbmy tak. – Wyciągnęła rękę daleko w bok, pokazując gwizdek dyndający na łańcuszku. Wywołało to gniewne warknięcie, lecz tym razem nie skierowane ku Cherie, lecz wyraźnie w kierunku przedmiotu. – Wiem, co czujesz. To jest symbol twojego

zniewolenia, a ty chcesz być wolna. Pozbędę się tego dla ciebie, a ty mnie nie zjesz. Co ty na to?

Suka spojrzała na Cherie porażająco inteligentnym spojrzeniem. W tych oczach czaiło się zrozumienie większe niż u niejednego człowieka. W momencie, kiedy Cherie wypuściła gwizdek, bestia rzuciła się w jej kierunku, kłapiąc szczęką. Kobieta zamknęła kurczowo powieki, gotując się na ból. Ten jednak nie nastąpił.

Otworzyła oczy. Tuż obok niej stała pancerna suka. W kłębie sięgała jej aż do piersi. W stalowej szczęce miała zniszczony gwizdek. Cherie wyciągnęła ku niej drżącą dłoń. Powstrzymując oddech, wsadziła ją między płyty pancerza, między pasy uprzęży. Kiedy jej skóra dotknęła krótkiej szczeciny na karku, suka wzdrygnęła się, lecz nie poruszyła. Przyjęła dłoń człowieka. Cherie zaś poczuła pod palcami ciepłą, cienką sierść, zadziwiająco miękką, poznaczoną siatką głębokich bruzd i blizn.

– Męczył was – szepnęła ze szczerym współczuciem. – Tresował, a potem zakuł w te uprzęże i zbroje. Tak mi przykro.

Suka uniosła łeb i spojrzała na Cherie nieco łagodniej. Tak, rozumiały się doskonale. Obie nosiły swoje blizny.

Kobieta zwróciła uwagę na hełm, na uprząż wrzynającą się w ciało.

– Nie wiem, jak ci to zdjąć, ale znam kogoś, kto to potrafi. Jedzie tamtym pociągiem.

Przyjrzała się zbiornikowi, z którego uchodził gaz. Pokrętko przy nim było poluzowane, a znajdujący się obok manometr wskazywał czerwone pole. Sięgnęła i przekręciła kurek, dostosowując ciśnienie tak, by wskazówka znalazła się na zielonym polu.

W reakcji suka wyprostowała się i poruszyła prawą przednią łapą ze zdecydowanie większą swobodą niż przed chwilą. Spojrzała w kierunku pociągu, po czym na Cherie. Zaryła łapami w piachu, odrzucając go za siebie, następnie przysiadła na zadzie.

Cherie uniosła brew, odgadując, czego chce od niej pies.

– Żartujesz sobie, prawda?

\* \* \*

Porucznik Bradley patrzył w oczy ostatniego żywego żołnierza, zanim kula snajpera nie zamknęła ich na zawsze. W innych okolicznościach podziwiałby niewiarygodny wyczyn strzelca, ponieważ pocisk przeleciał niedorzeczną wręcz odległość, przeszył poszarpaną burtę wagonu i trafił prosto w serce ofiary. Nie było innej możliwości, musiała tu działać jakaś forma magii.

Kiedy podwładny osunął się na podłogę, Bradley poczuł, że jest naprawdę sam. W jakiś dziwny sposób dotarło do niego coś, co wydało mu się uczuciem ulgi. Postrzał w serce był dla żołnierza o wiele lepszą, godną śmiercią niż to, na co musieli patrzeć, kiedy bestia dopadła w tym wagonie swoją pierwszą ofiarę. Metalowe szczęki z nadzwyczajną łatwością zamknęły się na ramieniu rosnącego mężczyzny, niemal oddzielając je od ciała. Zdjęty grozą żołnierz zaczął krzyczeć dopiero wtedy, kiedy zrozumiał, że jest wyciągany na zewnątrz. Panicznie wzywał pomocy. Bradley chwycił rewolwer i wycelował, chcąc go dobić, lecz wszystko działo się za szybko.

Oknem od strony południowej gramolił się właśnie kolejny pancerny pies. Przednimi łapami uczeplił się wnętrza, a tylnymi przebierał w próbie znalezienia oparcia. Mogłoby to wyglądać nawet komicznie, gdyby nie fakt, że istota ta oznaczała makabryczną śmierć.

Cofając się w stronę parowozu, Bradley wystrzelał cały bębenek rewolweru, celując w otwory na hełmie psa. Kule odbijały się tylko od metalu, pozostawiając na nim niewielkie rysy i wgłębienia. To wtedy usłyszał łupnięcie o burtę wagonu od strony północnej. Rzucił tylko okiem przez ramię. Od tamtej strony nacierał kolejny pies. Uczeplił się zewnętrznej części ściany i również próbował dostać się do środka. Jeżeli by mu się to udało, Bradley byłby w potrzasku.

Gwizd parowozu na chwilę odwrócił uwagę zwierząt, ale nie na długo. Pozwoliło to wyrzucić z bębna rewolweru zużyte naboje i załadować kolejne. Tylko tyle.

Podporucznik tracił oddech. Stał pośrodku wagonu. Nie widział dla siebie drogi ucieczki. Jeszcze przed chwilą dostrzegał w kabinie parowozu Martina i Cartera desperacko zmagających się z atakującym tam potworem. Nawet gdyby zdołał się tam dostać, niewiele mógłby zdziałać, a za plecami miałyby kolejne dwie bestie.

Czy tak właśnie miało to się skończyć? Żył tylko nadzieją, że ten szaleńczy fortel był wart ceny, którą właśnie płacili. Jeżeli Clive Phillips i jego młody towarzysz nie podołają zadaniu, każda śmierć w tym przeklętym pociągu pójdzie na marne. Biorąc pod uwagę, jakie siły rzucono, by zniszczyć pociąg, zastanawiał się, czy dwóch ludzi mogło cokolwiek wskórać przeciw koszmarom czekającym w Crucible i poza nim. Pocieszał się myślą, że przynajmniej nie umrze jako szaleniec!

Nagle coś się zmieniło. Jakaś niewidzialna siła sprawiła, że kontynuujące pościg bestie zatrzymały się, a te, które były już niemal w wagonie z Bradleyem, potrzęsały łbami, jakby coś je wezwało. Pies uczeplony burty po północnej stronie odskoczył nagle w bok i już go nie było. Ten zaś, który wchodził przez okno, wyglądał, jakby zapragnął nagle się wydostać, ale się zaklinował.

Bradley postanowił wykorzystać sposobność. Zaczął iść w kierunku pancernego zwierzęcia, raz za razem oddając strzały prosto w jego głowę. Dopiero po chwili zorientował się, jak wielki był to błąd. Pies zatrzymał się i zamiast próbować wydostać się z wagonu, ze zdwojoną siłą i wściekłością postanowił pozbyć się atakującego go natręta.

Warczał i skowyczał, kompletnie oszalały wdarł się w końcu do środka. Ściana wagonu poszła w drzazgi. Zaczął rzucać się, gryźć i młócić łapami gdzie popadło. Wszystko, co znajdowało się w jego zasięgu, zostało zgniecione, zniszczone, rozdarte na strzępy.

Bradley odskoczył jak rażony piorunem. Stracił grunt pod nogami i upadł na podłogę. Niczym rak zaczął odsuwać się, byle dalej od chaosu złożonego z wirujących szczęk i pazurów. A pancerny pies, choć oszalały ze wściekłości, zbliżał się do niego nieubłaganie, siejąc dookoła zniszczenie.

Stalowe pazury ryły podłogę tuż obok wierzgających nóg Bradleya. Porucznik szukał dystansu jak tylko mógł, lecz w końcu poczuł na plecach opór drzwi wagonu, a wraz z nim przyszło mu stanąć twarzą w twarz ze śmiercią. Przełknął ślinę, wiedział, że to już koniec.

Niewiele myśląc, przytknął sobie lufę do głowy.

– Oby to było tego warte, Phillips... – warknął, naciskając spust.

Rewolwer nie wypalił. Może skończyły się naboje lub trafił niewypał. Ważne, że serce Bradleya zatrzymało się na ułamek sekundy, a potem wystrzeliło, pompując krew, jakby samo chciało rozsadzić mu czaszkę. Porucznik zrobił wielkie oczy, kiedy bestia dopadła do niego. Ogromna łapa z obnażonymi pazurami uderzyła, raniąc lewą nogę. Mechaniczna szczęka rozwarła się szeroko wraz z towarzyszącym temu sykiem urządzeń i jękiem napinanych sprężyn. W środku widać było rzędy ostrych kłów i czarne podniebienie skrytego pod pancerzem psa.

Bradley wiedział, że zaraz straci głowę. Jedyne, co zdołał z siebie wydostać, to:

– Żesz kur...

Dach wagonu eksplodował w fontannie drzazg i kawałków metalu. Coś z potworną siłą przebiło się do środka i wylądowało na plecach nie do końca świadomej tego bestii. Bradleyowi zaparło dech w piersiach, ponieważ, mrużąc oczy, dostrzegł drugiego psa, który zamknął szczękę na karku atakującego go potwora. Metal zgrzytnął o metal. Pies będący na górze szarpnął, wyrывая kawałki uprząży, urządzeń i płyty pancerza. Rozległ się syk rozerwanego pojemnika z gazem. W kłębach duszącego oparu dało się zauważyć, że bestia ugryzła znowu, a kiedy

szarpnęła łbem, wyrwała kawałki mięsa i kości wyglądających jak elementy kręgosłupa.

Potworny ciężar zwałił się na ranną nogę Bradleya, kiedy potwór legł martwy. Mężczyzna wrzasnął z bólu, lecz krzyk ugrzął mu w gardle. Wszędobylski gaz niemal wyssał powietrze z jego płuc.

Podmuchy wiatru zza rozbitych okien i zniszczonych ścian szybko przepędziły opar, ukazując stojącą nad swoim pobratymcem pancerną sukę. Na jej grzbiecie uczepiona uprząży siedziała Cherie. Kobieta uśmiechnęła się szelmowsko do Bradleya i posłała mu całusa.

– A teraz mi powiedz, słodziutki. Jak bardzo się cieszysz, że mnie widzisz?

Bradley zaniósł się kaszlem. Nie rozumiał, czemu kobieta dosiada jednej z bestii, lecz chwilowo było mu wszystko jedno. Opadł bez sił na podłogę i sapnął z ulgą:

– Jak jasna cholera, panno Cherie.

– Pani... – poprawiła, przewracając oczyma.

\* \* \*

Temperatura w kotłach parowozu zaczęła stopniowo spadać, tak jak ciśnienie pary. Lokomotywa nadal jechała, lecz pociąg wyraźnie zwalniał, zwłaszcza że tory prowadziły w tym miejscu nieco pod górę. Opuszczali dolinę.

Martin oparł się o metalowy reling kabiny. Nie rozumiał, jak i dlaczego, obserwował stado pancernych psów, galopujące pod górę w kierunku snajpera znajdującego się na wzgórzu. Dopadły go i bezlitośnie ściągnęły z kwiczącego konia. Rozszarpały na miejscu zarówno jego, jak i wierzchowca. Kotłowały się niczym stado piranii. Skończywszy makabryczny pokaz, zatrzymały się. Jak na zawołanie spojrzały w kierunku pociągu. Wyglądały, jakby znowu miały rzucić się w pogoń, lecz największy z psów zawył głośno. Stado nie patrzyło już za zdobyczą, tylko skupiło uwagę na nim. On zaś odwrócił się i pobiegł gdzieś na pustynię. Reszta psów poszła jego śladem. Pozostawiły po sobie tylko krwawe ślady rzezi.

– Co jest, do jasnej cholery? – Martin opadł na kolana tuż obok rannego Cartera.

Sierżant jęknął z bólu, przyciskając kawałek rozerwanej koszuli do ran na udzie. Bruzdy po pazurach bestii okazały się dosyć płytkie, lecz cholernie bolesne.

– Już po nas? – sapnął.

– Nie. Chyba... chyba przeżyjemy.

Nikt już nie strzelał. Nie było słycać warczenia ani szczekania, tylko miarowy, acz zwalniający niczym serce umierającego dech lokomotywy.

Martin patrzył zafascynowany na truchło pancernego psa, leżące na hałdzie węgla tuż przed nimi. Spomiędzy metalowych zębów mechanicznej szczęki wystawała przygryziona w połowie szabla. Nieśmiało zbliżył się i kopnął hełm, by sprawdzić, czy bestia jeszcze żyje. Nie było reakcji, więc chwycił rękojeść szabli, zaparł się nogami i pociągnął. Wymagało to sporych nakładów siły, lecz ostrze wyszło na zewnątrz. Wydało przy tym nieznośny zgrzyt zdolny przypawić człowieka o gęsią skórę.

Uwolniony ostrze, Martin ze zdziwieniem spostrzegł, że, oprócz kilku rys i wyszczerbień, było ono nadal w całkiem niezłym stanie. Patrząc na niewyraźne odbicie w powierzchni ubrudzonego posoką metalu, zdawało się, że widzi nie swoje oczy, lecz oczy zmarłego przyjaciela.

- Dzięki, Mort – szepnął.
- Co pan mówił, kapitanie? – jęknął Carter.
- Nic takiego. Cieszę się tylko, że przeżyliśmy.

Pociąg nadal zwalniał. Z pierwszego przedziału pasażerskiego, który wyglądał, jakby miał się rozpaść, wychynęła Cherie wraz ze wspierającym się na jej ramieniu Bradleyem. Pomachali na znak, że są cali. Poranieni, poturbowani, przerażeni, ale cali.

Pociąg zatrzymał się na środku pustyni. Na widnokręgu całkiem wyraźnie zaznaczała się linia wzgórz, podkreślana przez zachodzące słońce. Tam właśnie znajdowało się Crucible, kopalnia srebra i posiadłość stanowiąca kryjówkę Campbella.

Stracili czterech ludzi, dwóch było w szoku, kolejnych dwóch odniosło rany, w tym sierżant Carter, który miał rozorane udo. Konie, o dziwo, trzymały się całkiem dobrze, ponieważ psy nie atakowały ich wagonu.

Martin i Cherie zajęli się rannymi. Korzystając z połamanych desek, rozpalili ognisko tuż przy torach, a żołnierze przygotowali jedzenie. Niedaleko warowała pancerna suka, niepomna na przerażone spojrzenia niemal wszystkich członków wyprawy.

– Możesz poruszać nogą? – Cherie rozerwała nogawkę munduru Bradleya, żeby obejrzeć jego kolano. Nieco spuchnięte nabierało już siniego koloru przetykanego krwawymi naciekami. Rany od pazurów dało się opatrzyć.

– Będzie dobrze – Bradley wycedził przez zęby.

– Nie zgrywaj bohatera, przecież sam widzisz, jak to wygląda. Raczej nie zatańczysz w najbliższym czasie, a szkoda. Z drugiej strony będzie ci trudniej przede mną uciekać.

Porucznik nagroził żarcik bladym uśmiechem.

– Po prawdzie, to nie czuję dolnej części nogi – wyznał niepewnie. – Chyba mogę ruszać palcami stopy, ale kolano... Jakby go nie było. Nie rozumiem.

– Ja też nie – Cherie przyznała z troską. – Nie znam się na tym. Noga jest ciepła, więc masz krążenie, tyle w tym dobrego.

– Jest pani bardzo dzielna. Szalona, ale dzielna.

Bradley zdziwił się, ponieważ jego komplement wywołał u kobiety najprawdziwszy rumieniec.

– Przestań pieprzyć – pąs przykryła maską figlarności. – Na to jeszcze przyjdzie pora.

Z niemałym wysiłkiem żołnierze zrzucili z lokomotywy truchło martwego psa. Ze szczękiem metalu wielkie cielsko łupnęło o ziemię. Drugą bestię, którą zagryzła suka, wyrzucili przez wyrwę w ścianie przedziału pasażerskiego.

– Jak to się stało, że ją oswoiłaś? – Martin kucnął obok Bradleya i Cherie.

Podał im talerze z parującą potrawką, po czym usadowił się obok, by towarzyszyć im przy posiłku.

Cherie wyduła usta i spojrzała w kierunku pancерnej suki.

– Ona jest inna. Myślę, że mądrzejsza od pozostałych. Ten jeździec miał gwizdek, dzięki któremu kontrolował stado. Wykorzystałam to, żeby pozbyć się snajpera, ale ona nie posłuchała. Może była zamroczona, a może wydarzyło się coś innego. Może coś się uszkodziło podczas gonitwy. Zniszczyła gwizdek, a potem dosłownie zaoferowała mi pomoc. Myślę, że pod tym dziwnym pancерzem i uprzężą jest... sama nie wiem co. Ale to coś ma charakter, intelekt, nawet własną wolę.

– Chcesz ją z nami zabrać?

Cherie obrzuciła Martina pełnym powątpiewania spojrzeniem. Prychnęła i zajęła się jedzeniem. Nie musiała tłumaczyć, o co jej chodziło. Jak na dłoni było widać, że nie ma najmniejszego pojęcia, co siedzi w zakutym w pancерz łbie. Suka mogła równie dobrze bez ostrzeżenia rzucić się na nich lub odejść w ślad za stadem.

Kiedy zjedli, Cherie poprosiła Martina, żeby podszedł z nią do zwierzęcia. Na ich widok suka uniosła łeb i zmrużyła oczy. Z jej gardła dobył się głęboki pomruk, który wibrował na granicy warkotu.

– Hej, spokojnie – szepnęła Cherie. – To człowiek, o którym ci mówiłam. On zdejmie z ciebie to żelastwo. Prawda, Martin?

Kowal spojrzał zaskoczony na kobietę, po czym na sukę. Serce mu waliło, jakby jego ciało szykowało się do walki. Próbował się uspokoić, żeby nie sprowokować



zwierzęcia, które z pewnością wyczuwało jego obawy. Widział również, że Cherie mówiła całkiem poważnie. Co więcej spostrzegł, że zwierzę najwyraźniej rozumiało, co się do niego mówi.

Zbliżył się zatem ostrożnie. Wyciągnął ręce, tak by były doskonale widoczne. W duchu liczył, że nie zostaną odgryzione. Położył je delikatnie na srebrno-miedzianym hełmie i zabrał natychmiast, kiedy tylko suka poruszyła łbem.

– Spokojnie, mała – Cherie powiedziała kojącym głosem.

Suka mruknęła i położyła głowę na ziemi.

Martin odetchnął głęboko przy kolejnej próbie wyzbycia się obaw.

– Ależ ona jest wielka – westchnął.

Istotnie, rozmiarami zwierzę to przypominało raczej szczupłego niedźwiedzia niż psa. Nawet suka, która była najmniejsza ze stada, miała łeb wielkości sporego wiadra.

Wodził palcami po płytach pancerza, po miedzianych rurkach wiodących od cylindrycznych pojemników do mechanizmów złożonych z kół zębatach i sprężyn. Sprawdzał mocowania skórzanej uprzęży, próbując rozgryźć sposób, w jaki zwierzę zostało obleczone w ową dziwną zbroję. Jego uwadze nie umknęły znajome już znaki, w różnych konfiguracjach wyryte na metalowych elementach. Tak, również ta maszyna nosiła znamię magii, choć na próżno było zgadywać, jak mogła działać.

Pod względem mechanicznym miał wrażenie, że zna skądś te urządzenia. Nie w tej skali, nie tak dopracowane, ale miał już do czynienia przynajmniej z koncepcją takowych.

– Te pojemniki zawierają jakiś gaz. – Cherie kucnęła po drugiej stronie zwierzęcia. Delikatnie głaskała sukę po odsłoniętej części karku.

– Nie wiem, co to za gaz ani jak jest zbierany, ale manometry wskazują na jego sprężenie – Martin zdawał się zafascynowany skomplikowaniem urządzeń. – Działa to zupełnie jak w przypadku pary w lokomotywie. Wykorzystywany jest do wspomagania mechanicznych stawów pancerza zlokalizowanych tam, gdzie zwierzę ma własne stawy, zupełnie jakby to był zewnętrzny szkielet. Całość podtrzymuje grzebień biegnący po grzbiecie, który pełni rolę kręgosłupa. Dzięki tym elementom naturalna siła psa jest zwielokrotniana. Podobnie jest ze szczęką. Dobry Boże, jej zacisk musi być ogromny! Na moje oko zwierzę kontroluje po części, jak to działa, i tu w grę wchodzi siły, których nie rozumiemy. Zapewne magia podobna tej, której używa Clive. Doprawdy niesamowite.

– To fascynujący wywód, Martin, ale czy jesteś w stanie to z niej zdjąć?

– Myślę, że tak. Tylko czy ona tego chce?

Cherie nachyliła się i spojrzała suce w oczy. Już sam ten gest sprawił, że Martinowi serce podeszło do gardła. Wystarczyłoby jedno kłapanięcie, aby kobieta straciła głowę.

– Jestem pewna – odparła spokojnie. – Absolutnie pewna.

Doc Martin wyciągnął z lokomotywy skrzynkę z narzędziami i zabrał się do roboty. Suka, cały czas czujna, spokojnie poddawała się zabiegom. Najpierw odpiął mocowania sztucznych stawów i opancerzenie łap, wraz z wysuwanymi sztyletami. Później zdemontował osłony grzebienia kręgowego oraz połączone z konstrukcją rurki rozprawdzające gaz ze zbiornika obsługującego mechanizmy kończyn. Oddzielny zbiornik służył do napędzania szczęki – rozwierał ją do momentu zaskoczenia zapadki przy kołach zębatych, która mogła być zwolniona, by zatrzasnęły ją potężne sprężyny. Tym samym rozpiął mocowania szczęki, a później zdjął hełm i połączoną z nim resztę uprzęży. Ich oczom ukazało się niezwykle zwierzę.

Suka miała krótką sierść, zdrową i błyszczącą w świetle rzucanym przez ognisko. Jej czarne oczy lśniły w ciemności niczym gwiazdy. Miała przycięte uszy i ogon, a z szerokiego pyska opadały długie fagle. Mogła ważyć ponad trzysta funtów, a zdjęte z niej mechanizmy nawet drugie tyle.

Uwolniona wstała i otrzepała się z wyraźną satysfakcją. Zbliżyła się do Martina przeglądającego urządzenia i trąciła go zimnym nosem. Nie było to w żaden sposób zaproszenie do pieszczot czy inna zaczepka. Zwyczajnie mu podziękowała. Następnie poczłapała do Cherie i położyła się obok niej. Kobieta dotknęła poznaczonej bliznami głowy i pogłaskała sukę, rozmasowując miejsca, które uciskała wcześniej uprząż.

– Psy nie rosną do takich rozmiarów – mruknął Martin. Wstał, poszedł do ogniska i wrócił z porcją potrawy na talerzu. Położył go przed zwierzęciem. – Jedz. Pomogłaś nam, więc zasłużyłaś. Nie jest tego wiele, zwłaszcza dla takiego kolosa jak ty, ale więcej nie mamy.

Suka mruknęła, powąchała jedzenie i, nawet nie wstając, wyczyściła talerz do czysta w dwóch, może trzech smagnięciach wielkim jęzorem. Po wszystkim spojrzała spoде łba na Martina, jakby sugerowała, że przydałoby się jeszcze.

– Mówiłem – wzruszył ramionami. – Więcej nie mamy... proszę, nie zjedz nam koni – dodał po namyśle.

Suka zamknęła oczy. Po chwili jej powieki zaczęły drgać, a z nosa wydobyło się głośne chrapanie. Wszyscy dookoła odetchnęli z pewną dozą ulgi.

Cherie przysunęła się do Martina.

– Jak to możliwe, że urosła taka duża?

– Nie mam pojęcia – odparł, badawczo przyglądając się ich nowej towarzyszce. – Może Clive mógłby to wyjaśnić. Specjalna hodowla? Mieszanie gatunków? Nie mam pojęcia. Ważne, że ta konkretna sztuka chyba jest po naszej stronie.

– Na to wygląda, przynajmniej na razie – we wzroku Cherie widać było rodzące się przywiązanie do niezwykłego zwierzęcia. – Mamy problem – dodała. – Bradley ma strzaskane kolano, Carter jest ranny w nogę i ma uszkodzony bark. Pozostali są obici i mają niewielkie zranienia.

Martin westchnął ciężko. Stracili prawie połowę żołnierzy, a reszta była w kiepskim stanie. Zarówno Bradley, jak i Carter nie nadawali się do dalszej drogi. Co gorsza, już byli spóźnieni na miejsce spotkania z Clive'em i Morrisem. Kowal siedział tak jakiś czas jeszcze i wlepił wzrok w maszynię zdjętą z suki. Wywoływała ona w nim niepokój.

– O co chodzi? – Cherie zgadywała, że Martinowi chodzi coś po głowie.

– Sam nie wiem. Wydaje mi się, że znam te mechanizmy. Jakbym je gdzieś już widział.

– Z czym ci się kojarzą?

Martin pokręcił głową, rozmasował bolące skronie.

– Jak dobrze znasz historię wojny domowej?

– O tyle, o ile – Cherie wyznała bez skrępowania. – Clive coś tam opowiadał, ale tylko ze swojej perspektywy. Wiesz, kiedy wy się biliście, ja budowałam z mężem dom.

Martin wstał, przeszedł do zapasów i wrócił z butelką alkoholu. Podał ją Cherie, a ta bezceremonialnie pociągnęła kilka łyków bezpośrednio z gwinta i oddała ją kowalowi.

– Zanim zostałem kawalerzystą, pracowałem przez jakiś czas przy projekcie *Ironclad*.

– Clive coś o tym wspominał – zaskoczyła Cherie. – Oblekliście szkuner w pancernik – spojrzała z przerażeniem na śpiącą sukę, nagle zaczynając rozumieć. – A potem... zrobiliście to samo ze statkiem parowym.

Martin pokiwał głową. Również napił się alkoholu i podał butelkę dalej do odpoczywającego Bradleya.

– No właśnie. Zaprojektowaliśmy tam całe mnóstwo wynalazków. Statek, a właściwie pancernik, był jednym z nich, ale mieliśmy też plan wykonania powozu napędzanego parą, na bazie projektów wykonywanych już lata temu w Europie. Silnik miał być większy, żeby unieść opancerzony korpus wyposażony w gniazda strzelców, a nawet małe działo. Problemem była sterowność takiego pojazdu,

odpowiednio mocne koła i ostatecznie waga całej konstrukcji. Pancerniki miały przeważać szalę na wodzie, a pancerne powozy na lądzie. Całe szczęście nigdy nie udało się zrealizować tych pomysłów. Przerazenie mnie bierze, gdy zastanawiam się, ilu ludzi straciłoby przez nie życie.

Cherie słuchała uważnie, lecz nie wyglądała na przekonaną.

– Pancerne łodzie, pancerne powozy. Jaki ma to związek z pancernymi psami?

Martin podniósł ruchomy staw łokciowy odłączony od uprzęży.

– Niektóre elementy tych urządzeń przypominają część pomysłów, które widziałem na najbardziej szalonych schematach, jakimi się wymienialiśmy z innymi wynalazcami. Waga elementów zawsze była problemem, ale tutaj mamy do czynienia z małymi częściami, lżejszymi materiałami, a nawet magią. No i te psy. Specjalnie wyhodowane, silne bestie zdolne podźwignąć całą tę maszynię.

– Sugerujesz, że to robota południowców?

Martin westchnął ze zniecierpliwieniem:

– Nie mam pojęcia. Mówię tylko, że to wygląda znajomo. Może wynalazcy, z którymi pracowałem, spotkali się z ludźmi posiadającymi wiedzę tajemną. Może zaczęli pracować nad połączeniem magii i technologii, a ten pies, całe to piekielne stado jest wynikiem jakiegoś szalonego eksperymentu? Nie możemy tego wykluczyć.

Przysłuchujący się rozmowie Bradley poruszył się niespokojnie. Przekręcił nieco bardziej na bok, ponieważ prowizorycznie usztywniona noga nie pozwalała mu na wiele więcej ruchu, a ból nie pozwalał zasnąć.

– Nie możemy wykluczać niczego, nawet najbardziej szalonych koncepcji – przyznał. – Kto wie, z czym się jeszcze spotkamy. Musimy być gotowi na wszystko.

– Jak? – Martin wstał i zaczął niespokojnie krążyć przy ognisku. Jego ruch obudził nawet sukę, która śledziła go wzrokiem, nie podnosząc pyska z ziemi. – Jak niby mamy być gotowi? Ty, Sam, nie możesz chodzić, Carter jest w podobnym stanie i ma unieruchomioną rękę. Co ja zrobię z kilkoma żołnierzami, panią Cherie i ogromnym psem?

– Mamy coś jeszcze – przerwała mu Cherie.

Mężczyźni spojrzeli na nią pytającym wzrokiem.

– Mamy to całe żelastwo – wskazała uprzężą zdjętą z suki oraz truchła psów.

– Do czego pani zmierza? – zapytał Bradley.

Martin podszedł do maszynierii i kucnął przy niej. Potarł brodę w zamyśleniu, próbując zrozumieć, czy już oszalał, czy też widzi w tym jakiś sens.

– Chyba wiem...

\* \* \*

Z oddali Crucible nie sprawiało wrażenia opuszczonego. Położone było na pochyłym terenie wznoszącym się z pustyni ku okalającym je wzgórzom, których linia układała się w ostry łuk. Pomiędzy drewnianymi budynkami szalały poddmuchy niespokojnego wiatru, wznoszącego wszędobylski kurz. Odbijały się od ścian, zagłędały do okien i od czasu do czasu, niczym wytrawny tancerz, zaczynały wirować, tworząc małe trąby powietrzne.

Martin wychylił się z kabiny parowozu, żeby ocenić odległość do miasta. Niewiele spał poprzedniej nocy, pochłonięty pracą z cudownymi i przerażającymi wynalazkami, łączącymi inwencję techniczną i magię. Z nadzieją spojrział na punkt oznaczający kres ich krótkiej podróży – barak robiący za stację, bliźniaczy do tego, który zostawili za sobą w Prosperity. Dalej była już tylko zwrotnica i szeroka na kilka mil pętla przebiegająca zapewne w pobliżu kopalni.

Słońce mieli za plecami. Wznosiło się leniwie, oświetlając rozklekotany, niemal kompletnie zniszczony pociąg zbliżający się do stacji Crucible. Skład zatrzymał się z piskiem zaciągniętych hamulców. Parowóz dyszał jeszcze przez jakiś czas, niczym wierzchowiec po gonitwie, a jego niespokojny oddech powoli zwalniał wraz z wytracaniem ciśnienia w kotłach.

Cherie otworzyła boczne drzwiczki drugiego wagonu, stanęła na metalowym schodku, z którego zeskoczyła na spękaną od słońca ziemię. Niemal natychmiast przy jej boku pojawiła się suka. Dzielne światło o wiele mocniej uwidaczniało potworne blizny szpecące ciało zwierzęcia.

Zaraz za Cherie z wagonu wychynął podporucznik Bradley. Z wyrazem niepewności wypisanym na twarzy szykował się do zejścia na ziemię. Jego lewe kolano spinało stworzone z upręży psa urządzenie pomagające mu chodzić. Utrzymywało nogę od piszczeli, przez wzmocniony staw, aż do uda. Klekotało przy każdym ruchu wraz z naprzemiennym napinaniem sprężyn i zapadek blokujących.

Do Bradleya dopadło dwóch żołnierzy chcących mu pomóc, ale oficer odgonił ich gniewnym gestem, zacisnął zęby, aż mięśnie zagrały mu na szczęce. Zrobił krok na schodek, po czym kolejny, a później, mocno trzymając się poręczy, osunął się na ziemię. Poszło mu o wiele sprawniej niż się spodziewał. Machina uczipiona nogi sprawnie zamortyzowała przeciążenie, redukując obciążenie do absolutnego minimum. Nadal nie potrafił oswoić się z dziwnym wrażeniem – nie miał czucia w kolanie, a jednak mógł chodzić.

Stając obok Cherie, zachwiał się niekontrolowanie. Kobieta podtrzymała go i oczywiście wykorzystwała sytuację, aby przyłgnąć do niego ciałem.

– Co pan taki blady, panie poruczniku? – Od strony lokomotywy dobiegł wesoły głos sierżanta Cartera.

Mężczyzna wychylił się z kabiny parowozu, odwrócił i sprawnie zszedł z drabinki, na samym końcu jeszcze ostentacyjnie zeskakując. Machineria, którą Martin zamontował na jego ramieniu i nogach, była o wiele bardziej rozbudowana niż urządzenie na kolanie Bradleya. Szyny okalające nogi i wzmocnione stawy wydawały się o wiele bardziej masywne, łączyły się z pasem i przypominającym kręgosłup grzebieniem, biegnącym aż do opancerzonego ramienia, na którym tkwił zrobiony z psiego hełmu naramiennik. Wychodziły spod niego kolejne elementy uprzęży, wzmacniające uszkodzoną rękę. Na plecach żołnierz miał zamontowane pojemniki z gazem, połączone z mechanizmami kontrolującymi stawy.

– Trudno się przyzwyczaić do tej piekielnej maszynerii – wyznał Bradley.

Carter zaśmiał się, licząc, że zarazi entuzjazmem swojego dowódcę.

– Nie wiem, o czym pan porucznik mówi. Mnie to nawet pasuje. Czuję się, jakbym mógł podnieść konia.

– Będziemy testować możliwości mechanicznych stawów, jeżeli przeżyjemy tę wyprawę – mruknął wyraźnie stropiony Martin.

Zamiast zejść z lokomotywy, wspiął się na szczyt hałdy węgla i rozglądał niepewnie, lustrując najbliższą okolicę.

Carter spróbował poruszyć się nieco śmieiej. Machnął ręką, schylił się i wyprostował. Sprężyny i koła zębate w jego uprzęży klekotały jak w zbyt mocno nakręconym zegarku.

– Udało nam się przeżyć do tego momentu, to dlaczego dalej miałyby być inaczej?

Martin spojrzał na niego zatroskany.

– Bo nigdzie nie widzę znaku obecności Phillipa czy młodego Morrisa. Mieli zostawić nam ślad po sobie. Mając dobrą przewagę, powinni mieć na to mnóstwo czasu.

Zebrani rozejrzeli się uważnie. Zależnie od rozwoju wydarzeń, Clive miał poczekać tu lub przynajmniej zostawić ślad – zwykły napis na ścianie, zrobiony za pomocą kredy. Tymczasem, nie licząc kurzu, ściany baraku były czyste, tak samo ściany pobliskiego semafora. Co więcej, piach i kurz pokrywające okolicę wyglądały

na nienaruszone. Jakby nie od roku, lecz od wielu lat w tym miejscu nie pojawił się żaden człowiek.

Cherie przeszedł zimny dreszcz, co wyczuła suka siedząca u jej boku. Zwierzę mruknęło niezadowolone.

– Nigdy tu nie dotarli... – kobieta szepnęła z nieskrywaną trwogą.

– To nie ma już znaczenia – mruknął niezadowolony Bradley, wskazując sylwetki jeźdźców zbliżających się od wschodu. – Oddział likwidacyjny wrócił...



## ROZDZIAŁ 12

### FARMA

*Te ostatnie dni napawały mnie nadzieją na coś, co jedynie splotcone można by nazwać zwycięstwem. Tak naprawdę nie wiem, czego się spodziewam po spotkaniu z Campbellem. Co mu powiem, kiedy staniemy oko w oko? O co zapytam? Czy bez mrugnięcia strzelę mu w twarz, czy też będę się napawał jego powolnym konaniem... Jedyne, co wiem, to że przy życiu trzyma mnie czysty gniew. Przemienne pragnienie zabrania ze sobą na tamten świat towarzysza. W piekle, jeżeli takowe istnieje, będziemy mieli mnóstwo czasu na wyjaśnienie motywów naszych działań.*

Clive K. Phillips, *Dzienniki zebrane*

Cienie kładły się już na pustyni, a Clive i Morris nadal poganiali konie, by mknęły szybciej i szybciej w kierunku Crucible. Wyruszyli zaraz po naradzie, zostawiając towarzyszom prostą instrukcję: wsiadajcie do pociągu i ściągnijcie na siebie główne uderzenie, my wyprzedzimy was i spróbujemy przebić się do Campbella. Taktyka zakładała, że będą jechali na złamanie karku, więc cenę za pośpiech płaciły przede wszystkim zwierzęta, a przynajmniej jedno zwierzę.

Klacz Morrisa potknęła się po raz kolejny. Na pysku wystąpiła jej piana, której kłęb powiększał się z każdym chrapliwym oddechem zwierzęcia. Tymczasem czarny wierzchowiec Clive'a wyglądał świeżo, jakby dopiero co wyprowadzono go ze stajni. Tylko kurz z drogi szpecił jego lśniąca sierść.



– Musimy się zatrzymać! – zawołał Morris. – Koń mi zaraz padnie.

Nad ich głowami świeciły gwiazdy, a sierp księżyca zaczynał swój powolny marsz po nieboskłonie. Noc była na tyle jasna, by mogli dalej jechać, lecz na pewno nie galopem.

Clive zwolnił.

– Nie powinniśmy się zatrzymywać – odparł, pocierając bolące skronie. Mrużył oczy i nawet w ciemności wyglądał szczególnie blado. – Pociąg wyruszy z samego rana. Jeżeli pogoń nas tu dopadnie, to cały plan weźmie w łeb, a my na pewno nie przeżyjemy. Poświęcenie tych, którzy zaoferowali się wziąć na siebie cały impet ataku, pójdzie na marne.

– Pieprzenie...

Nie zważając na gniewne spojrzenie rewolwerowca, Morris zatrzymał się i zeskoczył z konia. Uspokajająco poklepał klacz, po czym zaczął gładzić ją po szyi. Jej serce waliło, a nabrzmiące żyły mocno odznaczały się pod skórą.

– Czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię? – warknął Clive.

– Słucham. Rzecz w tym, że bez konia daleko nie dojadę, prawda? Zwierzę powinno odpocząć. Ty też, z tego, co widzę.

– Musimy przeć na zachód!

– Teraz to ty mnie nie słuchasz. Nie mam magicznego konia ani całego tego gówna, przez które wpakowaliśmy się w to... jakkolwiek tego nie nazwiesz. Jak chcesz, to jedź sam. Ja rozbijam tu obóz.

Clive zaklął szpetnie. Teraz, kiedy w końcu zbliżali się do Crucible, towarzystwo Morrisa stawało się wręcz niezbędne. W bębnie rewolweru miał raptem dwa naboje naładowane potencjałem, a sam nie posiadał go już prawie wcale. Na domiar złego męczyły go cholerny ból głowy, mdłości i nieznośny pisk w uszach. Jego usta były spierzchnięte, czuł smak popiołu i, z jakiegoś powodu, lukrecji. Wiedział, że umiera.

– Słuchaj, chłopcze. Możemy zwolnić, ale...

– Nie! – Morris nie dawał za wygraną. – Odpocznijemy tu i teraz. Ile możemy mieć do Crucible, godzinę jazdy? Dwie? Jeżeli wyruszymy po świtaniu, dotrzemy tam, zanim pociąg w ogóle wyruszy z Prosperity. Zostawimy wiadomość na ścianie peronu i pojedziemy rozprawić się z Campbellem. Dla jasności, nadal uważam, że to fatalny pomysł. Nie wiem, jak to może nas uratować przed kimkolwiek, kto jedzie tu, by nas zabić.

– Już o tym dyskutowaliśmy. Przede wszystkim nikt poza nami nie jest w stanie się przeciwstawić Campellowi. Byłoby głupotą, gdybyśmy wytracili siły w walce

z oddziałem likwidacyjnym.

– No jasne – Morris oparł ręce o siedło, dając odpocząć spiętym ramionom. – Niech Cherie, Martin i reszta zginą, bo Clive Phillips musi dokonać swojej zemsty.

– Zgodzili się – Clive odparł już całkiem spokojnie. – Nikt ich do tego nie zmuszał.

– A jaki mieli wybór? Ruszają w nieznane walczyć z niezrozumiałym zagrożeniem. Cokolwiek by nie zrobili, brną w to samo bagno, w które ty ich powiodłeś. Doskonale wiedzą, że oddział likwidacyjny jedzie tu zabić wszystkich, którzy wiedzą o całym zamieszaniu, a nie po to, żeby ratować Campbella.

– Jedyna więc nadzieja, że, dzieląc siły, podzieliliśmy również pościg. Wszyscy mamy większe szanse.

Siedło zrobiło się nagle strasznie niewygodne, a Clive poruszył się w nim, próbując znaleźć pozycję mniej dotkliwą dla kości ogonowej. Zdjął kapelusz i przedramieniem przetarł czoło z kropelek zimnego potu. Jego ciałem wstrząsały dreszcze wywołane uderzeniami chłodu.

Jak zwykle Morris M. Swithen zaskakiwał go przenikliwością. Jakże się zmienił od momentu, kiedy usiedli razem do nierównej gry w pokera. Jeszcze niedawno rudy grubasek, uciekający przed życiem na ranczu, teraz gorliwy obrońca tego, co prawe i słuszne. Naiwny wielbiciel romantycznych historii o bohaterach. Nie – naiwny bohater.

Clive spojrzał tęsknie w kierunku, w którym prowadziły tory. Godzina jazdy, może dwie. Gdyby pospieszyli, mogliby odpocząć, patrząc z obozowiska na Crucible, może nawet przenocować na peronie. Kiedy tak o tym rozmyślał, spostrzegł dziwne światło pełgające w oddali, nieco na południe od kierunku ich podróży.

– Chłopcze, widzisz to?

Morris zdziwił się zmianą tematu, lecz spojrzał we wskazanym kierunku.

– Zdaje się, że tak. Ognisko?

– Nie. Raczej lampa naftowa. Myślę, że tam jest jakieś domostwo.

– Przecież dookoła Crucible miało niczego nie być.

– Może to farma? Może ktoś jednak się ostał.

Morris błyskawicznie wpadł na pomysł, aż klasnął w dłonie.

– Doskonale! Zatrzymamy się tam, wypytamy mieszkańców i odpoczniemy do rana.

Nie oczekiwał odpowiedzi ani nie miał zamiaru przyjmować odmowy. Pogłaskał klacz po chrapach i poprowadził ją ku źródłu światła. Clive dźgnął ostrogami rumaka,

w głębi ducha czując ulgę. Gdyby nie Morris, on sam pewnie by się nie zatrzymał wcale, a przecież wiedział, jak niebezpieczny mógł być dla niego teraz forsowny wysiłek.

Niewielka farma wyłoniła się z jednostajnego krajobrazu pustyni niczym wyspa oświetlona zimnymi promieniami księżyca. W dwóch sporych zagrodach znajdujących się na tyłach niewielkiego domu nie widać było żywych zwierząt, choć ogrodzenie wyglądało na całkiem solidne. Furtki stały zawarte. Ponad kamiennymi kręgami studni wisiało wiadro. Poruszone wiatrem pojękiwało, dyndając na zardzewiałym łańcuchu. Niedaleko stał wysoki wiatrak na drewnianej konstrukcji. Jego blaszane łopaty i toporne mechanizmy już dawno zamarły, zatrzymane przez korozję.

Domek kusił ciepłym światłem, promieniującym od małych okienek. Co jakiś czas widać było cień przemieszczający się w środku. Ktoś krzątał się w kuchni, ktoś siedział przy stole.

– Tylko ich nie wystrasz – syknął Morris. – Nie chcemy, żeby zaczęli do nas strzelać.

– Niektórych ludzi bardzo trudno wystraszyć. Czasami doświadczenia życiowe uodparniają na grozę. – Clive wskazał cztery niewielkie kopczyki usypane z tyłu domu. Zsiadł z konia, podszedł do nich i dotknął ręką. – Groby. Niezbyt świeże, raptem parę miesięcy. Ziemia jeszcze się nie ubiła.

– Ludzie umierają – Morris wzruszył ramionami. – Chyba sam mówiłeś, że im dalej w pustynię, tym jest gorzej.

Chłopak zastukał do drzwi, najpierw lekko, a potem już nieco śmieiej.

– Hej, dobrzy ludzie! Nazywam się Morris Swithen, jest ze mną Clive Phillips. Jesteśmy podróżnikami i szukamy miejsca, gdzie można zatrzymać się na noc. Może macie stajnię czy byle kawałek podłogi, żebyśmy mogli przenocować?

Gdyby nie przejmujący ból, Clive pokiwałby głową z niemalym uznaniem. Zarówno ton głosu Morrisa, jak i słowa zostały tak dobrane, by nie niepokoić, a nawet nie narzucać się.

Ze środka nie odezwał się nawet najdrobniejszy szept, lecz po chwili dało się słyszeć coś jakby szuranie, a potem stukot zdejmowanego skobla. Drzwi uchylono, a w wąskiej szparze pojawiło się oblicze farmera o dziwnym, nieobecnym wzroku.

– Co panowie tak po nocy? – wyjęczał przez spękane usta.

Morris wzdrygnął się, widząc chorobliwie wychudzoną twarz mężczyzny i jego mętne oczy. Człowiek ten wyglądał, jakby głodował od dłuższego czasu, a jego

mizerna postura sama w sobie budziła potrzebę podzielenia się z nim jedzeniem. Ubrany był w łachmany, miał nieprzyszyzione włosy i skórę pooraną bruzdami, że trudno było odgadnąć jego wiek. Śmierdział też w dziwny, nieludzki wręcz sposób, niczym zeschnięty pleśń, w którym zagnieździły się gryzonie.

Chłopak uprzejmię zdjął melonik.

– Pora dość późna – przyznał, próbując się nie krzywić. – Zobaczyliśmy światło i pomyśleliśmy, że na tej pustyni to najprawdziwszy znak od Boga. Mam nadzieję, że nie naprzykrzamy się zanadto.

Farmer otworzył nieco szerzej drzwi. Każdy człowiek nachodzony w ten sposób najpierw przyjrzałby się niespodziewanym gościom, lecz nie on. Niewiele dało się wyczytać z jego przygarbionej postawy czy pozbawionej mimiki twarzy, zwłaszcza że unikał kontaktu wzrokowego, jakby się czegoś wstydyził lub bał.

– Nie naprzykrzacie się, panowie – odpowiedział suchym głosem. – Przywiążcie konie w zagrodzie i wejdźcie do izby. Żona naparzy kawę. Tylko kawę mamy, jedzenia u nas nie znajdziecie.

– Nie będzie potrzeby – Morris uśmiechnął się przymilnie, po czym przeniósł wzrok na Clive'a i dodał z naciskiem. – Mamy własne zapasy i z chęcią się nimi podzielimy w zamian za gościnę.

Uczynili tak, jak ich poinstruowano. Klacz Morrisa przyjęła odpoczynek w zagrodzie jak zbawienie, lecz rumak Clive'a parskał niezadowolony. Zanim ruszyli do chatynki, Morris wskazał towarzyszowi czaszkę leżącą pod drewnianym ogrodzeniem. Zdawało się, że należała do krowy.

– Dziwnie tu – syknął Clive. – Nic tu nie ma, jakby ktoś dawno opuścił to miejsce. A jednak lokatorzy nadal są w domu.

Chłopak uniósł brew z powątpiewającym uśmiechem.

– Jeżeli sugerujesz, że to duchy, to zdaje się, że są to dosyć uczynne duchy. W sumie to mam ochotę na kawę.

Pozytywne nastawienie Morrisa zniknęło w momencie przekroczenia progu chaty. Nie chodziło tylko o przejmujący fetor. Przegoniło je uczucie niepokoju, ponieważ nagle znaleźli się w bardzo dziwnym śnie, w którym nic nie miało sensu.

Oprócz chudego farmera w pomieszczeniu znajdowała się jeszcze kobieta. Gdyby mężczyzna o niej nie wspomniał, trudno byłoby uznać, że jest jego żoną. Głód, znój i coś jeszcze, czego Morris nie potrafił określić, odcisnęły na niej piętno, sprawiając, że wyglądała raczej jak czyjaś praprababka. Równie zasuszona jak jej mąż, snuła się po kuchni z tak samo nieobecny wzrokiem. Stała teraz przed paleniskiem, tępo gapiąc

się na zimny imbryk postawiony na jeszcze zimniejszej płycie. Słyszając przybyłych, odwróciła się i spojrzała w ich kierunku. Morris byłby w stanie przysiąc, że wyglądające spomiędzy cienkich straków oczy przysłaniało bielmo.

– Chyba nici z kawy – szepnął do Clive’a.

Gospodarz sprzątał właśnie ze stołu, choć słowo „sprzątał” było tu dosyć nieadekwatne. Na drewnianym blacie ni znajdowało się bowiem nic oprócz kurzu. Mężczyzna jednak zdawał się zabierać stamtąd niewidzialne przedmioty, zupełnie jak mim odgrywający jakąś scenę.

– Panowie usiądą – wymamrotał, wskazując stojące obok krzesła.

Morris przełknął ślinę. Naraz pożałował, że namówił towarzysza na wizytę w tym upiornym miejscu. Z jakiegoś powodu kojoty polujące na pustyni, skorpiony i grzechotniki zdały się o wiele lepszymi kompanami niż ta dziwna rodzina.

Wiedziony złym przeczuciem spojrzał na otoczenie przez pryzmat wiedzy o Potencjale, a to, co zobaczył, przeraziło go. Gospodarz bowiem, tak samo jak i jego żona, nie mieli w sobie nic z mistycznej mocy. Zupełnie jakby w miejscu, które zajmowali, przestrzeń była całkiem pusta, wypełniona tylko wysuszonym mięsem pozbawionym aromatu życia i przyszłości. Zupełnie jakby ich ciała były martwe, lecz w odróżnieniu od *zombie*, powstałych przecież z naładowania potencjałem martwych ciał, oni nadal żyli. Co zatem im się stało? Czy ich dziwne zachowanie mogło być podyktowane szaleństwem wywołanym utratą innych członków rodziny i separacją na pustyni w sąsiedztwie wymarłego miasta? Czym było ich trwanie pozbawione sensu i jakiegokolwiek celu? Widma, a nie ludzie.

Morris chciał przekazać Clive’owi swoje spostrzeżenia, lecz dokładnie w tym momencie poczuł ciężką rękę spadającą na ramię. Nie zdążył się obejrzeć, a poczuł, jak Clive opiera się na nim całym ciężarem ciała.

Nogi ugięły się pod rewolwerowcem, a oczy uciekły mu w głąb czaszki. Z nosa pociekła krew. Nie zarejestrował, kiedy ogarnęło go omdlenie ani jak Morris pomógł mu przejść do stołu i usadził go na krześle. Poczul za to okropny smak wody. Podana w brudnej szklance miała w sobie mnóstwo mułu, smakowała żelazem i stęchlizną.

Zza zasłony odrętwienia dobiegły go słowa Morrisa. Chłopak stał nad nim i próbował go ocucić.

– Co... jest... – wybełkotał.

– Clive! Do jasnej cholery, obudź się.

Świat wirował, a niestabilne krzesło zdawało się wisieć w powietrzu do góry nogami. Clive czuł, że gdzieś tam musi być podłoga i bardzo chciał na niej zalec,

oddać się we władanie sile przyciągania. Niewdzięczne, okrutne wręcz ręce Morrisa podtrzymywały go, nie pozwalały osunąć się na ziemię. On zaś pragnął tylko odpuścić walkę o utrzymanie się w pionie, byleby uciec od szaleństwa wokół.

Świadomość wracała falami i zupełnie jak fale przychodziła, by cofnąć go w głąb ciemności. Za każdym razem było jej coraz więcej, a wraz z nią pojawiała się uczucie potwornego ucisku pod czaszką, wywołującego tępy ból głowy i drętwienie kończyn. Coś tam było w środku, jakiś nienawistny obiekt, obcy i z każdą chwilą rosnący, niczym pasożyt żerujący na jego mózgu. Clive wiedział, że to coś wkrótce go zabije, a on nic na to nie poradzi. Ogarnął go gniew. Smutny, palący zimnym ogniem bunt przeciw słabości ludzkiego ciała i okrutnemu losowi, za wszelką cenę starającemu się przeszkodzić mu w dokonaniu zemsty.

– Clive? – Głos Morrisa wibrował w uszach wraz z dziwnym piskiem dochodzącym dosłownie zewsząd. Wznosił się na wysokie skały, po czym opadał, odbijając się echem, aż brzmiał jak głos kogoś zupełnie innego, dawno już zamordowanego przyjaciela.

– Kawa mu pomoże – powiedział gospodarz pozbawionym tonu głosem. – Kawa i odpoczynek.

Morris postanowił zignorować dziwny komentarz, ponieważ widział, że Clive zaczyna dochodzić do siebie. Cekał zatem nie bardzo świadomy, czy mógłby jakkolwiek pomóc. Niemal widział, jak kropla po kropli resztki potencjału wyciekają z mężczyzny, niczym woda z dziurawej beczki.

Rewolwerowiec odzyskał wzrok, a świat przestał chwiać się w posadach. Złapał krawędź blatu, licząc, że mebel utwierdzi go w tym przekonaniu, ale i on zdawał się niestabilny, gotowy w każdej chwili rozpaść się na kawałki.

– Coś ty mi wlał do gardła? Błoto? – jęknął, przecierając palcami język z mułu, oblepiającego wnętrze ust i gardło. Zrobiło mu się niedobrze, gdy potworna ciecz bulgotała już w żołądku, jakby obdarzono ją życiem.

– To, co było pod ręką – Morris szepnął, tak by nie usłyszał go gospodarz. – Ważne, że zadziałało. Żyjesz?

– No, nie wiem. Po tej truciznie z pewnością zaraz wyzionę ducha.

Morris rozluźnił się nieco i nawet uśmiechnął. Z ulgą, za którą w sumie się zgał, klapnął na krzesło obok towarzysza. Ciągłe zachodził w głowę, jak to możliwe, że Clive wywoływał w nim tak skrajne uczucia. Była tam troska, jakieś dziwne przywiązanie i gniew graniczący z pogardą dla bezdusznych czynów. Chyba zaczynał

rozumieć Cherie. Kobieta przyrzekła zabić Clive'a, ale do tego czasu darzyła go swoistym przywiązaniem, można by rzec, że przyjaźnią.

Żona farmera podeszła, szurając bosymi stopami po sękatych deskach brudnej podłogi. Postawiła na stole dwa puste kubki.

– Kawa – z jej ust dobiegł dźwięk kojarzący się z wysypywaniem piasku z wiadra.

Morris wzdrygnął się, czując jej bliskość. Kobieta była zimna, pozornie martwa jak cała ta przekłęta farma i woda, którą pili. Cuchnęła też zupełnie jak jej mąż. Dziwny fetor przedostawał się przez jej skórę, jak zapach zbyt dużej ilości zjedzonego czosnku.

– Ale tu nie ma...

Clive przerwał mu gestem, sugerującym, że dyskusja nie ma sensu. Zwrócił uwagę na zachowanie gospodarzy. Farmer stał nad nimi z nieobecnym wzrokiem, jakby w stuporze, podczas gdy żona wróciła do kuchni, bełkocząc coś do siebie.

– To nie jest miejsce dla nas – szepnął, a Morris niechętnie przyznał mu rację. Zdawać by się mogło, że powieszona pod powalą lampa i pełgający w niej wąły płomień są tu najbardziej żywymi obiektami.

Wstali od stołu. Rewolwerowiec wsparł się na ramieniu Morrisa. Nogi nadal miał jak z waty.

– Pora na nas.

– Nie, proszę – obudził się farmer. – Jeszcze kawy panowie nie wypili. – Na jego szarej twarzy odmalował się wyraz nie tyle zakłopotania, co wręcz bóleści. Dziwne zachowanie pogłębiał fakt, że nie patrzył na gości, tylko wlepił tępy wzrok gdzieś w ciemność.

Zignorowali niemrawy protest i skierowali się do wyjścia. Morris rzucił ostatnie spojrzenie ku żonie farmera. Czekwała, aż woda zagotuje się w imbryku stojącym na dawno wygasłym palenisku. Jej zamglone oczy również kierowały się w ciemność zalegającą w dalszym rogu pomieszczenia.

– Clive? – Morris zatrzymał rewolwerowca. – Czy to przypadek? Na co oni tak patrzą? Chyba nic tam nie ma.

Clive puścił ramię towarzysza, pozwalając mu zaspokoić ciekawość.

– Sprawdź, chłopcze.

Z ręką na rewolwerze Morris zbliżył się do ciemnego rogu chaty, próbując wzrokiem przeniknąć mrok. Z każdym krokiem budziły się w nim coraz gorsze przeczucia. Instynkt walczył z rozumem, ponieważ oczy dostrzegały, że w istocie nic niepokojącego tam nie było. Pod ścianą leżało przewrócone wiadro, na półkach

wisiały zardzewiałe garnki i patelnia. Dopiero kiedy pod jego stopami zaskrzypiały deski wjazdu do piwnicy, zrozumiał, o co może chodzić.

– Panie gospodarzu – rzucił przez ramię. – Co trzyma pan tam na dole?

Farmer nie odpowiedział od razu. Jego świszczący oddech stał się szybszy, a stojąca w kuchni żona wzdrygnęła się, jakby ktoś podniósł na nią rękę.

– Może kawy?

– Nie o to pytał! – warknął Clive.

Morris pokazał, żeby rewolwerowiec się uspokoił. Podszedł do farmera i bezskutecznie poszukał jego wzroku.

– Jak długo tu mieszkacie?

Gospodarz trząśł się, nie wiedzieć, czy ze słabości, czy ze strachu. Wyglądał, jakby miał się od tego rozpaść, niczym rzeźba wykonana z suchego piasku.

– Całe życie.

– Wszystko jest tu zniszczone i zepsute. Nawet w studni zalega szlam. Jak długo tak żyjecie?

Suchy mężczyzna wlepił wzrok w podłogę. Jego wargi drżały, a spomiędzy ust dobywały się ciche jęki.

– No więc? – ponaglił Morris.

– Od czasu jak dzieciakom się zmarło. Jednej nocy odeszły, wszystkie cztery. Myśmy poszli do miasta ratunku szukać, ale tam nikogo już nie ma. Ludziska tak samo znikli jak dzieci nasze. To kara boska. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz, rzecze Pismo. Marnością jesteśmy.

Morris zrobił zdziwioną minę. Nie wiedział, czy dobrze zrozumiał bełkot farmera.

– Ile? Miesiąc? – dopytywał. – Kilka miesięcy?

– Miesiąc, dwa albo i ze cztery.

– On nie wie – syknął Clive, próbując utrzymać się na nogach. – Nie ma pojęcia nawet, jaki jest dzień. Szaleństwo spadło na nich oboje.

Farmer skulił się w sobie i zgarbił jeszcze bardziej. Wspomnienie o rodzinie sprawiło, że zaczął się trząść, a bruzdami zmarszczek pokrywających policzki popłynęły pojedyncze, dziwnie szare łzy.

– Czym się żywiecie? – Morris wydusił z siebie pytanie, które nurtowało go od momentu, kiedy przekroczyli próg domostwa.

Nie widział tu przecież nic do jedzenia. Żadnego chleba, sera, mięsa. Tylko ta brudna woda.



Pytanie przeraziło gospodarza. Jego ciałem wstrząsnął spazm rozpacz, chude palce zasłoniły drżące usta, a potem uszy.

– Co tu jecie?! – chłopak powtórzył zniecierpliwiony.

Odciągnął ręce mężczyzny od głowy i jeszcze raz zadał to samo pytanie, również bez skutku.

Potworna konkluzja nasunęła się sama. Z obrzydzeniem Morris odgonił wizję wygłodniałego małżeństwa pożerającego własne dzieci. Co zatem mogło znajdować się w tajemniczej piwnicy? Makabryczna ubojnia? Zapasy kruszejące w chłodzie i ciemności?

Wyjął rewolwer i rozejrzał się za źródłem światła. Na jednej z półek dostrzegł poniewierający się ogarek świecy. Odpalił go od płomienia lampy i oświetlił sobie drogę.

Właz piwniczny zbito z kilku próchniejących już desek. Morris bez większego wysiłku podniósł go i odstawił na bok. Z ciemnej dziury wзираły ku niemu najwyższe szczeble leciwej drabiny. Przyświecił sobie, lecz wąty płomyk nie zdołał rozjaśnić panującego na dole mroku.

Dobiegający stamtąd smród otępił zmysły. Podobny temu, którym prześmierdli mieszkańcy przeklętej farmy, zdawał się o wiele bardziej intensywny i skondensowany. Chłopakowi wnętrzności zaczęły się skręcać. Wiedział, że czymkolwiek żywili się ci ludzie, mógł to znaleźć tylko tam na dole.

– Przypilnuj ich – rzucił do wciąż osłabionego Clive'a.

– Czasami lepiej nie wiedzieć, chłopcze – rewolwerowiec ostrzegł grobowym głosem. Zdawać by się mogło, że i on domyślał się, w czym rzecz.

– Po prostu ich pilnuj.

Nie trzeba było mówić nic więcej. Morris doskonale zdawał sobie sprawę, że Clive wie, czym jest ciekawość. To ciekawość doprowadziła go aż tutaj. To z ciekawości zaczął eksplorować dziedziny magii i eksperymentować z użyciem potencjału. Reszta, łącznie z zemstą, były tylko wynikiem owej obsesji odkrywania i dążenia do postępu osiągalnego za pomocą sił, o których ludzkość dawno zapomniała.

Stara drabina jęczała, grożąc upadkiem, lecz jakoś udało jej się utrzymać schodzącego na dół Morrisa. Prowadziła do piwnicy, której sklepienie znajdowało się kilka cali ponad głową chłopaka. Spomiędzy szpar w deskowaniu przedostawały się cienkie snopy światła, widać było nawet cień Clive'a i pozostających w bezruchu,

otępiąłych mieszkańców chaty. Pod ścianami stały stare beczki i półki z butelkami i słojami. Żadnych ciał, żadnych dowodów kanibalizmu.

Prawda okazała się o wiele gorsza niż wyobrażenia. To rzecz, która znajdowała się na samym środku pomieszczenia sprawiła, że chłopak zagryzł mocniej zęby. Początkowo myślał, że to martwe zwierzę zwinięte w kłębek. Coś wielkości cielaka, może mniejsze. Miało ciemną, matową skórę, tak szorstką, że światło ledwo było w stanie wyodrębnić szczegóły groteskowej anatomii.

Od istoty dzieliły go trzy, może cztery kroki. Fetor w tym miejscu stawał się już nieznośny, więc Morris zasłonił nos i usta chustką, choć przyniosło to dość mizerny efekt. Z tej odległości widział rany na cielsku owego stworzenia. W miejscu, w którym mogły znajdować się kiedyś odnóża, pozostawały tylko zasklepione rany i nic więcej. Spływały one ciemną cieczą, nieprzypominającą w żaden sposób krwi, a co najwyżej smołę. Gęsta i cuchnąca, miejscami zasychała, tworząc grube skorupy.

Okrążając stworzenie, Morris ze zgrozą zidentyfikował coś, co wydawało się bezoką głową wieńczącą pozbawiony szyi tułów. Pełen obrzydzenia jęk wydostał się z jego ust, ponieważ zrozumiał, że nie widział jeszcze u żadnej znanej sobie istoty podobnej paszczy. Wyglądała jak przyssawka pijawki, lecz najeżona była grubymi łuskami tworzącymi rzędy czegoś, co mogło stanowić zęby układające się w dziwną spiralę. Ze środka niczym macki wystawały liczne języki.

Farmerzy nie odcięli jeszcze jednej z prawdopodobnie wielu kończyn istoty. Coś, co znajdowało się pod spodem cielska, wyglądało również jak wyrastająca z tułowia łapa, podkulona, zakończona płaskim pazurem.

Chłopak wyciągnął rękę z pistoletem, schylił się ostrożnie i dźgnął cielsko lufą. Stworzenie poruszyło się niemrawo, a on odskoczył, głośno łapiąc haust powietrza. Teraz bardziej niż kiedykolwiek przypominało to ślimaka, wciąż żywego pomimo utraty sporego kawałka ciała. Mackowate języki spazmatycznie sięgały po omacku, starając się wybadać teren, być może chwycić intruza.

Monstrum nie oddychało, lecz w jakiś sposób zdawało się żywe. Przypominało owe dziwne, bezkształtne koszmary napotkane w krainie snów, lecz obleczone w ciało, osadzone w fizycznej rzeczywistości.

Mdłości zaatakowały ze zdwojoną siłą, kiedy zrozumiał, że ludzie na górze wcale nie byli kanibalami i nie pożarli przecież członków swojej rodziny, lecz w szaleńczej desperacji żywili się kawałkami ciała tego czegoś. Obcej, śmierdzącej, ślepej istoty, pochodzącej prawdopodobnie z zupełnie innego, odległego świata, w którym człowiek byłby tak samo obcy jak ona tutaj.

Lepka ślina zaczęła gromadzić się w ustach Morrisa, a żołądkiem wstrząsnął niemiły skurcz. Gdyby tylko miał czym, z pewnością by zwymiotował. Odsunął się kilka kroków i wtedy dojrzał coś jeszcze. Podłoga w piwnicy wyłożona była deskami przykrywającymi grunt. Na ich powierzchni znajdowało się mnóstwo rozlanej czarnej mazi. Rzecz w tym, że plamy śmierdzącej krwi nie były chaotycznym rozbryzgiem, jaki mógł powstać podczas ćwiartowania kończyn. Dało się w tym rozpoznać znaki, całe mrowie znaków posiadających wspólny mianownik jakiegoś obcego języka. Wyglądało jak glify używane przez Clive'a, lecz o wiele bardziej prymitywne, niezrozumiałe i z pewnością nienakreślone ludzką ręką.

Morris spróbował się skupić na przepływie potencjału. Rzecz w tym, że unoszący się w powietrzu odór i świadomość przebywania z tym czymś wcale nie pomagały. Oczyszczył umysł, wysilił wolę i w końcu sztuka się udała. Przed jego zmysłami otworzyła się natura magicznych symboli i zrozumiał, że stwór przybył właśnie po to, by je zostawić, naznaczyć to miejsce.

Cofając się, plecami uderzył o drabinę. Wzdrygnął się i wiedziony przeczuciem zawołał:

– Gospodarzu! Jak umarła wasza rodzina?

Farmer sapnął żałośnie, po czym zaczął bełkotać bez ładu. Zniecierpliwiony Clive zganił go i dopiero wtedy człowiek zdołał wydusić z siebie jakkolwiek zrozumiałe słowa.

– Zniknęły – jęczał. – Na Boga, one zniknęły.

Morris zaklął pod nosem. Co to znaczy, że zniknęły?

Nie znalazłszy odpowiedzi, rozejrzał się baczniej, ponieważ rozumiał, że koszmarna istota musiała przecież jakoś się tu dostać. Wkrótce spostrzegł ciemny tunel wydrążony w ziemi, wchodzący do piwnicy przez jedną ze ścian. Miał on średnicę pięciu, może sześciu stóp i niemal gładkie boki, nadzwyczaj regularne, niemożliwe, żeby wydrążyła go ludzka ręka. Nie sposób było określić, jak daleko prowadził. Chłopak czuł stamtąd powiew zatęchłego powietrza, tak odrażający, że jego umysł zaczął podpowiadać wizje czających się wewnątrz okropieństw, wykraczających poza ludzkie pojmowanie.

Wzdrygnął się, a włosy stanęły mu dęba, gdyż zdało mu się, że słyszy ze środka coś jakby szuranie. Poczul mocniejszy powiew śmierdzącego powietrza, a szalejąca wyobraźnia nakazała mu myśleć, że oto zbliża się jedna z tych koszmarnych istot sunących tunelem przy pomocy owych dziwnych kończyn i macek, rozpoznającej otoczenie dzięki językom wysuwającym się z przerażającej paszczy.

Morris zamarł. Uniósł ciężącą mu w dłoni broń i wycelował przed siebie. Kątem oka zauważył, że stwór leżący na podłodze piwnicy zaczął drżeć i wić się, jakby coś go spłoszyło. Jego macki trzepotały na boki, szukając czegokolwiek, co mogłyby złapać i zdawać by się mogło, że zaczął wydawać z siebie ciche sapnięcia i piski.

– Chłopcze! – Z góry dobiegł głos Clive’a. – Wychodź już stamtąd.

Nie odpowiedział. Ciężko było mu oddychać, a co dopiero wydobyć z siebie głos. Miał wrażenie, że traci zmysły. Serce podeszło mu do gardła, przez głowę przelatywały dziesiątki myśli. Miał ochotę wystrzelić wszystkie sześć pocisków w ciemność. Tak dla pewności, żeby zatrzymać cokolwiek, co tamtędy nadciągało. A było coraz bliżej.

– Morrissss...

Syczący szept sprawił, że chłopakowi zaparło dech w piersi. Dłonie mu drżały. Pociły się tak, że ledwo był w stanie utrzymać ciężki rewolwer. Czy naprawdę usłyszał swoje imię?

– Morrriiiiiiiiiissss...

Przełknął ślinę. Mocniej ścisnął rękojeść broni. Odciągnął kurek, spiął się i bez namysłu wypalił w ciemną przestrzeń. Pierwszy rozbłysk nic nie pokazał, ale już kolejny uwidoczniał kształt zbliżający się tunelem. Chłopak krzyknął przerażony i, trzymając naciśnięty spust, prędko odciągnął kurek jeszcze cztery razy. Kształt zawył, ale nie przestawał się zbliżać.

Nagle szarpnięcie za nogi przewróciło go. To stwór leżący na podłodze w końcu zdołał go chwycić wystającymi z paszczy językami. Morris krzyknął ponownie, zaczął wierzgać i bić na osłep. Macki wpijały się w ciało, darły ubranie, wspinając się ku głowie, i boleśnie raniły skórę, odrywając jej całe płyty wraz z kawałkami mięsa. Poraniony tułów, szyja i ramiona piekły, jakby przypalano je żywym ogniem. Istota zaś ciągnęła go ku sobie, wiła się i falowała, kiedy jej paszcza robiła się coraz większa. Przypominająca ropę ślina wypływała z pyska kłapiącego łuskowatymi zębami. Na domiar złego z dziury w ścianie wychynęło coś jeszcze, coś, czego nie powstrzymały wystrzelone kule.

Nowy stwór nie przypominał tego, co schwyciło Morrisa. Nie był przystosowany do poruszania się pod ziemią, a przynajmniej do rycia tuneli. Stanowił bezkształtną masę macek i paszczy. Jęczał i przelewał się, wydając z siebie opętańczą litanie na wespół zwierzęcych, na wespół ludzkich dźwięków, a w tym wszystkim powtarzał imię Morrisa.

Nieogarnięta jeszcze przez szaleństwo ostatnia cząstka świadomości wychwyciła krzyk Clive'a. Rewolwerowiec wychylał się przez właz, celując do stwora. Kiedy próbował odciągnąć kurek, rewolwer wypadł mu z osłabłej ręki.

W akcie desperacji Morris sięgnął w stronę upuszczonej broni. Mocował się z potworem, kopał i wierzgał jak oszalały. Starania przyniosły w końcu efekt i kreatura go wypuściła. Dосkoczył do zdobionego glifami rewolweru Clive'a, odwrócił się i wypalił w kierunku obu potworów.

Eksplozja mocy uderzyła niespodziewanie, mocno i brutalnie. Przez rękę Morrisa i całe ramię aż do mózgu popłynęła dzika energia. Dokładnie w momencie, kiedy pocisk opuścił lufę, wszystko dookoła załśniło potencjałem. Chłopak widział, jak kula mknie w kierunku potwora. Połyskiwała srebrem, wirowała i zostawiała za sobą ognistą smugę. Wygrawerowane na niej znaki płonęły czystą mocą.

Serce Morrisa zdążyło zabić trzy razy, zanim zobaczył, jak kula zagłębia się w czarnocielsko. Nagle wszystko przyspieszyło, a w uszach zawibrował mu dziki skowyt ranionej istoty. Co mówił Clive? Ostatnie dwie kule. Pierwsza nie zabiła tego czegoś, lecz druga musiała.

Wypalił po raz kolejny. Drugie uderzenie mocy okazało się jeszcze silniejsze niż poprzednie. Znowu wszystko zwolniło, znowu zobaczył płomień wypluwający pocisk z lufy. Ponownie serce uderzyło kilka razy, zanim kula doszła celu.

Kiedy czas wrócił do normy, potwór leżał nieruchomo obok swojego rannego, po części poźartego pobratymca. Jego skóra zaczęła blednąć. Stała się połyskliwa i obrzydliwie gładka jak u młodego gada. Pod jej cienką powierzchnią widać było drgające w spazmach blade węzły mięśni.

Rewolwer Clive'a ciążył w dłoni Morrisa i parzył porażającym zimnem. Serce chłopaka waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi, a wspomnienie przepływającej przez niego energii oszalało nie mniej niż pamięć nocy spędzonej z Cherie.

Był potwornie zmęczony, zupełnie jakby przebiegł właśnie kilka mil. Wiedział już, jak to jest, kiedy Clive strzelał naładowanymi potencjałem kulami. Kompresja czasu dawała mu poczucie absolutnej potęgi. Gdy używał magii, nie musiał być najszybszym rewolwerowcem na Zachodzie. Mógł być kuloodporny.

Wstał, otrząsnął się, próbując złapać oddech. Podniósł swój rewolwer i schował do olstra. Z niedowierzaniem pomieszonym z obrzydzeniem patrzył na istotę, do której strzelał. Ogarnęło go abstrakcyjne wrażenie, że gdzieś już ją spotkał. Do złudzenia przypominała to coś, co zostało przyzwane w krainie snów przez Pożeracza Dusz, kiedy po raz ostatni widział pułkownika Wilsona.

Podszedł nieco bliżej. Choć monstrum nie zdołało całe wyleźć z dziury, jego macki sięgały niemal na środek piwnicy. Z otworów w cielsku wyciekała ta sama śmierdząca i gęsta ciecz, której smrodem przesiąknął cały ten budynek i jego mieszkańcy.

– Wychodzę – chciał zawołać do Clive’a, lecz z gardła wydobył mu się ledwie suchy jęk.

Próbował powtórzyć, lecz wtedy to coś ożyło, złapało go i już nie puściło...

Upuściwszy broń, Clive złapał za drugi rewolwer, lecz zanim zdołał go wyciągnąć, było już po wszystkim. Morris bezbłędnie skorzystał z ostatnich naładowanych pocisków i powalił atakującego go stwora.

Rewolwerowiec opadł na podłogę i, ciężko oddychając, pozwolił sobie na chwilę odpoczynku. Patrzył w sufit, nie dbając nawet, co mogą zrobić farmer czy jego żona. Mogli przecież się na niego rzucić, chwycić za ukryty nóż czy siekierę. Oni jednak stali jak bezwolne kukły, którymi akurat lalkarz się nie zajmował.

Nagły rumor dochodzący z piwnicy sprawił, że Clive podniósł się i znowu tam zajrzał. Tym razem upewnił się, że ma mocny chwyt na rękojeści rewolweru. Jedyne, co zobaczył, to dopalający się ogarek świecy leżący na podłodze, tuż obok ułomnego stwora. Wstał, złapał lampę i zszedł szybko na dół.

Po Morrisie pozostał tylko jego melonik. Nie było też tego czegoś, co wylewało się z dziury w ścianie, zaś z tunelu dochodziły echa oddalającego się szurania.

Clive’a ogarnęło najprawdziwsze przerażenie, podsycane przez opuszczające go siły. Chciał wleźć do tunelu, ruszyć Morrisowi na pomoc, lecz nogi się pod nim ugięły, a ręce odmówiły posłuszeństwa. W uszach znowu odezwał się ten porażający pisk, głowę rozrywał dojmujący ból. Zrobiło mu się niedobrze, oczy uciekły w głąb czaszki.

Został sam, pozbawiony jednego z rewolwerów oraz ostatnich pocisków zawierających potencjał. Po raz kolejny ogarnęła go ciemność.

\* \* \*

Smród padliny cucił lepiej niż jakiegokolwiek sole trzeźwiące. Efekt może nie był tak spektakularny, lecz Clive obudził się w kilka chwil, a przynajmniej tak mu się wydawało.

Nadal leżał na podłodze w piwnicy, lecz tym razem światło wlewające się przez otwarty właz i przebijające przez deskowanie podłogi wyraźnie wskazywało, że nastał nowy dzień. Tuż obok miejsca, w którym leżał, spoczywało nieruchome ciało

monstrum, które służyło w tym domu za źródło pożywienia. Było martwe. Zimne macki leżały bezwładnie na podłodze, a z pyska kropla po kropli ciekła cuchnąca ciecz.

Jak przez mgłę Clive zauważył twarz pochylającego się nad nim farmera. Z tej perspektywy wychudzony człowiek przypominał szkielet obleczony szarym papierem. Na jego dziwnym obliczu malowało się coś, co mogło być zarówno wyrazem troski, jak i nieludzkiego głodu.

Mężczyzna podtykał Clive'owi coś pod nos. Było zimne, mokre, a jego odór wywracał na wierzch wnętrzości. Rewolwerowiec podniósł ręce, byleby odsunąć od siebie okropny podarek, lecz i tak kilka kropel mazi spadło mu na usta. Wystarczyło, by wykręcić kiszki do stopnia wywołującego bolesne torsje.

– Zabierz to ode mnie... – jęknął, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

Farmer odsunął się niepokieszony. Z wyrazem ulgi wepchnął sobie kawałek mięsa do ust i zaczął żuć. Zdając sobie sprawę z pochodzenia owego kawałka, Clive nie powstrzymał już wymiotów i chlusnął na ziemię mieszanką śliny i soków żołądkowych.

– Trzeba było jeść – farmer mruknął z pełnymi ustami. – To z głodu.

Clive pokręcił głową z powątpiewaniem. Przetarł usta i spróbował się podnieść. Zajęło mu to dobrą chwilę, lecz w końcu pomógł sobie dzięki stojącej obok drabinie. Powoli dochodziło do niego, co właściwie się stało. Morris przepadł, ale wcześniej zmarnował ostatnie kule cudem naładowane dzięki wisiorowi otrzymanemu od starego Indianina. Co gorsza, zabrał ze sobą jeden z zaklętych coltów.

Indiański amulet w niezrozumiały sposób ściągał potencjał z otoczenia. Clive odkrył to wkrótce po opuszczeniu cmentarzyska. W ten sposób udało się w ciągu kilku dni samoistnie naładować aż dwa pociski. Niestety obawiał się, że w tych okolicach cudowny artefakt na niewiele mógł się zdać. Widać to było po farmie, po jej upiornych mieszkańcach, nawet po spękanej ziemi i niebie pozbawionym ptaków. Wszystko tu było martwe, jałowe. A jego droga prowadziła do miasta duchów.

Spojrzał zmęczonym wzrokiem na farmera. Poszukał w kieszeni okularów i zatknął je na nos.

– Jak daleko jest do miasta?

\* \* \*

Crucible było martwe.

Drewniana podłoga skrzypiała niemiłosiernie, lecz nie na tyle, żeby zagłuszyć metaliczne dźwięczenie wyposażonych w ostrogi butów. Ciepły powiew przedostawał się do środka budynku przez na wpół urwane okiennice. Łomotały o drewniane ściany, zupełnie jakby chciały wypłoszyć intruza. Połamane żaluzje rozrywały na części palące promienie popołudniowego słońca, które, po wpadnięciu do opuszczonego saloonu, powoływały do życia cienie tańczące upiorny taniec.

Clive zmarszczył brwi, a cienka skóra napięła się na poszarzałej twarzy. Nie był to grymas wściekłości czy bólu, lecz wyraz determinacji i skupienia. Chustką przetarł krew leniwie ciekącą z nosa.

Długi płaszcz szurał po podłodze, pozostawiając za sobą doskonale widoczny ślad w kurzu. Rewolwerowiec wszedł do saloonu narożnym wejściem, ominął krzesła i okrągłe stoliki, porzucone, jakby wszyscy goście ni z tego, ni z owego wstali i wyszli. Na blatach zalegały szklanki i kieliszki w towarzystwie butelek ze zwietrzałym alkoholem. Zawartość talerzy po niedojedzonych potrawach już dawno zmieniła swój stan ze zgnilizny w totalny rozkład. Wszystko tu pokryte było grubą warstwą miękkiego pyłu. Nawet robaki żerujące na resztkach zdążyły już przejść wszystkie fazy swojej egzystencji i teraz w formie wielkich much leżały na blatach i wyciągały w niebo zeschnięte nóżki.

Clive podszedł do długiego baru, podobnie jak stoliki zastawionego kuflami i kieliszkami. Zaśniedziałe, brudne szkło wypełnione było zaschniętymi resztkami piwa lub podłej whiskey. Kieliszki stały tu tak długo, że zdążyły niemal zespolić się z drewnem. Odłączenie takiego wymagało odrobiny wysiłku, lecz w końcu się udało. Szkło niemal rozpadało się w palcach. Tylko znajdujące się na dnie resztki płynu były twarde jak kamień.

– Wszystko martwe... – mruknął do siebie.

Wszelkie dobiegające go dźwięki były przytłumione, nawet gniewne parskanie konia pozostawionego na ulicy. Przyczyniały się do tego ból głowy, pisk w uszach i wszędobylski kurz. Crucible okazało się bowiem skąpane w szarym pyłe przewalonym przez wiatr. Jego chmury wznosiły się między budynkami, wpadały przez okna, osadzając się grubą warstwą na absolutnie każdym przedmiocie. Pył dusił, drapał w gardło, utrudniał oddychanie i nawet chusta zaciągnięta na nos niewiele przed nim chroniła.

Podróż do Crucible zajęła niemal dwie godziny. Clive miał trudność z utrzymaniem się w siodle, zwłaszcza kiedy rumak chciał galopować. Jechał więc



wolno. Przeklęta bestia aż wrywała się do biegu, zapewne doskonale zdając sobie sprawę, że Morris gdzieś tam jest.

Clive pchnął drzwiczki saloonu tak mocno, że jedno ze skrzydeł urwało się i zważyło z łoskotem na ziemię. Wyszedł na zewnątrz i postawił kołnierz płaszcza, żeby osłonić się przed wiatrem. Przywitało go gniewne rżenie konia, które brzmiało bardziej jak warkot bestii.

Długa uliczka mknęła po pochyłości prowadzącej w stronę górującego nad wszystkim kościoła. Tonęła w kłębach kurzu unoszonych przez wiatr. Wszystko dookoła skrzypiało i jęczało, kiedy grożące zawaleniem konstrukcje za wszelką cenę próbowały utrzymać się w pionie. Ich wysiłki zdawały się daremne, zupełnie jak wysiłki pijanego, a spotkanie z ziemią wydawało się nieuchronne, wręcz zbawienne.

Clive zlustrował obie strony ulicy. Tuż przy znajdującym się naprzeciw sklepie stał zdezelowany powóz, a przyczepione do niego lejce poniewierały się po ziemi niczym wnętrzości wypatroszonego zwierza. Dalej byli balwierz, kowal, a za nimi biuro szeryfa, sklep z ubraniami. Żadne z tych miejsc nie wyglądało obiecująco. Puste oczodoły okien i wybite zęby drzwi przedstawiały sobą obraz koszmaru pełnego śmiertelnej pustki.

Odwinął chustę i splunął na ziemię flegmą pełną gorzkiego pyłu i drobinek piachu. Szedł wolno, prowadząc konia za uzdę. Od czasu do czasu spoglądał na boki, jakby się spodziewał, że coś wyskoczy spomiędzy budynków, by go zaatakować. Uparty wiatr szarpał poły płaszcza, groził, że za chwilę porwie w dal kapelusz, lecz ten uparcie trzymał się głowy rewolwerowca.

– Miasto duchów – Clive mruknął ochryple.

To stwierdzenie nabrało nowego znaczenia w jego ustach. Widywał już wymarłe miasta, lecz zwykle wyglądały one na opuszczone, a nie nagle wyludnione. W Crucible nie było okien ani drzwi zabitych deskami. Gdzieniedzie na ulicy walały się pozostałości zniszczonych przez czas przedmiotów. Wyszłe, rozpadające się pakunki, rozwarstwione pasy czy do granic możliwości skorodowane rewolwery. Gdzieniedzie widać było nawet strzępy ubrań.

Poszedł dalej na zachód ku miejscu, w którym stykały się pasma wzgórz, aż do kościoła. Budynek znajdował się na końcu miasta, tuż za starym cmentarzem. Jego wysoka iglica, dumna i strzelista, niegdyś musiała być pomalowana na białą. Teraz deskowanie budynku poszarzało, a farba popękała. Okna zaśniedziały od wszędobylskiego piasku, a krzyż na szczycie wieży zwiślał złamany. Podwójne drzwi do

budynku były uchylone, jakby zapraszały spóźnialskich na dopiero co rozpoczęty obrządek.

Clive zatrzymał się tam i zajrzał do środka. Pomiędzy rozpadającymi się ławkami leżały sztywne okładki po książeczkach do nabożeństwa. Na środku pomieszczenia ziała wielka dziura w podłodze. Rewolwerowiec zbliżył się do niej ostrożnie, czując, że deski mogą w każdej chwili ustąpić pod jego ciężarem, a sam budynek zwalić mu się na głowę.

To, co ujrzał w dziurze, potwierdziło tylko jego przypuszczenia. W piwnicy kościoła zobaczył bowiem symbole, dokładnie takie same jak w domu farmera, namazane dziwną cieczą. Mnożyły się na ścianach i podłodze, zupełnie jakby wszystko tu pokrywały węże. Tak naprawdę całe miasto było ich pełne. Ukradkowo namazano je w bocznych uliczkach, pod deskami zarwanych podłóg.

Clive zatrzymał się i zabrał nogę z kupki kurzu, w którą wdepnął. Rozejrzał się podejrzliwie. Kurz, wszędobylski pył, który unosił się nad miastem, niepokoił go.

– Sieć... – szepnął. – Cholerna pajęczna sieć.

Zrozumienie, z czym miał do czynienia, wstrząsnęło nawet kimś takim jak Clive K. Phillips. A zatem owe istoty drążyły tunele pod ziemią i zostawiały wszędzie symbole, swoistą ich sieć, przygotowaną, by w jednym momencie schwytać wszystko, co było w jej zasięgu. I moment ten nastąpił mniej więcej rok temu, kiedy w jednej chwili zniknęli wszyscy mieszkańcy Crucible. Wyssano z nich potencjał, cały ich czas i życie, poczynając od momentu narodzin, aż po chwilę, kiedy ich ciała miały obrócić się w pył. Efekt okazał się tak silny, że wyjąłowił całą okolicę. Ludzie, być może nawet zwierzęta, w jednej chwili zamienili się w proch, a cały ich dobytek skrajnie się zdegradował.

Skala masakry oszałamiała, tak samo jak możliwe implikacje. Żadna armia, żadne działo nie było w stanie dokonać tak szybkiego ludobójstwa, tak czystego, a zarazem przynoszącego korzyści, jak masowe wyssanie potencjału. Wymagało to zapewne długich przygotowań. Ba, w tym wypadku użycia tych bezdusznych stworów przyzwanym z najpodlejszych otchłani nieznanych piekieł. Było jednak możliwe i przerażało w swej precyzji.

– Campbell... – Clive warknął, zaciskając zęby.

Potworny gniew zapłonął w nim, dodając mu sił i odpędzając ból. Musiał znaleźć tego potwora, musiał z nim skończyć raz na zawsze. Do tego jednak potrzebował Morrisa.

Z wysiłkiem zlazł do dziury. Nie bacząc na protesty wierzchowca stojącego przed kościołem, wyjął przyniesioną lampę. W dłoni trzymającej rewolwer miał też indiański wisior. Stanął przed wejściem do tunelu wydrążonego przez koszarne istoty. Gdzieś tam musiał być Morris...



## ROZDZIAŁ 13

# DOMEK NA PRERII

*Wesleyu Campbell, niech twoje imię będzie przeklęte na wieki. Zdrajco, morderco, potworze...*

Clive K. Phillips, notatka na marginesie dziennika osobistego

– Chyba się obudził.

Dziewczęcy głos ujmująco zgrywał się z mile łechtającym policzki blaskiem słońca, wpadającym przez przysłonięte gustownymi firankami okna. Na zewnątrz Morris widział tęczę przesłaniającą niebo, a nad sobą bladą twarzyczkę zatroskanej dziewczynki, mogącej mieć jedenaście, może dwanaście lat.

– Na to wygląda – odezwał się ciepły, męski głos.

Morris zamrugał, spróbował przekręcić głowę. Bandaże pokrywające szyję i ramiona boleśnie ocierały się o świeże rany. Chciał coś powiedzieć, lecz słowa nie potrafiły przejść przez spierzchnięte usta i wyschnięte, zdarte od krzyku gardło. Widząc to, dziewczynka sięgnęła po szklankę wody stojącą na szafce przy łóżku.

– Zwilż mu tylko usta – polecił męski głos. – Jeżeli będzie pił zbyt łapczywie, może się zachłysnąć.

Dziewczynka postąpiła, jak ją poinstruowano. Wyciągnęła białą chusteczkę, umoczyła koniuszek w szklance i wycisnęła krople na wargi Morrisa.

Woda smakowała wybornie. Czysta, pozbawiona woni i mułu, jej chłód cudownie orzeźwiał, przynosząc niewysłowioną wręcz ulgę. Spływała z ust na

odrętwiały język, a dalej niknęła w gardle, wchłaniana przez każdą łaknącą wilgoci komórkę.

– Bardzo dobrze – pochwalił męski głos. – A teraz dajmy mu odpocząć. Wiele przeszedł.

Jak za dotknięciem magicznej różdżki Morris ponownie zapadł w kojący sen. Tęczowe niebo za oknem, dziewczynka i towarzyszący jej mężczyzna zniknęli. Ostatnią myślą Morrisa było pytanie, czy umarł i przez pomyłkę trafił do nieba?

Chyba miał zwidy. Musiał mieć zwidy, bo przecież ostatnie, co pamiętał, to macki oplatające się wokół jego ciała i brutalnie wciągające go do ciemnego tunelu wydrążonego pod ziemią. Pamiętał, że krwawił, że wszystko go bolało. Dusił się, a potem nie było już nic. Podświadomie przypuszczał, że się już nie obudzi lub w najlepszym wypadku odzyska przytomność w leżu bestii w trakcie posiłku, podczas którego on miał stanowić główne danie. W chwilach słabości, kiedy umysł pograżał się w najgłębszym śnie, dręczyły go koszmary o ogromnym kłębowisku potworów. Monstra wiły się i przelewały niczym węże, drążyły tunele i mieszały się ze sobą w ogromnej jaskini.

Tymczasem wszystko wskazywało, że naprawdę leży na łóżku w słonecznym pokoju. Tym razem był sam. Przez okno nadal wpadało to dziwne, acz przyjemne światło. Na niebie wciąż tańczyły tęczowe kolory. W pomieszczeniu pachniało świeżą pościelą, kwiatami, a od korytarza czuć było owsianką na mleku z odrobiną miodu i cynamonu.

Ramiona nie bolały już tak bardzo, a gardło zdawało się zdecydowanie mniej suche. Morris czuł się na tyle dobrze, że spróbował się podnieść i sięgnąć po wodę. Sztuka ta okazała się możliwa i kosztowała go o wiele mniej bólu niż się początkowo spodziewał. Z radością opróżnił całą szklankę krystalicznie czystej wody, po czym nalał sobie jeszcze jedną, korzystając z dzbanka stojącego obok na szafce.

Uczucie błogości i rojenia, że jest w lepszym świecie, zdecydowanie przekreślała niewygoda opatrunków. Miał wrażenie, że bandaże zbyt mocno opinają się na ciele. Szukał miejsca wiązania, próbując je poluzować, lecz zaprzestał prób, gdy wyczuł pod palcami jakieś dziwne wypukłości. Ogarnęło go uczucie niewyjaśnionego niepokoju.

Miał na sobie czystą piżamę w paski. Opatrunki zostały zastosowane bardzo starannie, lecz nie dawał mu spokoju fakt, że coś pod nimi było. Dotknął podłużnych zgrubień, rozlewających się siatką od szyi, przez bark i po całym ramieniu. Były twarde, cienkie niczym wystające żyły i, co ciekawe, miał w nich czucie.

Czysty, zadbany pokój, piżama, słowem, wszystko, co otaczało Morrisa, okazało się dla niego tak abstrakcyjne, że nie potrafił dłużej niepokoić się sposobem, w jaki goiły mu się rany. Nawet tym, że zdawało mu się, iż lekko pulsowały.

Zaczął główkować, czy aby nie trafił znowu do Krainy Snów, lecz tam nigdy nie spał, a co więcej, nie czuł zapachów. A przecież miejsce, w którym się obecnie znajdował, tętniło wręcz życiem i cudownymi woniami. Zdawało się bardziej realnie niż świat, który znał. Wolał to miejsce od znoju pustyni, brudnych pokoików gdzieś w saloonach lub podłych motelach, które stanowiły jego schronienie od momentu ucieczki z domu. Tak niedawnej, a jakby oddalonej o setki lat.

Odślonił kołdrę i zwiesił nogi z łóżka. Na podłodze czekały na niego równo ustawione kapcie. Wsunął je na stopy, rejestrując, że jest czysty. Nigdy chyba nie był tak bardzo czysty i świeży. Nawet brodę miał przystrzyżoną.

Wstał z łóżka i, popijając wodę, podszedł do okna. Po drodze przyjrzał się schludnie wytapetowanym ścianom, gustownemu umeblowaniu najpewniej pokoju gościnnego. W misce stojącej na stoliku zobaczył tę samą wodę, tak cudownie przejrzystą.

Widok za oknem zaparł mu dech w piersiach, nie ze względu na niezwykle barwy czy sielski wręcz klimat. Morris znał to miejsce. Było diametralnie różne od tego, co zapamiętał, lecz nie ulegało wszelkim wątpliwościom, że zapisało się ono w jego pamięci. W dali widział znajome linie wzgórz. Bez wszelkich wątpliwości mógł stwierdzić, iż znajduje się w posiadłości pułkownika Wilsona.

Wychylił się, by obejrzeć fasadę budynku, jaką mógł zobaczyć z okna na pierwszym piętrze. Zaklął pod nosem. To był ten sam dom, w którym spędził trudną do określenia ilość czasu w Krainie Snów, lecz, w odróżnieniu od tamtego, ten tu był czysty i zadbany. Zamiast czaszek dookoła widać było tylko trawę, drzewa i kwiaty, a po mieniącym się kolorami tęczy niebie latały ptaki. Na zielonym polu pasły się krowy, a po klepisku samopas biegały kury. W ogrodzie warzywnym, tuż obok studni, rosły dorodne warzywa.

– Pięknie, prawda?

Morris odwrócił się zaskoczony. W drzwiach stała ta sama dziewczynka, którą zobaczył, przebudziwszy się po raz pierwszy. Ubrana była w białą sukienkę przepasaną błękitną wstążką. Taka sama wstążka zdobiła jej gęste, jasne włosy.

– Nigdy jeszcze nie widziałem tyle zieleni – przyznał, uśmiechając się z wdzięcznością, ale i obawą.

– Tata mówi, że nie ma drugiego takiego miejsca – dziewczynka weszła do środka. Niosła na tacy miskę z ciepłą owsianką. Postawiła ją na stoliku pod oknem i zaprosiła Morrisa, aby zjadł.

Wciąż nieco podejrzliwy usiadł i powąchał zawartość miseczki. Zapach mleka i masła oraz cynamonu sprawił, że zaczął się ślinić. Pierwszy nieśmiały kęs pozbawił go wszelkich obaw i zahamowań. To była najlepsza owsianka, jaką jadł w życiu!

– Pyszne.

– Dziękuję – dziewczynka podeszła do okna. – Tata ją przyrządził. Na śniadanie przygotowuje owsiankę w każdy wtorek, piątek i sobotę. W pozostałe dni jemy tosty z miodem z naszej pasieki.

– Macie tu pasiekę?

– Tak, za domem, ale mi nie wolno tam chodzić. Podobno mam alergię i uządlenie mogłoby mi zrobić krzywdę.

Morris uniósł wzrok znad miski. Nie pamiętał takiej osoby z Krainy Snów. Snuły się tam różne cienie, całe mnóstwo cieni, lecz nie było tam nikogo podobnego. Dziewczynka była niska, dość wątła i blada. W jej oczach i uśmiechu tkwiło mnóstwo ciepła, a słowa zdradzały nie tylko inteligencję i wrażliwość, lecz także odczytanie.

– Jak długo spałem?

– Myślę, że pięć, może sześć dni. Trudno powiedzieć.

– Czemu?

Dziewczynka wychyliła się przez okno i uśmiechnęła, witając na twarzy ciepłe promienie słońca. Przez chwilę jej bladość zniknęła, a zastąpiła ją żywotność, jaką może tylko mieć tak młoda osoba stojąca u progu dorosłości.

– Bo tak naprawdę nie mamy tu dni – wyjaśniła. – To znaczy, cały czas jest dzień. Na noc zamykamy tylko okiennice, ale na zewnątrz i tak jest jasno. Stąd wiem, że minęło kilka dni, bo spałam pięć albo sześć razy, od kiedy tata cię znalazł.

Morris o mało co nie udławił się owsianką. Jeżeli istotnie minęło kilka dni, to mogłoby znaczyć, że ich misja zakończyła się fiaskiem. Czy tylko on przeżył? Czy klątwa Clive'a Phillipsa zabiła wszystkich oprócz niego?

– Panienska wybaczy, ale chyba nie rozumiem.

– Mam na imię Anne – oznajmiła z dygnięciem. – Anne Campbell.

Nagle Morrisowi przeszła ochota na jedzenie. Potwierdziły się bowiem jego najgorsze przypuszczenia. Oto znalazł się u celu podróży, lecz wiele później, niż by mu się zdawało.

– A panienska tata to...

Zapytał, ale znał przecież odpowiedź.

– Wesley Campbell – oświadczyła z dumą.

Morris poczuł, jakby podłoga osunęła mu się spod nóg. Pokój naraz zrobił się nadzwyczaj ciasny, a cudownie czyste powietrze niezwykle ciężkie. Nawet pyszna owsianka zaczęła podejrzanie smakować, jakby spodziewał się w niej co najmniej trucizny. Ale trucizny raczej tam nie było.

– Ja jestem Morris – wydukał, nie wiedząc co powiedzieć. – Morris M. Swithen.

– Od czego jest M?

– Od Muriel.

– Zabawne, brzmi jak imię dziewczyny.

Morris zamrugał, zbity z pantałyku. Anne zdawała się tak naturalna, tak szczerą w swoim rozbawieniu, że trudno było posądzać ją o bycie córką złoczyńcy winnego dziesiątek, jeśli nie setek śmierci.

– To podobno imię anioła – westchnął, szukając w głowie pomysłów na przeżycie.

Wszelkie możliwe scenariusze, jakie sobie układał, a do jakich przygotowywał go Clive, legły nagle w gruzach. Nie wiedział, czy uciekać, szukać Campbella, dokończyć owsiankę... Nic nie miało już sensu.

Gdzieś z głębi domu dobiegł wyraźny dźwięk dzwonka. Słyszając go, Anne zerwała się i pospieszyła do wyjścia.

– Co się stało? – nie do końca przytomnie zapytał Morris.

– To sygnał dla mnie. Zaraz zaczynają się lekcje.

– Lekcje?

– Tak. Tata uczy mnie rachunków, geometrii, historii i geografii. Niedawno też zaczęliśmy łacinę. Podobno dobrze mi idzie.

Anne zostawiła osłupiałego Morrisa i z błyskiem w oku pobiegła korytarzem. Jeżeli dom był podobny do tego w Krainie Snów, to Morris doskonale wiedział, gdzie odbywały się zajęcia. Tak jak i pokój gościnny, biblioteka również znajdowała się na pierwszym piętrze.

Ogarniała go rozpacz na myśl, że wysiłki Martina, Cherie i porucznika Bradleya poszły na marne. Trafiający do brzucha posiłek wybornie smakował poczuciem winy. Co właściwie się stało? Osłabiony chorobą Clive zapewne poległ gdzieś po drodze. Ba, mógł nawet nie opuścić domu upiornego farmera. Reszta zaś z pewnością rozbiła się o Crucible jak woda o skały.



Pięć dni, może sześć. To zbyt długo, by czekać na znaki. W tym czasie można by przybyć do Crucible, wrócić do Prosperity i przyjechać tu ponownie. Wszystko wskazywało, że towarzysze Morrisa polegli w walce z oddziałem likwidacyjnym lub z samym Campbellem. On zaś został tu sam, nawet nie wiedząc, jak z podziemnego tunelu trafił do łóżka w pokoju gościnnym człowieka, którego mieli przecież zabić.

Jego jedyną szansą była ucieczka. Musiał jak najszybciej uchodzić, póki miał jeszcze siły. Nie interesowało go, dlaczego Campbell opatrzył mu rany ani jak pokonał bezkształtne monstrum, które go porwało. Całkiem słuszne zdawało się przypuszczenie, że miał je we władzy, ale to niewiele już znaczyło, a nawet czyniło sprawę jeszcze gorszą.

Ubranie znalazł w szafce obok łóżka. O dziwo czyste, pocerowane i pachnące. Zakładając je, zwracał uwagę, żeby nie poruszyć bandaży. Dziwne zgrubienia nadal go niepokoiły, ale uznał, że zajmie się nimi, jak tylko będzie bezpieczny.

Nigdzie nie znalazł swojej broni. Pamiętał, że miał przy sobie colta i rewolwer Clive'a. Zapewne odebrano mu je łącznie z pasem. Musiał przyznać, że na miejscu Campbella sam by tak postąpił.

O dziwo, drzwi do pokoju gościnnego nie zostały zamknięte. Anne mogła przeoczyć ten fakt, gdy spieszyła się na lekcje. Postanowił to wykorzystać i przemknął długim korytarzem w kierunku schodów.

Miał już zejść na dół, kiedy usłyszał rozmowę dochodzącą zza uchylonych drzwi biblioteki. Mężczyzna, zapewne sam Wes Campbell, cierpliwie deklamował sentencję po łacinie:

– *Adulescentia est tempus discendi, sed nulla aetas sera est ad discendum* – Campbell wyrecytował bez zająknięcia. – A teraz twoja kolej.

Anne starała się powtórzyć słowa, robiąc jak najmniej błędów. Poprawiona spróbowała ponownie, aż w końcu jej się udało.

- Dobrze – pochwalił Campbell. – Co to znaczy?
- Młodość jest czasem uczenia się, lecz żaden wiek nie jest na to za późny.
- Dobrze, ale ja nie prosiłem o tłumaczenie, tylko o wytłumaczenie.

Dziewczyna odchrząknęła, po czym udzieliła odpowiedzi głosem szkolnej prymuski:

- Chodzi o to, że nawet starego psa można nauczyć nowych sztuczek.

Campbell zaśmiał się i pochwalił córkę:

- Trafiłaś w samo sedno.

– Tato, ten chłopak, Morris – dziewczynka napomknęła nieśmiało. – On chyba się czegoś boi. Dziwnie patrzył, jak się przedstawiłam.

– Naprawdę? No cóż, porozmawiam z nim i rozwieję jego wątpliwości. Myślę, że wiele przeszedł, a przez to ma prawo się martwić. Ważne, żeby zrozumiał, że jest już bezpieczny.

Morris wzdrygnął się na wzmiankę o sobie. Mimo wszystko zakradł się do uchylonych drzwi i zerknął do środka.

Biblioteka w niczym nie przypominała bezkresnej przestrzeni wypełnionej wiedzą. Okazała się ledwie sporym pokojem z kilkoma półkami pełnymi książek. Pod jedną ze ścian ustawiono fotel i stolik, przy których pracowała Anne. Jej ojciec stał tyłem do wejścia z dłońmi splecionymi za plecami. Miał na sobie gustowne spodnie w prążki, białą koszulę i bordową kamizelkę w kwiaty. Przyprószone siwizną wianuszek włosów zdradzał jego raczej słuszny wiek, choć wyprostowana postawa i spracowane dłonie świadczyły, że nie brakło mu zdrowia ani chęci do pracy fizycznej.

– Ach, pan Swithen – powiedział, nawet się nie odwracając.

Anne podniosła wzrok w kierunku drzwi i uśmiechnęła się znad tabliczki zapisanej notatkami. Pomachała Morrisowi, gestem zapraszając go do środka.

– Proszę się nie obawiać – powiedział Campbell. – Nie ugryzę pana.

Morrisowi zabrakło oddechu. Z jednej strony Campbell nie wydawał się wrogo nastawiony, nie miał nawet broni. Z drugiej, jeżeli był tak przebiegły i uzdolniony, jak opisywał Clive, zapewne nie potrzebował być uzbrojony, żeby zrobić komuś krzywdę.

Nie wiedział, co go skusiło. Może dlatego, że w pamięci wciąż miał czas spędzony w Krainie Snów na rozmowach z pułkownikiem Wilsonem, a może tak naprawdę nie czuł się zagrożony. Mogła to być też owa piekielnie pyszna owsianka. Przełknął ślinę i nieufnie, niczym spłoszony szczeniak, wszedł do biblioteki.

– Proszę bliżej – powiedział Campbell, nadal się nie odwracając.

Morris okrążył go, trzymając się tak daleko, jak tylko mógł. Patrzył to na Campbella, to na Anne. Początkowo twarz mężczyzny, poznaczona pierwszymi zmarszczkami, wydała mu się sroga, lecz ostatecznie uznał, że to bolesne doświadczenia odcisnęły na nim swe piętno. W tym spokojnym obliczu nie pasował mu jakiś detal. Nie były to orli nos czy stanowcze brwi instruktora musztry. Gdy zrozumiał, przycisnął dłonie do ust, żeby nie jęknąć. Campbell był niewidomy.

W miejscu, gdzie powinny być oczy, pozostały tylko blizny, wyglądające, jakby ktoś zakleił oczodoły niedbale pogniecioną gliną. Blizny spływały na policzki i choć Campbell nie obracał się, Morris i tak miał wrażenie, że jest obserwowany.

– Nie tego się pan spodziewał, panie Swithen?

Morris wziął głęboki, urywany wdech.

– Nie... nie wiem, czego się spodziewałem – przyznał z rozbijającą szczerością.

Rozglądał się za jakąś bronią, czymś, co posłużyłoby mu do ewentualnego ratowania życia. Może jakiś nóż do listów lub ciężki posążek.

– Proszę się nie obawiać, w tym domu jest pan całkowicie bezpieczny. Jeżeli pan sobie życzy, zaręczam, że odpowiem na każde pana pytanie.

Morris zamarł. Nie wyczuwał fałszu w słowach Campbella. Mówiło mu to nie tylko przecucie, ale i nadnaturalne zmysły, które trenował od jakiegoś czasu. Jeszcze w pokoju próbował wczuć się w otaczający go potencjał i omal nie przyplacił tego utratą przytomności. Owa mistyczna energia była tu wszędzie, jakby w niej pływał. Wibrowała, przelewała się, krążyła niczym w rurkach i retortach jakiegoś mechanizmu, którego poziom skomplikowania umykał zmysłom i rozumowi.

– Gdzie jest moja broń? – Pytanie samo wypadło mu z ust.

Campbell przekręcił głowę z ciekawością, a w jego głosie zabrzmiała nutka wyrzutu.

– Może pan zapytać o wszystko, a pyta o broń. Zrzucam to na karb zbyt długiego przebywania w towarzystwie Clive'a Phillipsa. Przyznaję, spodziewałem się po panu nieco więcej, panie Swithen. Ale oczywiście odpowiem panu. W tym domu nie ma żadnej broni. Pański pas wraz z rewolwerami znajdzie pan bezpiecznie zamknięty w skrzyni w piwnicy. Pańskie rzeczy nie zostały panu odebrane, lecz są bezpiecznie przechowywane i może je pan zabrać, jak tylko uzna pan, że czas się z nami pożegnać.

Ponownie stanowczy, acz spokojny ton Campbella zbił Morrisa z pantafyku. Oczywiście, że zaraz pójdzie odzyskać swoje rzeczy, lecz najpierw dowie się czegoś jeszcze.

– Co to za miejsce?

– Mój dom, rzecz jasna, a właściwie mojego przyjaciela. Biorąc pod uwagę, co pan uczynił, bardziej już mój niż jego. Ale to tylko szczegół techniczny.

Morris zmieszał się. Wzmianka o Wilsonie wywołała w nim poruszenie, sprawiające, że niemal przeprosił za to, co zrobił. Istotnie, był świadkiem jego śmierci aż dwa razy z domniemanych trzech. Co ciekawe, ciągle męczyło go wrażenie, że to nie koniec historii pułkownika.

– Nie zrozumiał mnie pan – Morris spróbował chwycić się poprzedniej myśli. – To miejsce, ten dom. One nie są naturalne.

Kącik ust Campbella drgnął w lekkim uśmiechu. Mężczyzna odwrócił się do córki i nachylił w jej stronę.

– Czy będziesz tak uprzejma i przygotujesz dla nas herbatę i ciasteczka?

Dziewczynka przytaknęła, odłożyła przybory i wyszła, nucąc pod nosem jedynie sobie znaną melodię. Tymczasem Campbell zaprosił Morrisa, aby podążył za nim i podszedł do okna. Poruszał się ostrożnie, stale wyprostowany, lecz robił to na tyle pewnie, że nadzwyczaj łatwo było zapomnieć, iż nie ma on oczu.

– Zapewne zdążył pan już podziwiać widoki – skonstatował. – Proszę opisać, co pan widzi.

Morris stanął w pewnym oddaleniu od górującego nad nim Campbella. Wiedział, co jest za oknem, ale niepewnie wyjrzał.

– Zielone pola, tęczne niebo.

Słyszając lakoniczny opis, Campbell zareagował prychnięciem.

– Nie wygląda to naturalnie, prawda?

– Tak. Miałem wrażenie, że to sen.

– Bo poniekąd jest snem – oznajmił Campbell. – Jesteśmy przecież pośrodku pustyni, gdzie niewiele roślin może tak rozkwitnąć, jak pan tu widzi.

– To magia. Sprawia, że niebo mieni się kolorami tęczy.

– Oczywiście. A teraz proszę spojrzeć w stronę wzgórz.

Morris zrobił, o co go proszono. Istotnie widział w dali wzgórze, zupełnie jak w zapamiętanym śnie. Gdzieś tam nawet majaczyły ruiny Crucible. Rzecz w tym, że tęczne kolory spływały również ku ziemi, zupełnie jak wciąż mokra farba rozlewająca się po płótnie lub bańce mydlanej.

– Dobrze pan zgaduje – Campbell uśmiechnął się, nie ukrywając, że słuchał myśli Morrisa. – Jesteśmy w czymś w rodzaju bańki. Owe kolory to efekt załamania światła. Widzi pan, nawet tutaj czasami pada deszcz. Woda, tak samo jak i promienie słoneczne, zatrzymuje się na krawędzi stworzonej przez mnie sfery. Woda przenika przez sferę dłużej niż światło. W ten sposób uzyskujemy efekt tęczy...

– ...i zawsze jest dzień – dokończył Morris. – Czas płynie tu wolniej.

– Nie – poprawił Campbell. – Widzi pan, kompresja czasu to tylko początek możliwości magii. Rzekłbym, że kuglarska sztuczka, równie toporna, co kafar używany do wbicia niewielkiego gwoźdźca. Magia zaś to subtelna sztuka. Kiedyś, tak jak pan, trafiłem do Krainy Snów. Czas tam płynie zupełnie inaczej niż w świecie,

który znamy. Inaczej w tym wypadku oznacza ani wolniej, ani szybciej. Gdybym sprawił, że tu w środku sfery czas płynie wolniej, kupiłbym sobie jego odrobinę, ale tak naprawdę moi wrogowie mogliby działać szybciej.

– Więc ukrywa pan się tutaj.

– Nie. Nic z tych rzeczy.

Morris pokręcił głową. Nie pojmował istoty owego wykładu, ale też nie rozumiał, do czego ma prowadzić ta rozmowa.

– Clive mówił, że złamał pan dane mu słowo i doprowadził do śmierci prezydenta Lincolna.

Campbell zamyślił się. Spuścił głowę i przez chwilę się nie odzywał. Morris poczuł nawet pokusę, aby spróbować poczuć jego myśli, ale przepływ potencjału w tym miejscu zagłuszał wszystko, zupełnie jak wichur szalejący podczas burzy. Pozostała mu tylko obserwacja.

– Obawiam się, że to prawda – oznajmił w końcu Campbell. – Chcieliśmy zakończenia wojny, a propozycja Clive'a Phillipsa wydawała się nader interesująca. Nauczanie tajników magii na uniwersytetach – westchnął nostalgicznie. – Proszę sobie wyobrazić, jak dalece rozwinęłoby to ludzkość. Niestety to mrzonki. Wkrótce miałem to zrozumieć. Proszę wyobrazić sobie moje zdziwienie, kiedy do mych drzwi zapukał agent generała Granta. Razem z generałem Lee chcieli oni jeszcze mocniejszej Unii, w której północ i południe na zawsze zostałyby związane jako najpotężniejszy z narodów tego świata. Powszechny dostęp do tajników magii, owszem, rozwinąłby nas, ale też wszystkich innych, a nie na tym zależało ludziom pragnącym stworzyć imperium. Prezydent Lincoln był człowiekiem honoru, był gotowy przystać na prośbę Phillipsa, ale był osamotniony w tym dążeniu. Najbardziej wpływowi członkowie senatu nie mieli zamiaru się na to godzić. Zostałem zatem poproszony o doprowadzenie do jego śmierci. Było to proste, ponieważ czas Lincolna i tak dobiegał już końca. Ot, kilka splotów wydarzeń, manipulacja prawdopodobieństwem, wpływ na kilku szaleńców. Udało się niemal perfekcyjnie.

– Nie brzmi pan, jakby był z tego zadowolony.

– Bo nie jestem. Gdybym miał wybór, nigdy bym się nie zgodził. Ale ja go nie miałem. Otóż generałowie Grant i Lee ofiarowali mi coś, czego wbrew pozorom nie mogłem dostać w czasie wojny, choć właśnie po to brałem w niej udział. Ofiarowali mi wszystko, czego mógłbym zapragnąć, a wiedzieli, że jestem zdesperowany.

– Chodzi o pańską córkę?

Campbell zwrócił się w stronę Morrisa, a jego pozbawione oczu oblicze wyraziło uznanie.

– Zgadza się, panie Swithen. Anne cierpi na rzadką chorobę, która wyniszcza jej organizm. Przez pierwsze kilka lat jej życia lekarze załamywali tylko ręce, mówili, że nie ma dla niej ratunku. Powtarzali w kółko, że współczesna medycyna nie zna odpowiedniego lekarstwa. Niektórzy bredzili coś o modlitwie. Jedyne, co mogłem zrobić, to zamrozić ją w czasie, aby doczekała postępu nauki. Latami patrzyłem na nią niczym na królewnę zamkniętą w szklanej trumnie, a moje serce się łamało. Szukałem sposobu i w końcu go znalazłem. Brakowało mi tylko jednego składnika, a raczej ogromnych jego ilości.

– Potencjału.

– Tak jest. Potrzebowałem ogromnych ilości tak zwanego potencjału. Gdyby ograniczała mnie moralność, powiedziałbym, że musiałem dokonać masowego ludobójstwa. Ale magia sprawia, że z czasem człowiek zaczyna myśleć zupełnie inaczej. Ja zaś myślałem, że wojna przyniesie mi odpowiednie możliwości. Tak się nie stało. Problemem w tym wypadku okazały się technikalnia. Tymczasem w zamian za zabójstwo jednego człowieka zaoferowano mi możliwość pobrania potencjału z ogromnego obszaru, całego miasta wypełnionego ciężko pracującymi, choć zepsutymi ludźmi. Ofiarowano mi Crucible. Razem z moim przyjacielem, pułkownikiem Wilsonem, kupiliśmy tu ziemię wraz z lokalną kopalnią srebra. Postawiliśmy ten dom. Przez kilka lat poczyniliśmy przygotowania, aż w końcu mogłem rozpocząć swoje dzieło. Nie jestem dumny ze środków, ale cel, a raczej jego efekt, przeszedł wszelkie moje oczekiwania. Stworzyłem to miejsce, ową sferę, w której obecnie się znajdujemy. Jak już mówiłem, czas płynie tu inaczej niż na zewnątrz. Z jednej strony znacznie wolniej, a z drugiej, dla nas obecnych tutaj, zdaje się niemal zatrzymany. W pewnym stopniu razem z Anne jesteśmy tu nieśmiertelni. Możemy tu czekać na nieunikniony postęp medycyny. Można powiedzieć, że przenosimy się w czasie, mając go pod dostatkiem, by zacieśniać więzi. Uczę moją córkę, nadrabiam stracone chwile, kiedy spała, choć dla niej było to ledwie mrugnięcie oka.

Morris czuł, że zaczyna go boleć głowa. Słowa Campbella napawały go obrzydzeniem, a z drugiej strony – w jakiś sposób rozumiał jego motywy.

– Zabił pan setki ludzi – wysilił się na wyrzut.

– Zgadza się. Ale czym to się różni od decyzji polityków takich jak Lincoln, Grant czy Lee? Wysyłali obywatele do walki, podjudzali do wzajemnego mordowania się za

tak zwaną „sprawę”. Przyznaję, że zabrałem mieszkańcom Crucible kompletnie wszystko, lecz wcześniej ofiarowałem im kilka lat dostatniego życia pod okiem stworzonej przez nas kompanii. Jest pan młody, panie Swithen, o wiele młodszy, niż się wydaje, lecz widzę, że czeka pana długie, pełne przygód życie. Kiedyś być może doczeka się pan potomstwa i wtedy pan zrozumie, że nie ma nic ważniejszego niż życie dziecka.

Do biblioteki weszła Anne, niosąc na tacy filiżanki, dzbanek z herbatą i talerz z ciastkami. Uśmiechała się pełnią satysfakcji, gdyż najwyraźniej nieczęsto miewali tu gości.

Campbell nachylił się do Morrisa i szepnął mu jeszcze do ucha:

– Dla niej byłbym w stanie spalić cały świat. Proszę mi wierzyć, że pan dla swoich dzieci zrobiłby to samo.

– I dlatego pan ją wyprosił? Żeby nie słuchała, co trzeba było poświęcić dla jej dobra. Żeby nie zrozumiała, jakim jest pan potworem.

Anne ustawiła tacę na stoliku.

– Nieładnie to tak szeptać przy damie – zażartowała.

Campbell posłał jej ciepły uśmiech.

– Wybacz, moja droga. Tłumaczę właśnie panu Morrisowi, że oprócz wachlarza nauk, które uczynią z ciebie wykształconą kobietę, nauczę cię również tajników magii. Jestem przekonany, że kiedy osiągniesz odpowiedni poziom, zrozumiesz wszystko, co tutaj uczyniłem i dlaczego.

– Nie mogę się doczekać.

Pełne miłości światło w oczach dziewczynki wprawiało Morrisa w zakłopotanie. Serce mu się ścisnęło, kiedy widział relację tych dwojga, coś, czego on nigdy nie doświadczył ze strony własnych rodziców. Nawet matka, która przecież o niego dbała, stawiała przed nim pewną granicę, sprawiając, że jej miłość była cokolwiek wyblakła. Z niewiadomego powodu trzymała dystans, być może nie znając innego sposobu na wychowanie dziecka. Ojciec zaś był dla niego szorstki, obcy wręcz. Bracia traktowali go jak psa. Z trudem akceptował odkrycie, że imponowało mu takie oddanie dla potomstwa, jakie prezentował Campbell. Tyle ciepła, tyle poświęcenia.

– Zapraszam pana na herbatę – Campbell położył mu rękę na ramieniu i pozwolił poprowadzić się do stolika.

Usiedli razem. Anne nalęła herbaty i zaczęli rozmawiać jak starzy znajomi. Z początku Morris próbował zachowywać się kurtuazyjnie. Nie zauważył nawet, kiedy rozmowa zaczęła sprawiać mu przyjemność. Anne okazała się jeszcze miłsza,

a jej ojciec jeszcze cieplejszy. Pytał zatem, jak radzą sobie z krowami, jak utrzymują pasieki i skąd biorą owies. Nie spostrzegli się, jak na rozmowie minęło im popołudnie, a zegar w kącie wybił godzinę dwudziestą.

– Anne – Campbell zwrócił się do córki. – Chyba przeoczyliśmy kolację, a tu pora już spać.

– Nie jestem głodna – przyznała. – Najadłam się ciasteczkami.

– No tak. A pan, panie Swithen?

Morris musiał przyznać, że również nie czuł głodu. Nie czuł też znużenia. Po prawdzie to miał ochotę, by ta chwila trwała jeszcze trochę, by mógł doświadczać cudzej uprzejmości i szacunku. Znowu wyrzucił sobie, jak łatwo było mu zapomnieć o poczynaniach gospodarza.

– Mamy mnóstwo czasu – przypomniał Campbell. – A pan go potrzebuje, żeby wydobrzcć. Goście, którzy nas odwiedzają, nie stanowią odpowiedniego towarzystwa dla mojej córki i nie zwykli rozmawiać o rzeczach powszednich. Dlatego pana obecność tutaj jest dla nas jak zbawienie.

Chłopak przyjął miłe słowa, choć zaniepokoiła go konkluzja wynikająca z wypowiedzi Campbella. A zatem miewali gości, choć jeszcze nie wyjawiał, kim lub czym byli.

Anne wstała, zabrała zastawę i pożegnała się, życząc im miłych snów.

– Zawsze był pan niewidomy? – Morris zapytał, korzystając z faktu, że zostali sami.

– Nie. Stało się to wkrótce po stworzeniu sfery, w której się znajdujemy.

– Wypadek?

Campbell pokręcił smutno głową.

– Drogi Morrisie, jeżeli mogę się tak do ciebie zwracać, pora odpocząć. Pozwól, że odprowadzę cię do twojego pokoju.

I znowu Morris poczuł się nieswojo. Jakby z rozpędu, wiedziony dobrym nastrojem mijającego już dnia zapytał o coś, co nie było jego sprawą. Nie odzywał się już, obawiając się, by mocniej nie nadwyrężyć zaufania gospodarza.

Kiedy stanęli przed drzwiami do pokoju gościnnego, Campbell położył rękę na jego ramieniu.

– Najlepiej będzie, jak zasłonisz okna na czas snu. Zegar w korytarzu wybije północ, a później będzie bił o siódmej rano. Wtedy zwykle wstajemy i szykujemy się do porannych zajęć.



Morris przytaknął i choć miał świadomość, że rozmówca go nie widzi, wiedział, że tamten w jakiś sposób zauważył ten gest. Odwrócił się, otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Już miał zamykać, kiedy usłyszał zza drzwi cichy głos Campbella:

– Wzrok odjąłem sobie sam, chłopcze. Po tym, co zrobiłem mieszkańcom Crucible, nie byłem w stanie spojrzeć własnemu dziecku w oczy. Nie miałem serca podziwiać tego miejsca ani cieszyć się jego pięknem. Ono istnieje tylko dla niej. Dla siebie zarezerwowałem wieczne potępienie i życie w ciemności.

\* \* \*

Sen nie przychodził i nawet zamknięte okiennice czy zasłony nie pomagały. Morrisa ciągle męczyła świadomość, że na zewnątrz jest jasno. A przecież mogła nastać już noc, tyle że tutaj nie sposób było to odczuć. Ile dni zamarło na krawędzi sfery? Ile ulewnych deszczy przenikało właśnie przez barierę czasu, atakowanych promieniami słońca, tworzącymi piękne refleksy kolorowego światła?

Campbell sam odjął sobie wzrok. Morris mógł tylko przypuszczać, że mężczyzna wypalił sobie oczy rozgrzanym żelazem. Niemal czuł jego ból i rozpacz. Mówił o wyzbyciu się moralności, ale jaki człowiek byłby w stanie zabić setki ludzi i nie mrugnąć nawet okiem? A zatem potwór miał sumienie. Nic dziwnego, że odpowiednik tego miejsca w Krainie Snów był usiany czaszkami. Wszystko to musiało być wizją, która żyła w umyśle Campbella – zieleń i tęcza stanowiły jedynie fasadę, jako spoiwo wykorzystano niezliczone ludzkie życia.

Zgrubienia pod bandażami zaczęły pulsować, przypominając Morrisowi, że miał sprawdzić, co się stało z jego ranami. Te zaś swędziały, zupełnie jakby zagnieździło się w nich stado robaków. Nie bolały, lecz irytowały, niemal poruszając się, wijąc pod skórą.

Kręcił się w łóżku, kotłował w pościeli, męcząc się niemiłosiernie. Kiedy usłyszał z korytarza bicie zegara wyznaczające północ, uznał, że prawdopodobnie nie zaśnie już tej „nocy”. W głowie huczały mu wiry potencjału, męczyły go wizje wypalania sobie oczu i przypuszczenia dotyczące losu członków misji, której był przecież członkiem.

– Żesz do jasnej cholery – syknął, wstając z łóżka.

Uznał, że wszystko będzie lepsze niż te męczarnie. Na powrót się ubrał, po czym tak cicho, jak tylko mógł, wyszedł z pokoju.

Dom był naprawdę duży. Pokoje Campbella i Anne zapewne znajdowały się na innym piętrze, a to dawało mu wszelkie możliwości swobodnej eksploracji tego

miejsca. W Krainie Snów toczyło się tu dziwne, nieme życie cieni snujących się po pokojach i korytarzach. Tymczasem w tej dziwnej rzeczywistości Campbell i Anne byli najprawdopodobniej jedynymi mieszkańcami. Nigdzie nie znalazł śladu pani Campbell, a domownicy nie wspomnieli o niej ani razu.

Na parterze znajdowały się kuchnia, jadalnia i kilka innych pustych pomieszczeń. Morris nie znalazł tam absolutnie nic godnego uwagi, co wykraczałoby poza schemat tego, co wygodne i gustowne, więc postanowił wyjść na zewnątrz, odetchnąć świeżym powietrzem.

Krótki spacer po okolicy zachwyił go jeszcze bardziej niż zwiedzanie wnętrza domu. Z bliska trawa wydawała się ni zwykle gęsta i zielona, a niebo oszałamiało wręcz kolorami. Podeszedł do zagrody z bydłem i po raz pierwszy poczuł, że coś jest tu nie tak. Zwierzęta były przykute do pali wbitych w ziemię, a łańcuchów wystarczyło im, by odejść tylko kilka kroków, z tym, że nie dane im było się do siebie zbliżyć. Co ciekawe, trawa, którą jadły, niemal natychmiast odrastała, a wydalane fekalia wnikały w ziemię.

Żyjąc na ranchu Morris obserwował życie trzody, a także jej śmierć. Krowy, kury, świnię – hodowano je dla mleka, jajek, pożywienia. Eksploatowano do momentu, kiedy nie padły same lub nie przyszedł ich czas na ubój. Nigdy jakoś specjalnie nie przejmował się ich losem, a jednak tych tutaj pożałował. Były tu uwięzione tak samo jak domownicy. Na pozór szczęśliwe, lecz uwiązane w miejscu, zamknięte w złotej klatce.

Wiedziony ciekawością postanowił poszukać pasiek, o których wspomniała Anne. Znalazł je na tyłach domu. Ustawione były w rzędzie, a dookoła aż roiło się od owadów. Roztropnie nie zbliżył się do nich, doceniając determinację Campbella, by pozyskiwać miód dla córki. Bzyczenie pszczół dało się słyszeć już z większej odległości. Było w nim coś niepokojącego, jakaś groźba, jakby owady stale żyły w stanie pogotowia, jakby non stop coś je alarmowało.

Wracając do domu, Morris zwrócił uwagę na okna piwniczne. Wszystkie co do jednego były szczelnie zasłonięte deskami. W tej krainie sielskości taki zabieg wydawał się co najmniej podejrzany. Chłopak przypomniał sobie słowa gospodarza, że w tym domu nie nosi się broni, a jego rewolwery zamknięte są w skrzyni znajdującej się w piwnicy. Uznał, że wkrótce wystawi prawdziwość słów Campbella na próbę.

\* \* \*

Zegar wybił siódmą rano, budząc Morrisa z niespokojnego snu. Chłopak otworzył ciężkie powieki, stąpając po cienkiej linii pomiędzy świadomością a pokusą złapania jeszcze chwili odpoczynku. W ciągu tych kilku godzin dręczyły go koszmary, w których widział Cherie, Martina i porucznika Bradleya rozrywanych na kawałki przez dzikie bestie. Śnił mu się też Clive uwięziony w labiryncie, z którego jedyne wyjście prowadziło wprost do piekła, a jego tropem podążały bezimienne potwory. W końcu śniło mu się kłębowisko węży zgromadzonych w obszernej komnacie gdzieś pod ziemią. Oplatały go, lecz to nie były węże, tylko macki bezkształtnych koszmarów sprowadzonych z odległego świata rządzonego strachem i szaleństwem. Gdzieś pośród majaków głos pułkownika Wilsona tłumaczył jakieś zależności, lecz jego słowa umykały zrozumieniu.

Zmęczenie, które go ogarnęło po przebudzeniu, okazało się zdecydowanie większe niż w momencie przyłożenia głowy do poduszki. Może tak właśnie wyglądały skutki długich wędrówek po domu i okolicy w czasie, kiedy powinien spać. A może znowu trafił do Krainy Snów, gdzie doświadczał wydarzeń stanowiących odbicie rzeczywistości? Nie wiedział tego, lecz nie miał też siły, by zbyt długo rozważać swój stan.

Zamknął oczy, poprawił się w pościeli i spróbował złapać jeszcze chwilę drzemki. Choć serce go bolało na myśl o poległych towarzyszach, nie potrafił odmówić sobie odrobiny wygody w tym trudnym czasie. Nigdy nie spał ani w takim łóżku, ani w takiej pościeli. Przyznał sam przed sobą, że do dobrego łatwo się przyzwyczaić.

Obudził go dźwięk dzwonka dobiegający gdzieś z dołu. Postanowił go zignorować, lecz wezwanie powtórzyło się jeszcze kilka razy. W końcu dotarło do niego, że zasnął na śniadanie. Czym prędzej się ubrał, twarz przemył świeżą wodą i pospieszył do jadalni. Zastał tam Anne sprząającą ze stołu. Zostawiła dla niego talerz wraz z zimnymi już tostami, masłem i miodem.

– Przepraszam – wysapał. – Chyba zasnęłam.

– Nic się nie stało. Tata mówi, że to całkiem normalne. Nie jesteś przyzwyczajony do spania za dnia. Jeżeli postanowisz przedłużyć swoją gościnę, z pewnością się do tego przyzwyczaisz.

Morris usiadł przy stole i nieśmiało zaczął smarować tosty masłem. Gardło mu się ścisnęło, a jakaś część świadomości kazała uciekać czym prędzej, by sprawdzić, czy ktokolwiek z ich wyprawy przeżył.

– Nie wiem, czy powinienem nadużywać waszej gościnności.

– Ależ skąd! – Anne obdarzyła go zdumionym spojrzeniem. – Od bardzo dawna nie było tu nikogo takiego jak ty. Ludzie, którzy przyjeżdżają do taty, są małomówni i raczej stronią ode mnie.

– Co to za ludzie? – Morris zainteresował się, smakując cudownie słodki miód.

– Uczniowie taty.

Chłopak zamarł. Kęs tosta zatrzymał się w jego gardle, wywołując atak kaszlu. Przed zadławieniem uratowała go szklanka mleka. A zatem Wilson nie był jedynym uczniem Campbella. To objawienie pociągnęło za sobą kolejną implikację – czas w sferze działał inaczej, a potencjału było tu pod dostatkiem. Dawało to niemal nieograniczone możliwości szkolenia kolejnych adeptów.

– Dlaczego z tobą nie rozmawiają? – zapytał, odzyskawszy dech.

Anne dołała mu mleka, po czym usiadła obok. Dotarło do niego, że był najmłodszym z braci na ranczu, a przez to zawsze marzył o młodszej siostrze. Gdyby taką miał, chciałby, żeby była podobna do Anne, niewinna, mądra i uśmiechnięta niezależnie od przeciwności losu.

– To wojskowi – odparła. – Kłaniają się, mówią do mnie „panienko” i są tacy, no wiesz, oficjalni. Po prawdzie, to przyznam, że są trochę tacy straszni. Tylko wujek Howard był miły. Przywoził mi prezenty i opowiadał różne historie.

Coś poruszyło się w Morrisie. Anne zapewne mówiła o pułkowniku Howardzie Wilsonie, którego Campbell nazywał przyjacielem. Mówiła o człowieku, który z zimną krwią kazał zamordować matkę dwójki dzieci, a to było tylko jedno z wielu okrucieństw, których się dopuścił. Morris spędził z Wilsonem sporo czasu w Krainie Snów i chłonał wiedzę przekazywaną przez niego, lecz nigdy do końca mu nie zaufał. Łączyła ich dziwna więź, lecz chłopak przyjmował nauki z nadzieją, że kiedyś wykorzysta je do zgładzenia Wilsona. Indiańskie bóstwo wyręczyło go w tym przyrzeczeniu. Ale czy na pewno? Czemu nadal miał przeczucie, jakby Howard Wilson czał się gdzieś w pobliżu?

– Widziałaś, jak praktykują magię?

– Nie – odparła, wzruszając chudymi ramionami. – Chodzili za dom, w okolice pasiek, albo do pokoi w piwnicach. Raz tylko widziałam, jak poszli razem spać, ale nic wtedy nie robili.

– Jak to, razem poszli spać? – zdziwił się Morris.

– Ano, kiedyś zobaczyłam, jak tata i dwóch jego uczniów siedzieli w bibliotece. Tata podał im taki napar ziołowy i zasnęli. O tak, na siedząco – dziewczynka

zamknęła oczy, przekrzywiła głowę i w żartobliwy sposób wystawiła język. – Leżeli nieruchomo z pół dnia! A potem po prostu wstali i poszli do swoich pokoi.

Morris pokiwał głową. Skończył już śniadanie i zaczął składać naczynia, żeby pomóc Anne w sprzątanii. Domyślał się, że Campbell szkolił swoich uczniów nie tylko w sztuce manipulowania potencjałem, ale zabierał ich do Krainy Snów. Zaprażył dowiedzieć się, czego tam szukali, co musieli zobaczyć i co robili.

\* \* \*

– Ma pan uczniów – skonstatował Morris.

Próbował wtrącić owo stwierdzenie mimochodem, lecz wyszło to nieco wymuszenie. Pomagał Campbellowi w noszeniu baniek z mlekiem. Dojenie krów szło Anne całkiem szybko i sprawnie, więc musieli się uwijać. Szli właśnie do domu, żeby przelać mleko do beczki.

– Owszem.

– No, ale mówił pan, że generałowie nie zgodzili się na nauczanie.

– Nie zgodzili się, żeby nauczać magii na uniwersytetach. Nie chcieli, aby była to wiedza powszechna ani nawet elitarna. Tajna, czy też tajemna, będzie chyba najlepszym określeniem. Widzisz, chłopcze, od zawsze ludzie stojący u władzy musieli liczyć się z jedną instytucją, która od setek lat włada ludzkimi umysłami przez pryzmat wpajanych im zasad co do tego, na czym stoi ten świat. Dodam, że tylko częściowo są prawdziwe.

– Mówi pan o Kościele. Clive też o tym wspominał. Twierdzi, że jest niewierzący, bo Kościół mami ludzi, wyplenił magię i jedyne, co robi, to chce ich kontrolować.

Campbell sięgnął po kubek i nabrał nieco świeżego mleka z beczki. Podał je Morrisowi, po czym napełnił drugi i wypił duszkiem. Kolorowe promienie słońca paliły tego dnia szczególnie mocno, a świeże mleko orzeźwiało jeszcze lepiej niż krystalicznie czysta woda czerpana ze studni.

– Zgadza się, choć uważam, że ludzie potrzebują w coś wierzyć. Wiedza jest dobra dla wybranej grupy, która ma mądrość pozwalającą im podejmować odpowiedzialne decyzje. Wiara napędza przede wszystkim pospólstwo. Clive Phillips zapewne wie co nieco na ten temat, w końcu wykładał antropologię. Każda społeczność, każdy lud, lub niemal każdy, miał lub ma swoje wierzenia. Ludzie przez pryzmat wierzeń opisują świat, próbują go zrozumieć. Dlaczego wschodzi słońce, co się z nami stanie po śmierci albo czym jest przeznaczenie. Dla wielu to, co nazywamy magią, może być cudami, dziełem bogów lub demonów. Kiedy obrać wiarę ze

złudzeń, pozostaje sama esencja, której sednem jest manipulacja siłami takimi jak potencjał.

– Czyli sugeruje pan, że księża też mogą czarować?

Campbell roześmiał się serdecznie, niemal opluwając się mlekiem.

– Absolutnie nie. Kościół bardzo zazdrośnie strzeże swoich tajemnic i tylko nieliczni jego pasterze mają prawdziwą moc, najczęściej nieświadomioną. Kościołowi od zawsze zależało, żeby ludzie zapomnieli o magii, o dawnych bóstwach i wierzeniach. Jak sądzisz, kim jest łatwiej kierować? Ciemną tłuszcą czy ludźmi oświeconymi, dociekającymi, zadającymi trudne pytania? Swoją system kontroli Kościół i jego pochodne oparł na strachu. Strachu przed śmiercią i wiecznym potępieniem. Kapłani wpajają więc ludziom zasady nazywane moralnością, bogobojnością, a celebrować je piciem krwi swojego boga i konsumowaniem jego ciała. Wiem, że to przenośnia, ale nawet dla mnie brzmi to nieco mrocznie.

Morris przełknął ślinę. Nigdy by tak o tym nie pomyślał, kiedy pastor Peele wygłaszał niedzielne kazanie. W kościele zawsze było mnóstwo radości, dziękczynnych piosenek i mądrości prowadzącej ludzi. Natomiast nie mógł zaprzeczyć, że nazbyt często słyszał o potępieniu w piekle, o grzechach i obietnicy życia wiecznego, a wszystko miał brać na wiarę, a nie na rozum.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie – zwrócił uwagę. – Przynajmniej nie do końca.

Campbell westchnął. Podał mu pusty baniak na mleko i ruszyli w drogę powrotną na pole.

– Demokracja i demagogia niestety idą w parze. Są jak dwie strony tej samej monety. Ci, którzy decydują za naród, muszą mieć jego poparcie. Moi mocodawcy nie mogliby sobie pozwolić na pokazanie całemu światu, że magia istnieje. Kościół by się na to nie zgodził, a to on dyktuje, kto w danym miejscu i momencie nadaje się do rządzenia. Kiedyś nazywali takich pomazańcami bożymi, a dzisiaj jest to zwyczajnie dobra partia, o której mówi się na kazaniu w niedzielę. No więc, generałowie ciągle chcieli mieć adeptów magii po swojej stronie, tyle że takich utajonych. Zażądali, abym szkolił ich agentów. Umocniona po wojnie domowej Unia ma mieć siły specjalne, złożone z nowej kasty adeptów wiedzy tajemnej. Mają oni pracować nad nowymi sposobami wykorzystania jej, również nad połączeniem jej możliwości z nabierającym pędu rozwojem technologicznym. Nasz kraj ma wkrótce stać się mocarstwem, któremu nie zagrożą Europa, Rosja ani nikt inny. A wiemy przecież, że objawienia

nastąpiły na całym świecie. Zatem miłościwie nami rządzący chcą być przygotowani na każdą ewentualność. Dlatego przysyłają mi uczniów...

– ...i dlatego jest pan tak mocno strzeżony przez siły Północy i Południa – dokończył Morris. – Pan tu trwa poza czasem, czekając na rozwój medycyny, a oni korzystają, jak mogą i podsyłają panu uczniów.

– Otóż to. Obawiam się, że nadchodzi czas wielkich konfliktów, przy których nasza mała wojenka domowa to dziecinna zabawa. Pogoń za postępem może, a raczej na pewno pograży świat w ogniu.

– Nie brzmi pan, jakby się tym specjalnie przejmował.

– Nie – przyznał Campbell. – Niestety, ale konflikty są motorem napędowym postępu. To takie błędne koło, w które ludzkość wpada co jakiś czas. Właściwie to nazbyt często.

– Liczy pan, że nowe wojny pomogą rozwinąć medycynę i ktoś w końcu odkryje lek dla Anne.

Campbell przystanął i zwrócił się do Morrisa, zupełnie jakby chciał obdarzyć go pełnym uznania spojrzeniem.

– Nie przestajesz mnie zaskakiwać, drogi Morrisie. Nie dziwię się, że Clive Phillips cię wybrał.

– Wybrał mnie, żebym był jego zapasowym źródłem mocy.

– A skorzystał z niej?

Chłopak zdziwił się, słysząc, jak Campbell broni Clive'a.

– Nie, ale jestem przekonany, że nie wahałby się. Kiedy tu jechaliśmy, nie miał w sobie już nic... – Ugryzł się w język, ale było już za późno.

– A zatem Clive Phillips umiera – westchnął Campbell. – Wielka to szkoda, bo gdyby nie zaślepiła go żądza zemsty, byłby wspaniałym nauczycielem magii.

– Raczej zabójcą.

– Źle go oceniasz, chłopcze. Zrozum, że to człowiek zraniony. Został zdradzony, stracił przyjaciela i wszelkie perspektywy realizacji marzeń o lepszym jutrze. Tylko zemsta mu została. Rozumiem go i współczuję. Nie dziw się zatem, że odrzucił wszystkie możliwości pracy nad magią i zostawił tylko te, które mogły mu pomóc w realizacji celu. Stał się zabójcą, ale los go tak ukształtował.

– Pan naprawdę mu współczuje.

– Oczywiście, a czemu miałyby być inaczej? Ja jestem tu, z ukochaną córką, a on gdzieś tam, umierający, a jednak próbujący ostatkiem sił się zemścić. Zejdzie z tego świata jako wielki przegrany. Takie marnotrawstwo.

Nagły ciężar w sercu sprawił, że Morris zrozumiał, iż również żałuje Clive'a. Po tym, co zobaczył i usłyszał, naprawdę trudno byłoby mu pomóc w wykonaniu wyroku śmierci na Campbellu, lecz ze wszystkich sił pragnął, by Clive nie umierał w szaleństwie i rozpacz.

– Mam dla ciebie pewną propozycję – oznajmił Campbell. – Czy wiesz, czym zajmował się mój przyjaciel, pułkownik Howard Wilson?

Morris zadrżał, słysząc nazwisko człowieka, którego zabił.

– Z tego, co wiem, miał nie dopuścić, żeby Clive się do pana zbliżył.

– Między innymi. Przede wszystkim potrzebowałem go, żeby był moimi oczami w świecie na zewnątrz tej sfery. Tutaj jestem nieco odcięty.

– Chce pan, żebym robił to, co pułkownik? – Morris nie krył obrzydzenia. Doskonale pamiętał zbrodnie, jakich ten człowiek dopuścił się w Prosperity.

– Nie, w żadnym wypadku. Howard był człowiekiem bezkompromisowym, który przez lata wojen został pozbawiony czegoś, co można określić jako sumienie. Po tym, co widział i robił, ludzkie życie niewiele dla niego już znaczyło. Ty zaś nie jesteś spaczony jak on. Jesteś młodym człowiekiem, w pełni sił i świadomym mistycznej natury otaczającego cię świata. Jedyne, o co proszę, to byś został moimi oczami i co jakiś czas przywoził mi informacje, co dzieje się w świecie. Dla ciebie będą to wizyty co kilka miesięcy lub nawet co kilka lat, czasem ledwie spotkania w śnieniu. Niczego innego od ciebie nie będę wymagał, a jeżeli takie będzie twoje życzenie, to podzielę się posiadaną wiedzą.

– Pana uczniowie nie dostarczają panu informacji?

Campbell westchnął i uśmiechnął się smutno do młodego rozmówcy.

– Moi tak zwani uczniowie to agenci szaleńców opętanych żądzą władzy. Przynoszą mi tylko te informacje, które zostały zatwierdzone lub wręcz przygotowane przez ich mocodawców. Tamci nie wiedzieli o zadaniu, które wykonywał dla mnie Howard i, o ile się zdecydujesz, absolutnie nie mogą wiedzieć o twoim zaangażowaniu.

– Brzmi, jakby był pan tu więźniem.

– Oczywiście, że jestem. Sam zbudowałem to więzienie i z radością odbywam wyrok, który może trwać całe wieki. Zdaję sobie sprawę z tego, po co to robię, co chcę osiągnąć i za co pokutuję. Chciałbym tylko wiedzieć, kiedy cywilizacja osiągnie odpowiedni poziom, by uleczyć moje dziecko. To wszystko.

Niespodziewana oferta zdziwiła Morrisa, choć musiał przyznać, że w świetle tego, co zrobił z pułkownikiem Wilsonem, było mu nieco trudniej odmówić. Nie



pochwalał metod przyjętych przez Campbella, lecz poniekąd rozumiał jego motywacje, co w zadziwiający sposób odpowiadało jego stosunkowi do Clive'a. Cóż byłoby złego w utrzymywaniu kontaktu z człowiekiem, który go szanuje, i okazanie pomocy w przedsięwzięciu ukierunkowanym na uratowanie życia jego córce? W końcu Clive umierał, albo zdążył już umrzeć. Campbell zaś nie nalegał na wpajanie mu wiedzy o magii ani nie potrzebował jego potencjału. Jedyne, co robił, to oferował wybór.

– Przemyślę to...



## ROZDZIAŁ 14

### TYGIEL

*W nieprzeniknionej ciemności jedyne, co istnieje, to nasza jaźń. Instykt człowieka wyostrza zmysły słuchu, dotyku, zapachu, lecz wyrwany ze znanego środowiska umysł tworzy czające się tam potwory, jak i każe myśleć, że świat już nie istnieje. Moje życie tym właśnie się stało, podróżą przez coraz ciemniejszy tunel, sprawiającą, że przestałem postrzegać wszystko, co miałem dookoła siebie. Nie widziałem, jak krzywdzę innych, jak ich wykorzystuję, jak zabijam. Stałem się bliższy mej nemezis niż kiedykolwiek mogłoby mi się zdawać...*

Clive K. Phillips, ostatnia znana notatka

W ciemnych korytarzach pod Crucible Clive kompletnie stracił poczucie czasu. Ciągłe napotykał ich kolejne odnogi i choć starał się iść na zachód, zaczynała ogarniać go niejasna obawa, że nawet znaczenie obranej ścieżki może go w końcu zawieść. Ze zdumieniem i zgrozą odkrył, że pod Crucible znajduje się drugie miasto, złożone z tuneli i licznych jaskiń czy też komnat. Ten najprawdziwszy labirynt przypominał mu wizję piekła, którą stworzył kiedyś na potrzeby jednej z napisanych przez siebie historii. Inspiracją do niej były rozmowy przeprowadzone z pewnym żeglarzem spotkanym w jednej z najgorszych tawern w Bostonie. Mężczyzna ten twierdził, że piekło to wieczna tułaczka w ciemności, w ciągle zmieniającym się labiryncie, dla którego budulcem są ludzkie grzechy i mroczne namiętności. Mogło to być

majaczenie zapijaczonego szaleńca, lecz tu i teraz Clive zaczynał zastanawiać się, czy aby przypadkiem nie trafił do takiego właśnie miejsca.

Z pewnością cuchnęło tu jak w piekle. Smród istot, które wydrążyły te tunele, igrał ze zmysłami, niebezpiecznie zbliżając je do granicy szaleństwa. Całe szczęście na dole panował przewiew, a temperatura okazała się nieco niższa niż na powierzchni. Korytarze nie tylko zostały wydrążone przez te koszmarnie monstra, ale również naznaczone magicznymi symbolami, wygasłymi już, lecz ciągle niepokojącymi.

Podziemne miasto tworzyło istną sieć, w której głównymi węzłami okazywały się piwnice bądź jaskinie wydrążone pod miejscami, gdzie zwykle przebywali ludzie. Saloon, kościół, bank, a nawet pojedyncze domy, wszystkie one zostały w swoim czasie pieczołowicie naznaczone w celu osiągnięcia konkretnego efektu. Skala tego dzieła oszałamiała.

Clive czuł obecność owych istot, które już od dawna zwykł nazywać koszmarami. Po raz pierwszy dowiedział się o nich z raportów, które otrzymywał jeszcze w trakcie wojny. Campbell ponoć eksperymentował z przyzywaniem ich z krain dalszych nawet niż te odwiedzane w snach. Koszmary można było sprowadzić przez bramę stworzoną dzięki energii tego, co Indianie nazywali cieniami. Clive bardziej myślał o nich jako o upiorach, duchach zmarłych, wypranych kompletnie z potencjału.

Podobnie jak Campbell, Clive również próbował owej sztuki, i to z pewnymi sukcesami. Nie eksplorował jednak tej ścieżki, ponieważ zbyt mocno wpływała ona na psychikę. Gdy poznawał to, co kryje się gdzieś za zasłoną mroku pośród takich koncepcji jak sen czy zaświaty, czuł, że coraz bardziej oddala się od człowieczeństwa. Zupełnie jakby wprost proporcjonalnie zależało ono od poziomu wiedzy. Może to dlatego mówiono, że jeżeli Bóg istnieje, jest wszechwiedzący. W przerażającym bezkresie swojej wszechwiedzy byłby tak daleko od człowieka jak to tylko możliwe.

Korytarze tylko na pozór wydawały się puste. Roilo się w nich od koszmarów. Niegdyś bezkształtne istoty przybrały formy odpowiednie do rycia tuneli pod ziemią. Pozostawały zawsze w ukryciu. Niewidoczne chowały się za załomem korytarzy, szeptały między sobą słowa w niezrozumiałym języku. Obserwowały, a jednak nie zbliżały się do Clive'a, jakby badały granice jego poczytalności. A może zwyczajnie wyczuwały, że nie ma w nim już nic z ludzkiego potencjału. Był przecież niegroźny, wypalony niczym lampa, którą niósł.

Cały czas zdawało mu się, że wie, gdzie szukać Morrisa. Wkrótce po zejściu do tuneli pod kościołem odnalazł ścieżkę prowadzącą od przeklętej farmy. Rozpoznał ją, ponieważ koszmar, który porwał Morrisa, był ranny. Zostawiał za sobą wyraźny ślad

cuchnącej brei, którą tylko szaleniec mógłby nazywać krwią. Clive byłby szedł po tej ścieżce dalej, lecz stracił źródło światła.

Gasnący płomień lampy najpierw zbladł, a potem zniknął zupełnie. Nastąpiła całkowita ciemność. Taka, w której przestrzeń nie ma już znaczenia, a umysł zaczyna płatać figle. Najprawdziwsza z prawdziwych, pierwotna, oblepiająca człowieka jak smoła.

Zapałki na niewiele się zdały. Były jak próba ratowania się od utonięcia za pomocą wykałaczki. Ich płomień trwał krótko, a pod ziemią nie było przecież czego zapalić.

W przestrzeni pozbawionej światła dźwięki stały się o wiele głośniejsze. Gdzieś coś szurało, coś się przelewało. Clive zaklął. Jeszcze nigdy nie był tak bliski śmierci. Sam, w tym piekielnym labiryncie pełnym obcych szeptów i koszmarnych potworów.

Oparł się o ścianę. Brakło mu tchu, a potworny ból głowy robił się coraz silniejszy. Miał wrażenie, jakby raz po raz tracił przytomność. Stał, klęczał, szedł, czołgał się. Mówił do siebie, a czasem sam sobie odpowiadał. Kiedy indziej odpowiedzi przychodziły gdzieś z ciemności, lecz ich nie rozumiał. Zdawało mu się, że koszmarny ocierają się o niego. Mackowate, zimne kształty przemykały tuż obok, pozostawiały na nim swój obcy dotyk i ten cholerny smród.

Kolejna chwila przytomności odnalazła Clive'a siedzącego pod ścianą. Broda opadła mu na klatkę piersiową, a z odrętwiałych ust kapały ostatnie krople wody, jakie wysłał z manierki. W dłoni kurczowo trzymał rewolwer z odciągniętym kurkiem, gotowy do ostatniego strzału, kończącego misję od początku skazaną na porażkę.

Nie potrafił określić, ile czasu mu zostało. Kilkukrotnie próbował sięgnąć do Morrisa, licząc, że ich mistyczne połączenie pozwoli mu zaczerpnąć odrobiny potencjału, którym napędzi efekt magiczny. Obiecał sobie tego nie robić, lecz cóż mu pozostało? Dzięki tej odrobinie mógłby namierzyć chłopaka i pójść w jego stronę. A może spróbowałby kupić sobie kilka dodatkowych chwil życia, byleby wyjść z tej pułapki, w którą tak bezmyślnie wskoczył?

Mógł też strzelić sobie w łeb. W tym ostatecznym akcie buntu zabiłby nie tylko siebie, ale i to bezduszne coś, co rozpychało się w jego głowie. Pomyślał jednak, że byłoby to okrutne marnotrawstwo i paskudny koniec tej historii.

Spróbował się skupić. Ogromnym wysiłkiem woli, wbrew instynktowi przetrwania po raz ostatni w życiu zaczerpnął potencjału z siebie samego. Ogarnęło go uczucie, jakby wyrywał sobie serce, jakby zakładał sobie pętlę na szyję.

Początkowo chciał spleść zaklęcie, dzięki któremu mógłby zlokalizować Morrisa. Obawa przed porażką sprawiła, że zmienił zdanie. Indiański amulet pozwalał przecież

zbierać wolny potencjał z otoczenia. W tych tunelach nie było żadnego, lecz Clive spróbował wzmocnić ten efekt przynajmniej na tyle, by wyczuć najbliższe źródło mocy, połączyć się z nim lub przynajmniej dowiedzieć się, jak do niego dotrzeć.

Okiem umysłu dostrzegł rozległą przestrzeń pozbawioną światła i życia. Odwzorowywała ona pustynię, pośród której znajdowało się Crucible. W pobliżu wyczuwał niezliczone dziesiątki istot ciemniejszych niż mrok, tak bardzo obcych dla tego świata, że wyróżniały się na tym planie postrzegania niczym wiry w wodzie. Nie tak daleko od miejsca, w którym był, znajdowało się coś, co emanowało ogromną mocą. Wyczuł to tuż na skraju wielkiej sfery stanowiącej potężny efekt magiczny, tak skomplikowany, że trudno było ją przeniknąć. Nie odnotował jednak niczego, co mógłby rozpoznać jako Morrisa. Chłopak znajdował się w sferze lub nie było już go wśród żywych.

Skupiony podparł się o ścianę, żeby wstać. Na wpół po omacku, na wpół kierując się ofiarowanym przez zakłęcie nadnaturalnym wzrokiem, zaczął iść w kierunku nieznanego źródła mocy.

Już wkrótce wyszedł z korytarza na nieco większą przestrzeń. Powietrze tutaj pozostawało w spoczynku, a wszędobylski smród stał się tak skondensowany, że prawdopodobnie pozbawił Clive'a zmysłu zapachu i smaku.

Dźwięczenie jego ostróg odbijało się od wysokiego sklepienia i ścian tak dalekich, że nie potrafił określić, czy znajduje się w sali wielkości kościoła czy katedry. Koszmary nie odważyły się wpełznąć za nim do tego miejsca. Pozostały w korytarzach, przyglądając mu się jedynie sobie znanymi zmysłami. Coś tu zalegało, a one się tego obawiały. Clive nie był już sam.

Czytał, słuchał i tworzył w swoim życiu najbardziej szalone wizje potworów, lecz to, co podpowiadała mu teraz wyobraźnia, dziwiło go poziomem groteskowej perwersji, o którą sam by siebie nie podejrzewał. Nie wiedział, czy oślepl w tej ciemności i doświadcza rojeń zdjętego chorobą umysłu, czy otwiera się przed nim nowy zmysł, umożliwiający mu widzenie w zupełnie nowym spektrum postrzegania. Zdawało mu się bowiem, że jest w wydrążonej w skale sali zwieńczonej kopułą. Na ścianach błyszczą mroczne symbole nieznanego ludzkości języka, które skupiały tutaj ogromne pokłady mocy. Nie był to potencjał, a przynajmniej nie taki, jaki Clive znał i badał. Siła, z którą miał do czynienia, stanowiła jego antytezę oscylującą wokół czegoś, co ludzkiemu umysłowi było najbliższej śmierci, zniszczenia i szaleństwa. Skupiała w sobie ból, odrazę i strach.

Kryjąca się w komnacie istota wypełniała niemal całą dostępną przestrzeń, zupełnie jakby tu urosła lub ktoś zdołał upchnąć tutaj jej masywne cielsko. Jej chrapliwy oddech brzmiał jak wicher dobywający się z czeluści piekielnych, a spływające śluzem kończyny poruszały się z obrzydliwym mlaskaniem. Nie sposób było przyporządkować jej kształtów czemukolwiek, co Clive widział w swoim życiu. Miała setki oczu i tysiące nieforemnych kończyn. Siedziała niczym medytujący mnich, czekała cierpliwie, choć Clive nie potrafił zgadnąć na co. Znajoma, a zarazem tak bardzo obca.

– Czym ty, do cholery, jesteś? – wychrypiał przez zaciśnięte gardło.

Odpowiedź nie nadeszła od razu, choć fakt, że to coś w ogóle mu odpowiedziało, napawał go grozą. Niczym ogromny okręt świadomość istoty skierowała się na Clive'a i niemal zgmiotła go ciężarem swojej uwagi. Myśli tego czegoś poruszyły się mozolnie jak koła zębate wielkiego zegara, którego ciężkie dźwięki zdolne były nie tylko ogłuszyć, ale i zabić. Szeptane słowa umykały zrozumieniu, choć wstrząsały do głębi niczym świadectwo najokrutniejszej masakry i najgłębszego smutku.

Clive znał to uczucie. Doświadczył podobnego, kiedy w Krainie Snów natarło na nich indiańskie bóstwo. Teraz zaś rozumiał, że przybyło za nimi do świata ludzi. Oto bowiem stał przed samym *Nalusa Chito*, znanym jako Ten Wielki, Pożeracz Dusz we własnej odrażającej osobie. Przez ulotną chwilę Clive zastanawiał się, czy naprawdę sam doszedł do tego wniosku, czy też owa wiedza została mu wtłoczona do umysłu.

– Nie ciebie szukałem – jęknął, cofając się ku przestrzeni, gdzie powinno znajdować się wejście do tunelu.

Pożeracz Dusz ponownie przemówił, a jego głos wstrząsnął umysłem Clive'a, niemal go miażdżąc i obracając w perzynę. Pośród chaosu myśli i wizji mężczyzna wyłowił informację, że indiański bóg czegoś pragnął. Chciał czegoś, lecz nie mógł tego dostać i był wściekły.

– Nie rozumiem... – nie mogąc znieść naporu, Clive padł na kolana.

Miał wrażenie, jakby stał u stóp wodospadu, a nieubłagana masa wody chciała rozbić go na najdrobniejsze cząsteczki. Mimo to udało mu się zrozumieć, że bóstwo przybyło tu wiedzione głodem i ciekawością, zwabione przez setki uwolnionych w jednym momencie ludzkich cieni. Teraz Clive wiedział to na pewno. Campbell wymordował całe miasto w ułamku sekundy. Wyssał z ludzi cały ich potencjał i czas, obracając ich w proch, który wisiał w powietrzu w całym mieście. Pożarł ich moc i zostawił tułające się tu upiory, które dla *Nalusa Chito* były niczym przynęta. Sfera, w której ukrywał się Campbell, tak mocno zakrzywiła czas i rzeczywistość, że

stanowiła bramę między Krainą Snów i światem ludzi. Wessała Pożeracza Dusz i oblekła go w odrażające cielsko, zupełnie jak jego pomniejszych sługi, które tułały się po podziemnych korytarzach.

Czego zatem chciał Ten Wielki? Jego motywacje okazały się niezrozumiałe dla śmiertelnika, lecz podstawowe instynkty były o wiele bliższe istotom żywym. *Nalusa Chito* chciał więcej. Chciał konsumować, rozprzestrzeniać się, odkrywać cuda i okropności nowego świata, jaki przed nim postawiono. Wtłoczył w umysł Clive'a mroczne wizje masakry, prawdziwego armagedonu, w którym eksplorował granice ludzkiej wytrzymałości. Zamiast wyciągać macki poprzez sny i żywić się melancholią, mógł teraz wprost wysysać życie. Torturować, wyciskać, a potem pożerać na skalę, której nie znał jeszcze żaden świat. Ludzkość nie miała jeszcze takiego przeciwnika. Czekala ją era bólu, perwersji i grozy.

– Czemu siedzisz w tej dziurze? Co cię tu trzyma?

Odpowiedź nie nadeszła, a Clive wiedział, że trafił w sedno. *Nalusa Chito* nie mógł opuścić tego miejsca, jeszcze nie. Coś go tu trzymało. Może był zbyt słaby, a może nie przeszedł jeszcze do końca.

– Skoro tak – syknął Clive, sięgając po broń – to ja się już pożegnaj.

*Czecz pogrózki*, usłyszał myśli Pożeracza Dusz. Co taka pchła, umierający worek mięsa stojący na krawędzi przepaści, może uczynić bogu, którego rdzenni mieszkańcy tej ziemi czcili i obawiali się od niezliczonych stuleci?

Uśmiechnął się blado. Mocno chwycił rękojeść pistoletu, nacisnął spust, po czym raz za razem odciągał kurek. Ogłuszający huk odbijał się echem w sali, a rozbłyśki ukazywały potworny majestat Pożeracza Dusz. Zakłęte kule zagłębiły się w jego cielsku, nie wyrządzając mu najmniejszej krzywdy.

Kiedy przestało mu już dźwięczeć w uszach, Clive usłyszał coś, co brzmiało jak bulgotliwy śmiech, pełny najprawdziwszej pogardy. Cóż te kilka kul mogło uczynić bogu?

– Nie chciałem cię zabić – szepnął rewolwerowiec – tylko okraść.

Clive skierował wolę ku naznaczonym kulom, a poprzez nie sięgnął do mistycznej mocy, jaka skupiała się wokół *Nalusa Chito*. Nie musiał jej zaciągać, bo sama uderzyła w niego z siłą żywiołu. Dzika i nieokiełznana niosła ze sobą energię podobną do potencjału, lecz o wiele bardziej mroczną. Mógł jej użyć. Naraz naładował wszystkie magiczne pociski, a to, co mógł, przeobraził w magiczny efekt. Spowolnił czas dla siebie, byleby móc działać, odroczyć wyrok i uciec z tego przeklętego miejsca.

Ostatnim zrywem ruszył do korytarza prowadzącego ku granicom sfery. Umykając, czuł, że ziemia dookoła trzęsie się, poruszona gniewem znieważonego boga. W myślach przyzywał do siebie swojego rumaka, swój własny cień i osobisty koszmar.

\* \* \*

Anne pomagała nieść ostatnią już partię mleka. Mizerna postura nie pozwalała jej na zbyt duży wysiłek, ale Morris dał jej trzymać za ucho bańki, by dziewczynka mogła przynajmniej mieć poczucie, że jest cokolwiek pomocna.

– ...z mleka ubijamy też masło i przygotowujemy twaróg – buzia jej się nie zamykała. Z radością opowiadała Morrisowi o wszystkim, co tu robili i czego nauczyła się od ojca. – Pamiętam, jak byłam mała, że jedliśmy mięso, ale tutaj tego nie robimy.

– Anne nazwała każdą kurę i krowę – pochwalił się Campbell. – Oczywiście imionami swoich ulubionych bohaterów książkowych.

Morris parsknął śmiechem.

– Domyśliłem się tego, kiedy za kogutem wołałaś Romeo.

Dziewczynka zachichotała.

Idący z przodu Campbell zatrzymał się przed wejściem do domu tak nagle, że o mało nie wpadli na niego. Przestraszył tym Anne, która bezwiednie szarpnęła bańkę, wylewając nieco mleka na ziemię. Spojrzała na ojca z wyrzutem, który szybko przeobraził się w niepokój.

– Co się stało? – zapytał Morris.

Campbell odwrócił się powoli, a na jego kamiennym obliczu malował się wyraz skupienia. Wyglądał na nieobecnego, jakby sięgał umysłem gdzieś daleko. Jego niewidzące oczy spoziały w dal ponad głowami córki i Morrisa.

– Chłopcze, zabierz Anne do domu – powiedział grobowym głosem.

Morris odwrócił się w kierunku, w którym zwrócił twarz jego gospodarz. Spostrzegł odległe sylwetki ubranych w ciemne barwy jeźdźców, którzy wjeżdżali w obręb sfery i galopowali w stronę domu. W miejscu, w którym przekroczyli mieniającą się barwami tęczy granicę czasu, przestrzeń przybrała na chwilę krwistoczerwoną barwę.

– Niebezpieczeństwo? – zapytał, odruchowo sięgając do pasa.

Napotkał pustkę i przypomniał sobie, że rewolwer jest przecież schowany w skrzyni gdzieś w piwnicach domu.



– Nie wiem – Campbell minął go i ruszył w kierunku przybyłych. – Idźcie już, może jeszcze cię nie spostrzegli.

Morris nie dyskutował, tylko zrobił, o co go proszono. Będąc już w środku, podszedł do okna, żeby obserwować sytuację. Anne kryła się za nim niczym zaniepokojony szczeniak.

Jeźdźcy znajdowali się już na tyle blisko, żeby można było dostrzec szczegóły ich ubioru. W sposobie, w jaki się nosili, było coś niezwykłego, co przywodziło na myśl Clive'a. Długie, ciemne płaszcze, szerokie kapelusze, rękawiczki i magiczne symbole misternie ukryte pośród ozdobnych wzorów wyszytych na ubraniach. Mieli też nietęgę miny, a coś w ich oczach sprawiało, że wyglądali jak wojskowi.

– To uczniowie mojego taty – powiedziała Anne. – Jeżeli dobrze pamiętam, to jedni z pierwszych. Byli tu... dawno temu.

– Czy oni kiedykolwiek wracali? Odwiedzali was?

– Nie, nigdy. Zawsze przyjeżdżali tylko nowi – dziewczynka odparła z przestrachem, a Morris zrozumiał, skąd nagły niepokój Cambella.

Postanowił delikatnie uchylić okno, żeby usłyszeć, o czym będą rozmawiali.

Campbell wyciągnął rękę w niemym pozdrowieniu. Jeźdźcy zatrzymali konie, sprawnie zeskoczyli i podeszli do niego sprężystym krokiem. Jeden z nich spoglądał przez ramię, jakby spodziewał się, że ktoś mógłby za nimi podążać. Prawą dłoń opierał na rękojeści rewolweru.

– Linus, Micaiah. Co was sprowadza? – zapytał Campbell.

– Wydano rozkaz uaktywnienia oddziału likwidacyjnego – odparł ten nazwany Micaiah. – Musimy pana zabrać w bezpieczne miejsce, sir.

Campbell nie poruszył się, lecz coś w jego posturze zdradzało napięcie. W reakcji na jego nastrój kolory zdobiące sferę zafalowały, sugerując, że coś zmieniło się w przepływie mistycznych energii.

– Nonsens – powiedział stanowczo. – Nigdy nie rozmawialiśmy o podobnym scenariuszu

– Pan wybaczy, sir, ale takie mamy rozkazy. Mamy pana ewakuować.

– Mnie? A co z moją córką?

– Nie ma takiego rozkazu, sir.

Morris spojrzał na dziewczynkę, po czym przeniósł wzrok na Campbella. Podskórnie wiedział już, że mężczyzna nigdy nie zgodzi się na opuszczenie sfery. Zbyt wiele poświęcił, zbyt wiele grzechów musiał popełnić, żeby stworzyć to miejsce. Bez

niego los Anne byłby przypieczętowany, a trwanie podniesionych tu efektów magicznych niepewne.

– Wolne żarty! – warknął Campbell. – Możecie wracać do dowództwa i powiedzieć, że odmówiłem.

Jeźdźcy spojrzeli po sobie. Ruchem zdradzającym niepewność Micaiah położył rękę na broni i postąpił krok do przodu.

– Nie ma czasu, sir. Stanowczo...

Mężczyzna pobladł i zaniemówił. Nawet z tej odległości Morris poczuł zawirowanie energii dookoła niego, jakby właśnie został rażony piorunem. Moc spłynęła wprost ze sfery, otoczyła go i wniknęła w klatkę piersiową. Chłopak widział, że efekt skupił się wokół serca ofiary. Dostrzegał falowanie czasu, spowolnienie tego jednego organu. Micaiah osłabł i próbując złapać oddech, padł na kolana z wyrazem bólu na siniejącej twarzy.

Towarzyszający mu Linus spróbował zareagować. Wyciągnął przed siebie ręce i rozczapierzył palce. Symbole na jego rękawiczkach zalsniły mocą, po czym zgasty jak zdmuchnięty płomień świecy. Mężczyzna jęknął z przerażeniem, złapał za koszulę i rozdarł ją. Nagle spod jego skóry na klatce piersiowej wypłynęły glify i zaczęły pulsować. On zaś tarł je panicznie, jakby chciał natychmiast je zniszczyć.

– Naznaczył ich – Morris szepnął zafascynowany. – Nawet o tym nie wiedzieli.

Campbell wyciągnął przed siebie rękę, zacisnął dłoń, mocno chwytając jakiś niewidzialny przedmiot, po czym szarpnął z ogromną siłą. Zarówno Linus, jak i pozbawiony sił Micaiah w jednej chwili rozpadli się w proch, a ich potencjał rozproszył się w wirach energii podtrzymującej sferę. Pozostały po nich tylko zastraszająco szybko degenerujące się ubrania i pokrywające się wżerami wyposażenie.

Morris osłupiał, przerażony potężnym i bezkompromisowym popisem mocy Campbella. Spojrzał na Anne, która kuliła się tuż obok. Dziewczynka wydawała się zdezorientowana, po jej bladych policzkach płynęły wielkie łzy. Zapewne jeszcze nigdy nie widziała niczego podobnego. Campbell wrócił do domu i zamknął za sobą drzwi. Nic w nim nie zdradzało ani cienia skruchy czy żalu, a jedynie niezadowolenie, zupełnie jakby właśnie ugryzł go komar. Podszedł do córki, uklęknął i utulił ją. Szeptał jej do ucha kojące słowa, jakie tylko ojciec może mówić dziecku.

Czując, że Anne już nieco ochłonęła, zwrócił się do Morrisa. Spojrzenie pary zabliznionych otworów, w których niegdyś znajdowały się oczy, sprawiło, że chłopakowi zrobiło się zimno.

– Czas podjąć decyzję, chłopcze.

O dziwo, Anne nie chciała iść do swojego pokoju. Została w kuchni, twierdząc że herbata z mlekiem i miodem ją uspokoi. Nie bez wątpliwości ojciec przeprosił ją na chwilę, tłumacząc, że musi porozmawiać z ich gościem na osobności. Dziewczynka zadziwiająco dobrze przyjęła ten stan rzeczy. Zajęcie pozwoliło jej choć na chwilę przestać myśleć o strasznych rzeczach, jakich była świadkiem.

Przed wejściem do piwnicy Campbell wskazał Morrisowi świecznik, sugerując, aby chłopak oświetlał sobie drogę. Zeszli na dół do długiego pomieszczenia o murowanych ścianach i łukowatym przepierzeniu. Znajdowały się tam zapasy, w beczkach warzyły się sery, a na półkach leżały butelki wina.

Morrisowi trudno było wyzbyć się rosnącego poczucia niepokoju. Nie chodziło o incydent sprzed chwili, przynajmniej nie tylko o niego. Wciąż nie podjął decyzji, czy zostanie agentem Campbella – jego oczami na świat. W jakiś sposób nie potrafił się pogodzić z wizją pracowania dla kogoś, kogo przyjechał tu zabić. Z każdą chwilą był coraz bardziej zdezorientowany i sam nie wiedział już, co jest dobrem, a co złem. Miał wrażenie, że cały świat stanął na głowie.

W samej piwnicy spodziewał się magicznych znaków, bezkształtnych bestii i podziemnych tuneli. Jakiś wewnętrzny zmysł podpowiadał mu, że tak powinno właśnie być, że w powietrzu czuje ów dziwny swąd. Lecz pomieszczenie okazało się tylko zwykłą piwnicą ze wszystkimi jej nudnymi urokami. Gdzieś w kącie walały się zakurzone narzędzia, między belkami zwisały jeszcze bardziej zakurzone pajęczyny, a niektóre worki nosiły nawet ślady bytności gryzoni. Podzielona mniej więcej w połowie przez drewnianą ścianę nie ujawniała wszystkich tajemnic swego wnętrza, ale nie przyszli, by ich szukać.

Campbell wskazał niewielką skrzynię stojącą na drewnianym stole. Nie był to żaden kuferek, a stara wojskowa skrzynia na zaopatrzenie. Kolejny przedmiot w tym miejscu niepasujący do utkanego ze słów Clive'a wizerunku bezdusznego mistrza wiedzy tajemnej.

– Twoje rzeczy są w środku – oznajmił Campbell.

Morris po raz kolejny tego dnia poczuł ciężar w sercu.

– Czy to oznacza, że mogę odejść?

Sam nie rozumiał, czemu owa myśl była mu niemiła. Może dlatego, że lubił towarzystwo Anne, a pomimo licznych wątpliwości Wes Campbell okazał się człowiekiem przystępnym, choć ze wszech miar niepokojącym. Gdzieś tam przecież czekali Mary i jej brat. Gdzieś poza sferą mógł umierać Clive, a Cherie i Doc Martin

mogli potrzebować pomocy. Teraz, wczoraj, za chwilę... Cholerne zakrzywienie czasu dezorientowało go coraz bardziej.

– Moi uczniowie mówili o oddziale likwidacyjnym i mam wrażenie, że wiesz, w czym rzecz – oświadczył Campbell. – Jeżeli tak jest, to twoi towarzysze starli się z nim i nawet zadali jakieś straty. Ja nie mogę powstrzymać tej walki, nie mogę opuścić sfery, ale ty możesz im pomóc.

– Przecież nie wiemy, ile czasu minęło na zewnątrz.

– Ja wiem – Campbell odparł z całą pewnością. – Jeżeli potraktujesz czas jak strumień, to my jesteśmy niczym koło młyńskie chronione przez śluzę. Możemy decydować, jak szybko wprawiamy w ruch całą machinerię, co sprawia, że do pewnego stopnia mogę wybrać moment, w którym wyjdiesz na zewnątrz.

– Ale czasu nie można cofać.

– Zgadza się. Co się stało, to się nie odstanie. Twoje przybycie tutaj było dla mnie znakiem. Zmieniłem wtedy przepływ czasu w sferze na tyle, by dowiedzieć się, z kim tak naprawdę mam do czynienia. Okazałeś się dokładnie taką osobą, jaką sobie wyobrażałem po tym, co widziałem, obserwując cię w Krainie Snów. Teraz zaś przybycie moich uczniów to kolejne wydarzenie z zewnątrz, które również wymaga reakcji z mojej strony.

Morris pokręcił głową. Nie wiedział, czy dobrze rozumie tłumaczone mu zależności, lecz tak jak i Campbell nie otrzymywał tego, czego mógłby się spodziewać.

– Od kiedy tu jestem, minęło... to znaczy... spałem kilka razy.

Campbell przytaknął.

– Od twojego zniknięcia na zewnątrz upłynęło raptem parę godzin. Uczniowie chcieli mnie stąd zabrać dla mojego bezpieczeństwa, a to znaczy, że Clive Phillips albo ludzie, których tu ze sobą przywiódł, wciąż stanowią realne zagrożenie. Tylko ty możesz ich zatrzymać przed przyjściem tutaj i zniszczeniem wszystkiego, co zbudowałem. Możesz ich też wspomóc w walce z oddziałem, dzięki czemu mniej ucierpią.

– Nie dba pan o swoich uczniów.

– Nie, już ci to tłumaczyłem. Ich nauczanie jest elementem umowy, lecz nie są to ludzie, których wybrałbym do szkolenia, przynajmniej nie każdego. Ty, chłopcze, pomóż swoim i zabierz ich stąd. Nie skazuj się na cierpienie i stratę.

Morris znowu pomyślał o Cherie, Martinie, nawet o poruczniku Bradleyu. Wiedział już, że nie może tu zostać. Pokręcona moralność Campbella nie czyniła go ani złym, ani dobrym, a jednak otoczył Morrisa opieką. Poza tym pułkownika

niewiele interesowało, co działo się na zewnątrz, może poza obsesyjnym oczekiwaniem na przyszłość. Tak naprawdę wszelkie zło, którego doświadczyli w Prosperity, pochodziło od ludzi pragnących ochronić Campbella przed ingerencją z zewnątrz. Pozostawiony samemu sobie nie miał większych szans nikomu już zaszkodzić.

Oprócz kilku nieistotnych szpargałów kufer skrywał pas z bronią. Morris wyjął go, spasował i zapiął, a rewolwer Clive'a zatknął z boku. Z zaskoczeniem wyczuł, że wszystkie naboje w bandolierze oraz te w bębnach obu rewolwerów wypełnione są potężnymi ładunkami potencjału.

– To na wszelki wypadek – wyjaśnił Campbell.

– Ale moje naboje nie są naznaczone – zdziwił się Morris. – Nie wszystkie i nie przez pana.

– Mam swoje sposoby – gospodarz uśmiechnął się lekko, jakby to wszystko miało wyjaśnić.

Chłopak przełknął ślinę. Naraz zdał sobie sprawę, że energia, którą mu ofiarowano, pochodzi z czystki dokonanej w Crucible. Poczul się, jakby miał na rękach krew tych wszystkich ludzi. Mężczyzn, kobiet, dzieci, starców. Ta świadomość ciążyła mu bardziej niż cokolwiek innego, z czym miał do czynienia w ostatnim czasie. Spłynęło to na niego niczym zimny prysznic.

– Jak się tu dostałem? – spytał grobowym głosem.

– Słucham?

– Jak się tu dostałem? Ostatnie, co pamiętam, to cholerne monstrum, które mnie porwało z farmy. Potem w głowie mam tylko jakieś okropieństwa i nagle znalazłem się tutaj. Jak to się stało?

Campbell westchnął:

– Nie ma na to czasu...

– Jak to nie ma? Przecież pan go kontroluje, więc mamy go chyba całkiem sporo. Porozmawiajmy w końcu o czymś prawdziwym, a nie o tej iluzji, którą pan tu stworzył. Pytam więc, jak się tu dostałem.

Nawet bez nadnaturalnych zmysłów łatwo było zauważyć wahanie Campbella. Zarówno ton Morrisa, jak i samo nazwanie sfery iluzją ubodły go boleśnie. Nie mówiąc nic więcej, mężczyzna podszedł do drzwi w ścianie przedzielającej piwnicę na pół. Otworzył je i odsunął się, wskazując Morrisowi, by zajrzał do środka.

Chłopak odstawił świecznik na stół i przezornie wyciągnął broń. Nie wiedział, czy w czymkolwiek by mu pomogła, ale dodawała mu nieco pewności. W końcu

zgrubienia pod bandażami mogły być symbolami naniesionymi przez Campbella, kolejnym zabezpieczeniem, a na pewno nie chciał skończyć jako kupka pyłu na podłodze w tej cholernej piwnicy. W razie konieczności zamierzał walczyć o życie z całych sił i przy użyciu wszelkich dostępnych środków.

Obserwując gospodarza, podszedł do drzwi i zajrzał do ciemnej przestrzeni. Światło świecy rozjaśniło ją delikatnie, ukazując koszmarny widok, który wstrząsnął Morrisem do głębi.

Dalej nie było już piwnicy, tylko wielka jaskinia wyryta w ziemi i skale. Jej ściany pokrywała misterna mozaika symboli, szczególnie gęsto naznaczająca obrysy portali prowadzących do licznych korytarzy. Wiało tu chłodem, a w powietrzu wisiał znajomy fetor. Oto było prawdziwe oblicze tego miejsca, bluźniercze, bezduszne, na wskroś magiczne. Miejsca, które zapoczątkowało to wszystko, a w którym skupiła się kiedyś cała moc Crucible, powołując do życia zakrzywiającą czas sferę.

Uwagę Morrisa zwróciła nieruchoma góra oślizłego mięsa zalegająca pod jedną ze ścian. Ewidentnie martwa powłoka wciąż nosiła ślady po kulach, choć zdawać by się mogło, że była w jakiś niepojęty sposób niekompletna.

– Zostałeś tu przyniesiony, chłopcze.

Zrozumienie przyszło jeszcze zanim Campbell odpowiedział na jego pytanie. Żołądek podchodził mu do gardła, a rany pulsowały, pobudzone targającymi nim emocjami.

– Przez to coś? Po co?

– Jakaś forma instynktu zapewne. Coś, co ciągle badam, lecz mam już pewne wnioski.

– Bada pan te bestie?

Campbell pokręcił głową.

– To nie bestie, a wysoce wyspecjalizowana rasa służąca istotom, które, z braku lepszego określenia, jako śmiertelnicy powinniśmy nazywać bogami. Mogą być sprowadzone do naszego świata poprzez przekształcenie energii ludzkiej jaźni pozostałej po naszej śmierci, a konkretnie duchów, które widziałeś w Krainie Snów.

– Cieni. Bramy dla nich tworzy się z ludzkich cieni.

– Zgadza się – przyznał Campbell. – Ten tutaj został przyzwany, a raczej stworzony z tego, co pozostało po Howardzie Wilsonie. W ten sposób zachowało odrobinę jego jaźni. Zawsze się tak dzieje, dlatego każdy ma coś na kształt indywidualnego charakteru.

– Wilson chciał mnie zabić.

– Owszem, ale po śmierci potraktował cię jak kotwicę. Przyczepił się do ciebie, w pewien sposób opętał lub też nawiedził. Kiedy byliście w odwzorowaniu tego miejsca w Krainie Snów, Clive Phillips przyprowadził za sobą wielkie indiańskie bóstwo, które przywołało tutaj to coś. Resztki jaźni Howarda nadal chciały być blisko ciebie. Stworzona w ten sposób istota mogła przybrać różne formy: psa, ptaka, kota. Dawne wiedźmy, magowie i alchemicy nazywali je chowańcami. Ten tu przyczepił się do ciebie i to całkiem dosłownie. To właściwie on uleczył twoje rany.

Zimne ciarki przebiegły po ciele Morrisa. Chłopakowi zrobiło się niedobrze, ponieważ domyślał się, o czym mówił Cambell. Czym prędzej zaczął luzować bandażę pod ubraniem, żeby zobaczyć blizny pokrywające klatkę piersiową i ramiona. Szybko odkrył, że wcale nie ma blizn.

Jęknął z odrazą, obawiając się dotknąć dziwnej materii, która zespoliła się z jego ciałem. Skórę bowiem pokrywała siatka pulsujących form, przypominających wystające żyły lub włókna mięśniowe. Ciemny kolor i obca faktura przywodziły na myśl pijawki wgrzyzione w miejsca, gdzie wcześniej znajdowały się rany. Skóra dookoła nie wyglądała na podrażnioną, nie swędziała, nie bolała nawet.

– Co pan mi zrobił?

– Ja? Nic. To Howard uratował ci skórę... powiedzmy. Na powrót postanowił połączyć się z tobą, przyssać się do ciebie, wzmocnić, lecz tym razem również fizycznie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Jesteś zapewne jedynym takim człowiekiem na świecie. Być może zupełnie nowym rodzajem człowieka, złożonym z dwóch kompletnie obcych sobie istot. Przyznam, że to fascynujące.

– Fascynujące?! – Morris krzyknął z odrazą.

W akcie desperacji próbował podważyć jedną z wrastających mu w skórę obcych tkanek, lecz to akurat sprawiało ból, jakby próbował zrobić sobie krzywdę i wyciągnąć coś, co pod skórą przeniknęło do głębi ciała, cienkimi mackami przedostając się wprost do mózgu.

– Jesteś doprawdy wyjątkowy, Morrisie – szepnął Campbell. – Posiadasz potężne zasoby potencjału, czyste serce, a teraz jesteś fizycznie zespolony z istotą z obcego planu egzystencji. Jesteś w stanie osiągnąć więcej niż ja czy Phillips. Zrozum, proszę, że to właśnie dlatego ci, z którymi dobiłem targu, nie mogą cię dostać. Dlatego potrzebujesz przyjaciół i powinieneś ich ratować.

– Oni tu przyjechali nie dla mnie, ale dlatego, że ludzie, którzy bronili dostępu do pana, dopuszczali się okropnych czynów.

Słowa Campbella coraz mocniej wybrzmiewały pasją. Teraz, kiedy odkrył przed Morrisem wszystkie karty, nie krył ekscytacji.

– Część Howarda Wilsona, która połączyła się z tobą, jest już nieświadoma tamtych czynów. Twój przyjaciele walczą teraz z kimś o wiele bardziej niebezpiecznym. Jeżeli zginą, zostaniesz sam, a agenci Unii pojmagają cię, zabiorą i będą studiowali niczym wyjątkowy okaz. Jeżeli uratujesz przyjaciół, będziecie mieli szansę walczyć o to, co słuszne, być może pomożecie mi i zniszczycie tych, którzy źle wam życzą. Jeżeli tak się stanie, wtedy obaj będziemy prawdziwie wolni, a ja wraz z Anne w spokoju będę oczekiwał nieuniknionego przełomu w medycynie. Jeżeli nic nie zrobisz, ich krew będzie również na twoich rękach i wierz mi, że nigdy sobie tego nie wybaczysz, bo zaręczam, że ktokolwiek wejdzie do sfery, spotka się z moim gniewem. Wybór należy do ciebie.

– Żaden z nich nie jest dobry.

– Takie jest życie, chłopcze.

Bez zbędnego dramatyizmu, bez groźnych gestów przed niewidomym, Morris odwrócił się i uniósł lufę rewolweru. Campbell wyczuł ową zmianę pozycji. Brak reakcji z jego strony mógłby wydawać się wręcz nonszalancki, co jeszcze mocniej wpłynęło na chłopaka.

– Mam trzecie rozwiązanie – Morris wycedził łamiącym się głosem. – Pańska śmierć może uwolnić nas od oddziały likwidacyjnego, od wszystkich, którzy próbowali pana bronić, ukryć pańskie istnienie przed światem. Clive będzie miał swoją zemstę, a reszta święty spokój.

Smutny uśmiech Campbella wolno przerodził się w maskę determinacji.

Gęstniejąca dookoła moc sprawiła, że Morrisowi włosy na karku stanęły dęba. Szybkim ruchem wyciągnął zza paska rewolwer Clive'a.

– Może pan próbować użyć magii – powiedział. – Może pan zatrzymać mi serce, wyssać ze mnie potencjał. Może pan sprawić, że nabój w komorze okaże się niewypałem, ale ja mam drugą broń zdolną do manipulowania czasem. Chce pan sprawdzić, któremu z nas się uda?

Campbell postąpił krok do tyłu, rozkładając ręce na boki w geście sugerującym, że nie ma złych zamiarów.

– To byłoby dobre rozwiązanie, chłopcze. Rzecz w tym, że nie jesteś takim człowiekiem. Moja zguba oznacza koniec sfery, a ty nie skażesz Anne na śmierć.

– Pan zamordował setki ludzi.

Mężczyzna pokręcił głową.



– Ale ty nie jesteś taki jak ja. Nie jesteś też taki jak Phillips. Jesteś lepszy.

Morris odciągnął kurki obu rewolwerów.

– Przekonamy się?

Dziewczęcy krzyk gdzieś z góry przerwał ich małą partyjkę śmiertelnego pokera. Nagle dla Morrisa przestał się liczyć Campbell, ponieważ w głosie Anne słyszał najprawdziwsze przerażenie. Najszybciej jak tylko mógł pobiegł w górę schodów, a będąc na parterze, skierował się do kuchni, gdzie zostawili dziewczynkę. Wpadł do środka z wyciągniętą bronią i zamarł w bezruchu, nie wiedząc, co zrobić ani co powiedzieć.

W wejściu od strony podwórka stał Clive. Jego ubranie było poszarpane, brudne od kurzu i ziemi. Na trupio bladej twarzy malował się obraz szaleńczej determinacji, wskazujący, że mężczyzna jedynie siłą woli trzyma się jeszcze na nogach. Otaczały go wiry dziwnej mocy, jakby wszystkie cienie, które miał w sobie, zagotowały się, bulgotały, pragnąc wyjść na zewnątrz. Z jego oczu, nosa, ust, a nawet uszu ciekły cienkie strużki krwi.

– Gdzie on jest? – wychrypiał.

Anne kulila się w rogu kuchni, zbyt przerażona, by cokolwiek z siebie wydusić. Wykrzywione w przestkach usta zasłaniała drżącymi rączkami, a z zaczerwienionych oczu ciekły łzy.

Clive opierał się ramieniem o framugę drzwi. Dyszał ciężko, obiema rękami trzymał ciężący mu rewolwer, jakby ten ważył tonę. Za jego plecami na podwórku patrzył w ich stronę czarny rumak.

– Odłóż broń – warknął Morris. – Musimy porozmawiać.

Wszelkie próby negocjacji spęły na niczym, kiedy dołączył do nich Campbell. Clive nawet nie zwrócił uwagi na jego poznaczone bliznami oblicze. Ostatkami sił uniósł broń.

– Nareszcie – brzmiał jak opętany szaleniec.

Oczy mu drgały, a wyszczerzone zęby zgrzytały nieprzyjemnie.

Campbell uniósł ręce.

– Panie Phillips, proszę poczekać. Muszę panu coś wyjaśnić.

– Żadnych wyjaśnień – wychrypiał Clive i nacisnął spust.

Eksplozje mistycznych energii niemal zagłuszyły wystrzały z rewolwerów.

Clive wypalił bez namysłu. Całą dostępną moc, którą skradł Pożeraczowi Duszy, wtłoczył w odparcie jakichkolwiek efektów ochronnych, które mógłby wezwać Campbell. Morris zaś uwolnił energię, by spowolnić czas do granic możliwości.

Dzięki temu doskonale widział kulę mknącą w kierunku Cambella. Posłał własną, nąginając prawdopodobieństwo tak, by pociski zderzyły się w locie. Następny pocisk posłał w kierunku Clive'a, by wytrącić mu broń z ręki.

Rewolwery wypaliły, magiczne efekty poszły w ruch. To, co się stało, było dla Morrisa niczym uderzenie pioruna. Oślepiło go i ogłuszyło. Kiedy wróciły mu zmysły, ujrzał przed sobą klęczącego Clive'a. Jego rewolwer leżał na ziemi w kałuży krwi ciekącej z przestrzelonej dłoni. Campbell zaś był cały i zdrowy.

– Tato? – z rogu pomieszczenia dobiegł słaby głos Anne.

Serce Morrisa zatrzymało się na chwilę. Odwrócił wzrok. Wargi mu zadrżały, a łzy przerażenia same napłynęły do oczu, jeszcze zanim ujrzał ów porażający widok. Zobaczył bowiem dziewczynkę przyciskającą rączki do krwawiącej piersi. Nie płakała już, a wyglądała, jakby coś ją mocno zdziwiło. Oddychała chrapliwie, a w kąciку ust pojawiały się krwawe bąble. Ciężkie powieki chciały opaść na niewidzące już oczy.

Campbell dopadł do niej i wziął ją w ramiona. Twarz wykrzywiała mu się rozpaczą i szaleństwem. Jęczał żałośnie, powtarzał imię córki, a wraz z nim cała sfera trzęsła się w posadach, zmieniając kolory w niekontrolowanym chaosie. Czas przyspieszał i zwalniał, kompletnie pozbawiony kontroli.

Morris zacisnął zęby. Spojrzał z odrazą na trzymane w dłoniach rewolwery. Czy wywołał rykoszet? Czy po trafieniu w dłoń Clive zdołał oddać ostatni, niekontrolowany strzał? Kto był winien tej tragedii?

– Clive! – warknął z pasją.

Dopadł do pozbawionego sił rewolwerowca. Krążyła dookoła niego jakaś ciemna energia, lecz nie był już w stanie jej kontrolować. Morris o to nie dbał. Przycisnął mu lufę do skroni tak mocno, że niemal wbił mu ją w czaszkę. Tylko cudem powstrzymał się od naciśnięcia spustu.

– Wszystko... przez ciebie! – wycodził przez zęby.

Clive go nie słuchał. Po omacku szukał broni, nie mogąc oderwać wzroku od Campbella. Bełkotał coś niezrozumiale, a z tej chaotycznej litanii dało się wyłowić szaleńcze pragnienie dokonania zemsty jeszcze przed śmiercią.

Tak łatwo byłoby nacisnąć spust. Wystrzelić i rozsmarować mózg Clive'a po podłodze kuchni. Na zawsze zakończyć to szaleństwo. Przed morderstwem powstrzymał Morrisa nikt inny jak Wes Campbell.

– Odejdźcie – wyjęczał żałośnie. – Nie chcę tu jego trupa. Nie tutaj. Zabierz go, chłopcze. Uciekaj. Ratuj się.

Narastające wstrząsy targające domem i zachwiania przepływu czasu wystarczyły Morrisowi do podjęcia jedynej słusznej decyzji. Campbell stracił wszelką kontrolę. Nie chciał już jej, nie potrzebował sfery, czasu ani żadnej przyszłości.

\* \* \*

– Ogień osłonowy! – porucznik Bradley wykrzykiwał rozkazy z siodła swojego wierzchowca. – Cherie, kryj się! Carter, gdzie ty jesteś, do jasnej cholery?

Wykorzystali skład pociągu jako fortyfikację, osłaniając się przed ostrzałem od strony drogi prowadzącej do miasta. Zdążyli wyprowadzić konie i Bradley razem z dwoma żołnierzami wskoczyli na nie, oczekując sposobności, by zaatakować wroga od flanki.

Nacierał na nich oddział likwidacyjny składający się z pozostałych przy życiu sześciu agentów Unii. Nie było wśród nich snajpera, co oznaczało, że pancerne psy go nie oszczędziły.

Sześciu ludzi, a można by odnieść wrażenie, że atakowała cała armia. Kule śmigwały, szatkowały wagony i w fontannach iskier odbijały się od stalowego korpusu lokomotywy. Żywioty przyzwane za pomocą magii dezorientowały, powodując jednocześnie zagrożenie nieznane do tej pory żołnierzom kawalerii. Na domiar złego jeden z agentów musiał używać klątw wywołujących chwilową ślepotę, torsje i paraliż.

Stojący na otwartym polu agent Unii był wniebogłosy. Jego wrzask przywodził na myśl duchy *banshee* zwiastujące śmierć. Żaden pocisk wystrzelony w jego kierunku nie zdołał go trafić. Wszystkie zwalniały i opadały na ziemię tuż pod jego stopami, a samo jego spojrzenie wystarczyło, aby broń nie wypaliła. Jednemu z kawalerzystów Bradleya karabin eksplodował w rękach, całe szczęście nie powodując większych obrażeń niż drobne oparzenia i skaleczenia.

Od strony cmentarza w Crucible nadciągał kolejny człowiek, otoczony przez trąbę powietrzną porywającą wszystko, co było w jej zasięgu. Jego również nie sposób było dosięgnąć.

Na niebie zbierały się czarne chmury, kłębiące się i skrzące od wyładowań elektrycznych. Co chwila strzelał pojedynczy piorun, roztrzaskujący elementy pociągu, wznecający pożary i płoszący konie.

Żołnierz kulący się obok Doca Martina puścił broń i złapał się za brzuch. Z jego ust buchnęła spieniona ślina, oczy uciekły w głąb czaszki, a ciałem wstrząsnęły

niekontrolowane spazmy. Nie miał żadnej widocznej rany, a jednak zachowywał się, jakby coś rozrywało go od środka.

– Żesz do jasnej cholery! – zawołał Martin w kierunku Bradleya. – Zmiotą nas za chwilę.

– Carter! – Bradley zawołał gniewnie. – Rusz przekłętą dupę!

Wagon pocztowy przechylił się nieco na bok, a ze środka dobył się metaliczny łoskot. Coś łupnęło w boczne drzwi raz i drugi, aż poszły w drobne drzazgi. Ze środka wychylił się sierżant Carter. Obleczony w mechaniczny szkielet skonstruowany przez Martina trzymał w rękach kartaczońnię Gatlinga z załadowanym długim magazynkiem i kolejnymi przygotowanymi w wielkiej torbie pocztowej przewieszanej przez ramię.

– Żryjcie ołów, sukinsyny! – Carter zaśmiał się dziko i z szaleństwem w oczach zaczął kręcić korbą, kładąc zamówiony ogień zaporowy.

Nieprzerwana seria pocisków wypływanych z kręcących się luf karabinu nie tylko zatrzymała zbliżających się przeciwników, ale i w pewnym stopniu ich zdekoncentrowała. Carter skupił ogień na człowieku zaginającym czas i prawdopodobieństwo. Fala pocisków była tak gęsta, że kilka z nich w końcu się przedarło, raniąc go dotkliwie. Już wkrótce nie był zdolny podtrzymać zaklęcia i został rozniesiony na krwawe drobinki.

Korzystając ze sposobności, Bradley ruszył galopem po łuku razem ze swoimi dwoma przybocznymi. W biegu zaczęli strzelać, by wprowadzić zamęt wśród członków oddziału likwidacyjnego.

Carter wyrzucił pusty magazynek i załadował kolejny. Karabin podwieszony na szynie wzmacniającej ramię wydawał się lekki niczym piórko. Operowanie nim okazało się czystą przyjemnością, a oferowana siła ognia wręcz oszałamiała. Mechanizmy szkieletu trzęsły się i klekotały, gdy amortyzowały odrzut. Kłęby gryzącego gazu co chwila wystrzeliwały z przeciążonych siłowników.

Nagle tuż obok Cartera uderzył piorun, odrzucając go do środka wagonu. Drewniane elementy konstrukcji zajęły się ogniem. Mężczyzna upadł ciężko, a wypuszczony karabin uderzył o ścianę. Rozgrzane lufy dymiły i trzeszczały.

Podniesienie się zajęło mu kilka chwil, zwłaszcza że toporny w swej konstrukcji mechaniczny szkielet poprawiał siłę, ale na pewno nie sprawność. Carter klęknął, podparł się wzmocnioną ręką i podniósł do pozycji stojącej. Piekła go twarz, przed oczami nadal tańczyły jasne plamy, a w uszach piszczalo. Chwiejnym krokiem podszedł do karabinu. Przypadkiem zauważył, że stojące pod ścianą skrzynki zostały

uszkodzone, a ze środka wystawały czerwone laski dynamitu. Wyszczrzył zęby w maniakalnym wręcz grymasie.

Bradley robił kolejne okrążenie w próbie znalezienia podejścia do człowieka znajdującego się w środku trąby powietrznej. Niepowstrzymana siła żywiołu osłaniała go doskonale, nie pozwalając nawet się zbliżyć. Huragan porwał jednego z żołnierzy – zdjęła go wprost z siodła i przewróciła kwiczącego konia.

Pioruny biły dookoła. Nie sposób było odróżnić wizgu przemykających obok pocisków od huku trąby powietrznej i latających dookoła kamieni. Dla Bradleya wyglądało to jak najprawdziwsza wizja piekła. Żadna bitwa, żaden scenariusz, nic, co przeżył ani o czym czytał, nie przygotowało go na taki rozwój wydarzeń.

Chwilowo przestrzeń pod wagonem i stalowe koła pociągu stanowiły dla Cherie całkiem bezpieczną osłonę przed ogniem wroga. Oddała kolejny strzał z winchestera i schowała się natychmiast. Klęła szpetnie pod nosem podczas przeładowywania. Nie lubiła strzelaniny. Nie lubiła walki. Kiedy miała kogoś zabić, traktowała to jako coś osobistego. Preferowała sposób czysty, bezpośredni. Podejść, uśpić czujność i zaatakować w najmniej spodziewanym momencie. Tymczasem dookoła toczyła się najprawdziwsza bitwa, której furia odbierała jej wszelkie możliwe atuty.

Coś chwyciło ją za nogę i brutalnie wyciągnęło spod wagonu. Stał nad nią wyposażony w dwa długie ostrza agent oddziału likwidacyjnego. Cherie zadała sobie pytanie, gdzie podziała się ta cholerna suka, która się do niej przyczepiła.

Jak na zawołanie na miejscu pojawił się Martin. Wywinął młynka szablą, po czym zwarł się z przeciwnikiem, byleby odciągnąć go od kobiety. Niestety, nawet wspierany przez ducha zmarłego przyjaciela, nie był w stanie sprostać agentowi wykorzystującemu magię.

Zdawać by się mogło, że człowiek ten czytał jego myśli, przewidywał ruchy i doskonale dopasowywał swój styl walki do połączonych umiejętności Morta i Martina. Trafne kontry orały ramiona i nogi kowala. Płytkie rany zdawały się niczym ukąszenia węża, bolesne i zdradliwe, pozbawiały sił w zastraszającym tempie.

Cherie cisnęła nożem w stronę agenta tańczącego dookoła Martina, po czym sięgnęła za pasek, wyszarpnęła długi sztylet i sama rzuciła się do walki. Jej wsparcie ledwie równało szale, być może nawet przeszkadzało, lecz ten element chaosu sprawił, że agentowi o wiele trudniej było dostosować się do sytuacji.

Wszystko dookoła się trzęsło. Ziemia pod stopami wibrowała, nawet wagony poruszały się i sypały dookoła szkłem i drzazgami. Gdzieś w Crucible zaczęły walić się

budynki, od strony wzgórz dochodził łoskot spadających kamieni. Stojący nieopodal semafor przechylił się i zwałił, rozlewając dookoła setki galonów brudnej wody.

Pancerne buty metalowego szkieletu łupnęły ciężko o ziemię, a cały mechanizm zazgrzytał, kiedy Carter wyskoczył z wagonu pocztowego. Karabin Gatlinga odwiesił na bok, a w dłoniach trzymał laski dynamitu. Od naramiennika zrobionego z hełmu pancernego psa odbiły się zabłąkane pociski.

Korzystając z zapalniczki, Carter podpalił lont i cisnął dynamit w kierunku trąby powietrznej. Wir pochłonął ją łapczywie, zgodnie z naturą wygłodniałego żywiołu. Nie dało się usłyszeć wybuchu, choć ognisty błysk rozświetlił na chwilę trąbę powietrzną. Ta zaś straciła na sile, ale nie opadła. Przez rzednący kurz dało się zauważyć znajdującego się w środku człowieka walczącego o utrzymanie koncentracji. Machał rękoma, wykrzykiwał słowa zaklęcia i szaleńczo próbował okiełznać moc wymykającą mu się spod kontroli.

Gdzieś obok Martin i Cherie walczyli z jednym z agentów. Nigdzie nie było widać tego, który ciskał piorunami, choć burza jakby się uspokoiła. Zamiast tego ponad wybuchami dało się słyszeć jazgot rozwścieczonego psa i przerażone krzyki jakiegoś nieszczęśnika.

Koń Bradleya zakwiczął żałośnie, wywrócił się i przekoziółkował przez łeb. Porucznik wypadł ze strzemion i poleciał niczym niedbale rzucona szmaciana lalka.

Wiedziony jedynie instynktem Bradley spróbował się podnieść. Walcząc z zawrotami głowy, szukał oparcia, kaszlał, próbując wypluć z płuc wszędobylski kurz, którego chmura unosiła się dookoła. Metalowa szyna na jego kolanie wygięła się, lecz zdołała uchronić nogę przed złamaniem.

W uszach mu szumiało. Miał wrażenie, że cały świat chwieje się w posadach. Zdawało mu się nawet, że jak przez mgłę widzi trzęsące się wagony pociągu. Jego koń leżał tuż obok. Miał połamane nogi, a z roztrzaskanej głowy ciekły krew i materia mózgu. Musiał oberwać zabłąkanym kamieniem wyrzuconym przez tornado.

Wstrząsana dziwnymi wibracjami ziemia pokryła się głębokimi pęknięciami, a z powstałych szczelin zaczęły wylewać się czarne macki. Chwyciły i oplotły korpus martwego konia. Ścisnęły tak mocno, że wnętrzości zaczęły wypływać niczym ze zgniecionej pomidora.

\* \* \*

Bezwładne ciało Clive'a zdawało się o wiele cięższe, niż można się spodziewać. Morris słyszał kiedyś od ojca, że najtrudniejsi do przenoszenia są pijacy i nieboszczyki.

Za ich plecami dom Wesa Campbella trząsł się i rozpadał. Szyby w oknach pękały, a farba na ścianach łuszczyła się raz szybciej, raz wolniej. Sfera ponad ich głowami zamigotała i na chwilę znikła, co poskutkowało istnym oberwaniem chmury. Woda lała się z nieba, jakby ktoś rozpruł wiszące nad nimi jezioro. Skumulowane w sferze promienie słoneczne uderzyły w ziemię, sprawiając, że deszcz momentalnie zaczął parować. Skutkiem tego dookoła uniosła się gęsta, gorąca mgła. Jej opar parzył skórę i gardło, oblepiał członki.

Morris zasłonił twarz chustą, a mimo to odnosił wrażenie, jakby oczy miały mu zaraz się ugotować. Co najdziwniejsze, koń Clive'a zdawał się nie przejmować panującym dookoła chaosem czy zmianami temperatur. Zbliżywszy się do rumaka, Morris mocniej chwycił Clive'a, naciągnął go sobie na ramię, po czym przerzucił przez konia. Kiedy tylko dotknął skóry zwierzęcia, zimne mrówki przebiegły mu po całym ciele, a elementy obcej tkanki zawibrowały, jakby chciały się od niego odczepić. Nawet wierzchowiec wydawał się poczuć coś podobnego. Parsknął, zarzucił niespokojnie grzywę.

Nowa wiedza sama zdawała się napływać do umysłu Morrisa, zupełnie jakby jakiś obcy głos wyjaśnił mu, co właśnie się stało, z czym miał do czynienia. Głos ten w dziwny, acz niezbyt zaskakujący sposób przypominał mu o Howardzie Wilsonie.

Najwyraźniej tkanka koszmarnej istoty, która zespoliła się z Morrisem, wyczuła swój rodzaj. Wierzchowiec Clive'a nie był bowiem zwykłym zwierzęciem. Kształt przybrany w tej chwili został dostosowany do potrzeb osoby, do której istota ta się przywiązała. Czarny rumak był chowańcem, obcym koszmarem z innego planu egzystencji, przywołanym tu poprzez poświęcenie energii cienia samego Clive'a Phillipsa.

– No dobra – szepnął Morris, wdrapując się na wierzchowca. Usadowił się niepewnie w siodle, poprawił nieprzytomnego rewolwerowca, tak aby ten nie spadł na ziemię. – Zabierz nas stąd!

Rumak nie zarżał, a zawył jak demon. Jego oczy zaświeciły czerwonym płomieniem, a kopyta zaryły w ziemię, kiedy ruszył potężnym zrywem. Mknął przez pola gnijącej trawy i umierających kwiatów. Mijał rozkładające się szkielety krów i pękającą pod nimi ziemię. Przeskakiwał nad szczelinami, z których sięgały na zewnątrz chciwe macki koszmarów stworzonych z duchów zamieszkujących Crucible.

Przedostali się przez granicę sfery, jakby ta wcale już nie istniała. Za nią przywitało ich suche i gorące powietrze, pełne nawiewanych od strony miasta prochów

zamordowanych mieszkańców Crucible. Miasto się waliło. Naznaczone nienaturalnym upływem czasu domy chwiały się w posadach i rozpadały. Tutaj koszmary zdołały już wydostać się z podziemnych tuneli i szalały nieskrępowane pośród chaosu zniszczenia.

Rumak niósł ich w kierunku przedmieścia, gdzie stał pociąg, a raczej roznoszony toczącą się tam bitwą strzęp pociągu. Morris nie potrafił wytłumaczyć sobie tego, co widzi, gdyż groza rozgrywającej się przed jego oczami sceny przerastała ludzkie możliwości pojmowania.

Potencjał płynął tu i wybuchał co chwila, uwalniany przez adeptów wiedzy tajemnej. Agenci Unii walczyli przy użyciu magii z nacierającymi nań koszmarami, chwilowo ignorując podstawowy cel swojej misji. A walczyli o życie i możliwość ucieczki, ponieważ potworów nie sposób było zliczyć.

Lokomotywa stała się bastionem Doca Martina. Tuż obok walczyła Cherie, a chronił ją największy pies, jakiego Morris widział w życiu. Na dachu pierwszego składu stał obleczony w jakieś żelastwo sierżant Carter, z maniacką radością prujący na wszystkie strony z trzymanego w rękach karabinu z kręcącymi się lufami, raz po raz przerywając sobie, by cisnąć w potwory laską dynamitu. Porucznik Bradley wraz z ostatnim ocalałym żołnierzem próbował ratować konie, zapewne by umożliwić towarzyszom ucieczkę.

Morris zobaczył, jak jeden z koszmarów wspina się po lokomotywie i zachodzi Martina od tyłu. Bestia weszła na dach parowozu, szykując się do skoku na kowala. Niewiele myśląc, chłopak wyszarpnął broń z olstra i posłał w tamtą stronę naładowany potencjałem pocisk. Trafił prosto w atakującą istotę, zatrzymując ją w czasie. Doc Martin spostrzegł to i natychmiast ciął na odlew, dzieląc cielsko potwora na dwoje.

Morris stanął w strzemionach. W pełnym skupieniu i z zabójczą precyzją zaczął posyłać kolejne kule, gdzie tylko mógł. Jedne dokonywały kompresji czasu, kiedy inne zwyczajnie wybuchały, roznosząc potwory w pył. Nawet sierżant Carter przestał na chwilę strzelać, żeby podziwiać ten popis determinacji i mocy, skupiony na otwarciu drogi dla porucznika Bradleya.

Oczyściwszy nieco teren, Morris skierował rumaka do lokomotywy, gdzie zgromadzili się już pozostali przy życiu członkowie wyprawy. Poranieni, z przerażeniem w oczach przedstawiali sobą równie żałosny co imponujący obraz.

– Czy on nie żyje? – Cherie zapytała, opierając się ciężko o dyszącą u jej boku wielką sukę.



Chłopak spojrzał z pogardą na Clive'a i pokręcił głową. Przewieszony przez konia rewolwerowiec może wyglądał jak trup, ale jeszcze dychał, choć ostatkami sił.

– Musimy...

Najmocniejszy do tej pory wstrząs przerwał Morrisowi w pół słowa. Dochodzący od strony wzgórz i wejścia do kopalni łoskot zwrócił uwagę wszystkich, nawet koszmarów.

Niecałe dwie mile dalej, w miejscu, gdzie tory kolejowe przechodziły w wielki łuk, działo się coś niewyobrażalnego. Ziemia zapadała się, zawalając tym samym wszystkie korytarze i ogromną pieczarę tam się znajdującą. Spomiędzy rumowiska zaś na świat wydostawało się niewyobrażalne.

Spuchnięte cielsko *Nalusa Chito* wynurzało się niczym potwór morski z odmętów oceanu. Wielkie kończyny przypominające ogromne łapska zaryły w krawędziach szczeliny, wynosząc ponad powierzchnię nieforemną głowę najeżoną dziwnymi oczami i wypustkami przypominającymi liczne macki. Spod ziemi wydobywał się również ciężki opar, niosący ze sobą ten straszliwy fetor obcych istot.

Cherie bezwiednie wrzasnęła, gdyż jej umysł nie potrafił już udźwignąć ciężaru horroru, jakiego doświadczyła. Nawet ogromny pies pisnął, zdjęty strachem.

Martinowi ręce opadły i jedyne, co mógł zrobić, to wpatrywać się w ogrom wychodzącej na świat istoty. Tylko sierżant Carter zachowywał zdrowe zmysły, choć równie dobrze mógł być tak szalony, że nie robiło to na nim wrażenia. Przeładował karabin i splunął na ziemię z dachu wagonu.

– A ja myślałem, że zdechnę z nudów – uśmiechnął się z błyskiem w oku.

– Musimy to zniszczyć! – zawołał Bradley, odzyskując odrobinę rezonu.

Morris zrobił wielkie oczy, nie bardzo wiedząc, czy to w ogóle możliwe. Tymczasem *Nalusa Chito* gramolił się na ich oczach z wielkiej dziury, dookoła której kłębiły się koszmary wyglądające, jakby oddawały mu hołd. Wielkiej dziury, do której prowadziły tory kolejowe.

– Spróbujmy to staranować! – zawołał Morris.

Ocucili Martina i nakazali mu czym prędzej przygotować lokomotywę do ostatniego zrywu. Kiedy on wrzucał do kotła wszystko, co mógł, Carter zajął się odczepianiem lokomotywy. Reszta przynosiła z wagonu pocztowego skrzynki z dynamitem.

Nietęga mina Martina mówiła, że coś jest nie tak. Wychylił się z kabiny parowozu, by zobaczyć, czy zdążą. Nogi się pod nim ugięły, ponieważ indiańskie bóstwo już prawie wyłoniło się do końca w swym odrażającym majestacie. Wszystkie koszmary

z okolicy zgromadziły się dookoła niego, przelewając się wokół i drżąc ekstatycznie. W powietrzu unosił się wywołujący ciarki szelest ich bluźnierczych śpiewów pełnych niezrozumiałej pasji.

– Rozpaliłem, ale nie uda nam się osiągnąć odpowiedniej temperatury – zawołał Martin. – Nie ma na to szans.

– Szans... – Morris powtórzył bezwiednie.

Zerwał pas z nabojami i podał go Martinowi. Rewolwery zatknął za pasek spodni.

– Co ja mam z tym zrobić, do jasnej cholery? – zawołał kowal.

– Wrzucić do środka.

– I co to niby nam da?

– Zwiększy szanse – uśmiechnął się kwaśno Morris.

Nieprzekonany Martin zrobił, co mu kazano. Wrzucił pas, po czym zamknął komorę spalania.

– I co teraz?

– Czekaj.

Morris zamknął oczy i skupił wolę wokół mocy zgromadzonej w nabojach. Słuchał, jak wybuchają w środku wielkiego kotła, chwycił ich energię i przekształcał. Ilość potencjału zgromadzona w tym jednym punkcie oszałamiała i wywoływała odrzę. Taka moc, tyle ofiar.

Zadziwiająco tempo, w jakim wskaźniki zaczęły pokazywać rosnące ciśnienie w kotle, wykraczało poza zrozumienie Martina. Kowal patrzył to na poruszające się wskazówki, to na Morrisa szepczącego coś do siebie, kiedy z zamkniętymi oczami wyciągał ręce w stronę parowozu.

Od strony kopalni doszedł ich głośny niczym huragan ryk indiańskiego bóstwa.

– Zwolnij hamulec! – zawołał Morris.

Martin kopnął dźwignię i zeskoczył z lokomotywy. Stalowe koła zakręciły się w miejscu, krzesząc iskry. Para buchnęła i ogromna maszyna ruszyła prosto w stronę gromady potworów. Rozpędzała się powoli, ale stopniowo nabierała pędu, by po chwili już mknąć z ogromną prędkością. Niekontrolowane ciśnienie w kotle zaczęło rozsadzać rury i kominy.

– Nie podpaliłem lontu – jęknął Martin.

– Zadbalem o to – zapewnił Morris.

Kompresja czasu, żeby przyspieszyć spalanie wewnątrz kotła. Zwiększenie prawdopodobieństwa ekstremalnie szybkiego wzrostu ciśnienia. Ostatecznie

zwiększenie prawdopodobieństwa eksplozji dynamitu podczas kraksy. Morris nadal utrzymywał skupienie, wypuszczając efekt za efektem.

Patrzyli, jak pędząca w kłębach pary lokomotywa wjeżdża pomiędzy mrowie koszmarów, jak zbliża się do *Nalusa Chito*. Ogromny potwór zwrócił swą nieforemną głowę w stronę obcego obiektu zbliżającego się do niego. Przy jego rozmiarach parowóz zdawał się jedynie zabawką. Lecz ta zabawka uderzyła prosto w niego z ogromną siłą, eksplodowała w obłokach pary, a po chwili wybuchła płomieniem.

Ziemia się zatrzęsała, a podmuch fali uderzeniowej zdolny był zwalić człowieka z nóg. W miejscu, gdzie przed chwilą jeszcze zgromadziły się potwory, ku niebu wznosiła się chmura pyłu i pary.

Zebrani z niepokojem obserwowali opadający obłok, a kiedy ten zaczął zniżać się ku ziemi i odsłaniać rozwleczone cielska potworów, ich serca zabiły z nadzieją. *Nalusa Chito* zniknął w wielkiej dziurze w ziemi, a otaczające go koszmary legły pokotem lub ostatkami sił wciskały swoje krwawiące cielska do wyrwy w ziemi.

– Udało się? – jęknęła Cherie.

Spojrzeli po sobie. Nikt nie chciał jechać tam, by sprawdzić...

Czym prędzej zebrali konie. Martin pomagał sierżantowi Carterowi zrzucić z siebie mechaniczny szkielet. Wynalazek okazał się wielce przydatny w potyczce, lecz nie nadawał się, by jeździć w nim konno. Carter rozstawał się z nim z żalem, zwłaszcza że dopiero teraz zaczynał odczuwać, jak bardzo był poturbowany. Kilka osób musiało mu pomóc wsiąść na konia, ponieważ nadal miał niewładną nogę i ramię. Mężczyzna miał częściowo poparzoną twarz wskutek bliskiego uderzenia pioruna. Twierdził, że nie widzi na jedno oko, słyszał jedynie, kiedy się do niego krzychało i sam mówił podniesionym głosem.

Emocje nie chciały opuścić Morrisa. Chłopak stał obok czarnego rumaka, gładząc go po mięsistej szyi. Robił to, bardziej żeby uspokoić siebie niż chowańca, zwłaszcza że ten nie wyglądał na specjalnie poruszonego. Zamiast tego wlepił ślepią w dal, jakby oczekiwał, że coś za chwilę wylezie z wielkiego krateru u podnóża wzgórz.

– Co z nim? – Cherie zapytała, wskazując na nieruchome ciało Clive'a.

– Sprawdź – odparł Morris zmęczonym głosem.

Cherie podeszła do rewolwerowca, bezceremonialnie szarpnęła go za włosy i przystawiła ucho do jego twarzy. Poczekala chwilę, po czym wyduła usta.

– Żyje.

Morris chciał jej odpowiedzieć, lecz ona szybkim ruchem sięgnęła po sztylet i poderznięła gardło Clive'a. Krew buchnęła z przeciętych tętnic i rozlała się po cielsku

czarnego rumaka, by skapywać na ziemię.

Wszyscy zamarli w konsternacji, patrząc, jak Cherie wyciera ostrze o rękaw. Kobieta zaś szarpnęła ciało Clive'a i zrzuciła je z konia. Drgający w ostatnich konwulsjach zewłok padł na plecy. Puste oczy rewolwerowca zwrócone były do góry, wprost na Cherie. Na pobladłym obliczu odmalował się wyraz spokoju, niemal wdzięczności.

– Mówiłam, że to zrobię – kobieta wzruszyła ramionami, widząc zaskoczenie w oczach towarzyszy. – To za mojego męża.

Morris zbliżył się do niej. Nie wiedział czemu, ale przytulił ją. W pierwszej chwili Cherie była sztywna, lecz zaraz wtuliła się w niego i zaczęła szlochać, a jej szloch przerodził się w płacz. Płakała, bo po latach dokonała w końcu zemsty, lecz płakała również, bo straciła przyjaciela.

Kiedy się uspokoiła, pociągnęła nosem, podziękowała Morrisowi i powiedziała, że powinni już jechać. Chłopak przytaknął, a kiedy tylko się odwrócił, poczuł, że wyszarpnęła mu rewolwer zza paska. Wycelowwała go w trupa i zaczęła naciskać spust, aż zabrakło kul w bębnie. Trzy kule rozorały klatkę piersiową Clive'a i utkwily w jego sercu, rozbryzgując dookoła krew.

– A to za mnie – splunęła na trupa i rzuciła pusty rewolwer Morrisowi.

Ruszyła do swojego konia, nie zwracając uwagi na pobladłe oblicza zebranych.

– A co z Campbellem? – zapytał Martin.

– Załatwione – odparł smutno Morris. – Nie zaszkodzi już nikomu...



## ROZDZIAŁ 15

# PROSPERITY ZNACZY PRZYSZŁOŚĆ

*Dziwnie to tak, bo przecież nigdy nie pisałem żadnych pamiętników ani temu podobnych, ale lektura zapisków Clive'a K. Phillipsa (K jest od Kaleb), które znalazłem w jego jukach, sprawiła, że wpadłem na pomysł, żeby samemu coś po sobie zostawić, aby pamięć o tych strasznych wydarzeniach nie przepadła. Zdaje się, że Clive pisał krótsze zdania, muszę nad tym popracować.*

*Od czego by tu zacząć...*

*Minęły dwa miesiące od momentu, kiedy opuściliśmy ruiny Crucible, pozostawiając za sobą świat nieopisanych wręcz koszmarów. Clive napisałby, że bluźnierczych, ale mam wrażenie, że nadużywał tego sformułowania. Gdzieś tam pod ruinami dawnej posiadłości pułkownika Wilsona, zakłętym domem na zakłętej ziemi, spoczywa ciało mojego towarzysza i mentora, bo tak o nim chcę myśleć. Ani ja, ani Cherie czy Doc Martin, o poruczniku Bradleyu nie wspominając, nie mieliśmy śmiałości, aby tam wrócić. Wspólnie uznaliśmy, że zawalony budynek pośrodku poznaczonych rozpadlinami połaci ziemi będzie odpowiednim grobowcem dla człowieka, który nas w to wszystko wciągnął.*

*Co się wydarzyło w ciągu tych dwóch miesięcy? Doc Martin wrócił do swojego domu i zabrał się za odbudowę kuźni. Wraz z porucznikiem Bradleyem i jego ludźmi udał się na dwie wyprawy w poszukiwaniu magicznej machinerii, którą zostawili za sobą, oraz by zapolować na pancerne psy. Przywieźli ze sobą dziwne*

*urządzenia, lecz po zwierzętach nie było ani śladu. Sam porucznik Bradley założył posterunek w Prosperity, co sprawiło, że i ludzie zaczęli wracać do miasta. To zaś powoli zaczęło odżywać.*

*Cherie została, żeby pomóc Mary w ponownym otwarciu hotelu. Powrót mieszkańców oraz wieści, że w okolicy jest już bezpiecznie, sprawiły, że i dyliżanse zaczęły tędy przejeżdżać. Cherie z powodzeniem mogła otworzyć saloon w miejscu dawnego baru hotelowego, gdzie regularnie bywam, między innymi żeby zagrać w pokera. Osobiście spodziewałem się, że po dokonaniu przyrzeczenia i zabiciu Clive'a Cherie odjedzie gdzieś w dal, lecz zdaje się, że ona i porucznik Bradley mają się ku sobie. Myślę, że pani Talbot oraz towarzysząca jej suka, którą zaczęliśmy nazywać Daisy (żeby nieco złagodzić fakt, iż mamy do czynienia z absolutnym dziwem natury), jeszcze trochę z nami zostaną.*

*A co ja tu robię? Sam się temu dziwię, ale na pierwszym od wielu miesięcy posiedzeniu rady miasta zostałem mianowany szeryfem. No, może nie od razu, bo najpierw Doc Martin musiał odrzucić podobną propozycję. W następnej kolejności miejscowi pomyśleli o mnie. Musieli widzieć, jak walczyliśmy wspólnie z ludźmi pułkownika Wilsona i uznali, że młody, ambitny człowiek potrafiący utrzymać broń w rękach będzie odpowiednim stróżem prawa. Nie odmówiłem. Może dlatego, że potrzebowałem pracy, a może, by być blisko Mary. Jedno jest pewne, przyrzekłem nigdy więcej nie używać magii, więc będę musiał się nieźle wysilać, żeby przeżyć na tej posiadzie.*

*Szeryf Swithen. Kto by pomyślał...*

Morris M. Swithen, *Pamiętnik*

Morris odłożył pióro i popatrzył krytycznie na koślawe zapiski zdobiące pierwsze kartki notesu zakupionego w nowo otwartym sklepie. Uśmiechnął się do siebie i spojrzał na kapelusz leżący na biurku. Ciemny, z szerokim rondem i srebrnymi ozdobami prezentował się dumnie, wręcz zawadiacko. Był to prezent od Mary, ofiarowany z okazji wyboru na stanowisko – dawny kapelusz jej ojca z czasów, kiedy ten był stróżem prawa w Prosperity. Morris wciąż przyzwyczajał się do nowego nakrycia głowy, lecz musiał przyznać, że wiele lepiej chroniło przed słońcem niż wysłużony melonik, który zgubił gdzieś po drodze.

Na biurku miał przed sobą również gwiazdę szeryfa. Nie przypiął jej jeszcze do kamizelki, nie śmiał tego zrobić. Musiał wpierw odzwyczaić się od myśli, że za tym kawałkiem metalu ukrywał się niegdyś Lumley. To jemu zdjęto ową gwiazdę, tuż zanim jego prochy rozsypano za miastem. Ów skromny pogrzeb celebrowany był przez nowego kaznodzieję przybyłego tu aż z Dallas. Kapłanowi ciężko było wytłumaczyć, czemu trupom należy przebić głowę gwoździem, odjąć ją od ciała, a resztki spalić na stosie. Przerażony musiał usłuchać miejscowych, którzy przeżyli atak *zombie*. Zdaje się, że ten sposób pochówku stanie się tu nową tradycją.

Minęło południe. Słońce niemiłosiernie paliło, więc Morris korzystał ze względnych wygod ciemnego i chłodnego wnętrza biura. Trochę zajęło mu wysprzątanie tego miejsca, ale w końcu mógł uznać, że jest u siebie. Dokładnie to powiedział mu sędzia, kiedy przyjechał na zaprzysiężenie. „Uczyń to miejsce swoim, młody człowieku, i nie popełnij błędów swoich poprzedników”.

Drzwi wejściowe uchyliły się ze skrzypieniem i do środka zajrzał młody Stephen. Chłopiec miał się już całkiem nieźle, choć momentami w jego oczach dało się dostrzec cień gorzkości. Czasem były czerwone, lecz nie przyznawał się do płaczu, którego przecież nikt mu nie zabraniał.

Stephen doskonale odnalazł się w roli boya hotelowego, z gracją i wrodzonym urokiem obsługując coraz to częstszych gości. Przyjmował ich, zapisywał w zeszycie. Racząc strasznymi opowieściami o minionych wydarzeniach, oprowadzał po pokojach, czasem nawet targając często większe od niego bagaże.

– Mary przysłała obiad – zawołał od wejścia.

Niósł ze sobą tobołek zawinięty w czystą tkaninę. Cudowny zapach pieczeni w sosie z groszkiem sprawił, że Morrisowi ślina zebrała się w ustach.

– Podziękuj jej ode mnie – powiedział, wstając.

Odebrał od Stephena pakunek i położył go na biurku.

Chłopiec podszedł, sięgnął po gwiazdę szeryfa i obrócił ją w palcach. Syknął z bólu, kiedy zakrzywiona szpila ukłuła go w palec.

– Mary mówi, że kiedyś tata ją nosił – wydukał, ssąc palec. – Czemu jeszcze jej nie założyłeś?

Morris przysiadł na krawędzi biurka. Przypatrywał się gwieździe, tak jak to robił, polerując ją i czyszcząc pieczołowicie, jakby pragnął zdrapać z niej skazę Lumleya.

– Tak naprawdę to nie wiem, czy na nią zasługuję.

– Nikt tego nie wie – Stephen odparł rozbrajająco szczerze. – Ale chyba chcesz wszystkim pokazać, że się nie mylili, dając ci tę robotę. Mary bardzo na to liczy.

– Mówisz?

Chłopiec puścił oczko starszemu koledze.

– Ożenisz się z nią?

Oczy Morrisa zrobiły się wielkie jak spodki. Widząc, jak się rumieni, Stephen zaśmiał się niesforne.

– No co? Przecież widzę, że was ciągnie do siebie. Codziennie przysyła ci obiad, co dzień jadasz u nas kolację, a potem słyszysz, jak rozmawiacie do późna w kuchni. To jak, ożenisz się z nią?

– Może – wzrok Morrisa zmętniał, kiedy chłopak spojrział z utęsknieniem w przyszłość.

Oboje byli młodzi, choć, technicznie rzecz biorąc, Mary była od niego starsza. Czy to miało jakieś znaczenie? Jego skórę pokrywały ciemne żyły, będące zespoloną z nim istotą z obcego świata. Próbował ignorować jej podszepty, nawet ją usunąć. Nikomu jeszcze o tym nie powiedział, nawet Mary.

Ktoś zapukał do drzwi. Stephen pożegnał się skinieniem głowy i pobiegł otworzyć. W wejściu minął niskiego wzrostu ogorzałego mężczyznę o gęstym zarostie.

– Bry, szeryfie – przywitał się Jerry Lee, pokornie zdejmując kapelusz.

Morris powitał woźnicę. On i jego partner przejeżdżali już przez Prosperity trzeci raz w ciągu ostatniego miesiąca. Przywozili gazety, pocztę i gości pragnących odświeżyć się w miejscowym hotelu.

Jerry Lee podał Morrisowi paczkę owiniętą w papier i związaną szarym sznurkiem.

– Czyżby moje książki?

– Zdaje mi się, że tak – odparł Jerry Lee. – Prosto ze sklepu we Florence, zgodnie z zamówieniem.

Morris odebrał pakunek i z dziecięcym entuzjazmem zdarł zeń papier. W środku znalazł trzy książki. Dwie z nich, powieści z dreszczykiem, nosiły na okładce nazwisko autora – Clive’a K. Phillipsa, a trzecią była powieść przygodowa o kowbojach. Chłopak umieścił je na półce stojącej za biurkiem, tuż obok innych książek zakupionych w ostatnim czasie.

– A gdzie twój kolega, Billy Joe?

– Zęby go bolą.

– Niech się uda do Doca Martina – polecił Morris. – On mu coś na to poradzi.

– Dzięki, szeryfie. A, i jeszcze list jest do pana.



Woźnica podał szarą kopertę i, pożegnawszy się, ruszył do wyjścia.

– Może wieczorem partyjka pokera w saloonie? – zapytał na odchodnym.

Morris uśmiechnął się szelmowsko.

– Nie odmówię, o ile umówimy się, że nie zmieniamy zasad i nie kantujemy.

– A skąd, panie szeryfie! Pana bym nie kantował, a zresztą pani Cherie bardzo pilnuje spokoju w lokalu. Ona jest straszna, a to jej psisko... – Mężczyzna wzdrygnął się na myśl o wielkich zębiskach Daisy. – Do zobaczenia, szeryfie.

Morris pożegnał woźnicę. *Do zobaczenia, szeryfie* – powtórzył w myślach. Kto by się spodziewał, że kiedyś usłyszy podobne słowa. Ale widać tak było mu pisane. Po kilku latach tułaczki, dziwnych i strasznych wydarzeniach, których prowodyrem był Clive Phillips, w końcu osiadł w jednym miejscu z perspektywą spokojnego życia, być może usatkwienia się u boku pięknej i mądrej kobiety oraz nowych przyjaciół.

Westchnął, zatknął kapelusz na głowę i z namaszczeniem przypiął gwiazdę szeryfa do kamizelki. Dodała mu ona animuszu, niemal czuł wibrującą wokół niej energię, zupełnie jak od zaklętych pocisków, których używał Clive. Poprawił rewolwery przy pasie i ponownie uśmiechnął się do siebie. Szeryf Swithen...

Miał już wychodzić na obchód po mieście, kiedy przypomniał sobie o szarej kopercie. Przesyłka przyszła z samego Waszyngtonu i adresowana była do szeryfa Lumleya, co musiało oznaczać, że informacja o śmierci poprzedniego, tak zwanego stróża prawa, jak i o zaprzysiężeniu jego następcy gdzieś się zawieruszyły. Chłopak zanotował w głowie, że trzeba wysłać stosowny telegram do Dallas.

Przejrzał korespondencję. Listy gończe. Ucieszył się, ponieważ na tę okazję przygotował specjalną tablicę przed biurem. Wyszedł zatem na zewnątrz, zabierając ze sobą młotek wraz z gwoździami i kolejno zaczął przybijać kartki do desek, tak aby każdy, a w szczególności ewentualni łowcy nagród, wiedział, kogo ściga się w tych okolicach.

Pierwsze dwa listy przedstawiały niewyraźnie naszkicowane wizerunki jakichś koniokradów. Morris niespecjalnie im się przyglądał, w pamięci wciąż mając swoje niechlubne dokonania na tym polu. Kiedy jednak sięgnął po kolejny list, przyłożył go do deski i zamachnął się młotkiem, ręka mu zadrżała. Z poślótkiej kartki papieru patrzyła bowiem na niego twarz Clive'a.

– Clive K. Phillips – przeczytał drżącymi ustami. – Poszukiwany za zdradę stanu i liczne morderstwa. Nagroda tysiąc pięćset dolarów.

Morris otrząsnął się. Ponownie zdał sobie sprawę, że rząd federalny mógł nie wiedzieć o śmierci Clive'a. Drżącą ręką zgniótł kartkę i cisnął ją pod nogi. Sięgnął po

kolejny list i poczuł, jakby ziemia usunęła mu się spod stóp. Ten wyznaczał nagrodę za schwytanie Cherie, a następny za Doca Martina. Pozostał tylko jeden, lecz Morris już wiedział, co ujrzy.

**POSZUKIWANY**  
**Morris Muriel Swithen**  
**za notoryczne kradzieże koni, szulerstwo, morderstwa.**  
**NAGRODA**  
**500 \$**

Morris poczuł, że zaschło mu w ustach.

– O, ja pierdolę...



## EPILOG

Nieprzerwanie od kilku tygodni z wielkiej dziury u podnóża wzgórz okalających niedysiejsze Crucible wydostawały się kłęby gryzącego dymu. Gdyby zbliżył się tam jakikolwiek człowiek, poczułby, jak toksyczny opar wpływa na niego niczym narkotyk. W cuchnącym powietrzu unosiły się wizje innych światów, gniewne ryki potworów i zawodzenie pełne bólu. W tym miejscu bowiem upokorzono Wielkiego *Nalusa Chito* i zdziesiątkowano jego sługi.

Pożeracz Dusz nie umarł. Wrócił do wielkiej komnaty, gdzie ułożył się do snu w oczekiwaniu, aż jego rany się zabliznią. Śnił koszmary, w których dokonywał zemsty na tych, którzy ośmielili się zranić jego śmiertelne ciało. Śnił też o człowieku, który powstał z martwych. O rewolwerowcu z trzema kulami w sercu i poderżniętym gardle. O tym, jak człowiek ten wstaje, odnajduje swój kapelusz i zakłada ciemne okulary na niewidzące oczy. Czuł cierpienie tego człowieka i delectował się nim.

Clive spojrzał na blade, kościste dłonie, w których nie było już życia. Zerknął jeszcze raz w dół krateru, pośród oparów szukając ruchu zgromadzonej w wielkiej komnacie masy plugawego cielska. Nie dostrzegając nic, zaciągnął chustę na twarz, a raczej na to, co nią kiedyś było. Skóra obciągająca czaszkę wysychała i w tych warunkach wkrótce mogła zacząć odpadać. Lecz on musiał ruszać w drogę.

Szedł więc na wschód. Za plecami miał czerwoną tarczę zachodzącego słońca. Jego płaszcz rozwiewał niespokojny wiatr, a krokom towarzyszyło fałszywe dźwięczenie rdzewiejących ostróg...



## PODZIĘKOWANIA

Siedzę teraz na swojej ulubionej sofie, zamknięty w gabinecie, i myślę o tych wszystkich osobach, które mnie wspierają. Jest Was tak wiele, że trudno będzie wymienić wszystkich, więc jeżeli kogoś pominąłem, to przepraszam z całego serca.

Samodzielne wydanie powieści nie jest prostym zadaniem. Nagle z pisarza zamieniasz się w *project managera*, który musi ogarnąć dobrze zgrany zespół. Tak mi się trafiło, że lata temu bazgrałem po pulpicie szkolnego krzesła w ciasnej sali od angielskiego. Rysowałem X-Wingi. Jakie było moje zdziwienie, kiedy kilka dni później odkryłem, że ktoś dorysował tam Tie Fightera. Dorysowałem więc coś jeszcze, a wkrótce odkryłem kolejny rysunek. Z czasem przeszliśmy do pisania wiadomości. To był taki prototyp Facebooka, istny *message board* (telefony komórkowe nie były wtedy jeszcze w powszechnym użyciu, a internet ograniczał się do BBS-ów). W ten sposób poznałem Tomka. Wiele lat później Tomek poślubił Kingę, a Kinga zgodziła się zostać moją redaktorką i zaproponowała, by współpracowała z nami Ola w roli korektorki. Innymi słowy, książka ta powstała dzięki Tomkowi i wytężonej, wielomiesięcznej pracy fantastycznych, megaprofesjonalnych i zgranych dziewczyn.

Okładkę sporządził Dawid. Dawida wszyscy znają i uwielbiają jego prace. Dawid jest mistrzem. Dawid robił wszystkie okładki moich książek i mam nadzieję, że już tak zostanie.

Kolejnym dream teamem są moi wspaniali patroni medialni. Przyznam, że wybór tych, których logosy znajdziesz na skrzydełku okładki, był bardzo trudny, ponieważ gdybym miał listować influencerów i bookstagramerów, którzy mnie wspierają z czystej sympatii, skrzydełko musiałoby być o wiele większe. Ci tutaj to starannie

dobre, szczerze i entuzjastyczne osoby. Przyznam, że czasami nawet zwykła rozmowa wystarczyła, bym nie tracił wiary, że nam się uda.

Mam też patronów wspierających moją twórczość, którzy otrzymali dostęp do opowiadań Clive'a. Wśród nich zaś pierwsze skrzypce gra Zuza. Zuza jest spoko. Możecie poczytać jej recenzje w sieci i posłuchać jej głosu w słuchowiskach Studia Grozy.

Jest jeszcze Krzysio, który dokonał składu tej powieści. To bodaj najbardziej sympatyczny, ciepły człowiek, jakiego w życiu spotkałem. Krzysio (gdyż Krzysztof brzmi tak bardzo poważnie) jest kolejnym fantastycznym człowiekiem. Prowadzi własne wydawnictwo i promuje polską fantastykę.

Na koniec jesteś Ty. Tak, do Ciebie piszę te słowa. Jeżeli to czytasz, to znaczy, że nie tylko masz już za sobą *Dziwny Zachód*, ale może z rozpędu, a może z ciekawości, pochłaniasz to, co teraz wystukuję na klawiszach. To cholernie miłe, więc następnym razem, jak się zobaczymy na targach czy konwencji, daj znać, że ten fragment też udało Ci się przeczytać. Podziękuję Ci wtedy osobiście.

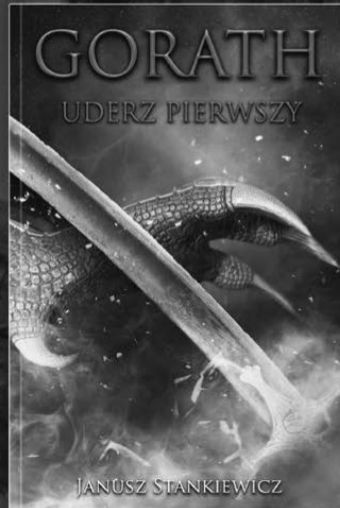
*Jarek*

Sinister Project poleca

Janusz Stankiewicz

cykl fantasy

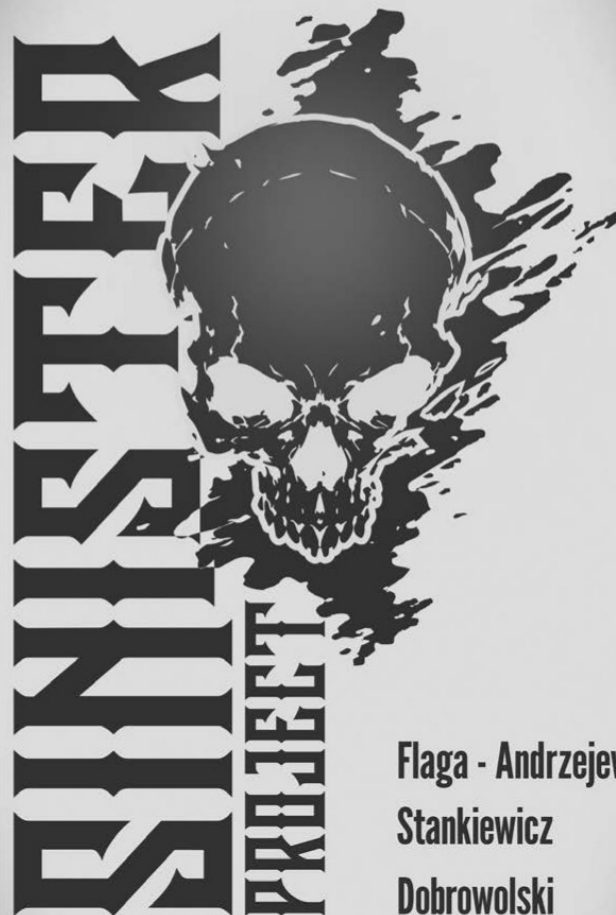
**GORATH**



ALEGORIA



**Dawid Boldys** - rocznik 1994. Od najmłodszych lat zainteresowany horrorem. Samozwańczy grafik, ilustrator, autor okładek książek i płyt, sporadycznie projektant plakatów, logotypów dla firm czy zespołów metalowych. Degustator muzyki i kina. Gracz. Absolwent żadnej ze szkół. Posiadać żadnego stylu z uwagi na ciągle eksperymenty. Sam o sobie: reinkarnacja H.P. Lovecrafta. Swoją przygodę z grafiką zaczął w podstawówce, aby pod koniec gimnazjum zostać pochłoniętym bez reszty przez darmowy program GIMP. Jeszcze w 2013 przed pracą nad okładkami książek miał już na koncie współpracę z Warner Bros. Pnąc się po stopniach kariery polskiego horroru i grozy tworzył ilustracje dla magazynu „Histeria”. Jego debiut okładkowy pod marką Shred Perspectives Works dla książki *Pelzająca śmierć* pióra Tomasza Siwca ukazał się w roku 2017 dzięki wydawnictwu Phantom Books Horror, a prawdziwy przełom i wejście na salony zapewniło mu wydawnictwo Vesper w 2018 roku, dając możliwość zaprojektowania okładki do książki *Omen* Davida Seltzera. Wiele kolejnych prac artysty można spotkać w takich wydawnictwach jak Dom Horroru, Horror Masakra, Dreszcz, Wydawnictwo IX, Novae Res, WasPos, Videograf, Skarpa Warszawska, Plectrum, Magiczne Dłaczemu, Planeta Czytelnika, SQN czy Sinister Project, a także zagranicznych Carcosa, Golden Dog (Czechy), Severed Press (Australia). Na swoim koncie ma współpracę z takimi zespołami i artystami jak Torture of Hypocrisy, Spectrum Khor, Intoxicated, Egrimonia, H.EXE, Gallileous, Radogost, Tester Gier, Floral Bugs, Ruskiefajki, PRO, Demonztrator, Divine Weep, Rascal, Okrūtnik. W 2020 roku podjął współpracę z raperem Słoniem (klip do utworu *Sierść*) i jego spółką gamedevową Trippin Bears, która trwa po dziś dzień. Spod ich skrzydeł wyszły takie tytuły jak *M.E.A.T RPG*, *M.E.A.T. II Absolute Zero*, gra karciana *M.E.A.T.: The Cult* i kolejna z serii *M.E.A.T. Veterans*. Ultrafan *Star Treka* i *Godzilli*. Czeką na koniec świata.



Flaga - Andrzejewska  
Stankiewicz  
Dobrowolski

bliżej czytelnika



# O!Fka

Literacki Kwartalnik Fantastyczny

Pierwsze Opolskie Czasopismo Fantastyczne  
od ponad 20 lat.

A w nim wywiad z Jarosławem Dobrowolskim  
i wiele więcej!



# SPIS TREŚCI

Prolog

Rozdział 1. Jeden rudy pechowiec

Rozdział 2. Komu bije dzwon

Rozdział 3. Upiór w hotelu

Rozdział 4. Banshee

Rozdział 5. A na imię jej było Zemsta

Rozdział 6. Duchy Prosperity

Rozdział 7. Szarańcza

Rozdział 8. Szaman

Rozdział 9. Rzecz, której być nie powinno

Rozdział 10. Przed wyruszeniem w drogę...

Rozdział 11. Stalowy świt

Rozdział 12. Farma

Rozdział 13. Domek na prerii

Rozdział 14. Tygiel

Rozdział 15. Prosperity znaczy przyszłość

Epilog

Podziękowania